

M I C H A Ł

G O Ł K O W S K I

KOMORNIK

arena dwuników #4



fabryka słów
KRAKÓW



KOMORNICZA PLEJLISTA



BIERZCIE I CIESZCIE
SIĘ Z TEGO WSZYSCY!

TO JEST
BOWIEM
DZIEŁO
MOJE



M I C H A Ł
G O Ł K O W S K I
KOMORNİK
arena dłużeńikòw #4



ILUSTRACJE
PAWEŁ ZARĘBA

fabryka słów[®]
Lublin – Warszawa

KOMORNIK

arena ԲԵՎՅՆԻԿՈՎ #1

arena ԲԵՎՅՆԻԿՈՎ #2

arena ԲԵՎՅՆԻԿՈՎ #3

arena ԲԵՎՅՆԻԿՈՎ #4

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Cykl Komornik. Arena

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

EPILOG

Karta redakcyjna

Okładka

*Jesteśmy pewni, że bronią modlitwy, postu i jałmużny,
jak również dzięki darowi łaski,
można zmienić serca ludzi i losy całego świata*

– Szymon z Montfortu
w przeddzień rzezi Beziers 22 lipca 1209 roku



Rozdział I



Świadomość wracała do mnie, niczym rachunek za zestaw do parzenia herbaty z prawdziwej chińskiej porcelany malowanej ręcznie w tradycyjne wzory ludowe, kupiony po pijaku na teledziurach – na raty.

Najpierw poczułem, jak bardzo koszmarnie bolą mnie ręce.

Potem przyszedł ból barków i pleców.

Następnie nóg.

Potem dopiero całej reszty, a trochę tego było.

– Jezu, niech ktoś mnie zabije... – zajęczałem, podejmując pierwszą próbę poruszenia się.

Leżałem na czymś twardym i zimnym. Kamień? Metal? Kryształ? Nie było zbyt wiele możliwości, zakładając, że nie będziemy wchodzić w sferę dywagacji zahaczających o nieprzyzwoite żarty.

Było twardo i wszystko mnie bolało.

Otworzyłem najpierw jedno oko, potem drugie... Kiedy już udało mi się zogniskować ostrość, przyjrzałem się najpierw własnemu przedramieniu leżącemu na podłodze, na próbę poruszyłem palcami. No dobra, to się udało, mimo że zupełnie ich nie czułem.

Ośmielony tym małym sukcesem, przesunąłem wzrokiem nieco dalej, po wyłożonej graniastymi płytkami podłodze. I jeszcze kawałek dalej, tam, gdzie zaczynała się płynnie wychodząca z podłogi ściana, ułożona z takich samych graniastych płytek.

– Aaa... – zajęczałem, przekręcając się na plecy.

Sufit. Druga ściana. Tańczące, wyciągnięte i rozsmazane cienie, rzucane przez mdłe światło kilku czerwonych lampek, kołyszących się w czymś na kształt korytarza – korytarza, od którego odgradzały mnie misternie rzeźbione, kute kraty.

...Gdzie ja w ogóle byłem, do cholery jasnej?

Ostatnim, co jeszcze zarejestrowała moja świadomość, była walka z Jonaszem. Bo chyba walczyliśmy... a może dopiero zamierzaliśmy zacząć walczyć? I on się śmiał, a potem ściany się rozpadły, a na ich miejsce pojawiło się światło.

Światło, które brało się z...

– Obudziłeś się, bracie Komorniku – zaskrzeczał ktoś, kogo nie widziałem.

Aż się wzdrygnąłem, bo tego głosu nie kojarzyłem z niczym dobrym. Ostrożnie, próbując nie doprowadzić do kolejnej eksplozji bólu w karku, przekręciłem głowę w lewo i w prawo, usiłując zlokalizować jego właściciela.

Jonasz siedział oparty o ścianę w sąsiedniej celi. „Celi”, bo w tym właśnie się znajdowaliśmy – w celach więziennych. Moja była narożna, stąd dwie ściany; jego z trzech stron ograniczona kutymi w kształt ciernistych łądyg prętami.

Bardzo powoli usiadłem, potem podpierając się rękami i niezgrabnie odpychając nogami przepelzłem i oparłem się plecami o graniaste płytki. Ścisnąłem głowę rękoma, próbując wtoczyć do środka zupełnie nie mieszczące się w niej myśli.

Nadal nie miałem pojęcia, gdzie jestem.

Nie miałem też pojęcia, gdzie jest moje ubranie, bo byłem tutaj zupełnie, ale to całkowicie nagi. Skuliłem się po ścianą, nagle czując, jak zalewa mnie fala palącego wstydu – byłem nagusierki w tej w sumie otwartej, podzielonej kratami na mniejsze zagrody przestrzeni. Nawet sama architektura, kolorystyka, całość tego miejsca były w pewien sposób krępujące.

Jak w szpitalu, kiedy musisz zdjąć gacie, żeby pokazać ten wrzód, co ci urósł na dupie. I po prostu ściągasz spodnie i stajesz z gołym tyłkiem w gabinecie lekarza, a w głowie kołaczę ci się myśl, że przecież lada chwila drzwi mogą się otworzyć i ktoś wejdzie.

I w tym właśnie momencie szczęknęły i przejmująco zgrzytnęły otwierane drzwi. Rozległ się ten charakterystyczny, przeciągły, metaliczny jęk, jakiego należałoby spodziewać się właśnie po ciężkich, spizowych odrzwiach do więzienia, a potem na podłodze załomotały kroki.

Najpierw zobaczyłem przesuwany się w świetle lamp cień.

Potem dostrzegłem zarys sylwetki.

Szedł ku nam pojedynczy człowiek.

I ta sylwetka, ten chód...

– Gość w dom, Bóg w dom! – rozległy się słowa.

...Ten głos.

Żołądek nagle zwinął mi się w supeł, na gardle zacisnęły niewidzialne kleszcze. Poczulem się jak dawno zabrany ze schroniska pies, który nagle słyszy pobrzękiwanie łańcucha. Albo dziecko z przemocowej rodziny, gdy ktoś zawinie na rękę skórzany pasek.

Nogi same odepchnęły mnie dalej w tył, wcisnąłem się plecami w ścianę i dosłownie podniosłem po niej, jak gdyby licząc na to, że rozplaszczę się, stopię z nią i przestanę być.

A potem przed drzwiami do mojej celi stanął Danaiel, zwany też Pierwszym.

– No cześć, Zek – powiedział.

Najchętniej byłbym zamknął oczy, ale nie miałem kontroli nad własnym ciałem. Już nie. Z piersi wyrwał mi się zduszony jęk, bardziej podobny do skamlenia, poczułem jak mój mózg desperacko próbuje wykopać sobie dziurę w potylicy i zagrzebać się jeszcze głębiej w czaszce.

Zaś Danaiel sięgnął ręką do zamka, dotknął go tylko. Zgrzytnęły chowające się w mechanizm rygle, lekko skrzytnęły otwierane drzwi i Pierwszy wszedł do mojej celi.

Aż podskoczyłem, nogi wyprężyły się same, podnosząc ciało do pionu. Ręce przykleiły się do ściany, kiedy poczułem – dosłownie poczułem! – jak obecność Danaiela zajmuje moją strefę komfortu z wdziękiem i wycuciem dywizji pancерnej sunącej przez świeżo dojrzały łan zboża.

– Ezekiel, Zek, Zekuś... Zeeek! – Pierwszy rozłożył ręce, jak gdyby chcąc mnie objąć, i zrobił krok do wnętrza celi.

Zajęczałem, przesunąłem wzdłuż ściany tak, żeby być od niego jak najdalej i wtuliłem w najdalszy kąt. Kątem oka widziałem, jak siedzący w sąsiedniej celi Jonasz patrzy na to z niedowierzaniem.

– ... – brak słów sam wyrwał mi się spomiędzy ust, kiedy Danaiel podszedł do mnie blisko, stanowczo zbyt blisko, i przysunął się twarzą tak, że aż poczułem jego oddech.

Pokręcił głową, westchnął.

– Zek, jak ja za tobą tęskniłem... Jak ja za tobą tęskniłem! A ty, czy ty też tęskniłeś za mną, Zek? Ale spójrz na mnie, jak do ciebie mówię, Zek... Spójrz na mnie, powiedziałem!

Podskoczyłem, niczym smagnięty batem. Poczułem, jak wbrew mojej woli głowa zaczyna obracać się, przełamując opór spiętego skurczem karku. Oczy uciekły w bok, zatańczyły i zapląsały dziko – aż w końcu uwięzły, złapane przez spojrzenie Danaiela.

Moje serce stanęło, płuca nagle zamaryły w pół spazmatycznego oddechu.

– Zek – powtórzył Pierwszy. – Jak ja do ciebie tęskniłem.

Po czym objął mnie, przyciągnął ku sobie i zamknął w uścisku ramion.

Nie czułem nic. Moje ciało było niczym zsuwająca się ze zbrocza wyrobiska koparka, w której kabinie utkwiał uwięziony operator – niegdyś niepodzielny pan i władca systemu, zarządzający każdym ruchem tej niezmiernie skomplikowanej maszynierii, teraz ograniczony nieledwie do roli biernego świadka, mogącego wyłącznie obserwować bieg wypadków.

Poczułem, jak Danaiel poklepuje mnie po ramionach, przesuwając dłońmi po plecach w górę i w dół. Odsunął się na chwilę, nadal trzymając mnie za ramiona, a ja zobaczyłem, jak po policzku stacza mu się pojedyncza łza.

Znałem tego człowieka.

I zarazem nie znałem go.

To był nadal Carter, cholerny Daniel Carter – ale był to też Danaiel Pierwszy.

Mój przyjaciel i towarzysz broni, a jednocześnie niegdysiejszy mentor i oprawca w jednym.

– Zek, jesteś spięty – powiedział Danaiel, a mnie aż zrobiło się ciemno przed oczami, kiedy usłyszałem w jego głosie wyrzut i niezadowolenie. – Nie cieszysz się, że znów mnie widzisz po tylu latach? Miałem nadzieję, że nasze spotkanie będzie...

– Ej, ty jesteś jakiś homo, czy co?

Twarz Danaiela stężała, w jednej chwili zmieniając się w idealnie wyrzeźbioną maskę z zimnego marmuru. Pierwszy obrócił się i spojrzał wprost na uczeplonego krat Jonasza, kręcącego głową z pełnym dezaprobaty niedowierzaniem.

– Coś ty powiedział? – syknął Pierwszy, puszczając mnie.

Zatoczyłem się w tył, osunąłem po ścianie i klapnąłem na podłogę, niczym marionetka z podciętymi sznurkami. Ściśnięte do tej pory płuca rozkurczyły się gwałtownie, zacerpnąłem haust powietrza i zacząłem dyszeć z szeroko otwartymi ustami, niczym wyrzucona na brzeg ryba.

– No kurwa, co to w ogóle za jazda jest... Wy jesteście parą, czy co?

Słyszałem głos Jonasza niczym dochodzący spod ziemi, odległy i odbity echem. Czułem, wiedziałem, że muszę coś powiedzieć, ale moje ciało nie należało do mnie.

Było jak wtedy, na Arenie, gdy pojawiał się Michał. Czy chodziło o to, że część boskiej mocy emanowała przez Pierwszego, czy może zwykły, prymitywny, wbity stalowym kańczugiem w duszę odruch psa Pawłowa, pospolite PTSD – nie wiedziałem, nie miałem pojęcia.

W tamtym momencie nie miałem pojęcia o niczym i miałem ochotę zniknąć.

– Coś ty powiedział?

Słowa Pierwszego wwiercały mi się pod czaszkę, świdrowały za oczami. Załkałem gdzieś w sobie, już teraz współczując komuś, kto był na tyle nierozsądny, żeby tak rozżłościć Danaiela.

A przecież Danaiel nie wolno było złościć.

Nie wolno, bo...

– No pytam, czy wy dwaj jesteście razem, bracia Komornicy! Za moich czasów nie było takich zwyczajów... – zaśmiał się Jonasz, ale zaraz spowaźniał. – Ale czy ja w ogóle wiem, co było za moich czasów? Może to tylko mi się wydaje...

Widziałem, jak Danaiel wychodzi z mojej celi, niespiesznie zamyka ją i odblokowuje zamek do celi Jonasza. Ten ożywił się wyraźnie, stanął w lekkim rozkroku, wysuwając do przodu jedną nogę i przyjmując postawę, niczym bokser szykujący się do ulicznej bijatyki.

– Nie masz pojęcia, z kim masz do czynienia, Dłużniku – powiedział słodko Danaiel.

– No dawaj, klawiszu, chodź tutaj! Pokażę ci, jak się...

Nie dokończył, bo Danaiel znalazł się od razu przy nim.

W jednej chwili był tam, przestępując przez próg, a w drugiej trzymał Jonasza za gardło lewą ręką, jednocześnie wbijając mu pięść prosto w splot słoneczny. Zupełnie jakby ktoś wyciął z tej sceny kilka klatek.

Jonasz sapnął i byłby upadł, ale po drodze ku ziemi już czekało na niego kolano Pierwszego.

Chrupnęło paskudnie, głowa Dłużnika odskoczyła w tył – w tym momencie podniesiona stopa Danaiela strzeliła z boku w jego kolano, wykrzywiając rzepekę w sposób, do którego ten staw na pewno nie był projektowany.

Kiedy rozległ się wrzask bólu zabarwionego zaskoczeniem, ja po prostu skuliłem się pod ścianą, zakrywając głowę rękami. Chciałem zasłonić, zatkać uszy, żeby tego nie słyszeć, jednocześnie zamknąć oczy, żeby tego nie widzieć, a najlepiej zakryć się całą, schować, przestać istnieć...

Jednak mimo to słyszałem, widziałem, czułem – nie musząc wcale słyszeć, patrzeć ani czuć.

Zbyt dobrze znałem ten scenariusz, widziałem i przerabiałem go nazbyt wiele razy.

– ...O właśnie tak – słyszałem słowa Danaiela, wpisujące się w rwane tempo melodii uderzeń i wrzasków. – Widzisz, to jest właśnie to miejsce. Jak niewiele potrzeba, żeby osiągnąć aż taki efekt, prawda? No już, już, spokojnie... Przecież nie chcemy zrobić ci krzywdy, Dłużniku! To tylko taka niewinna zabawa, a ty od razu zachowujesz się, jakbym źle ci życzył. No już, pokaż, czy nic ci się nie stało...

Kolejny rozdzierający wrzask bólu przy akompaniamencie suchego chrupnięcia łamanej kości i miękkiego mlaśnięcia rwanego stawu.

A mnie tam nie było, nie było.

To nie ja to słyszałem, nie ja widziałem poruszające się na podłodze cienie.

To nie mój pot ściekał mi ciurkiem po łysinie, leciał kropelkami wzdłuż kręgosłupa i skapywał z nosa, rozbryzgując się na graniastych płytkach.

Ciekawe, z czego były zrobione te płytki.

Perfekcyjnie równe, docięte niczym obrabiarką. Każda identyczna jak sąsiednie, idealnie sześcioboczna. Dokładnie tej samej szerokości szpara pomiędzy dwiema sąsiednimi, co pomiędzy wszystkimi innymi.

Gładkie, bez śladów ziarna, czy faktury. Jak z polerowanego metalu. Albo szklwionego gresu. Skończone dzieło o nieskończonej doskonałości formy oraz wykonania.

I na te doskonałe płytki kapały krople mojego zimnego potu.

Kap, kap, kap.

Układały się w konstelację, galaktykę mokrych znaczków, rozrastając i rozciągając na boki, łącząc rozbryzgami i zlewając w jedną całość.

A ja tam byłem, w każdej z nich, podzielony i zjednoczony zarazem, czując, że...

– Zek...

Drgnąłem, kiedy w moim polu widzenia pojawiły się stopy obute w solidne, rzymskie sandały. Na lewym widziałem wyraźny, błyszczący świeżością bryzg krwi.

– ...Tak? – szepnąłem, podnosząc głowę, aby spojrzeć na stojącego nade mną Danaiela.

Pierwszy uśmiechnął się do mnie ciepło, serdecznie. Przykucnął i nachylił się, aby jego twarz znalazła się tylko odrobinę powyżej mojej.

– Muszę teraz iść na mostek, Zek. Zdać raport, dopełnić formalności... Bo aż ciężko mi uwierzyć, że jesteście tutaj obaj, ty i on. Archistrateg będzie ze mnie zadowolony, bo taka niespodzianka... Tak więc szykujcie się do trawersu, lecimy prosto w Blask! A ja jeszcze wrócę do ciebie, dobrze?

– Dobrze – pisałem, czując, jak łyzy strachu ściekają mi po policzkach.

– Wrócę, a wtedy pogwarzyemy sobie. Nadrobimy te wszystkie stracone lata, ty mi opowiesz, co robiłeś przez ten czas... I kto przyjął cię do mojego Korpusu Komorniczego.

Jego kciuk przesunął się po moim czole, opuszek prześledził kształt wypalonego aż do kości Omega–Krzyża. Danaiel uśmiechnął się, pokiwał głową i położył mi dłoń na policzku.

Słyszałem, jak leżący w celi obok Jonasz charczy i kaszle krwią.

Natomiast moje oczy były utkwione w idealnie pięknej twarzy Danaiela, teraz pokrytej drobniusienkami, drżącymi kropelkami szkarłatnej krwi, w których widziałem swoje zwielokrotnione, odwrócone odbicie.

Kiwnąłem tylko, nie spuszczać z niego oczu. Danaiel uśmiechnął się, pogładził mnie po policzku. Ujął dłoń za kark i delikatnie przyciągnął ku sobie.

– A potem, Zek – zasyczał mi wprost do ucha – obiorę cię ze skóry niczym dojrziałym owocem.

Podniósł się, odwrócił i wyszedł, zostawiając mnie drżącego niczym liść osiki, skulonego na podłodze w kałuży własnego moczu.

Szczęknęła zamykana kratka do mojej celi, zadudniły oddalające się kroki. Zgrzytnął zamek, jęknęły otwierane i zamykane drzwi. Huknięcie, odbite echem od ścian.

A potem cisza, przerywana tylko oszalałym tętentem i szumem łomoczącej mi w skroniach krwi.

Nie wiem jak długo tak leżałem, niezdolny nawet się ruszyć.

Jonasz chrząkał i jęczał, ciężki oddech z trudem uciekał przez zmasakrowane wargi... Dwa razy chyba złapały go torsje, bo słyszałem charakterystyczny odgłos i wyężony, pusty kaszel.

Potem wreszcie dałem radę się poruszyć, podczołgać ku kratom i popatrzeć na mojego towarzysza niedoli.

– Jonasz... – wycharczałem. – Jonasz, żyjesz...?

Nie zareagował od razu. W pierwszej chwili wydawało mi się, że ma atak drgawek, albo wszedł już w fazę agonii. Dopiero potem, kiedy obrócił do mnie zmasakrowaną, zalaną krwią twarz, uświadomiłem sobie, co się tak naprawdę działo.

Jonasz się śmiał.

Śmiech wstrząsał jego chudymi, pokrytymi bliznami po oparzeniach ramionami, szarpał przeponą i napinał szyję.

Kiedy Dłużnik spojrział na mnie, rozwierając szeroko usta pełne pokruszonych zębów, to przyznam – aż mnie dreszcz przeszedł. Dotarło do mnie, że z trzech ludzi,

którzy dopiero co przebywali w tych celach, chyba tylko ja byłem przy zdrowych zmysłach.

– Zeeeekuś... – Jego głos był raczej modulowanym charkotem . – Jak nasz koleżka Pierwszy pięknie do ciebie mówi, ojej... Naprawdę jesteście parą, co? I on pewnie też był twoim pierwszym?

– Kurwa, Jonasz, to nie pora na... – Już miałem się wkurwić, nawet mimo tego, że targał mną jeszcze tuzin innych emocji, ale uderzyło mnie coś zupełnie innego. – Czekaj, zaraz, chwila: skąd ty wiesz, jak on się nazywa?

Jonasz przestał się śmiać. Spojrzał na mnie, zmrużył oczy.

– Zek, ty naprawdę nic nie rozumiesz, prawda? – zachichotał.

A ja zauważyłem, jak rozcięcie na jego czole zaczyna powoli się zamykać.

Tak po prostu, samo z siebie.

Zgłupiałem.

Leżałem tak na podłodze swojej celi, patrząc, jak Jonasz powoli się regeneruje. Może niekoniecznie w tempie, które charakteryzowałoby kogoś z naszych, ale...

– „Bracie Komorniku”... – szepnąłem pod nosem.

– Co...? – zamruczał dość niewyraźnie sam Jonasz, zajęty właśnie wyjmowaniem sobie obluzowanego zęba trzonowego. Korzeń w końcu puścił z młasińciem, Dłużnik obejrzał trzymany w palcach zakrwawiony twór tkanki łącznej. – Wesoło się tu bawicie, nie ma co... Cykor z ciebie, Zek. Duży chłopak, a złałeś się w majtochy, których nawet nie masz.

Zmlełem pod nosem przekleństwo, mimowolnie obejrzawszy się na kałużę własnych płynów ustrojowych.

– Jonasz, ty nie masz pojęcia... Ty nie wiesz, kim jest ten człowiek – zaszeptalem gorączkowo, podnosząc się do nieco bardziej pionowej pozycji.

Dłużnik spojrzał na mnie z powątpiewaniem, po czym skrzywił się, nastawiając z chrupnięciem złamane kolano.

– ...Ała. No faktycznie, nie mam, Zek. Pewnie znacie się lepiej, prawda? Dogłębnie, he, he. I zaraz zaczniesz mi mówić, że on jest inny, że w środku jest dobry, tylko tak ukształtowało go życie... Ale jeśli z nim szczerze porozmawiać, to się może jeszcze zmienić. Bo kiedyś go znałeś, a on był inny przecież.

– Bo był! Znałem go, i naprawdę był...

Urwałem, widząc w jego przekrwionych oczach drwinę. Jonasz pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nienawidzę cię, bracie Komorniku. Nie wiem kim jesteś, nie mam pojęcia, jak mnie znalazłeś ani skąd się w ogóle wzięłeś, ale cię nienawidzę.

– Jonasz, ale o czym ty...?

Spojrzał na mnie dziko, dopadł do krat. Jego dłoń wystrzeliła pomiędzy prętami, byłby mnie złapał, ale w porę odskoczyłem... to jest – rzuciłem się w tył, poleciałem na plecy i odczołgałem się od niego na bezpieczną odległość.

– Tyle czasu! – zawył dziko, szczerząc połamane zęby. – Tyle czasu ukrywałem się przed wami wszystkimi! Kluczyłem, zamiatalem ślady, gubiłem ogon, nie wiedząc nawet, czy go mam...! A ty, ty musiałeś po prostu przyleźć, i teraz...!

– Czekaj, jakimi „wami”, Jonasz? Ja nie jestem jednym z nich!

– Srała babka, srała...! – prychnął Dłużnik, odsuwając się od krat. – Masz znamię, zna cię Danaiel, walczysz gladiusem. Co prawda strasznie miętka z ciebie faja, bracie Komorniku... Ale to nic, teraz to bez znaczenia. Sprawa się rypla i jedynym pocieszeniem dla mnie jest to, że tobie też się dostanie.

Jak na potwierdzenie słów Jonasza, miejsce w którym obydwaj przebywaaliśmy zdrzało wyczuwalnie, a potem przechyliło się lekko na bok. Tak minimalnie, pozornie

niedostrzegalnie, ale błędnie od razu bez pudła dał znać, że zmienił się układ odniesienia... A potem żołądek osunął mi się nieco niżej w kierunku miednicy, jakbyśmy...

– Wznosimy się – szepnąłem. – Wznosimy się... O cholera, jesteśmy na pokładzie Tronu!

– No nie, mam zaszczyt podróżować wspólnie z geniuszem. Istnym tytanem intelektu! Może powiedz jeszcze coś, Ezekieliu, czego mogę nie...

– Zabij mnie, Jonasz – poprosiłem.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale urwał w pół sylaby. Zamknął usta. Zamrugał.

– ...Słucham? – Uniósł brwi. To jest, jedną brew, bo druga wciąż zwisała mu na oderwanym płacie skóry po niedawnej rozmowie dyscyplinarnej z Danaielem. – No wiesz, ja nie oceniam. Jeśli taki masz fetysz, to...

– Słyszałeś Danaiela, Jonasz: lecimy w Blask. Musimy się stąd wydostać. Zabij mnie, a ja dam ci słowo, że tu wrócę i pomogę ci. Nie zostawię – zaszeptałem gorączkowo.

Zmrużył oczy, patrząc na mnie badawczo.

– Jeśli cię zabiję, to uciekniesz. – Pokręcił głową. – Bo odrodzisz się w miejscu podpisania Kontraktu, a więc daleko, daleko stąd...

Teraz to ja przykleiłem się do krat, chwyciłem za pręty.

– Jonasz, do kurwy! Zabij mnie, to nasza jedyna szansa! Zabij mnie, bo wtedy...

– Z przyjemnością.

Rzucił się ku mnie z gracją prawdziwego drapieżnika.

Poczułem tylko, jak łapie mnie za głowę.

Potem było szarpnięcie.

Suchy trzask.

I nicość.



Re-Kreacja jest rzeczą nawet jak na standardy Korpusu Komorniczego wyjątkowo niemilą.

Po prostu pojawiaasz się, dosłownie spawnujesz w zadanym miejscu w czasie i przestrzeni. W jednej chwili cię nie ma, bo twoja nieodwracalnie uszkodzona powłoka fizyczna rozpada się na popiół i rozwiewa na atomy w jednym miejscu – a мгnieniu oka później zaczynasz być, odradzając się punktowo, pozbierany z poszczególnych cząsteczek do kupy.

Płuca, serce, układ nerwowy, mięśnie, każdy kawałek twojego ciała musi punktowo, jednocześnie zacząć działać. Zapewne tak czułby się odpalany na kopniaka motocykl, gdyby maszyny zdolne były czuć... Przy założeniu, że wajchę rozrusznika masz w dupie.

No więc, Re-Kreacja była wystarczająco nieprzyjemna sama z siebie, dokonywana w miejscu mniej lub bardziej cywilizowanym i normalnym, na powierzchni stojącej nieruchomo Ziemi.

A teraz, co tu dużo mówić, przeszedłem ją na pokładzie lecącego gdzieś wysoko na niebie apokaliptyczno-biblijnego lotniskowca.

W miejscu podpisania Kontraktu Komorniczego, czyli w sumie na niebieskiej reklamówce z Ikei.

Reklamówce, która była złożona na czworo.
I wepchnięta na samo dno plecaka.



– Bhwaaargh...! – wrzasnąłem, rozrywając jednocześnie materiał plecaka i spadając na nieodległą podłogę magazynu.

Walnąłem o nią centralnie prawym półdupkiem, przydzwoniłem potylicą o ścianę, aż mi przed oczami pociemniało. Czym prędzej podniosłem się na nogi – i spojrzałem wprost na dwóch Nawróconych.

Nie mam pojęcia, co mogli tu robić. Pełnili wartość? Wykonywali inwentaryzację? Patrolowali? A może po prostu myszkowali po składzie, patrząc, co by sobie tutaj zaiwanic? Tak czy inaczej, gapili się teraz na mnie z mocno skonfundowanymi minami.

Podniosłem się czym prędzej, rozejrzałem po pomieszczeniu.

We łbie jeszcze mi szumiało, organizm nadal nie poradził sobie z tak błyskawicznym przeniesieniem świadomości w nowoodtworzoną skorupę ciała, więc echo tego, co widziałem i poczułem w celi, kołatało mi się w głowie niczym mucha-robacznicza w mknącym autostradą samochodzie.

– Hej, ty... – zaczął nieśmiało jeden z Nawróconych.

Tak, to był jakiś rodzaj magazynu.

Albo zakrystii raczej, nie wiem.

Pachniało kościelnym kadzidłem, pod ścianą stało coś w rodzaju polowego ołtarzyka z rozbudowanym ikonostasem, a na jednej ze ścian na drewnianych kołkach wisiała kolekcja zupełnie przypadkowych rzeczy.

– Panie, nie powinniście tutaj być – zawtórował mu drugi.

Machnąłem na nich lekceważąco ręką, obróciłem się dwa razy wokół własnej osi. Patrzyli na mnie, jak na jakiegos niespełna rozumu... W sumie tak też wyglądałem. Nagi, z obłędem w oczach, zagubiony w otaczającej mnie rzeczywistości.

No dobra, gdzieś tutaj powinny być moje...

– Ezekielu, to nie było szczególnie mądre – odezwał się siedzący na wysokim, drewnianym regale Anioł Śmierci.

– Azi, weź spierdalaj – odpowiedziałem w zasadzie odruchowo, po czym zreflektowałem się natychmiast, nadal rozglądając dokoła. – To jest, zaczekaj! Gdzie są moje rzeczy przydziałowe? Dlaczego nie odrodziły się ze mną?!

– Ej, do kogo on gada? – zdumiał się jeden z Nawróconych.

Drugi, nieco przytomniejszy, sięgnął po stojącą pod ścianą włócznię.

– Nie wiem, ale nie powinno go tu być... Dziwny jakiś. Ej tam, Obywatelu!

– Re-Kreacji podlega wyłącznie to wyposażenie, które funkcjonariusz Korpusu Komorniczego posiadał aktywnie na stanie – ogłosił mój Anioł Nadzorca śpiewnym głosem z wyraźnym nosowym zaśpiewem. – W tym wypadku zwykła ekonomia sił i środków, wynikająca z bliskości wyposażenia w czasie i przestrzeni względem zadanego punktu odtworzenia powłoki, dyktowała że zasadnym będzie...

– Do was mówię, Obywatelu!

– Kurwa, gdzie?!

– Druga skrzynia od lewej, Ezekielu. Och, i pospiesz się. A najlepiej to się schyl.

– ...Co?

– Cytując koleżankę po fachu: „teraz to już padnij”.

Rymśnałem na podłogę w ostatniej chwili, przepuszczając ciśniętą we mnie włócznię o długość ręki ponad głowę. Przetoczyłem się w bok, widząc już biegnącego do mnie Nawróconego, i rzuciłem się w kierunku skrzyń, które...

– Nie po tej lewej, Ezekielu. Po tej drugiej.

– Azi, ty brudasieeee! – zawyłem, rzucając się w drugą stronę.

A więc centralnie na Nawróconych.

Nie spodziewali się po mnie tego manewru. Ja też się go po sobie nie spodziewałem, prawdę powiedziawszy, więc zyskałem niezasłużony i niezamierzony element zaskoczenia.

– Uwważaj...! – krzyknął jeden z nich do kolegi.

No, mieli prawo być zaskoczeni, nie powiem.

Owszem, byli ubraną w późnoantyczne pancerze, poddaną skrupulatnemu praniu mózgu załogą latającego anielskiego lotnikowca, więc powinni mieć lekko przesuniętą granicę tego, co uznają za dziwne.

Natomiast kiedy w wiszącym na kołku brezentowym plecaku nagle pojawia się nagi koleś, gadający do samego siebie i miotający się po podłodze – no cóż, to musiało wykraczać nawet poza te ramy.

Wpadłem na Legionistę całą masą, absolutnie nieumiejętnie złapałem go za nogi pod kolanami i zdecydowanie niefachowo szarpnąłem ku sobie. Wydał z siebie zupełnie nieprofesjonalny wrzask i poleciał na plecy, wpadając na stojącego za nim towarzysza.

Ja natomiast potknąłem się o własne boscie nogi, pośliznąłem i zataczając się jak pijany, dopadłem w końcu skrzyń. Szarpnięciem zerwałem wieko pierwszej z brzegu, omiotłem wzrokiem zawartość... To nie moje, to nie to!

– Ezekielu, druga od lewej, nie trzecia. I nadal twierdzę, że twoje działania pozbawione są sensu.

– Azi, ja pierdzielę...!

– Lewo tył. Albo, jak to mawiało się na tym świecie, „godzina ósma”.

Odskoczyłem w prawo, przepuszczając biegnącego na mnie ze wzniesionym mieczem Nawróconego za plecami i jednocześnie sięgając do drewnianej skrzyni po mój gladius, leżący na samym wierzchu sterty odebranych mi rzeczy, ubrań i wyposażenia.

Klinga buchnęła Purpurą, stanąłem w przepisowej pozycji szermierczej.

Nago i z gladiusem. Ładnie, nie ma co. Epicko.

Może ktoś to kiedyś narysuje?

Ten, który wcześniej cisnął we mnie włócznią, teraz zawahał się chwilę, nim wyprowadził cios – akurat tyle ile potrzebowałem, żeby chlasnąć go od dołu po przedramieniu, przerywając pancerz, skórę, mięso i kości. Wrzasnął, wypuścił miecz, upadł na ziemię, krwawiąc z oderżniętego nadgarstka.

A ja skoczyłem na jego kolegę.

Odsunął się, przepuszczając moje ostrze przed twarzą. Uniknął też kolejnego ciosu i odskoczył przed następnym, jednocześnie sięgając mnie paskudnym sztychem w zaciśnięte na broni palce.

Syknałem z bólu, przerzuciłem gladius do lewej ręki i possalem krwawiące kostki.

Sukinsyn, był dobry. Zaskakująco dobry. Nie popełniał głupich błędów, nie spieszył się.

Takie umiejętności zasługują na docenienie.

– Łaaagh! – wrzasnąłem, rzucając się na niego z gladiusem wzniesionym wysoko nad głowę.

Zrobił szybki wypad do przodu i wbił mi swój miecz prosto w brzuch.

Zabolało, przed oczami zrobiło mi się czarno.

Jedną ręką uwiesiłem mu się na szyi.

A drugą szerokim zamachem od góry wbiłem płonąca Purpurą klingę pomiędzy obojczyk a łopatkę.

Wrzasnął zduszenie, zacharczał. Nogi ugięły się pod nim, spleceni w tym śmiertelnym uścisku opadliśmy na kolana, a potem przewróciliśmy się na bok.

Leżałem na podłodze. Każdy, nawet najpłytszy oddech odzywał się koszmarnym bólem i palącym, rwącym szarpaniem przepony. Czułem, jak z każdym uderzeniem serca wycieka ze mnie życiodajna krew.

Tamten też miał się nie najlepiej. Patrzyłem, jak jego ciałem wstrząsają dreszcze, a oczy spoglądające na mnie z pełnym zaskoczenia niezrozumieniem stają się coraz bardziej szkliste. Strużka krwi cieknącej mu z ust rozlewała się na podłodze w coraz większą kałużę, powoli przesączając się w szczeliny pomiędzy płytkami.

Umieraliśmy razem, on i ja.

– Długo będziesz tak leżeć, Ezekielu?

Z wysiłkiem przekręciłem głowę i spojrzałem na Anioła Śmierci, przycupniętego na krawędzi solidnego, drewnianego stołu. Obnażyłem zęby w geście niechętnej agresji, po czym nieskończenie powolnym ruchem odepchnąłem od siebie Nawróconego, który chyba jakoś w międzyczasie jednak skołał.

– Spierdalaj... – sapnąłem, wyciągając miecz z własnych trzewi. – Aaaaa...!

– Mówiłem, że to nierozsądne, Ezekielu. Nie wiem, doprawdy, co w ten sposób zyskałeś...

Wpuściłem miecz, który brzęknął o podłogę i na chwilę zwinąłem się w kulkę cierpienia wokół rany w brzuchu. Czułem, jak życiodajna Purpura zaczyna zalewać ranę i odbudowywać tkanki, ból zaczął odpływać, a potem zniknął w ogóle. Odetchnąłem głęboko, z ulgą, po czym przekręciłem się na plecy i wstałem.

– Azi, do kurwy nędzy. Zyskałem to, że uciekłem z celi – wyjaśniłem z rozdrażnieniem. – I teraz mam broń, widzisz? Ubiorę się, żeby nie walczyć z gołą dupą, jak jakiś dzikus, a potem...

– Potem? – Anioł przekrzywił głowę gestem ptasiego zaciekawienia.

– Potem to ci sandały śmierdzą – odparłem z godnością.

Wyciągnąłem ze skrzyni moje zupełnie niekoszerne ubranie. Zerwałem z niego doczepione na konopny sznurek, ręcznie wypisane na kawałkach pergaminu metki z numerami referencyjnymi dowodów rzeczowych. Ubrałem się, wzięłem buty.

Azrael nadal na mnie patrzył.

– Mógłbyś to zrobić zupełnie inaczej, Ezekielu.

– A ty mógłbyś się zamknąć, Azi. Jak nie umiesz pomóc, to siedź cicho.

– Próbuję być pomocny. – Anioł nastroszył pióra.

– To nie próbuj.

– Jak sobie życzysz, Ezekielu.

Zniknął.

Dopiąłem pasek, sprawdziłem, czy nie podwędzili mi nic z sakwy. Znalazłem sobie cudzy, koszerne, ale dość pojemny plecak, bo mój przecież sam rozerwałem. Upchnąłem na dno torbę z Ikei, potem zapakowałem szybko resztę potrzebnych rzeczy.

Na koniec otworzyłem pudełko naboju z grubym śrutem, załadowałem strzelbę i wsunąłem kilkanaście sztuk zapasu w bardzo, ale to bardzo wygodny pas amunicyjny, podwędzony z rozszabrowanego sklepu dla myśliwych.

Już miałem ruszać ku wyjściu, kiedy zreflektowałem się, cofnąłem. Znalazłem skrzynię z rzeczami Jonasza, upchnąłem jego ciuchy do plecaka i przytroczyłem sobie

jego miecz do drugiego boku.

Potem, zwarty i gotowy, ująłem chwyt pistoletowy strzelby, z lubością przejechałem dłonią po karbowanym czółenku i zdecydowanym ruchem przeciągnąłem ku sobie i z powrotem.

„Kszztczyk-czyk” – niezmiernie satysfakcjonujący dźwięk towarzyszący wprowadzeniu naboju do komory rozległ się suchym, złowieszczym echem w trzewiach magazynu na którymś z poziomów Tronu. Aż prawie żałowałem, że strzelba była półautoatem, a ja nie mogłem robić tego przed każdym strzałem.

Ale tylko prawie, bo dzięki temu mogłem strzelać z niej jedną ręką, w drugiej dzierżąc gladius.

Ja jebię, było jak za dawnych, dobrych lat.

– No dobra, jedziemy z tym koksem... – mruknąłem, przestępując nad ciałami Nawróconych.

Wbrew własnym słowom, wyszedłem na korytarz raczej ostrożnie, żeby nie powiedzieć: bojaźliwie.

Do tej pory o Tronach więcej słyszałem, niż wiedziałem, albo widziałem. W mojej, tej jeszcze w miarę normalnej linii czasowej, były czymś na kształt legendy, jak dinozaury: podobno kiedyś istniały, znajdowało się nawet ich ślady, słyszało różne rzeczy od mądrzejszych od siebie, ale na tym się kończyło.

A teraz przebywałem na pokładzie takiej latającej fortecy i miałem szczerzy zamiar nie tylko się z niej wydostać, ale też pomóc w tym samym Jonaszowi.

Tylko nie miałem pojęcia, od czego zacząć.

– Azi... – szepnąłem, wyglądając za róg.

Nawet architektura była tutaj dziwna, niepokojąca. Sześciokątne płytki, sześciokątne w przekroju korytarze, sześciokątne jarzące się lampy pod sufitem. Wszystko w odcieniach złota, kości słoniowej, fioletu i purpury. Porozrzucane po ścianach motywy zdobnicze nawiązujące do Kabały, losowe wersety z Pisma, płonące pod ścianami świece i ciężki, gryzący w oczy dym kadzidel.

– Azi, skurwielu skrzydlaty... – powtórzyłem.

– Jestem tutaj, Ezekielu.

Podskoczyłem, na szczęście strzelba była na bezpieczniku, bo byłbym sobie odstrzelił nogę. Obróciłem się przez ramię do mojego Anioła Nadzorcy.

– ...Kurwa, Azi! Czego się czaisz?! Chcesz, żebym na serce padł?!

– Wolałbym nie, Ezekielu, bo wtedy ja też odczułbym twój stan fizyczny. Chociaż... – Anioł na chwilę zawiesił się. – Nie odczułem miecza w twoim brzuchu.

– Nie czas na takie rozkminy, Azi! Powiedz mi lepiej, gdzie tu znaleźć Jonasa?!

– Obawiam się, Ezekielu, że moje zdolności lokacji Dłużników są tutaj dość znacząco zaburzone. Ilość czystej *pneumy* oraz zeskładowana przy jednostkach napędowych Purpura zakrzywiają pole ontologiczne, w konsekwencji...

– Azi, nie pora na twoje mądrzenie się – syknąłem, przebiegając przez jakąś większą salę, wyglądającą jak skrzyżowanie planszy do gry w statki z katakumbami dla wielorybów. – Gdzie znaleźć Jonasa? Inaczej, o! Gdzie jest to miejsce, w którym się początkowo znajdowaliśmy?!

Azrael zmaterializował się po raz kolejny obok mnie. Oczy uciekły mu pod czaszkę, powieki zatrzepotały gwałtownie.

– Segment więzienny Tronu przeważnie mieści się na poziomie sigma osiem, w kwadrancie ypsilon – powiedział, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Azi, a nie da się jakoś...

Ale nie dane mi było dokończyć, bo w tym właśnie momencie, gdy miałem już, już wyjrzeć zza kolejnego węgła, prosto na mnie wylazło kilku Nawróconych.

Konkretnie to pięciu. Jeden szedł przodem, czterech niosło na poprzecznych drągach drewnianą skrzynię. Nie byli jakoś szczególnie uzbrojeni, czy coś – ot, taki sobie transport czegoś skądś i dokądś. Normalna rzecz.

Natomiast teraz zauważyli mnie i ten na przedzie chyba nieco się zdziwił. Ja jednak wiedziałem, że należy szybko i zdecydowanie przejść inicjatywę.

– Baczość, inspekcja pracy! – huknąłem na nich. – Ezekiel Siódmy, legalnie wykonujący swoje obowiązki Komornik na usługach Góry... Co to za nieregulaminowy szyk?! Gdzie środki ostrożności?! Już byłoby po was, Legioniści!

Prowadzący oddział strzelił oczami w lewo, w prawo. Od razu na początku zauważył moje Znamię... I chyba też dostrzegł stojącego zaraz za mną Anioła.

Nie wiem, jak to było z tą widocznością Azraela. Będę musiał go dopytać.

– Jak to, po nas? – zapytał dowódca oddziału niemalże płaczącym głosem.

– ...Normalnie, definitywnie! I tak jest po was, bo właśnie przegraliście w... e... manewrach! – wypaliłem, próbując schować lewą rękę tak, żeby nie widzieli trzymanej przeze mnie strzelby. I tak już dziwnie obcinali mój eklektyczny strój. – Mamy tu niezapowiedziane manewry, ćwiczenia z procedur bezpieczeństwa! A wy, jak widzę, nie przestrzegacie żadnych!

– Chwila, zaraz. – Nawrócony chyba odzyskiwał rezon. – Nie było zapowiedzi żadnych manewrów. Poza tym, jesteśmy na misji bojowej chyba?

Poczułem, że przysłowiowy grunt jednak usuwa mi się spod nóg.

– „Chyba”...?! To wy nawet nie wiecie, co się dzieje?! – spróbowałem najechać na niego mocniej.

Niepotrzebnie. Zmrużył oczy, powiedział twardo, jakby upewniając samego siebie w słuszności własnych słów:

– Jesteśmy na misji bojowej. Ujęliśmy dwóch niebezpiecznych Grzeszników, a teraz tysięcznik Danaiel nakazał wzięcie kursu powrotnego na Cytadelę. Po uzupełnieniu systemów zasilania, mamy powrócić do segmentu skoszarowania, aby tam... – wyrzucił z siebie potok słów.

Jednak nie dokończył, bo w tym momencie po korytarzu poniósł się niski, basowy ryk spżówzej surmy. Jednocześnie do tej pory mżące bładą poświatą lampy zamigotały i rozbłysły niepokojącą czerwienią.

Nawrócony spojrział na gladius w mojej ręce, na schowaną za plecami strzelbę. Na niekoszerne ciuchy.

Jego oczy rozszerzyły się zauważalnie, ręka odruchowo przesunęła się ku rękojeści miecza.

A już tak ładnie mi szło.

Odpaliłem gladius na pełną moc i zamachnąłem się szeroko, tnąc od prawej do lewej absolutnie dziłkim, ognistym łukiem. On też sięgnął po broń. Chyba nawet dał radę postawić zasłonę.

Powiedzmy, że zbyt wiele to nie zmieniło.

Jeden z tragarzy krzyknął i skoczył w bok, drugi runął ku mnie, ale prosto w twarz spojrziała mu czarna gardziel lufy. Błysk, wykwit ognia, huk, chmura dymu i szkarłatny rozbrzyg krwi zlały się w zasadzie w jedno wrażenie, ale ja już rzuciłem się naprzód, chcąc sięgnąć kolejnego z Nawróconych cięciem na odlew.

Jednak w tym momencie, ten którego chwilowo nie brałem pod uwagę w przeliczeniu nie-równowagi sił, walnął mnie ciężką, okutą spżem pałą prosto w kark.

Nie mam pojęcia, jakim cudem mnie sięgnął. W ogóle nie wiem, jak znalazł się tak blisko. Jakbym miał i wiedział, to bym to inaczej rozegrał.

Ale nie miałem, nie wiedziałem i nie rozegrałem.

Dlatego też pała trzasnęła mnie centralnie, solidnie. Aż mi coś w podstawie czaszki chrupnęło.

Zatoczyłem się, puszczone już do cięcia gladius zjechał z trajektorii i zamiast w Nawróconego, wgrzył się głęboko prosto w niesioną przez tragarzy skrzynię.

Błysnęło, trzasnęło i huknęło, miotnęło mną w tył. Uszy wypełniła mi dzwoniąca cisza. Na chwilę chyba oślepiłem, przed oczami zatańczyły czerwono-zielone plamy. Kaszląc i chrychając, nie do końca jeszcze mając świadomość tego, co się w ogóle stało, zacząłem gramolić się z podłogi na nogi.

W miejscu, gdzie przed chwilą była skrzynia z Nawróconymi, stała teraz płonąca skrzynia bez Nawróconych. Ze środka rozciętej przeze mnie konstrukcji buchał snop purpurowych iskier, jak gdyby płonął tam w środku ogromny fajerwerk. Tragarz, którego chciałem trafić, dopalał się pod ścianą; ten, który walnął mnie pałą, uciekał właśnie korytarzem, wrzeszcząc wniebogłosey.

– Ezekielu, muszę ci powiedzieć...

– Azi, zamknij się! – krzyknąłem, czując, że bieg wydarzeń znów wymyka mi się z rąk, niczym mydło w wannie pełnej węgorki. – Prowadź do celi, do Jonasza!

Anioł zrobił ręką przesadnie grzeczny gest, uśmiechnął się nieszczerze.

– Tym korytarzem.

A ja po prostu pobiegłem.

Azrael już czekał na mnie na rozwidleniu. Gdy zbliżyłem się, rozłożył jedno skrzydło, wskazując mi kierunek niczym ramię semafora.

Widziałem go już stojącego na następnym skrzyżowaniu, jednak pomiędzy mną a nim była sala, przez którą właśnie przebiegał oddział Nawróconych.

– Uwaga...! – krzyknął ich dowódca, widząc, jak wybiegam z bocznego przejścia.

– Śmierć Górze, wolność dla ludzi! – zawyłem, rzucając się na nich.

Strzał ze strzelby, wrzask bólu i jeszcze jeden strzał, który niemalże wylał mi nadgarstek.

Gladius zakreślił łuk, stawiając przede mną migoczącą półsferę zasłony.

Trzask wyladowania, śwąd palonego ciała.

Coś palącego gorącym i ostro-zimnego zarazem przejechało mi po udzie.

Whięłem miecz w miękkie, przekręciłem i szarpnąłem.

Jeszcze jeden strzał, śrut prawie oderwał nogę człowieka po mojej prawej stronie.

Cięcie, blok, sztych.

Niestety, pod moje żebra, w dodatku w plecy.

Zamach, półobrót – oddzielona od ciała głowa Nawróconego poleciała w bok, ciągnąc za sobą warkocz skwierczącej krwi.

Puściłem strzelbę, która zawisła na pasie nośnym, a sam zebrałem w rękę moc i cisnąłem falą uderzeniową po podłodze, podcinając i przewracając wciąż jeszcze stojących ludzi.

Po czym skoczyłem w bok, wyminąłem jeszcze jednego Nawróconego i popędziłem ku skrzyżowaniu, na którym czekał już Azrael.

– Ezekielu...

– Nie teraz! – sapnąłem, przebiegając obok niego i zlatując po spiralnych schodach, które wskazał mi niedbałym ruchem ręki.

Nie miałem pojęcia, gdzie tak naprawdę jestem. Nie wiedziałem, dokąd biegnę.

Azrael pojawiał się tu, to tam, a ja kierowałem się na niego.

Zauważyłem jednak, że coś dziwnego, niepokojącego dzieje się z całą konstrukcją Tronu. Raz i drugi wydawało mi się, że bardziej czuję nawet, niż słyszę głębokie echo rozchodzącego się po korytarzu ni to głuchego uderzenia, ni to eksplozji... Potem pojawiły się drgania, najpierw ledwie wyczuwalne, potem coraz mocniejsze.

– Uwolniony ładunek Purpury doprowadził do przepalenia wewnętrznych powłok – mijany Anioł Śmierci usłużnie poinformował mnie tym samym, uprzejmo-obojętnym głosem. – Dokonywana jest właśnie korekta kursu, mająca pomóc skompensować utratę mocy nośnej w jednostkach części centralnej lewej burty, która...

– Azrael, ja jebię! Czytasz mi w myślach?! – wyrzuciłem z siebie, wskazując w kolejne boczne drzwi.

– To wygodniejsze, Ezekielu... – przebiegłem koło niego, pojawił się kawałek dalej – ...niż konieczność czekania... – znów zniknął i zmaterializował się przy skrzyżowaniu – ...aż coś powiesz.

Strzeliłem w kierunku patrolu Nawróconych, którzy chyba nawet nie zdążyli mnie zauważyć, po czym wskoczyłem w kolejny korytarz.

A tam były już tylko drzwi, przy których stało dwóch Nawróconych.

– Ej, nie możesz... – zdążył powiedzieć jeden z nich.

Drugi nie zdążył nic powiedzieć.

Wpadłem do pomieszczenia, rozejrzałem się dziko po rządku cel. Azrael już stał kawałek głębiej, z miną godną kamerdynera wskazując mi tę, której najwyraźniej szukałem.

– Jonasz! – wrzasnąłem. – Jonasz, wstawaj! Amnestia jest, wychodzimy...!

Wywołany zerwał się na równe nogi, przywarł do krat celi – i od razu odskoczył, widząc, że biorę zamach. Zgrzytnął cięty metal, gdy gladiusz przerznął się przez mechanizm zamka, drzwi do celi odskoczyły i stanęły otworem.

– Bracie Komorniku! – zakrzyknął radośnie Jonasz. – Jednak wróciłeś po mnie... Ha! Nie wiem, jak ci się to udało, ale...

Nie dokończył, bo zerwałem z ramienia plecak i dosłownie cisnąłem mu w twarz jego rzeczami. Zamknął się, zaczął czym prędzej wciągać ciuchy, w końcu sięgnął po miecz. Ja jednak zabrałem rękę.

– Jonasz... – Pokręciłem głową.

– No oddawaj–że! Przecież nie będę zabijał cię teraz, idioto! Zresztą, raz już zabiłem...

– Chwilowo sojusznicy?

– Aż zdecydujemy inaczej, bracie Komorniku! – Kiwnął entuzjastycznie głową.

Czując bardzo, ale to bardzo mocny dysonans poznawczy, podałem mu jego miecz.

Jonaszowi. Człowiekowi, na którego niegdyś polowałem. Mojemu nemezis, najstraszliwszemu wrogowi. On był dla mnie... no nie wiem, był tym, czym Sabretooth dla Wolverina albo Brunner dla Hansa Klossa.

A teraz miałem walczyć u jego boku i mieć nadzieję, że...

– Kurwa... – sapnąłem, czując jak sztych jego miecza delikatnie wbija mi się pomiędzy łopatki. – Serio...?

Jonasz położył mi lewą dłoń na ramieniu, przysunął się tak, że dosłownie poczułem jego nieświeży oddech owiewający mi ucho.

– To wyraz zaufania, bracie Komorniku. Gdybym chciał cię zabić, to zrobiłbym to teraz... Ale nie chcę. Ruszamy?

Kłujący sztych odsunął się. Przełknąłem ślinę: trauma z poprzedniego życia pozostała, nadal bałem się trochę tego drania.

A trochę... trochę jeszcze nie wiedziałem sam co.

– Ruszamy.

– Prowadź zatem! – Zaśmiał się maniakalnie.

Wyszliśmy na korytarz: ja ostrożnie, z bronią w pogotowiu, doładowując naboje do magazynka strzelby. Jonasz na pełnym pochuizmie, jak gdyby wychodził na wieczorny spacer z pieskiem torebkowym swojej o dwadzieścia lat młodszej utrzymanki.

– Tam. – Pokazał swoim mieczem.

Potrząsnąłem głową.

– Czekaj, zaraz. Co „tam”?

– Tam idziemy, bracie Komorniku. To jest nasz kierunek. W tamtą stronę się przebijamy.

– Ale... tam jest wyjście, tak? Skąd wiesz? Bo jeśli tak, to...

Ale on już mnie nie słuchał, idąc żwawym krokiem przez korytarz. Zmęłłem w ustach przekleństwo, rzuciłem wściekle spojrzenie stojącemu pod ścianą Azraelowi i rad nierad podążyłem za Jonaszem, który...

– Oto nie pokój, ale miecz wam przynoszę! – krzyknął Dłużnik.

Zobaczyłem to ułamek sekundy za późno: grupa Nawróconych, pomiędzy nimi zwalisty, ledwie mieszczący się w korytarzu kształt zakutego w pancerz Ofiarnika i okolone wirującymi obręczami oko Pastucha, unoszące się ponad oddziałem.

I ten pojeb Jonasz, biegnący środkiem korytarza wprost na nich ze wzniesionym gladiusem.

Puściłem się biegiem, przeklinając w myślach swój dumny pomysł uwolnienia go.

Nie wiem, po jakiego chuja groma to zrobiłem. Po prostu nie wiem.

Trzeba było go wyindagować, a potem zostawić, żeby zdechł.

A tak sprzymierzylem się z szaleńcem, który zaraz...

I w tym momencie Jonasz wrzasnął coś nierozróżnialnego, machnął w powietrzu lewą ręką i wyrzucił ją w kierunku szyku Nawróconych.

Dzieliło go od nich może pięć kroków.

Trzasnęło pojedynczo, sucho, jak przy zapalaniu gazu w kuchence – a potem błysnęło oslepiająco, gdy istna ściana wyładowań elektrycznych wykwitła w wąskim korytarzu, spowijając wrzeszczących, miotających się dziko Nawróconych białobłękitnym kokonem tańczących błyskawic.

Zapachniało ozonem i spalonymi włosami, huk uderzył w uszy zwielokrotnionym w zamkniętej przestrzeni, ogłuszającym echem.

Aż odruchowo skoczyłem ku ścianie, zasłaniając twarz ręką.

Jonasz tymczasem wpadł pomiędzy Nawróconych, śmiejąc się obłąkańczo, rąbiąc na lewo i prawo swoim mieczem.

Było w nim coś... coś epicko straceńczego. Taka nutka zawadiackiej brawury, charakterystyczna dla człowieka, który już dawno pożegnał się z nadzieją. Jego cięcia były niemalże teatralne, widać było momentami, że upaja się tym, co sam robi zdecydowanie słabszym przeciwnikom. Poza tym, jego miecz był nieledwie przynętą, atrapą dla odwrócenia uwagi.

Bo prawdziwym atutem Dłużnika była magia.

Płomienie tańczyły wokół niego, stawiane naprzemiennie tarcze energetyczne rozbłyskiwały i gasły, gdy tylko on chciał wyprowadzić cięcie przez dopiero co bronioną rubież. Wrogowie rzucali się na niego i odlatywali w tył, odrzucani kolejnymi falami uderzeniowymi. Ofiarnik spróbował sięgnąć go raz, drugi – zaryczał z bezsilnej wściekłości, bo jego ciosy każdorazowo trafiały na migoczące bariery!

Jednak tamtych było zbyt wielu, a Jonasz miał tylko dwie ręce.

Jeszcze chwila i nakryją go czapkami.

– Ojapierdoleeee! – zawylem, skacząc mu na pomoc.

Ofiarnik akurat zamachnął się wielkim łapskim zbrojnym w zakrzywiony tasak, zmierzający po krótkim łuku prosto w kierunku karku Jonasza. Niewiele myśląc, poderwałem strzelbę i dałem ognia dwa razy, wrywając wielki kawał mięsa z nieforemnego przedramienia i zamieniając sporą część przerośniętego bicepsa w krwawą sieczkę.

Tasak zmienił trajektorię i zamiast odrąbać Jonaszowi głowę, wbił się w korpus walczącego z nim Legionisty. Dłużnik skrupulatnie wykorzystał okazję i zamienił już wyprowadzane pchnięcie na szybkie, krótkie cięcie w bok – słabe, ale zarazem na tyle skuteczne, by skroń sąsiedniego Nawróconego wgięła się z chrupnięciem niczym skorupka jajka.

Zaś ja wleciałem już w tamtych, tnąc i rąbiąc gladiusem oraz okazjonalnie paląc na oślep ze strzelby. W takiej ciżbie nie było sensu celować, bo liczyła się ilość z jednej strony, a koncentracja ognia z drugiej...

Krew bryzgała strumieniami, Purpura huczała i furkotała dziko, przecinając stal, tkaninę i mięso. Wrzaski, krzyki i jęki mieszały się w jedną beładną kakofonię.

Wreszcie Ofiarnik ryknął rozdzierając się i przewrócił się na plecy, machając kikotem odrąbanej przeze mnie ręki. Pastuch już dawno zrejterował, a Nawróceni, pozbawieni swej głównej jednostki bojowej, zaczęli podawać tyły.

Nie minęła chwila, jak dysząc ciężko i ociekając krwią własną oraz cudzą, staliśmy z Jonaszem jako jedyni pośród leżących trupów oraz dogorywających rannych.

– Noo, bracie Komorniku! – zachrypiał Jonasz, ocierając posokę z twarzy. – Widzę, że i dla ciebie to nie pierwszyna... Dobrze! We dwóch bez trudu damy radę...

Chciał już ruszać gdzieś dalej, ale ja chwyciłem go za ramię. Wszystko wokół nas akurat zatrzęsło się, kolejny głuchy pomruk przetoczył po kadłubie latającego okrętu... Odczekaliśmy chwilę, ale wstrząs się nie powtórzył.

Jonasz spojrzął na moją rękę, potem wymownie na mnie. Nie puściłem go jednak.

– Dokąd chcesz iść, Jon? – zapytałem go stanowczo.

Westchnął, przewrócił oczami.

– W jedyne miejsce, do którego warto się tutaj dostać, Zek. Tam, skąd będziemy w stanie pokierować biegiem wydarzeń... Na mostek!

– ...Co?

– Porywamy tę łajbę! – zaśmiał się Jonasz, wyszarpnął mi ramię i pobrnął korytarzem, przestępując ponad trupami. Obejrzał się na mnie, wyszczerzył i fałszując straszliwie, zaintonował: – Był kiedyś kardynał stary, co raz ogarnięty szalem całe plemię prostytutek jebał pastorałem... Hej-ho, mszalnego polej, hej-ho kremówki wzniesmy...

Szczerze, to odniosłem wrażenie, żeśmy się w którymś momencie tej historii niepostrzeżenie zamienili miejscami. Potrząsnąłem tylko głową i ruszyłem za nim. Nie uszliśmy nawet półsta kroków, gdy wbrew własnej woli zacząłem mrużyć pod nosem tę samą melodię.

– Jonasz, ty chuju... – warknąłem.

Azrael już tylko pojawiał się na skrzyżowaniach, ale widząc mój wzrok na szczęście nie próbował się odzywać. Nie miałem pojęcia, skąd Jonasz wiedział, dokąd się kierować.

Chociaż, jak o tym pomyśleć, chyba szedł po prostu tam, gdzie konstrukcja zdawała się mieć przód. Dawało się to wyczuć, kiedy Tron ledwie wyczuwalnie przyspieszał i zwalniał, albo kiedy całość przechylała się lekko na boki, jak przy zakrętach.

Z ciekawości przymknąłem raz oczy, chcąc popatrzeć na świat w spektrum Purpury i szybko pożałowałem.

Wszystko, dosłownie wszystko tutaj płonęło tak jasno, że blask aż wwiercał się pod czaszkę. Widziałem rozmieszczone gdzieś po bokach, jarzące się wyraźną emanacją punkty dmuchających w dół czystą energią węzłów, całą płataninę kanałów przesyłowych, punktów przekierowania i zaworów zwrotnych. Do tego pełno było tutaj pasywnych skupisk, czekających tylko, aby się uaktywnić na otrzymany sygnał.

– Każda magia odpowiednio skomplikowana staje się technologią... Albo jakoś w ten deseń – sapnąłem, wbiegając za Jonaszem po schodkach. – Ej, poczekaj, czy nie powinniśmy...?

– Zek, teraz uważaj, bo wchodzimy na trzy... Trzy! – wrzasnął Jonasz, po czym z kopa otworzył podwójne drzwi i wpadł do środka.

Centralnie na mostek dowodzenia podniebnego boskiego lotniskowca.

W tym miejscu powinien być opis.

Taki na zasadzie: nawias kwadratowy, a w nim pogrubionymi, dużymi literami napisane:

[TUTAJ WSTAWIĆ OPIS MOSTKA DOWODZENIA TRONU]

I potem niech się z tym męczy redakcja i korekta. Niech kombinują i robią narrację z równoważników zdań. Dopisują to, czego się autorowi nie chciało mieć na myśli.

No bo jak cały rozdział się gdzieś idzie, to wypadaloby się nad takim opisem pochylić. Przynajmniej wspomnieć, że wysoko sklepione pomieszczenie tonęło w strugach jaskrawego światła, wlewającego się przez szyby z wypolerowanego kryształu górskiego. Ogromne okna ciągnęły się pochyłą połączy z przodu i po bokach, otwierając na widok idealnie czystego przestworu martwego, błękitnego nieba i równie martwej, buro-szarej ziemi poniżej.

W kilku zdaniach napomknąć o tym, że skomplikowany układ filarów, łuków oporowych i żeber sklepienia sprawiał, iż kabina podobna była bardziej do przeszklonej klatki żebrowej jakiegoś gigantycznego zwierza, przekształconej w kaplicę. Było tutaj kilka ołtarzy i pomniejszych ołtarzyków, na których płonęły przed ikonami i krzyżami świeczki i lampki wszelakiej maści oraz autoramentu, czuć było zapach unoszącego się w powietrzu dymu kadzidła o dominującej woni żywicy. Pobrząkiwanie dzwonek i nierówny, lejący się polifonią zaśpiew trzech wzajemnie niezależnych od siebie chórów rezonował pod sklepieniem i brzęczał w kloszach złotych lampek.

Potem wypadaloby poświęcić trochę miejsca na to, że byli tutaj też ludzie. Ubrani w długie, powłóczyście szaty kłęczeli przez ołtarzami, wznosili ręce gestem modlitwy i bili się w piersi. Niewielka procesja okrążyła właśnie centralny filar, zaś prowadzący ją kapłan w dziwnym nakryciu głowy co drugi krok padał na kolana, uderzał czołem o podłogę i znów wstawał, podnosząc otwarte dłonie ponad głowę...

– Więcej żarliwości na trzecią sekcję sterburty! – zawołał ktoś z wnętrza kabiny, psując mi narrację. Procesja od razu skorygowała trasę, chóry z lewej strony wyraźnie wzmożły natężenie śpiewów.

No więc, opis.

...Następnie zdawkowo należałoby tylko nadmienić, jakie wrażenie robiła wzmiankowana już panorama świata, przesuwanego się za ogromnymi oknami. Lecieliśmy z południa na północ, daleko po prawej widać było pas burzowy, a za nim ciemną połączy Rewersu. Tak, pewnie dobrych kilka kilometrów nad ziemią.

Dać chociaż do zrozumienia, że cała struktura nadal drżała i trzęsła się. Co i rusz ktoś coś wołał i widać było, że załoga modlitewna dwoi się i troi, aby utrzymać równy kurs tej przedziwnej, napędzanej czystą Purpurą i sterowanej wiarą potężnej maszyny.

Potem, już pod koniec, jeszcze zachwycić odbiorcę skomplikowaną, karkołomną, jednozdaniową, wielokrotnie złożoną konstrukcją istnego popisu kunsztu literackiego, traktującą o przepięknym odbłasku słońca, prześlizgującym się po szczerzłym kadłubie Tronu, gdy gigantyczny podniebny okręt powoli, z nieziemską wręcz gracją zaczął wykonywać lekki tawers w kierunku Błasku, kładąc się na lewą burtę niczym szybujący w przestworzach ptak, schodzący właśnie niespiesznym lotem ku macierzystemu gniazdu, które to słońce błysnęło w zagłębieniach konstrukcji

i zatańczyło na wytłoczonych w wysyconej *pneumę* blasze poszycia literach, oznaczających podrzędności i nadrzędności jednostki w przedwiecznej hierarchii Władz, Zwierzchności oraz Potęg, która niewątpliwie przyczyniłaby dowolnemu maturzyscie niemało kłopotów w rozbiornie logicznym.

I wreszcie zarysować, jedynie odręcznym szkicem wyobraźni pokazać cały imponujący ogrom Tronu, którego ten mostek dowodzenia był zaledwie małą, wręcz mikroskopijną częścią.

Tak, tu powinien być taki opis.

Ale go nie będzie.

Nie będzie, bo ja w tym wszystkim widziałem tylko jednego człowieka, który właśnie z miną będącą kuriozalnym pomieszaniem zaskoczenia i zniesmaczenia wstawał z poślacanego, obrotowego fotela pośrodku sali.

Danaiela, zwanego też Pierwszym.

– Nie do wiary... Chociaż, powinienem był się domyślić, że ta awaria w ósmym sektorze to twoja sprawka, Zek. – Pierwszy wymawiał te słowa niemalże z obrzydzeniem, jakby poruszał temat wyjątkowo nieprzyjemny. – I nawet macie swoją broń, no proszę. Co jest, Zekuś? Zapomniałeś języka w gębie?

Przełknąłem ślinę, bo faktycznie zrobiło mi się jakoś tak nieswojo.

Z jednej strony patrzyłem na niego i widziałem Danaiela. Tego skurwysyna-sadystę, niegdysiejszego... to jest: niedoszłego... to jest: przyszłego... No, w każdym razie człowieka, którego przynajmniej ja subiektywnie pamiętałem z poprzedniego wydania rzeczywistości jako swojego eks-mentora i szkoleniowca, swego czasu pana i władcę życia oraz śmierci, potrafiącego traktować dręczenie podwładnych jako świetny sposób spędzania czasu wolnego.

Z drugiej widziałem cień, dalekie echo znanego mi kiedyś Cartera.

A z trzeciej nadal widziałem skurwysyna i sadystę.

Jonaszem najwyraźniej nie targały takie skrupuły, wątpliwości ani przemyślenia. Nie targało nim chyba nic, bo doskoczył do pierwszego z brzegu kapłana w białej szacie i przebił go mieczem na wylot.

Tamten wyprężył się, wrzasnął i przewrócił na miniaturowy ołtarzyk, zalewając się krwią.

– Głupcze! – ryknął Danaiel, odpalając miecz. – Nie masz pojęcia co robisz...! Zabić go!

Przez boczne wejście do sali zaczęli wsypywać się Nawróceni.

A ja zebrałem się w sobie, puściłem w żyły tyle Purpury, ile tylko byłem w stanie wykrzesać i z desperackim agresywnym wrzaskiem rzuciłem się na Pierwszego.

Wiedziałem po prostu, że jeśli pozwolę mu na to po raz kolejny, jeśli nie przerwę tego zakłętego kręgu wspomnień przemocy fizycznej i psychicznej, to nie dam rady zrobić nic. Szczególnie teraz, kiedy jednak dostrzegąłem tam, pod jego zimno okrutnymi rysami twarzy pozostałości Cartera.

Sam bym pewnie nic z tym nie zrobił. Natomiast Jonasz doskonale wprowadził w to równanie zmienną, którą należało skrupulatnie wykorzystać.

Zwarliśmy się w snopie iskier Purpury, ze szczękiem i zgrzytem broni. Danaiel od razu spróbował sięgnąć mnie drugim ostrzem, ja jednak odbiłem klingę na bok strzałem ze strzelby, niemalże wyrwijając mu ją z dłoni. Cios, zastawa, cięcie, odskok przed jego drugim mieczem, zwód i cięcie...

Rozdzieliłiśmy się, okrążając nawzajem i czekając na dobry moment do ataku.

– Jak za dawnych lat, Zek! – zaśmiał się, ruchem głowy odrzucając z czoła niesforny kosmyk włosów.

Zerknąłem w bok, gdzie kątem oka widziałem, jak Jonasz bije się z Nawróconymi. Właśnie wskoczył na ołtarz i kopnął misę pełną rozżarzonych węgli, która poleciała prosto w twarz jednemu z Legionistów. Kapłani uciekli w rozsypce, zostawiając dwóch zabitych, ale reszta podjęła śpiew ze zdwojoną mocą.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek walczyli na pokładzie lotnikowca... Carter – wycedziłem.

Bo to przecież był Carter, nie Danaiel. A ja nie zamierzałem poddać się syndromowi sztokholmskiemu i traumie pourazowej, które wywoływał we mnie sam dźwięk tamtego imienia.

Co gorsza, nie zamierzałem go zabijać, bo mimo wszystko był kiedyś moim przyjacielem.

Skoczył na mnie zniemacka, ciął dwoma mieczami z przeciwległych kierunków, wyprowadził podwójne zdradzieckie pchnięcie – ale zdołałem związać jego klingę, osłoniłem się od dołu nieudolnie postawioną tarczą energetyczną.

– Carter nie żyje, Zek! Zginął, kiedy...

Wypaliłem mu w twarz ze strzelby, tak dla zasady. Oczywiście, też zdążył postawić zasłonę z Purpury, więc śrut mu nic nie zrobił. A nawet gdyby, to by go nie zabił – w najgorszym razie odesłał na miejsce Re-Kreacji.

Zauważyłem jednak, że zrobiło to na nim wrażenie, bo aż cofnął się o krok, pokręcił głową z niedowierzaniem.

Jonasz tymczasem cisnął w swoich wrogów kulą płynnego ognia, która rozlała się ryczącymi mini-inferno po jednym z ołtarzy sterowania. Przeskoczył w bok, ciął jakiegoś przypadkowego mnicha, chwycił się wiszącej pod sufitem lampy i rąbnął w łańcuch – przeleciał kawałek na żyrandolu, niczym typ w rajtuzach ze starego swash-bucklera, po czym malowniczo spierdolił się na plecy.

– Carter – powtórzyłem z naciskiem, patrząc mu w oczy.

– Nie, Zek, już nie. Pamiętam, co mówiłeś mi o Korpusie Komorniczym i możesz być pewien, że wdружиł mi twoje rekomendacje co do joty!

– Ty chuju...

– Ja? Ja jestem chujem, Zek? – Rozłożył ręce, a ja usłyszałem w jego głosie nieudawany wyrzut. – Przecież uratowałem ci życie! Tobie, Siliaszowi, Cat... Wszystkim! Natomiast Michał okazał się inny, niż się tego spodziewałem. Dlatego mówię ci teraz: przystań do mnie!

– Co? – Aż zamrugalem.

– Dołącz do mnie, Zek. Mówię poważnie. Ten świat i tak szlag już trafia... Rozejrzyj się!

Rzeczywiście, ogarnięty chaosem i pożogą mostek sterowania Tronu był dość dobrym obrazowaniem większego stanu rzeczy. Wszędzie kapliczki i ołtarze. Żarcia i picia nie ma. Słońce wypala oczy. Ktoś próbuje się modlić. Ktoś inny szaleje i śmieje się, szlachtując rzymskich legionistów. Zaś dwaj goście mogący realnie coś zmienić akurat stoją po przeciwnych stronach barykady, na zmianę machają mieczami udając tylko, że chcą się pozabijać i prowadzą dialog o dawnych czasach.

– No, trafia. Nie pierwszy raz... Carter, zwariowałeś! Michał ci wyprał mózg, nie jesteś sobą!

Zacisnął usta, zobaczyłem w jego oczach odległy błysk bólu. Oho, trafiłem w sedno. Carter pokręcił głową, powiedział lekko łamiącym się głosem:

– Nie, Zek. Archanioł to nasza jedyna nadzieja, on wie, jak doprowadzić to do końca... On jest światłem i życiem, Zek, zaś reszta to bluźniercy i szumowiny. Tylko pod komendą Archistratega możemy pokonać armie Szemijazasa, żeby...

Ale nie dowiedziałem się co wtedy, bo Jonasz zawył tryumfalnie i zatopił swój miecz w plecach arcykapłana w dziwnym nakryciu głowy.

Już wcześniej widziałem, że przebija się w stronę centralnego ołtarza, zaś Nawróceni usiłują mu w tym przeszkodzić. On, siłą rzeczy, wychodził z prostego założenia: jeśli wróg nie chce ci na coś pozwolić, to właśnie to należy zrobić. Legioniści odgradzili go od ołtarza zwartym szykiem tarcz, lecz on po prostu rozrzucił ich na boki, skoczył w przód...

Arcykapłan wrzasnął, upadł na ziemię. Jonasz zerwał z niego nakrycie głowy, najbardziej przypominające wielką pieczarkę, i wcisnął sobie na skronie:

– Teraz ja jestem tu kapitanem, arrrr! Cała naprzód, lewy foka szot wybieraj, wszystkie ręce na...

Lecz i tutaj nie dane było mu dokończyć, bo Tron nagle szarpnął się do przodu, a potem w dół, niczym samolot w strefie turbulencji.

Podłoga uciekła mi spod stóp. Większość znajdujących się na mostku również popadała, niczym podcięta. Śpiewy urwały się w wybuchu gwałtownych okrzyków przerażenia, posypały się kadzidła, zabrzęczały panicznie dzwonki.

Na jedno okamgnienie w kabinie zrobiło się ciemniej, gdy wszystkie światła poza blaskiem słońca zamigotały i przygasły. Nagle zrobiło się dziwnie, niepokojąco cicho.

A potem systemy znów załapały, latający lotniskowiec ryknął i szarpnął, jak dławiący się silnik motocykla. Kilku kapłanów wrzasnęło rozdzierająco, wyciągnęło ręce, ale było za późno.

Tabernakulum centralnego ołtarza przechyliło się, ześliznęło z marmurowej płyty i roztrzaskało o posadzkę.

Nagle coś dziwnego stało się z grawitacją.

Poczułem, jak odrywam się od pokładu i zaczynam unosić się w powietrze, dość szybko dryfując ku tylnej części mostka dowodzenia. Nie byłem w tym odosobniony, bo to samo stało się ze wszystkimi – żywymi i martwymi – oraz wszystkim, co nie było na stałe przytwierdzone do podłogi.

– Spadamy!!! – rozległ się przesywający wrzask. – Ratuj się, kto może...!

Miotnęło mną w tył, wałnąłem plecami o filar i rozpląsałem się na nim. Obok mnie przeleciał krzyczący, bezradnie przebierający rękami i nogami Nawrócony, zaraz za nim przez powietrze śmignął potężny, chyba szczerozłoty krzyż. Kilku kapłanów nadal próbowało trzymać się ołtarzy i śpiewać, ale pęd powietrza – nie, nie powietrza: samo przeciążenie! – dosłownie wpychało im słowa z powrotem do gardeł.

– Zek! – rozległ się krzyk.

Dostrzegłem Danaïela... to jest, Cartera! Cartera, który mozolnie, cal za calem przesuwiał się po konsoli sterowania przy bocznym ołtarzu, czepiając się rękami wszystkiego, czego tylko mógł. W końcu dotarł do srebrnego krzesła wyściełanego czerwonym suknem, wsunął się w nie i zapiął dwie biegnące na skos suły bezpieczeństwa.

– Śmieeeeerć! – wył Jonasz, nieustający w swym dziele zniszczenia. – Oto ujrzałem, jak królowie ziemscy, wielmoże i wodzowie, bogacze i możni, ukryli się do jaskiń i górskich skał! I mówią do gór i do skał: Padnijcie na nas i zakryjcie nas przed obliczem Zasiadającego na Tronie...!

– Zek!

– Carter! – zdołałem zawołać, przekrzykując skowyt silników, hurgot przewalającego się po mostku wyposażenia i paniczne wrzaski uwięzionych na nim, bezradnych ludzi.

– Zek, drugi fotel...! Sterowanie ręczne!

Machnął ręką niezgrabnie, ale ja od razu zorientowałem się, o czym mówił: po przeciwległej stronie pomieszczenia, przy ołtarzu bocznym stało identyczne, bliźniacze krzesło, a przed nim na niewielkim ołtarzyku zestaw stacjonarnych dzwonków, kielichów, mis i innych naczyń obrzędowych. Gdyby religia była technologią, to tak by wyglądały konsole pilotów.

Nie musiałem pytać, bo wiedziałem, czego ode mnie chce i jaka jest stawka.

Natomiast od tego krzesła dzieliło mnie kilka metrów pustej przestrzeni.

– Kurwaaa... – jęknąłem, próbując skalkulować taką trajektorię, która nie zakończy się moją natychmiastową albo opóźnioną śmiercią.

Schowałem gladius, poprawiłem plecak. Po czym wystawiłem do tyłu jedną rękę, policzyłem do trzech.

Odetchnąłem głęboko.

– Ognie piwniczne, przybywajcie! – wrzasnąłem, odpychając się od filara obydwiema nogami.

Z mojej dłoni wytrysnęło niewielkie pandemonium ognia, który wgryzł się w kolumnę, liznął mnie po plecach i łysinie, grożąc śmiercią w płomieniach – ale jednocześnie pchnął w przód, niczym odpalony na pełny zyczer silnik rakietowy.

Zawyłem, lecąc bezwładnie przez ten chaos. Zasłoniłem twarz przedramieniem, zderzyłem się z czymś ciężkim, przekreśliło mnie w locie. Machnąłem desperacko nogami, dałem radę znów się przekreślić, mimo że strzelba mająca na pasie nośnym trzasnęła mnie boleśnie w kolano.

W końcu złapałem oparcie srebrnego krzesła, szarpnąłem i zawinąłem się wokół niego, niemalże wyrrywając sobie staw barkowy. Chwyciłem je jedną ręką, drugą dałem radę zaczepić o jakiś element zdobniczy. Sapiąc, prychając i jęcząc z wysiłku, usadowiłem się w nim, zapiąłem zabezpieczenia.

– Ej...! – krzyknąłem, kiedy krzesło samo obróciło się w bok, ustawiając mnie przodem do kierunku lotu.

Zauważyłem, że fotel Cartera zrobił to samo.

Byliśmy frontem do kierunku lotu, a lecieliśmy w tej chwili na północ. Po lewej mieliśmy zalaną światłem równinę blasku, zaś po prawej...

Przez chwilę myślałem, że nie ma tam nic. Że to jakieś zakłócenie, albo kryształowa szyba jest brudna.

Wyglądało to jak koniec mapy, ku któremu powoli zmierzaliśmy, jednocześnie spadając.

Natomiast to, co widziałem, to była ogromna, sięgająca od samej ziemi aż do najwyższych warstw stratosfery, ściana chmur Pasa Burzowego. Widziałem kłębiące się i kotłujące chmury, rozbłyski wyładowań elektrycznych i szaro-siwe strugi deszczu, lejącego się nieprzerwanymi strumieniami ku ziemi.

– Zek, do góry! – dobiegł mnie głos Cartera. – Ciągnij go w górę, bo się rozbijemy... Silniki na prawej burcie mają niewystarczającą moc!

No tak, bo przecież Tron, podobnie jak Wysłannicy i wszystko pochodzące od Góry, „działał” na światło. Teraz, kiedy zbliżyliśmy się niebezpiecznie do miejsca, gdzie krzywizna Ziemi zasłaniała promienie słońca, mieliśmy go po prostu zbyt mało... Więc musieliśmy wzbić się wyżej.

– Jak?! – odkrzyknąłem, patrząc bezradnie na misy, kielichy, dzwonki i masę chujwie-czego na ołtarzyku.

Carter zawołał coś, ale nie usłyszałem ani słowa przez narastający huk. Miałem wrażenie, że cała konstrukcja wpadła w takie wibracje, że rozpada się w locie, jak wchodzący w prędkość naddźwiękową dwupłatowiec... Więc po prostu zacząłem robić to, co on – może z pewnym opóźnieniem, może i nieudolnie, ale za to z jaką motywacją!

Pociągnąłem ku sobie upleciony z kolorowych nici sznur.

Uderzyłem dwa razy w gong, po czym szybko chwyciłem spizowy pierścień i przekręciłem o pół obrotu... Kurwa, nie w tę stronę, aaa! Szybko przekręciłem o cały w przeciwną, na szczęście nie stało się nic takiego.

– Mocniej, Zek! Postaraj się, do cholery...!

– Staram się!

– Bardziej się postaraj!

Znów sznur.

Trzy uderzenia w misę.

– I teraz, uwaga... Już!

– Aaaa!

Znów pierścień, przy czym prawie wypuściłem go z rąk, kiedy wysunął się z płyty ołtarza na łańcuchu, stawiając niemały opór.

Zaparłem się nogami i ciągnąłem, ile sił.

Ciągnąłem i czułem, jak Tron nieskończenie, upiornie powoli przestaje spadać. Serce zleciało mi w okolice żołądka, przeciążenie wcisnęło mnie w fotel, przed oczami zrobiło się ciemno...

– Dawaj, daawaaaj, Zek!

Nie wiem, na jakiej zasadzie unosił się w powietrzu Tron. Czy miał na bokach silniki, czy jakieś przetwornice wiary na siłę nośną, czy co... Natomiast wyło to, ryczało i dudniło jak samo potępienie, gdy wyciskaliśmy z konstrukcji każdą dostępną uncję jej wydajności.

– Jeszcze trochę...!

– ...Tak! – wyrwało mi się przez zaciśnięte zęby.

Tron przestał bujać się z boku na bok. Potem ziemia przesunęła się tak, że nie zasłaniała mi już całego widoku przez przednią szybę, a u góry pojawił się pasek jaśniejszego nieba.

Pasek rósł i rósł stopniowo, a wraz z nim rosła też moja nadzieja na to, że może wyjdziemy z tego żywi.

Powoli, stopniowo stabilizowaliśmy lot. Pasek nieba spełzył od góry poniżej połowy naszej widoczności i zatrzymał się. Opór pierścienia sterującego zmalał.

Widziałem już ziemię, odróżniałem opuszczone miasteczka i porzucone drogi, straciliśmy dobre trzy czwarte wysokości. Ale teraz lecieliśmy już prawie równolegle do gruntu, horyzont był tam, gdzie powinien!

Nie wiem, co działo się na tyle mostku. Czy Jonasz żył, czy nadal mordował Nawróconych i kapłanów? Serio, nie obchodziło mnie to. Całą uwagę skoncentrowałem na tym, aby nie dopuścić do rozbicia się Tronu.

I nawet, nawet, nawet... Nawet nam się udawało!

Zerknąłem przez ramię na mojego ko-pilota, też aż czerwonego z wysiłku.

– Tak... Tak! – wydusiłem. – Carter, mamy to! Damy radę, jeszcze trochę i...

– Zek, uwaga! Dajemy ostro w lewo!

Spojrzałem w przód.

W pierwszej chwili nawet tego nie zauważyłem.

Dopiero potem dotarło do mnie, że lecimy wprost na wyciągniętą z chmur, utkaną z pary wodnej, ciemnoszarą mackę cumulonimbusa.

– Zek, w lewo!

Co jest? – przebiegło mi przez głowę. Przecież chmury to tylko para wodna. Nie zaszkoźdzą czemuś tak potężnemu jak Tron.

Macka zbliżała się coraz bardziej, rosła w oczach. Wcale nie była mała – to masywne burzowe chmury były niewyobrażalnie ogromne. Gdybyśmy w nią wlecieli, to nasz

podniebny okręt schowałby się tam bez reszty. Ale skąd ta panika? Nie zderzymy się z nią. Nie jest twarda, bo chmury są miękkie, puszyste...

Natomiast jest w nich zdecydowanie za mało światła.

– Zek...!

Szarpnąłem pierścień sterujący.

Zbyt późno.

Okręt miotnął się w bok, po raz kolejny ciskając wszystkim i wszystkimi na mostku dowodzenia po podłodze i ścianach. Łomot i klangor wypełniły wnętrze kabiny, coś odbiło się od ściany, prasnęło w konsolę przede mną i zrykoszetowało dalej, zanim mogłem w ogóle zorientować się, co to było.



Panel
Zooey

Przez nieskończenie krótki ułamek sekundy myślałam, że nam się udało i daliśmy radę wyprowadzić Tron na bezpieczną, oświetloną przestrzeń.

No cóż, powiem tak: prawie.

A przecież sukces się nie stopniuje.

Niby nic takiego się nie stało. Ciemna, gęsta wypustka chmury zaledwie nas musnęła. Przesunęła się po kadłubie, liznęła szyby kabiny sterowania mokrym jęzorem. Na najkrótszą chwilę spowiła nas w półmrok.

Wystarczyło.

Silniki z prawej strony zakrzuszyły się, zacharczały, zaklekotały i zgasyły.

Zaś te z lewej, idące pełną mocą, nagle szarpnęły naszą słoneczną burtą w górę, posyłając nas spinem prosto w chmury.

– Nie...! – usłyszałem jeszcze krzyk Cartera.

A potem nasz Tron zanurkował w ciemność Pasa Burzowego.

Nie jestem w stanie opisać tego, co się działo dalej.

W kabinie zapadła ciemność, lepka, dławiąca i głęboka, przetykana zmieniającymi się odcieniami i półtonami.

Szyby nagle zaalała woda, potem z hukiem uderzył w nie grad.

Gdzieś z boku błysnął piorun, zalewając utkane z brudnej waty dekoracje upiornym światłem.

Chciałem krzyknąć, ale nie usłyszałem nawet własnego głosu, bo wszystko zagłuszał ryk, skowyt i wycie silników, próbujących nadal mieć powietrze w bezsilnej desperacji.

Rzuciło nami na boki, w górę i w dół. Żołądek to podskakiwał mi aż pod przełyk, to znowu boleśnie opadał kamieniem w okolice drugiego końca układu pokarmowego. Wokół mnie trwało pandemonium i obłęd rzeczy, ludzi, trupów, broni i utensyliów, latających po całym mostku niczym pół tuzina kotów i szuflada sztukców wrzucone do wirującego bębna pralki.

– Zek! Zek, trzymaj kurs, bo będzie po nas! – doleciało do mnie nie tyle nawet echo, co wrażenie głosu Cartera. – Kontruj do prawej... Wyrównaj, wyrównaj!

Konstrukcja bujnęła się dziko, szarpnęła. Niemalże wyrrywając pierścień sterujący z uchwytu, dałem radę jakimś cudem złapać resztkę siły nośnej pod moją burtą i wrzeszcząc, charcząc i płacząc z wysiłku dociągnąłem tak, że przynajmniej przestaliśmy wirować.

Wspólnymi siłami, wrzeszcząc i przeklinając, daliśmy radę wyprowadzić Tron z korkociągu, ustabilizować lot. Nadal nic nie było widać, w szyby tłukł grad, pokrywający powierzchnię kryształu siateczką coraz to gęstszych pęknięć.

A potem przednia szyba puściła.

Do środka wdarł się wichur, zakręcił po mostku dławiąc zimnym powiewem i dzikim rykiem w uszach. Woda i lód uderzyły w jeden z ołtarzy, rwąc go na strzępy i przewracając utensylia, zapewne dodatkowo komplikując i tak niełatwą sytuację ze sterowaniem.

– Carter! Carter, musimy utrzymać go na kursie... Jakimkolwiek! – zawołałem, próbując przekrzyczeć żywioł i nie wiedząc nawet, czy tamten mnie słyszy.

– Jeszcze trochę! Damy radę, podprowadź go w górę...! – dobiegł mnie stłumiony krzyk Cartera.

– Carter, nie mam mocy, kurwa! Nie mam z czego...! – darłem się w odpowiedzi.

Siekąca moje ramiona i twarz ulewa była wszędzie, gęsta mgła wypełniała całąabinę. Czulem, jak słabną mi ręce, zgrabiące palce ledwo dawały radę zaciskać się na pierścieniu.

– Wszyscy zginiemyyyy! – rozległ się dziko radosny skowyt Jonasza.

W pewnej chwili wyskoczyliśmy z chmur – ale nie było już światła.

Nie było tam w ogóle nic, tylko czerni.

Mknęliśmy przez pustkę w nagłej, idealnej, dzwoniącej w uszach, przerażającej ciszy. Silniki zamilkły jak na komendę, nasz lot nawet się wyrównał. Nadal opadaliśmy, jednak nie było już całej tej paniki, zamieszania, nic z tych rzeczy, które charakteryzują desperacką walkę o przetrwanie.

Był tylko świst i szum wiatru, w którym dało się słyszeć trzask wody, gwałtownie zestalającej się w niewielkie placki i mikroskopijne konstelacje lodu.

Zerknąłem ku Carterowi. W półmroku spowijającym mostek dowodzenia zobaczyłem jego wielkie, rozwarte przerażeniem oczy.

Nad nami był martwy firmament pozbawiony gwiazd.

Wokół nas i przed nami ciągnął się idealnie czarny, pusty przestwór nieba bez chociażby jednej chmury.

Wszystko wyglądało jak namalowane tylko dwiema barwami: idealnie matową, dominującą bielą oraz wszelkimi możliwymi odcieniami czerni – od delikatnej szarości, aż do najgłębszej sadzy.

Lecieliśmy, w zatrważającym tempie tracąc wysokość, a przed nami było spowite wieczną, mroźną nocą bezkresne pustkowie naprawdę martwego świata.

– O kurwa... – szepnąłem.

Spadaliśmy prosto w Rewers.



Rozdział II



Nie jestem w stanie nawet zacząć opisywać tego, co było później.

Serio, nie jestem. I nie, nie kokietuję tym razem, chociaż wydaje mi się, że już co najmniej dwukrotnie w trakcie tej opowieści zdarzyło mi się użyć podobnego sformułowania. Tym razem nie jestem w stanie, i koniec.

Nie da się opisać tego, jak gigantyczny, latający niebiański lotniskowiec spada ku ziemi, a potem uderza w nią, niczym kamień w wodę, odbija się i leci jeszcze kawałek dalej, tym razem tracąc już resztki sterowalności

i przekraczając na bok tylko po to, aby definitywnie roztrzaskać się na skutej wiecznym lodem jałowej pustce.

„Kawałek”, heh.

Lecieliśmy – raczej szybowaliśmy – w zasadzie to kontrolowaliśmy spadaliśmy ku lądowaniu awaryjnemu na prawą, słabszą burtę, kiedy po raz pierwszy złapaliśmy kontakt z ziemią. Ledwo ją musnęliśmy bokiem, starając się wytracić chociażby ułamek impetu przed docelowym spotkaniem z glebą.

– Przygotować się do uderzenia! – Desperacki krzyk Cartera przebił się nawet przez świst wichru i wycie silników.

Szarpnęło nami koszmarnie i rzuciło tak, że stęły bezpieczeństwa niemalże zmiażdżyły mi obojczyki i wycisnęły flaki z otrzewnej. Wszystko to, co do tej pory stoczyło się w tylną część mostka, nagle przeleciało na przód. Obok mnie mignął wrzeszczący przeraźliwie kapłan, ale jego skowyt urwał się gwałtownie, kiedy lecące bezwładnie ciało weszło w kontakt z konsolą dowodzenia, a następnie, gubiąc po drodze zawartość powłok skórnych i płyny ustrojowe, przeleciało przez dziurę w oknie i zniknęło.

Z prawej strony wystrzeliła w górę fontanna ziemi, lodu, kamieni i śniegu, kiedy ogromne skrzydło przeorało grunt, zostawiając w nim brudzę wielkości niewielkiego kanionu.

Obejrzałem się z niezdrową fascynacją na odrywające się od kadłuba fragmenty poszycia i kawałki okrętu, wirujące niczym centryfugi w swoim locie w czerni. Każdy z takich kawałków rozsypywał wokół siebie skrzynie z zaopatrzeniem, elementy

wyposażenia i bezradnych ludzików, lecących na wszystkie strony i spadających w mroźną pustkę, barwiąc śnieg szkarłatem.

Dopiero kiedy z ogłuszającym, przeraźliwym jękiem i zgrzytem oderwał się większy kawałek dolnego pokładu desantowego, dotarło do mnie, że w tym wszystkim są odgłosy... Natomiast na tyle przytłaczające i przerażające wykraczające poza skalę odbioru, że mój mózg po prostu je wyparł, wyrzucił za nawias, żebym zwyczajnie nie oszalał.

A potem skoczyliśmy w górę.

Przeciążenie wgniotło mnie w fotel, przed oczami aż zrobiło się czarno. Otworzyłem szeroko usta, próbując zaczerpnąć tchu, ale mroźne powietrze wdarło mi się przemocą do gardła tak, że tchawica aż zacisnęła się sama w gwałtownym skurczu. Zacisnąłem dłonie na oparciach, aż spiąłem się cały.

– ...Aaarghaaahh...! – zaskowyczałem.

Powoli, stopniowo zrobiło się lepiej. Wręcz normalnie, tylko nadal przerażająco zimno. Potem okręt osiągnął najwyższy punkt lotu, linia horyzontu stopniowo przesunęła się z dolnej części przedniego okna w górną...

...I zaczęliśmy spadać.

Najpierw niezauważalnie, wręcz delikatnie.

Potem pojawił się szum, który szybko przeszedł w wycie wichru, aż w końcu w potworny ryk huraganu. Czulem, jak przechylały się jeszcze bardziej na bok, tracimy stabilizację i zaczynamy nieubłaganie zamieniać się po prostu w bezwładnie lecącą masę metalu, mającą lada chwila roztrzaskać się o ziemię.

Biel była coraz bliżej, zarysy pejzażu wyostrzyły się. Domy schowane pod zaspami, ledwie widoczne lasy, zamrożone jeziora. Czarne nagrobki miasteczek i miast.

A potem, nie wiedzieć nawet kiedy, ziemia skoczyła ku nam i uderzyła z całą mocą.

Miotnęło nami w bok, coś aż chrupnęło mi w karku.

Spory element kadłuba oderwał się i wirując poleciał w mrok.

Zaryśliśmy w śnieg, niczym ogromny pług, rozgarniając go na boki dwiema lawinami godnymi dowolnego zbocza górskiego.

– Ła...! – zakrzuszyłem się własnym krzykiem, gdy obróciło nas na bok i do góry nogami, a potem śnieg i lód wdarły się do kabiny białą nawałą.

Tak jak na to patrzę z perspektywy, chyba tylko to nas uratowało – jak ogromna poduszka powietrzna.

Nie wiem, ile razy nas obróciło, w ilu płaszczyznach i kierunkach. Nie mam pojęcia. To było niczym spadanie ze schodów – nie wiesz, gdzie masz górę, a gdzie dół, co się dzieje i czy to już, czy jeszcze potrwa.

A nawet kiedy przychodzi ten moment „już”, to twoja głowa i tak jeszcze przez chwilę ma inne zdanie.

...No dobra, miało być, że nie jestem w stanie opowiedzieć. Eehhh, szkoda szczempić ryja, kiedy człowiek sam sobie danego słowa nie potrafi dotrzymać. Nie-ważne.

Tak czy inaczej, w końcu usłyszałem własny krzyk.

– ...aaaAaaaAAAAaaakurwaaa...! Kurwa! – zakończyłem moją serenadę, czując w ustach posmak krwi ze zdartego gardła. – Kurwa... mać... ja jebię...

Było ciemno. Czarno. Nie byłem w stanie poruszyć nogami ani rękami. Czulem, jak na głowę sączy mi się coś zimnego.

Chyba jednak żyłem.

Spowity lepką, miękką i puszystą czernią, obruszałem najpierw prawą, potem lewą rękę i dałem radę przyciągnąć je do ciała. Zacząłem powoli, metodycznie odkopywać z sypkiego mroku nogi, czując jednocześnie, jak kawałki zimnego puchu sypią mi się na

kark. Raz i drugi osunął się jakiś większy fragment, niweczając moje wysiłki, ale konsekwentnie robiłem swoje.

Wreszcie odpiąłem zamek skrzyżowanych stół bezpieczeństwa, podciągnąłem nogi na siedzenie i zacząłem mozolnie wygrzebywać się ku górze przez lepką, szeleszczącą i sypiącą się puchem czern.

Stopniowo czern zabarwiała się szkarłatem, potem czerwienią – aż wreszcie wychynałem z ogromnej śnieżno-lodowej zasy, która przykryła całą prawą część mostku dowodzenia Tronu.

W rozbłyskach czerwonych lampek awaryjnych widziałem migawki z chaosa zniszczenia. Połamane filary sklepienia. Poodrywane złote płyty poszycia. Sypiące iskrami czystej Purpury potraskane konstrukcje ołtarzy sterowania. Porozrzucane, wystające ze zwałów śniegu, porwane na kawałki kukiełki, które jeszcze niedawno były ludźmi.

Chaos. Zniszczenie. Totalny rozpierdol.

– A na początku naprawdę miało być, kurwa, inaczej... – zajęczałem, gramoląc się na górę. – Pierdolone świetliste kręgi, jebane chóry i zasrane kręgi abstrakcji... Ale nie udało się dokładnie oddzielić spierdolenia od duszy... Opa!

Straciłem oparcie, stoczyłem się na łeb, na szyję i upadłem pyskiem w zaspę. Podniosłem głowę, wypłułem śnieg.

O matulu, ależ tu było zimno.

Przez dziurę ziejącą tam, gdzie niedawno była przednia szyba kokpitu, wpadało do środka lodowate powietrze. Całe wnętrze mostka do wtóru ledwie słyszalnych trzasków i szmerów powoli pokrywało się wykwitami szronu. Ciepło uciekało ze mnie przez głowę, kark, plecy, ramiona, ulatywało wraz z obłoczkami pary z ust.

Niedobrze. Było, kurwa, niedobrze. I to tak konkretnie, hardo, po bandzie niedobrze.

– Carteer...! – zawołałem.

Mój głos rozbrzmiał mocno niepewnie, załamał się pod koniec okrzyku i przeszedł w desperacki dyszkant.

Zdarłem z najbliższego trupa mocno poharataną, pokrytą krzepnącą i zamarzającą krwią tunikę, narzuciłem sobie na ramiona. Marne to było okrycie, ale lepsze niż żadne, a tutaj trzeba było pilnować każdej odrobiny ciepła.

– Caar-teer! – powtórzyłem okrzyk. – Carter, gdzie jesteś...? Carter...! Joo-nasz!

Potyając się, przewracając i grzęznąc w śniegu, pobrnąłem przez ruiny kabiny ku przeciwnielegiej burcie. Nie było łatwo. Podłoga była przechylona tak, że cały czas piąłem się pod górę. Śnieg sypał się i obsuwał nieprzerwanie, płyty lodu grubości łydki konkretnego grubasa zsuwały się i pękały. Wszędzie zalegały trupy, kawałki złomu i ostre niczym brzytwa fragmenty kryształu.

Wygląda to jak schronisko po zejściu lawiny, pomyślałem.

Nie, żebym kiedyś był w schronisku, a tym bardziej widział na własne oczy lawinę, ale tak to pewnie wyglądało.

– Carter! – wrzasnąłem jeszcze raz desperacko, a potem zacząłem kopać.

Gołymi rękami odgarniałem śnieg z miejsca, gdzie powinien być drugi fotel pilota. Przesuwałem na bok bryły lodu. Wyciągałem pogięte niczym pogryzione słomki do napojów kawały żelaza, złota i innych metali.

– Carter, odezwij się! Kurwa, Carter, odezwij się, bo...

Urwałem i zamarłem w pół ruchu, kiedy całą scenerię zaalał purpurowy blask.

Blżej miejsca, w którym było wejście na mostek, stał Jonasz. Wyglądał... No cóż, pewnie niewiele lepiej niż ja. Chociaż, jednak nie: wyglądał zdecydowanie gorzej. Ubranie wisiało na nim w strzępach. Twarz miał pokrytą krwią, lejącą się dosłownie

ciurkiem z rozbitego łuku brwiowego. Chyba wybiło mu bark, bo prawa ręka wisiała luźno wzdłuż ciała.

Za to w lewej trzymał ostrzem w dół swój gladius, który żarzył się teraz poświatą Purpury.

Nie, nie „płonął”, mimo że tak mi się w pierwszej chwili wydawało, a tylko się żarzył, ledwie dostrzegalnie ćmił. Jednak tutaj, w absolutnej ciemności Rewersu, nawet takie źródło światła biło po oczach, niczym latarka.

– Jonasz...! – sapnąłem. – Słuchaj, dobrze że jesteś! Pomóż mi, we dwóch mamy jeszcze szansę...

– Bracie Komorniku – powiedział Jonasz, a ja wyczułem w jego tonie zapowiedź czegoś bardzo, ale to bardzo niedobrego.

Powoli wyprostowałem się, odruchowo przesunąłem dłońią po prawym boku, gdzie powinien być mój miecz. Powinien, ale go nie było. Co ja z nim zrobiłem...? Musiał się urwać jeszcze tam, na moim zasypianym fotelu, i pewnie leżał teraz pod śniegiem.

Odruchowo zerknąłem w tamtą stronę. Jonasz zauważył zarówno wcześniejszy ruch, jak i spojrzenie. Połączył kropki. Uśmiechnął się paskudnie.

– To była... fascynująca podróż, bracie Komorniku – powiedział, powoli idąc ku mnie przez rumowisko. – Szkoda, doprawdy, że musi dobiec końca w takich właśnie okolicznościach przyrody.

– Jonasz, poczekaj. Nie wykonujemy gwałtownych ruchów, których potem możemy żałować...

Dłużnik zatrzymał się, rozłożył ręce gestem zdziwienia. Potoczył wzrokiem w lewo, w prawo.

– „Żałować”? Bracie Komorniku, jesteśmy w głębokim Rewersie! Na lodowej pustyni zamieszkaną przez demony i potworności, wyrzucone z krain Blasku! Żałuję chwili, kiedy cię zobaczyłem tam, w kościele! Żałuję, że nie zabiłem od razu... Żałuję, że nie zabiłem chwilę później! O nie, bracie Komorniku, ja już żałować nie będę!

W jego głosie nie było agresji, nie było złości. Raczej gorzki wyrzut. Desperacja człowieka, który już myślał, że dotarł do dna – i nagle otwierała się pod nim otchłań podwodnej jaskini.

Machnąłem rękoma, stawiając w powietrzu sypiącą skrami barierę energetyczną, po czym zacząłem powoli, nie spuszczać oczu z Jonasa, brnąć po własnych śladach z powrotem do mojego fotela.

– Nie chcę z tobą walczyć, Jonasz. Jesteś mi potrzebny, bo...

– A ty mnie nie, bracie Komorniku! – roześmiał się radośnie. – I tak się składa, że też nie chcę z tobą walczyć, a po prostu cię zabić! Zresztą, nie będzie to trudne, bo nawet teraz widzę, jak słabniesz!

Zmarszczyłem brwi, kiedy moja tarcza energetyczna zamigotała i przygasła na chwilę. Dziwne. Nigdy mi się nic takiego nie zdarzało.

– Jonasz, nie musimy...

– Och, zgoda: nic nie musimy. Natomiast ja chcę.

Puściłem nieco więcej mocy w moją zasłonę, ale ta i tak ledwie jarzyła się w mroku. Dziwne. Zupełnie jak gdyby energia gdzieś się przesączała. Jak gdyby tam, na zewnątrz okrętu...

– Jonasz, zgaś miecz – wycedziłem, zwijając tarczę.

Zaśmiał się znów i pokręcił głową.

– O, nie, nic z tych rzeczy! Nie dam się złapać na twoje sztuczki, Zek. Znam wasze wybiegi, fortele i oszukaństwa. Uwierzyłem ci raz i zobacz, gdzie jesteśmy!

– Jonasz. Zgaś. Miecz – powtórzyłem, nerwowo oglądając się ku pustym oknom kabiny, za którymi była tylko atramentowa ciemność.

On jednak tylko podsuwał się ku mnie coraz bliżej. A ja byłem już prawie przy moim fotelu.

– Jak tylko cię zabiję, bracie Komorniku. Zabiję cię i oderżnę głowę Pierwszemu. A wtedy zgaszę miecz, ubiorę się w wasze skóry, a następnie...

I w tym momencie gladius Jonasza zamigotał i zgasł, jak nagle przepalona żarówka.

– Ty idioto – szepnąłem.

Zaś ciemność, do tej pory czająca się na zewnątrz kabiny, wdarła się do środka.

Rzuciłem się do dziury, z której tak niedawno się wygrzebałem, unikając ciosu czarną, utkaną z dymu macką, która przecięła powietrze niczym bat.

Jonasz wrzasnął ze strachu, upadł na plecy i stoczył się z zaspą. W zasadzie uratowało mu to życie, kiedy spleciony z pasm mroku, ośmiornicopodobny stwór o palających zimnym ogniem oczach skoczył ku niemu, oplótł długimi odnóżami filar i zaskrzeczał tak, że aż trzasnęło mi w uszach.

Uderzyłem centralnie czołem o twarde jak cholera, obity kością słoniową podłokietnik, zaplątałem się w stulę bezpieczeństwa. Gorączkowo, po omacku zacząłem macać wokół, szukając miecza... Jest, jest! Pas nośny się zerwał, a całość zsunęła na oparcie fotela.

Wyszarpnąłem z pochwy broń, klinga od razu buchnęła Purpurą. Śnieg w mojej najbliższej okolicy zasyczał i stopniał w oczach, ulatniając się chmurą pary.

Wychylnąłem z ociekającej wodą jamy i rzuciłem się na pomoc Jonaszowi.

W samą porę, bo ośmiornica przyparła go już do ściany. Dwie macki złapały Dłużnika za ręce, zaś trzecia właśnie oplatała mu się wokół szyi, tętniąc i pulsując. Widziałem, jak przebiegają po niej wyładowania Purpury, odsysanej wprost ze splotu słonecznego ofiary i wciąganego w sam środek kręcącego się w miejscu głowy monstrum wiru.

Niewiele myśląc – a uwierzcie mi, byłem w tym dobry – zamachnąłem się mieczem szeroko, znad głowy.

– Śmierć fałszywemu Imperatorowi!!! – wydarłem się dziko i zupełnie bez sensu, tnąc potwora od tyłu przez... no cóż, cokolwiek to było.

Ciemność wrzasnęła i eksplodowała, rozprężając się i rozlatując na wszystkie strony, niczym sprężyny i zębátky gearboxa, najnowszej japońskiej repliki otwieranego w wysokiej, sierpniowej trawie podczas wieczornej strzelanki.

Nie jestem pewien, co było dalej.

Wiem tylko, że coś lepkiego, miękkiego i oślizgłego przesunęło się po mnie, pospiesznie uciekając z mostka dowodzenia z bolesnym skrzekiem, który następnie ścichł i przepadł, oddalając się w otaczającej nas ciemności.

Wygrzebałem się ze śniegu, podniosłem. Mój gladius dymił i strzelał, niczym zalany smołą knot świecy, ale płomienie powoli czyścił się i wyrównywał.

Zauważyłem też znów nabiegający poświatą miecz Jonasza.

– Zgaś... – zacharczałem, wyłączając moją klingę. – Zgaś to, idioto, zanim sięgniesz nam na głowy coś jeszcze...

Purpurowa kreska klingi w ciemności straciła blask, rozpuściła się w mroku. Widziałem już tylko poruszający się zarys sylwetki, gdy Jonasz też podniósł się na nogi, zataczając wgramolił na zaspę i potykając ruszył w moją stronę.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczyłem w jego oczach strach. Taki prawdziwy, nieudawany.

– Co to było? – zachrypiął łamiącym się głosem.

Odruchowo obejrzałem się w kierunku zionącej zimnem dziury po przedniej szybie.

– Inkasent... Kurwa, jebany Inkasent. Musiała ściągnąć go tutaj Purpura, wysączająca się ze zbiorników.

Odsunął się o krok.

– Kpisz sobie ze mnie, bracie Komorniku. Inkasenci zostali skasowani jeszcze u zarania Drugiej Redakcji!

– ...Nie do końca. – Skrzywiłem się, czując, jak chłód liże mnie po mokrych plecach i wgrzyza się boleśnie w mięśnie. – Okazało się, że jak ich w ogóle wyrzucić, to potem wybijało niespecyficzne błędy na trajektoriach obrotu ciał niebieskich. Był też szereg innych zakłóceń, ale w sumie okazało się, że system jest bardziej spójny, jak ich zostawić. No i przydawali się na wczesnych etapach Stworzenia do odsysania resztek. To było od sześciu do ośmiu procent odzysku Purpury na niektórych płaszczyznach astralnych, szczególnie gdy...

Urwałem, widząc, że Jonasz patrzy na mnie zbaraniałym wzrokiem. Odchrząknąłem.

– No dobra, mniejsza o większość. Ahem. Nie zapalaj miecza, co? Tylko patrzeć, jak zleżą się tutaj...

Słowa uwięzły mi w gardle, gdy w lodowatej ciemności na zewnątrz rozległ się przesywający skrzek. Najpierw odległy, ale po chwili odpowiedział mu drugi, nieco bliższy... A potem dało się słyszeć wrzask człowieka.

Ktoś wrzeszczał i chyba biegł, bo krzyk był nierówny, modulowany. Było słychać rytm kroków, raz przepadał i cichł, potem znów się pojawiał.

A potem po prostu się urwał. I już nie wrócił.

I znów te skrzeki, nawołujące się w mroku.

– O dziwo, przyznam ci rację, bracie Komorniku: pora się stąd wynosić! – oznajmił Jonasz, schował miecz do pochwy i ruszył w kierunku wyjścia z kabiny.

Złapałem go za ramię, przytrzymałem.

– Pomóż mi odkopać Cartera... To jest, Danaiele – na poły zażądałem, na poły poprosiłem.

– Puść mnie, Zek.

– Nie puszczę. Pomóż mi go odkopać.

Jonasz wyszarpnął mi ramię, ale nie odszedł. Odsunął się tylko, rozejrzał. Wyciągnął spod śniegu i otrzepał wełniany płaszcz, zarzucił sobie na ramiona.

Tron oddawał resztkę ciepła, temperatura spadała w zastraszającym tempie.

– Po chuj? – Dłużnik rozłożył ręce i rozejrzał się. Wypatrzył jeszcze coś pod zwałami lodu, zaczął wyciągać spod niego strzęp ni to tuniki, ni to jakiegoś obrusu mszalnego. – Niech zdechnie, jeśli jeszcze żyje. Zostawmy go tutaj, niech zamarnie wpiżdu... A my spróbujemy się stąd wydostać, bracie Komorniku!

Potrząsnąłem tylko głową.

– Nie.

– Co „nie”?

– Nie, nie idziemy bez niego. Ja bez niego nie idę.

Jonasz prychnął, zaśmiał się bez przekonania.

– Zatem idę sam. Miłej śmierci, bracie Komorniku!

Patrzyłem, jak wychodzi z kabiny. Widziałem go jeszcze chwilę, jak schodził po przekrzywionym kadłubie. Jeszcze jakiś czas słyszałem jak jego kroki chrzęszczą po lodzie i śniegu, a potem połknęła go cisza i ciemność.

Westchnąłem ciężko, wróciłem do odkopywania fotela drugiego pilota.

Kopałem, odgarniałem śnieg, przesuwalem bryły lodu. Ziąb był nieznośny, bluza na plecach skrzypiała i trzeszczała, pokrywając się wciąż pękającą warstwą lodu. Czulem, że długo tak nie pociągnę. Ręce już bolały i piekły, palce u nóg zaczynały kęsać

mróz. Każdy oddech odzywał się charakterystycznym, ciągnącym bólem zamarzających włosów w nosie.

– Kurwa, gdzie jest zachód?! Którędy w Blask?!

Nawet nie podniosłem na Jonasza wzroku. Nawet na chwilę nie przestałem pracować. Nie zaszczyciłem go nawet spojrzeniem.

Kawałek po kawałku, mozolnie dokopałem się do konsoli dowodzenia. No dobra, czyli fotel powinien być w tę stronę...

Na zewnątrz znów rozległ się skrzek, a zaraz po nim wysoki, przenikliwy skowyt. Znów wrzaski... Wydawało mi się, że doleciał do mnie szczęk broni.

No tak, na pokładzie było przecież jeszcze sporo Nawróconych. Pewnie część przeżyła, ewakuowała się... I teraz próbowała jak najpóźniej zginąć.

– Ty chuju złamany – warknął stojący obok Jonasz, po czym przysunął się bliżej i razem ze mną zaczął odgrzebywać i odsuwać skawalony śnieg.

We dwóch szło nam zdecydowanie sprawniej i szybciej. Tylko dwa razy przerwaliśmy pracę – raz, kiedy coś ciężkiego wylądowało na dachu naszej kabiny, zrobiło kilka kroków, od których aż wgięła się blacha, po czym zeskoczyło i oddaliło się ciężkimi, wielkimi susami.

I drugi raz, kiedy dokopaliśmy się do Cartera.

– Zdechł – zawyrokował Jonasz z miną fachowca, zaglądając w zeszytniałą, siną twarz. – I bardzo, kurwa, dobrze. Teraz możemy...

Ja jednak zacisnąłem tylko usta, nie przestając odkopywać ciała.

– Gdyby umarł, to uległby de-korporeacji... Rozpadłby się – wyjaśniłem, widząc jego spojrzenie. – A tak to tylko doszedł do momentu terminalnego, ale system go nie załapał do transferu na miejsce Re-Kreacji, bo tutaj już nie ma zasięgu. A więc...

– Hhaaaha...! – Carter właśnie w tym momencie otworzył usta i wrzasnął.

Aż odskoczyłem w tył i przewróciłem się z wrażenia. Jonasz kwiknął i wyszarpnął gladius, wzniosł go do cięcia.

Ale niepotrzebnie, bo Carter przewrócił głową, oczy uciekły mu pod czaszkę i znów znieruchomiał, tak samo martwy, jak przed chwilą.

– Skurwysyn...! – sapnął Jonasz, nadal nie opuszczając miecza. – Jebany... Ej, skoro on żyje, to...

– Nie! – krzyknąłem i rzuciłem się do przodu, chcąc go powstrzymać.

Nie zdążyłem. Dłużnik chlasnął martwego Cartera po głowie, odrabując mu kawałek ucha i policzka. Pocięło trochę zgęstniałej, ścinającej się lodem krwi, głowa odskoczyła na bok.

Natomiast chwilę potem wleciałem w Jonasza, pierdolnąłem go w zęby głowicą mojego gladiusa. Kwiknął, zamachał rękami i tracąc równowagę zleciał fikołkiem z zaspą.

– Och, ty zdrajco... – zawarczał, dotykając rozbitego ryja. – To on nas obu męczył, dręczył i torturował, a ty... Ty po jego stronie...

– Jonasz, dość! Nie rusz go, bo jak mi ja sam miły na niebie, zapierdołę też ciebie...! I będę was obu ciągnął w Blask!

Podszedł do mnie bliżej, schował po drodze miecz. Spojrzał na do połowy odkopanego Cartera, wiszącego w fotelu.

– On przecież nie żyje. Niech tu zostanie. Tylko patrzeć, jak wyczerpie mu się zapas Purpury i przestanie się regenerować. Nie chcesz, żebym go męczył? Spoko, szkoda. Nie popieram, ale powiedzmy, że rozumiem. Natomiast dobij go w takim razie.

– Nie. Odkopujemy go. Nie zostawię go, bo...

Carter znów drgnął, podniósł zmasakrowaną głowę i spojrzał na mnie. Krew pocięła świeżą strugą, gdy organizm zassał resztkę życiodajnej energii z rezerwy.

– Zek... – zacharczał. – Zostaw... mnie...

Gdy poruszył się, wraz z nim drgnął kawałek śniegu. Odgarnąłem go i trafiłem dłonią na coś twardego.

– Mówiłem, że już po nim. – Jonasz założył ręce na piersi gestem obojętności.

W piersi Cartera tkwił długi, poskręcany kawał spizu, przyszpilający go do fotela niczym motyla w gablotce.

Nie było to coś, co mogłoby zabić Komornika. Natomiast nawet w normalnych warunkach, w pełnym zasięgu Blasku, pewnie wystarczyłoby, żeby zapętlili regenerację organizmu w cyklu ciągłych restartów i śmierci. Paskudna rzecz.

Zaś tutaj, w Rewersie, to nawet nie był wyrok śmierci, a raczej potępienia.

– Kurwa... – zakląłem, po czym zacząłem go odkopywać dalej.

– Zostaw... – powtórzył Carter, krzywiąc się. – Nie dasz rady... Nie mam energii. Oszczędzaj Purpurę.

– Carter, do chuja wała! Nie zostawię cię tak, nie ma mowy!

– Zek... powiedz mi jedno...

Na chwilę przerwałem pracę, spojrzałem na jego zakrwawioną, bladą twarz. Widziałem, że lada chwila znów odpłynie w niebyt i być może się już nie obudzi.

– Cokolwiek chcesz, Carter.

Odchylił głowę, uśmiechnął się. Widziałem, jak skacze mu żyła na szyi, gdy serce desperacko próbowało dostarczyć tak potrzebną organizmowi krew. Jego grdyka poruszała się, nabrał tchu.

– Cat i małemu się udało? – szepnął.

Zamrugąłem, czując, jak żelazne kleszcze zaciskają mi się na gardle.

– ...Tak! Tak, udało im się! Wyszliśmy z miasta wszyscy, tamta ekipa przeżyła! Byli cali i zdrowi, bezpieczni, aż się z nimi poź...

– On cię nie słyszy, bracie Komorniku – powiedział Jonasz.

Twarz Cartera była kredowobiała, niczym wykuta z marmuru. Mokre loki spływały na czoło... Oczy miał przymknięte, na ustach zastygł mu ledwie widoczny uśmiech.

I mimo uderzającego podobieństwa, to nie był Danaiel Pierwszy.

Dla mnie to był Carter.

Otwarłem i zamknąłem usta.

– No cóż, niech mu śniegi lekkimi będą. Nie wiem, co was łączyło, i chyba nie chcę wiedzieć – prychnął Dłużnik. – Ale teraz już mu nie pomożemy, bracie Komorniku. Więc jeśli mamy się stąd wydostać, to sugeruję zrobić to szybko, zanim coś jeszcze tu do nas przylezie... Ej, co ty robisz?

– Ratuję go – warknąłem przez zęby, mocując się z wbitym w pierś Cartera kawałem żelaza.

– Wygląda to raczej jak zakłócanie spokoju zmarłych. Nie sądzę, żeby mu to... O, na pewno mu to nie pomogło! – zaśmiał się Jonasz, kiedy udało mi się najpierw obruszać, a potem wyciągnąć z ciała postrzępiony, ostry niczym brzytwa i pełny zadziorów fragment poszycia.

Odrzuciłem go na bok, starając się jednocześnie nie wyciągnąć ze środka więcej tkanki organicznej, niż już i tak wyszarpnąłem. Upchnąłem poszarpane resztki płuc w klatce piersiowej, na łapu-capu pozbierałem i wsadziłem, przyklepałem ręką tyle kawałków Cartera, ile dałem radę.

Jonasz patrzył na to bez szczególnego przekonania. Musiało to wyglądać tak, jakby mi się w pieczeniu rozwalił makowiec, a ja teraz próbowałem wepchnąć nadzienie do środka i udawać, że w sumie to jest okej, bo przecież w brzuszku się wszystko wymieszają.

– Nie pomożesz mi, bracie Komorniku – powiedział niemalże współczująco. – On nie złapie tutaj zasięgu, więc nie ma jak wpiąć się w Purpurę. To nie ma szans się...

A ja położyłem Carterowi ręce na głowie, odetchnąłem głęboko i zrobiłem coś.

Nie wiem co. Nie mam pojęcia. Nie powiem, że otworzyłem zawory energetyczne, albo że zestroilem moje czakramy z jego wibracjami astralnymi – bo tego pierwszego nie da się zrobić bez gladiusa w rękę, a tego drugiego w ogóle.

Natomiast byłem na tyle zdesperowany, zmarznięty i rozżalony, że zwyczajnie chciałem, żeby coś się stało.

No i stało się coś.

A konkretnie – COŚ.

Spod moich dłoni zaczęło sączyć się najpierw ledwie dostrzegalne, potem coraz bardziej wyraziste, w końcu jaskrawo purpurowe światło. Poczuję, jak robi mi się ciepło, gorąco w ręce, które nagle jakby ktoś wsadził we wrzątek.

Na moich oczach śnieg w pobliżu zaczął dosłownie sublimować. Aż podskoczyłem, kiedy mój gladius zatrzeszczał i strzelił iskrami w pochwie – broń Jonasza, wcześniej ledwie wykazująca oznaki aktywności, pokryła się wyraźnie widocznym rysunkiem żyłek Purpury. Lampy i wskaźniki na ołtarzach sterowania zamigotały, coś zarzęziło głęboko w trzewiach okrętu; gwałtowny rozbłysk światła, głuchy huk i podświetlona od dołu ogniem chmura śniegu dały znać, że jeden z silników doznał samoczynnego odpalenia.

Zaś Carter szarpnął się całym ciałem, zacerpnął głęboko powietrza, wrzasnął i złapał mnie za ramię, a potem spadł z fotela. Chwyciłem go pod ramiona i podniosłem, całkowicie spanikowany, nawet nie myśląc o tym, co robię.

– No weź pomóż, co się tak gapisz?! – zabełkotałem do Jonasza, stojącego obok niczym słup soli.

We dwóch na poły ponieśliśmy, na poły powlekliśmy Cartera przez zasypany śniegiem, zasłany złomem i trupami, przekrzywiony kokpit Tronu.

Poświata zniknęła, światło zgasało, silnik umilkł. Zwał śniegu zsunął się z nagle nagrzaną płytę ołtarza, rozsypał na idealnie wygrzanej w zaspach, pustej sferze, w której centrum został pusty fotel pilota, pokryty parującą w zimnie, szybko zestalającą się w lód wodą.

We dwóch wywlekliśmy nieprzytomnego, ale o dziwo żywego i szybko odzyskującego ciepłość Cartera przez dziurę po przedniej szybie. Zjechaliśmy po nachylonym kadłubie i zapadliśmy się w głęboki po kolana, miękki i sycki śnieg.

Dopiero stąd, stojąc przy dziobie potrzaskanego Tronu, byłem w stanie ocenić prawdziwe rozmiary spowodowanej przez nasze zdecydowanie awaryjne niybładowanie katastrofy.

Znaczące szlak spotkania z ziemią kawałki poszycia, fragmenty pokładów i elementy konstrukcyjne ciągnęły się aż po horyzont płonącym szlakiem zniszczenia. Wyorana przez kadłub bruzda znaczyła krajobraz gigantycznym jarem wyraźnie odznaczającym się na tle wszechogarniającej bieli. Łuna palącej się dzikim, niekontrolowanym ogniem Purpury wyciekającej ze zbiorników podświetlała kłęby dymu, pomiędzy którymi wyraźnie widziałem snujące się przy wraku, wspinające na resztki pokładu i wyłaniające z pustki ciemne zarysy groteskowych kształtów.

– Wynośmy się stąd, i to czym prędzej, bracie Komorniku – zaszeptał gorączkowo Jonasz. – Bo coś mi się widzi, że zaraz zacnie się tu ucztą... I czuję, że możemy wystąpić na niej w niewłaściwym charakterze.

Nie zwlekając ani chwili dłużej, ruszyliśmy przez śnieżne pustkowia.

Zimno chwyciło zębiskami za odsłoniętą skórę, przylepiało mokre ubrania do ciała i wwiercało się lodowatym świdrem w nozdrza i uszy. Każdy krok, każdy ruch oznaczał

ból, bo w nieruchomym, pozbawionym wiatru powietrzu traciliśmy ciepłość wyłącznie wtedy, gdy się przemieszczaliśmy.

Pomny na moje poprzednie doświadczenia w Rewersie, od razu zacząłem kompletować adekwatną do okoliczności garderobę: porozrzucane wokół wraku Tronu porwane płaszcze po legionistach, nadpalone ornaty, na poły zagrzebane w śniegu koce... Częścią zakryłem wciąż nieprzytomnego, bladego jak sama śmierć Cartera.

Co tu dużo mówić, nasza sytuacja była nie do pozazdroszczenia.

Jak okiem sięgnąć, wokoło była tylko biel, odcięta idealnie prostą kreską horyzontu od smolistego nieba ponad naszymi głowami. Gołe kikuty martwych drzew sterczały z niej niczym wyciągające się ku górze ręce trupów. Drogi krzyżowe latarni przy zasypanych ulicach i drogach bieżyły znikąd donikąd idealnie prostymi, nikomu niepotrzebnymi rządkami. Bezużyteczna infrastruktura potężnych rusztowań słupów energetycznych wznosiła się, połączona drutami wysokiego napięcia niczym wycieczka przedszkolaków trzymających się wspólnej linki.

Wrak Tronu zostawał coraz dalej za nami, jarząc się luną ogarniającego kolejne pokłady pożaru Purpury. Na tle blasku płomieni widać było przemykające się tam cienie i sylwetki, niektóre z tej odległości małe, niczym ludzkie... I inne. Już wcale nie małe i bynajmniej ludzkie.

Widziałem, jak pomniejsze demony zbijają się w grupki, napadają na próbujących ewakuować się z wraku Nawróconych i potem walczą o ich trupy. W jednym miejscu chyba odpalił się samoczynnie Serafin, bo nagle wystrzeliło, zahuczało rozkręcające się, purpurowe tornado – ale wir stracił moc i zgasł, nie mogąc rozbujać swego niszczycielskiego potencjału.

Jakis Cherubin wyzwolił się z luku zrzutowego i zaczął siać na oślepie strumieniami plazmy, rycząc niczym śmiertelnie ranny holownik we mgle. Aż zatrzymaliśmy się z Jonaszem, żeby popatrzeć, jak rozbłyskające co chwila promienie rozpylają na atomy szeregi skowyczących, wyjących i bezskutecznie próbujących dotrzeć do Wysłannika potworów.

A potem coś wielkiego przesunęło się ponad nimi, chwyciło Cherubina szponiastą, utkaną z mroku łapą, uniosło i wycisnęło sobie do pyska, niczym dojrzałą pomarańczę. Zlizało ściekające z niego resztki Purpury, a potem cisnęło zmiętą wyduszkę pancerza między pomniejszy pomiot Rewersu, który od razu nakrył łakomy kasek całą falą ścierwojadów.

Jednak nie traciliśmy na to nazbyt dużo czasu, bo pożar przyciągał coraz więcej i więcej stworów, z którymi zdecydowanie woleliśmy się nie spotykać. Dlatego też parliśmy naprzód, trzymając pomiędzy sobą rannego, ale o dziwo wciąż żywego Cartera.

Zmienialiśmy się – raz prowadziłem ja, ciągnąc nieprzytomnego za ubranie, a Jonasz szedł tyłem, mamrocząc pod nosem przekleństwa i trzymając tamtego za nogi. Potem, kiedy zaczynałem słabnąć, on przejmował prowadzenie.

– Wygląda na to, że umarł – zawyrokował w pewnej chwili, zaglądając pod szmaty skrywające Cartera.

Spojrzałem na niego dziko:

– Umarł?

– Nie, ale na to wygląda...

Zacisnąłem pięści w beznadziejnej złości, on tylko zaśmiał się paskudnie.

Oczywiście, regularnie i namolnie proponował, żeby jednak Cartera dobić, albo zostawić, bo tylko spowalnia nas obu... Ale ja nie ustępowałem, znosząc to tylko dlatego, że tak było trzeba i nie reagując na jego podjebki.

Natomiast na którymś kolejnym mikro-postoju miarka się przebrała.

– Albo we trzech, albo tylko we dwóch, Jonasz – powiedziałem w końcu.

– No, o tym mówię, bracie Komorniku! – ożywił się wyraźnie. – To zbyt lekka śmierć dla tego gnoja, ale raz-dwa mu gardło poderżnę, póki się nie zbudził. I wtedy ja i ty...

– Ja i on, Jonasz. Albo nam pomagasz, albo zdychasz tutaj.

Puścił pasek, który założyliśmy Carterowi pod ramiona. Położył dłoń na rękojeści gladiusa, uśmiechnął się wrednie.

– Teraz już wiem, w którą stronę iść, bracie Komorniku. Nie trzeba mi było pokazywać kierunku.

Westchnąłem ciężko, też puściłem nogi Cartera, który plasnął smętnie w śnieg. Swoją drogą trzeba by go czymś konkretnym przykryć, bo gotów zamarznąć... Ale przynajmniej rana na piersi zaczynała się goić.

Nie wiem jak. Nie miałem pojęcia, co zrobiłem. Nie obchodziło mnie to teraz.

Teraz wkurwiał mnie Jonasz.

Powoli wyciągnąłem gladius z pochwy, odpałem klingę na minimum. O dziwo, zadziałała, podała w miarę równy płomień. Widziałem, że Jonasz jest tym pół na pół zaskoczony i zawiedziony: moja przewaga taktyczna była w tej chwili aż nadto widoczna.

– Mój błąd – zgodziłem się. – Chcesz, to wypierdalaj, Jonasz. Powiedz mi tylko, jak zabiłeś swojego Anioła i jesteśmy kwita.

Zmrużył oczy przebiegle.

– Anioła... Nie, bracie Komorniku. Mogę ci powiedzieć co wiem o tym, jak to zrobić, ale kiedy wyjdziemy z Rewersu we dwóch, ty i ja. Danaiel zostaje tutaj.

– Carter.

– Niech ci będzie, Carter. Tak czy inaczej zostaje tutaj i zamarza na kość, a my wychodzimy.

– Spierdalaj – powiedziałem do niego po prostu.

Stał tak przez chwilę, patrząc na mnie. Jakby szukał w mojej twarzy jakiegoś drgnięcia, znaku zwątpienia, cienia blefu... W końcu prychnął z pogardą, odwrócił się do mnie plecami i ruszył przed siebie.

Kurwa. Jebany, zaszary Dłużnik, dzika jego mać. Ja też miałem nadzieję, że on blefuje... A tutaj obie strony powiedziały „sprawdzam”.

Spojrzałem na nieprzytomnego Cartera, na oddalającego się Jonasa.

Rad nierad przykucnąłem obok leżącego, złapałem go jedną ręką za kostkę, drugą za nadgarstek... A nie, nichuja, tak się nie uda. To może odwrotnie? Potem położyłem się obok niego, spróbowałem przeturłać, żeby zarzucić go sobie na ramiona. Kurwa, na tym filmiku, co go kiedyś widziałem na jutubie, to takie proste się wydawało!

W końcu, zziąjany i zdyszany, dałem radę podnieść się z nim na barkach i chwijnym krokiem ruszyłem przez zasy.

Na pewno nie powinno się tak nosić kogoś z dziurą w piersi.

Z drugiej strony, ktoś z dziurą w piersi nie powinien żyć, więc w sumie dwa czasowniki modalne się zerowały.

Jako że obrażony na mnie Jonasz celowo albo przypadkiem odbił minimalnie w lewo od naszego poprzedniego kursu, to ja dałem do prawej. Dłuższy czas szliśmy tak powoli rozchodzącymi się ścieżkami, brnąc przez pustkowie... Widziałem, czułem, że bardzo stara się nie zerkać w moją stronę tak samo bardzo, jak ja próbowałem nie patrzeć w jego.

W końcu wszedł pomiędzy jakieś drzewa, ja zanurzyłem się w pozostałości wymarłej wsi i straciłem go z oczu.

Było mi zimno. Koszmarnie, strasznie zimno. Do tej pory grzały mnie adrenalina, strach i wkurw na Jonasza, jednak teraz czułem, jak mym ciałem zaczynają coraz częściej wstrząsać dreszcze.

Jednak... jednak nie było aż tak koszmarnie źle. Zdawało mi się, że zapamiętałem Rewers jako miejsce o wiele zimniejsze, wręcz zabójcze. Może była to kwestia tego, że jednak byliśmy tu relatywnie krótko, więc nie zdążyliśmy jeszcze zużyć zapasów energii?

Tak czy inaczej, trzeba było czym prędzej się przebrać w coś suchego i ciepłego, bo inaczej nawet dopalająca się w moich żyłach Purpura nie pomoże i tutaj zamarznię.

Nie mówiąc już o Carterze, który znów zaczynał przybierać kolor trupio błady.

Skręciłem do pierwszego z brzegu domku, wybiłem szybkę w drzwiach wejściowych i przekręciłem zamek, a potem dałem radę odgarnąć śnieg i uchylić drzwi na tyle, żeby najpierw przecisnąć się szczeliną, a potem wciągnąć za sobą nieprzytomnego Cartera, nie łamiąc mu przy tym żadnej kończyny.

W środku było zimno, i to w zasadzie tak samo, jak na zewnątrz. Ktokolwiek tu mieszkał, opuszczał domostwo w pośpiechu: otwarte szafy, wybebeszone szuflady, poniewierające się wszędzie torby i otwarte walizy... Rozsypana karma dla psa i niedojedzona paczka czipsów na blacie kuchennym.

Przełknąłem ślinę, przewyciężając odruch rzucenia się na jedzenie. Spokojnie, Zekuś, bez nerwów... Po kolei i stopniowo.

Przed wszystkim zacząłem od tego, że zdjąłem z siebie mokre, pozamarzane po wierzchu ciuchy i czym prędzej nałożyłem na siebie dwa grube swetry, puchową kurtkę i znalezione pośród poniewierających się na podłodze spodnie narciarskie. Dokonana w tak zwanym międzyczasie zmiana bielizny też była miła, a skarpetki musiałem odklejać od nóg.

Zeszły z kawałkami skóry. Niedobrze. No cóż, jak na rozbitka z Tronu, to i tak miałem raczej mniej niż więcej strat, więc nie wypadało narzekać.

Potem, pogryzając zupełnie już nie chrupkie, ale nadal obłędnie smaczne czipsy o smaku haniebnie niekoszternej wędzonej papryki, wziąłem się za przebieranie Cartera.

No, ten to się podmrażał fest. Niby zawinęliśmy go z Jonaszem w jakieś płaszcz i kawałki materiału, ale pod tym wszystkim ubrany był w te frymuśne ciuszki wyższego rangą oficera starożytnego Rzymu, które – umówmy się – nie były projektowane do bycia wleczonym po tundrze.

Po prostu rozciąłem na nim ubranie, założyłem mu trzy pary skarpet i dwie getrów termicznych, naciągnąłem trzy polary i dwie kurtki, kominiarkę i czapkę na wierzch... Wszystkie, dosłownie wszystkie wystające poza obrys ciała kawałki miał sino-fioletowe, usta blade, paznokcie prawie czarne.

Natomiast oddychał. Rana na piersi zablizniła się, organizm jakimś cudem podjął dzieło regeneracji.

– Cudem – powtórzyłem własną myśl na głos.

Gryząc po kawałku skamieniałą bułkę wyciągniętą z chlebaka, zacząłem metodycznie dewastować domek pod kątem odzyskania materiałów na ognisko. Trochę klepki podłogowej... połamana na kawałki półka, gazety... do tego odpowiednia ilość szczapek, wyciętych z deski do mięsa kuchennym nożem.

Ułożyłem to wszystko w kuchni, na miejscu odciążonej od ściany kuchenki gazowej, na płytkach, żeby nie spowodować niekontrolowanego pożaru. Tutaj jest okap, więc będzie miał dym którądy uciekać. No dobra, pora odpalić, bo ręce mi coraz mocniej grabiały.

Wyjąłem gladius, odpaliłem. Już, już miałem przytknąć go do przygotowanego ogniska...

...Popatrzyłem na płonąca równym ogniem klingę.

Zostawiłem bieda-ognisko w kuchni, przeciągnąłem Cartera do salonu. Jego ułożyłem na kanapie, sam walnąłem się w fotelu, wcześniej ustawivszy włączony gladius w wazonie na stoliku przed martwym ekranem telewizora.

– Chryzanteeemy złociste, w półlitróóówce po czystej, stoją na fortepianie, i nie podlewa ich kurwa nikt... – zanuciłem cokolwiek drżącym z zimna głosem, wystawiając ręce do zbawiennego ciepła. – Zdradziłaś kurwo mnie, rzucę się w morskie fale, ale nie zabiję się, bo pociąg jedzie... Zaraz, to coś nie tak było. Nanana nana na na, naaa na na nanana...

– Zabij mnie – rozległo się spod sterty koców.

– ...Carter!

Uradowałem się nieudawanie, zerwałem ze swojego miejsca i odchyliłem rąbek koca, spod którego spojrzwały na mnie przepełnione cierpieniem i bólem oczy, tkwiące w pokrytej strupami odmrożeń twarzy.

– Zabij mnie, Zek – powtórzył.

– Carter, nie pieprz głupot. Będzie dobrze. Wykurujesz się, wylizesz. Przeżyjesz. Spoko, zobacz, mamy światło i ciepło, więc...

– Nie przeżyję tego, Zek. Nie tego.

– Ale przecież się leczysz...

– Twój fałsz rani głębiej.

Zastanowiłem się chwilę.

– Carter, nie pierdol, okej? – powiedziałem, czując, że zaczynam się lekko złościć. – Jaki znów fałsz? To ty przeszedłeś na stronę wroga! I to ty mnie porwałeś, przypominam. A u Archanioła chciałeś zostać sam z siebie! Ja ci mówiłem, żebyś poszedł z nami, a to przecież ty...

– Fałszujesz, Zek. Koszmarnie.

– Co?

Uśmiechnął się słabo.

– Śpiewasz jak chuj, Zek. Nie rób tego więcej. Proszę.

Sapnąłem, opadłem z powrotem na fotel.

Przez dłuższą chwilę żaden z nas się nie odzywał – ja, bo nie miałem siły. On – bo pewnie też jej nie miał. Natomiast chyba dostał jakichś drgawek, więc znów do niego zajrzałem.

A nie, nie drgawek. Śmiał się bezgłośnie z własnego dowcipu, nawet łezka mu pociekła z kącika oka. Otarłem ją ostrożnie, żeby nie zerwać mu przy okazji płata skóry z twarzy, znów wróciłem na swój fotel i wbiłem wzrok w skaczące po ostrzu gladiusa ognie Purpury.

Nie miałem pojęcia, jak łapałem tutaj zasięg. I jak łapał go Carter, swoją drogą. Natomiast było to w tej chwili sprawą mocno wtórną, bo liczyło się to, że gladius działał i dawał tak bardzo potrzebne nam obydwu ciepło.

I światło. Światło, które na pewno było widać z odległości wielu, wielu mil.

– Kurwa... – mruknąłem sam do siebie, podnosząc się po raz kolejny i wyrывая z już ogarniającego mnie niezmiernie przyjemnego, błogiego otępienia.

Po dłuższej chwili wyszkowania, znalazłem w skrzynce narzędziowej pod zlewem młotek i gwoździe, przy pomocy których zasłoniłem okna kocami, pledami i resztkami ubrań. Na wszelki wypadek zaciągnąłem jeszcze grube kotary, żeby już na pewno blask Purpury nie wysączał się na dwór.

Potem zacząłem znosić do powoli nagrzewającego się pokoju telewizyjnego skromne zapasy: kilka butelek pełnych kolorowego lodu, który powinien w funkcji czasu i ciepła zamienić się w napoje; potwornie zimne puszki, w których gdzieś głęboko miałem nadzieję znaleźć konserwowy groszek, kukurydzę i fasolę; w końcu zmarznięte na kamień cukierki czekoladowe, wciąż leżące na paterze w kuchni.

Kiedy wróciłem z tymi ostatnimi, Carter chyba spał, oddychając miarowo pod warstwą koców i kołder. Zostawiłem zapasy jedzenia obok niego, cichaczem wycofałem się w głąb domu.

Wyszabrowawszy wszystko, co można było, stwierdziłem, że trzeba sprawdzić jeszcze komórkę i garaż po drugiej stronie podwórka. Ubrałem się we wszystko, co tylko na mnie weszło, stanąłem przed drzwiami, pod którymi utworzyło się niewielkie poletko z nawianego śniegu.

– No to na trzy... Trzy! – sapnąłem, po czym szarpnąłem klamkę i wypadłem na zewnątrz.

Zimno uderzyło mnie w twarz, owionęło i otuliło niczym śmiertelnym całunem. Pobrąłem przed siebie po kolana w zaspach, starając się nawet nie otwierać za bardzo oczu. Wystarczyło jeszcze tylko ominąć stojący na środku podwórka, zamieniony teraz w nieforemną zaspę samochód, i będę po drugiej stronie. Tam schowam się do garażu i...

Byłem już przy bocznym wejściu, kiedy dotarło do mnie, że wcześniej na tym podwórku nie było samochodu. Ani przysypanego śniegiem, ani żadnego innego.

Czymkolwiek więc była ta zaspą, po prostu się tutaj pojawiła.

Obróciłem się gwałtownie.

Była tam nadal. Zwalista, krępa, przysadzista. Lekko wyższa z jednej strony, trochę nieforemna, bo zdecydowanie przewężona u podstawy, a potem wznosząca się ostro ku górze, sięgając najwyższym punktem do wysokości moich oczu.

I jakaś taka... dziwna.

W sumie nie była zbudowana w całości ze śniegu, bo pod jego cienką, skawałoną warstewką widziałem jakby sploty sznurów, albo czegoś podobnego, zwieszające się długimi, ciężkimi pękami aż ku ziemi.

I ciągnące się po niej ku śladowi, który powstał tutaj, gdy to coś – czymkolwiek było! – przesunęło się na środek podwórka.

Pożałowałem, oj, pożałowałem, że gladius został tam, w pokoju. Widziałem sączący się przez okno kuchenne delikatny blask Purpury, oświetlający tę niby-zaspę od jej węższego końca.

Im dłużej na nią patrzyłem, tym bardziej byłem pewien, że nie była to zaspą.

W sumie to wyglądało tak, jakby ona przysunęła się tutaj właśnie do tego okna, pomyślałem. Jak najbardziej przerażający, koszmarowy stwór z książek dzieciństwa. Pieprzona, przerażająca do szpiku kości Buka, przyłażąca do światła lampy naftowej, stojącej na werandzie.

Zadrzałem.

A jeśli zasnąłem, przyśniła mi się Buka i to właśnie ona stała teraz przed kuchennym oknem w swoich powłóczyстых spódnicach?

Już miałem zrobić krok w tył i zacząć się wycofywać, kiedy zaspą–nie–zaspą drgnęła, poruszyła się i obróciła w moim kierunku długi, pokryty frędzlami włosia łeb:

– Zapewne żaden z panów nie jest dziewicą, prawda?

Kwiknąłem, potknąłem się i wywaliłem jak długi na plecy.

Zacząłem gramolić się, pełznąć tyłem, odpychać nogami i rękami, zaś ten stwór – bo był to stwór! – odwrócił się i ruszył wprost na mnie, krok za krokiem sunąc po śniegu.

Uderzyłem plecami o zamknięte drzwi garażowe, nie mając dokąd uciekać. Istota zasłoniła mi cały dom, górując nade mną... Łeb na długiej szyi przysunął się blisko mojej twarzy.

Spojrzałem w parę wielkich, smolistych, okolonych cudownie długimi rzęsami oczu.

– Pytałem – powtórzyło stworzenie – czy nie jest pan dziewicą.

Istota wyglądała jak koń. Koń, pokryty długim, zwieszającym się aż ku ziemi i ciągnącym za nim, posklejanym przez zestaloną wodę futrem.

– O chuj... Koń! – jęknąłem.

Stwór cofnął się o krok. Przynajmniej chyba był to krok, bo zwieszające się futro zasłaniało mu pęciny. Potrząsnął łbem i parsknął z niezadowolaniem.

– „Koń”. Owszem, jestem biologicznie zbieżny z grupą equus, ale to wyłącznie podobieństwo formy, a nie treści. Gdybyśmy jednak mieli zachować chociaż minimum precyzji, to...

– Jednorożec... – szepnąłem, nie mogąc oderwać wzroku od sterzcącego spomiędzy kłaków długiego, spiralnie zawiniętego rogu na czole istoty.

Stworzenie spojrzało na mnie z pewną przychylną wdzięcznością.

– ...Dziękuję. – Skłoniło łeb. – Owszem, tym właśnie jestem. Miło w tych krainach w końcu spotkać kogoś, kto posiada odpowiednie przygotowanie merytoryczne. A więc, tak jak pytałem: czy któryś z panów jest może dziewicą?

Opierając się plecami o ścianę powoli podniosłem się, otrzepałem ze śniegu. Zamknąłem oczy, potrząsnąłem głową... Kiedy je otworzyłem, istota nadal tam była. Co więcej, patrzyła na mnie natarczywie, ewidentnie oczekując odpowiedzi.

– Uhm, ja na pewno nie. Co do kolegi Cartera, to też wątpię...

– Pozwoli pan, że sprawdzę?

– Yyy...

Zanim zdążyłem zareagować, jednorożec podszedł ku mnie i delikatnie przytulił się do mnie bokiem łba w miejscu, które literacko nazwałbym „podołkiem”, a górnolotnie wręcz „łonem”. To jest, o ile mężczyzna mógł mieć łono.

...Mógł? Chyba tak. Skoro miał włosy, to może i...

...Ahem.

– Ahem... – odchrząknąłem, cokolwiek zażenowany.

Jednorożec westchnął ciężko, odsunął się i potrząsnął łbem, zrzucając z grzywy dobre pół kilo lodu.

– No cóż, niestety. Muszę zatem ruszać dalej... Niemniej dziękuję i życzę powodzenia.

– ...Nawzajem – odpowiedziałem jak ostatni debil, patrząc, jak stwór obraca się do mnie zadem i powoli, krok za krokiem, sunie i znika w ciemności.

Nie wiem, jak długo tak stałem, oparty o ścianę garażu. W końcu wzdrygnąłem się i zadrzałem z zimna... Chyba przeszła mi ochota na sprawdzanie, co może czekać na mnie w garażu.

Gdy wróciłem do domu, Carter już nie leżał, ale siedział, opatulony w kołdrę tak, że widać mu było tylko oczy. Siedział i patrzył w absolutnym stuporze na mój gladius, który nadal płonął w wazonie.

– ...Jak? – zachrypiął.

Nie odpowiedziałem, zamiast tego rozkrawając nożem plastikową butelkę. Rozbiłem jej zawartość na kawałki, poupychałem do szklanek, ustawiłem je bliżej płomienia.

– Chuj wie. – Wzruszyłem ramionami. – Pewnie jestem Bogiem, co nie?

Widziałem, że zachnął się wewnętrznie. Niczym bity latami pies, który potem, już u lepszego właściciela, w nowym życiu, widzi kogoś idącego ku niemu z paskiem w ręku i odruchowo pokazuje zęby.

– Nie bluźnij, Zek.

– Nie jestem w stanie, bo cokolwiek powiem, staje się aksjomatem – odgryzłem się. – I musiałbym zaprzeczyć sam sobie... Swoją drogą, czy jeśli mam niską samoocenę i sam w siebie nie wierzę, to jest bluźnierstwo? – zakończyłem niby-dowcipnym tekstem, mając gdzieś głęboko wewnątrz poczucie zniesmaczenia związane z faktem, że chyba już kiedyś go użyłem.

– Nieszczerólnie zabawne.

– No patrz, a średniowieczna scholastyka bawiła się świetnie, przez tysiąc lat waląc do takich rzeczy konia. Jak się czujesz? – zmieniłem temat.

Nie odpowiedział, natomiast sam fakt tego, że w ogóle można było z nim porozmawiać, był aż nadto wymowny.

Gladius furkotał cicho, przepalając Purpurę. Lód strzelał i trzaskał, powoli zamieniając się w ciecz. Pomieszczenie wypełniało się szmerami i stukami, w miarę jak kształtujące się pod sufitem prądy ciepłego powietrza zaczynały opływać salon.

Wstałem, żeby pozamykać drzwi i w ten sposób nieco przyspieszyć proces, kiedy Carter odezwał się głucho:

– Uratowałeś mnie.

Zamarłem na chwilę, potem dopchnąłem drzwi ramieniem i zamknąłem. Wróciłem na miejsce w fotelu, po drodze podnosząc z podłogi jego torbę.

– Aha – potwierdziłem, wyciągając i kładąc na stole jego dwa gladiusy, które po drodze przepakowałem sobie do plecaka.

Podobno w Japonii był kiedyś cały system sygnałów związanych z kładzeniem obok siebie broni, jak się przychodziło do kogoś w gości. Że niby jak samuraj położył ją po swojej lewej rękojeści ku drugiej osobie, to to oznaczało potencjalną agresję, bo wygodnie mu było sięgnąć i jej dobyć. Jak po prawej, to pogardę, że i tak da radę wyciągnąć miecz, bo ten drugi jest takim leszczem. Jak po lewej rękojeści do tyłu, to... cośtam. I jeszcze jedno cośtam.

Ja się na tym, jak widać, nie znałem, więc po prostu je oba położyłem i tyle.

Natomiast Carter zauważalnie się spiął, wbił w miecze spojrzenie szeroko rozwartych oczu. Widziałem, jak przez jego poranioną twarz przebiegają fale emocji, od niedowierzania aż do zaczątków gniewu. Obliznął nerwowo spękane wargi.

I bardzo, ale to bardzo w tamtej chwili znów zaczął mi przypominać DanaIELa. Jakby się wyprostował, trzymając głowę nieco wyżej. Jego rysy zmieniły się, przybierając układ o wiele bardziej podobny do twarzy z popiersia jakiegoś antycznego posągu wykutego z zimnego marmuru.

Ale to była tylko chwila, bo zaraz potem odkaszlnął ciężko, opadł w tył i oparł się plecami o kanapę.

Siedziałem tak, patrząc na zmianę to na niego, to na płonący w wazonie miecz.

Aż w końcu, nawet nie wiem kiedy, usnąłem.



Obudziło mnie ciepło.

Takie porządne, solidne, bijące w twarz ciepło, od którego zaczyna lekko piec skóra na policzkach, a pod czapką zbiera się cienka warstewka parnego potu. Jak wtedy, kiedy zimą wejdziesz się do sklepu i zamiast ciepło i miło, to robi się człowiekowi duszno i nieprzyjemnie.

Z niemałym trudem rozkleiłem powieki, ale od razu zamknąłem je z powrotem, bo blask uderzył mnie boleśnie w oczy. Przysłoniwszy oczy dłonią, podjąłem drugie podejście pod próbę zorientowania się w sytuacji.

Na kanapie siedział Carter, trzymając w ręku jeden ze swoich mieczy, który płonął czystą Purpurą.

Spojrzał na mnie bez wyrazu. Podniósł w ręku drugi miecz i też odpalił klingę.

Blask i bijący od mieczy żar wzmógł się jeszcze bardziej.

– Zastanawiające, Zek, nie sądzisz? – odezwał się głosem Danaiele Pierwszego.

Nie mam pojęcia, co takiego miał na myśli. Spróbowałem przełknąć ślinę, ale suchy jak pieprz język przywarł do podniebienia i nawet nie chciał się poruszyć, aby domknąć pozbawione chociażby krztyny wilgoci gardło.

– Hhh... – zdołałem tylko zasyczeć.

– Jesteśmy tutaj, tak głęboko w Rewersie... A mimo to wszystko działa, jakbyśmy byli tam, w Blasku. Zobacz sam. – Głowicą miecza rozchylił polarową bluzę, pod którą widać było na skórze już tylko różowawy ślad zabliznienia po niedawnej śmiertelnej ranie. – Wszystko dokładnie tak, jak powinno być, prawda?

W końcu udało mi się wycisnąć ze ślinianek kilka kropli czegoś mokrego, więc dałem radę przełknąć i obruszać język, który zaszorował po wnętrzu jamy ustnej.

– Carter, co robisz? – zapytałem bardzo ostrożnie, grając na czas.

– A wiesz, myślę sobie, Zek. Myślę o tych wszystkich latach, kiedy cię nie było... Kiedy zostawiliście mnie tam, w Wiecznym Mieście. O tym wszystkim, co było potem.

Blask płomieni tańczył po pomieszczeniu, pokrywał twarz Danaiele całą mozaiką jaśniejszych i ciemniejszych plam, igrał w zimnych, zupełnie pustych i pozbawionych wyrazu oczach. Widziałem, jak porusza palcami na chwycie jednego z mieczy, niemalże pieścizotliwie gładzi kciukiem rudymmentarny jelec. Miejsce, gdzie opuszek jego palca przesuwał się po drewnie, było wyszlizgane na wysoki połysk, wyraźnie jaśniejsze od reszty.

– Carter, my cię nie...

Pokręcił powoli głową. Widziałem, jak stopniowo, bardzo powoli, idealnie wymierzonym wysiłkiem woli, stopniowo wygasza płomień na jednym mieczu, a potem gasi go tak delikatnie, że bez mała niezauważalnie.

Kurwa. Nigdy się nie tego nie nauczyłem jak należy. A on zawsze mnie o to jebał.

„On”.

Danaiel, zwany Pierwszym.

– Nie mów do mnie tak, Zek. To imię już nic nie znaczy, nie posiada żadnej wartości. Carter żył, walczył, a potem zginął. Zamiast niego żyje Danaiel. Zresztą, ty też zapewne przyjąłeś nowe imię, prawda?

– Nie – odpowiedziałem po chwili wahania.

Zmrużył oczy, spojrzał na mnie z dezaprobatą.

– Zek, Zekuś... Nie wolno tak przecież robić. To rytuał, uświęcona przez krew tradycja Korpusu. Nieodłączny, nieodzowny wręcz element naszej interakcji z systemem Hierarchii. Czy ty masz pojęcie, ile potem kłopotów potrafi z czegoś takiego wynikać? Was, nowobranców, powinno się jednak krótko trzymać przy mordzie. Surowo traktować, nie sądzisz? Jak tresowane psy.

Coś załkało we mnie boleśnie i aż się skuliłem w fotelu, kiedy zamiast chociażby kulturalnie zapukać, albo uprzedzająco zadzwonić, syndrom pourazowy wszedł na

pełnej kurwie, wywalając drzwi wejściowe z kopa i zdejmując spodnie już w przedpokoju, żeby nasrać na dywan w sali balowej pałacu mojego umysłu.

Carter... nie, nie „Carter”. Danaiel Pierwszy uśmiechnął się do mnie ciepło, niemalże empatycznie. Wychylił się ku mnie, wyciągając dłoń gestem takim, jakby chciał pogłodzić mnie delikatnie po policzku.

Szarpnąłem się w tył, wtuliłem w oparcie fotela i chyba zaskamlałem, bo on zamarł w pół ruchu. Cofnął rękę.

– Zekuś... No co jest, Zek? Nie boisz się mnie chyba, co? Przecież nie przeraża cię odrobina szorstkiej, męskiej przyjaźni! – zaśmiał się beztrzesko.

Nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa. Nie mogłem się poruszyć. Jakimś cudem dawałem radę oddychać, a moje serce nie przestało bić chyba tylko dlatego, że Danaiel mu tego nie zabronił. Po plecach ściekał mi ciurkiem zimny pot, nogi i ręce miałem niczym doczeplone z drewna.

„Zek, ocknij się!” – krzyczało coś we mnie. „Ten człowiek nic ci nie zrobił! To przecież Carter, twój druh, towarzysz broni... On nigdy by cię nie skrzywdził!”.

Natomiast ja widziałem przed sobą wyłącznie Pierwszego.

Napawał się tą chwilą. Nie wiem, skąd wiedział, może wiedział to w moich oczach... Może po prostu nauczył się po tylu latach, po tylu młodych rekrutach, po tylu złamanych charakterach i żywotach rozpoznawać strach. I teraz żywił się nim, delektował. Upajał, niczym narkoman powoli wciąganą kreską.

– Zawsze miałem cię za tego odważnego, Zek. Ruszyć przez pół świata w nieznaną, rzucić wyzwanie Aniołom... Rozniecić rebelię! Wleźć do samego nieumarłego gardła Scypiona Afrykańskiego! Wskrziesić legion Świętych! – Danaiel rozrzucił szeroko ręce. – Dać wszystkim wokoło nadzieję, że z Górą da się walczyć! Nakarmić ich marzeniami, napoić z czary gniewu! Zabełtać w głowach...!

Jego słowa rozbrzmiały w pustym domu, zadźwięczały w kryształach stojących na półkach oszronionej meblścianki, odbiły się echem w wyziębionym korytarzu i ucichły, zapadły się w martwą ciszę pokrytej białym całunem krainy.

Spojrzał na mnie ponownie. W tej jednej chwili z jego twarzy opadła maska alabastrowego posągu bohatera, a ja zobaczyłem, jak bardzo jest zmęczony. Ile bólu, cierpienia i smutku jest w jego ciemnych, podkrążonych ciężkimi worami oczach.

– ...A potem zniknąć – szepnął.

Poczułem, że moje ciało znów należy do mnie. Zwilżyłem językiem suche, spękaną wargi, poruszyłem się w fotelu.

– Carter, ja... Ja nie zniknąłem. Ja byłem cały czas, tylko... Tylko nie wiem, co się stało.

Spuścił głowę, wbił wzrok w podłogę.

– A jednak zniknąłeś, Zek. Dla mnie, dla naszych, dla Rebelii... Dla wszystkich. „Fałszywy Prorok”, jak słusznie o tobie mówią i jedni, i drudzy. A ja... Ja czekałem, wiesz?

– Carter...

– Nie mów do mnie tak! – warknął, a ja poczułem, jak mój żołądek znów zamienia się w sopel. Wzdrygnął się, po czym powtórzył już łagodniej: – Nie mów tak do mnie, Zek. Pogrzebałem Cartera, zostawiłem go tam, pośród dymiących ruin Wiecznego Miasta. Wśród leżących na słońcu ciał mężczyzn, kobiet, dzieci i starców. W długich rzędach krzyży, stojących po obu stronach Via Flaminia, kiedy Archanioł wyprowadzał z miasta Korpus po zakończonej pacyfikacji... Wiesz, co stało się z Wiecznym Miastem, prawda?

Wiedziałem. Wiedziałem, bo uczyli nas o losie Italii pod rządami Michała jeszcze na kursie kadetów, na tych idiotycznych zajęciach o nazwie... jak to leciało? „Epigeneza

nowożytna”, czy coś takiego. Opowiadali o rzezi Sycylii, o kampanii Apulijskiej i potem o marszu na północ, stopniowo sunącym w kierunku Kantu, gdzie Blask stykał się z Rawssem.

Zaś półgębkiem, pomiędzy wierszami, po zajęciach wspominali też o rzezi Rzymu.

Kiwnąłem głową, chociaż było w tym chyba więcej mojej chęci i zamiaru niż faktycznego ruchu. On jednak albo to poczuł, albo wcale nie czekał na odpowiedź.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie, niczym człowiek opowiadający nad ranem o bardzo, bardzo długiej i ciężkiej nocy na mieście, którą na swoje nieszczęście pamiętał w najdrobniejszych szczegółach.

– A wiesz, że to my zrobiliśmy? Że to ja zrobiłem, ja... Ja – powtórzył, niczym zacinający się pijak. – Ale to dopiero potem. Po tym, jak... Zek, oni błagali, wiesz? Każda i każdy z nich. Zamiast przyjąć godnie to, co miało nastąpić, co musiało się stać... Oni próbowali ze mną rozmawiać. A ja ich liczyłem... Sto czterdzieści i cztery, rozumiesz to? Dokładnie tylu ich było, tylu wstało, kiedy ty... kiedy my wtedy...

– O chuj... – sapnąłem, bo w tej chwili dotarło do mnie, o czym on mówił.

Pokiwał smutno głową, odchylił się znów na kanapie. Widziałem, jak jego palce bezwiednie błądzą po klindze gladiusa, śledząc rysunek warstw *pneumy* splecionej ze stalą.

– To było moje pierwsze zadanie, Zek. „Test”, jak to wyraził się Michał, sprawdzenie nowych funkcjonalności... I musiało mi się udać, bo wiedziałem, że mają kolejnych na moje miejsce. I... i mieli wcześniejszych, Zek. Oni z tym eksperymentowali już wcześniej, wiesz? Natomiast dopiero to, co powiedziałeś mi ty... Dopiero to zadziałało. Bo potrzebny był znak i nazwa, do których można było podpiąć ideę.

Patrzyłem na niego bez słowa. Zresztą, tu nie było nic do powiedzenia.

Westchnął ciężko.

– Tamci... Ci, którzy wstali z grobów po tym, kiedy zrobiliśmy w Watykanie... to, co zrobiliśmy. Oni nawet nie byli źli, Zek. Byli... dziwni, owszem, bez wątplenia. Natomiast w większości chcieli dobrze. Łazili po mieście, leczyli ludzi, dawali dobre rady. Zamieniali kamienie w chleb, pomagali dzieciom znajdować zgubione zabawki. A ja... Ja po prostu ich zabijałem. Jednego po drugim, jedną po drugiej. I liczyłem... bo nie byłem w stanie zapamiętać imion. Nawet nie chciałem, rozumiesz?

Kiwnąłem tylko.

Carter na chwilę odchylił głowę w tył i odetchnął parę razy głęboko, jakby zbierając się z siłami. Potem otarł coś z kącika oka wierzchem dłoni.

– On miał pomysł, Zek, wiesz? Wizję tego, co zrobić dalej.

– „On”...? – udało mi się zapytać.

– Kefas, zwany też Szymonem... Piotr.

– W sensie... że niby Święty Piotr? – wołałem się upewnić, i tak znając już odpowiedź. Carter pokiwał smętnie głową.

– Ten sam, Zek. „Jam jest skałą, na której na nowo odbudowany zostanie Kościół”, powiedział mi, kiedy w końcu go dopadłem... I wiem, że dałby radę to zrobić, wiesz? On i cała reszta tej czeredy, która w pewnej chwili uznała go za przywódcę. Mieli po swojej stronie sporą część ludzi z Miasta, byli dogadani ze Scypionem. To naprawdę mogło się udać.

– Ale się nie udało – szepnąłem.

– Nie udało się, Zek. – Słowa Danaela były niczym echo odbijające się w pustej komorze grobu. – Nie udało się, ponieważ wbiłem mu miecz prosto w brzuch i wypuściłem trzewia parującą, gotującą się kaskadą na posadzkę Bazyliki... A potem odrąbałem mu głowę, którą Archanioł zatknął przed swoim tronem, kiedy ruszaliśmy,

ja i pierwsza dekuria Korpusu, niosąc ogień i miecz nieumarłym Scypiona. Zaś kiedy skończyliśmy z nimi, Michał powiedział... Michał kazał nam...

Jego głos zadrżał, załamał się.

– Carter, nie musisz. Ja wiem.

– Ale ja chcę, Zek. Chcę, kiedy tutaj, wśród lodowego pustkowiec, poza wszechobecnością oczu, uszu i rąk Góry... Kiedy w końcu mogę! – ryknął donośnie, aż jego gladius strzelił wyższym płomieniem. – Wiesz, co on powiedział? Co ten chuj złamany, ten pies parchaty, ten kutasina Archanioł Michał wtedy powiedział?

– Domyślam się. Ale powiedz mi.

– „Nie przestawajcie” – powiedział Carter ledwo dosłyszalnie. – „Nie przestawajcie tak długo, aż zapanuje tutaj spokój”. Zaś my po prostu ruszyliśmy w ulice... i... I nie przestawaliśmy, Zek. Nie przestawaliśmy...

Sam nie mogąc do końca uwierzyć w to, co robię, podniosłem się z fotela i przysiadłem obok Cartera. W pierwszym odruchu chciałem go, nie wiem – przytulić? Wziąć za rękę? Kurwa, nigdy nie byłem dobry w pocieszaniu, a szczególnie osobników płci tej samej.

Rozejrzałem się desperacko po pomieszczeniu i wtedy to zauważyłem.

– Carter... Ja jebię, Carter. Wiesz, co pomaga na smutki i chujowe rozmowy? – zagadnąłem.

Wstałem z kanapy, wziąłem z parapetu dwie butelki z grubego, zielonego szkła, z których już dawno rozszerzający się w nich lód zerwał korki. Teraz w każdej unosiła się spora bryła zmarzliny, ale mimo to było w nich też już niemało płynu.

– Zek, to nie jest moment na...

– Carter, nie pierdol. Zawsze jest moment, żeby walnąć piwko na kanapie przed telewizorem!

Wręczyłem mu jedną butelkę, sam fachowo ująłem drugą za szyjkę. Stuknęliśmy się, szkło brzęknęło dźwięcznie.

– Kurwa, zimne... i odgazowane – zacharczał Carter, kiedy upiliśmy po łyku.

– Fakt, chujowe – zgodziłem się. – Ale i tak najlepsze od końca świata. Mają tego w kuchni jeszcze całą skrzynkę. Czekaj, przeniosę, żeby się ugrzało, a w międzyczasie...

Ale nie zdążyłem dokończyć myśli, bo w tym momencie gdzieś na zewnątrz rozległ się dziki wrzask przerażenia, a zaraz po nim równie dziki ryk pierwotnej agresji.

Po nich było jeszcze kilka zbliżających się, skrzypiących na śniegu, pospiesznych kroków – które kontrapunktowało ciężkie dudnienie o ziemię wielkich łap.

Tak jakby ktoś, ile pary w nogach, spierdał przez zamarznięte pustkowiec przed goniącym go czymś naprawdę ogromnym i groźnym.

Potem brzęknęło tłuczone szkło, w twarze uderzyły nas odłamki i powiew lodowego wichru.

Zaś do naszego salonu wpadł przez okno pokryty śniegiem, lodem i krwią Jonasz.

– Uciekajcie! – wrzasnął.



Rozdział III



Uciekajcie! – wrzasnął Jonasz, przeturlał się po podłodze, poderwał i rzucił ku drzwiom do kuchni.

Zaś zaraz za nim przez okno wpadła z całym impetem skowycząca, zawodząca i rycząca ciemność.

Zasłoniłem twarz ręką i chyba tylko to uratowało mi wzrok, kiedy w moje przedramię wpiła się naraz setka kłów, pazurów i szczypiec, chcących rozerwać na strzępy moje ciało, wypić krew i rozszarpać to, co zostanie na końcu. Krzyknąłem bardziej z bólu niż przerażenia i odruchowo cisnąłem przed siebie wiązką uderzeniową z drugiej ręki.

Coś zawył dziko, przeraźliwie i szarpnęło się w bok, pociągnęło moją rękę za sobą. Straciłem równowagę i byłbym upadł – ale w tym samym momencie wczepione w moje przedramię macki strzeliły purpurowym płomieniem i rzuciły się konwulsyjnie, opadając na ziemię w strzępach sadzy.

– Bramy piekielne nas nie przemogą! – wydarł się Carter, tnąc drugim mieczem na skos przelewające się, wijące cielsko, próbujące wcisnąć się do pomieszczenia przez zdecydowanie zbyt małe okno. – Poznacie, czym jest mój gniew... Zek, drzwi balkonowe!

– Widzęę! – odkrzyknąłem, chwytając mój gladius, wciąż płonący w wazonie.

Rzuciłem się w tamtą stronę, lecz najpierw brzęk szkła, a potem trzask pękającego drewna obwieściły mi, że się spóźniłem. Coś wdarło się do środka i właśnie szamotało w żaluzjach, powieszonych przeze mnie kocach i zasłonach, usiłując wyrwać się z wąskiej przestrzeni przy oknie.

Nie zastanawiając się nawet, machnąłem płonąca klingą szeroko, tnąc materiał, drewno i wszystko, co tylko mogło jeszcze się tam znajdować.

Przeszywający uszy skrzek, coś miękkiego bryznęło mi na dłoń.

Kątem oka zobaczyłem, jak Jonasz otwiera drzwi i skacze w korytarz, ścigany przez coś wyglądające jak skrzyżowanie pijawki z homarem i co najmniej dwoma jamnikami wielkości dorodnych cielaków. Dobiegł już prawie do schodów, zaskrzeczał coś, wyrzucił przed siebie ręce – struga ognia trysnęła z powietrza przed nim, spowiła demoniczną kreaturę płomieniami, wgrzającymi się w utkane z mroku cielsko, niczym krople rozpuszczalnika w styropian.

– Aaaa! – dobiegł mnie wrzask Cartera, oganiającego się utkanym z Purpury młynkiem przed nacierającymi na niego potwornościami z mroku.

Rozejrzałem się za moim plecakiem, chwyciłem go jedną ręką, zaś drugą cisnąłem niewielką, na chybcika skręconą kulą ognia w wyłamane drzwi balkonowe. Gdy eksplodowała z hukiem w snopie iskier, szarpnąłem Cartera za ramię:

– Za dużo ich! Podajemy tyły...!

Nie trzeba było mu tego dwa razy powtarzać: pobiegliśmy śladem Jonasza przez pokryty wijącymi się zewłokami demonów przedpokój. Framuga drzwi płonąła żywym ogniem, gryzący, gęsty dym zasnuwał pomieszczenie i wciskał się w oczy.

– Do wyjścia, a potem...! – zawołał Carter, jednak w tej samej chwili drzwi wpadły do środka, pchnięte z wielką siłą, zaś w wejściu ukazała się paszczyka pełna ostrych zębisk. – ...Na górę, biegiem!

Jonasz był już w połowie schodów, sadząc po dwa, trzy stopnie.

Za nami przez drzwi i okna, od strony garażu i piwnicy wlewała się istna fala demonów.

– Na samą górę! Na dach! – wysapałem.

Piętro, korytarz, schodki na poddasze.

Carter zatrzymał się na szczycie schodów, krzyknął coś i pokazał w dół, na pnące się naszym śladem potworności. Przez krótki czas zupełnie nic się nie działo, a potem każdy ze stopni eksplodował niczym pudło fajerwerków, rwąc i kalecząc cielska leżących po nich abominacji.

– Tędy! – zawołałem, jednym cięciem gladiusa przerzynając zasuwę i barkiem popychając klapę na dach.

Dobrze zapamiętałem to, że dom z jednej strony miał dach sięgający niemalże samej ziemi. Tyle, że kiedy patrzyłem na niego z dołu, wydawał mi się zdecydowanie mniej pionowy.

– Posuń się, bracie Komorniku! – zaskowyczał pchający się już przez wyjście Jonasz.

Nie miałem zamiaru, bo właśnie złapał mnie lęk wysokości, ale on o tym nie wiedział. Przez chwilę mocowaliśmy się – ja próbujący trochę spowolnić jego wyjście, on mający wręcz odwrotny zamiar – aż w końcu postawiona na dachu noga pośliznęła mi się na kawałku lodu.

– Ła...! – zdążyłem tylko krzyknąć.

Nie był to najmiłszy sposób dostania się na dół. Planowałem to jakoś inaczej, na przykład w formie zjazdu na tyłku albo czegoś takiego... A tak, po prostu zleciałem z dachu beładną kulą rąk i nóg, objijając sobie wszystkie wystające kawałki i zdzierając skórę w losowych miejscach o szorstką jak cholera, twardą od mrozu dachówkę bitumiczną.

Ledwie upadłem na ziemię i zacząłem się podnosić, centralnie na mnie spierdolił się wrzeszczący z przerażenia Jonasz, z powrotem wgniatając mnie mordą w śnieg.

Carter wykazał się nieco większym taktem, robiąc to, co w sumie chciałem ja – niemalże dostojnie, w absolutnie kontrolowany sposób zjeżdżając na podkulonych nogach.

Zrzuciłem z siebie Jonasza, wygrzebałem ze śniegu plecak, z którego wysypały się zapasy. Wepchnąłem sobie za pazuchę absolutnie bezcenną, niebieską torbę z Ikei, i nawet nie zwracając sobie głowy całą resztą rzeczy pobiegłem przez śnieg.

– Niech was... Chodu! – Machnąłem ręką.

Dom płonął już jak pochodnia, rzucając nasze długie, chybliwe cienie daleko w mrok Rewersu. Nie ma co, pięknie anonsowaliśmy swoją obecność: równie dobrze można było zapalić wielki neon z napisem „darmowy obiad”.

W pewnym momencie Carter zatrzymał się, obrócił i wrzasnął na cały głos:

– Płońcie, skurwysyny, płońcieeee! Płońcie, i chuj wam w dupę...!

A kiedy znów ruszył za mnie, wydawało mi się, że widzę na jego twarzy prawdziwy uśmiech zadowolenia.



– Zek, zabijmy go. Tak po prostu, dla zasady.

Jonasz drgnął, spojrzął na Cartera mocno przestraszonym wzrokiem. Strzelił oczami na mnie, jak gdyby chcąc sprawdzić, jak zareaguję na tak nieoczekiwaną propozycję.

Siedzieliśmy we trzech, chowając się w ciemnym, ciasnym, ale przez to nie aż tak przerażająco zimnym wnętrzu boksu, ukrytego głęboko w labiryncie dawno porzuconego, zdewastowanego i częściowo spalonego centrum budowlanego. Wokół nas ciągnęły się korytarzyki, do których przylegały podobne klitki, a wszystko to było ukryte jeszcze w zewnętrznym pudle konstrukcji macierzystej z solidnej płyty warstwowej.

Tutaj przynajmniej mieliśmy jako taką pewność, że na zewnątrz nie będzie widać ani światła, ani dymu z niewielkiego ogniska, które bardziej dla zasady niż z konieczności rozpaliliśmy na podłodze.

A konkretnie: Jonasz je rozpałił. Sam, bez pytania, marudzenia i gadania nazbierał materiału, rozniecił ogień i teraz go pilnował, przysuwając się do oddających ciepłem płomieni tak blisko, jak tylko mógł.

Od czasu ucieczki milczałem. Carter też nie odezwał się ani słowem, i dopiero teraz zdecydował się przełamać milczenie.

– Zabijmy go – powtórzył.

– To nie była moja wina. Naprawdę, one same się pojawiły. – Jonasz od razu przeszedł do obrony i tłumaczenia się. – Bracie Komorniku, ty byłeś już w Rewersie, prawda? Wytlumacz mu, że demony potrafią się pojawiać tutaj znikąd...

– Skąd wiesz, że byłem? – Zmarszczyłem brwi.

Musieliśmy wyglądać jak trzech żuli, tak swoją drogą. Ubrani warstwowo w przypadkowe ciuchy, nie dbający o nic poza wygodą i ciepłotą, w piankowych kaloszach-śniegowcach i czapkach nasuniętych głęboko na oczy i uszy... Lekko już zarośnięci, konkretnie brudni, pokryci zaschniętą krwią. A już Jonasz to w ogóle jakby dopiero co wyczołgał się z wypadku tramwajowego.

– Takie mam wrażenie. Zachowujesz się, bracie Komorniku, jakby nie była to dla ciebie pierwszyna – odpowiedział Jonasz mocno ostrożnie, wymijająco. – A ja tu już byłem. Wiem, jak się zachowywać, na co uważać. Dlatego sędzę, że...

– Zabijmy go, Zek. Przecież on w dupie był, gównu widział. Właśnie sprowadził nam na łeb tę demoniczną czeredę – prychnął Carter.

– Pojawiły się znikąd! Poza tym, to wy mi powinniście dziękować... Macie szczęście, że zobaczyłem z daleka światło z okien, bo jakby wypatrzył je jakiś stwór...!

– Nikt nie będzie nikogo zabijał! – pospieszenie wciąłem się w wymianę nieuprzejmości.

Zobaczył światło, zasraniec. Musiała zostać jakaś szczelina, bo nie dość dokładnie zasłoniłem wszystko kocami... Eeehh, jak się człowiek nie obróci, zawsze dupa z tyłu, a ja wcale nie byłem zainteresowany ciągnięciem akurat tego wątku rozmowy.

– Słusznie prawisz, bracie Komorniku! Więc skoro już to wyjaśniliśmy...

– Po chuj wróciłeś w ogóle, Jonasz? Miałeś przecież strzelać focha w samotności. Okres ci się już skończył? – zaatakowałem bezpardonowo.

Zacisnął wąskie, popękane od mrozu usta, jednak zanim zdążył odpowiedzieć, odezwał się Carter:

– Chwila, to on nie był z nami cały czas?

Na szybko przeanalizowałem bieg wydarzeń. No fakt, kiedy kłóciłem się z Jonaszem, Carter musiał być akurat nieprzytomny więc nie wiedział, o co poszło.

Spojrzałem na Jonasza wymownie, powiedziałem twardo, nie znoszącym sprzeciwu tonem:

– Rozdzieliliśmy się na chwilę, a Jonasz miał nas znów znaleźć. Zgadza się, Jonasz?

– ...Tak – potwierdził Dłużnik po chwili wahania.

Carter dłuższą chwilę patrzył na niego uważnie, w końcu wzruszył ramionami.

– Hmph... No cóż, skoro nas znalazł i nadal mnie wkurwia, to może go zabijmy? No, co powiesz, Zekuś?

Nie dając mi nawet szans na odpowiedź, Carter wstał, niczym prostująca się sprężyna. Jonasz też zerwał się z miejsca, sięgnął po swój miecz; dwie klingi w dłoniach Cartera buchnęły Purpurą.

– Pierwszy, ty... ty śmieciu! – zasyczał Dłużnik, cofając się pod ścianę. – No dobrze, więc chodź! Chodź, a ja ci pokażę, co sędzę o tobie i twoich dwóch przedłużeniach kutasa...

– Pożałujesz, że się urodziłeś! – Carter obrócił mieczami w dłoniach, szykując się do ataku.

– Panowie, spokój! Spokój...!

– Powinienem być cię zabić, jak była po temu okazja...! – zaskrzeczał Jonasz, stawiając wokół siebie migoczącą tarczę energetyczną.

– Cooo...?! Ja ci zaraz...!

– SPOKÓJ!!! – ryknąłem na cały głos, aż zadrżały ściany.

I nie tylko one, bo nagle płomienie na klingach Cartera zniknęły, niczym zdmuchnięte ogniki świec. Miecz Jonasza też zgasł, kolor ostrza zapadł się w głęboką, wypaloną czerń. Gdyby nie pelgające ognisko, to zapadłaby zupełna ciemność.

Zakręciło mi się w głowie, aż przytrzymałem się ściany, żeby nie upaść.

Carter potrząsnął swoimi mieczami, machnął nimi tak, jak macha się pilotem od bramy, kiedy guziczek nagle przestaje robić to, co powinien.

– Zek, coś ty zrobił? – zapytał.

Stłumiłem narastający w skroniach ból głowy, odetchnąłem głęboko, próbując odegnać nudności i wrażenie obcości świata.

– ...Nic. Nie będzie zabijania się, jasne? Tak jak powiedziałem Jonaszowi: wychodzimy z Rewersu we trzech. A potem... Potem róbcie, co tylko, kurwa, chcecie.

Jonasz łypnął na Cartera.

– Tymczasowi sojusznicy z wyboru?

– Z konieczności raczej – poprawił go ten ostatni. – Potrafię na to przystać, Zek... Tylko powiedz mi, po cholere on jest ci potrzebny?

– Z przyjemnością dowiem się tego samego, bracie Komorniku. – Jonasz założył ręce na piersi.

Usiadłem ciężko na podłodze, dorzuciłem do przygasającego ogniska kilka kawałków drewnianej boazerii.

– Znamy się z Carterem... od dawna. W zasadzie od samego początku, jeszcze z czasów przed założeniem Korpusu Komorniczego. Byliśmy razem tam, na Arenie Dłużników.

– O kurwa – zaskrzeczał Jonasz, zakrzuszył się czymś paskudnym, odcharknął i splunął w mrok. – To znaczy, że wy dwaj... Braliście udział w Rebelii?

Poczułem się trochę jak Siliasz podczas naszego pierwszego spotkania w poprzedniej linii czasowej. Spojrzałem na Cartera, ten uśmiechnął się i pokiwał głową:

– Czy braliśmy w niej udział? Przecież to my ją wszczęliśmy, do ciężkiej cholery! To prawda, żeśmy niemało z Zekiem przeszli... Ech, a potem się wszystko popierdoliło.

– Ano – zgodziłem się zdawkowo. – A co do Jonasza... Widzisz, Carter, tak się składa, że on wie w jaki sposób można zabić Anioła.

Nie spodziewałem się, że te słowa wywrą na Carterze aż takie wrażenie. Przez jego twarz przemknął cały huragan emocji, widziałem, jak na czole wystąpiła mu pulsująca żyła. Nachylił się w przód, patrząc na Jonasza bardzo, ale to bardzo uważnie.

– Anioła nie da się zabić – wycedził.

Dłużnik wzruszył tylko ramionami.

– Tak też mówili na zajęciach w Korpusie, ale nigdy nie zwracałem uwagi na to wasze pierdolenie... No co, co się tak gapisz, Pierwszy? Tak, kiedyś byłem jednym z was, jeszcze się nie domyśliłeś?!

– Ja... Ja cię kojarzę. – Carter pokazał na niego palcem. – Czekał, przecież ty jesteś...

– Jestem Jonasz. Spędziłem trzy dni w mroku, połknięty przez ciemność podziemia, a potem wyłoniłem się z powrotem na światło jako inny, narodzony na nowo człowiek. A co do tego, że Anioła nie da się zabić... Zabawne, że ta głupia suka Kamuela twierdziła tak samo. To jest, dopóki nie zobaczyła, jak wygląda jej własne serce. – Zaśmiał się paskudnie.

Kamuela.

Widziałem to imię kilka razy w dokumentach Góry. Przewinięło mi się też nie dość dokładnie wykreślone z papierów dotyczących Jonasza... A poza tym wiedziałem skądinąd, że pod takim imieniem figurował – to jest: „figurowała” – Anioł Nadzorca kilkorga starszych stażem kolegów. A potem z dnia na dzień przepięli ich pod inną zwierzchność.

No proszę, proszę. Do tej pory wiedziałem o naszym Dłużniku tylko tyle, że faktycznie jakimś cudem dał radę zaciukać jednego z Aniołów. Nie tak dawno dowiedziałem się, że był też eks-Komornikiem, a teraz poznałem jeszcze imię naszej niebiańskiej denatki.

Co mi to dawało? Jak i wszystko inne w moim życiu, dokładnie nic. Natomiast lubiłem dzięki takim kawałkom wiedzy bezużytecznej tworzyć sam przed sobą wrażenie, że czasami udawało mi się odnieść jeśli nawet nie faktyczne, to chociaż moralne zwycięstwo.

– ...Aniketos? – Carter zmrużył oczy. – Tak, to przecież ty...

Jonasz nastroszył się, zamachał rękami.

– Nie jestem nim! Nie jestem... Mimo że razem zeszedliśmy w mrok, to wyszedłem tylko ja! I nie pozwolę, abyście mieli wmawiać mi tutaj, że jest inaczej! Imiona mają moc, bracia Komornicy, to one wyznaczają granice naszego umysłu. Nawet tutaj, pośród wiecznych mroków Rewersu, jestem tylko sobą i aż sobą... Na zawsze poza waszą jurysdykcją, nieugięty wobec waszych władców i nieskruszony!

Jednak Carter zdawał się nie słyszeć tej tyrady. Przysunął się do Jonasza, strzelił oczami w bok i zapytał głosem tak cichym, że ledwie go dosłyszałem:

– Zabijeś... Anioła? Ale jak? Ich nie da się zabić. Nie można zabić czegoś, co nie żyje. Nie da się.

– Kto nie próbuje, ten nie osiąga! – zachichotał Jonasz, ale i tak odsunął się od Cartera, zerkając bojaźliwie na jego miecze. – Jednak, bracie Komorniku, nasz Zek ma

rację: tak o mnie właśnie mówią, więc i tak było!

– Jak? – syknął Carter, robiąc jeszcze krok ku niemu.

Nie widziałem go nigdy w takim stanie. Wysunięta w przód głowa na długiej szyi, palce zagięte niczym szpony drapieżnego ptaka, cały spięty, gotów do skoku... Wyglądał jak ćpun na głodzie, któremu ktoś właśnie pomachał przed nosem torebką z białym proszkiem. A to mnie powinno zależeć na tej informacji, to mnie nadal ścigał ten pierzasty zjeb Szemijazasz!

– O, nie! Nie ze mną te numery, bracia Komornicy! – zaśmiał się Jonasz, odskakując w bok, żeby Carter nie przycisnął go do ściany. Kilkoma szybkimi susami przedelflował wokół ogniska, a potem ustawił tak, żeby częściowo schować się za mną. – Nie powiem wam teraz nic, ani słowa! Wybacz ten poryw szczerości, Pierwszy, ale nie znałem nikogo, kto nie uważałby cię za sadystycznego, psychopatycznego, przemocowego i zdradzieckiego chuja. Zek, zgodzisz się ze mną, prawda?

– No więc... – bąknąłem, rozdarty pomiędzy szczerością a przyjaźnią.

Jednak sam Carter albo nie usłyszał, albo po raz kolejny zignorował paplającego Jonasza, który ewidentnie próbował zagadać własny strach. Miałem takie wrażenie, że jak tylko on przestanie gadać, to Carter po prostu rzuci się na niego i rozerwie gołymi rękami... A miałem też podstawy przypuszczać, że z rozpędu zrobi to samo ze mną.

Byliśmy tutaj pośrodku lodowego pustkowiec wiecznej nocy, zamknięci w resztkach gabineczki kierownika sklepu, z człowiekiem który wedle najbardziej prawdopodobnych założeń był sprawcą przemocy psychicznej, fizycznej i duchowej wobec nas obydwu. Idealny trójkąt równoboczny syndromu sztokholmskiego, w dodatku z niewielkim przesunięciem czasoprzestrzennym.

– Powiedz mi jak! – zażądał Carter, ruszając ku Jonaszowi.

I coś czułem, że jeśli pozwolę sytuacji rozwijać się dalej, to nie wyjdzie z tego nic dobrego.

– Panowie, stop! Dość, do kurwy papieskiej nędzy! – Podniosłem ręce, stając pomiędzy nimi. – Co to za kłótnie, jak na szkolnej wycieczce... Pójdziecie sobie na solo, jak już wejdziemy w Blask! Tak? Wtedy będziecie swoje brudy prac!

– Wyprowadzisz nas do granicy, bracie Komorniku? – zapytał Jonasz.

Ja jednak od razu wyczułem w jego głosie nutkę fałszu. No, w każdym razie nieszczerości. Jak gdyby próbował, bydlak, coś dla siebie ugrać. I to coś dużego, o czym nie miał ochoty mówić na głos.

– Jonasz, po cholere wróciłeś? – powtórzyłem pytanie, od którego zaczęła się cała ta inba. – Dlaczego nie poszedłeś swoją drogą?

Przez jego twarz przebiegł grymas niezadowolenia. Spojrzał na mnie spode łba i pociągnął nosem, z którego od dłuższego już czasu szączył mu się zamarzający glut.

– Purpura przestała działać. Po prostu się wyczerpała... I zaczęło mi braknąć sił – przyznał niechętnie. – Teraz jest jakby lepiej, ale już myślałem, że mnie te cholerstwa dopadły na amen. Jak mnie jeden zajechał przez plecy, to uch! Aż usłyszałem, jak zębra chrupnęły. Swoją drogą, nadal mam tam coś nie tak chyba... Zobaczysz?

– Czyli... co, jak odszedłeś, to zgubiłeś zasięg? – zapytałem, cokolwiek zbity z pantalajku.

Jonasz tymczasem zaczął rozpinać kurtki i bluzy, ściągnął przez głowę polar. W końcu stanął tylko w zalanym krwią, poszarpanym ubraniu, w którym wpadł do salonu gdy próbowaliśmy napić się piwa.

– No, a teraz wrócił, bo już nie boli. Weź no, może mi coś tam utkwiło z lewej strony, bo jakoś tak niewygodnie.

Obrócił się do mnie plecami, ściągnął z grzbietu strzęp koszuli, który odkleił się od skóry z dość nieprzyjemnym mlaśnięciem i chrupnięciem zakrzepłej, zamarzniętej

krwi.

Już wcześniej zauważyłem, że Jonasz jako jedyny z nas trzech nie paruje. Kiedy mówił, to z jego ust nie unosiły się też obłoczki. Miałem na ten temat pewne podejrzenia, owszem, potwierdzane przez to, jak cały czas przysuwał się do ognia, jakby nie mogąc złapać ciepłoty ciała.

Natomiast teraz potwierdziły się w pełnej krasie.

Carter stanął obok mnie, też patrząc się na plecy Jonasza. Zamrugał. Zerknął na mnie z ukosa.

– Zek, on... – zaczął, ale urwał.

– No, co tam? Pewnie mi coś tkwi? – Jonasz spojrzał na nas przez ramię z naiwną nadzieją w oczach.

– Eee... Nie do końca...

No bo nic mu nie „tkwiło” w sensie technicznym. Nie miało gdzie tkwić. Jakkolwiek rozumiem co mogło mu sprawiać określony dyskomfort. Tak, to musiało być mocno niewygodne.

– O tutaj, nie? – Wykręcił rękę za plecami i pokazał palcem w przybliżone miejsce.

Zanim zdążyłem się ruszyć, Carter podszedł do niego, złapał dłoń za to, na co pokazywał Jonasz i szarpnął. Trzasnęło sucho, nieprzyjemnie.

– Masz. – Wręczył Jonaszowi lekko zagięty, pokryty czerwono-różowymi skrzepami fragment ułamanej kości.

Dłużnik rozpromienił się, obrócił do nas. Spojrzał na to, co trzymał w ręku. Uśmiech spłynął z jego twarzy.

– Jonasz, obawiam się, że to może być dla ciebie szokiem, ale chyba masz problem. Lepiej usiądź.

On jednak nadal gapił się na ściskane w dłoni ułamane żebro. Jego własne żebro.

– Kurwa – powiedział po prostu.

– No patrz, jaki pech. Jakoś mi nie jest cię szkoda – wycedził Carter z mściwą satysfakcją. – To co, Zek? Dajemy mu granat i wiadro na głowę...?

A ja w tamtym momencie zrobiłem coś, czego w życiu bym się po sobie nie spodziewał.

Bo po prostu odwinąłem się i tak jak stałem, pierdolnąłem Pierwszego w ryj.

On też się nie spodziewał. Dostał centralnie, prosto w szczękę.

Aż go oderwało od podłogi, gruchnął o ziemię jak długi.

Jeszcze potylicą pieprznął o beton.

Zamrugął, leżąc na wznak.

– Nie będziesz, kurwa... Nie będziesz z niego żartował! – Stanąłem nad nim okragiem, wyciągając oskarżycielski palec niczym jakąś straszliwą, erystyczną broń. – Nie z niego, rozumiesz?! Nie w ten sposób, nie w tym kontekście! Jonasz to zjeb, to chory na głowę, parchaty pies!

– Ej, co do kurwy...? – wtrącił Jonasz.

Ja miałem to chwilowo w dupie, wściekając się tak, że aż mi się zrobiło gorąco. Dosłownie czułem, jak wiszący mi u boku gladius gotuje się w pochwie, strzelając iskrami Purpury.

– Rozumiesz?! Nie wolno tak! – zawołałem łamiącym się głosem. – Nie z niego! Bo przecież on... Przecież nasz Reggie był...!

– Przepraszam – powiedział Carter, patrząc mi prosto w oczy.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko moje ciężkie sapanie, płytki oddech Cartera i nadal zaskoczony brak jakichkolwiek odgłosów życiowych, wydawany przez Jonasza.

W końcu wyciągnąłem do Cartera rękę. On chwycił moją dłoń, podniósł się.

– Zek, ja...

– Temat zamknięty, potencjał konfliktu wyczerpany, powiedziałem co miałem powiedzieć – uciałem.

– Hej, a ja?

Spojrzyliśmy na Jonasza, stojącego tak, jak stanął, bez koszuli i z rozłożonymi rękami. Tak, teraz widać było nienaturalnie blady kolor jego ciała. Tu i tam zaczynały pojawiać się głęboko fioletowe sińce i początki plam opadowych... Diagnoza była oczywista.

– A ty nie żyjesz – burknąłem, rzucając mu kurtkę. – Więc lepiej się ubierz, bo jak zamarzniesz, to zaczniesz pękać na kawałki i będzie problem.

– Ale... czekajcie, przecież... ale jak to?

Prawie mi się go zrobiło szkoda.

Carter natomiast zaśmiał się paskudnie, poklepał świeżo upieczzonego Powróceńca po zbliżnowaonym ramieniu.

– Potem ci powiemy, co z tym zrobić. Nie martw się, mamy wprawę.



Muszę przyznać, że Jonasz zaskakująco dzielnie zniósł wiadomość o własnej śmierci.

W sumie to nie wiem, jak miałyby się zachować. Wpaść w szal? Dostać ataku paniki? Załamania psychicznego? Gdyby jeszcze żył, to tak, z pewnością byłaby to reakcja ze wszech miar naturalna. Natomiast jako że nie posiadał już ani działającego systemu wyrzutu hormonów, ani reakcji nerwowych, to po prostu ze stoickim spokojem wysłuchiwał tego, co mieliśmy mu do powiedzenia.

Poinstruowaliśmy go wspólnie z Carterem o tym, co może się stać i co na pewno się stanie. Wyszabrowaliśmy ze wciąż dość dobrze zaopatrzonego centrum budowlanego sporo srebrnej folii i taśmy klejącej, przy pomocy których dosłownie uszczelniliśmy powłoki cielesne Powróceńca. Uzupełniliśmy ubytki – ze szczególnym uwzględnieniem lewego płuca, kawałka serca oraz dużego fragmentu korpusu pod łopatką – przy pomocy pianki montażowej, szpachli i silikonu.

Natomiast kiedy poprosił nas o pomoc w pozbyciu się zawartości jamy brzusznej, solidarnie odmówiliśmy, więc Jonasz sam udał się na tak zwaną stronę zbrojny w wiadro, nożyk, kilka szpatulek, sporo wypełniacza bawełnianego i dużo zimnej determinacji.

– Jednego mniej do podziału jedzenia. – Carter, jak to on, wykazywał się dużą dozą zdrowego pragmatyzmu.

– Mhmm... I warty będzie komu trzymać...

– I rzeczy nieść.

Wymieniliśmy się spojrzeniami.

– Brakuje mi Reggiego... – westchnąłem. – Z wielu durnych śmierci w trakcie tej Apokalipsy, ta była...

– Bez sensu zupełnie, zgadzam się. No cóż, powiem ci, że pamięć o nim... Kurwa, serio: staraliśmy się, ja się starałem, ale tego nie dało się wyplenić. I nadal potrafi się pojawić jeszcze w najmniej oczekiwanym momencie. Podobno na Uniwersytecie mają tam cały jego kult...

– Gdzie? – Zmarszczyłem brwi.

– Uniwersytet, mówię. Siedzą tam Racjonalisci, zbieraliśmy się na nich już od dłuższego czasu... Kurwa! – nagle się zezłościł. – A mieliśmy przecież po tym rejsie wziąć Tron jako wsparcie ogniowe, żeby wreszcie odjechać tę akcję. A tak trzeba będzie się przez Miasto przeżywać, pewnie na ruinach Bazaru zrobić obóz tymczasowy... O, wrócił, patrz go!

Jonasz faktycznie stał w wejściu do naszej kryjówki, przypatrując się nam obydwu z nieodgadnioną miną.

– Ruszamy? – zapytał, odrzucając w kąt pokrwawione narzędzia.

– Ruszamy – potwierdziłem.



Zdarzało mi się chodzić po Rewersie, ale nigdy jeszcze w takim towarzystwie.

Doposażyliśmy się, ubraliśmy w porządne, nowe kurtki, nieprzemakalne spodnie-ogrodniczki i całą masę bardzo wygodnego, wytrzymałego sprzętu ubraniowo-ładunkowego. Wyglądaliśmy co prawda jak zabłąkana ekipa budowlanców, którzy zachlali w weekend i przespali koniec świata, a teraz brnęli przez lodowate pustkowia... Ale nie było na co narzekać.

– Czy wy tutaj, w Europie, macie jakiś kompleks związany z bronią? – odezwał się prowadzący akurat nasz niewielki oddział Carter.

– ...W sensie?

– W sensie takim, że idziemy i idziemy, a tutaj nie ma nawet jednego porządnego sklepu. Już nie mówię o myśliwskim, ale kuuurwa! Ja rozumiem, tam! – Pokazał w kierunku gdzie szliśmy i gdzie miałem nadzieję że docelowo znajdował się Blask. – No bo koszerność, zasady i w ogóle. Ale tutaj, gdzie stoi to wszystko nieruszone? Przecież wy tu bezbronni byliście, jak to się zaczęło! Nie to, co u nas w USA...

– Statystycznie bez różnicy, jakoś wam to nie pomogło, bracie Komorniku – zaskrzeczał opatulony po sam czubek nosa Jonasz.

– O, patrzcie go, jaki mądrała się znalazł. Dzieci i martwi głosu nie mają.

– Panowie, proszę was... – Już miałem interweniować, ale Carter podniósł tylko rękę, jak gdyby chcąc powiedzieć: dobra, już spoko, odpuszczam temat.

Mijaliśmy opustoszałe, martwe miasteczka i miasta. Wspinaliśmy się na przysypane śniegiem wiadukty autostrad, przeprawialiśmy przez zamrznięte rzeki, uważając tylko na wciąż płynące pod lodem strugi szkarłatnej krwi i zielonkawego, żrącego niczym kwas piołunu.

Od czasu do czasu pod cienką warstwą śniegu widać było zarysy ciał. Tu i ówdzie spod bieli wystawała konwulsyjnie zagięta ręka o sinych palcach niczym szpony, albo patrząca w nicość, pokryta szronem twarz.

Natomiast to, że byliśmy jedynymi trzema... no dobra: dwiema żywymi istotami w promieniu kilkunastu albo i kilkudziesięciu mil, wcale nie znaczyło, że byliśmy tutaj sami.

Thumaczyłem im to wcześniej. Ostrzegałem. Przypominałem.

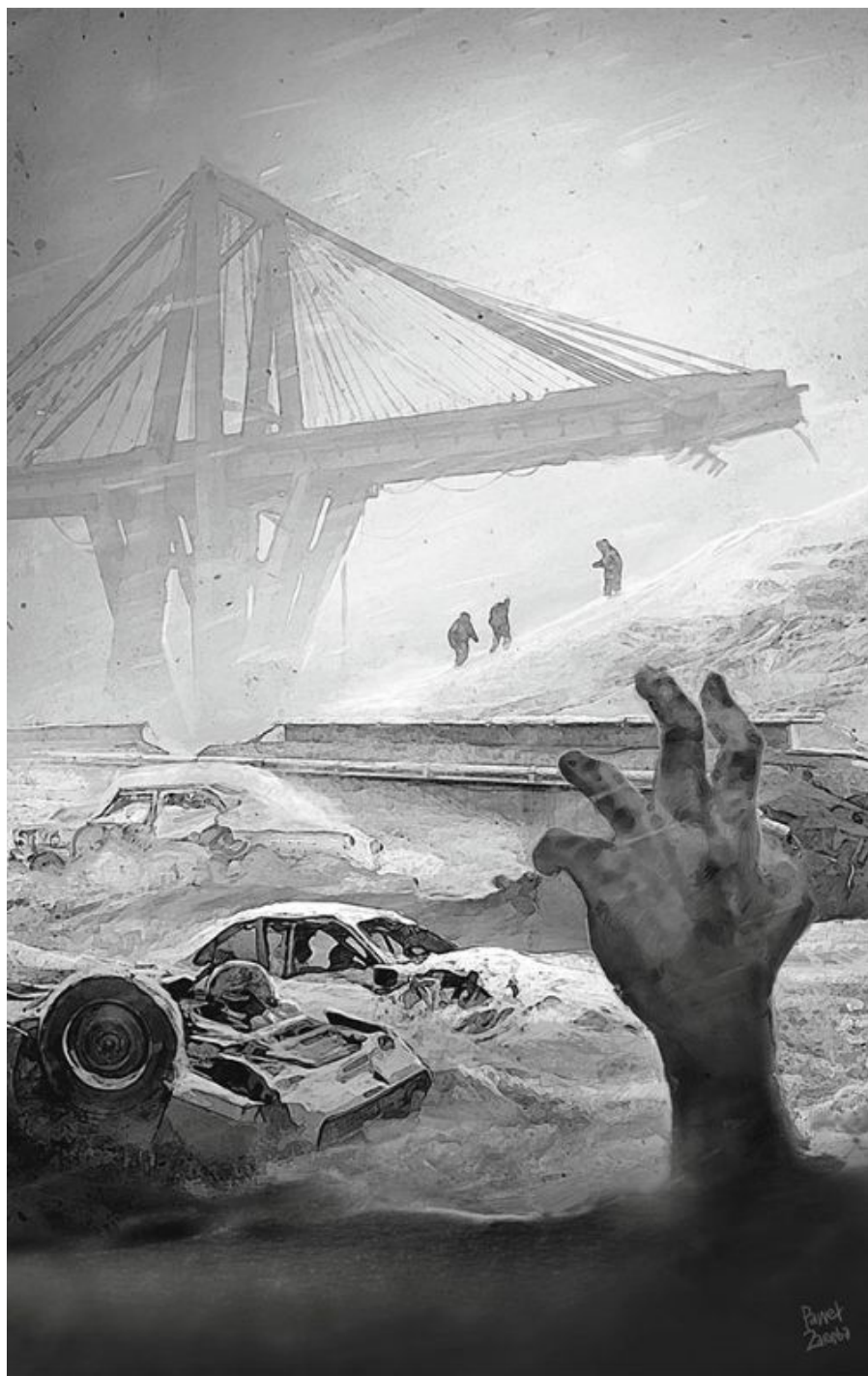
Dopiero na wysokości opuszczonej fabryki zrozumieli, o czym mówiłem.

– Cśśś... – Carter położył palec na ustach i ostrożnie wyjrzał zza rogu.

Syszałem odgłosy miażdżenia kości potężnymi szczękami, trzask rwanego zamrzniętego ciała i gwałtownych szarpnięć w jedną i drugą stronę, kiedy bestie

musiały walczyć i wrywać sobie kawałki zdobyczy.

Nie wiem skąd się tu wzięły. Nie mam pojęcia czym były. Natomiast wymowne ślady ich żerowania widzieliśmy już wcześniej, spory kawałek drogi od tego miejsca: porozrywane na kawałki trupy, na wpół przeżute fragmenty bladoniebieskiego ciała, rozkopany i zryty w poszukiwaniu nietkniętych trupów śnieg.



Panel
Zach

Ich tropy, złożone z trójdzielnych racic wielkości mojej pięści, wiły się i krzyżowały w całej okolicy. Pojawiały i znikwały, przebiegały długimi kreskami przez biel. Kreśliły esy-floresy wokół miejsc potwornej uczty.

A teraz natknęliśmy się centralnie na całe stado, i to w trakcie konsumpcji.

Oczywiście, wcale nie musieliśmy iść właśnie tędy, przez teren zakładu. Z całą pewnością dałoby się nadłożyć kawałek drogi i ominąć to miejsce. Bez trudu, bez problemu. Bez bólu głowy.

Lecz akurat tutaj była kładka, prowadząca na drugą stronę rzeczułka.

Mówię o niej pogardliwie „rzeczułka”, bo na miano pełnoprawnej rzeki nie zasługiwała. Ot, taki sobie ciek wodny, w porywach do trzech–czterech metrów szerokości. Wydawać by się mogło, że tylko rękę wyciągniesz, a już jesteś po drugiej stronie. Żadna przeszkoda terenowa, szczególnie kiedy skuwał ją lód.

Jednak był on cienki i mocno niestabilny, bardziej podobny do mocno zmrożonej owsianki – niejednorodny, pełen grudek i większych kawałków, tylko pozornie i powierzchniowo pokryty cienką warstewką ściętej wody.

Na pewno nie nadawało się to do przejścia. Wiem, bo sprawdzaliśmy, a próby kosztowały mnie jeden kalosz, który na szczęście zdążyłem zzuć, nim zielonkawa breja przeżarła podeszwę na wylot. Wyglądało na to, że właśnie stąd brał się wcześniej widziany przez nas w rzekach i jeziorach połon.

Z dobrych wieści: Jonasz wypatrzył betonową kładkę. Z wieści neutralnych: kładka była częścią jakiejś fabryki. No a ze złych: fabryka była zamieszkana.

– Cholera, dużo ich... Tędy nie damy rady. W tył. – Carter zrobił wymowny gest ręką.

Posłuchałem, nawet nie próbując dyskutować: tutaj, w Rewersie, granica pomiędzy życiem a śmiercią przebiegała gdzieś na wysokości setnych części procentów prawdopodobieństwa, więc nie było sensu lecieć w kulki ze statystyką.

– Ogary? – zapytałem półgłosem, kiedy zmierzaliśmy ku wyjściu z fabryczki.

– Mhm... Z pół tuzina sztuk, odpasione. I wydawało mi się, że...

– Hola, pielgrzymi! A co to się robi na mojej ziemi? To własność prywatna, a panowie naruszają mój mir domowy! Ręce do góry! – nagle zazgrzytał głos gdzieś z boku.

Odwróciliśmy się jak na komendę, sięgając od razu po broń: w przejściu pomiędzy sporym zbiornikiem a ścianą budynku stał jeden z Ogarów.

Ogary Rewersu są... No cóż, są właśnie tym: ogarami, które mieszkają w Rewersie.

Samo słowo „ogary” ma już w sobie coś mocno złowieszczego. Nie każdy pies jest „ogarem”, zaś konotacje są mocno jasne: ogara używa się do polowań, i to takich konkretnych. To nie jest chart, którym szczuje się zająca, ani nawet posokowiec, mający iść po tropie rannej zwierzyny. Ogar jest... – no cóż, zadaniem ogara jest dogonić cię i rozszarpać na strzępy.

Samo słowo, wbrew bardzo pasującym tutaj skojarzeniom, nie ma nic wspólnego z czasownikiem „gorzeć”, czyli „palić się”, a pochodzi – przynajmniej w tym, co kiedyś było naszym językiem ze wspólnej rodziny słowiańskiej – z węgierskiego, gdzie oznacza po prostu „psa”, do którego trafiło pewnie z języków turkmeńskich. Tak czy inaczej, jest stare w opór.

Tyle w temacie ogara. Co do mieszkania w Rewersie zaś, to wydaje mi się oczywistym, że cokolwiek pochodzi z Rewersu, nie może być normalne. Nie może, i tyle, bo tutaj wszystko było wypaczone, mroczne, niebezpieczne, dziwaczne i zwyczajnie wrogie.

Już sam Awers był miejscem wystarczająco dla ludzi nieprzyjaznym. No bo niby jakie inne miałyby być terytorium, okupowane terminalnie przez istoty należące do

Wyższego Porządku, których jedyną przyczyną, sensem i celem istnienia była planowa, metodyczna eksterminacja wszystkiego co żywe? I to jeszcze w taki sposób, żeby każdej zabijanej istocie śmierć jeszcze wyszła na dobre... A więc postawieniem na głowie tego, co dla nas, ludzi, było sednem życia jako takiego.

I teraz wszystko to, co i tak w Awersie stało na głowie, było w Rewersie wsadzone do szybkoobrotowej wirówki pełnej płonących węgli, smoły, zardzewiałych żyłek i ostrych papryczek z gatunku tych, które dostają się pod paznokcie i czekają tam, aż coś wpadnie człowiekowi do oka.

Natomiast, jak zwykle pod wpływem stresu, dywagowałem nie na temat, usiłując monologiem wewnętrznym zagłuszyć strach i odwlec nieunikniony powrót do rzeczywistości.

Ogar był ogromny, wielkości sporego kuca, czyli na dobrą sprawę samochodu małowitrazowego. Wyglądał jak wczesne stadium pożaru w fabryce masy bitumicznej, które z jakiegoś powodu zdecydowało się przyjąć kształt z grubsza przypominający groteskowego, wychudzonego psa o gorejących ślepiach i wielkiej, wyciągniętej paszczęce, w głębi której pełgały jezory ognia. Wrzące krople skapywały z ociekającej smołą sierści, z sykiem wypalając nieduże kratery w pokrywającym ziemię śniegu, smużki dymu wydobywały się z nozdrzy bestii przy każdym jej ciężkim sapnięciu.

Zaś na grzbiecie Ogara siedział na oklep ubrany w kowbojski kapelusz Cień, mierzący do nas właśnie ze sztucera myśliwskiego.

– Ręce do góry, trzeci raz nie powtórzę! – zawołał Cień.

Zupełnie odruchowo podniosłem ręce nad głowę, aż nadto dobrze wiedząc, że z szaleńcami nie należy dyskutować.

Jonasz zaśmiał się głupio, po czym zakrzuszył czymś, co już jakiś czas gromadziło mu się w gardle.

Zaś Carter, niewiele myśląc, dobył miecza.

Huknął strzał.

– Mówiłem, że nie będę powtarzać! Ręce za głowę i na kolana!

Uklękliśmy obaj.

– Kurwa... – sapnąłem pod nosem, zerkając kątem oka na pozostające w moim polu widzenia nogi Cartera i sporą plamę krwi, rozlewającą się po śniegu.

Cień szturchnął swojego Ogara piętami, podjechał bliżej i zrobił wokół nas rundkę, niczym gospodarz z ciekawością oglądający dziwne znalezisko na polu. W końcu zatrzymał się obok Jonasza, puknął go dymiącą lufą sztucera.

– Ty! Dlaczego nie żyjesz?! Nuże, odpowiadaj chyżo, bo ołowiem poczęstuję!

– Ja... – zająknął się Jonasz, wyraźnie zbity przez całą sytuację z pantałyku.

Ja natomiast uświadomiłem sobie, że Cień mówił z tak bardzo chamskim, nosowym, prowincjonalno-amerykańskim, rozciągającym i zniekształcającym samogłoski akcentem, że sposób w jaki wypowiadał niektóre słowa Carter predestynowałyby tego ostatniego do bycia lektorem dowolnego kanału szanującej się imperialno-brytyjskiej telewizji.

Abstrahuję już zupełnie od tego, że Cień miał na nogach gumofilce z ostrogami, w chudej talii przewiązał się na dwa razy paskiem o wielkiej, złotej klamrze z orłem o potężnych skrzydłach, zaś pod szyją majtała mu się bandana w biało-czerwone paski z niebieskim prostokątem i gwiazdą.

Zdusiłem w sobie przemożną chęć powiedzenia mu, że nosi chustę z flagą Liberii.

– Aaa, czyli ty jesteś ten przyglupi – mlasnął Cień, podjeżdżając do mnie. – Tamten był wyrówny, więc ty będziesz ten mądry, co? Będziesz mądry, pielgrzymie?

Zazezowałem na spoglądającą mi w twarz lufę sztucera, potem znów zerknąłem na Cartera, który leżał na ziemi, krwawił i ani myślał wstawać. Widziałem, że z rany

w piersi wciąż unosi się strużka tłustego, czarnego dymu... Dlaczego się nie regenerował?

Skinąłem szybko głową, żeby samemu też nie zarobić kulki. Cień zaśmiał się chrapliwie, przejechał ku Jonaszowi i gwizdnął, wsadzając do ust dwa palce lewej ręki.

Odpowiedział mu drugi, podobny gwizd, a potem zza budynku wyskoczył drugi Cień, ubrany w kraciastą czerwoną koszulę i też dosiadający Ogara.

– Jiii–hou! – zawołał przeszywająco wysokim głosem. – Zaganiaj je, Billy! Wišta–wioooo!

Nawet nie zdziwiłem się, kiedy do wtóru gardłowych charkotów, urywanych szczeknięć i rwanego warkotu stado Ogarów zerwało się do biegu i pogalopowało przez resztki starego parkingu dla pracowników fabryki. Po obu stronach kawalkady skakały wierzchem kolejne dwa Cienie – jeden w klasycznej czapce-bejsbolówce, drugi w bandanie i dżinsowej kamizelce. Ten w koszuli dołączył do nich, zajął miejsce z tyłu przeganianej sfory.

Patrzyliśmy na to, Jonasz i ja, z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami.

Cień podjechał do leżącego na wznak Cartera, otaksował go wzrokiem od stóp do głów. Potrząsnął osadzoną na nieproporcjonalnie cienkiej szyi głową i westchnął z dezaprobatą, po czym znów podjechał do nas, ani na chwilę nie przestając celować to do jednego, to drugiego.

– Co wam do łbów strzeliło, żeby tutaj włączyć, hę? Zgubiliście się?

– Idziemy w Blask, my... – zaczął Jonasz, ale Cień przerwał mu:

– No patrzcie, ludziska, nauczyli trupa gadać! A sztuczki umiesz robić? Siad! Służyć... Turlaj się?

– Ty skurwysynu – wycedził Jonasz, zaciskając pięść.

Zauważyłem, jak wokół dłoni przeskakują mu iskierki wyładowań elektrycznych, więc czym prędzej zamachnąłem się i dzieliłem go w pysk. Upadł na śnieg, spojrzał na mnie wielkimi ze zdziwienia, cokolwiek mętnymi już z racji procesów pośmiertnych oczami.

– Nieposłuchany jest, ale pracujemy nad nim – wyjaśniłem pospiesznie, zwracając się do Cienia. – Mało żre przynajmniej, niewymagający.

– Hm, nie to, co te nasze. Czy ty wiesz, pielgrzymie, ile jest roboty z takim stadem?

– Domyślam się – skłamałem.

– To co, jak będzie? Wleźliście na moją ziemię, więc mam prawo potraktować jak intruzów. I co ja mam wam teraz zrobić? – Cień potarł w zamyśleniu szpiczasty podbródek. – Czy wy wiecie, co czeka na takich, jak wy?

– ...Średnia hawajska dla każdego? – spróbowałem.

Przekrzywił łeb, spojrzał na mnie uważnie i rozciągnął się uśmiechem pełnym ostrych niczym igły zębów.



Kiedy cudaczna kawalkada dotarła do celu, ja nawet nie byłem zaskoczony, Jonasz wyraźnie wstrząśnięty, zaś Carter nadal wyłączony.

– Witajcie w skromnych progach naszego Ranczo Casa de Papaj! – Prowadzący nas Cień zrobił ręką istic wielkopański gest.

Nie mam pojęcia skąd się coś takiego tutaj wzięło, prawdę mówiąc. Może były to resztki jakiegoś gospodarstwa agroturystycznego o dość specyficznej, jakkolwiek przewidywalnej tematyce? Chyba tak, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie budowałby niczego takiego dla siebie.

Chociaż, z drugiej strony, już dawno przestałem się spodziewać po ludziach rozsądku.

Na zasypanej śniegiem pustoszy stał szereg zabudowań gospodarczych i ogromny wybieg dla koni, po którym truchtał sobie dobry tuzin Ogarów, radośnie hasających i brykających po zamrzniętym śniegu, niczym żrebaczki po wiosennej trawce. Nieopodal stał piętrowy, częściowo spalony i zwalony drewniany dom z dachem krytym gontem i czaszką krowy przybitą nad wejściem. Garaże, szopy dla maszyn rolniczych... O, była nawet obowiązkowa wiata do grillowania.

I nad tym wszystkim dumnie „powiewała” na kilkumetrowej wysokości maszcie flaga USA.

– Jak...? – Pokazałem na nią palcem.

– Och, nie było łatwo, ale w końcu polaliśmy ją wodą i wywiesiliśmy, żeby zamarzała. Pięknie wygląda, co nie, bracie? – Tucker napuszył się z dumy, po czym machnęła na kolegę: – Zamykaj trzode, Wyatt, i pora na lunch!

No tak, bo oczywiście eskortujące nas Cienie miały przecież imiona, a jakże.

Idący obok mnie Jonasz wyglądał na autentycznie oszołomionego tym wszystkim, a ja coraz bardziej przekonywałem się, że jego buńczuczne słowa o tym, jak to zna się na Rewersie i czego on tutaj nie widział, musiały być uszyte mocno na wyrost.

– Nie gap się tak – syknąłem półgębkiem.

– Bracie Komorniku, ale to przecież jest... to czysty obłęd!

– To teatrzyk, Jonasz, i lepiej graj swoją rolę, jak na jasełkach, bo inaczej...

Obejrzał się na Cartera, leżącego na saneczko-włókach podczepionych do jednego z Ogarów. Co zastanawiające, nasz towarzysz był nieprzytomny – technicznie martwy – ale nadal krwawił, i to dosyć obficie, zostawiając za sobą czerwoną strużkę. Ciekawe, co takiego mu zrobił Cień, z czego strzelił?

– Chłopcy, jedzenie na stole! – zawołał kolejny Cień, wychodząc na ganek. – A kogo to tam prowadzicie?

– Gości mamy, Daisy! – odkrzyknął Tucker.

Cienie zostawiły swoje wierzchowce w zagrodzie i radosną grupą, przekrzykując się, przepychając i dokazując, pobiegły ku domostwu.

– Hola, dokąd to? Rannego wnieść, opatryj się go po jedzeniu! – Cień o imieniu Daisy trzepnęła pierwszego z brzegu ścierką przez łeb, po czym wygładził fałdy zdecydowanie zbyt dużej sukni z idiotycznym czepkiem, zrobionym chyba z obciętego kapelusza w kwiaty. – No a panowie tacy przystojni... Witamy, witamy u nas!

Dom w środku był... no cóż, mocno upiorny. Osmalony przez dym z pożaru sufit, potrzaskane szyby, zalegający na podłodze brud przemieszany ze śniegiem. Dawno zwiedłe kwiaty stojące w wazonie, pokrytym koncentrycznymi śladami po wyschniętej wodzie. Kurz pokrywający wszystkie sprzęty grubą warstwą, w której wyraźnie odznaczały się miejsca, gdzie urzędowały poprzebierane za ludzi Cienie.

Teraz jednak paliło się tutaj słabymi ognikami kilka lamp naftowych, nadających wnętrzu chociaż rudymenarnego wrażenia przytulności. Jeden ze stołów w dawnej jadalni – wyglądającej swoją drogą, jak główne pomieszczenie jakiejś restauracji albo baru – nakryty był pobrudzoną serwetą w kratę, na której stało kilka zupełnie pustych misek i tac, podobnie jak kolekcja plastikowych butelek po coli, spricie i innych typowo amerykańskich gównonapojach.

Obrazu dopełniała wisząca na ścianie wielka flaga, na której ktoś zawiesił również niemalowany portret byłego prezydenta Najwspanialszego Kraju na Świecie, wyszczerzonego tym jego nienaturalnym, doczepionym do reszty twarzy uśmiechem. Poza tym była tutaj masa wszelkich dziwacznych bibelotów: mapa tras motocyklowych, tabliczki z klasycznym „Route 66”, zdjęcia barów i jadłodajni, dość tandetne malowidło Wielkiego Kanionu i temu podobne tanie rekwizyty.

– Siadajcie, pielgrzymi! – Tucker jako pierwszy klapnął u szczytu stołu. – Daisy, gdzie to żarcie!? Głodni jesteśmy po całym dniu pracy w polu!

– Już, już podaję!

Usiedliśmy, tym bardziej że jakoś po drodze chyba uznano jednak, iż Jonasz jest istotą myślącą. Pozostałe Cienie też szybko zajęły swoje miejsca przy stole, tymczasem Daisy ceremonialnie wniosła i postawiła na stole wielką misę pełną niczego. Radzi nieradzi też usiedliśmy z Jonaszem, patrząc jak gospodyni wielką chochlą nakłada nam nic na puste talerze.

– Powiedz kiedy, kochanie. – Cień w sukni zajął mi znacząco w twarz.

– Już, już! Dziękuję... – zreflektowałem się.

– Głodni są! – zaśmiał się Tucker. – No, to teraz odmówimy jeszcze modlitwę... Drogi Boże, którego zapewne nie ma! Dziękujemy Ci za to jedzenie, które nam dałeś, mimo że tak naprawdę to sami je zebraliśmy i znaleźliśmy, a Ty nam w tym wyłącznie przekazałeś. W imię blablaba, siku kupa pierdu dupa, amen.

– Amen! – zgodnie powtórzyły Cienie, chwytając za łyżki.

Nabrałem sobie trochę niczego, doniosłem do ust i zacząłem przeżuwać. Upiorny kolektyw pałaszował swoje porcje, aż im się uszy trzęsły. Jonasz powoli, nadal niepewnie robił łyżką w pustym talerzu.

– A co z nim? – Wskazał na Cartera, leżącego przy wejściu tak, jak go przynieśliśmy.

– Jednak zdechł? Bo ja bym nie miał nic przeciwko...

Tucker machnął szponiastą łapą.

– Wszystko w swoim czasie, pielgrzymie! A więc, boście mi nie powiedzieli: skąd i dokąd drogi prowadzą?

– ...Idziemy w kierunku Blasku – zacząłem ostrożnie, aby nie pogubić się w lawirowaniu pomiędzy prawdą a kłamstwem. – Zostaliśmy stamtąd porwani i przypadkiem trafiliśmy tutaj... Gdziekolwiek to jest.

– Aha. A czym się zajmujecie, kochaniutcy? – zagadnęła Daisy.

Reszta twardo udawała, że jest zajęta jedzeniem, ale byłem więcej niż pewien, że słuchają nas uważnie. Zresztą, sztucer Tuckera stał oparty o stół, w zasięgu ręki Cienia.

– Obsługa wiarygodności. – Jonasz błysnął kreatywnością i przytomnością umysłu.

– Ja chwilowo na swoim, bo odszedłem z firmy.

– Rzeczoznawcy... – powiedział Tucker. – No, znałem kiedyś jednego w Kansas City. Opowiadał mi, że rok wcześniej jeździł do Nowego Jorku.

– Opowiedz, opowiedz! – ucieszył się Bill.

– Opowiedz, jak wchodził na Statuę Wolności! – przyklasnęła Butch.

– Nie przeszkadzajcie ojcu w jedzeniu! – ofuknęła ich Daisy, ale Tucker otarł usta z niczego wierzchem dłoni, odchylił się w swoim krześle i potoczył po nich wzrokiem prawdziwego światowca i omnibusu, którego wiedza o świecie z pewnością zapewniała mu tutaj niemały respekt.

– No więc, to było w Kansas City, jak się spotkaliśmy. Wchodziłem akurat do tamtejszego urzędu, gdzie mieliśmy podpisywać akt zakupu ośmiuset morgi ziemi, kiedy w drzwiach spotkałem tego człowieka. Na pierwszy rzut oka było widać, że to ktoś ważny, mówię wam! Łańcuszek od zegarka miał gruby, jak mój palec, a jego laska ze srebrną główką...

Słuchałem tego jednym uchem, jednocześnie intensywnie kombinując: co dalej? Na pewno trzeba było poczekać, aż Carter wydobrzeje, a potem? Raczej się stąd zbierać, bo...

– Bracie Komorniku, co jest? Co oni, „Domek na prerii” tutaj odtwarzają? – syknął do mnie Jonasz.

– Owszem, coś w ten deseń – odparłem szeptem, patrząc na wiszącą na ścianie tarczę do rzutków, do której ktoś przyczepił taśmą klejącą podziurawione, poszarpane zdjęcie Hillary Clinton.

Tucker mówił dalej, a ja musiałem przyznać, że miał nawet pewien talent krasomówczy. Opowieść ni cholery nie trzymała się kupy, publiczność chyba słyszała ją któryś raz z rzędu, ale i tak reagowała żywo, śmiejąc się, achając i ochając we właściwych momentach. Ot, klasyka gadek głowy gospodarstwa przy niedzielnym obiedzie.

Staralem się też zachowywać pozory, naśladowując reakcje Cieni. Miałem co prawda wrażenie nie tylko wtórności, ale i trójności – oni odgrywali teatrzyk, a ja byłem jego słabą kopią.

Wreszcie historyjka doczołgała się do końca, Tucker rzucił nie do końca jasną dla mnie puentą.

– ...I od tamtej pory jest taaaki wielki! – zakończył, zadowolony z siebie.

Daisy uśmiechnęła się, poklepała go po ramieniu:

– No, dość tego lenistwa. Chłopcy, pozbiierać ze stołu, raz-dwa! A my z ojcem zajmijmy się gościem... Po coś do niego strzelał?

– On pierwszy po broń sięgnął. – Tucker wzruszył chudymi ramionami. – A mówiłem, ostrzegąłem dwa razy.

– Dwa razy? Uuu, to jego szczęście, że nie w głowę! – Daisy parsknęła śmiechem.

„Chłopcy” zajęli się znoszeniem pustych naczyń i talerzy do kuchni, gdzie jeden z nich zawzięcie zaczął udawać, że myje je pod lejącym z zamrażniętego kranu brakiem wody. Tucker i Daisy tymczasem przykucnęli nad leżącym przy drzwiach Carterem, rozpięli mu kurtkę na piersi i dogrzebali do rany.

– Daj–no szczypcę, kulę mu wyjmę.

Wymieniłem się spojrzeniami z Jonaszem, ale żaden z nas nie powiedział nic. Tucker wsadził w dziurę w piersiach Cartera kute z żelaza szczypcę, pogmerał chwilę. Wreszcie wyciągnął i rzucił na podstawioną tackę pocisk.

Aż gwizdnąłem, nawet stąd czując jego aurę: srebro, i to konkretnie wzbogacone zakłęciami!

– No i już, kochaniutcy. – Daisy wzięła się pod boki. – Zaraz mu się poprawić powinno... Co, pewnie na stado wleźliście, i dlatego papcio był taki nerwowo?

Tucker tymczasem zdążył już rozwalić się w mocno zniszczonym fotelu naprzeciwko niedziałającego telewizora. Oczywiście, nogi musiał położyć na stole, a w rękę trzymał pustą puszkę po jasnym lagerze. Nawet nie obracając się ku nam, zawarczał:

– No przecież! Patrzę, a tutaj się zakrada takich trzech nicponiów... Ich szczęście, że oczy mam jak sokół, to od razu widzę: nie, to jednak nie Czerwonoskórzy!

– I jak, jak wam się podobało nasze stado? Dorodne, co?

To ostatnie pytanie Daisy skierowała do nas, więc czym prędzej przytaknąłem:

– Bardzo dorodne, tak. My nie chcieliśmy na wasze ziemie wchodzić. Jakbyśmy wiedzieli...

– Nie ma o czym mówić – odezwał się ze swego fotela Tucker. – Przecież migrujemy pomiędzy pastwiskami, bo inaczej by się nie dało. Coraz mniej paszy ostatnio, eh.

Przypomniałem sobie Ogary pożerające wygrzebane spod śniegu trupy.

– Mniej? – zapytałem ostrożnie.

– No mniej, mniej! I mniejsze, i większe koła już robiliśmy, ale nic nie pomaga, bo pasza odrastać nie chce. Już do tych głębokich pokładów się dokopują teraz, ale co będzie dalej... Nie wiem, nie wiem. Może i nam trzeba będzie w cały świat pójść, szczęścia szukać? Gospodarkę po ojcach zostawić!

Daisy pokiwała głową ze smutkiem, otarła z kącika oka nieistniejącą łzę.

Dokładnie ten moment wybrał sobie Carter, żeby poderwać się z ziemi i gwałtownie zaczerpnąć tchu, niczym człowiek wynurzający się po długim nurkowaniu spod wody. Skoczyłem ku niemu od razu, przytrzymałem głowę, gdy zaczął kasłać i płuć skrzepami krwi z płuc.

W końcu wyrzygał wszystko, co musiał, doszedł do siebie. Nadal trzęsąc się, dał radę wstać na nogi, popatrzył z nienawiścią na Tuckera.

– Ty... – zacharczał.

– Carter, spokój. To są...

– Wiem, kim są, Zek. Słyszałem wszystko, każde słowo... I czułem wszystko! Kurwa mać...!

– Młody człowieku, co to za język?! Hamuj się pod moim dachem – zachnęła się Daisy.

Odciągnąłem Cartera na bok, uspokoiłem. Wytłumaczyłem na szybko, jaka jest specyfika tego miejsca. Postarałem się zwrócić uwagę na jaśniejsze strony sytuacji.

– ...Patrz, no popatrz sam – klarowałem mu półgłosem. – Masz tutaj, jak w domu! Narzekałeś na Europę, że to, że tamto... A tutaj masz kawałek domu na obczyźnie! I flaga jest, i zdjęcie prezydenta...

Tymczasem Jonasz, nieszczerze zadowolony z przebudzenia Cartera, przysiadł się do Tuckera i zagadywał go o rancho.

– I mówi pan, że prowadzicie tutaj wypas rotacyjny na kilku pastwiskach, tak? I jak pan sądzi, skąd te zaobserwowane braki w paszy?

– Och, kto to może wiedzieć...? – Cień upił nieistniejącego łyka z pustej puszkii. – Może kwestia braku opadów? Albo jakieś naturalne wahania, sezonowe fluktuacje. Pamiętam jak w osiemdziesiątym szóstym była taka susza, że...

– A nie braliście pod uwagę takiej możliwości, że ta... pasza... po prostu się nie odnawia? – zapytał Powróceniec z głupia frant.

Tucker zamarł. Odstawił puszkę na stół.

– Co ma pan na myśli?

– No cóż, trupy mają to do siebie że, oględnie rzecz ujmując, nie posiadają szczególnie wysokiego przyrostu naturalnego, który oscyluje w bardzo niskich wartościach. Zaryzykowałbym wręcz stwierdzenie, że jest on zerowy. Braliście w swoim modelu biznesowym pod uwagę to, że możecie korzystać z zasobów nieodnawialnych?

– Chce pan powiedzieć... – zaczął Tucker drżącym ze złości głosem. – Że nasz sposób prowadzenia farmy... Miałby być... Niezrównoważony?

Jonasz sięgnął po stojącą na stoliku puszkę, potrząsnął nią. Przytknął do ust, przechylił.

Widziałem, jak Powróceniec udaje, że pije. Nawet grdyka mu chodziła, kiedy przełykał nieistniejące piwo: log... log... log... log... W końcu osuszył ją do końca, oderwał od ust. Zmiał w dłoni, cisnął gdzieś w bok. Spojrzał na Tuckera i beknął głośno, przeciągle.

– Zupełnie niezrównoważony. Tak jak ja, gospodarzu. – Uśmiechnął się maniakalnie.

Obserwowałem go już kilka chwil. Znałem tendencję do przesadnej teatralności i tworzenia scen. Dlatego też przypuszczałem, co może chcieć zrobić.

Miałem rację. Ale skoczyłem ku niemu o ułamek sekundy przed tym, jak jego ręka wystrzeliła w kierunku opartego o fotel Tuckera sztucera myśliwskiego.

Wskoczyłem pomiędzy nich dwóch idealnie.

Ręka Jonasza złapała mnie za krocze.

– Jonasz...! – sapnąłem.

Oczy Powróceńca zrobiły się wielkie. Otworzył usta. Puścił mnie.

– Co to miało znaczyć?! – doleciało gdzieś z okolic mojej odbytnicy, wypiętej malowniczo w kierunku Tuckera.

Jonasz chciał chyba jeszcze coś zrobić, bo otworzył usta i podniósł dłoń, w której zamigotał purpurowy płomyk.

Jedną ręką zasłoniłem mu usta, drugą chwyciłem jego palce i ścisnąłem z całej siły, tłamsząc niedokończzone zakłęcie w zarodku.

– Pora na nas. – Obróciłem się do Tuckera, nadal trzymając Jonasza. – Nasz kolega czuje się lepiej. Idziemy, Jonasz, wychodzimy.

– Puść mnie, bracie Komorniku, bo ja...

– Wychodzimy, albo klnę się na samego siebie, że usmażę ci rękę. A wtedy już nie odrośnie – zagroziłem.

– Co się dzieje, kochanie? – przebrany za kobietę Cięń wyjrzał z kuchni.

Ja jednak podniosłem już Jonasza i pohołowałem go w kierunku drzwi. Po drodze złapałem drugą ręką Cartera, rzuciłem przez ramię:

– Dziękujemy za gościnę, obiad był przepyszny... Boże błogosław Amerykę!

– Ju-es-ej! – wydarł się stojący na zmywaku Cięń.

Wytoczyliśmy się na ganek, potem dosłownie zepchnąłem moich towarzyszy po schodkach na dół. Daisy i Tucker wyszli jeszcze za nami: on zacięty, ewidentnie wkurwiony, ze sztuceredem na ramieniu; ona machająca nam chusteczką.

Carter marudził coś po nosem, Jonasz warczał i pomstował. Miałem to w dupie.

Jak rzadko kiedy, udało mi się zapobiec incydentowi kałowemu, zamiast go sprowokować i potem dodatkowo pogłębiać.



– Zek...

Spojrzałem na Cartera w jego zalanych krwią ubraniach.

– Tak, wiem, pamiętam: szukamy dla ciebie odzieżowego. I jeszcze raz sorry, że nas stamtąd tak wyrwałem, ale...

– Zek, ja nie o tym. Co ten Cięń powiedział o spotkaniu z nami?

– Hm, hm... Że niby patrzy, a tam jacyś dranie się zakradają? Coś w ten deseń...

Byliśmy już spory kawałek drogi od fermi Cieni. Minęliśmy kilka ich, jak to określił Tucker, „pastwisk”, z których dwa okazały się być po prostu masowymi grobami z początków Apokalipsy. Rzeczywiście, w pewnej chwili minęliśmy nawet wbitą w zmarzniętą ziemię tabliczkę z koślawym napisem „TEREN PRYWATNY – INTRUZI BĘDĄ ZASZCZELANI”.

– Nie, to coś innego było. Ej, może zajdźmy tam, do tego domu? – Wskazałem majaczący w oddali kształt. – Na pewno mają jakieś ciuchy... On użył jakiegoś takiego słowa charakterystycznego. Czegoś obraźliwego, jakby o Afrykańczykach miał powiedzieć, że to cza...

– Czerwonoskórzy – nagle odezwał się Jonasz, do tej pory obrażony i milczący.

– O, właśnie! O to ci chodziło, Carter? I w ogóle co to ma do rzeczy, bo...

Bez słowa pokazał na coś ręką.

Na niewielkim pagórku nieopodal nas wznosiły się skupiskiem szkieletów martwych drzew resztki zagajnika. I teraz na tle tych czarnych kikutów drzew wyraźnie widać było odcinającą się zarówno od czarnych pni, jak i od białego śniegu postać.

Zmrużyłem oczy, puszczając w żyły nieco Purpury, aby poprawić wzrok. Źrenice od razu rozszerzyły się, wpuszczając na siatkówkę zdecydowanie więcej światła, podkreślając kontrast i kolory. Nagle widziałem każdy osobny pień drzewa, kikut martwego krzewu i górkę na śniegu.

Oraz stojącego na tle zagajnika czerwonego człowieka.

– Ki diabeł...? – mruknąłem. – Carter, czy tobie też się wydaje, że on...

– Nie ma ubrania. I nie tylko ubrania.

I w tym momencie czerwony człowiek – bo dobrze widziałem, że faktycznie jego sylwetka miała bladoczerwony, z przeblaskami fioletu i żółtawej bladości, odcień! – wydał z siebie już zupełnie nieludzki wrzask, po czym rzucił się biegiem z pagórka.

Przy czym nie biegł na dwóch nogach, jak należałoby się spodziewać, a na czterech, niczym zwierzę, sadząc długie, sążniste susy.

Zaś z zagajnika wyskoczył jeszcze jeden. I jeszcze, i następny, i kolejny... Doliczyłem do tuzina.

Staliśmy tak, osłupiali, patrząc na wylewającą się spomiędzy drzew czerwoną falę.

– W nogi! – wrzasnąłem i rzuciłem się do biegu.

Zdążyłem odbiec może dziesięć kroków, kiedy Jonasz i Carter poszli w moje ślady.

Gnaliśmy przez lodowatą pustynię, widząc ledwie zarysy wszystkiego wokół. Ciemność przelewała się i wila pasmami, mrok skakał i rozjarzał się rozblaskami powidoków, gdy tak pędziliśmy, ile sił w nogach.

– Gonią nas! – wrzasnął Jonasz, wysforowując się naprzód.

Rzeczywiście, czymkolwiek były te istoty, pędziły za nami, wyciągając się w skoku, lądując na ziemi i przebiegając rękami i nogami, niczym najprawdziwsza sfora drapieżników. Gdy na ich drodze wyrósł częściowo zwalony dom, nawet nie zadawały sobie trudu obiegania go, zamiast tego po prostu wskoczyły na dach i ściany, a stamtąd wybijały się dalej do biegu.

Mieliśmy przerąbane. Nie wiem skąd, ale ta pewność wbiła mi się w głowę niczym zardzewiały hufnal i na dobre utkwiała w mózgu.

Niby było nas trzech – dwóch Komorników aktywnych i jeden eks. Otrząskanych w walce wręcz, nieźle radzących sobie z magią. Niegłupich i w ogóle doświadczonych.

A jednak mimo to – albo może właśnie dlatego! – żadnemu nawet w głowie nie powstało, żeby spróbować przyjąć te istoty bojem w otwartym polu.

– Tam...! – Carter pokazał ręką kierunek, skręcając ku niedokończonemu kilkupiętrowcowi na obrzeżach pozostałości miasteczka.

Kiedy Jonasz jako pierwszy wpadł na teren dawnego placu budowy, wyjące i charczące stwory były parędziesiąt metrów za nami.

Gdy Carter dopadł do betonowych schodów i zaczął po dwa, po trzy stopnie piąć się na górę, forpocztę potwornej kawalkady dzieliło ode mnie paręnaście kroków.

Zaś kiedy ja wskoczyłem na pierwszy stopień, wyciągnąłem jedną ręką gladius, a drugą zerwałem strzelbę z ramienia i dałem ognia prosto w pysk pierwszego monstrum, skaczącego właśnie na mnie z szeroko rozwartą paszczą.

Śrut sięgnął istotę w pół skoku, obrócił i rzucił w tył, między pobratymców.

Byłem w połowie biegu schodów – serio, to się tak nazywa: „bieg schodów” – kiedy druga istota rzuciła mi się na plecy. Ciąłem ją z półobrotu płonącym gladiusem, klinga weszła gdzieś pod wciągniętą ku mnie rękę i przeorała klatkę piersiową.

Kopniakiem strąciłem abominację z ostrza, po czym w kilku susach wpadłem na kolejne schody, prowadzące na drugie piętro...

...Kurwa, to byli ludzie.

Obdarci ze skóry ludzie.

Bez oczu, w miejscu których ziały tylko czarne dziury.

Z wyrwanymi językami, o zdecydowanie zbyt dużym rozstawie szczęk i spiłowanych na ostro zębach.

– Uwaga...! – Z góry doniósł się ostrzegawczy krzyk, a chwilę po nim ryknęły i błysnęły ognie, zmiatając poza krawędź betonowej platformy kilka sylwetek, które ciągnąc za sobą płomienie i warkocze dymu poleciały na spotkanie z ziemią.

Kątem oka zarejestrowałem ruch, wystawiłem przed siebie gladius – Czerwonoskóry nadział się wprost na klingę, płomienie wystrzeliły mu aż z pleców. Poczulem, jak jego łapy o długich, szponiastych paznokciach chwytają mnie za kurtkę, rwą warstwę materiału i sięgają ciała.

– Zek...!

– Aaa! – wrzasnąłem, puszczając z lewej ręki strumień ognia i dosłownie zmiatając stwora z ostrza, odrzucając go w tył jako skwierczącą, dymiącą skwarę. – Jestem...! Kurwa, już...!

Kolejny obdarty ze skóry stwór wychynął z zejścia, już miał rzucić się na mnie.

I wtedy drogę zastąpił mu Carter, który musiał zeskoczyć z górnego poziomu.

Nawet nie zarejestrowałem wszystkich ruchów jego mieczy.

– Zek...! – Zbryzgany krwią i kawałkami dymiącego ciała, złapał mnie pod ramię, powlókł po schodach na górę. – Trzymaj się!

Trzymałem się, mimo że poharatane plecy i ramiona paliły żywym ogniem.

– Płońcie, dziecińy! Niech was pochłonnie...! – wydarł się z góry Jonasz, a ja aż zobaczyłem przez zbrojony beton błękitnawy rozbłysk wzoru kabalistycznego, który musiał błyskawicznie nakreślić i odpalić.

Ryczące płomienie trysnęły w niebo fontanną, a potem spadły niebieskawo-fioletowym deszczem wszędzie wokół, rażąc biegnące ku budynkowi, wspinające się po ścianach i gramolące schodami istoty. Gdziekolwiek ten deszcz zniszczenia dotykał ich odartych ze skóry ciał, mięso skwierczało i gotowało się, odlażąc płatami od kości. Stwory wyły i skowyczały, tarzały się w śniegu i spadały na niższe poziomy, podcinały swoich pobratymców i wierzgały dziko, w przepełnionym bólem szale rwąc nawzajem swoje cielska.

Jednak na miejsce każdego rażonego magią Jonasza, pojawiał się następny. Albo i dwa.

– Zasłona...! Zek, musimy postawić sferę, bo...

– Zaczynaj! – sapnąłem, opadając na beton. – Ja dołączę!

Carter stanął na szeroko rozstawionych nogach, wyrzucił w górę ręce z mieczami i zaczął wykrzykiwać sylaba po sylabie słowa inkantacji.

A ja poczułem, jakby ktoś szarpnął mnie za wszystkie wnętrzości naraz. Jak gdybym miał w pysku rurę od odkurzacza, a drugą taką samą ktoś mi wsadził w dupę i włączył na pełny zycher – jedną na ssanie, drugą na dmuchanie.

Przeptyw energii przez moje ciało był niczym Orient Express zapierdalający mi na pełnej prędkości przez jelita. Jak zasrany hyperloop, jeżdżący naraz po wszystkich żyłach mojego ciała. Niczym przekop Mierzei Wiślanej, robiony przez moje gałki oczne.

Mimo to podniosłem się na kolana, potem wstałem i też wzniosłem nad głowę miecz, próbując wpasować się w rytm wykrzykiwanych przez Cartera słów.

– O kurwa... Klaato Baradu Niktu! – zaśmiał się maniakalnie Jonasz, po czym zanurkował w naszą stronę.

W samą porę, bo wokół nas rozbłysła utkana z Purpury sfera, która zafalowała, zatętniła i strzeliła na boki, otulając nas kokonem ochronnym.

Ci z Czerwonoskórych, którzy byli zbyt blisko, po prostu wyparowali, rozpyleni na kawałki sadzy w gwałtownych wyładowaniach.

– To działa, Zek! To działa...! – zaśmiał się Carter.

I właśnie wtedy mój organizm się, kolokwialnie rzecz ujmując, poddał.

Kaszlnąłem krwią, osunąłem się na kolana.

Sfera zamigotała, zbladła i nagle zgasła, rozwinęła się w zimnym i ciemnym powietrzu.

– Zek...!

Stwory rzuciły się na nas falą.

I wtedy rozbłysło światło.

Jaskrawe, oślepiające, rażące, białe światło z gatunku tych, co aż bołą.

Gdyby padło wprost na nas, chyba wypaliłoby nam oczy. Mnie na pewno. Na szczęście jednak jego źródło było gdzieś w dole, na poziomie gruntu.

Jednocześnie coś zadudniło głucho.

Skaczący właśnie na Cartera potwór rozleciał się w powietrzu kaskadą ochłapów i krwi. Drugi zaraz obok niego stracił górną połowę ciała, która po prostu zniknęła. Trzeci, stojący właśnie na krawędzi budynku, poleciał w górę szarpnięty jakąś przerażającą siłą.

– Padnij! – zawył Jonasz, rzucił się na beton i zakrył głowę rękami.

Wokół nas rozpetało się małe piekło. Huk, błyski, eksplozje miniaturowych kuli ognia i śmigające przez ciemność rozmazane kreski oślepiającej czerwieni. Dudnienie, drżenie konstrukcji, śmigające na wszystkie strony odłamki betonu.

Potem zapadła przerażająca, dzwoniąca w uszach cisza.

Odważyłem się rozchylić powieki.

Wszędzie wokół nas leżały zmasakrowane, poszatutowane ciała Czerwonoskórych. Porwanych na kawałki, dymiących, posiekanych nie do poznania.

A my żyliśmy, bo... bo nie wiem co się stało.

Chciałem wstać, ale mi się nie udało, więc podpierając się rękami podczołgałem do krawędzi betonowej platformy drugiego piętra i spojrzałem w dół.

Zaś tam, pośród zrytego gąsienicami placu budowy, stało ciemnozielone, ośmiokątowe pudło transportera opancerzonego z dymiącym działkiem na wieżyczce. Obwieszone odwróconymi krzyżami, pentagramami i czaszkami wszelkich istot możliwych i niemożliwych. Wymalowane białą farbą w bluzniczerce napisy i cytaty.

Reflektor przy wieżyczce, który wcześniej błędził w poszukiwaniu kolejnych celów, przesunął się w górę i zatrzymał na mnie, oświetlając płamą jasności. Zmrużyłem, przysłoniłem oczy.

Kłapa w wieżyczce otworzyła się i wyjrzała z niej głowa w hełmofonie. A potem śladem tej głowy przecisnęło się jedno i drugie ramię w puchowej kurtce... Ktokolwiek to był, ledwie się mieścił w otworze włazu.

Czołgista, czy też transporterzysta, spojrzał na mnie. Ściągnął z głowy hełmofon. Światło błysnęło na łysinie, zagrało odbłaskiem na wplecionych w warkocz brody srebrnych koralikach.

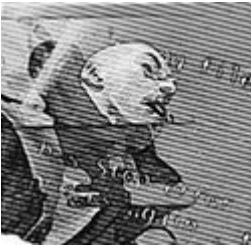
– O kurwa... Zek? – zapytał wyglądający z transportera człowiek.

Podniosłem rękę i pomachałem słabo.

Serio, nie miałem już nawet siły się dziwić.
– Siemano. Kopę lat, Kemosz.



Rozdział IV



Transporter ryczał silnikami, brzęczał żelastwem, pachniał smarem, paliwem i spalinami. Wszystko w środku podskakiwało, telepało się i sprawiało wrażenie, jak gdyby całość miała zaraz rozpaść się na kawałki.

Natomiast jechaliśmy, prując śniegi Rewersu z prędkością, którą najkrócej można było określić jako „zawrotną”.

– Jak tam z tyłu?! – krzyknął przez ramię Kemosz, siedzący na fotelu kierowcy. – Wszystko gra?!

Carter coś mu odpowiedział, ale słowa zlały się w hałasie w jedną, nierozróżnialną masę dźwięków. Jonasz siedział naprzeciwko mnie, przypięty pasami do miniaturowego siedzonka załoganta, i z lubością czytał bluźniercze wersety pokrywające całe wnętrze stalowej puszki.

Natomiast u mnie nie wszystko grało. W zasadzie to nic nie grało. Czuję się paskudnie, wszystko mnie bolało, mięśnie płonęły ogniem, moje flaki były systemem utylizacji odpadów niebezpiecznych, a w głowie miałem wysypisko śmieci, po którym wiatr przewalał akta z obrad komisji Macierewicza i zdjęcia parówek eksplodujących w mikrofalówce.

Transporter znów zakręcił, a mnie po raz kolejny kierowało do Rygi. Zaciśnięte zęby, czując, jak usta wypełniają się gęstą śliną, a żołądek skręca w supeł.

To nie była choroba lokomocyjna, o nie.

Od czasu do czasu działo w wieżyczce odzywało się ogniem, dodatkowo potęgując chaos i wynosząc dręczący mnie ból głowy na jakieś iście niewiarygodne wyżyny cierpienia. Nie wiem, do kogo strzelał operator, ale nie żałował amunicji, ładując kartridż po kartridżu w gniazdo zasilania. Wnętrze transportera zasnuwał wtedy siwy, gryzący w oczy dym, a mi jeszcze bardziej chciało się rzygać.

Wreszcie, po trwającej całą wieczność, składającej się wyłącznie z przyspieszeń, hamowań i gwałtownych zmian kierunku przejażdżce dzięki kolejką górską, wytraciliśmy prędkość i stanęliśmy. Silnik zaturkotał i zgasł, zapaliły się lampki przy wyjściach.

– Koniec trasy, zapraszamy do wyjść! – zadudnił Kemosz radośnie. – Witajcie w...

– Mieście Bohaterów? – Spojrzałem na niego umęczonym wzrokiem.

Zaciął się, urwał. Potrząsnął tylko głową i jako pierwszy wysiadał z wozu.

Półkuliście sklepiony hangar oświetlało skąpym blaskiem kilka żarówek, palących się w przybrudzonych pancernych kloszach doczepionych do wymurowanych z czerwonej cegły ścian. Białawe zacieki soli ciągnęły się długimi kreskami od sufitu aż do posadzki, dając dobitnie do zrozumienia, że budowla musiała stać tutaj już kilkadziesiąt lat, i zapewne postoi sporo więcej... To jest, o ile wcześniej nie dopadnie jej Koniec Wszystkiego.

Dopiero tutaj, kiedy wszystko uspokoiło się i stanęło, oparłem się o lodowato zimną, pokrytą zestalonym śniegiem burłę transportera i rzygnąłem sobie soczyście. Operator działka i jeszcze ktoś, zajmujący się teraz zdejmowaniem przypiętych do pancerza skrzyń pełnych puszek konserw i zgrzewek wody, spojrzął na to z dezaprobatą:

– Nie no, i ja mam to sprzątać potem...

Natomiast Kemosz szarpnął go za ramię, pokazał na mnie ręką:

– Zostaliśmy pobłogosławieni! Spójrzcie, oto nasz Mroczny Pan hojnie zrosił naszą ziemię swymi sokami, abyśmy nigdy nie zaznali...

– Kemosz, zamknij się – poprosiłem, próbując przezwyciężyć skurcze żołądka.

– Zek! Zek, też się cieszę, że cię widzę! Nie wiem, kim są twoi towarzysze, ale... O kurwa, o kurwa mać. O chuj. O ja jebię.

– Cześć – powiedział Carter, ściągając z twarzy kominiarkę.

– Znacie się? – zapytał radośnie Jonasz, obserwujący tę mocno kuriozalną sytuację towarzyską z nieudawanym zainteresowaniem. – No proszę, rozumiem, że mamy tutaj jakiś mocno nieoczekiwany plot twist po latach, tak? Gdyby ktoś z was był tak miły i wprowadził mnie wawiłości układów interpersonalnych, to będę...

Do garażu weszła ubrana w krótki, futrzany kubrak drobna kobieta, a zaraz za nią wdreptał kilkuletni dzieciak, trzymający się spodni matki. Kobieta ogarnęła wszystko jednym rzutem oka i od razu zaatakowała:

– Kemosz, co to ma być?! Dlaczego wracacie prawie na pusto? I co ja ci mówiłam o przywożeniu pasażerów na gapę? Nie jesteśmy tutaj hostelem dla zagubionych turystów, żeby... O ja pierdołę, Zek.

Nie miałem już siły odpowiadać na kolejne takie teksty, więc po prostu rozłożyłem ręce gestem w stylu „oto jestem”.

Zaś Cat rzuciła się ku mnie biegiem, po drodze rozpląkała się i padła mi w ramiona.

– Zek...!

– Cat...! – sapnąłem, czując, jak jej uścisk dosłownie grozi wyciśnięciem ze mnie treści żołądkowej. – Cat, hej, dziewczyno... Dobrze cię zobaczyć, i mały wyrósł...

Do garażu wsypywali się jeszcze jacyś ludzie. Aż głupio się przyznać, ale część z nich kojarzyłem z twarzy i już zupełnie mi się pierdoliło: czy widziałem ich w tym życiu? W poprzednim? Wśród Komorników, czy raczej wśród Dłużników? A może w ogóle na Arenie?

– Nasz pan powrócił! – zadudnił Kemosz, zwracając się do tamtych i wznosząc ręce. – Padnijcie i oddajcie mu pokłon, bo...

– O kurwa mać, to Komornik... To przecież Pierwszy! – wrzasnął ktoś, pokazując na Cartera.

A ja poczułem najpierw przemożne déjà vu, a potem jak uginają się pode mną kolana.

Istnieje coś takiego, jak zemdleńce taktyczne. Widziałem coś takiego raz w życiu, jak podczas Bardzo Ważnego Spotkania ściągnięto do tłumaczenia dwóch Bardzo Ważnych Ludzi jakąś winną Bogu ducha kobiecinę, co to miała być niby tłumaczką, a okazało się, że w sumie to jest, ale pisemną i tylko dokumentów – więc trochę tak,

jakby drwalowi kazać zrobić stół, albo ślusarzowi anodować aluminium. Ale ja nie o tym.

No więc, w trakcie tego spotkania jakoś sobie kobieta nawet radziła, dopóki jeden Bardzo Ważny Człowiek nie pozwolił sobie podczas konferencji prasowej z obecnością drugiego Bardzo Ważnego Człowieka na dość konkretnie z dupy uwagę pod adresem jeszcze trzeciego Tak Samo Ważnego człowieka, którego akurat tam nie było. I to było coś na zasadzie: „Nie wiem czy słyszeliście państwo ostatnią wypowiedź pana XYZ, ale nie wiem, czy takie słowa można przypisać osobie inteligentnej, albo w ogóle pozostającej przy zdrowych zmysłach”.

No i ta nieszczęsna tłumaczka to usłyszała, zrobiła się najpierw czerwona, potem biała, aż w końcu złożyła się jak scyzoryk na glebę i musiała ją ochrona za nogi wyciągać. Po prostu zemdlała sobie taktycznie.

I ja teraz zrobiłem dokładnie to samo.



– Zek, żyjesz? – Słowa doleciały do mnie słabym echem.

Szczerze, to nie byłam pewien, ale z czystej grzeczności kiwnąłem głową. Ruch ten wywołał całą kaskadę westchnień, sapnięć i mruknięć, w których dominującym tonem była ulga.

– Dzięki niech będą mrocznym bogom! Teraz trzeba... – Głos Kemosza zadudnił mi pod czaszką niczym ciężarówka przejeżdżająca obok przedszkola.

– Teraz to trzeba, żebyś wziął Kastora i dokończył wasz rajd, Kemosz. I tym razem lepiej załadujcie coś porządnego, skoro mamy dwie gęby więcej do wykarmienia. A reszta won mi stąd, to nie reality show, żebyście mieli się gapić. Jezebel, zabierz ze sobą Ronniego...

– Jasne, już się robi. No chodź, mały, pobawimy się w ciuciubabkę.

Oczywiście ta dłuższa, nie znosząca sprzeciwu wypowiedź należała do Cat. Rozległy się szurania i kroki, kiedy tak zwana „reszta” wychodziła z pomieszczenia, potem cicho skrzypnęły i szczęknięły zamykane drzwi.

– Hej, Cat – powiedziałem, nie otwierając nawet oczu.

– Cześć, Zekuś. Dobrze że żyjesz... Trochę gorzej, że Carter też.

Otworzyłem oczy i zaraz je zmrużyłem, bo światło wiszącej pod sufitem nagiej żarówki boleśnie zakłuło mnie pod czaszką.

Leżałem na jakimś prowizorycznym pośłaniu, przykryty całą warstwą koców, narzut i kołder. Pomieszczenie musiało być czymś w rodzaju podziemnej celi, jednej z tych, od których aż roiła się Twierdza w Mieście Bohaterów.

No tak, Twierdza w Mieście Bohaterów. Jedno z miejsc, w których byłem w poprzedniej edycji świata. Wtedy też był transporter ze światłami, był Kemosz i Jezebel... I kilkoro innych też. A potem przylazł Jonasz, który robił z nimi interesy, a ja wpuściłem do środka demony i wszystkich pozabijałem.

Na czele z Kemoszem. Z zupełnie irracjonalnego powodu było mi nadal bardzo głupio.

Teraz jednak była tutaj też Cat. I był Carter, znany tu raczej jako Danael Pierwszy, którego zła sława w pełni zasłużyła wyprzedzała go nawet w Rewersie.

– Cat, ja mogę to wyjaśnić. Sam spotkałem go przypadkiem, a on...

– ...A on przeszedł na stronę wroga. I to jeszcze dawno, dawno temu, Zek, na samym początku.

– To ty... wiesz?

Kiwnęła głową.

– Słyszałam taką wersję, nie mówiłam Kemoszowi. To tylko dzięki niemu on jeszcze żyje... Ale wprowadziłeś nam lisa do kurnika, Zek. Na całe szczęście daliśmy radę go obezwładnić.

– Co? Jak to „obezwładnić”? – Aż się podniosłem na poduszkach. – Chcesz mi powiedzieć, że go...

– Mówię: obezwładnił. Próbował stawiać opór, ale bez Purpury jest tutaj niewiele więcej niż człowiekiem. Powiedz mi lepiej, co to robi u ciebie, hm?

Sięgnęła ręką i ściągnęła mi z czoła czapkę, pod którą ukrywałem Znamię.

– Cat, ja...

Wydawało mi się, że się nawet nie poruszyła. Jej prawa dłoń leżała na kocu tak, jak wcześniej – tylko że teraz trzymała w niej trójząb, którego krótszy środkowy ząb szorował mi o grdykę, zaś dwa dłuższe opierały się odpowiednio o wgłębienie obojczyka i nos.

– Zek, ja naprawdę mam nadzieję, że masz jakieś dobre wytłumaczenie. Bo tak bardzo, jak bardzo się cieszę, że widzę i ciebie, i Cartera, to zapewniam cię: będę cieszyć się wcale nie mniej, wiedząc, że Ronnie może spać bezpiecznie poza zasięgiem Korpusu Komorniczego.

Westchnąłem ciężko.

– Serio chcesz wiedzieć? Tak od kuchni, ze wszystkimi przyległościami?

– Obawiam się, że muszę, Zek.

Nabrałem głęboko tchu.

– ...Wstąpiłem do Korpusu, żeby na nowo posiadać niezbędne mi moce regeneracji i Re-Kreacji, ale przede wszystkim, żeby wziąć Zlecenie na Jonasza... Nie, nie przerywaj! – Machnąłem ręką, widząc, że chce o coś zapytać. – Jonasz byłym Komornikiem, ale teraz umarł i Powrócił. Jest mi potrzebny, bo wie, w jaki sposób można zabić Anioła. Ale nie mojego Anioła Nadzorcę, bo w sumie Azrael to równy gość, jak go nieco bliżej-poznać. Gdyby nie on, już bym nie żył, bo porwał nas, to jest mnie i Jonasza, Carter na pokładzie Tronu, który potem rozbiliśmy w Rewersie. I na dodatek wiem, gdzie jesteście, bo kiedyś sam tutaj byłem, tylko że wtedy rządził Mormos...

Zaczerpnąłem tchu, ale Cat była szybsza:

– Skąd wiesz o Mormosie?

– ...Bo jak tu byłem, to go poznałem. A co z nim?

– Zabiłam go. – Wzruszyła ramionami.

– Co? – Zamrugąłem.

Cat, którą znałem nie była typem morderczyni z zimną krwią.

– Zabiłam go, mówię. Był mocno agresywno-ekspansyjny, pozwalał sobie na nieprzystojne komentarze i propozycje. Taki typowy toksyczny samiec.

– Ale to jeszcze nie jest powodem, żeby...

– Ronnie. Zaczął grozić, że zrobi mu... – zająknęła się, jej twarz drgnęła – ...rzeczy.

– No dobra, to już jest powodem.

– No więc, nie czekając, aż posunie się dalej, zabiłam go i zabrałam mu Twierdzę. W sumie to żałuję, że poszło tak szybko, bo był naprawdę złym człowiekiem, ale nieszczęśliwie dał mi szansę, bo zaczął kombinować z jakimś naprawdę paskudnym zakłębieniem.

– Audytor.

– Audytor, nie inaczej – potwierdziła. – Poza tym... Ej, skąd to wiesz?

– Powtarzam ci, że byłem tu w poprzednim życiu – jęknąłem. – I nie pytaj o to ciągle, okej? Przyjmij wersję Kemosza: jestem Bogiem, więc wiem rzeczy. To w sumie nie odbiega daleko od prawdy.

– Jak dla mnie, Zek, możesz być nawet i samym diabłem. Cieszę się, że cię widzę, łysy draniu. I bardzo, bardzo chciałabym ci wierzyć.

W tym ostatnim zdaniu usłyszałem coś niepokojącego.

– ...Ale?

– Ale nie mam na potwierdzenie twoich słów nic poza, no cóż, słowami. A sam rozumiesz, że jesteśmy w Rewersie, prawda? Tutaj dziwne rzeczy są normalne i nie wolno za bardzo w nie wierzyć.

– Cat, ale jak mam ci to udowodnić? Co pokazać na potwierdzenie? Przecież nie wezwę tutaj Azraela, żeby..

– Nie jestem twoim służącym, Ezekielu – odezwał się z godnością siedzący na pancерnej szafie Anioł Śmierci.

Cat kwiknęła, rzuciła się gwałtownie i spadła z tapczanu na podłogę, wystawiając przed sobą trójząb. Ja też zerwałem się, wykonałem jakiś gwałtowny ruch, obracając się w kierunku Anioła.

Zaś ostrze trójzębu Cat zaiskrzyło, strzeliło i zapłonęło najczystszą Purpurą.

– Azi, co ty tu robisz?! – zajęczałem, gramoląc się z wyrka niczym gówniarz zajęty pokazywaniem kuzynce swojej różowej fujarki, do którego pokoju nagle wchodzi ktoś z rodziców. – Przecież... Przecież jesteście w Rewersie!

– Och, niezaprzeczalnie, Ezekielu. Muszę przyznać, że możliwość odwiedzenia tych terytoriów jest również dla mnie fascynującą perspektywą. Być może nie aż tak bardzo ekscytującą, jak dla ciebie, ale zapewniam, że też miałem tutaj kilka chwil zaskoczenia.

– I chcesz powiedzieć, że mogłeś... Że mogłeś się zjawić w dowolnej chwili?! Że cały ten czas błędzieliśmy po omacku?! Że mogłeś powiedzieć nam, jak wydostać się z Tronu z pominięciem tej gigantycznej katastrofy?!

– Z całą pewnością potrafiłbym udzielić kilku przydatnych rad, owszem. – Anioł z zadowoleniem wydał swoje wydatne wargi. – Pilotowanie jednostek taumaturgicznych nie jest moją specjalnością, jakkolwiek samo ułożenie podstawowych węzłów przekierowania Purpury nie różni się w nich znacząco od powszechnie przyjętego wzorca.

– To czemu się nie zjawiłeś?! – wydarłem się.

Anioł przekrzywił głowę:

– Nie wyraziłeś woli zobaczenia mnie, Ezekielu.

Tymczasem kuląca się na podłodze Cat wstała, przesunęła się plecami ku ścianie, nadal wystawiając ku Aniołowi płonący trójząb.

– Zek, to jest Anioł... Kemosz, pomocy! Tu jest Anioł! Bierzcie broń i mmmfmmfmm...!

Skoczyłem ku niej, wykręciłem trójząb i zasłoniłem usta ręką. Azrael patrzył na to, ewidentnie zafascynowany złożonością naszych ludzkich interakcji.

– Ci-cho! Cicho, Cat, bo zaraz się to wymknie spod kontroli... Coście zrobili z Carterem?

Puściłem ją, a w zasadzie to ona mi się wyrwała. Odsunęła się, wodząc trójzębem między mną a Azraelem.

– Nic! Obezwładniony, bo bez Purpury... Zek, jak to możliwe? Jakim cudem mój trójząb się włączył po tylu latach?

Spojrzałem na Azraela.

– Azi...? Może faktycznie pora na jakies odpowiedzi?

Anioł uśmiechnął się dobrotliwie, pokiwał głową.

– Co tylko sobie życzysz, Ezekielu. Otóż obszarowe wzmoczenie, czy też raczej: obszarowe występowanie pola intensywnie wysyconego esencją Purpury jest uzależnione i przywiązane do esencji twojej istoty. Stanowiąc jakkolwiek dorywcze, to jednak najwyższe ogniwo w Hierarchii, jesteś ucieleśnieniem samej Mocy i dlatego też twoja fizyczna forma tutaj, na Ziemi, pozwala na jej przekazywanie dalej. Oczywiście, dzieje się to poza systemem, jednakże za wyjątkiem ostatniego incydentu to doprawdy śladowe ilości, które nie mogą...

– „Śladowe ilości”? Azi, poczekaj, czy mówiąc o incydencie masz na myśli...

– Zaraz, hola – przerwała mi Cat. – Jak to, „najwyższe ogniwo”? Chcesz powiedzieć, że Kemosz ma rację, a on naprawdę jest... że niby Zek jest Bogiem?

Azrael uniósł brwi, pokazał na mnie ręką, niczym konferansjer w trakcie programu na żywo.

Westchnąłem. To się dało opisać tylko w jeden sposób.

– ...To skomplikowane.



Kiedy wraz z Cat wyszliśmy z lazaretu, pod drzwiami czekało już kilkoro mieszkańców Twierdzy z Kemoszem na czele.

– Oto z objęć wyłonił się nasz Mroczny Pan! – zadudnił brodaty satanista i rymsnął przede mną na kolana. – Padnijcie na twarze i oddajcie mu pokłon...! Zekuś, no coś ty? Daj się ucieszyć, że cię widzę!

– Kemosz, wstawaj, do cholery... Wstawaj, mówię! Rozkazuję ci wstać w moje własne imię! Siemano, eee, Tejewel, tak? Moloch, cześć... O, hej, Usza, fajna stylówka, nie poznałem cię w pierwszej chwili.

Stojący przy Kemoszu ludzie wymienili się spojrzeniami, zaszepotali. Przekląłem się w myślach: kurwa, przecież ja ich nie powinienem znać. Ech, no nic, trudno, brniemy w to dalej.

Cat jednak od razu przyjęła o wiele bardziej pragmatyczne podejście do tematu:

– Co to za zbiegowisko? Kto pilnuje baterii bramnej, kto obsługuje reflektory na górnym pokładzie?!

– Spokojnie, są na auto ustawione, odpalają się co pięć minut... – bąknął któryś z miejscowych.

– Tak jak ostatnio? Jak nam do kopuły nawłaziło Cieni, a potem trzeba było na nie polować w korytarzach? Ruchy stąd, ale to już...! Jez, oddaj mi małego, a sama ogarnij ich, bo jak ja zaraz...!

Odebrała Ronniego ubranego w bardzo gustowną kurteczkę z wymalowanym sprayem pentagramem i od razu zmieniła się na twarzy. Spojrzała na dzieciaka, pokazała na mnie:

– Widzisz? To jest wujek Zek... Nie znasz go, ale wujek był z nami, jak uciekaliśmy złemu Archaniołowi! No, przywitaj się ładnie. Jak się witamy?

Mały spojrział na mnie spode łba i pokazał mi złożonymi palcami lewej rączki klasyczną, metalową kozią głowę.

– Kemosza robota? – wysunąłem przypuszczenie.

– Trzeba dbać o wychowanie młodego pokolenia, Zek! Słuchaj, gdzieś ty się podziewał? I co robi z tobą tutaj Carter, dlaczego on ma na czole Znamię?

Zamachałem rękami na znak, że wszystko opowiem we właściwym czasie.

– Po kolei, dobra? Chodźcie, usiądziemy, ja też się spróbuję trochę ucieścić z tego, że was widzę... Długo tu siedzicie już, w sensie, że w Rewersie?

Cat pokazała głową: idziemy, to nie jest miejsce na rozmowy.

Poprowadzili mnie przez korytarze podziemnego bastionu. Spod odchodzącego płatami tynku tu i ówdzie wyglądały surowe cegły, pod sufitem ciągnęły się grube wiązki buczących kabli. Słyszałem, jak gdzieś w podziemiach głucho dudni generator, żarówki delikatnie przygasały i rozjarzały się ponownie w rytmie spadającego i rosnącego zapotrzebowania na energię w tej prymitywnej sieci przesyłowej.

– Gustowne. – Pokazałem na tężowe podświetlenie ustawionego na skrzyżowaniu ołtarzyka z przeważającymi motywami satanistyczno-bluznierczymi.

W ogóle wszędzie pełno było rzeczy, za które w Blasku groziła przysłowiowa czapa w wersji instant: okręcone drutem kolczastym, odwrócone krzyże przeplatały się z kolorowymi malunkami latających kucyków, pościągane ze sklepów manekiny odzieżowe stały poubierane w losowe kawałki uprząży sado-maso, trzymając w rękach rozmaite książeczki dla dzieci, pordezwiązałe noże kuchenne i wielkie, dwustronne, fioletowe dildosy.

– Jak w domu, co? – Kemosz wyszczerzył swoje żółte zębiska. – A tutaj, patrz: nasza kronika wydarzeń!

Zatrzymaliśmy się na chwilę przy ciągnącej się przez dobre kilkanaście metrów korytarza obrazkowej panoramie, wykonanej w formie obrazkowej osi czasu. Od razu rozpoznałem stylizowane pierwsze dni Apokalipsy: deszcz ognia i siarki, potem ulewa krwi, Szarańcza...

– No, to jak, Ron? Opowiesz wujkowi Zekowi, co tu jest? – zagadnęła małego Cat. Dzieciak potrząsnął głową, jak to każdy parulatek, ale jego mama też nie ustąpiła: – No opowiedz... Wujek nie wie, prawda? Wujek?

– Nie wiem – zapewniłem pospiesznie, kucając koło małego.

Dzieciak wyciągnął rękę, pokazał palcem na rysunek.

– Tu się świat kończy – zasepelił. – A tutaj mama, tata, wujek Zek i wujek Calter płyną psez moze... A tutaj wujek Kemos dowodzi bandą pojebów.

– Kemosz...! – Cat odwróciła się z gniewną miną.

– No co? Wymस्कnęło mi się... Nie moja wina, że on wszystko w lot łapie.

– No a tutaj? – pospieszyłem z ratunkiem, znów przeciągając uwagę na małego.

– A tutaj walczą na Alenie juz! A tutaj tatuś idzie do Nieba, widzisz, wujek?

Widziałem. Widziałem i aż mnie coś boleśnie w dołku ścisnęło.

– No a tutaj...? – Cat pokazała na rysunek, na którym trzy osoby – ubrany na czarno, brzuchaty brodac, drobna kobieta z dzieckiem na ręku i łysol ze strzelbą idą drogą przez góry.

– Tutaj mama, wujek Kemos i wujek Zek uciekają z Wiecznego Miasta... Wujek, to ty pseciesz! – Ronnie spojrział na mnie tak, jakby było to odkrycie dla nas obydwu.

– Ano, to ja. – Uśmiechnąłem się.

Dalej widziałem ich drogę przez pustkowia świata, walkę z jakimiś stworami, nad którymi unosił się Pastuch. Ktoś do nich dołączył, ktoś odpadł, grupka powoli rosła... W końcu obrazki pokazały przejście w Pas Burzowy, najpierw przez deszcz i bagna, potem w śniegi. Rozpoznałem bez pudła Miasto Bohaterów po wielkiej, kamiennej głowie, potem ekipa dotarła tutaj, do Twierdzy. Cat walczyła z kimś, kogo też bez trudu zidentyfikowałem jako Mormosa. Transporter... rajdy po paliwo...

– A tutaj dodamy twój powrót – pokazała Cat. – I spotkanie z Carterem... Chociaż, cholera, nie wiem jak to wytłumaczymy reszcie, że on tu przyszedł.

– Nijak, bo idziemy dalej. Tutaj chcecie gadać, czy idziemy do byłej kwatery Mormosa?

Spojrzeli na mnie oboje dziko, a ja tylko wzruszyłem ramionami. No co? Nie moja wina, że coś jeszcze pamiętałem z mojej poprzedniej wizyty w Twierdzy.

Pancerne, lekko porzdzewiałe drzwi do kazamat były do wysokości jakiegoś metra pokryte dziecięcymi malunkami kredą i farbą olejną, poprzekręcany literkami oraz całą kolekcją magnetycznych naklejek ze wszelakimi motywami charakterystycznymi dla świata czasów minionych: samochodziki, zwierzątka, chmurki i słońeczka... Było tam też kilka magnesów na lodówkę z dawno już nieistniejących miast z widoczkami, które nigdy miały nie wrócić na ten świat.

Pomieszczenie za nimi też mocno różniło się od tego, co zapamiętałem. Zniknęły gdzieś czaszki, pentagramy i skórzany fotel domorosłego lorda chaosu, nie było wielkich głośników ani warsztatu socjopatycznego mordercy. Wrażenie miałem takie, jakby z setu fotograficznego do plakatów reklamujących kolejny album Slayera przekształcono tę miejscówkę w pretendenta do tytułu extreme house makeover roku... Albo i wieczności.

– Witaj u nas, Zek. – Cat uśmiechnęła się nieco smutno.

Mały Ronnie od razu podbiegł do stojącej pod ścianą skrzyni amunicyjnej, wyciągnął z niej miśka o pyszczku w blackmetalowym makijażu. Nie mogłem nie zauważyć, że to faktycznie był rodzaj azyłu Cat: lukowato sklepioną salę podzielono przepierzeniami na mniejsze pomieszczenia, było tu coś w rodzaju salonu z nawet normalnymi meblami, zestaw bajek na dvd i przedpotopowa konsola do gier... Tablica szkolna na trójnogu, kilka regałów z książkami, ba! nawet sztuczne kwiatki w doniczkach, tworzące zaskakująco przytulny klimat.

– Uroczo. Naprawdę domowo.

Usiedliśmy przy stole nakrytym obrusem w kwiatki, Cat zakręciła się po aneksie kuchennym. Pingnęła mikrofalówka, potem zasyczał tłuszcz na patelni, w międzyczasie Kemosz wyjął z lodówki warzywa w salaterce.

– Mrożonki – wyjaśnił. – Niedaleko stąd jest dawna hurtownia, a w tej temperaturze wszystko się zachowało. Trzeba czasami o to walczyć z innymi, ale odkąd odjebaliliśmy...

– Kemosz!

– ...Odkąd zlikwidowaliśmy bandę Fenriza, to się uspokoiło.

– Zastrani neonaziści! – warknąłem.

– Ano. Ej, skąd ty o tym...? A zresztą, nieważne.

Pociągnąłem nosem, łowiąc zapach, powoli wypełniający całą jadalnię:

– Pierogi?

Cat nie odpowiedziała, przerzuciła tylko zawartość patelni na spory półmisek, z rozmachem postawiła go na stole:

– A jakże! Nie wiem, kto tutaj wpadł na pomysł zawijania różnych rzeczy w ciasto i najpierw gotowania, a potem smażenia, ale miał łeb na karku! Ja biorę piwo, chcesz?

Popatrzyłem na parującą michę pierogów z mięsem i skwarkami, aż się oblizałem.

– Zawsze! Nie piłem piwa od...

Urwałem i nie podjąłem myśli nawet wtedy, gdy postawiła przede mną butelkę. Kemosz nałożył sobie porcję, też wziął piwo, upił łyk. Spojrzał na mnie, na nią.

– Co jest, Zek?

Pokazałem ruchem głowy na wolne miejsce przy stole.

– No co? – Nie rozumiał.

– Carter. On też powinien z nami jeść.

– Zek, czyś ty się...?

– Nie, nie zamieniłem się z nikim na rozum, Cat. Ja wiem, że teraz istnieje Korpus Komorniczy, że Danaiel Pierwszy i w ogóle... Ale to jest przecież Carter, do cholery! Ten sam Carter, z którym płynęliśmy przez pół świata, który poświęcił się dla nas tam, w tunelu...! I nie możecie tak po prostu go wyciąć z waszej historyjki obrazkowej!

Cat popatrzyła na mnie ciężko.

– Zek, nie wiem, gdzie byłeś przez te prawie cztery lata, ale...

– Ile?! – Wytrzeszczyłem oczy.

– Dokładnie... – Kemosz spojrział na jedną ze ścian, w dużej części pokrytą rzędami poskreślanych kresek mijających umownych dni. Policzył coś, bezgłośnie poruszając ustami, po czym kiwnął: Trzy i pół roku. Dokładnie tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni, odkąd weszliśmy w Rewers.

Zaśmiałem się głupkowato, urywanie.

– To nie jest zabawne, Zek – zaperzyła się Cat.

– Owszem, jest. – Zachichotałem, ocierając łzę rozbawionego przerażenia. – Bo właśnie jesteśmy w trakcie wypełniania kolejnego proroctwa... Eehehe, hihi... Ojeja, dawno nic nie było...

– Co? – nie zrozumiała.

Za to Kemosz otworzył usta, zamrugał. Zerwał się od stołu, podbiegł do ściany, raz jeszcze przeliczył kreski.

– Wypełniło się! – ryknął, rozkładając szeroko ręce. – Dokładnie tak, jak napisano w Piśmie: „I porodziła Niewiasta syna, a potem zbiegła na pustynię, gdzie ma miejsce przygotowane przez Boga, aby ją tam żywili przez tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni!”

– No, tam jeszcze było o tym, że jej dziecię porwano do Tronu, ale w sumie to ja załatwiłem ten kawałek. No co się tak patrzysz, Cat? Mam w tym wprawę, już jedno Proroctwo pomagałem wypełniać.

– Jesteście z Kemoszem obydwaj pierdolnięci. Tak na poważnie chorzy w mózg.

– Nikt nie mówił, że bycie Bogiem jest łatwe, Cat. To co, wypuścicie Cartera, żeby zjadł z nami jak człowiek?

Westchnęła ciężko, pokiwała głową.

– Na twoją odpowiedzialność, Zek. A co zrobić z tym drugim? Bo on to chyba jest martwy...

– O kurwa, zupełnie zapomniałem o Jonaszu! – zreflektowałem się poniewczasie. – Dajcie jego też... Lepiej go mieć na oku, cholera wie co mu do tego zrytego łba strzeli.

– Jak za dawnych czasów! – wyszczerzył się Kemosz, ruszając ku drzwiom.

Upiłem łyk piwa, starając się nie zwracać uwagi na świdrującą mnie wzrokiem Cat ugryzłem pieroga z mięsem.

„Jak za dawnych czasów”, cholera. Kiedyś to moje życie było proste, a teraz... Teraz to była jakaś pieprzona kolejka górską.



Siedzieliśmy przy stole w pięcioro: Cat, Kemosz, Carter, Jonasz, no i ja. Mały Ronnie najadł się pierogów i teraz spał w swoim niby-pokoiku dziecięcym za przepierzeniem przed telewizorem, na którym leciały stare bajki z kukielkowymi ludzikami.

Carter nie był wniebowzięty z racji tego, jak go potraktowano. Cat była mocno nieufna i widziałem, że walczył w niej o lepsze co najmniej trzy różne zestawy emocji

i odruchów. Kemosz natomiast błyskawicznie zakumplował się z Jonaszem, który chyba wreszcie znalazł kogoś dorównującego mu poziomem zrycia beretu.

– ...No i ja mu wtedy narysowałem Większą Pieczęć Anielską, czujesz? – kończył właśnie opowiadać Dłużnikowi historię swojej walki z jakimś demonem. – A on jak się nie wkurwił, jak nie zaczął ryczeć, wściekać się! Ale podejść nie mógł, nie miał szans!

– Jak tam w Blasku? – Cat chyba po raz pierwszy odezwała się bezpośrednio do Cartera. – Wymordowaliście już wszystkich?

– Cat...

– Nie „catuj” mi tutaj, Carter! Do kurwy ciężkiej nędzy, coś ty sobie myślał? Wstąpić do Korpusu Komorniczego?! Zaprzeczyć wszystkiemu, o co walczyliśmy na Arenie? Za co zginął Reggie?! – zasyczała wściekle, jednym tchem wyrzucając z siebie aż tyle emocji.

Carter odetchnął głęboko, spuścił głowę. Widziałem, jak rozluźnia i zaciska ręce, zagryza usta... Kiedy znów spojrział na Cat, przez chwilę wystraszyłem się, że odezwie się głosem Daniela.

Ale zamiast tego przemówił Carter.

– Reggie nie zginął „za coś”, Cat. On zginął dlatego, żebyśmy my zrozumieli, że możemy albo skończyć tak, jak on... Albo przeżyć i walczyć dalej – powiedział zaskakująco powoli i spokojnie, wręcz smutno. – Wolałabyś, żebym i ja zginął?

– No sama chyba bym wolała zginąć, niż przystać do nich! – warknęła, chociaż widać było, że nie była przygotowana na taką ripostę.

– To twój wolny wybór, Cat. Ja wolałem przeżyć... A to był jedyny sposób. Pytam: wolałabyś, żebym zginął i ja?

– Och, jakaż to z całą pewnością wzruszająca scena! – Jonasz klasnął w ręce. – Poruszające, doprawdy: sam czempion Korpusu Komorniczego pokazuje, że jednak ma ludzkie uczucia i w sumie to targają nim dylematy moralne! Czekamy na ostatnią walkę, kiedy pokonany i niemalże złamany, w końcu zwróci się przeciwko swemu mentorowi i oprawcy zarazem, ostatek sił podniesie go nad głowę i ciśnie do wnętrza reaktora Gwiazdy Śmierci...!

– Jonasz, styl ryj, bo ci go zaspawam. Nie jesteś tutaj dlatego, że cię ktokolwiek z nas lubi – warknęła Cat. Jonasz chwycił się za serce przesadnie teatralnym gestem:

– Och, och! Prosto w uczuć, siostrzo Gładiatorko! Rozumiem, pamiętam: jestem tutaj tylko dlatego, że mój brat Komornik potrzebuje informacji, którą wyłącznie ja mogę mu przekazać. No cóż, najwyraźniej jesteście skazani na moje towarzystwo...

– On nie żyje, prawda? – spytała mnie Cat. – Czyli mogę jakby co upierdolić mu rączki oraz nóżki, żeby został sam kadłubek z gadającą głową? Tak się pytam, na wszelki wypadek...

– Zostaw go, Cat – odezwał się Carter.

– O, to będzie się pięknie dobrali! Może jeszcze mi powiedz, że będziesz go bronić, co? Bo ja znam sporo takich, co na złość tobie chcieliby go odjechać!

– Cat, proszę cię, zostaw go – powtórzył Carter, tym razem bardziej dobitnie.

– Bo co? Bo co mi zrobisz?! Jak będę chciała, to go...

W tym momencie Carter zerwał się od stołu, wyrzucił przed siebie rękę; jednocześnie Cat jednym wężowym ruchem chwyciła stojący wciąż w zasięgu ręki trójząb, zamachnęła się na Jonaszę; ten zaskrzeczał dziko, rozciągając gębę w maniakałnym uśmiechu i złożył palce w jeden ze znaków Kabały.

A ja, już od pewnego czasu czując, jak narastająco boli mnie głowa, powiedziałem tylko:

– NIE.

Świat zastęgl na jedną stopklatkę.

Zgasł już rozjarzający się Purpurą trójząb. Płomienie w dłoni Cartera zamigotały i zniknęły. Znak tworzący się wokół ręki Jonasza zadrgał i rozplynął się w powietrzu.

– ...Co tu się właśnie odejbało? – dobiegł mnie absolutnie zdumiony głos Kemosza.

– Nie będziecie... – wycodziłem przez zaciśnięte zęby, próbując powstrzymać podchodzącego mi do gardła rzyga. – Zabijać się... W ten sposób. Na pewno nie... dopóki... ja tu jestem Bogiem... Do chuja groma ciężkiego. Nie.

Wszyscy troje usiedli powoli na swoich miejscach, wyraźnie zdetonowani.

Przez chwilę wisiała nad nami mocno niezręczna cisza. Cisza z tego gatunku niezręczności, kiedy trzy osoby nagle chcą się nawzajem pozabijać, ale nic z tego nie wychodzi.

Na całe szczęście za przepierzeniem mały Ronnie akurat zaczął płakać przez sen, więc Cat zerwała się i pobiegła do niego.

Przysunąłem do siebie michę z resztką pierogów, nabiłem jednego na widelec i zacząłem metodycznie przeżuwać. Zjadłem do końca, wziąłem drugiego. Trzeciego. W końcu zeżarłem ostatniego, wybierając resztkówką skwarki.

Cat wróciła z Ronniem, stanęła przy stole.

Wszyscy chyba czekali, aż coś powiem.

Bo niby że ja wiedziałem co robić, tak?

– Odeśpimy, odpoczniemy i wracamy w Blask – zdecydowałem.



– Dokładkę?

Pod mój nos podjechała miska, na dnie której nadal było sporo frytek. Zajrzałem do niej dla zasady, potrząsnąłem głową:

– Nie, dzięki, Usza. Już nie mogę, serio.

– No ale to dla kogo ja to robiłam?... Oj weź, no! Taki duży, przystojny chłop, a zjeść nie potrafi nawet? Raz-dwa i dasz radę.

Nawet nie protestowałem, kiedy zsunęła mi na talerz resztkę porcji, którą swobodnie najadłaby się jeszcze jedna osoba. Zadowolona z siebie, wrzuciła do miski kilka brudnych talerzy i zabrała ze stołu, odnosząc w kierunku kuchni.

Dziwnie było patrzeć na tych samych ludzi, których już raz się kiedyś widziało. „Tych” samych, ale nie „takich” samych. Zupełnie innych wręcz.

Owsem, nadal sporo było tutaj, w Twierdzy, bluźnierczości, satanizmu i szeroko pojętych treści nieprzystojnych, natomiast nie było to ponure, meliniarskie schronienie bandy niebezpiecznych socjopatów, które zapamiętałem z poprzedniej iteracji świata. Teraz było to mroczne, mocno domowe schronienie bandy niebezpiecznych, bardzo towarzyskich porąbańców.

Przechodzący akurat przez jadalnię, obciążony dwoma baniakami wody Sorath uśmiechnął się do mnie, a ja odwzajemniłem się skinieniem głowy.

To było... dziwne. Mocno dziwne. Te same twarze, te same ruchy i głosy, ale zupełnie inny przekaz. Czy to jednak było możliwe, że ludzie potrafili się zmieniać? Że ktoś, kto był na wskroś zły, potrafił stać się – no cóż, przynajmniej neutralno-pozytywny?

Tak naprawdę wcale nie myślałem o nich, ale o Carterze.

Siedzieliśmy tutaj, w Twierdzy, już czwarty sen. Miejscowi częściowo nas przyjęli, częściowo pogodzili się z naszą obecnością... Mimo że ani Carter, ani Jonasz nie dostali z powrotem swojej broni, a przemieszczali się wyłącznie w towarzystwie kogoś, kto cały czas patrzył im na ręce.

Wiedziałem, że stąd mamy do granicy Rewersu raptem kawalek. W porównaniu do drogi, którą pokonaliśmy, to już był ostatni skok. Pozostawało nie dać się pożreć demonom, przedostać się przez Pas Burzowy, nie zamarznąć w strugach lodowatego deszczu i hyc, już jesteśmy w Kancie.

I nie wiedziałem, co stanie się tam dalej. Bo jak tylko Carter wejdzie w zasięg Hierarchii, to na pewno od razu zjawi się po niego ktoś... Albo i całe kontubernium ktosiów.

Dojadłem, odsunąłem talerz i rzuciłem do Uszy:

– Idę do kibla!

– Nie musisz mi się meldować... – doleciało mnie z kuchni przez plusk wody i odgłosy szorowania.

Natomiast ja potrzebowałem alibi.

W mocno prowizorycznej łazience, ale też wyposażonej w solidne, wytłumione i zapobiegające utracie ciepła drzwi zamknąłem się od środka, przysiadłem na zydeldku.

– Azi – powiedziałem w pustkę.

Powietrze przede mną zadrgało i rozpikselowało się, gdy Anioł Śmierci zmaterializował się w kukki na muszli klozetowej. Złapał równowagę skrzydłami, obejrzał z uwagą swoje stanowisko.

– Doprawdy, Ezekielu, jestem zniesmaczony. Rozumiem, że czasy są ciężkie, ale zarówno powaga mojego urzędu, jak i twoje stanowisko wymagają, żeby...

– Nie pierdol, Azi. Kto jest Aniołem Nadzorcą dla Daniela Pierwszego?

– Obawiam się, że to informacja zastrzeżona, Ezekielu Siódmym. Nie posiadasz do niej uprawnień dostępu.

– To mnie przeloguj na konto administratora – warknąłem.

Już miałem powiedzieć coś bardzo złośliwego i kąśliwego, po czym odesłać mojego nieudolnego Anioła tam, skąd się zjawiał, kiedy stało się coś dziwnego.

Świat nagle zamigotał, przygasał i zniknął. Nie wiadomo skąd rozległa się grana na organach krótka, parutonowa melodyjka w stylu „tidududummm”, a potem wszystko wokół zrobiło się błękitne.

– Azi... Azi, coś ty zrobił? – Obróciłem się zaskoczony. Moja ręka przeszła przez półprzezroczystą umywalkę, szarpnąłem się i straciłem równowagę. Noga zagłębiła mi się w posadzkę.

Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że zaczynam zapadać się w tekstury świata.

– To, o co prosisz, Ezekielu – odparł jaśniejący kłębek złotych nici, unoszący się kawalek ponad zarysem kibla.

– Ja chcę z powrotem! Przeloguj mnie na sesję główną! – zawyłem.

– Jak sobie życzysz, Ezekielu.

„Tudududummm...!”, znów rozległa się melodyjka, świat rozjaśnił się i wrócił do normalności. Na całe szczęście ułamek sekundy przed tym zdążyłem wyciągnąć nogę z betonu, ale i tak rymsnąłem jak długi na kafelki, walnąłem barkiem o podest kabiny prysznicowej.

Error

An error has occurred at 2137:69420.
The application will be terminated.
To restart the current application, you
must restart your computer. You
may close all applications. You
may press any key to continue.

Error

Press any key to continue

Panel
Zoo

– Aaa...! – zajęczałem, zwijając się w kulkę nieszczęścia. – Azi, ty kozojebny brudasie... Co znów ci do tego szmatogłowego łba przyszło? Czyś ty ocipiał do reszty?

– Wypraszam sobie, Ezekielu – odparł Anioł Śmierci z godnością. – Co do twojego pytania, to Danaiel Pierwszy oraz szereg jego podwładnych znajdują się pod bezpośrednią zwierzchnością Archistratega Michała.

– Chociaż tyle... I co, to on im się objawia? – zreflektowałem się, podnosząc z podłogi.

– Nie, natomiast kontaktuje się przez odnośne byty pośrednie. Doprawdy, wszelkie takie informacje możesz znaleźć w rozdziale osiemnastym zakładki Działu Pomocy. Polecam też skorzystanie z naszej linii obsługi abonenta, dostępnej bez jakiegokolwiek wydatku energetycznego...

Ja jednak machnąłem już ręką, zrywając połączenie. Obraz Azraela rozjechał się i zniknął, zostałem sam. Umyłem dla zasady ręce, popukałem w umywalkę: no dobra, znów była solidna i materialna.

Wracając z kibla, myślałem sobie: no dobra, chociaż tyle, że jak Carter złapie zasięg, to nic nam się nagle nie objawi na głowie. A co ze mną? Czy system Hierarchii będzie mnie widział?

– Tyle pytań, tak mało odpowiedzi i tylko jedna dupa, żeby sobie to wszystko wsadzić... No co tam, mały? – odezwałem się do Ronniego, który właśnie biegł do mnie z wyciągniętymi rączkami. Złapałem dzieciaka, podrzuciłem w górę: – Oopsa...! I jeszcze raz...!

– Wujek Zek! Pobawimy się w komolników?! – zawołał mały.

– ...Znowu. No dobra, niech będzie... Dawaj miecze!

Ustawiliśmy się w rogu pomieszczenia – ja klęcząc na jednym kolanie, żeby dać małemu szansę, on zwarty i gotowy. Oczywiście, wbrew temu, co mu tłumaczyłem, rzucił się na mnie z mieczem nad głową... Ech, jak się ma cztery lata, to jeszcze człowiek wierzy, że takie akcje mają sens.

– I teraz wypad...! Wypad, mówię, z prawej nogi! I cięcie, i blok... O tak, trafiłeś mnie! Aaa, umieram...!

– Wujek, wujek! Nie umielaj, to tak na niby było! – wołał Ronnie.

Oni mieli tutaj naprawdę dobre życie. Relatywnie spokojne, wręcz komfortowe jak na standardy świata Po. Oczywiście, okazjonalnie próbowały dostać się do środka grasujące na lodowym pustkowiu zewnątrz bestie z Rewersu, a każdy nieopatrznie poprowadzony sen potrafił wywołać demoniczną manifestację przy łóżku śpiącego, ale z tym można było sobie akurat poradzić. Przywyknąć, zagłuszyć sny hurtowo branyimi tutaj lekami nasennymi i wyciszającymi. A jeśli nie, to przepędzić światłem, którego tu nie brakowało.

I chyba właśnie dlatego Cat unikała przez ostatnie dwa dni rozmowy ze mną. Owszem, mijaliśmy się, zdarzało nam się zamienić przysłowiowe dwa słowa, ale nic ponad to.

I czułem, że odbiera moją obecność, naszą obecność tutaj jako zagrożenie dla tego niemalże idyllicznego stylu życia po Apokalipsie, jaki udało jej się tutaj zbudować.

A ja nie lubiłem psuć tego, co zbudowali moi przyjaciele. I dlatego trzeba było ruszać dalej.



Pakowałem się właśnie na drogę, przekopując dość dobrze zaopatrzony magazyn Twierdzy.

Mieli tutaj na dobrą sprawę wszystko, czego można było potrzebować, a nawet jeszcze trochę. Znalazłem sobie fajne wojskowe spodnie, komplet bielizny termicznej, porządne ocieplane buty, kamizelkę, kurtkę... No wszystko, naprawdę wszystko.

Nawet w końcu rozebrałem, wyczyściłem i nasmarowałem moją strzelbę, mimo że musiałem robić to trzy razy, bo po pierwszych dwóch mi zostało trochę części.

W głowie miałem jakąś taką absurdalną pustkę.

Niby powinienem się cieszyć, że ich tu spotkałem. Dziwić, że jak to? No przecież co za niespodziewany zbieg okoliczności, że akurat Kemosz jechał tym transporterem i przypadkiem zobaczył, jak walczyliśmy z tamtymi skórobdartusami! Zachwycać, jakie to szczęście, że wszyscy przeżyli.

A zamiast tego miałem wrażenie, że oglądam jakiś zakręcony jak baranie rogi serial ściągnięty z ruskich torrentów i mam źle poustawianą numerację odcinków, przez co nie mogę złapać jednolitego ciągu linii fabularnej.

– Zek...

Zerknąłem na stojącą w drzwiach Cat.

– Mhm, to tak jakby ja. Co tam, jak mogę ci pomóc?

Weszła, usiadła na skrzyni narzędziowej. Oparła podbródek na złożonych pięściach, nie spuszczając ze mnie wzroku lekko skośnych oczu.

Przepakowywałem właśnie apteczkę w nieco bardziej poręczną torebkę, dodając do niej sporą ilość maści na odparzenia. I jeszcze trochę mokrych chusteczek higienicznych. Hmm, może wziąć jednak jeszcze jedną rolkę papieru toaletowego?

– Zek...?

– No co jest, Cat? Jestem tutaj, słucham cię przecież. A skoro już tu jesteś, macie jeszcze trochę tej amunicji kulowej? Znalazłem tylko jedno pudełko...

– Zek, nie musisz odchodzić.

Zamarłem w pół ruchu, westchnąłem. Wrzuciłem do plecaka torebkę pierwszej pomocy, odstawiłem go na bok.

– No właśnie muszę, Cat. Muszę, bo jak zostanę, to się wszystko wokół mnie rozpierdoli. Zresztą już zaczęło, nie widzisz tego?

Potrząsnęła głową.

– Nie, nie widzę, Zek. Słuchaj, wtedy przy stole...

– To właśnie była część tego rozpierdalania. Świat wokół mnie nie jest w stanie utrzymać się w całości, mam zbyt wysoki gradient entropii. Jestem jak kropla płynu do naczyń, która wpada do akwarium i robi w nim totalny rozkurw. Zbudowaliście sobie tutaj fajny mikroświatek, Cat, a ja nie chcę go zniszczyć.

– Zostań z nami, Zek – poprosiła.

– I co? Co z Carterem, z Jonaszem?

– Niech sobie idą w cholerę, gdzie chcą. Tutaj nas Komornicy nie dopadną... Zek, nawet teraz mamy zasobów na prawie rok, i cały czas zbieramy więcej!

– I co dalej? – zapytałem smutno. – Cat, ja to już raz widziałem, rozumiesz? W tym scenariuszu naprawdę nie ma happy endu. Kiedyś skończy się paliwo, wysiądzie generator... Albo ktoś dostanie pierdolca i zacznie wyrzynać innych we śnie, albo po prostu otworzy drzwi niewłaściwemu człowiekowi. I pyk, wszystko się składa, jak domek z kart. Tak się nie da.

– Zek, to jak się da, twoim zdaniem? Jak inaczej? Ja już straciłam zbyt dużo, żeby...

Wstałem i przytuliłem ją, a ona zaczęła płakać.

Wychudła jeszcze bardziej przez ten czas, kiedy się nie widzieliśmy. Sama skóra, kości i twarde węzły mięśni... Posiwała nieco, na twarzy widać było kilka zmarszczek,

blizn i śladów po odmrożeniach. Jeszcze twardsza z zewnątrz – a tak samo miękka w środku.

– Ćśś... Cicho, Cat, no już. Ja wiem. Ja rozumiem... Naprawdę – zacząłem szeptać, gładząc ją po włosach. – Nie ruszaj się stąd z małym. Siedz tu z nim. Pilnuj, ucz, szykuj go. Cholera, szkoda że młodszy, bo jakby miał z pięć lat więcej, to dla mojej małej jak obszył...

– Znalazłeś ją? Znalazłeś rodzinę?! – Odsunęła się ode mnie, zapłakana, pociągnęła nosem. – Zek! Znalazłeś ich?!

– Znalazłem. – Uśmiechnąłem się. – I widziałem się z małą... Kurwa, nie mogę, bo się tu rozkleję, Cat. Dość tego. Ja mam świat do uratowania, serio.

– Zek, proszę cię... – jęknęła.

– Mam świat do uratowania, mówię! Nie wiem jak, nie mam pojęcia, od której strony się do tego zabrać, ale zamierzam to zrobić, rozumiesz?! Najpierw odpierdole tego zjeba, tego śmiecia Szemijazasza, a potem zajmę się resztą! I po to jest mi potrzebny ten drugi zjeb, Jonasz, bo tylko on wie, jak to zrobić...! Kurwa, czego?!

To ostatnie skierowałem do Kemosza, który stanął w drzwiach do magazynu i przestępował teraz nerwowo z nogi na nogę.

– Panie, nie chcę przeszkadzać...

– Mam imię, Kemosz! Mówiłem ci, żebyś nie mówił do mnie, jakbym był jakimś bytem z odwytu... Co ty kurwa robisz?!

– Kajem się – odparł Kemosz z klęczek.

– Nie odpierdaj! Wstawaj, do cholery, bo zaczyna mnie to denerwować! Nie da się z tobą normalnie pogadać! Co ty robisz?

– Odwracam wzrok...

– Nie rób tego! Jak mam z tobą pogadać, jak mi nie patrzysz w oczy?!

– Przepraszam...

– I nie przepraszaj! Ciągle to samo z wami: przepraszam za to, wybacz mi tamto, nie jestem godny... Koniec z tym!

Dotarło, bo spojrzał mi wreszcie w twarz.

– Dobra, jasne. Słuchaj, Zek, ktoś do ciebie przyszedł, czeka pod bramą.

– ...Co? – Teraz to ja zapytałem jak debil. – Tutaj, w Rewersie? Kto?

– To zabrzmi głupio, ale... – Kemosz zawahał się. – Wielka wiewiórka.



Szczęknęły drzwi śluzы hermetycznej, lodowato zimne powietrze wdarło się do wnętrza przedsionka Twierdzy. Wiatr zakręcił się niewielkim wirem, cisnął mi w twarz kilka płatków śniegu.

Nabrałem głęboko w płuca zimnego powietrza, poprawiłem puchowy kaptur naciągnięty na podwójną czapkę i wyszedłem na zewnątrz, na zalany światłem jupiterów śnieg.

Widziałem ją już stąd – wielką, opasłą wiewiórkę w niebieskich spodniach-ogrodniczkach, stojącą tyłem do mnie pośrodku placu. Wszystkie lampy z baterii nad bramą świeciły pełną mocą, więc gdyby był to jeden z demonów Rewersu, to sam blask już dawno zmusiłby go do ucieczki. A jednak wiewióra stała tam, majstrując przy czymś łapami.

Kiedy podszedłem bliżej, obróciła się do mnie przez ramię i zobaczyłem, że właśnie strugała nożem do masła trzymaną w nieproporcjonalnie krótkiej łapie oderwaną ludzką nogę.

– Teufel. – Skinąłem głową, kładąc dłoń na rękojeści gladiusa.

– No proszę, czyli to jednak prawda. – Teufel powoli rozciągnął psychopatycznym uśmiechem nieproporcjonalnie wydatne, wręcz lubieżnie nabrzmiałe wargi. – Naprawdę mamy wizytację... Uszanowanie, witam pana kierownika na naszym zapleczu! Szef już czeka, proszę za mną.

Obejrzałem się ku strzelnicom rozjarzonej reflektorami Twierdzy, uniosłem otwartą lewą dłoń. Umówiłem się z nimi, że jeśli tak zrobię, znaczy to „roboczo w porządku”.

Dla odmiany podniesienie prawej dłoni miało oznaczać „ognia z całej burty”.

Mamrocząc pod nosem przekleństwa i pomstując na dumny świat i jego Stwórcę, czyli w zasadzie samego siebie, pobrnąłem przez zdeptany, zajeżdżony śnieg za tym przerośniętym wiewiórczym pomiotem. Teufel dreptał, przebierając tymi swoimi krótkimi, grubymi nóżkami i kołysząc się z boku na bok, balansując puszystym ogonem pokrytym kawałkami lodu.

Wspięliśmy się na rumowisko, potem przeszliśmy jeszcze kawałek po pokruszonym betonie i zgrzytających pod nogami ceglach. W końcu minęliśmy załom betonowej ściany, potem Teufel pokazał ręką, niczym kamerdyner zapraszający gościa do biblioteki na widzenie z panem na włościach.

Wyminąłem wiewiórę, która właśnie sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej garść tłustych, wijących się robaków i wpakowała sobie wszystkie naraz do pyska, po czym wyszedłem na niewielkie wzniesienie.

Miałem stąd widok praktycznie na całą okolicę. Jak okiem sięgnąć, wszędzie wokół ciągnęły się ruiny miasta: opuszczone, puste i ciemne pudełka bloków, martwe ulice, przysypane śniegiem chodniki, parkingi pełne martwych aut... Idealny pejzaż świata zamrożonego w terminalnej ciszy i mroku.

Zaś na wprost przede mną wyrastała z ziemi ogromna, gigantyczna wręcz żelbetonowa głowa. A w zasadzie to nawet „Głowa”. Twarz o surowych, kamiennych rysach patrzyła wprost na mnie, krzywiąc się w zdziwieniu przemieszonym z obrzydzeniem; widziałem, jak czoło wielkości ciężarówki marszczy się i pokrywa kamiennymi bruzdami, zaś usta rozwierają. Zasyczał wicher, kiedy potężna gardziel zassała w siebie powietrze, a potem owionął mnie gorący, duszny oddech, niosący w sobie swąd topionej gумы i palonego ciała:

– To on...!

– No cóż, sam bym się nie domyślił. Tyłu podróżnych przewija się przez te okolice, doprawdy można było go przeoczyć... Dzień dobry. Halo, tutaj jestem!

Rozjrzałem się, szukając właściciela tego głosu. Wreszcie dostrzegłem pomarańczowy punkcik w ciemności: siedział na połowicznie zagrzebanej w ziemi rakiecie ziemia-ziemia i palił papierosa. Konkretnie to cienkiego, mentolowego, kobiecego papierosa z długim filtrem.

– No tak. Tylko ciebie tutaj jeszcze brakowało – skwitowałem.

Długowłosy, brodaty mężczyzna w białej szacie przepasanej czerwoną szarfą zaciągnął się jeszcze raz mentolem, upuścił niedopałek i zdeptał stopą w sandale, w której wyraźnie ziała czerwona dziura po gwoździu.

– I tak się ze mną witasz, tak? Po tylu latach, po tylu eonach niewidzenia? Tylko tyle dla mnie masz? – zapytał z wyrzutem, podchodząc do mnie. – Nawet jednego ciepłego słowa... Ojczyste!

Rozłożył ręce szeroko, zaś wraz z nimi z jego ramion wysunęła się para jaśniejących złotem skrzydeł. Uniósł się nad ziemię, cały zalśnił wewnętrznym blaskiem, jego twarz odmłodziła, broda zamigotała i zniknęła. Istota, która patrzyła na mnie, była...

– Jam jest światłością świata! – zahuczał głosem niczym wodospad. – To ja jestem tym, który dzierży...!

– ...Blask tego świata w swoich dłoniach, jaśniejący, syn jutrzeńki, gwiazda zaranna i Heosforos. Lucyfer, Światłodzierzca, bla bla bla... – dokończyłem zmęczonym głosem. – Przejdźmy od razu do rzeczy, co?

Blask zamigotał i zgasł, niczym przepalająca się żarówka. Światłodzierzca opadł na ziemię, zgarbił się i spojrzał na mnie spode łba:

– ...To nie ty, ty nie jesteś Nim. Co zrobiłeś z moim Tatą? – szepnął.

Ała. Przyznaję, że to aż zabolalo, bo było w tym głosie tyle rozczarowania, tyle smutku...

– To naprawdę, ale naprawdę skomplikowane. Cholera jasna... Nie pamiętasz mnie? Światłodzierzca potrząsnął z wahaniem głową.

– Jesteś... Jesteś podobny do kogoś, kogo pamiętam jak przez sen. Wiem, że powinienem cię znać, że mógłbyś być Nim, ale nie jesteś. Jednak jest w tobie jakieś echo... Mogę?

Delikatnie ujął mnie za dłoń, przyłożył ją sobie do policzka. Przymknął oczy, a na jego ustach zatańczył daleki cień uśmiechu, kiedy moja ręka sama z siebie rozjarzyła się najdelikatniejszą Purpurą.

– Uhm, to jest lekko... krępujące – mruknąłem, ale on tylko pokręcił głową.

– Ćśśś, nie psuj tego, proszę. Nie czułem tego od... Och, od wieków, całych tysiącleci. Właśnie tak czują się szczęśliwi, tak myślą błogosławieni, niczym wschód słońca na wiosnę, jak promień słońca w wiosenny poranek... A jak czuję się ja w mej otchłani smutku? Czarny, zimowy dzień... Nie, mroczniej jeszcze niż to: bardziej ponuro niż w jesienną noc.

Chciał jeszcze otrzeć się policzkiem o wnętrze mojej dłoni, niczym domagający się pieszczoty kot, ale ja już ostrożnie wysuplałem dłoń z jego uścisku. Otworzył oczy, po jego policzku spłynęła błyszczącym kryształem pojedyncza łza.

– Wygląda na to, że zaszły pewne komplikacje – powiedziałem przepraszająco. – I nie mam pojęcia, gdzie jest Tamten.

– Ech, to by tłumaczyło, dlaczego nie przyszedł. Ani wtedy, kiedy się umawialiśmy, ani na zakończenie – westchnął Światłodzierzca. – Wiesz, jakie to uczucie...

– Nie wiem, jakie to uczucie skonać na krzyżu – zapewniłem pospiesznie. – Ale byłem torturowany i technicznie umarłem kilkadziesiąt razy. A jeśli idzie o bycie oszukany, to tak, też to przerobiłem, kiedy okazało się, że cały Raj i całe Niebo jest tak naprawdę tanim teatrykiem z dykty i papieru.

– Więc jest nas tutaj dwóch, wygnańców... No proszę! – ucieszył się Anioł. – Jak to się ciekawie los układa, zsyłając nieoczekiwanych sojuszników. A ja już od dłuższego czasu się zastanawiałem, jak by się wyrwać z tej czarnej, zimnej dziury.

– No cóż, tak się składa, że mam podobne myśli. I wydaje mi się nawet, że oprócz nich mam też ułożony załączek planu.

– Świetnie! – Światłodzierzca klasnął w dłonie. – Powiedz jeszcze tylko, jaki epitet ci wymyślili, jaką łatkę przyszyli? Bo mnie do dziś boli to moje... „Upadły”!

– „Fałszywy Prorok” – rzuciłem.

Skrzywił się z pogardą, wytrząsnął z paczki kolejnego mentola i pstryknął palcami, odpalając go od niewielkiego ognienka na kciuku.

– Ojej. Ała. No dobrze, to faktycznie boli. Wyrazy współczucia. To kto w takim razie jest tym prawdziwym? Bo zakładałam, że już ktoś sobie to przypisał? Jak to mawiali miejscowi, „święte miejsce długo nie stoi puste”.

– Trudno powiedzieć, ale tam, w Blasku, biją się o schedę Michał i Szemijasz.

Widziałem, jak jego twarz zmienia się niczym w kalejdoskopie. Kiedy wymieniłem Michała, rysy Światłodzierzcy już, już zaczynały ściągać się gniewno-pogardliwym grymasem... Natomiast gdy padło drugie z imion, nagle zmałał, skulił się w sobie.

– ...Och... – westchnął, zakrywając usta dłonią niczym ktoś, komu nagle striggerował się syndrom pourazowy.

– No więc właśnie. Ale skoro tak o tym mówisz, to jako że jest nas dwóch, może byśmy...

– Obawiam się, że nie mam na to czasu. W rzeczywistości jestem bardzo zajęty. Bardzo, bardzo zajęty. Zdecydowanie.

– Nie no, poczekaj. Wydawało mi się, że mówiłeś coś o sojusznikach...?

– Musiałeś się przesłyszeć. To na pewno przez ten wiatr.

– Słuchaj, ale ostatnio miałeś nawet plan. Chciałeś dotrzeć do Cytadeli, żeby odpalić tam bombę bluźnierczogenną, a następnie...

– Ojej, ależ już późno! Teufel, gdzie się podziewasz, leniu? Teufel! – zawołał Światłodzierzca, składając dłonie przy ustach.

Wiewiórka wyrzała zza załomu ceglanej ściany.

– No jestem, jestem, szefie. No i co, rozumiem, że się dogadaliście?

– Teufel, zabierz mnie na następne spotkanie! – Światłodzierzca zamachał rękami.

– Szefie, ale pan nie ma żadnego...

– Zabierz mnie na spotkanie z kimś! Z kimkolwiek!

Wiewióra wzruszyła tłustymi ramionami, podeszła do Anioła. Okręciła go swoim puszystym ogonem, po czym pstryknęła palcami – obydwie postaci podskoczyły, na chwilę rozdęły się, niczym nadmuchane baloniki, a potem skurczyły i opadły na śnieg niewielką kupką łajna, pozostawiając po sobie wyjątkowo paskudny smrodek.

Rozejrzałem się po lodowatym pustkowiu, spojrzałem na wciąż gapiącą się na mnie z nienawiścią betonową Głowę.

– Kurwa, to było chyba najbardziej jebanie rozczarowujące spotkanie biznesowe mojego życia – mruknąłem, ruszając z powrotem do Twierdzy.



– Gotowi, zapakowani... Można odpalać! – zakomenderował Kemosz.

Transporter ryknął silnikiem, bluźnął spalinami. Wnętrze garażu błyskawicznie wypełniło się siwym oparem i łoskotem tak potwornym, że aż zaświdrowało mi w uszach.

– Zek! – Cat wyciągnęła do mnie ręce, przytuliła się. – Uważaj na siebie!

– Będę! – odkrzyknąłem.

Nie było ani czasu, ani warunków na dłuższe pożegnania, bo brama już się otwierała. Ciemność na zewnątrz zafalowała i poruszyła się tylko czekającymi na okazję demonami, ale w tym samym momencie bateria jupiterów zapłonęła dziką bielą, zalewając blaskiem całe przedpole Twierdzy. Zagadał z wieżyczki ciężki karabin

maszynowy, kosząc serią pocisków smugowych ostatnie pomioty Rewersu z naszego wyjazdu.

Załadowaliśmy się do maszyny, Kemosz wsiadł jako ostatni, władował się na fotel kierowcy.

– Naprzód, przez mrok i lód! Niech nas prowadzi Szatan... Szaaaataaan! – zaryczał, wrzucając bieg.

Transporter zawył i szarpnął w przód, wyskakując przez bramę i szybko nabierając prędkości. Wieżyczka obróciła się i posłała krótką serię w mrok, łuski zabrzęczały o pancierz.

Złapałem się uchwytu, dociągając szybko pasy bezpieczeństwa. Naprzeciwko mnie siedział przypięty do swojego fotela Carter, kawałek po lewej umościł się w rogu Jonasz.

Transporter szarpnął i podskoczył, dokładnie jak nas przestrzegali: teraz musieliśmy sforsować resztkę starej, rozjeżdżonej już barykady, a potem czekał nas spory kawałek drogi.

Nie wiem czemu, ale miałem paradoksalne, przewrotne wrażenie, że opuszczam – o ironio! – relatywnie bezpieczny i przewidywalny Rewers, udając się w kierunku prawdziwego chaosu, czekającego na mnie z szeroko rozwartymi ramionami i odbytem w krainach Blasku.

Co jednak mogłem na to poradzić? Ano nic, więc zamknąłem tylko oczy.

Zawsze warto się zdrzemnąć.



Rozdział V



Kemosz dowiół nas tak blisko Pasa Burzowego, jak tylko dał radę podjechać.

Kiedy wysiedliśmy z transportera, pierwszym wrażeniem było, że jest – niemalże ciepło! Ciepło i jasno, bo zamiast atramentowego mroku, panowała tutaj lekko przydymiona szarość, w której nawet bez wspomagania Purpurą widać było zarysy otaczających nas ruin.

Natomiast padał śnieg. Gęsty, tłusty, biały śnieg sypiący się całymi tonami z zasnutego ciężkimi chmurami nieba.

Szeleszczący ledwo dosłyszalnym poszeptem, osiadający na ramionach i głowie. Biały puch zalegał na wszystkim wokół, gromadził się grubymi czapami i zsuwał ze skrzypieniem z pochyłych ścian zrujnowanych budynków.

– Dalej się nie odważę, Zek. – Kemosz spojrział w przód. – Tam już tylko...

– Wiem, wiem: bagna i trzęsawiska. Dzięki za wszystko, Kemosz. Opiekuj się nimi tam.

– Jak własną rodziną! A jak znajdziesz Siliasza, to też go ode mnie pozdrów!

Carter i Jonasz kończyli już wyciągać z wozu nasze rzeczy, Tejwel czekał, żeby pomóc im zakładać plecaki. Dopiero na końcu miał oddać im broń – mocny, ale zasadny środek ostrożności.

– Mhmm... Mówiłeś, że gdzie się rozdzieliliście? – zapytałem, też zarzucając torbę naramienną.

– Jakoś na wysokości stolicy. On coś bredził o torach i trasach, że stamtąd wszędzie będzie mógł dotrzeć i że zna tam każdy kąt... Stęskniłem się za tą jego mordą. No nic, Zek, daj pyska na pożegnanie, mój mroczny boski Panie!

Objęliśmy się, on poklepał mnie po plecach tak, że poczułem to nawet przez puchową kurtkę. Nieco mniej wylewnie pożegnał się z Jonaszem, który w sumie był mu ani bratem, ani swatem. Widziałem, że zawahał się, podchodząc do Cartera... Ale to ten drugi podał mu rękę:

– Kemosz. Wierz mi albo nie, ale miło było cię zobaczyć zdrowego i żywego.

– Carterius, władca Areny... Pamiętaj, że jakbyś chciał kopnąć tamtych w ich pierwszą dupę, to tu zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce!

– Jasne. Będę pamiętał – odparł Carter zdawkowo.

Załadowali się do transportera, wykręcili i świecąc na wszystkie strony reflektorami ruszyli w drogę powrotną. Staliśmy tak długo, póki blask nie przepadł i nie rozmył się w szaro-białej zasłonie śniegu, a warkot silnika nie zginął pośród mleczej nicości ciszy.

– W drogę zatem, bracia Komornicy! – zaskrzeczał Jonasz, nakładając na twarz grubą porcję wazeliny.

– Tędy. – Pokazałem kierunek.

Szliśmy w milczeniu, mijając pozostałości domów, bloków i zasy py śniegu, pod którymi skrywały się wraki samochodów. Od czasu do czasu widać było wystającą z bieli kreskę przekrzywionego słupa elektrycznego, albo znak drogowy informujący o skręceniu do dawno wymarłego miasteczka. Śnieg był coraz bardziej gęsty i lepki, sklejał się jeszcze w powietrzu w wielkie, powoli opadające płyty, miękko osiadające na ubraniach.

Czułem, jak nogi robią się coraz cięższe, w miarę jak dolne warstwy śniegu nabiegają wodą. Tu i ówdzie widać było na powierzchni wszechobecnej bieli ciemniejsze plamy, niczym siniaki przebijające spod skóry – tam już stała bajorkami na wpół zestalona woda.

– Kurwa...! – zaklął idący przodem Carter, zapadając się po kolana. Zaskrzypiał łamiący się lód, zachlupała woda. – W tył, w tył...! Zek, weź mi pomóż, bo grząsko tutaj.

Podąłem mu rękę, wyciągnąłem z przerebła. Na szczęście było płytko, a pod spodem gruz, bo jakby tak się głębiej zapaść...

Jonasz zarechotał, wgramolił na najbliższą ruinę.

– Od domu do domu, bracia Komornicy! O ile nie będzie jakiejś piwnicy, albo innej dziury, to...

– ...To? – zagadnąłem, widząc, że Jonasz na chwilę się zawiesił.

Dłużnik potrząsnął głową:

– Nieważne. Teraz ja prowadzę, więc... Za mną!

Kawałek po kawałku, od pagórka do pagórka, zaczęliśmy przesuwac się po tej istnej mozaice lodu, śniegu, wody i twardego gruntu. Jonasz szedł przodem, ale dość szybko okazało się, że jest o dobre kilkanaście, a może nawet parędziesiąt kilo lżejszy od każdego z nas, więc nawet tam, gdzie on dawał radę przejść, pod nami lód trzeszczał niepokojąco, a czasami od razu pękał.

– Naokoło! – śmiał się Dłużnik, pokazując inną trasę.

Raz szliśmy tak z Carterem, nakładając dobre paręset metrów drogi. Jonasz przeszedł sobie przez zamrożone bajoro i czekał na nas, zadowolony jakby mu ktoś w kieszeń nasrał, a my wlekliśmy się noga za nogą, macając długimi kijami grunt i ostrożnie stawiając stopy. Ja przejąłem prowadzenie, ale Carter asekurował mnie z tyłu przy pomocy związanej w pasie liny – ot tak, na wszelki wypadek.

– Stój...! – syknąłem, podnosząc rękę i nadstawiając uszu.

Zatrzymał się od razu. Ściągnąłem kaptur, podniosłem czapkę z jednej strony, żeby lepiej słyszeć. Nie zdawało mi się: skądś od naszej lewej niósł się ledwo słyszalny pomruk głosów.

Przykucnąłem, potem powoli podczołgałem się ku resztkie ceglanego murku, nie zważając na to, że pełnę przez gęste, śniegowe błocko. Carter też poszedł w moje ślady, od razu kuląc się przy ziemi.

Wyjrzałem, wypatrując oczy w półmrok.

W pierwszej chwili nie widziałem nic, poza powoli przesuwającą się z góry na dół szarością jednolitej kurtyny śniegu, powoli osiadającego na ziemi... Ale potem zauważyłem ruch.

Gdzieś tam, na granicy widoczności, przez półmrok sunęła procesja. Widziałem większe i mniejsze postacie, kołyszące się im nad głowami ciężkie od wilgoci, zwisające bezwładnie płachty sztandarów i kołyszące się na sztycach krzyże. Pomruk wzmógł się, zamienił w modulowany, powoli płynący zaśpiew.

Aż wstrzymałem oddech, wtuliłem głowę jeszcze bardziej w ramiona.

Owszem, było nas tutaj dwóch pełnoprawnych i jeden eks-Komornik. Teoretycznie mieliśmy dostęp do Purpury. Jednak praktycznie... praktycznie to o ile Rewers był otwarcie przerażający, o tyle to właśnie spowity wieczną mgłą niepewności Pas Burzowy napawał mnie ściągniętym, atawistycznym strachem przez nieznanym.

W końcu procesja zniknęła w szarości, zaśpiew umilkł. Wypuściłem powietrze z płuc, spojrzałem na Cartera. Też miał nietęgą minę, ale skinął: idziemy.

Jonasza dogoniliśmy spory, naprawdę spory kawałek drogi dalej. Nie poczekał na nas nawet, chujek jeden złamany, tylko szedł sobie swoim tempem.

Robiło się coraz mniej wesoło. Wcześniej dobrze chroniące przed wilgocią i zimnem ubrania i buty przemieły powoli, pokrywały się warstewką szronu, sztywniały. Słyszałem, jak skrzypi mi zlodowaciały plecak, paski były jak odlane z plastiku.

Starłem się oszczędnie używać Purpury, ale na dobrą sprawę robiłem też za powerbank dla Cartera i Jonasza... O ile ten pierwszy potrafił jej zapewne używać najefektywniej z nas trzech, o tyle dla tego drugiego, no cóż – była ona dosłownie tym, co stanowiło o... e... no już nie „życiu i śmierci”, ale w każdym razie istnieniu i nieistnieniu.

– Ej, chyba odpadł mi nos – odezwał się Jonasz w pewnej chwili, patrząc na coś trzymane na dłoni. – A chciałem tylko szalik poprawić... Ja pierdołę, patrzcie.

No rzeczywiście, gdy się obrócił, to nie dało się nie zauważyć, że jego twarz dość znacząco się zmieniła.

– A weź podnieś gogle na chwilę. – Carter pokazał ruchem ręki. – Bo mi się wydaje, że... O, no właśnie, oczko też mu się odkleiło, temu misiu.

– Ja jebie, wypadło mi oko? – spanikował Jonasz.

– No, tak jakby... czekaj, jest tu gdzieś w śniegu, widziałem jak upada. Tylko go nie nadepnij!

Patrzyłem, jak wspólnymi siłami próbują znaleźć zamarznąłą gałkę oczną Powróceńca i czułem, jak narasta we mnie jakieś trudne do określenia uczucie.

Z jednej strony sytuacja była, co tu dużo mówić, chujowa, bo zimno coraz mocniej dobierało nam się wszystkim do skóry.

Z drugiej byłem z nich trochę dumny. Dopiero co chcieli się pozabijać we śnie, a teraz stanowili może nie to, że zgrany zespół, ale dość stabilny układ wzajemnej pomocy.

A z trzeciej już z godzinę mi się koszmarnie chciało lać.

– Zostawcie to oko, pora na jakiś postój, żeby się ogrzać i ogarnąć – zarządziłem. – Kiedyś tu był taki kościół, ale szukaj go teraz człowieku... Poza tym, to było w poprzedniej iteracji, a teraz może go nie być w sumie. Dlatego robimy postój... – rozejrzałem się, pokazałem na pierwszy lepszy w miarę cały dom – ...Tam.

Wnętrze nie było zaskoczeniem. Spuchnięte od wilgoci ściany, odchodzący płatami tynk, napęczniałe deski, zacieki i smród... Resztki paru trupów w salonie.

Idealne miejsce, nie ma co.

Zaszyliśmy się w największym kącie, zasłoniliśmy okna czym tylko się dało, rozłożyliśmy na przekrzywionej, pękniętej podłodze płachtę brezentu, żeby chociaż trochę zaizolować się od zimna. Włączyłem mój gladius na minimalną moc, usiedliśmy wokół, wystawiając dłonie i twarze do zbawiennego ciepła.

– Daleko jeszcze? – zapytał Jonasz.

Carter spojrział na mnie wymownie, ja równie wymownie wzruszyłem ramionami. Wyciągnąłem z plecaka koc termiczny, ułożyłem bokiem do płomienia.

– Dobra wiadomość jest taka, że wychodzimy z mrozu. Zła taka, że wchodzimy w deszcz i bagna. Radzę się ugrzać, mimo że ciuchów nie ma po co suszyć. Nie wiem jak wy, ale ja idę spać. Jonasz, weźmiesz...?

– Warto, jasne. Będę siedział i patrzył jak śpiesz, bracie Komorniku. A może poderżnę ci gardło we śnie?

– Azrael, bądź tak dobry...

– Przypilnuję go, Ezekielu – odezwał się Anioł Śmierci z wysokości okapu kuchennego.

Nie wiem, czy rozmawiali o czymś jeszcze, bo mnie po prostu odcięło.



Woda była dosłownie wszędzie.

Strugi lały się z ołowianego nieba, bębniły o pozarywane dachy i szumiały tysiącami bąbelków tworzących się na powierzchni ogromnych rozlewisk. Urwane kikuty rynien rzygały strugami prosto na zalane ulice, niewielkie strumyczki ciurkały po tynku i betonie, żłobiąc w nich koryta miniaturowych rzek.

Już jakiś czas wcześniej odpuściliśmy sobie próby niemoknięcia i teraz po prostu brodziliśmy w wodzie – czasami po kolana, kiedy indziej po kostki, a potem znowu po uda. Buty grzęzły w zalegającym wszędzie błocie, z którego wystawały wypłukane do białości, szczerzące zęby czaszki. Najbardziej uważać trzeba było na blachę – przerdzewiała, gotową ustąpić pod najlżejszym naciskiem i uwięzić rękę albo nogę w ostrych, tnących ubranie i ciało kleszczach pułapki.

Żaden z nas nie odzywał się już ani słowem. Kiedy ktoś się męczył, po prostu zwalniał, a kolejny wyprzedzał go, przejmując prowadzenie. Gdy jeden upadał, dwaj pozostali podnosili go, stawiali na nogi i pomagali ruszyć dalej.

– Daleko jeszcze? – doleciało do mnie przez szum wody.

No dobra, skłamałem. Od czasu do czasu ten zjeb Jonasz dawał głos, chyba tylko po to, żeby wkurwiać tych z nas, którzy jeszcze posiadali odpowiadające za to hormony.

Można powiedzieć, że było to jedyne urozmaicenie trasy.

Pojawiał się też Azrael. Szybko nauczyłem się, że gdy widzę przycupniętego gdzieś Anioła Stróża o skrzydłach ciężkich od wody, to należało kierować się w tamtą stronę – tak po prostu. Każda inna droga była gorsza, ścieżka zdradliwa, a trasa trudniejsza.

Mój Anioł Nadzorca prowadził nas ku Blaskowi, chyba po raz pierwszy z własnej woli pomagając jakiejś żywej istocie.

Wreszcie ulewa przeszła w zwykły deszcz, a potem w kapuśniaczek, rozwiewający się w powietrzu lepką, zimną mgłą.

Mlecznobiały tuman otulał wszystko, tłumił dźwięki i jeszcze bardziej ograniczał widoczność. Szkielety stojących w błotnistej wodzie martwych drzew wylańały się i znikaly w szarawej nicości, rdzewiejące wraki bezużytecznych czołgów stały do połowy zagrzebane w rozmięklej ziemi.

Szliśmy, na zmianę świecąc Purpurą, bo nie byliśmy tutaj sami.

Czymkolwiek były te istoty, podążały za nami już drugi sen. Widać je było wyłącznie jako rozmazane cienie, nieledwie zarysy sylwetek przemykających się we mgle, pojawiające się i przepadające to pojedynczo, to znów niewielkimi grupkami. Czasami podchodziły ku nam od tyłu, kiedy indziej znów czekały na szlaku. Kilka razy stały wzdłuż naszej trasy przemarszu, niczym milcząca publiczność obserwująca zmierzający na cmentarz kondukt pogrzebowy.

Ich obecność wyraźnie działała na nerwy Carterowi, który raz i drugi już, już chciał się na nie rzucić. Na szczęście udawało mi się go powstrzymać, ale przyznam, że sam robiłem to już bez przekonania.

- Szkoda sił – tłumaczyłem mu. – One i tak pewnie nie przyjmą walki, uciekną.
- Ale może chociaż kilka zaciukam...
- Zostaw. Nie warto.

Mgła stopniowo rzedła, coraz mocniej przebijał się przez nią krwawo-purpurowy blask jeszcze odległego, ale najwyraźniej sięgającego już tutaj odbłasku zachodzącego słońca.



W końcu okazało się, że w powietrzu wisi już tylko ledwie dostrzegalny, rzadki opar, podnoszący się z nadal wilgotnej, błotnistej ziemi. Na dalekim horyzoncie, het, ponad pustymi polami i wymarłymi miasteczkami, widać było pierwszy skrawek ledwie wystającej ponad ciemną krzywiznę planety szkarłatnej tarczy.

Obejrzałem się jeszcze raz. Za nami została skłębiona, ciągnąca się jak okiem sięgnąć od lewej do prawej masa czarnoszarych, ciężkich od wody chmur, nieustannie przelewających się i kłębiących w porywach wiejącego gdzieś tam, wysoko w pustym niebie, wiatru.

Udało nam się. Daliśmy radę. Wydostaliśmy się z tego zimnego, jałowego, wrogiego wszystkiemu, co żywe, piekła na ziemi. I teraz wystarczyło tylko...

– Tutaj kończy się nasza wspólna podróż – powiedział Carter, odwracając się do mnie.

Odruchowo, niemalże wbrew sobie sięgnąłem po miecz. Zrobiłem to, bo jego głos, mimika...

- ...Carter? – Potrząsnąłem głową.
- Teraz już Danaiel. – Pierwszy uśmiechnął się nieszczerze.
- Carter, nie żartuj sobie. Przecież możesz...
- Nie mogę, Zek. Nie jestem w stanie. Rozdzielimy się tutaj, żeby uniknąć niezręcznych sytuacji w przyszłości. Ja odbiję nieco na południe, pewnie ruszę w kierunku Cytadeli... Postarajcie się nie wchodzić mi w drogę.

Zrobiłem krok w jego kierunku, ale osadził mnie w miejscu jednym spojrzeniem. Usłyszałem za plecami pogardliwe parsknięcie Jonasza:

– Komorniczy kundel... Sługus, piesek pokojowy Góry! Lokaj, gotowy na każdy rozkaz swojego pana!

– Nie prowokuj mnie, Dłużniku. Tak jak powiedziałem: idźcie swoją drogą i módlcie się, żebyśmy się już nigdy nie spotkali.

Danaiel odwrócił się i po prostu ruszył przed siebie.

Patrzyłem, jak po drodze zdejmuje i zrzuca fragmenty niekoszernego ubrania, aż w końcu został tylko w spodniej tunice. Potem wyjął z plecaka sakwę, zarzucił na ramię... Zatrzymał się na chwilę, zszedł buty i włożył sandały.

Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Nie byłem w stanie nawet nic pomyśleć. Jego sylwetka malała w oczach, zlewała się z krajobrazem, nikła.

A ja czułem tylko, jak gardło ściska mi paląca żółcią gorycz zawodu.

– Carter... – zaskamlałem w końcu przez zęby.

Stałem tak, aż jego postać zniknęła mi z oczu, przepadła wśród pustkowi martwego świata. Dopiero wtedy podniosłem plecak, który zdążyłem zsunąć z ramienia na ziemię, i też ruszyłem swoją drogą.

Jonasz, na jego własne szczęście, nie skomentował tego ani słowem.



– Daleko jeszcze?

Zacisnąłem tylko dłoń w pięść, policzyłem do dziesięciu po łacinie. Jak zwykle, nie pomogło.

– ...Tak – wycedziłem.

– Aha. A dokąd my w ogóle idziemy, bracie Komorniku?

Obejrzałem się na idącego kawałek za mną Powróceńca. Po naszym przejściu przez Rewers oraz Pas Burzowy dało się zauważyć, że Jonasz nieco podupał na spójności powłok cielesnych: w kilku miejscach skóra oddzieliła mu się od kości, oboje oczu dawno już wypłynęło z oczodołów, wargi zamieniły się w postrzępione ogryzki... No i brakowało mu nosa.

Jednak, prawdę mówiąc, wedle standardów świata Po wcale nie wyglądał aż tak źle. Ubrałem go w naprędcę ukoszernione ciuchy, schowałem gladius pod przewieszonym przez ramię płaszczem.

– Najpierw do Klasztoru. Tam mam do pogadania ze Stratilatą, a potem...

– Mam wleźć prosto do gniazda Komorników? Ooo, niedoczekanie! O nie, co to, to nie, Ezekielu! Nie mam zamiaru teraz, po tylu latach ukrywania się, po wyrwaniu się z łap Pierwszego, dać się po prostu zabić!

– Jonasz, nie panikuj. Po pierwsze, nie masz wyboru.

– ...Nie? To się jeszcze zobaczy! – wrzasnął, sięgnął pod płaszcz i wyciągnął miecz. Klinga zaskwierczała, strzeliła Purpurą. Jonasz zaśmiał się złowieszczo. – Stawaj, bracie Komorniku!

No dobra, spodziewałem się, że tak się może stać, więc nie spanikowałem. Przynajmniej nie zewnątrznie, bo wewnętrznie złapał mnie lekki cykor, to muszę przyznać.

Pozwoliłem mu podejść na jakieś trzy kroki, po czym zgiąłem mały palec u lewej ręki i poruszyłem dolną powieką prawego oka.

Nie pytajcie dlaczego, serio. Tak się po prostu nauczyłem, tak mi było wygodniej. Są na ten przykład ludzie, którzy twierdzą, że jak się polyka tabletki, to trzeba gwałtownie zarzucić głową do tyłu; jak ja raz tak zrobiłem, to mi aspiryna wpadła do nosa i potem umierałem przez trzy godziny. Był taki jeden tenisista, co przed każdym serwem musiał poprawić sobie majty najpierw lewą, potem prawą ręką, potem podrapać się po nosie, otrzeć prawą brew lewą ręką i lewą skroń prawą ręką. No tak mu wygodniej było, tak

sobie zakodował. Ja miałem swój zestaw zachowań kompulsywnych i liczyło się to, że działało.

A działało, bo miecz Jonasza zafurkotał i zgąsł z sykiem.

Dłużnik zatrzymał się w pół kroku, potrząsnął klingą. Uderzył w nią dłonią na płask, jakby była szwankującym laptopem, strząsnął niczym termometr rtęciowy.

– Ej, oddawaj! – zaskrzeczał.

Ja natomiast wyciągnąłem i odpaliłem swój gladius, po czym machnąłem nim w powietrzu, zakreślając koło.

– Hokus-pokus, hula hop, tutaj anon robi stop! – wyrecytowałem.

Ślad po moim gladiusie rozjarzył się purpurowym blaskiem, oderwał od miejsca, w którym wisiał i pomknął ku Jonaszowi. Ten kwiknął i zerwał się do biegu, ale latający okrąg dogonił go i zawinął mu się wokół nóg, niczym lasso. Rymsnął na ziemię, zarył mordą centralnie w piach i zaczął wrzeszczeć:

– Puść mnie! Puść, ty sztukmistrzu za dwa grosze! To nie fair, nieuczciwe...! Stań ze mną do walki!

Zamiast do walki, stanąłem nad nim, kopniakiem wytrąciłem mu z dłoni zupełnie nieszkodliwy, nawet nie żarzący się miecz. Przykucnąłem, żeby na pewno mnie widział.

– Posłuchaj mnie, nieumarły śmieciu. Jeśli jeszcze to do ciebie nie dotarło, to pełnię tutaj rolę lokalnego Boga, kumasz? Więc będę włączał i wyłączał ci budżet jak tylko chcę, bo to mój budżet – powiedziałem. – I używał takich czarów, na jakie mam ochotę.

Trochę blefowałem, szczerze mówiąc. Akurat wyłączanie i włączanie gladiusów ćwiczyłem któreś nocy, jak Jonasz się pokłócił z Carterem i poszedł spać do innego pokoju, więc musieliśmy podzielić się wartami... A z magią to trochę zaimprovizowałem i użyłem relatywnie prostego czaru spętania, którego uczyli nas jeszcze na obozie szkoleniowym w Korpusie.

Nigdy do tej pory mi nie wyszedł, więc byłem z siebie dumny.

– Aaa! – zawył Jonasz, wijąc się na ziemi.

– O, zapomniałem ci powiedzieć, że okrąg się najpierw rozpręży, a potem zaczyna kurczyć. Zabawne, nie? Normalnym ludziom to ucina nogi i zabija, ale tobie... Tobie po prostu utnie nogi.

– Puść mnie, skurwielu! Puść... Puść, nie będę próbował cię zabić!

– Ani uciekać?

– Ani uciekać, do kurwy! Aaa! Puść, bo już czuję, jak mi... Oooch!

Pstryknąłem palcami, posyłając lasso w niebyt. Jonasz przekręcił się na bok, łapiąc za mocno przypalone nogawki.

– Więc tak jak mówiłem, Jonasz: po pierwsze, nie masz wyboru i idziesz ze mną, bo tak mówię. Po drugie, w Klasztorze mają archiwum... To jest, o ile sam Klasztor jeszcze stoi – zreflektowałem się. – Tak czy inaczej, nie zaszkodzi sprawdzić tam tego imienia, które wymienił Carter... Aniketos, tak?

Jonasz skrzywił się jeszcze boleśniej.

– Jestem Jonasz – powtórzył z naciskiem.

– Czyli dobrze słyszałem. No i jak się dowiem, gdzie jako ten cały Aniketos przepadłeś, to może ustalimy coś więcej na temat tego twojego Anioła, co go podobno zaciukałeś. Bo ty po prostu nie pamiętasz, prawda?

Spojrzał na mnie z nienawiścią.

– Skąd takie przypuszczenie, bracie Komorniku? – warknął.

– Na zdrowy rozum widzę, że masz coś z głową, to raz. A poza tym, jakbyś wiedział, jak to zrobić, to na pewno nie poprzestałbyś tylko na tamtym jednym. Ja na twoim miejscu na pewno bym tak zrobił. To dwa... Mam mówić dalej?

– Nie trzeba.

– To dobrze, bo na więcej nie miałem pomysłów... A nie, czekaj! Mam do pogadania ze Stratilatą, jest mi winien moje czoki do strzelby! – Palnąłem się w czoło.

– Ezekielu, pragnę przypomnieć ci, że... – rozległ się głos od strony słupa wysokiego napięcia.

– Azi, nie przerywaj, proszę, bo znów zgubię wątek. Tak więc idziemy do Klasztoru, tam obczaimy archiwum, ja się rozmówię z Teodorem i zdecydujemy, gdzie szukać śladów twojej pamięci. Aha, i jeszcze jedno... Mówi ci coś imię Luł'ti?

– Pierwsze słyszę.

– Aha. No cóż, warto było sprawdzić w każdym razie. No już, beksalalo, wstawaj! – Pociągnąłem go za kołnierz. – Kiedyś cię nawet byłem gotów polubić, więc nie zepsuj tego teraz... No co się tak gapisz?

– Ty jesteś nienormalny, Zek. – Dłużnik wyszczerzył się do mnie. – Ja mam swoje odpały, ale ty... Ty jesteś zwyczajnym szaleńcem!

– No, to by był plot twist, co nie? Jakby się na końcu tej opowieści wzięło i, kurwa, okazało, że to wszystko jest tylko snem... Snem starego psa podwórkowego, chorego na schizofrenię, przykutego łańcuchem do jakiejś rozklekotanej budy na Podlasiu! – odparłem z entuzjazmem. – Taki najtańszy, najbardziej chujowy możliwy wybieg fabularny, żeby uzasadnić wszystkie dziury w intrydze.

– Nienormalny... – powtórzył Jonasz, kręcąc głową z niechętnym podziwem.



Już któryś kolejny sen maszerowaliśmy przez zalane blaskiem zachodzącego słońca ziemie Kantu.

O ile tam, bliżej Pasa Burzowego, praktycznie nie było widać żywego ducha – martwe duchy, owszem, trafiały się aż nadto często – o tyle dalej, gdy zrobiło się nawet w miarę ciepło i jasno, tu i ówdzie zaczęły pojawiać się gospodarstwa. Małe, krzywe domki zbudowane z przysłowiowego gówna i patyków, przy nich ogrodzone byle czym poletka z rachitycznymi zasiewami i roślinkami, ciągnącymi resztkami sił i składników odżywczych.

Od czasu do czasu mijaliśmy nie-do-końca zniszczony kościół, w którym podobni do obciążonych skórą szkieletów miejscowi zanosili nieskładnym chórem słabnących głosów modły ku pustym niebiosom.

Potem pojawiły się też Smętne Miasteczka – ponura parodia placów zabaw w wydaniu ulepszonym przez inwencję twórczą Góry. Zjeżdżalnie zrobione z wielkich tarek do warzyw, drabinki z zastrzonych płaskowników, piaskownice pełne zardzewiałych gwoździ i tłuczonego szkła, huśtawki ze stryczkami... Ot, klasyka dokumentu.

Oczywiście, widać było też ślady działalności Wysłanników: popalone, zburzone miasteczka, zwalone betonowe mosty, wypalone dziury w ziemi zamiast stacji benzynowych. Porozwłócone, bielejące pośród pustkowia kości. Zwęglone trupy. Ogromne połacie cementarzy. Wielkie, kilkudziesięciometrowe krzyże splecione ze słupów wysokiego napięcia.

Miałem wszelkie podstawy, by czuć się jak w domu – jakkolwiek takie określenie było bardzo nie na miejscu. Niby wszystko było takie, jak powinno być. Takie jak zapamiętałem, jak znałem.

Natomiast – szczerze? Nic nie było jak powinno.

Ni cholery.

Świat powinien być teraz w relatywnie spokojnym, powoli zmierzającym ku fazie agonii stanie terminalnym nieuleczalnej choroby.

Jak babcia, która miała już swoje lata, a potem pewnego dnia zdecydowała, że się położy po obiedzie. A następnego nawet nie ubrała się na śniadanie. I tak leży sobie w tym łóżku, gasnąc dzień po dniu, coraz mniej przypominając istotę żywą, a coraz bardziej stając się częścią mebla, do którego jest już w zasadzie przyrośnięta. I pewnego dnia po prostu się ją wyniesie, żeby zrobić miejsce na jakiś nowy mebel.

Nawet nie wiedzieć kiedy, nie do końca wiedzieć jak, myśląca i czująca osoba z materii ożywionej zamieniła się w nieożywioną – i nawet nikomu nie było z tego powodu szczególnie smutno. Raczej takie: uf, jakie szczęście, że nie dłużej, bo się męczyła strasznie. A my z nią razem. Dobrze się w sumie stało.

Tymczasem to, co widziałem tutaj, przypominało raczej historię od sąsiadów u teściów, kiedy rzeczona babcia – leżąca, schorowana starowinka – pewnego dnia stwierdziła: ej, jest spoko, w sumie to nic mi nie jest. Dziękuję państwu, miło było, to ja teraz już wracam do siebie, do domu, do mamusi i tatusia. Miło było w tym hotelu, ale ja muszę iść do szkoły.

I bujali się z nią sąsiedzi jeszcze o–ho–ho–ho, i jeszcze trochę. A ona była nie do zdarcia: potrafiła zimą wyjść na piętnastostopniowy mróz w metrowe zasypy śniegu w bamboszach i koszuli nocnej, a sama miała metr sześćdziesiąt w kapeluszu. I żeby chociaż kataru się nabawiła, chrypki, czegokolwiek... A gdzie tam! Silna była, jak to tylko szaleńcy potrafią: jak kiedyś jej się ubzdurało, że ją w więzieniu trzymają – a była po prostu w toalecie, na własne życzenie – to z drzwiami się tak zaczęła szarpać, że na kawałki połamała... No bo po co klamki używać, co nie?

No ale najgorsze było to, że nikt nie wiedział do końca, co jej we łbie gra. Potrafiła na przykład obudzić się wpół do trzeciej w nocy, przejść przez pół domu, wleźć do sypialni sąsiadów i stać nad nimi, jak śpią. I sąsiad się budzi, widzi matkę w samej koszuli nocnej nad sobą i tylko myśli: ma nóż? Czy jednak tym razem nie?

Raz przyszła babka – tak ją nazywali – do teściów moich, bo przez ulicę mieszkali. No i z teściem moim gada, przy czym, tak jak on mówił: w pełni normalnie, przytomnie gada! I pogoda, i ludzie, i to, i tamto... I na koniec rozmowy do niego tak: „To ja już, panie Zbyszku, idę, bo pociąg mam niedługo... Niech się pan trzyma, żeby zdrowie dopisywało! U mnie to różnie, i kolana bołą, i to, i tamto... Ale najważniejsze, że z głową wszystko w porządku!”.

No więc... O czym to ja? Aha, o świecie. No i ten świat był jak ta babka od sąsiadów: niby już dawno jego pora powinna nadejść, a on, sukinsyn, biegał po śniegu w bamboszach, z nożem.

– Ale go musiało trafić! – cieszył się Jonasz, oglądając czarną, wypaloną skorupę. – Patrz tylko, bracie Komorniku, tutaj dostał... Piękny strzał!

A ja nawet nie podchodziłem bliżej, wołąc trzymać się z dala od do połowy zagrzebanej w sytkim piachu, pokrytej pęknięciami i wgnieceniami, rozwalonej na pół i wypalanej, ogromnej głowy dziecka o trzech parach poszarpanych, zwęglonych skrzydełek.

Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Jak żyje, nie zdarzyło mi się zobaczyć ZNISZCZONEGO Wysłannika.

Owszem, widywałem te pokraki w różnym stanie – poranione, unieszkodliwione, uszkodzone i wylądzone z użytku.

Natomiast nigdy takie – zredukowane tylko do zewnętrznej powłoki, pokrytej teraz wżerami i przebarwieniami. Wydrenowanej, niczym pusty kartonik po soczku

wišniowym. Wyssanej do cna, do ostatniej kropli z jakiegokolwiek, nawet śladowej emanacji Purpury.

Cherubin, jako się rzekło, leżał zagrzebany do połowy w piachu, w niewielkim kraterze na końcu długiej bruzdy. Widać musiał tutaj spaść, próbując dokąś dolecieć, i trafili go po drodze – zdjęli z nieba, niczym zestrzelony z zestawu pelot śmigłowiec szturmowy.

A potem, kiedy spadł, ogołocili ze wszystkiego. Powycinali co bardziej wartościowe fragmenty *pneumy*, spuścili wciąż pozostające w zbiornikach rezerwowych zapasy Purpury.

Rozumiałem to wszystko. Domyślałem się nawet PO CO.

Natomiast za cholerę nie mogłem sobie wyobrazić JAK.

– Jonasz... To się często zdarza? – zagaiłem nieśmiało, chcąc wybać grunt.

– Że ktoś strąci Wysłannika? Oby jak najczęściej! – zaśmiał się Dłużnik. – Patrz, fachowa robota... Ale to nie nasi.

– „Nasi”? – zbystrzałem. – To znaczy... Komornicy?

– Och, bez przesady, Zek! Pięknie by było, ale to marzenie ściętej głowy. Nie, tego tutaj dopadli śludzy Strąconego... Spójrz, widać na nim ślady pazurów!

Pokazał kilka głębokich bruzd wokół pęknięcia na wysokości ciemniczka wielkiej głowy. Aż mnie przeszedł dreszcz, bo wyobraziłem sobie, jak jakieś stwory dopadają do wciąż próbującego poderwać się do lotu Wysłannika, wczepiają mu się pazurami w pukle, dogrzebują się do skóry i głębiej, do kości... Zaczepiają szponami o łączenie płyt czaszki i ciągną, w końcu ze zgrzytem otwierają i nurkują do środka, aby pożywić się Purpurą nadal żywej istoty...

Potrząsnąłem głową, odganiając aż nadto realistyczną wizję. Nie, zaraz, powoli. Nie o to go pytałem przecież.

– Jonasz, wspomniałeś coś o „naszych”. Kogo miałeś na myśli?

Zerknął na mnie, wzruszył ramionami.

– Tak jak powiedziałem: na pewno nie byli to Komornicy. Poza tym, po co mieliby atakować Cherubina? To pewnie pozostałości po którejś z bitew, kiedy...

– Jonasz, nie pytam o to, kogo NIE miałeś na myśli, tylko o to, kogo miałeś. No więc?

Znów na mnie zerknął.

– Nikogo konkretnego.

– Ło! ło! Nie pierdol. Powiedziałeś „nasi”.

– Wcale nie. Musiałeś się przesłyszeć, mój bracie Komorniku.

– Jonasz, przecież słyszałem wyraźnie, jak to powiedziałeś! Nie wciskaj mi tutaj kitu!

Sapał ciężko, zmeł w ustach przekleństwo. Przewrócił oczami i rozłożył ręce.

– ...Nie wiem – rzucił, przekrzywiając głowę na znak bezradności.

– Jak to, nie wiesz? Przecież coś powiedziałeś, a mimo to...

– Nie wiem, bracie Komorniku! – Powróceniec zezłościł się nagle, wałnął otwartą dłonią o skorupę Cherubina, która odezwała się głuchym pogłosem. – Nie wiem! Mam w głowie... Mam w głowie fragmenty myśli. Urywki zdarzeń, wyrwane z kontekstu twarzy. Miejsca, których nie potrafię ułożyć w czasie ani przestrzeni... Wszystko jest niczym krajobraz, wyłaniający się z mgły, kiedy jedziesz samochodem przez noc.

– Lirycznie, odważnie, poetycko. Mocne siedem na dziesięć – pochwaliłem. – Ale o czym ty pierdolisz, Jonasz? Bo to twoje wybiórcze niepamiętanie nie brzmi jak objawy amnezji pośmiertnej. Z mojego doświadczenia wynika, że powinno być właśnie na odwrót.

– Mówię ci jak jest, bracie Komorniku!

– Dobra, dobra, nie złość się, bo ci znów odbyt wypadnie, a pianki montażowej akurat pod ręką nie ma. I w ogóle to lepiej stąd idźmy, bo mi się to miejsce nie podoba.

Zawarczał coś jeszcze pod nosem, ale nie odważył się odpyskować mi otwarcie. To dobrze, bo znaczyło, że powoli uczył się moresu... Natomiast coś mi w tym wszystkim nie pasowało. Mocno nie pasowało, a ja, jak to zwykle ja, nie byłem w stanie złapać zawikłanych poszlak za właściwy koniec, żeby wszystko w porę rozplątać.

Słońce było coraz wyżej, temperatura powoli wracała do przedziałów, które niegdyś uznawałem za zwyczajowe. Pozbyłem się już większości zewnętrznie niekoszernego sprzętu; ten z którym nie zamierzałem się rozstawać, kulturalnie owinąłem szmatami, żeby jego widok nikogo w oczy niepotrzebnie nie kłuł.

Gdzieś tam, w oddali, widziałem jedno ze zrujnowanych miasteczek z charakterystycznymi dwoma kominami dawnych zakładów papierniczych. To w sumie znaczyło, że byliśmy na dobrej trasie i raczej prędzej niż później powinniśmy dotrzeć do Rzeki. Stamtąd zaś jeszcze tylko kawałek z biegiem nurtu, przeprawa przez jeden z nadal stojących mostów przy Dwurzeczu, i raz-dwa dotrzemy sobie do Klasztoru.

Klasztor... O rany, aż dziwnie tak mi było, szczerze mówiąc. Przecież spędziło się tam tyle czasu, poznało tyle sympatycznych i niesympatycznych Komorniczych mord. Tyle dobrych wspomnień...!

No dobra, wcale nie były dobre. Nudne do wyrzygania wykłady teoretyczne. Trudne do wyrzygania zajęcia praktyczne. Szkolenia, medytacje, otwieranie czakramów, przepusty i mostki energetyczne.

I ten zjeb Danaiel, przy każdej okazji katujący nas, młodych rekrutów, niczym zwierzęta.

A teraz Danaiel był Carterem.

A ja nadal miałem związane z nim PTSD i zupełnie nie wiedziałem, co z tym wszystkim począć.

Nie uszliśmy nawet pół farsanga, gdy otwarł się przed nami widok na miejsce, z którego najwyraźniej próbował ewakuować się Cherubin.

– O kurde – powiedziałem tylko, starając się ogarnąć wzrokiem i umysłem to, co musiało się tutaj wydarzyć.

Pobojowisko ciągnęło się, jak okiem sięgnąć – od horyzontu po horyzont. Zasłane przyprószonymi już miałkim prochem ciałami poległych, poniewierającą się wszędzie bronią, resztkami absurdalnie ogromnych machin wojennych, wież oblężniczych, rydwanów, stojących rządkami katapult, onagerów, skorpionów i trebuszetów... Pełne drewnianych zasieków, aproszy, szybko budowanych i równie szybko porzucanych drewnianych bieżnia-fortyfikacji, wokół których piętrzyły się istne zwały trupów.

– Har–Megiddo – rzucił Jonasz niemalże obojętnie, wymijając mnie i schodząc ze wzniesienia.

– ...Co?

– Har–Megiddo. Równina, na której spotkają się...

– Jonasz, odrobiłem pracę domową, okej? Tak się składa, że wiem, czym jest miejsce, do którego się odnosisz! – zaperzyłem się. – Natomiast nie sądzę, żeby to miało być właśnie ono!

– Nie? – Odwrócił się do mnie. Ciężko było odczytywać mimikę tego, co pozostało z jego twarzy, ale wydało mi się, że w jego głosie przebrzmiało rozbawienie. – A ja sądzę, że właśnie tak jest, bracie Komorniku. Że to tutaj odbyła się jedna z Ostatecznych Bitew.

– Aha. A wnosisz tak na podstawie...?

- Na podstawie tego, bracie Komorniku, że przypadła mi w udziale misja eskortowania ciebie. A skoro ty jesteś Nim, to nie widzę powodu, żeby to miejsce miało być czymś innym.

Dogoniłem go kawałek dalej, złapałem za ramię i zatrzymałem. O dziwo, nie wykręcił mi się, nie wyszarpnął.

- Czy ty właśnie mówisz do mnie z dużej litery? - upewniłem się. Powrócenię pokijał głową z pełną powagą:

- Nie inaczej, Zek.

- Czyli... wierzysz mi? - upewniłem się raz jeszcze.

- Nie, nie wierzę „ci”, bracie Komorniku. Mówiąc precyzyjnie: wierzę w Ciebie.

- Jonasz, ale czy to znaczy, że...

- Więcej zdań oznajmujących, a mniej pytań. To lepiej buduje u wyznawców poczucie wspólnoty. Natomiast, po raz trzeci: tak, wierzę w Ciebie, mój bracie Komorniku.

Szczerze mówiąc, poczułem się... dziwnie.

Nie to, że nagle miałem, nie wiem, jakiś przypływ energii, czy inne bzdury w stylu „poczułem jak moja iskierka boskości rozjarza się nieco mocniej dzięki powiewowi słów, niosących ze sobą tak długo wyczekiwana deklarację”.

Natomiast było to właśnie dziwne. Inaczej tego nie umiałem opisać.

No dobra, okej? Umiałem. To było trochę jak przy pierwszych efektach Sildenafilu, kiedy jeszcze nic aż takiego się nie dzieje, ale człowieka już delikatnie mrowią usta. I czujesz, że lada chwila może być naprawdę fajnie.

Mówiąc krótko: jeśli istnieje coś takiego, jak duchowa erekcja, to właśnie jej dostałem.

- Ahem... - odchrząknąłem z pewnym zażenowaniem. - A powiesz mi, mój drogi wyznawco, co takiego cię w końcu przekonało? Bo niespełna cztery sny temu gotów byłeś mi uciec...

- Zgadza się, bracie Komorniku. Otóż do zmiany nastawienia względem ciebie... a raczej: Ciebie, skłonił mnie proces analityczny, który prowadzę od dłuższego już czasu.

- I...?

- I w sumie to, że jesteś Bogiem, nie jest ani mniej wiarygodne, ani mniej prawdopodobne od wszystkiego innego, co się wokół nas dzieje i co sam już widziałem!

- Zaśmiał się chrapliwie, odchrząknął i splunął burą, gęstą wydzieliną, w której wbrew najszczerzszym chęciom zobaczyłem kilka fragmentów jego tchawicy. - Poza tym, Zek, powiedzmy to sobie otwarcie: w świecie pełnym fanatyków i obłąkanych, my, szaleńcy, powinniśmy trzymać się razem!

Nie byłem do końca przekonany tym uzasadnieniem. Jeśli na tyle szybko taką decyzję podjął, to równie dobrze mógł w dowolnej chwili dojść do wręcz przeciwnego wniosku... Natomiast zdecydowałem, że nie ma sensu niepotrzebnie drążyć: co ma być, to będzie.

Poza tym gdzieś w głębi ducha pamiętałem tamtego dawnego Jonasza z poprzedniej iteracji świata: zaciętego, niezłomnego, niezmiennego w raz powziętym przekonaniu... Nieskruszonego.

- Żyłem po tysiakkroć bardziej, niczego nie żałuję - wyszeptałem jego ostatnie słowa tak, jak wtedy je zapamiętałem.

Przeszliśmy obok przewróconej na bok gigantycznej platformy na kołach, z których sterczały na wszystkie strony kolce, kosy i zaostrome pręty. Minęliśmy wyrwany w ziemi, osmalony krater, na którego dnie lśnił zeszkłony piach. Pod nogami zachręściły nam zwęglone kości, sucho zachrobotał żużel.

Rozglądałem się, próbując zrozumieć, kto tutaj walczył i przeciwko komu. Widziałem leżące obok siebie szczątki ciał splecionych w śmiertelnym uścisku, ludzi z różnymi ostrymi i tępymi przedmiotami w żywotnie ważnych miejscach ich powłok doczesnych, ludzi którzy na zawsze zostali u podnóża pozycji, bronionych również przez ludzi.

Ale były tutaj też resztki Wysłanników. W każdym razie tych cielesnych... cielistych... ciałowych... No, w każdym razie tych, którzy posiadali cokolwiek zbliżonego do ciała, a nie utkaną z boskiej *pneumy* formę fizyczną.

Przeszedłem obok ogromnego, wciąż jeszcze cuchnącego truchła Ofiarnika, dosłownie rozrąbanego na pół potężnym uderzeniem.

Nieco dalej ziemię dosłownie zaścieniały błyszczące w słońcu, czarne pancerzyki Szarańczy, teraz zredukowanej z trzech do zaledwie dwóch wymiarów, jak muchy rozsmarowane po podszwie kaptia.

Tam z kolei wystawały z ziemi pogięte, połamane obręcze zmasakrowanego Pastucha.

I zrozumiałem, widząc coś, co w pierwszej chwili wziąłem za... nawet sam nie wiem za co. Rzeźbę, posąg? Instalację artystyczną? Zwykłe złudzenie optyczne?

Wyglądało to jakby ktoś wziął jednego z trupów, podniósł parę metrów ponad ziemię i nadział, dosłownie nanizal na coś w rodzaju wielkiego sierpa z hakiem na końcu. Ciało miało na sobie ni to płaszcz, ni to togę, zwieszającą się z niego w dwóch częściach, niczym poszarpane skrzydła... A ten sierp był jak gdyby zbudowany z segmentów, takich obłych kawałków. Jak ogon skorpiona.

Tak szliśmy, ja się na to gapiłem, a obraz przesunął się w ruchu perspektywy, dając mi coraz to lepszy ogład.

– O w ząbek... – sapnąłem.

Bo to był ogon skorpiona. A konkretnie to nawet Skorpiona. Wielkiego, jak sto skurwysynów, o szczypcach niczym zębate łyżki koparek i odwłoku wielkości ciężarówka, leżącym teraz na podkurczonych odnóżach grubości słupów telegraficznych.

A na jego kolcu jadowym, niczym stary płaszcz na wieszaku w przedpokoju, wisiał Anioł. Łysy jak kolano, z tatuażami wypełzającymi aż na kark spod poplamionej krwią, pobrudzonej i nadpalonej szaty. Jedno skrzydło miał prawie oderwane od tułowia przez wciąż zaciśnięte na nim szczypcy przeciwnika, który zapewne chwycił go w tej samej chwili, w której kopniak Anioła-skinheada zmiażdżył mu łeb... I tak już zostali obaj.

Podszedłem bliżej, niedowierzając.

Tak, widziałem niemało. W zasadzie to można było śmiało powiedzieć, że widziałem większość rzeczy, jakie na tym świecie były do zobaczenia. Natomiast to i tak robiło piorunujące wrażenie.

– Weszło tutaj się bawili. O, a tam są ludzie. – Pokazał palcem Jonasz.

Rzeczywiście, w samym centrum pola bitwy, pośród resztek niewielkiego miasteczka, teraz zrównanego z ziemią przez walec wojny kręcący na równinie bączki, widać było smętne resztki zabudowy. Ot, dosłownie kilka wciąż stojących węglów domów, na poły zwalone dwa niskie bloki, pozostałości supersamu i – jakże by inaczej! – niemalże nietknięty ręką Apokalipsy kościół.

„Niemalże” oznaczało w tym wypadku, że ostała się z niego fasada, spory kawałek jednej ściany bocznej i ogryzek drabiny, dzięki czemu nad całością trzymały się też mocno nadszarpane, ale wciąż stabilne resztki dachu.

I rzeczywiście, widać było, że wokół, pod ścianami i we wnętrzu dawnej świątyni wyrosły chatki. Niczym pasożytnicze grzyby pleniące się na powalonym przez wiatr pniu niegdyś potężnego drzewa, pomiędzy którymi snuły się ciągnące za sobą ślady

śluzu ślimaki, na wpół świadome swojego istnienia ospałe chrząszcze i żuki, niestrudzenie toczące w dal swoją bezcenną kulkę z gówna... Tak samo tutaj widać było łączących pomiędzy tymi chatynkami z gówna i patyków szarych, obdartych ludzi.

I tak sześliśmy w tamtą stronę, więc skróciliśmy minimalnie z obranej trasy, żeby zahaczyć o osadę. Nie to, żeby którykolwiek z nas miał w tym jakiś interes: Jonasza potrzeby cielesne były ograniczone nie tylko do minimum, ale wręcz do zera; ja z kolei jechałem na zasobie Purpury... Natomiast potrzeby to jedno, a komfort to zupełnie co innego, prawda?

No bo ciężko się idzie, jak się człowiek obetrze tu i tam, w miejscach powszechnie uważanych za wstydlive. A ja miałem taką konstrukcję półdupków akurat, że w koszernych ciuchach zawsze się odparzałem od przepaski biodrowej. Podobno ją źle wiązałem, bo jakbym zrobił coś inaczej, to by wyszło inaczej... I jakbym wiedział co, to chociaż mógłbym poprawić. A nie wiedziałem, więc nie mogłem, i wychodziło jak zawsze.

Czy nie byłem tak w stanie iść? Oczywiście, że byłem, bo regenerowałem się tak samo szybko, jak obcierałem, więc mój stan się nie pogarszał. Ale efektem było to, że od kilku snów maszerowałem w stanie permanentnego cierpienia, w dodatku bez perspektyw na poprawę, i na doprowadzenie się do takiego stanu, gdzie mógłbym powiedzieć: dupa, dalej nie idę, nie dam rady.

Dlatego też miałem szczerzy zamiar sprawdzić, czy nie da się tam od kogoś kupić czegoś koszernego albo i zupełnie nie-koszernego. Na przykład tej absolutnie cudownej maści do smarowania pod pieluchami u jeszcze zupełnie nieświadomych niczego, bardzo, bardzo młodych lub już zupełnie nieświadomych, bardzo starych ludzi. Albo chociaż zwykłego talku. Albo czegokolwiek.

Poza tym, odrobina odpoczynku zawsze mogła się...

– Nawracajcie się, niewierni! – doleciał do nas odległy, zachrypnięty wrzask. – Bliskie jest Królestwo Boże! Oto wypełniły się dni nasze, oto świat zapadł się w otchłań krwawego zmierzchu, gdy wszystkie grzechy wychodzą na jaw! Ukryte stało się jawne, ciemne jest teraz niczym słoneczny dzień! Bo zaprawdę powiadam wam, jako rzekł prorok: nie będziecie wam dane, czegokolwiek szukać będziecie!

– ...Takiego chuja – warknąłem pod nosem, słysząc niosący się ponad ruinami nierówny brzęk dzwonek i chóralny skowyt w aż nadto dobrze mi znanej tonacji okołoreligijno-pobożnościowej.

Weszliśmy pomiędzy bieda-chatynki, zbudowane z byle czego półziemianki i najzwyklejsze nory, wygrzebane w hałdach gruzu. Jakiś oberwaniec bez nogi splunął na nasz widok na ziemię i pokuśtykał dalej o prymitywnych kulach, niosąc zawieszoną na ramieniu plecioną ze sznurka siatkę pełną lekko pożółkłych, nadwiedłych i zdecydowanie niezdrowo wyglądających roślin. Inny na chwilę oderwał się od ciosania kołka, odprowadził nas niechętnym wzrokiem jednego oka.

– Uroczo tutaj – skonstatował Jonasz, rozglądając się niczym turysta z innego świata.

– Mhm. I coś sporo inwalidów...

Faktycznie, większość miejscowych nosiła ślady takich czy innych okaleczeń, ran i traum: krzywo zrosnięte złamania, nabrzmiałe węzły blizn po nieumiejętnie pozszywanych ranach, brakujące uszy, oczy, zęby i palce... Mało tego: część nosiła jeszcze fragmenty pancerzy Legionu. U kilkorga – bo były tam i kobiety – zauważyłem charakterystyczne bielmo, zasnuwające oczy.

Nawróceni zatem, pomyślałem. Zapewne ci, co przeżyli bitwę, a potem wbrew statystyce, zostawieni sami sobie, wylizali się z ran... I założyli coś na kształt osady.

– Cześć, chwała i uwielbienie Skrzydlatym Panom! – znów rozległ się zachrypnięty okrzyk. Wołał wąsaty, wychudzony mężczyzna, stojący na niewielkim podwyższeniu przy ścianie frontowej ruin kościoła. – Czuwajcie i módlcie się, bo czasy Wielkiej Apokastazji są już bliskie...!

Już miałem powiedzieć coś do Jonasza, ale słowa uwięzły mi w gardle, bo zauważyłem umieszczony za obwoływaczem mural.

„Mural” to w ogóle szumne słowo. W pokrytej popękaniem, upstrzonym dziurami po kulach tynkiem fasadzie świątyni ktoś wydrapał... no cóż, rysunek. Konkretnie dwa rysunki po dwóch stronach dawnego wejścia frontowego do kościoła.

Po jednej stronie był wyobrażony postawny, barczysty blondyn z trefioną w pukle brodą i grzywą krótkich włosów, ubrany w pełny pancerz rzymskiego legionisty, dzierżący w dłoni płonący miecz.

Po drugiej widniał smukły, długowłosy brunet o niepokojących, świdrujących oczach i charakterystycznym wysokim czole, nadającym jego twarzy wyraz lekkiego zdziwienia.

Obydwaj mieli skrzydła – ten pierwszy tylko dwa, a więc jedną parę. Ten drugi miał ich aż sześć.

Archanioł Michał i Szemijazasz.

Jednak nie to było najdziwniejsze.

Bo naprawdę uderzył mnie fakt, że na tym murale – prymitywnym, chałupniczym, miejskami węgł jarmarcznie uproszczonym, niczym namalowana plakatówką na styropianie droga krzyżowa w salce katechetycznej przy wiejskiej szkółce – te dwie postacie trzymały się za ręce, zaś w ich połączonych dłoniach spoczywała płonąca ogniem kula ziemiska.

– ...Tak! Ujrzyjcie, o pielgrzymi z dalekich krain, jak poprzez ogień i krew nadeszło dla nas oczyszczenie, pojednanie i zgoda! Jak próby bitew Dnia Ostatecznego sprawiły, że staliśmy się wszyscy jednym... Chwała i cześć Skrzydlatym Panom!

– Cześć Skrzydlatym Panom! – zamruczało kilkanaście głosów ludzi, zajętych swoimi sprawami.

– Jonasz, zbierajmy się stąd, bo... – zacząłem, ale nie zdążyłem.

Podszedł ku nam mężczyzna, ubrany w poszarpany, poniszczony pancerz Legionu z dystynkcjami setnika. W resztkę symbolu na naramienniku rozpoznałem godło Legio IX Immitis, osławionej jednostki liniowej z czasów wczesnego Korpusu Komorniczego.

O ile mnie pamięć nie myliła, to Niemilosierni zostali rozgromieni podczas Drugiej Inkursji, kiedy powstrzymali atak sił z Rewersu niemalże na przedmurzu samej Cytadeli w kluczowym momencie jej budowy. Najwyraźniej tutaj, w tej wersji rzeczywistości, wydarzenia potoczyły się mocno inaczej.

– Skąd przybywacie, pielgrzymi? Dokąd drogi was prowadzą? – zagadnął, sepleniąc przez powybijane zęby widoczne przez bliznę, przecinającą mu usta na pół nierówną kreską.

– My, eee... Ahem. Ezekiel Siódmy, legalnie wykonujący zlecenie Komornik na usługach...

– Tutaj to nic nie znaczy, bracie – przerwał miz uśmiechem. – Tutaj nie ma już funkcji ani podziałów. Czas wojny i konfliktu przeminął, a my jesteśmy siostrami i braćmi. Przez krew połączeni, przez ogień zjednoczeni.

– Tak samo jebnięci? – zaskrzeczał uprzejmie Jonasz.

– Równi przed obliczem nieuchronnego Końca, bracie. Walczyliśmy po dwóch stronach, gotowi zabijać się nawzajem... Jednak gdy wszystko przeminęło, okazało się, że tak naprawdę stoimy po jednej i tej samej stronie. Nie ma konfliktu, nie ma podziału! Jest tylko jedno wspólne Dobro i jeden wspólny Wróg!

– Jedno Dobro, jeden Wróg! – znów powtórzyły głosy.

– Och, to fascynujące! – Jonasz klasnął w dłonie. Jako że jego powłoki cielesne utraciły już sprężystość, to odgłos wyszedł mało wyrazisty, ale Powróceńcowi zdawało się to nie przeszkadzać. – I chcesz powiedzieć, że jesteście jedną wielką rodziną, tak? Anarchokapitalizm w praktyce, każdy inny, wszyscy brudni?

– Przepraszam za kolegę. Proszę nie zwracać uwagi, ostatnio umarł i jeszcze nie przepracował traumy... Jonasz, musimy iść. – Pociągnąłem go za rękaw.

Nie podobało mi się tutaj. Było w tym miejscu coś, co źle mi się kojarzyło. Jakbym już kiedyś w czymś takim był... Pachniało mi to sektą, i to z gatunku tych niebezpiecznych.

Jednak nasz rozmówca uśmiechnął się tylko pobłaźliwie, pokiwał głową.

– Dokładnie tak. Ja dowodziłem centurią Legionu, bracie. Ten tutaj, Markijel... – Wskazał mężczyznę bez lewej ręki. – Walczył jako dowódca grupy po przeciwnej stronie. Nasi ludzie starli się pośrodku pola bitwy, walcząc niczym lwy.

– Płynny ogień z nieba! Śmierć o wielkich, płonących oczach! – zaśmiał się maniakalnie ten bez ręki. – Ludzie padający niczym zboże pod ciosami rozżarzonych sierpów... Wirujące ostrza zagłady!

– Tak było, bracia! I każde z nas tutaj, każdy mąż i każda niewiasta, mogłoby wam opowiedzieć swoją opowieść. A jednak teraz jesteśmy braćmi, jesteśmy jednym...

– Naprawdę musimy już iść. – Uśmiechnąłem się nieszczerze, ciągnąc za sobą Jonasa.

Tamten bredził nam jeszcze coś w ślad, chór głosów zaintonował jakąś nieskładną pieśń, ale ja już wyciągałem nogi jak najdalej, wlokąc co chwila oglądającego się i machającego do ludzi Powróceńca.

– Bracie Komorniku, doprawdy! Zostańmy jeszcze trochę! – śmiał się Jonasz. – Dawno nie widziałem tylu radosnych szaleńców w jednym miejscu...

Nie odpowiadałem, nie reagowałem. Nie zwracałem nawet uwagi na palące obtarcia, idąc tylko coraz szybciej. Byle dalej od tego pojebanego miejsca.

Byłem w wielu dziwnych lokacjach. Widziałem fanatyków, bluźnierców i kultystów. Spotkałem się z pokąźną ilością pojebanych bluźnierstw, perwersji natomiast religii, wynaturzeń eschatologicznych i zwykłych herezji.

Potrafiłem rozpoznać w oczach człowieka ogień czegoś, co roboczo nazwałbym tutaj „Prawdziwą Wiarą”. Tego niezachwianego, nienaruszalnego przekonania, że ma się rację, a nawet Rację. Że człowiek poznał Prawdę, a ta Prawda poznała jego.

Że ma dostęp do czegoś więcej. Że na jego szafce nocnej stoi czerwony telefon ze sztywnym łączem prosto do Absolutu, a jego modlitwy zawsze trafiają pod właściwy adres i nie są przerzucane do spamu.

Byliśmy już dobre paręset kroków od osady w ruinach. Przedzieraliśmy się właśnie przez kolejne zwały zmurszałych, zwietrzałych trupów, zalegających na pobojowisku. Widziałem już nawet miejsce, gdzie kończył się ten ogromny cmentarz.

I wtedy na wieży przy ruinach kościoła w resztkach osady uderzył dzwon. Pojedynczym, jęklwym, trwożliwym uderzeniem: błąą...! Zapewne pęknięta czasza zarezonowała nierówno, wpadając w jakąś fałszywą nutę, łamiąc się ku nieczystym tonom.

Kończąc dygresję o Prawdziwej Wierze: że taki człowiek, niezależnie od tego, w co wierzy, jest w stanie ciągłej komunikacji z Górą.

Obejrzałem się w tamtą stronę idealnie w porę, by zobaczyć, jak niebo ponad osadą rozjarza się nagłym rozblaskiem Purpury, z którego wyłania się pikująca ku ziemi czarna kropka.

– Chodu...! – krzyknąłem, puszczając się biegiem.

Jonasz w pierwszej chwili nie zrozumiał, zawołał coś za mną i rozłożył ręce.

Ja jednak pędziłem, ile sił w nogach, przeskakując ponad zwałami trupów, przesadzając linie okopów i omijając zygzakami zasieki.

Kolejny błysk, tym razem bardziej po mojej lewej stronie.

Przeskoczyłem nad sterzczącymi z ziemi ostrzami, obiegłem dokoła niedokończony, częściowo spalony bastion.

Jeszcze jeden rozbłysk. Po nim najpierw odległy, potem coraz bardziej zbliżający się wrzask zwierzęcego przerażenia, zakończony głośnym łomotem i trzaskiem desek: to spadający z nieba Anioł z impetem pieprznął w drewniane zabudowania kawałek za mną.

Obejrzałem się przez ramię, zahamowałem gwałtownie.

Widziałem jak Jonasz podchodzi do dymiącego krateru, którego jeszcze chwilę temu tam nie było, trzymając w dłoni miecz. Po charakterystycznym ruchu poznałem, że stara się go włączyć, ale klinga nie łapała zasięgu... Byłem zbyt daleko, uświadomiłem sobie.

– Jonasz, uciekaj! – wrzasnąłem, składając dłonie przy ustach.

Podszedł jeszcze krok, drugi – a potem gwałtownie odskoczył w tył, kiedy ponad krawędź leja wystrzeliło najpierw pomięte, ubrudzone skrzydło, a zaraz za nim ręka. Cofnął się krok, dwa, trzy... Odwrócił i puścił biegiem, nie czekając, aż Anioł wygramolił się w całości na górę.

– Uwóżaj, po lewej! – Machnąłem ręką.

Zauważył w porę i odskoczył na bok, w ostatniej chwili unikając ogromnego, napakowanego sterydami, skrzydlatego dresiarza, który niczym kula do wyburzania przebił się przez drewnianą ścianę bastionu i rzucił na Jonasza, chcąc złapać go w pól, jak zawodnik rugby.

Kurwa.

Najbliższy z Aniołów był kawałek ode mnie.

Jonasz akurat poruszał się, doskonale widoczny na otwartej przestrzeni.

Już wcześniej zwrócił na siebie uwagę przechwytywaczy wroga. Teraz kolejny Anioł wstał z ziemi, wyciągnął ku niemu rękę i zaskowycał coś nieskładnie. Widać było, że lada chwila wszystkie zajmą się nim, dając mi szansę na ucieczkę.

Co więc zrobiłem? No co? Oczywiście, że jedyną logiczną, sensowną i skalkulowaną rzecz, jaką zrobić należało. W końcu, po raz pierwszy od nie wiem kiedy, pokierowałem się zimnym wyrachowaniem. Wreszcie pozwoliłem, żeby przeważał rachunek zysków i strat, a nie moja bezsensowna, nieprzemyślana improwizacja. Zachowałem się logicznie.

Iks kurwa de.

Nie no, ludzie, co wy? Uwierzycieście? Jaja se przecież robię.

Oczywiście, że zachowałem się jak ostatni debil – a więc zrzuciłem plecak, wyszarpnąłem z pochwy gladius i rzuciłem się Jonaszowi na ratunek.

Powróceniec jednak też sroce spod ogona nie wypadł. Kiedy podnoszący się, uwalany ziemią i kurzem Anioł ruszył ku Jonaszowi, ten wyrzucił przed siebie obydwie ręce i skrzeknął coś wysokim głosem – spomiędzy jego palców wystrzeliły dwie zjadliwie niebieskie błyskawice, z trzaskiem przeskoczyły łukiem elektrycznym ku skrzydlatej postaci i cisnęły Aniołem do tyłu, uderzając ciałem Wysłannika o ceglany mur.

– Władza! – zawył Jonasz ekstatycznie, uderzając kolejną wiązką wyładowań. – Nieogrrraniczona władzaaaa...!

Drugi z Aniołów rzucił się na Jonasza szczupakiem, ale Dłużnik tylko odskoczył w bok, śmiejąc się obłąkańczo, po czym istic węzowym ruchem ciął napastnika

w brzuch. Zgrzytnęła cięta *pneuma*, sypnęły purpurowe iskry.

Jednak uderzenie najwyraźniej weszło nie dość głęboko, bo pięć niczym młot parowy i tak zatoczyła łuk, trzasnęła Jonasza w skroń, podrzuciła w powietrze i miotnęła nim w bok, niczym szmacianą lalką dresiarza wyrzuconego z dachującej beamwicy.

– Chujuuu! – zawylem, wznosząc swój miecz do ciosu. – Przestań masakrować Jonasza, chuju...! Zdechniesz w pierdłu w Sztumie!

Anioł zaczął obracać się do mnie, ale nie zdążył. Wpadłem na niego całym impetem, niczym polski mały fiat sto dwajścia pińć pe w betonową komórkę lokatorską... Tyle tylko, że akurat ten maluch miał doklejone do zderzaka dziesięć kilo trotylu.

Uderzyłem go gladiusem z całej siły, celując wprost pomiędzy łopatki.

Natomiast nie do końca mi wyszło i uderzyłem go raczej niefortunnie.

Plazem.

Szczerze? Nigdy tego wcześniej nie próbowałem. Zwyczajnie nie przyszło mi do głowy, żeby użyć akurat tej broni aż tak bardzo niezgodnie z przeznaczeniem. To było jakby... No nawet nie wiem. Jakby położyć petardę pomiędzy dwiema płytami chodnikowymi. Próbowaliście kiedyś tak? Niby to samo, a jednak odgłos i wrażenie jest zupełnie inne. Nie tyle trójwymiarowe, ile – płaskie.

I tutaj wyszło tak samo.

Kłasnęło tak, jakby w jeziorze wypełnionym przepalonym olejem silnikowym rzuciły się naraz wszystkie te sumy, liny, karpie i wieloryby, o których zawsze opowiadał ci twój najebany stary, i to dokładnie w takich rozmiarach, w jakich zwykł je opisywać on i jego wszyscy kumple od kielicha. Aż mi uszy zablokowało, wysoki, jednostajny pisk i szum dosłownie zastąpiły wszystkie inne dźwięki.

Rękę szarpnęło mi, jakbym wsadził śrubokręt w niez izolowane przewody od siły. Błysnęło tak, że powidoki wypaliły mi się chyba aż na potylicy od środka.

Natomiast Aniołem rzuciło, rozplaszczyło go na gruzie, dosłownie wprasowało w cegły i metal, jak żabę z łapami na wszystkie strony.

I byłbym się tym zachwycał jeszcze pewnie chwilę, gdyby nie to, że kolejny skrzydlaty skurwiel wbiegł we mnie łysą glacą naprzód, uderzając z gracją buldożera wjeżdżającego w przedszkole.

Nawet nie wiem, co się stało. Ziemia i niebo zakręciły się wokół mnie, bardziej poczułem, niż usłyszałem trzask pękających żeber. Moich, rzecz jasna, przecież nie jego. Potem zobaczyłem grunt, kawałek muru... Szarpnięcie, wszystko zatrzymało się, a potem przesunęło, gdy zjechałem po chropowatym murze, a potem przekręciłem na plecy i stoczyłem po rumowisku.

Świat na chwilę odpłynął, zapadł się w czerwono-czarnej, matowej nijakości.

Spróbowałem zaczerpnąć tchu, ale tylko zakrztusiłem się ciepłą, lepką cieczą. W ustach poczułem charakterystyczny, metaliczny posmak krwi... Niedobrze.

Ups. Wyglądało na to, że zostałem, jak to napisał jeden z naszych wieszczów narodowych, wyjęty na jednego hita.

Przez chwilę patrzyłem w puste, pozbawione chmur niebo. Potem zrobiło się ciemniej, gdy łysy Anioł stanął nade mną, przydepnął klatkę piersiową grubą nogą w czarnym sandale.

– Ezekielu, Ezekielu! – zadudnił. – A przecież mówił ci szef, żebyś nie wierzał przeciwko ościeniowi. Można to było załatwić polubownie, grzecznie... Ale ty musiałeś po swojemu. Co, co tam mówisz?

– Hhhyh... – zacharczałem. Łysy Anioł nachylił się nade mną, nadstawił ucha:

– Co?

– Fajne masz piździsko, chcę byś miała ślisko, kutas mój pachnący niczym kwiat...
Tonę w sromie twoim, ciągle chuj mi stoi, łysy anioł, dziwko, już go znaaasz... –
zanucilem, fałszując jak cholera.

– Och, ty szkodniku! Już ja cię...! – Anioł zamachnął się otwartą dłonią, zapewne
chcąc po prostu oderwać mi lebę.

Nie, nie miałem żadnego asa w rękawie.

Gladius wypuściłem z ręki i nie wiedziałem nawet, gdzie może być.

Strzelającej Purpurą strzelby się jeszcze nie dorobiłem.

Rzucić czaru bym nie zdążył.

Okej, mógłbym pewnie sięgnąć do kieszeni i jebnąć mu kastetem, ale po prostu
o nim zapomniałem.

Więc, jako się rzekło: nie miałem planu B.

To nie był cwany tekst przed niespodziewanym uderzeniem z zaskoczenia.

To był po prostu cwany tekst.

Łabędzi śpiew.

Widziałem tylko górującego nade mną Anioła, którego ręka powoli opadała ku
mojej twarzy.

A potem w jego szyję wbiło się płonące Purpurą pilum.

Zatoczył się i buchnął w przód, dłoń zamiast uderzyć mnie w głowę zaryła w gruz,
zasypując moją twarz pokruszonymi kawałkami cegieł.

Wsparł się ciężko na niej, drugą ręką chwycił za przebitą szyję, w której nadal
tkwiło półmetrowej długości gorejące żelazce z metrowym drzewcem z solidnego
jesionu. Wybałuszył oczy, otworzył usta – zobaczyłem pełgające w jego gardle
Purpurowe płomienie.

Dawno nie widziałem aż tak niepomiernej zdziwionej i zaskoczonej istoty.

– Jiii-hou! – rozległ się wysoki wrzask, zaś ułamek sekundy później plecy Anioła
ekspłodowały Purpurą, kiedy zbrojna w dwa zakrzywione sejmitary kobieta wpadła
w niego jak podkaszarka na kryjącą się w trawie kuropatkę.

Anioł przewrócił się na bok, zobaczyłem jeszcze machnięcie skrzydeł, a potem
nade mną zostało tylko puste niebo.

Słyszałem krzyki, szcęk oręża i nawoływania. Ktoś krzyknął donośnie. Syknął
i buchnął płomień wyładowania magicznego. Potem zgrzytnęła stal, znów jakiś huk, jak
walącej się ściany. Łopot wielkich skrzydeł...

...I cisza.

Nadal patrzyłem w niebo, niezdolny poruszyć głową. Chyba miałem złamany
kręgosłup, bo czułem, jak od połowy pleców w dół rozlewa się ból regenerujących się
zakąszeń nerwowych... serce biło, wciąż oddychałem.

Łada godzina powinienem dać radę wstać.

I wtedy znów ktoś nachylił się nade mną, zajrzał w twarz.

– Hej, ten tutaj nadal żyje! – zawołał. – Kenaniasz, dogoń tamtego i wróć...
Szamiramis, zostaw te swoje szabelki i pomóż mi z nim, bo to chyba jeden z naszych!
Cholera, nieźle dostał, ale...

Zająknął się i urwał, kiedy w końcu spojrzął nie na moje Znamię, ale na twarz.
W każdym razie to, co było z niej widać.

A ja patrzyłem na niego.

I serio, nie wiem, który z nas był bardziej zaskoczony.

– O cholera... – powtórzył. – O cholera... Dawajcie żywo, do mnie tutaj! Słuchajcie, ja
go znam! To jest przecież... O ja jebię! To przecież...!

Słabo uśmiechnąłem się rozbitymi ustami.

– No siemano... Kopę lat, Art – wycharczałem.

A potem zemlałem teatralnie.



Rozdział VI



Kiedy doszedłem do siebie, leżałem na posłaniu z pleców i koców, umieszczonym w załamie muru pozostałego po jakimś dawno nieistniejącym budynku.

Żebra, kości i cokolwiek miałem jeszcze połamane, pouszkodzone i popękane zrosły się już w większości, ale nadal dokuczały jak cholera, więc obudziłem się w sumie z bólu, kiedy próbowałem przekręcić się na drugi bok. O dziwo, nadal byłem w moich ciuchach, nikt nawet nie próbował mnie opatrzyć; owinęli mnie tylko taśmami

haftowanymi w symbole z Kabały i wersety z Pisma, żeby usprawnić kanalizowanie spływającej z Budżetu energii.

Nie zabrali mi nawet gladiusa, który leżał obok w pochwie. Nie odebrali toreb... Ba, nawet strzelba stała na wyciągnięcie ręki, oparta o ścianę!

No cóż, w końcu wyglądało na to, że uratowała mnie ekipa Komorników.

– Obudził się! – zakomunikował siedzący obok niewielkiego ogniska żyłasty brodac z grzywą długich włosów zaplecionych w warkoczyki. – Ej, chodź no tu, Art! Ten twój się...!

– No słyszę chyba, słyszę... Idę już, Tarkwin. A ty pilnuj żarcia, Szami.

– Sam se pilnuj – prychnęła do tej pory siedząca pod martwym drzewem kobieta. Jednak mimo to wstała, dosiadła się do brodacza przy ognisku i bardziej dla zasady, niż z potrzeby przegrzebała żar patykiem. – Ciekawe, czy jak Kenaniasz wróci, to też taki będziesz pierwszy do rozkazywania?

– Nie chcesz, nie pilnuj, niech się spali wpizdu. O kurka, to naprawdę ty... Ale numer!

To ostatnie było skierowane już do mnie. A ja nawet nie bardzo wiedziałem, co mam powiedzieć. Jak zareagować. Co myśleć.

– Mógłbym powiedzieć to samo... Art – wydukałem w końcu.

– No, masz szczęście, bo imię mi się dużo nie zmieniło! – zaśmiał się Art, przegarnął na bok włosy. – Artorius Czwarty, legalnie działający i inne takie pierdoły... Ale że ciebie też zwerbują? Prędzej bym się końca świata spodziewał! To jak cię teraz wołać?

– Zek. To jest, Ezekieli, Ezekieli Siódmy – rozwinąłem od razu.

– Siódmy? Fiu, fiu, popularne coś imię. I co, długo w Korpusie już?

– Wiesz co...

– A zresztą, co mnie to obchodzi! Daj grabę, człowieku, niech–no ja się z tobą przywitam normalnie! Ja jebię, przecież my to się ostatnio widzieliśmy... Kiedy to było? Zamrugalem, otworzyłem usta i zamknąłem.

No dobra, to wymagało ode mnie wykonania pewnej pracy koncepcyjno-dekonstrukcyjnej.

Bo ja przecież Arta znałem.

A w zasadzie to znałem go jeszcze jako Artura, mimo że wtedy też woaliśmy go w skrócie: Art. I to znałem go, ho–ho–ho! Od głębokich czasów Przed, od podstawówki. Chodziliśmy na te same imprezy, raz zdarzyło nam się pukać do drzwi tej samej dziewczyny – na szczęście z pewnym przesunięciem w czasie. On znał moją rodzinę... Kurwa mać. No i pracowaliśmy razem od czasu do czasu, robiliśmy różne dziwne rzeczy.

No dobra: również egzekwowaliśmy długi. Natomiast wtedy niekoniecznie wiązało się to z fizyczną likwidacją dłużnika, co najwyżej z nieznacznym naruszeniem integralności jego powłok cielesnych. No i był jasno ustalony etos pracy i etyka zawodowa: z osobami starszymi rozmawiało się kulturalnie, nie prowadziło się czynności w obecności dzieci, nie ruszało kobiet, tego typu rzeczy.

Potem straciliśmy z Artem ze sobą kontakt, aż w końcu spotkałem go, gdy zaczął się w miejscu znanym jako Klatka – pozostałościach starej rafinerii, gdzie kwitła nie–Koszerna technologia i nadzieja, że jakoś to jeszcze będzie, że da się w tym świecie żyć. Art pomógł mi w paru tematach, między innymi z polowaniem na Jonasza, który był moim pierwszym Zleceniem, i ogólnie był dobrym sojusznikiem. Powiedziałbym wręcz: przyjacielem.

Aż przyszedł ten moment, że pojechał ze mną w świat. I ostatnim, co zrobiliśmy razem, było wzajemne pozabijanie się: on mnie, a ja jego... Tylko że ja byłem Komornikiem, więc przeżyłem. A on, najogólniej mówiąc, już nie.

Owszem, zabiłem kumpla. Jak ostatnia szmata, jak najgorszy skurwiol po prostu stuknąłem przyjaciela. Zrobiłem to, bo tak mi kazał ten ciapaty kozojebca Azrael...

– Odnosisz się do faktów, które technicznie nie miały miejsca, Ezekielu – odezwał się siedzący na załomie muru Anioł Śmierci.

Arta jakby ktoś batem smagnął. Zerwał się na równe nogi tylko po to, żeby rymsnąć na kolana w kurz, pochylając kark przed Aniołem. Pozostali też poderwali się od ogniska, czym prędzej klęknęli przed Wysłannikiem w geście pełnym pokory.

– Co? – zapytałem po prostu, unosząc się tylko na łokciu z mojego posłania.

– Fakty, do których się odnoś, Ezekielu, nie miały miejsca. Dlatego też przekładanie wywołanych przez nie emocji na moją istotę pozbawione jest sensu. Zakładam, że dla ludzi to w pewien sposób naturalny mechanizm asocjacyjny, jednakże...

– Azi, spierdalaj! – Machnąłem ręką, jak na dobierającą się do karmnika wronę. – Sio! Co to za wpierdalanie się w rozmowę bez zaproszenia?! Ojciec z matką cię manier nie nauczyli?! Ja wiem, że w klapę od śmietnika się nie puka, zanim się wejdzie, ale kuuurwa! Ja tutaj rozmawiam z człowiekiem... Poza tym, czy ty mi czytałeś w myślach?!

– Moje prerogatywy sprawiają, że...

– To niech nie sprawiają! Cofam ci pełnomocnictwo w tym zakresie! Wyłącz powiadomienia, usuń wtyczkę, czy co tam... Nie życzę sobie! Nie wyrażam zgody na przetwarzanie ciasteczek! Paszoł won, a kysz! Jak będę chciał porozmawiać, to cię wywołam!

Anioł Śmierci z godnością strząsnął skrzydłami, wyprostował się i spojrzął w bok, jak obrażony kruk.

– Jak sobie życzysz, Ezekielu.

I zniknął.

– No, polazł sobie. – Zaśmiałem się nerwowo. – Sorry, Art, ale on ma taki głupi zwyczaj...

Urwałem.

Troje klęczących ludzi patrzyło na mnie spode łba wzrokiem stanowiącym kuriozalną mieszaninę niedowierzania, zabobonnego wręcz strachu i niezdrowej ciekawości. Czwarty – mężczyzna o kędzierzawej brodzie, w którym na pierwszy rzut oka rozpoznałem Kenaniasza, który jednak nie rozpoznał mnie – nadszedł właśnie i stanął, jak wryty, patrząc na tę kuriozalną scenkę rodzajową.

No dobra. Podobno pierwsze wrażenie można zrobić tylko raz, tak?

A wie ktoś czy nie da się go zresetować?



Kilka pacierzy, dużo gadania i dwie zmiany narracji później, Art nadal nie był do końca przekonany.

– ...Szkolenie z agresywnych technik negocjacyjnych? – Rozłożył ręce. – Jakich, człowieku? U kogo?

– Oj, był taki trener rozwoju osobistego jeszcze Przed. Nieważne. Masz w korporacji tyle miejsca, ile sobie zrobisz! Sami wiecie, jak to działa, nie?

Kenaniasz potrząsnął głową.

– Nie. Wcale nie działa. Jak ja kiedyś przerwałem mojemu Aniołowi, to kazał mi zbierać flaki z piasku.

– Ta moja sucz zerwała mi wszystkie paznokcie! – warknęła Szamiramis, ostrzając właśnie swoje dwa sejmitary. – Więc nie wiem, czy odrobina zabawy w Kopciuszka...

– Moje własne.

– ...Aha. No dobra, okej. Zwracam honor.

– Nie wiem, jak to działa, Zek. Wytłumacz mi, jak to działa. Chętnie się dowiem. – Kenaniasz zmrużył oczy, świdrując mnie wzrokiem.

Nie miałem pojęcia, jak to działało. Po prostu. I nie chodziło o to, że *de facto, de iure* oraz *de brudnosiure* byłem urzędującym Bogiem, Stwórcą i Panem Świata. Nie zmieniłem mojego stosunku do Azraela względem tego, jak traktowałem go kiedyś.

A jak do tego doszło? Nie wiem nawet. Nie pamiętałem. Chyba pierwszy raz mi się wyrwało kiedyś przy rozmowie jeszcze na początku, a on nie załapał. I potem jakoś tak weszło w nawyk.

– ...Stopniowo – powiedziałem ostrożnie. – Zaczynasz od małych rzeczy, a potem przyzwyczajasz go do większych. Oni się przecież uczą, co nie? No więc idziesz stopniowo.

– Aaa, łapię. Tak jak z rozciąganiem ciała, tak?

– No, coś w ten deseń.

– I co, zaczynasz od jednego palca, a potem siadasz na słoiku? – zaśmiał się Tarkwiniusz, czyli ten żyłasty brodac. – Albo jak z odpornością na obrażenia? Że najpierw strzelasz do siebie z plastikowych kulek, potem z wiatrówki, w końcu przechodzisz do koma dwadzieścia dwa bocznego zapłonu...

– Nie rozpędzaj się, Tark, bo zaraz nam na głowy jakieś gówno ściągniesz – osadził go w miejscu Art.

– Fakt. Mój błąd.

– Wrzucaj szkle do wspólnej sakiewki! – zarechotał Kenaniasz, podsuwając mu skórzany woreczek. Tarkwiniusz niechętnie wysupłał zza pazuchy srebrny krążek monety i upuścił do przepastnej kiesy.

Art popatrzył na moje mocno niekoszerne, po wierzchu tylko zakamuflowane ciuchy. Na strzelbę opartą o mur. Pokręcił głową.

– Ciebie to by trzeba za to wyposażenie skasować hurtem, po wspólnej stawce podatku liniowego. Nadal nie rozumiem, jak udało ci się aż tyle ugrać, ale... Ech, może jakbym przeczytał te wszystkie akapity drobnym druczkiem, to też bym coś z tego wyciągnął!

– Żebym ja przeczytała swoje w ogóle przed podpisaniem, to też by inaczej było! – zaśmiała się Szamiramis. – Ile gadania miałam i tak o te dwie bronie, ech... Ale ze strzelbą to przegięcie. I co, nawet na oczkach przy pasku jej nie nosisz?

– No, jakoś tak wyszło – bąknąłem, po czym szybko zmieniłem temat: – Art, człowieku, jak dobrze cię widzieć. Naprawdę, to jakieś zrządzenie losu, że tu akurat byliście!

– A jak ja się cieszę... Zek! – Art rozłożył ręce, uściśnął mnie i poklepał po plecach. Zreflektował się, że dopiero co miałem połamane zębra, ale ja tylko machnąłem ręką: nie bolało już. – Człowieku, co się z tobą działo, kiedy się zaczęło? Bo w sumie nie złożyło się, żebym do was zajrzał nawet, nie było mnie w tych okolicach. Co u twoich, jak tam... ach. No tak. Przepraszam.

Uśmiechnąłem się kwaśno.

– Nie szkodzi, Art. Taki nasz los już Komorniczy, przypuszczam, że u nikogo nie było inaczej. Początek jakoś się udało przeżyć, tam w mojej okolicy, na tym zadupiu przy gliniankach, nic się szczególnego nie działo takiego. Ot, tyle że jebnęło w ten zakład konfencjonowania bakalii niedaleko.

– No, nie dziwota! Jak on się nazywał przecież? Saturn, Helios? Z taką nazwą...

– Helio, ale i tak blisko, fakt. Pewnie to samo co u wszystkich: powolna agonia, bezczas i beznadzieja. No a teraz, cóż...

– Teraz jak jest, każdy widzi – rzucił sentencjonalnie Kenaniasz.

– A ty co, Art? Jak u ciebie przeszło, na przedmieściach stolicy? Pewnie gorzej...

– Ja od razu Po wyniosłem się do rodziców na wieś. Tam, w Mieście, była przecież chujnia z grzybnią pełna!

– Dopiero będzie, jak tam dotrzemy – wyszczerzył się Tarkwiniusz.

– Idziecie do Miasta? – od razu wyłapałem.

Spojrzeli na mnie wszyscy troje.

– No... tak. Przecież chyba wszyscy z naszego Rewiru dostali wezwanie do stawiennictwa? – Art zmarszczył brwi.

– Nie no, jasne, ja też. Tak się upewniam tylko – zapewniłem pospiesznie, żeby nie wzbudzać dalszych podejrzeń. – Ja co prawda najpierw do Klasztoru chcę zajść, mam tam do pogadania ze Stratilatą.

Szamiramis potrząsnęła głową, oglądając krytycznie ostrze swojego sejmityra.

– Nie radzę, bo Dział Nadzoru mocno pilnuje teraz marszrut. Aż się dziwię, że jeszcze nam nie zaczęli naliczać karnych odsetek za to, żeśmy z naszej trasy zboczyli.

– Mówiłem, że to przejdzie! – Art uderzył dłonią o dłoń. – Jak tylko zobaczyłem, że się skurwiele desantują, od razu poczułem, że to coś ważnego... A te chuje chciały naszego Ezekielia z zaskoczki wziąć! Szkoda, żeśmy tego truposza nie dali rady wziąć, on by pewnie sporo ciekawego nam wyśpiewał.

– Szybki był. – Kenaniasz skrzywił się. – I hardo magią siał, aż mi rękę przysmażył. Powinno się na takich od razu wystawiać zapotrzebowanie na Zlecenia.

– Sprawdziłeś go? Zapodaj swojemu Aniołowi Nadzorcy, może jest już w systemie – mimochodem rzucił Tarkwiniusz, pakując sakwę.

– Od razu go wrzuciłem, no za kogo ty mnie masz? Mielilo, mielilo, ale w końcu nie wybiło nic. Tylko jakiś taki dziwny komunikat, czekaj, że jak to było? „Nieaktualne parametry Zlecenia, obiekt zmienił status ontologiczny”. I jakieś pytanie, czy chce ręcznie aktualizować...

– To błąd taki, czasami wybija jak się nałożą dwa rekordy w Ewidencji – wtrąciłem pospiesznie swoje dwa grosze. – Nie ruszałeś go?

– Nie no, coś ty. Niech się potem z tym bujają tamci z Działu Pozyskań.

– Słusznie.

No tak, bo przecież nigdzie nie było z nami Jonasza. Zauważyłem to już wcześniej, trochę się bałem, że go zwyczajnie usiekli... A tymczasem on dał radę salwować się ucieczką. I na całe szczęście system nie połączył kropkę i nie uznał, że Jonasz-żywy i Jonasz-martwy to nadal jedna i ta sama osoba.

– Czyli idziecie do Miasta? – upewniłem się raz jeszcze.

– No, to przecież z nami od razu pójdiesz! Tam wreszcie mają robić tę ofensywę, co to już się odwleka i odwleka... Będzie wesoło, zobaczysz! Dasz radę już o własnych siłach?

– Co mam nie dać... Czekajcie, zbiorę moje rzeczy i podzielimy się wspólnym dobytkiem do niesienia.



Czworo Komorników do towarzystwa. No, nie powiem: to była kompania, w której można czuć się bezpiecznie.

W tym dwóch, których znałem wcześniej!

O ile nie miałem szczególnego problemu z Artem, z którym łączyły mnie wspólne wspomnienia z czasów Przed, o tyle celowo starałem się unikać Kenaniasza. Sęk w tym, że Kenek był moim ziomkiem z Korpusu Komorniczego, znałem go dość dobrze, pomagaliśmy sobie od czasu do czasu... Ręka rękę myje, te sprawy.

Natomiast akurat TEN Kenaniasz nie znał mnie zupełnie, więc musiałem uważać, aby nie fraternalizować się zbyt na wejściu. Dlatego też przekierowałem całą swą uwagę na Arta... z którym autentycznie, nieudawanie miałem ochotę sobie pogadać.

– ...No i tak to jakoś wyszło – zakończyłem mocno połatana, częściowo opartą na twardych faktach, a częściowo na wierutnym kłamstwie, historię mojego wstąpienia w szeregi Korpusu Komorniczego. – A ty? Jak to się u ciebie stało?

Art poprawił zamotaną na głowie chustę, rozejrzał się po okolicy i wzruszył ramionami.

– Ehh, to dziwna sprawa była, Zek. Bo ja przez dłuższy czas, jak by to ująć... mieszkałem... to jest, byłem...

– Temporystą był – wyręczyła go Szamiramis.

– W sensie, pozaczasowcem? – domyśliłem się.

– No, i to takim hardym! Zupełnie niekoszerne technologie, uprawy kropelkowe, lekarstwa i ogólnie rozumiana nauka. Nawrócony Grzesznik, słowo daję! – zaśmiała się kobieta.

Artowi chyba nie w smak były takie podśmiejuchki, bo spiorunował ją złym wzrokiem.

– Każdy ma jakąś przeszłość – odparł z godnością.

– Albo miał – zgodził się Kenaniasz. – I żadnego w tym wstydu, bo przecież zapisy z Ewidencji wymazane. Daj mu spokój, Szamirka. Wszyscy mają swoje za uszami.

– Ja nie mam – stwierdziła Szamiramis wesoło.

– Tym gorzej dla ciebie, bo wszyscy normalni mają. Nie ma tak, że ktoś na czysto wszystko zrobi... No chyba że Pierwszy.

– Ahem... – odchrząknąłem, starając się nie patrzeć im w oczy.

– A niby co ty masz w papierach nie tak, Kenek? – nie odpuszczała kobieta.

– Głupia sprawa. Jak byłem na pierwszym rajdzie, jeszcze z Haggardem wtedy, to nadzialiśmy się na jakiegoś debila... Znikąd wylazł, zaczął nas prowokować, a potem przydziałowego Pastucha rozwalil.

– Wariat? – zdziwił się Art.

– No chyba tak, nawiedzony jakiś, albo inny renegat, trudno powiedzieć. Poslał mnie za nim, w końcu go dogoniłem. No i tak wyszło, że mnie zaciukał.

– No coś ty! – Szamiramis wybuchnęła śmiechem. – Przypadkowy typ cię odwalił na pierwszej misji? O jaaa, no nie mogę, no...! Jaki obciach!

– Wcale nie przypadkowy! – zaperzył się Kenek. – Miał miecz, i to w dodatku na Purpurę!

– Aha, i jeszcze może cię Purpurą pochłastał, a ty przeżyłeś?

– Ty coś za mądra jesteś, Szamirka, wiesz? Tak przypuszczam, że chyba cię nogi swędzą.

– Nieee... – zajęczała, ale Kenek już wyszczerzył się maniakałnym uśmiechem:

– No już, panowie, nie zwracajcie uwagi na nasze przekomarzanie. My się trochę naprzód wysforujemy... Na wysunięty zwiad, biegiem, marsz! – zakomenderował.

Patrzyłem na nich, jak we troje odbiegają szybkim truchtem, zostawiając nas w chmurze pyłu. Tak, Kenek zawsze miał te swoje zapędy taktyczno-dowódcze, lubował się w marszobiegach, podejściach, zasadzkach i rozpoznaniu bojem.

– On u was dowodzi? – zapytałem, kiedy zostaliśmy tylko we dwóch, objuczeni każdy swoim bagażem.

– Najstarszy stażem jest, więc w sumie tak jakby. A jak jego nie ma, to ja przejmuję.

– Zawsze organizator... Nawet w Klatce. – Uśmiechnąłem się.

Spiął się zauważalnie, spojrzał na mnie badawczo.

– Nie mówiłem ci, że w Klatce byłem.

Fakt, nie mówił. Kurwa. Zapędziłem się znów, mówiąc o czymś, czego nie miałem prawa wiedzieć.

– Wydawało mi się, że wspominałeś – bąknąłem.

– Nie, na pewno nie mówiłem. Nikt z nich tutaj nie wie. A ja zachodziłem w głowę, jak tamta dwójka do mnie przyszła wtedy... Kto jeszcze mógł wiedzieć, że myśmy ten numer odwinęli? I tylko ty mi zostawałeś!

– Ale kto...? – Zastanowiłem się przez chwilę, potem załapałem. – Ach, wege hipsterzy od aparatu...

– No ci sami przecież! Skąd wiedziałeś, że ja w Klatce jestem, Zek?

– ...Co?

– No przecież powiedzieli, że ich do mnie przysłałeś! Skąd wiedziałeś, że ja tam jestem?

– Yyy, ktoś mi powiedział po drodze. Poza tym, ty zawsze lubiłeś wygodę, a tam chyba najbliżej było do normalnego życia?

Kurwa, to się robiło niebezpieczne, taka żonglerka półprawdami i łatanie wszystkiego na bieżąco. Miałem do spięcia dwie rzeczywistości, które zaczynały rozlaść mi się w rękę, jak stara, przepocona koszulka.

Natomiast o ile Art był zawsze bystry, o tyle też zdecydowanie zbyt łatwo wierzył ludziom. Tak więc potrafił rozgrzyźć najbardziej zagmatwaną intrygę, ale często łapał się na proste, pozornie oczywiste kłamstwo.

Tak jak i teraz, bo rozluźnił się wyraźnie, kiwnął głową.

– No, więc skoro już i tak wiesz... Siedziałem tam dobre trzy lata, uwierzysz? Nawet czas mierzyliśmy, były tygodnie i miesiące, święta... Szkoła działała, mieliśmy pięć klas podstawówki i trzy średniej. Cholera, aż dziwnie o tym mówić teraz. – Wzdrygnął się.

– I co poszło nie tak?

– Nawet nie wiem. Z jednej strony to było dobre miejsce. Mogliśmy tam żyć i skutecznie się bronić, odparliśmy przecież nawet atak Rewersu... Wysłannicy nie podchodzili, dopóki nikt nic głupiego nie robił. Ale coś było nie w porządku.

– Konflikty wewnętrzne? Tarcia? Wiesz, to się zdarza wszędzie, Art.

– Cholera, Zek, ty się jednak nic nie zmieniłeś. – Pokręcił głową. – Zawsze o ludziach myślisz, zawsze po innych patrzysz... Pamiętasz, jak wtedy na robocie kazałeś typowi się tak nie drzeć, bo późno jest, a u sąsiadów dzieci śpią?

– To była ta akcja z drzwiami? Kurwa, ciężko zapomnieć. Ale jakim debilem trzeba być, żeby coś takiego mieć zamontowane przy framudze, ja pierdołę! – zaśmiałem się, lekko zażenowany powrotem do wspomnień. – A ta babka, co ją wyciągnęliśmy z samochodu na parkingu?

– Ta co nam chciała dupy dać? A jak! – Art klepnął się dłonią po udzie. – I ten głos z fochem: „No panowie, no! Jakoś się dogadamy chyba, no... Tylko mi bluzki nie pogniećcie, no, bo ja na spotkanie jadę!”... Ja jebię, ale to były czasy kiedyś!

– No były, były... To co się stało, Art?

Zmarkotniał.

– Nie wiem, Zek. Tak patrzyłem na to i myślałem: ile jeszcze damy radę? Rok, dwa, trzy? Przecież dzieci się nie rodzą, zasoby się po trochu kończyły. W końcu coś musiało pieprznąć, a potem poszłoby efektem domina. Poza tym, ile można tkwić w takim miejscu, jak...

– Jak w Klatce – dokończyłem za niego.

– No właśnie! A ja nie mogę tak, w zamknięciu. No więc pewnego dnia po prostu spakowałem się i odszedłem. Nie myślałem wtedy o wstąpieniu do Korpusu... Dopóki do mnie nie przyszedł Anioł.

– Tak po prostu?

– No, a jak inaczej? Normalnie przyszedł, przywitał się i w ogóle. Zaczęliśmy gadać... I on do mnie krótką piłkę: panie Arturze, jest taka sytuacja, rozumie pan sam, sraty-taty-pierdaty. Że on widzi w kolejce do Egzekucji moje imię, więc czasu jest mało, ale niby jest okienko możliwości, żeby sytuacji zawczasu zaradzić.

– Kijek i marchewka? Ładne, przebiegłe. – Cmoknąłem z uznaniem. – I co, jak się zaciągnąłeś do Korpusu, to oczywiście imienia nie było na liście?

– No oczywiście że nie, skąd wiedziałeś? – prychnął Art. – Bo przecież zostało już wykreślone z Ewidencji. Kurwi syn, tak mnie bezczelnie oszukał...

– Ale wcześniej było – powiedziałem z przekonaniem.

– Tak sądzisz? Bo nie mam pewności i gryzie mnie to, że dałem się podejść, jak dziecko...

– Było, mówię ci. Przecież oni nie potrafią kłamać, a już na pewno nie tak przebiegłe, z trybami warunkowymi. Jakby potrafili, to już dawno by ludzi nabrali na coś.

– ...Na przykład?

– Na przykład coś w chuj prostego, nie wiem: dostaniecie po pińcet szekli na dziecko. Przecież ludzie są tak, kurwa, bezdennie głupi, że nawet jakby cena oliwy do lampek skoczyła do ośmiu szekli za litr, to można im wmówić, że to wszystko wina Światłodzierzcy siedzącego w Rewersie.

– Fakt. Dobrze cię znów widzieć, Z... to jest, Zek. Sorry, trochę potrwa, zanim się do nowego imienia przyzwyczaję. Przydasz nam się tam, w Mieście. Co się tak rozglądasz, widzisz coś?

– Nie – zapewniłem pospiesznie. – To powiedz mi, co to są za jedni, ci twoi towarzysze?

Prawda była taka, że owszem, widziałem COŚ. A konkretnie to KOGOŚ. Już trzeci albo czwarty raz mignęła mi na widnokręgu ciemna, ledwo widoczna sylwetka... Jak gdyby ktoś uporczywie za nami podążał.

W pierwszej chwili myślałem, że to jeden z Aniołów, choć Tarkwiniusz twierdził, że wszystkie przegonili i odleciały w cholerę. Ale potem doszedłem do wniosku, że to musiał być Jonasz.

Logiczne: nie chciał się tamtym rzucać w oczy, ale też wolał nie tracić kontaktu z mną, więc podążał naszym szlakiem.

A mi było w sumie – w sumie trochę miło, że nie okazał się aż takim chujem, za jakiego go początkowo miałem.

Oby tylko nie zrobił czegoś naprawdę głupiego.

– No więc, Zek, po kolei. Zacznę od Szamiramis, bo Apokalipsa swoją drogą, a pewne zasady dobrego wychowania nadal obowiązują...

Daleko przed nami, na horyzoncie, rysowały się już ciemne zarysy wysokościowców Miasta.



– Dzień dobry, Komornik! – Kenaniasz załomotał do drzwi chatynki. – Wiem, że pani tam jest... Proszę otworzyć, wykonujemy rutynowe czynności!

– Bez sensu. Zostaw jej Wezwanie na progu i idziemy dalej. – Tarkwiniusz machnął na niego ręką.

– Czekaj, no przecież widziałem, jak się do środka chowa... Proszę pani, proszę otworzyć! Nie zrobię pani krzywdy, chcę tylko wręczyć pani urzędowe pismo! Nie trzeba kwitować ani nic, tylko pani weźmie!

Przestąpiłem z nogi na nogę, rozglądając się po zasłanym śmieciami, nierównym, mikroskopijnie małym placyku, wokół którego przycupnęło kilka prymitywnych chatynek. Ot, miejsce jakich wiele w świecie Po: zagrody dla zabiedzonych zwierząt, poletka uprawne, kilka pokrytych niezdrowego koloru liśćmi drzewek owocowych... Nic szczególnego.

– Kenek, chodź–że, człowieku... – jęknęła Szamiramis.

Natomiast Kenaniasz uparł się, że on właśnie tutaj porozdaje ludziom gliniane tabliczki z Wezwaniami, które zalegały mu w sakwie. Art usiłował mu tłumaczyć, że nie ma takiej potrzeby, że przecież tam, na zgrupowaniu w Mieście, nikt nie będzie takich rzeczy sprawdzać... Ale on się uparł i koniec.

Dłatego teraz szedł od drzwi do drzwi, wciskając tabliczki każdemu.

Na początku poszło mu nawet nieźle, bo zdybał parę osób pracujących w polu i wcisnął im w ręce Wezwania do Samoutylizacji, zanim zdążyli się zorientować, o co w ogóle chodzi.

Ludzie, jak to ludzie, zaczęli się powoli, niespiesznie ewakuować: ot, tak bez słowa, bez gwałtownych ruchów zbierać narzędzia, zwoływać dzieci i ciągnąć do domów. Udając, że nie widzą i nie słyszą nagabującego ich Komornika ani jego towarzyszy – to jest nas – przyglądających się temu z oddali.

Jeszcze dwie tabliczki dał radę Kenek dać parce, która właśnie zamykała bramy gospodarstwa. Kolejną wręczył typowi z ewidentnym upośledzeniem umysłowym, który otworzył mu drzwi, cierpliwie wysłuchał wszystkiego, co mu Kenek powiedział, po czym z rozbrajającą szczerością oświadczył, że musi dokończyć robienie kupy.

No a teraz Kenieniasz stał przed drzwiami kolejnej chatynki i łomotał do nich, coraz bardziej wkurwiony, zacięty i czerwony na twarzy.

– Otwieraj, stara raszplu! – zawołał łamiącym się głosem. – Otwieraj, bo jak nie, to ci te drzwi do gardła wepchnę i dołem wyciągnę... Otwórz, babo, do kurwy nędzy! Musisz otworzyć z własnej woli!

– Wcale nie – powiedziałem półgłosem do stojącego obok Tarkwiniusza.

– Hm? – Tark oderwał się od przewidywania nieustannie rozwiązującej mu się rzemieiennej pętli na jednym z trzech oszczepów.

Tak, Tarkwiniusz był jednym z tych rzadkich przypadków Komorników, którzy używali jako broni przydziałowej starego, pocziwego pilum. I przyznać muszę, że jakkolwiek nie był to mój styl, to szanowałem go za to w opór.

– Wcale nie musi otworzyć z własnej woli. Nawet nie musi z własnej woli przyjąć. Ja kiedyś dałem Wezwanie trupowi... No, prawie–trupowi, bo jeszcze żył i był świadomy.

– I co, zaliczyli ci? – zdziwił się Tark.

– Jako połówkę bodajże, ale tak. A jeszcze innego razu to w ogóle zostawiłem całą paczkę na środku osady i głośno powiedziałem, że to dla wszystkich po jednej sztuce, i że przeszło.

– Zek, kurde, ile ty już jesteś w Korpusie? – Szamiramis pokręciła głową. – Bo jak cię czasem posłuchać, to jesteś jakąś kopalnią opowieści normalnie!

– E... w sensie, mam ci podać w latach, dniach? W sekundach zegara atomowego, czy w obrotach geoidalnej Ziemi wokół własnej osi? – szybko odzyskałem rezon i zapytałem prowokacyjnie.

– Nie no, kurde! Sio... apage! – Szamirka szybko zrobiła na piersi znak sześcioramiennej gwiazdy, splunęła trzy razy przez lewe ramię. – Krew twoja na głowę twoją, nie jestem winna tych bluźnierstw...! Zek, kurde, co z tobą jest nie tak? Czy ty w ogóle potrafisz mówić w sposób koszerne?

– Potrafię, ale rzygam tym już, szczerze mówiąc. Wy nie? – Rozłożyłem ręce.

Art i Szamirka wymienili się spojrzeniami.

– ...Czasami – przyznał ostrożnie Art. – No ale taka etyka zawodowa jest chyba, nie?

– Ja mam dość już od dłuższego czasu – westchnęła Szamiramis.

– No więc widzicie sami. I powiem wam, że jak byłem w Rewersie, to było mi w sumie tak dobrze! Napoje gazowane, chipsy, cukierki ze sztucznymi barwnikami... Papier toaletowy, jak pierdzielę! Muzyka z odtwarzaczy, bajki na wideo... Ej, no co?

– Zek... To ty byłeś w Rewersie? – szepnęła Art konspiracyjnie.

Kurwa.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Znów to zrobiłem. Wygadałem się jak ostatni dureń.

– ...Tak – przyznałem. – Miałem trudne Zlecenie i tak się złożyło, że zarówno mój Dłużnik, jak i ja zabrnęliśmy tam dość głęboko.

– To prawda, że tam nie ma zasięgu? – Szamiramis nachyliła się do mnie. – W sensie, że nie widzą cię tam Aniołowie Nadzorcy? Że można tam... uciec?

– Chujowe miejsce do uciekania, ale tak. Kurde, jak tam byłem, to Azrael się pojawiał jak rozpikselowany, dwuwymiarowy obrazek ze starej gry komputerowej! – Przypomniałem sobie dawne czasy. – Cisza, spokój... Czysty brak obecności. Wysłannicy tracą tam zasilanie i po prostu gasną.

– Jak to: gasną? – nie zrozumiał Art.

– No chyba normalnie, nie? Oni przecież działają na światło słoneczne. Dlatego tak dużo ich jest w Blasku, a tutaj, w Kancie, coraz mniej. I nie są w stanie tutaj wejść w plamy cienia, bo... tracą... zasilanie...

Zająknąłem się i urwałem, widząc ich spojrzenia.

Oni nie wiedzieli, dotarło do mnie. Nie mieli pojęcia. To, co dla mnie było już informacją oczywistą, całkowicie normalnym know-how, dla nich stanowiło wiedzę tajemną, bluźnierczą i zakazaną.

– Zek, o czym ty mówisz? – jęknął Art drżącym głosem, rozglądając się trwożliwie dokoła. – Przecież to są istoty Boskie. Ich nie da się ani zranić, ani zabić.

– No, technicznie... – Szamirka zamyśliła się. – To w sumie tamci Aniołowie od Upadłego też są Aniołami, nie? A cięliśmy ich na dzwonka...

– Ale to co innego! To istoty, które utraciły Łaskę Bożą! Odszczepieńcy, którzy... – Art aż się zachłysnął, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale umilkł. Oklapł, jak przekłuty balonik. Podniósł ręce, opuścił gestem bezsilnej bezradności.

Dosłownie słyszałem, jak otwierają im się w głowach od dawna zamknięte klapki. Jak najmniejsza nawet informacja, nie pasująca do utartego, od nie wiedzieć jak dawna wtłaczanego im do głowy Jedyne go Słusznego Obowiązującego Wzorca, stopniowo zaczyna zmieniać całe postrzeganie świata.

Czułem, że właśnie niszczę jakiś pięknie poukładany, idealnie uporządkowany światopogląd. Że jestem tym, co kusi, korumpuje i mami na ścieżkę zwątpienia.

I było mi z tym dobrze... Och kurwa, jak dobrze!

– Widziałem rzeczy, którym normalni ludzie nie daliby wiary – syknąłem, nachylając się ku nim. – Serafiny w ogniu sunące ku ramionom Światłodzierzcy. Oglądałem promienie spierdolenia, błyszczące w ciemnościach Bram Raju. Wszystkie te chwile znikną w czasie, jak krew w piach... Pora umierać.

– Ta, krew od razu... – bąknął Art.

Zapadła cisza. Tylko coraz mocniejsze łomotanie Kenaniasza do drzwi domku niosło się echem ponad chatami.

– Otwieraj, bo drzwi wyważę...!

– Ja nic nie wiem! – rozległo się w końcu z wnętrza chaty. – Nie wiem nic, nic nie widziałam! Niech wam będzie, dajcie mi jedną tę durną tabliczkę, sama tu jestem... Dajcie, ja wam drzwi uchylę, no już.

Art zreflektował się błyskawicznie, niczym budzący się z głębokiego snu pies gończy, który usłyszał jakiś niepokojący odgłos i od razu podnosi łeb, nadstawiając czujnie uszu:

– Ej, zaraz... o czym ona nic nie wie? – Sięgnął po gladius.

Skubany, zawsze był dobry w te klocki. Potrafił odsiewać i wylapywać takie drobne kawałki, czepiał się ich, łapał i ciągnął do skutku.

A ja pracowałem z nim długie lata, więc nauczyłem się rozpoznawać jego reakcje, zanim on sam zda sobie z nich sprawę i zdąży cokolwiek zrobić.

Poza tym, uświadomiłem sobie jeszcze jedną rzecz: otóż ja tę wioskę znałem. Kojarzyłem tę chatkę, kojarzyłem nawet pasącą się w zagrodzie za domkiem kozę.

I do bólu znajoma była też wystająca z za rozchwierutanej komórki, nakryta brezentem dwukółka.

Dlatego też kiedy drzwi od chatki zaczęły się uchylać, zaś Art do połowy wyciągnął gladius z pochwy, ja byłem już w pół drogi do stojącego u progu Kenaniasza. Kiedy on wyciągnął tabliczkę z Wezwaniem, aby podać ją wyglądającej z chaty babulince, ja bezceremonialnie wsunąłem nogę w uchylone drzwi i popchnąłem je barkiem, wciskając się do środka.

– Aaa, ratunku! Mordują! – wydarła się babulinka.

– Ej, Zek, no coś ty?! – dobiegł mnie z za pleców zdumiony głos Kenka. – Przecież ja tu po dobroci...!

Jednak ja przeleciałem przez niewielką sien, szarpnięciem odchyliłem wiszącą w przejściu pasiastą płachtę materiału i wpadłem do mikroskopijnego pokoiku.

Nie widziałem wiele, bo przymknięte okiennice wpuszczały do środka tylko absolutne minimum światła. Jednak nawet tego wystarczało, żeby dostrzec, jak odstolika podnosi się trzech mężczyzn... Podnosi w taki charakterystyczny, bardzo powolny sposób, starając jednocześnie trzymać ręce pod białem.

Ręce, w których na sto procent mieli broń.

– Zek...! – doleciało do mnie jeszcze z za drzwi.

A ja przecież tych trzech znałem. Nie potrzebowałem więcej światła, żeby ich rozpoznać.

Chudy, Gruby i Stary.

Charakterystycznie szczęknął odwodzony kurek schowanej pod stołem dwururki.

Położyłem palec na ustach bardzo, ale to bardzo wymownym gestem, po czym zasyczałem teatralnie:

– Żadnych głupot...! Na zewnątrz jest jeszcze czworo Komorników, i to pod bronią. Chcecie zginąć... Efraim?

Efraim. Tak się nazywał ich przywódca, czyli ten najstarszy z bródką. Nie mam pojęcia, jakim cudem pamiętałem to imię, ale kochałem mój umysł za to, że potrafił mi w takich chwilach podrzucać potrzebne informacje.

Stary powoli, nie spuszczać ze mnie oczu pokręcił głową. Równie powoli opadł na ławę przy stole, pokazał gestem wolnej ręki, żeby jego dwaj towarzysze zrobili to samo.

Tymczasem Kenek szamotał się w przedsionku z babuliną, która darła się wniebogłoso:

– Olaboga...! Gwałtu, rety...! Ludzie, pomocy, pomoocoooooocyyy! Mordują mnie, napadają w biały dzień! Aaaa, zabijają mnie, umieram...!

– Nie drzyj się, stara raszplu! – Kenaniasz usiłował ją przekrzyczeć. – Nic ci nie robię przecież, to tyś się mnie uczepiła... Zek, wylaż stamtąd, do cholery!

– Aaa! Mój dom, mój dobytek, moje życie całe! Aaaa, pomoocoooooocyyy, ratunku...!

– Ani słowa! – syknąłem do trzech mężczyzn, po czym pokazałem na wciśnięty pod stół płócienny worek. – Czy to jest to, co myślę? Czy to są, kurwa, relikwie z Klatki?!

Gruby zerknął na Starego, Chudy przelknął nerwowo ślinę.

To było dziwne, bardzo dziwne uczucie, widzieć ich całych i zdrowych. Zapamiętałem dwóch z nich jako poszarpane, zalane krwią zewłoki, a samego Efraima zostawiłem związanego i wiszącego głową w dół, żeby zeżarły go żywcem człekokształtne małpy, gnieżdżące się w resztkach ZOO nieopodal Klatki.

Bo tych trzech było w poprzedniej iteracji świata handlarzami relikwii. A konkretnie to fałszywych, bluźnierczych relikwii, kupczenie którymi było symonią karalną w literze i duchu praw Góry spektakularną śmiercią.

A handlowali nimi, debile, w ramach siatki realizującej absolutnie szalony i obłąkany plan, wysrany z dupy przez... A zresztą, co ja będę jęzorem po próżnicy mielił?

– Z łaski swojej przekażcie Światłodzierzcy, że jest dwulicowym, zdradzieckim chujem – warknąłem. – I że nikt nie będzie leciał sobie w chuja z Ezekielem Siódmym... A teraz morda w kubeł, ani mi tutaj pisnąć... Już idę, Kenek! Patrz, co stara raszpla miała skitrane!

Złapałem pierwszy lepszy przedmiot z szafki, dzierżąc go w rękę niczym nie wiedzieć jakie trofeum, wyparadowałem z chatynki tryumfalnym krokiem zwycięzcy.

Babulina widząc mnie dosłownie skamieniała, obwisła wciąż wczepiona w tunikę Kenaniasza... A potem rozdarła się z nową mocą:

– Rozbój! Bezprawie, złodziejstwo i wyzysk...!

– Milcz! – huknąłem na nią, po czym cisnąłem na ziemię przedmiot i rozdeptałem sandałem. Chrupnęło i trzasnęło, bo to chyba coś z porcelany było, albo jakiś inny gliniany bibelot. – I niech ci to będzie, niewiasto, nauczka na przyszłość!

– Zek, człowieku... Wlazłeś tam po jeden pamiątkowy kubek? – Kenek spojrzał na mnie niedowierzająco.

– Idziemy stąd, bracia i siostrzo! A dla was pozostałych, niech to będzie nauczka i ostatnim ostrzeżeniem! – wyjąłem i odpaliłem gladius, tocząc wzrokiem po pozostałych chatach.

Serce waliło mi z nerwów jak młotem, w ustach miałem suchego, lepkiego kaptcia. Kątem oka cały czas starałem się obserwować Arta i całą resztę ekipy, jednocześnie kalkulując sobie w myślach: dam im radę? Czy nie dam...? Najniebezpieczniejszy był Kenaniasz, bo mógł razić na odległość, więc jego trzeba było szybko wyeliminować celną wiązką śrutu, albo dobrze przymierzonym zakłęciem...

Natomiast, ku mojemu pewnemu fabularnemu zaskoczeniu, sytuacja zamiast eskalować, zaczęła się sama wygaszać. Babulina puściła Kenaniasza i schowała się do chatki, trzaskając drzwiami. Art, Szamirka i Tark całymi sobą dawali do zrozumienia, że gotowi są stąd iść choćby i teraz, zaraz... I tylko koza obserwowała to wszystko z iście stoickim spokojem zza swojego ogrodzenia, powoli przeżuwał resztki starego fotela.

Ruszyliśmy precz. W uszach tak mi szumiała krew, że ledwo słyszałem odgłosy otaczającego mnie świata. Szamiramis komentowała coś półgłosem, utyskując na coraz większy „opór materii ludzkiej”, Art wtórował jej bez szczególnego przekonania. Tark w ogóle wysforował się do przodu, twierdząc, że musi „sprawdzić trasę”, cokolwiek miałoby to znaczyć

– Kurwa, ja tylko chciałem normę wyrobić... – mamrotał pod nosem Kenaniasz.

Widziałem stojący na uboczu osady, zarośnięty chwastami dom. Wydawało mi się, że dostrzegam w jednym z wybitych okien ruch, jakby zarys twarzy. Wiedziałem, że jeśli tam pójde, to zastanę tam Jonasza.

Bo to była ta sama wieś, ten sam moment, ci sami ludzie. Tylko że w nieco innym wydaniu. Wtedy go znalazłem w domku, przyszli mu w sukurs handlarze relikwii, a ja w efekcie zginąłem. Teraz było inaczej, bo Jonasz stał po mojej stronie, a ja... a ja nie wiem nawet po czyjej.

Natomiast przerażało mnie zupełnie co innego. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że świat za wszelką cenę próbuje mnie wtłoczyć w już raz przerobione, wyjeżdżone koleiny biegu wydarzeń. Tak, jak to się zawsze działo, kiedy tworzyłem na nowo Ziemię: cokolwiek bym robił, jak bym się nie gimnastykował, w końcu przylatywała ta asteroida i rozpierdała dinozaury.

A ja się tak starałem! Stawiałem pierścienie ochronne z planetoid, blokowałem jej drogę czerwonymi karłami i niewidzialnymi studniami grawitacyjnymi czarnych dziur.

Zmieniałem spin całych galaktyk tylko po to, żeby sprawdzić, co się stanie.

Zaś ta pokryta lodowym pancerzem kurwa i tak się pojawiała, gotowa rozjechać moje śliczne dzieło stworzenia. Niczym chamsko, prymitywnie oskryptowane zdarzenie w taniej grze wideo: możesz zabić typa, a on i tak pojawi się potem na cutszenie, żeby wygłosić swoją gadkę, bo tego wymaga scenariusz.

I teraz wyglądało to tak samo. Ja starałem się odmienić bieg rzeczy, a świat mówił: nieee, daj spokój, stary. No coś ty? Przecież raz się tak udało, więc może zróbmy to samo na drugą nóżkę?

A jednocześnie miałem świadomość, że gdzieś tam, w szerokim świecie, poruszają się o wiele większe i poważniejsze ode mnie zmienne. Przecież był Szemijazasz i jego trzystu Aniołów-dresiarzy, była częściowo zmieniona historia rebelii na Arenie Dłużników... Wszystko to, co robiłem!

A jeśli... jeśli to był wyścig?, pomyślałem. Zawody w tym, kto zmieni rzeczywistość bardziej? Bo jeśli Szemijazasz da radę ją nagiąć na swoją korzyść, jeżeli zmarginalizuje mnie i moje dokonania, zepchnie gdzieś na boczny tor wydarzeń... To czy przypadkiem nie skończę tak, jak ten rzekomo oryginalny Bóg z naszej właściwej Apokalipsy?

Przerażała mnie ta perspektywa. Nie ma nic gorszego, niż odejście w niepamięć tak głęboką, że nikogo nie obchodzi nawet to, czy żyjesz, czy umarłeś.

I wtedy postanowiłem sobie, że ja tak nie skończę.

Nie będę Bogiem, który zawiódł.



W miarę tego, jak zbliżaliśmy się do serca ruin Miasta, zaczynało docierać do mnie, jak bardzo odmienny był ten świat od tego, który znałem wcześniej.

– Tamtędy! Tamtędy, do zaopatrzeniówki... I gdzie się pchacie z tymi Ofiarnikami, żołnierzu? Przecież widzicie, że znaki jasno pokazują: na czwarty kwadrat! – wołał stojący na skrzyżowaniu ulic Legionista, oddelegowany tutaj do kierowania ruchem.

Szliśmy z kierunku, który kiedyś był wschodem, a więc od śródmieścia dzieliła nas jeszcze wstęga Rzeki. Poszczerbione, nadgryzione zębem Apokalipsy drapacze chmur, wieżowce i biurowce w centrum wznosiły się ku niebu milczącymi, wypalonymi megalitami; refleksy wiecznie zachodzącego słońca grały w popękanych szybach, odbijały się galaktyką odbłasków w zalegającym wszędzie potłuczonym szkle.

Na tym brzegu nigdy nie działo się aż tak dużo – ot, takie sobie relatywnie spokojne miejscówki. Trochę starszej architektury, parki i skwery... Nowe osiedla dla złotej młodzieży i dorobkiewiczów, wciśnięte pomiędzy stare, ceglane kamienice i nieco nowsze pudełka bloków. Wciąż górujący nad tym wszystkim stalowo-żelbetowy szkielet niegdyś nawet fajnego stadionu, obecnie przypominający muszlę dawno martwego jeża morskiego, w której nadal tkwiły bezużyteczne teraz, do niczego już niepotrzebne, połamane kolce.

Nigdy nie przepadałem za Miastem, żeby nie było wątpliwości. Znałem je, owszem. Umiałem nawet jako tako się w nim orientować i poruszać.

Traktowałem je użytkowo, jak paczkę chusteczek higienicznych: dobrze je mieć, warto korzystać, ale przecież nie będę się nimi zachwycał. Nie zacznę rozvodzić, że chusteczki tej firmy są takie, a tamte są srakie, a te delikatnie nawilżają mi płatki nosa, a od tych są podrażnienia i krostki. Nie byłem jakimś tam hipsterem, żeby udawać, że

piwo może mieć jakikolwiek posmak poza skalą słabe-pszeniczne-niefiltrowane-ciemne-mocne.

Tak samo było z dzielnicami Miasta, które wcale nie miały swojego charakteru, magii, natury ani cholera wie czego. To były tylko dzielnice – jedne mniej, drugie bardziej spokojne. I tutaj, na prawym brzegu Rzeki, były właśnie te drugie. Te spokojne, w sensie.

Przynajmniej kiedyś, bo na pewno nie teraz.

– Legioniści, formuj szyk! Na mój rozkaz... testudo! Testudo, mówię, do kurwy nędzy! Czy to wam wygląda na żółwia...?! – darł się setnik, musztrujący oddziały Nawróconych na placyku pomiędzy dwoma zrujnowanymi apartamentowcami. – Nogi wam z dupy powyrywam, jak tak będziecie te tarcze trzymać!

– Ósma centuria piątego legionu...! Ósma centuria, piąty legion! Piąty legion?! – krzyczał zachrypniętym głosem posłaniec, wymachując trzymanym w rękę pismem. – Ósma, piąty...?! Kurwa mać, czy ktoś tu w ogóle ogarnia ten burdel?!

– Jeśli zobaczysz, że osioł twego brata albo wół jego upadł na drodze – nie odwrócisz się od nich, ale z nim razem je podniesiesz! – piał dyszkantem ustawiony na podwyższeniu obwoływacz, czytający wersety z pokaźnego zwoju, który trzymało przed nim dwóch młodzików. – Jeśli zbudujesz nowy dom, uczynisz na dachu ogrodzenie, byś nie obciążył swego domu krwią, gdyby ktoś z niego spadł...! Nie zasiejesz w twojej winnicy dwóch gatunków roślin, aby wszystkie nie zostały uznane za święte: nasiona posiane i zbiory w winnicy...! Nie będziesz orał razem wołem i osłem... – Obwoływacz rozkasał się, przepłukał usta winem z bukłaka, odsapnął chwilę i zaczął czytać dalej: – Nie wdziejesz sukni utkanej naraz z wełny i lnu! Zrobisz sobie frędzle na czterech rogach płaszcza, którym się okrywasz...!

– Kurwa, po prostu kocham te mądrości na każdą okazję – warknął Kenaniasz.

– Co się czepiasz, Kenek? Nie wiesz nigdy, kiedy ci się taka wiedza może przydać. – Szamiramis zachichotała.

– No nie wiem, to prawda. Zakładam, że masz jakieś pomysły?

– Pomyślmy... O, mam: konkurs wiedzy biblijnej! Prędej czy później, na pewno na coś takiego wpadną!

– I co, nagroda też będzie kosztowna? Przegrani walczą na śmierć i życie, a zwycięzcę ukrzyżować? – sarknął Art, patrząc z niesmakiem na kilku Nawróconych, bezskutecznie usiłujących już dłuższą chwilę rozstawić namiot na centralnym palu. – Ja jebię, co za burdel, naprawdę. Zginiemy tutaj wszyscy, jak nic. Wspomnijcie moje słowa... Zek, coś taki markotny?

Potrząsnąłem tylko głową, patrząc na widoczne za Rzeką zabudowania, ponad którymi już snuły się pierwsze dymy pożarów. Pomiędzy ruinami, na wysokiej skarpie brzegu, nieco po lewej od kolorowych, niemalże nietkniętych kamieniczek Starego Miasta, widać było masywny, przysadzisty kampus Uniwersytetu.

Przez te kilka dni, gdy podróżowaliśmy razem, zdołałem kawałek po kawałku wyciągnąć z ekipy Arta informacje odnośnie do tego, czego w ogóle dotyczyło wezwanie mobilizacyjne, które ponoć otrzymali wszyscy Komornicy z naszego Rewiru. Poskładałem sobie z tego jako taki obraz wydarzeń, dośpiewałem i dorysowałem to, czego nie mogłem wiedzieć ani o co nie mogłem zapytać.

I przyznać muszę, że wcale, ale to wcale mi się to nie podobało.

Bo wychodziło na to, że tutaj, w samym sercu Miasta, bardzo radośnie i bardzo prężnie działała sobie komórka czy to Bałwochwalców, czy Temporystów, czy może po prostu zwykłego, zupełnie ludzkiego ruchu wkurwu i oporu – trudno powiedzieć. Dość, że stało się to dla Góry problemem na tyle dużym, że ktoś doszedł do wniosku: pora ten problem rozwiązać.

Oczywiście rozwiązać go w sposób dogłębnie przemyślany, starannie zaplanowany i w najdrobniejszym szczególe przygotowany.

Sposób poradzenia sobie z nim zapewne wyłoniono po długiej i wyjątkowo kreatywnej burzy mózgów, w trakcie której każdej propozycji wysłuchiowano z jednakową uwagą, zaś uprzedzenia ani przedsięwzięte wyobrażenia nie wpływały na realną ocenę przydatności zgłaszanych projektów.

Jestem więcej niż przekonany, że z co najmniej kilkudziesięciu początkowych koncepcji wyłoniono listę około tuzina takich, które następnie rozwinięto i wzbogacono o analizy wstępne. Potem, poprzez proces selekcji negatywnej, wyłoniono trzy najbardziej konstruktywne, które poddano wszechstronnemu procesowi omówienia, biorąc pod uwagę zarazem ich silne jak i słabe strony oraz możliwe modyfikacje koncepcji.

Następnie zaś, w ramach czegoś, co mój szef uwielbiał nazywać kiedyś „procesem iteracyjnym”, poddano wyłonioną koncepcję szeregowi ulepszeń, zmian oraz dostosowań, tak aby uzyskać finalnie plan najlepiej odpowiadający dostępnym zasobom, środkom, celom oraz celowi, misji i wizji całościowej organizacji.

I nikt, na pewno nikt w całym obozie, liczącym sobie teraz na oko jakieś pół tysiąca żołnierzy, Nawróconych, mniejszych i większych Wysłanników oraz w końcu Komorników, nie miał cienia wątpliwości, że przyjęty plan był nie tylko dobry, ale też słuszny i rozsądny.

Co więcej: miał największe ze wszystkich możliwych szanse powodzenia.

– Idziemy frontalnym natarciem – powiedział ubrany w przyduży pancerz Legat.

Art wybałuszył oczy i zaniemówił. Kenaniasz z rozmachem plasnął ręką o czoło i zjechał dłonią po twarzy. Szamiramis rozłożyła ręce i rozejrzała się, jak gdyby sprawdzając, czy inni też to słyszeli. Tarkwiniusz westchnął ciężko, spuścił głowę.

Ja zaśmiałem się tylko głupkowato: od samego początku nie liczyłem na nic innego.

– Człowieku, jakim natarciem? Czy my jesteśmy oddziałami szturmowymi? – Art popukał się w głowę, machnął rękoma w powietrzu. – Przecież... Kurwa mać, czy wyście się tam, w Cytadeli, z kimś głupim na rozum zamienili?!

– Nie denerwujcie się, Obywatelu. Takie przyszły rozkazy, macie tutaj oficjalne pismo... Tylko ostrożnie, nie poplamcie! – Legat wziął ze stołu i wyciągnął ku nam zwój pergaminu.

Nie było nam łatwo znaleźć ten punkt dowodzenia, bo bajzel był tu wręcz ikoniczny. Wszędzie kręciły się jakieś oddziały i pododdziały, ryczeli i beczeli-prowadzeni na łańcuchach Wysłannicy, dzwięczały dzwonki spontanicznie organizowanych nabożeństw i demonstracji poparcia dla dowództwa, Hierarchii i całej Góry, na których ustawieni kontuberniami Legioniści bez przekonania wznosili słabo przećwiczone okrzyki i machali jednakowymi proporczykami z takimi samymi hasłami.

Oczywiście, obóz był teoretycznie zamknięty dla cywilów, ale w praktyce nawet ja nie byłem w stanie dostrzec żadnych jego konkretnie wytyczonych granic. Dlatego też pełno było tutaj handlarzy, przekupniów, dziwek, niezadowolonej ludności miejscowej i zwykłych ciekawskich, podchodzących do żołnierzy i zadających durne pytania.

– Tate, tate, zobacz! – darł się jakiś gówniarz o wyglądzie klasycznego Brajanka. – Patrz, jaką tamten ma szczotkę na kasku! A po co takie?

– To hełm jest, nie kask. Kask mają dzieci na rower, a poważne, a poważne, na motór na ten przykład, albo na wojnę, to są hełmy – odparł z mądrą miną tatuńcio, który na pewno miał w czasach Przed wpisane w dowodzie imię „Janusz”. – A ta szczotka to po to, że on łucznikami dowodzi. I jak wieje wiatr, to on wie z której strony, i wtedy... No co, czego?

– Obywatelu, pozwólcie z nami – miękko odezwał się ubrany w czarną togę inspektor Straży Prawa.

– Ale co, ja nic nie zrobiłem przecież! Co, popatrzyć nie wolno już?

– Nie krzyczcie, Obywatelu. Pozwólcie z nami na bok, to tylko rutynowa kontrola... Złóżcie nam kilka wyjaśnień odnośnie do nie-Koszernych referencji w waszej wypowiedzi.

– Co, że kask? – zaperzył się tatuńcio.

– Nie kask, Obywatelu, ale wasze wytłumaczenie tego, jaka jest rzekoma różnica.

– No przecież kask na rower jest! Kurwa, jak inaczej dziecku wytłumaczyć mam? Pojechało was już do końca z tą Koszernością! Jak miałem mu powiedzieć?! – Janusz poczerwiał.

– Mogliście przecież, Obywatelu, zamiast „rower” użyć innego określenia. Welocyped, bicykl, pedałowóz... No, co tam? – Inspektor odwrócił się, kiedy kolejny, ubrany tak samo jak on, puknął go w ramię.

– Obywatelu Inspektorze, pozwólcie z nami na stronę. Musicie udzielić wyjaśnień w zakresie nie-Koszerności wypowiedzi...

– Cebula! Świeża, soczysta, zdrowa cebula! – darł się wąsaty sprzedawca w bereciku z antenką i okularach w drucianej oprawce.

Legat zabrał Artowi pismo z ręki, nonszalancko rzucił na stół i spojrzał na nas, jakbyśmy byli nie ludźmi, a wyciosanymi z drewna bałwanami.

– Takie są rozkazy, Obywatelu.

Art poczerwiał jeszcze bardziej, zacisnął pięści. Szamiramis też podeszła bliżej, wysuwając agresywnie szczękę.

– Te, urzędniczyna, ty se zważaj na gadkę! „Obywatelem” to se możesz nazywać swoją starą... My tu jesteśmy z Korpusu Komorniczego!

– ...I jako tacy nie jesteście członkami Legionu, a więc w rozumieniu Prawa stanowicie personel cywilny. – Legat uśmiechnął się kwaśno. – I odpowiadając na wasze pytanie, Obywatelu: tak, jako że technicznie nie możecie umrzeć, to nadajecie się doskonale do roli oddziałów szturmowych, którą właśnie wam przypisano. Mam nadzieję, że docenicie szaczytność tego wyróżnienia... Centurionie! Zajmijcie się tymi Obywatelami, przeprowadźcie ich na pozycję! Niedługo zaczynamy!

– Tak jest, wasza dostojność! No już, chodźcie za mną, żywo! Ile was, pięcioro, tak? Chodźcie, mówię, pokażę wam wasze... stanowiska... wyjściowe...

Centurion zamrugał, zająknął się i urwał, patrząc na mnie osłupiałym wzrokiem.

Ja też patrzyłem na niego, ni cholery nie wiedząc co powiedzieć, ani jak się zachować.

Bo był to nikt inny, jak Flaccidus.

– No prowadź, prowadź, człowieku. – Art wielkodusznie machnął ręką, rzucając jeszcze pełne pogardy spojrzenie Legatowi. – Coś mi się wydaje, że może chociaż ty będziesz miał trochę rozumu w głowie. Czyj to w ogóle jest pomysł... O, siemanko, Berachiasz!

– Cześć, frajerzy! – Uniósł rękę wielki, barczysty Komornik, idący wraz z kilkorgiem innych. – Śmierć śmiertelnym!

Kurde bele, Berachiasza też przecież kiedyś znałem. I też go kiedyś zabiłem... Konkretnie to najpierw zabiłem, a potem wrzuciłem pod pociąg towarowy. Aż dziwnie było patrzeć na tych wszystkich ludzi, którzy mnie teraz nie znali i nie poznawali.

Natomiast znał mnie i poznawał centurion Flaccidus, drepczący kilka kroków przed nami i oglądający się co i rusz przez ramię. Oj, nie umiał on zachowywać pozorów, nie umiał! Postarzał się trochę, odkąd go ostatnio widziałem w Wiecznym

Mieście: pasmo siwizny tu, parę zmarszczek tam, kilka blizn... Ale poza tym musiałem przyznać, że czas i czasy obchodziły się z nim dość łaskawie.

Podprowadził nas spory kawałek od prowizorycznego obozowiska wojskowego, bliżej samej Rzeki. Pod chałupniczej roboty namiotami, rozwieszonymi na kijach płachtami i po prostu w cieniu rzucanym przez ruiny siedziało tam jeszcze jakieś pół tuzina naszych, Komorników... Kurde, niezła siła bojowa, tak swoją drogą.

Przywitaliśmy się zdawkowo. Tamci zaczęli wstawać, widząc idącego z nami oficera: najwyraźniej sterczeli tu już dłuższy czas, a teraz liczyli na to, że czegoś się dowiedzą.

– No więc, jak widzicie, Uniwersytet jest tam. I to ma być wasz cel – zaczął centurion, pokazując ręką na to, co dla wszystkich było oczywiste.

Rzeczywiście, jak na dłoni widać było stąd cały kampus, okolony teraz wianuszkami usypanych z ziemi szańców i aproszy, wznoszący się na skarpie niczym na wielkim mrowisku.

– ...To są okopy? – zapytał Tarkwiniusz, przysłaniając oczy od słońca. – O jebana mać. Oni sobie tam zrobili pierdoloną redutę przecież... No ja stąd widzę worki z piaskiem, płyty pancerne... Tam jest jakiś bunkier, czy coś?!

– Kurwa, lądowanie w Normandii nam rządzą – warknął któryś z Komorników.

Flaccidus popatrzył na nas smutno, na chwilę dłużej zatrzymał wzrok na mnie, od razu uciekł oczami w bok. Odchrząknął, przestąpił z nogi na nogę, jak gdyby wstydyząc się tego, co ma powiedzieć.

– Ahem. No więc, moi drodzy... – Zawiesił głos. – Sygnał do ataku da surma z obozu, to po pierwsze i najważniejsze. Po drugie, waszym zadaniem jako Korpusu Komorniczego będzie zaatakowanie od fofufnia...

– Odkąd? – Tarkwiniusz potrząsnął głową.

– Od fofunia... – znów zamemlał niewyraźnie Flaccidus.

– Od południa? – Jako pierwsza rozszyfrowała słowo Szamiramis. – Nie no, spoko. A południe jest... Czekaj... Południe jest...

– Tam. – Art z kamienną twarzą pokazał na przeciwległy brzeg. – Południe względem Uniwerku jest tam. Czyli zgrupowali nas tutaj, a zaatakować mamy... stamtąd?

– Tak – pisnął Flaccidus, nie patrząc nam w oczy.

– Nie no, zajebisty plan, kurwo. Taki nie za sprytny – sarknął Tarkwiniusz. – I co, może jeszcze barkami będziemy się przeprawiać przez Rzekę? Albo, nie wiem, na tratwach z gówna i włosów?

– Nie, nie! – ożywił się centurion. – Będziecie mieli podstawiony transport pancerny na tamtą stronę... O, już jadą! Wsiadajcie do wozów, po sześcioro załogi na jeden! Jak będziecie po tamtej stronie, to my tutaj damy rozkaz.

– Kurwa, kpisz sobie? – zapytał ktoś, patrząc na jadące w naszą stronę transporty.

Ponieważ zbliżały się ku nam trzy wozy. Wozy, jak to wozy: czterokółki, każda zaprzęzona w dwa wychudzone, zabiedzone, ledwo przestawiające nogi woły. No i pancerne, bo zarówno te wozy, jak i te woły były – no właśnie pancerne. Zwierzaki ledwo było widać spod warstw kolczugi i żelaznych płytek, a same czterokółki obito-gęsto nitowaną, spiżową blachą.

Chyba w ramach ponurego żartu, a może jako dodatkową obelgę pod adresem już i tak wystarczająco skurwionej logiki, każdy z wozów miał też na górze niewielką balistę.

Wypisz wymaluj, ktoś zbudował koszerne czołgi. Zajebisty pomysł.

Tylko szkoda, że nie do końca.

Wozy podjechały, zatrzymały się. Ludzie wymienili się spojrzeniami, po czym zaczęli, radzi nieradzi, gramolić się do ciasnego, ciemnego i zapewne koszmarne, klaustrofobicznie dusznego wnętrza.

– To tylko kawałek drogi, a wy będziecie bezpieczni! – zapewniał Flaccidus, najwyraźniej poczuwający się do odpowiedzialności za całokształt. – Nic wam się nie stanie, to solidna blacha... Tak, tam są rozkładane stołeczki! Ezekieeee... to jest, ahem! Komorniku, pozwólcie ze mną na słówko!

To ostatnie wyszło mu nawet niemalże służbistym, poważnym tonem. Zrobił minę, która powinna dać każdemu naiwnego sześciolatкови dobitnie do zrozumienia, że jest Poważnym Panem Centurionem i ma do mnie Czysto Służbową, Bardzo Poważną i Zupełnie Nie Wydumaną Sprawę.

Odeszliśmy za róg, schowaliśmy się pomiędzy ruinami. Jak tylko Flaccidus zniknął z widoku reszcie Komorników, zaszła w nim jakaś kuriozalna zmiana: centurion nagle zgarbił się, skulił, dosłownie zmałał w sobie. Zaczął się trząść, oparł się ciężko o ścianę, łapiąc dech szeroko rozwartymi ustami.

– Dobrze się czujesz? Usiądź może... – zaproponowałem.

Nie byłem pewien, czy zamierza zemdlec, dostać spektakularnego zawału czy wylewu zupy do zlewu. Drżącą ręką sięgnął za pazuchę, wyciągnął klasyczną, rasową małąpkę... Normalną małąpkę wyciągnął, jeszcze z etykietką po żytniej! Odkręcił zielony korek, przytknął do ust i pociągnął solidnego łyka. Kaszlnął, ale złapał drugiego, trzeciego... Zakręcił i schował małąpkę, drugą ręką wyjął zza pasa paczkę marlboro.

– Ja pierdołę... Masz ognia, Zek? – zapytał płacziwie. – Muszę zajarać, muszę...

Pstryknąłem palcami, wyczarowałem niewielki ogienek na kciuku. On odpalił, zaciągnął się głęboko, przymykając oczy. Potem dopiero dostrzegł mój wzrok, zreflektował się i wyjął paczkę jeszcze raz.

Staliśmy tak dłuższą chwilę obok siebie, jarając marlboro. Byłoby niemalże spokojnie... gdyby nie rejwach i głosy z obozowiska rzymskiego Legionu, szykującego się właśnie do walnego szturmu na dziewiętnastowieczny Uniwersytet w dwudziestopierwszowiecznej byłej stolicy byłego państwa.

– Kopę lat, centurionie – rzuciłem w końcu.

Flaccidus obdarzył mnie ciężkim, smutnym spojrzeniem człowieka, który widział zdecydowanie zbyt wiele i był zmęczony bardziej, niż potrafił to wyrazić. Uśmiechnął się smutno.

– Kopę lat, Zek. Że i ty przeżyłeś, no, no... I teraz się zaciągnąłeś?

– ...Nie do końca. To skomplikowane, ale tak wyszło, że tu jestem. Nie bój się, nie zdradzę cię.

Widziałem, jak mu ulżyło.

– A ja ciebie, Zek. Ręka rękę myje, co?

– Zawsze.

– Słuchaj, a nie miałeś... – zawahał się. – Nie miałeś może kontaktu z kimś... z dawnych czasów?

– ...Mogłem mieć – odpowiedziałem bardzo ostrożnie. – A gdybym teoretycznie miał, to...?

– Bo ja... ja też mogłem... czysto hipotetycznie. Bo wiesz, mówią o tobie... różne rzeczy, Zek. Bardzo różne rzeczy.

– Cokolwiek złego o mnie słyszałeś, jest zapewne prawdą.

Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie, a ja widziałem, jak coś w nim wzbiera – aż w końcu pękło.

– Zek, tam jest Siliasz! – wybuchnął.

– ...Żecokurwa?

– Siliasz! On jest tam, na Uniwersytecie!

Moja pierwsza reakcja to było takie: o chuj.

Dругa to było już: nie tak, w sumie nie powinno mnie to dziwić.

– Siliasz... I ktoś jeszcze? – Potrząsnąłem głową.

– On na pewno! Wiem, że próbowali się przebić do tuneli metra parę dni temu, ale Legioniści ich wyhaczyli, odcięli drogę! Zek, z nieba mi spadłeś... Pomóż mu się stamtąd wydostać! Błagam, zrobię dla ciebie wszystko, ja...!

Zmrużyłem oczy, Flaccidus urwał gwałtownie.

– Robiliście znów te swoje szemrane interesy – powiedziałem po prostu.

– Tak... – pisał centurion, spuszcżając wzrok.

– Dostarczałeś mu... coś. Rzeczy, wyposażenie, cholera wie co. Kręciliście jakieś ciemne fliny.

– Tak. – Kolejne piśnięcie.

– A teraz sprawa może się rypnąć. I boisz się, że jak Siliasz wpadnie, to cię sypnie.

– Nie, to nie tak! Ja po prostu martwię się o... o przyjaciela, towarzysza! Wieloletniego kontrahenta! – Flaccidus zamachał rękami.

– Ja jebię, jak bardzo wy ludzie jesteście ludzcy. Ech... No dobra, spoko, przecież i tak bym mu pomógł... Kurde, Siliasz! – Aż mi się morda ucieszyła na sam dźwięk tego imienia. – Ale odlot! Ale jak ty się w ogóle z tego wykreciłeś, jakim cudem dałeś radę się wybielić po naszej Rebelii?

Twarz centuriona wykrzywiła się w żalonym grymasie. No tak, on przecież był z tych, co to zawsze spadają na cztery łapy. Tutaj się uśmiechnął, tu posmarował właściwą rękę, tam znów prześliznął, jak węgorz... Taki już typ.

A teraz stał tu przede mną i autentycznie, prawdziwie się bał.

– Cebula, świeża cebula! Kupujcie świeżą cebulę! – Gdzieś w pobliżu rozległ się skrzekliwy głos sprzedawcy. – Dobrzy panowie Komornicy, kupujcie świeżą cebulę...! A może panowie chcą kupić? Cebula...!

– Wypierdalał, gdzie się pchasz do wozu! – wydarł się Kenaniasz.

– Cebulaaa...!

– Pomóż mi, Zek, błagam... – Flaccidus złożył dłonie.

– No powiedziałem chyba, że pomogę, co nie? Jeśli sam przeżyję ten idiotyzm... O kurwa!

Aż wtuliłem głowę w ramiona, gdy nagły, gwizdzący huk przewalił się po niebie ponad nami. Zauważyłem dosłownie tylko zarysy pięciu ciemnych sylwetek Cherubinów, niosących się tuż ponad wierzchołkami drzew po jednolitym, lazurowym błękitcie, kierujących się trawersem doskonale zgranej formacji w kierunku masywu Uniwersytetu.

– Zaczyna się – szepnął Flaccidus. – Zaczyna się, Zek... Ja muszę uciekać, bo zaraz zauważą, że mnie nie ma. Powodzenia, i jeszcze... śmierć Górze, wolność dla ludzi!

– Wolność dla ludzi – powtórzyłem zupełnie odruchowo, gdy Flaccidus wysliznął się z ruin i potruchał niezgrabnie przez pustkę ku namiotom.

Odczekałem jeszcze chwilę dla niepoznaki. W końcu pociągnąłem ostatniego macha, rzuciłem papierosa na ziemię i roztarłem podkutym sandałem. Poprawiłem pas z gladiusem... Po chwili namysłu zostawiłem tutaj, w ruinach, plecak z większością niekoszernego wyposażenia. Na cholere się wyróżniać z tłumu, co nie?

A potem wyszedłem z ukrycia i rażnym krokiem ruszyłem ku już czekającym na mnie transporterom opancerzonym.

Robilem w życiu już wiele głupich rzeczy, ale to miała być jedna z tych bardziej durnych.



Rozdział VII



Wóz turkotał, kołysał się na nierównościach asfaltu, podskakiwał na wybojach i wpadał chyba w każdą dziurę. Bujało nami z boku na bok, rzucało i miało... A zaprzęg posuwał się w takim tempie, że wolniej chyba się już nie dało.

– To jest, kurwa, bez sensu! – warknął Kenaniasz, patrząc przez szczelinę obserwacyjną na powoli, ale skutecznie wyprzedzając nas grupę Legionistów. – Przecież oni idą szybciej od nas... I przynajmniej mają trochę świeżego powietrza!

– A co w tym wszystkim ma sens? – burknął któryś z innych Komorników. – Wy nowi jesteście, co nie?

– No, właśnie przyszliśmy...

– Świeżaki – odezwał się jakiś głos z drugiego końca ciemnego przedziału wozu.

– No, a my tutaj już trzecie podejście robić będziemy, uwierzycie? I dopiero teraz ściągnęli takie siły, że to się może udać... Za pierwszym razem to w ogóle po chuju wszystko było.

– W sensie, jeszcze bardziej niż teraz? – zdziwiłem się nieudawanie.

– No a jak? Ja jebię, jak ten pierwszy atak wspomnę... Jakiś geniusz wpadł na pomysł, żeby wszystko rozpisac jak w arkuszu obliczeniowym, jakby to była impreza korporacyjna. A jak! Tyle tego kazali kopistom narobić, że w naszej latrynie jeszcze dziś widziałem, jak się ktoś tym podciera...

– No ale to... chyba nie jest głupi pomysł? – bąknął nieśmiało Tarkwiniusz.

– Nieee no, pomysł jest zajebisty! Rozpisali wszystko na kwadransy, żeby dało się na zegarze słonecznym dostrzec różnicę. Zrobili trzy briefingi... to znaczy, czekaj, jak oni to nazywali? – Strzelił palcami raz i drugi. – Już mam! Odprawy taktyczne, o! Wszyscy dowódcy pododdziałów tam musieli siedzieć, nauczyć się tego gówna, wykuć na blachę, z pamięci recytować. No i dali znak do szturmu...

– Debile – znów odezwał się ten z końca wozu.

– No dobra, gdzie jest puenta? – zainteresowałem się.

Opowiadający popatrzył na mnie ciężko, popukał się w głowę.

– Rozpisali na minuty. Kazali co kwadrans. Żeby nie było, nawet rozdali przenośne zegary słoneczne na każdy punkt dyslokacji! – Zaśmiał się gorzko. – Jeden właściwy

i jeden zapasowy, jakby się ten właściwy zepsuł. Czujesz to, człowieku? Jakby się zepsuł zegar słoneczny...!

– O chuj... – Dopiero w tym momencie załapałem.

– No, no! Widzę, że główka zapracowała... Zegary słoneczne dali, idioci... Nie no, aż mnie skręca, jak o tym pomyśle!

– Drugi atak zrobili z dwóch stron, od dwóch mostów – przejął opowieść kolejny. – To jak nas ogniem nakryli... O ja jebię, w niektórych miejscach nadal jeszcze trupy leżą, bo nie dało się ich sprzątnąć. Akurat moja grupa się przedarła... Prosto w pola minowe.

– Mhmm... Jeden karabin kryjący jedną ulicę po długości i bądź tu mądry. A w każdych drzwiach potykacz z granatem – rzucił ktoś inny. – Bylibyśmy ich wtedy dojechali, ale oczywiście kutasiarze ze sztabu odtrąbili odwrót. Ech, jakbyśmy Pierwszego nie stracili, to...

– Danaiel tu był? – zaciekałem się.

– No był, kurwa, był! I już pod bramą byliśmy przecież, ale tamci mieli chyba albo jakąś wyrzutnię, albo działo normalne, chuj wie. I jak poszła wieść, że Pierwszy padł, to od razu się dowództwo zesrało. Nam kazali fałszywe raporty pisać, ja pierdołę, po prostu cyrk na kółkach.

Ala. Wbrew woli, a może wcale nie wbrew, zrobiło mi się Cartera autentycznie, nieironicznie szkoda. Zginąć tutaj, a potem zaliczyć Re-Kreację parę tysięcy mil stąd, wśród ruin Wiecznego Miasta... I musieć wracać na piechotę.

– I kiedy to było?

– A ze... dwadzieścia snów temu? – rzucił ten z końca wozu. – Jakoś tak, więc dawno. I od tej pory ogłosili mobilizację, to siedzimy, czekamy... Może teraz się uda.

Dwadzieścia snów. Trzy tygodnie. No dobra, ni cholery się to nie spinało z chronologią, bo wyszliśmy z Rewersu razem – Jonasz, Carter i ja. Więc fizycznie nie mogło go tutaj wtedy być.

Ale tak szczerze, to już przestawałem się przejmować tym, że najwyraźniej reżyser i montażysta filmu dokumentalnego mojego życia byli hardo ujarani i zupełnie nie przejmowali się spójnością całości.

– Uda się, co ma się nie udać... Już blisko! – odezwał się ten, który cały czas obserwował drogę przez wizurę. – Jeszcze kawałek i na pewno...

Ale nie dowiedziałem się, co „na pewno”, bo w tym momencie wszystko nakrył potworny, ogłuszający huk i błysk, a głowa ciekawskiego po prostu zniknęła, rozpylona w krwawym bryzgu na siedzących obok kolegów. Rzekomo pancerną blachę na ścianie naszego powozu rozerwało niczym papier serią dziur wielkości mojej pięści. Wnętrze wypełnił dym i ogień, kiedy pozbawione kluczowej części ciało ogarnęły purpurowe płomienie, w gwałtownym tempie zamieniające powłokę doczesną eks-Komornika w popiół.

– Dostaliśmy! Ewakuacja, na zewnątrz...! – wrzasnął ktoś, rzucając się do drzwi.

Chaos tłoczących się i przepychających ludzi, krzyki i sapanie. W końcu szczęknęcie – światło dnia wdarło się do ciemnego wnętrza powozu, a my zaczęliśmy bezładnie, jak popadnie, wyskakiwać na zewnątrz.

Huknął kolejny strzał – biegnący przede mną Komornik zatoczył się, gdy kula wyrwała mu w piersi pokątną dziurę, ale nie upadł. Odkasznął tylko krwią, zaśmiał się dziko i machnął płonącym gladiuszem:

– Naprzód, do boju! Biegiem, żeby nie mogli się w nas wstrzelać... Hurrraaa! Za Ojczyznę, za Stalina...!

– Uaaa! – wrzasnąłem, kuląc się najbardziej jak mogłem i puszczając biegiem.

Wokół nas rozszalało się pandemonium. Widziałem, jak maszerująca przed nami grupa Nawróconych, będąca już niemalże przy zejściu z mostu, rozbiega się bezładnie,

złapana w ogień prującego do nich jak do kaczek cekaemu, posadowionego w którymś z punktów ogniowych Uniwersytetu.

Kule świsnęły wokół nas, rykoszetowały od asfaltu i kruszyły płyty chodnikowe. Ludzie wrzeszczeli jak potępieni, ranni padali na ziemię... Ktoś próbował ustawić szyk tarczowników; prawie mu się udało, tyle że po chwili zarówno jego, jak i jego kompanów dosłownie zmiotła z mostu celnie wypuszczona z okna Uniwersytetu rakietą.

– Wsparcie ogniowe...! Kurwa, potrzebujemy wsparcia ogniowego! – darł się jakiś oficer do wiszącego przed nim w powietrzu, wirującego złocistymi obręczami Pastucha.
– Niech dadzą wsparcie, przykryją tamtych, bo się nie przebijemy...!

Coś szarpnęło mnie za łydkę, potknąłem się i przetoczyłem po asfalcie, ale zaraz zerwałem i brocząc krwią z przestrzelonej nogi pokuśtykałem dalej. Jedną ręką wyszarpnąłem z pochwy gladius, na drugą od razu nasadziłem kastet. Dobra, zebrać się w sobie, i...

– Nie zesrajcie się! – krzyknąłem najlepszym argumentem obronnym w dowolnej dyskusji.

W powietrzu przede mną pojawiła się i zamigotała utkana z Purpury tarcza ochronna. Najpierw mała, ale od razu puściłem w nią więcej mocy, więc napęczniała i urosła, zaginając się na rogach, żeby zapewnić mi trochę obrony z boków.

Jedna, druga kula rozbryznęła się o nią w snopie iskier. Cała seria zadudniła o świetlistą powłokę, przesypując się na moją stronę niegroźnym dymkiem i odrobiną prochu.

– Za mną...! Za mną i naprzód! – zawołałem do moich, ustawiając się tak, żeby osłonić ich od ognia. – Niech ktoś da tarczę od lewej! Na pewno mają strzelców flankujących, żeby mieć nas w krzyżowym...!

Szamiramis doskoczyła do mnie jako pierwsza, machnęła w powietrzu swoimi sejmitarami, stawiając jeszcze jedną barierę i ustawiając się tak, żeby zasłonić nas od frontu. Ktoś dopelził do nas, ściskając przestrzelone udo. Kolejny biegł już z obłędem w oczach, dosłownie ścigany przez wyrwywającą dziury w asfalcie serię.

– Uwaga, osłaniam z tej strony! – krzyknął Art, wpasowując swoją tarczę po prawej od dołu.

– Tak jest, i jeszcze jedną tam, w dziurze! Niech ktoś się ogarnie, ludzie!

– Uwaga, leci! – zaskowyczała Szamiramis.

Wbrew temu, co się wydaje, można zobaczyć lecącą wprost na ciebie kierowaną raketę przeciwpancerną. To są dosłownie dwie, trzy klatki wyrwane z filmu. Najpierw jest to odległy błysk, potem siwa strużka, zaraz potem zawijający spiralą w powietrzu, gruby warkocz... A potem niemalże możesz odczytać napisy na głowicy odłamkowej.

– Azi...! – zdążyłem tylko wrzasnąć.

Łał...

Nigdy nie byłem tak blisko epicentrum wybuchu... czegokolwiek. A to było jak... jak szalejący płomień paleniska, oglądany przez szybę kominka. Wszystkie możliwe odcienie fioleto, błękitu, czerwieni, pomarańcza, żółci i całe spektrum bieli w skali RAL, jakie tylko macie w sklepie z farbami... i jeszcze trochę na czubek.

Błysk aż wbił mi się pod czaszkę. Gorąco zalało twarz. Poczułem smród topiących się brwi, włosów w nosie i chyba wszędzie, rzemienie przy uprząży aż zatrzeszczały, oddając w jednej chwili tyle wilgoci.

Huk... usze, to nawet nie był dźwięk, a raczej nagła zmiana ciśnienia. Taka, co wciska bębenki usne w głąb czaszki i robi z przepony batutę, na której skacze naćpany THC czterolatek z rozwolnieniem w towarzystwie dwóch obżartych ciastkami labradorów.

A potem nagle zalało mnie zimne powietrze, gdy żar detonacji uleciał ku górze wraz z ogromną chmurą kurzu, dymu, pyłu i resztek tych, co nie zdążyli się w porę schować za nami.

Rozchyliłem powieki i spojrzałem wprost w migdałowo-brązowe, lekko smutne oczy mojego Anioła Nadzorczy.

Azrael stał z szeroko rozłożonymi skrzydłami, które idealnie wpisywały się w półsferę naszych wspólnych barier energetycznych. Wyższy o pół głowy od każdego tutaj. W nieskazitelnie białej szacie, aż błyszczących nowością sandałów... Pachnący żywicą, piżmem i białą szafwią.

– Cieszę się, że jeszcze mnie potrzebujesz, Ezekielu. – Anioł Śmierci uśmiechnął się ciepło. – I że akurat byłem w pobliżu, aby uratować ci życie. Jeśli będziesz kiedykolwiek zainteresowany tym, co mogę mieć ci do przekazania, to po prostu zawołaj. Zjawię się z przyjemnością.

I po prostu zniknął.

Potoczyłem na poły przerażonym, na poły niedowierzającym wzrokiem po reszcie moich towarzyszy. Ich twarze... Tak, co tu dużo mówić: była tam pełna gama wszystkiego, i gdyby przyplątał się przypadkiem jakiś malarz, to pewnie mógłby machnąć z nas niezłe renesansowe płótno.

Albo ktoś z komórką, żeby przerobić nas na konkretnego mema, pomyślałem.

Kolejna kula rozbryznęła się o moją zasłonę, ułamek sekundy później nadleciał basowy huk: cholera, walili do nas z czegoś większego!

– Uwaga, przesuwamy się! – zakomenderowałem, ledwo słysząc własny głos. – Lewą nogą naprzód, na moją komendę... Krok! Krok! Trzymać spójność tarcz, pilnować ekspozycji... Kto nie postawił własnej, podzielić się Budżetem! I jeszcze... Krok! Krok! Krok...!

Kule trzaskały i łomotały o nasze zasłony, świszczały w powietrzu i zbierały krwawe żniwo wszędzie wokół. Coraz więcej Nawróconych i spora część żołnierzy Legionu zorientowała się, że można się – dosłownie! – za nami schować, więc nasz ogon rósł coraz bardziej.

W pewnym momencie byłem już pewien, że tylko patrzeć, jak jebną nam od góry z mózdzierza, bo stanowiliśmy aż nadto kuszący cel – jednak ogień od strony kampusu osłabł wyraźnie, stracił na rozmachu. Czyżby jednak obrońcy mieli ograniczony zasób amunicji i źle przeliczyli siły...?

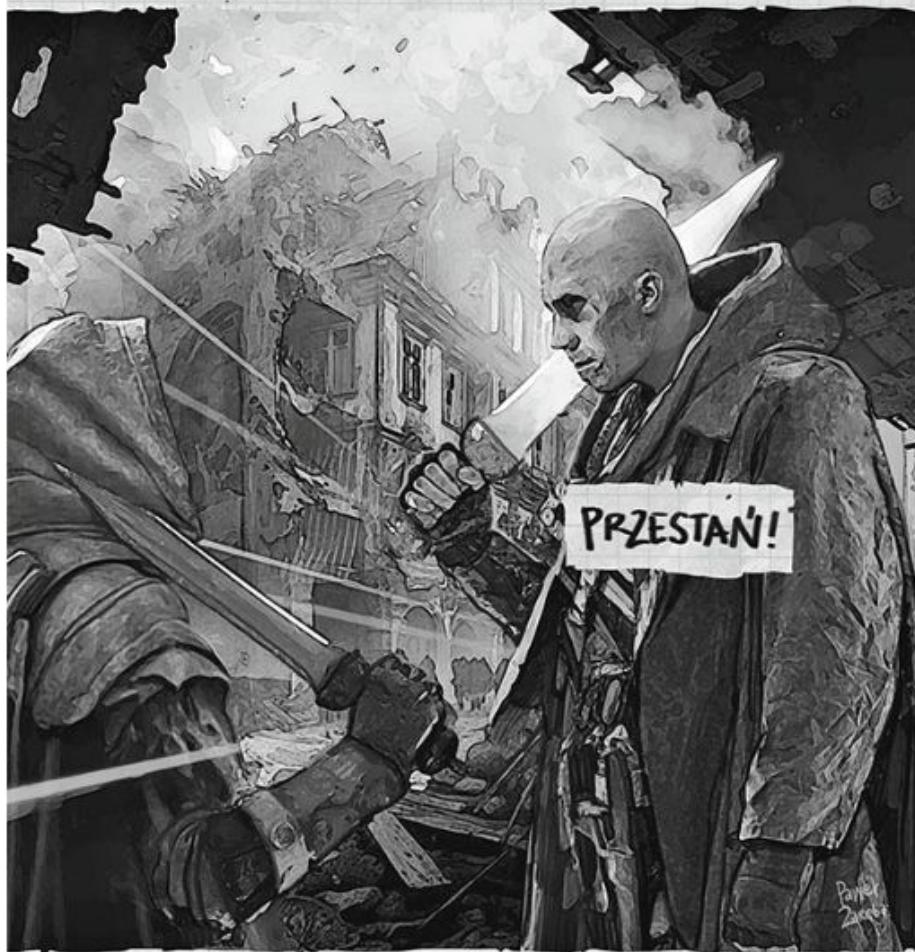
Kątem oka widziałem, że przeprawa przez drugi most, paręset metrów w górę Rzeki, nie szła aż tak sprawnie, tam atakujących kosiło chyba działko przeciwlotnicze... Natomiast część tratw, łódek i zwykłych dłubanek, wyładowanych po brzegi uzbrojonymi w byle co Nawróconymi, przepawiła się już przez nurt i teraz wysadzała desant. Coraz więcej ludziów biegło, wrzeszcząc obłąkańczo i śpiewając losowe pieśni religijne, ku okopom i stanowiskom ogniowym na skarpie.

Nie mieli szans. Wiedziało to dowództwo, wiedzieliśmy to też my, Komornicy. Ale wystarczyło, że tamci odciągną uwagę obrońców na tyle, żeby dać nam szansę.

– Krok! Krok...! Jeszcze trzy...! dwa... jeden...! Na mój znak, biegniem w ukrycie... Juuuuz!

Rzuciliśmy się ku pierwszym lepszym zabudowaniom, pędząc ile sił, byle tylko zejść z linii ognia zasypujących nas ołowiem strzelców. Co prawda przemknęła mi przez głowę myśl, że to byłby idealny moment na zasadzkę: wyłapać nas teraz, kiedy jesteśmy w wąskiej uliczce, nadal na otwartej przestrzeni...

TYLKO SAMOPOWTARZALNA BRONĀ AUTOMATYCZNA
I RAKIETY PRZECIWPANCERNE. MÓWI CI TO COŚ?
ZANIM MY PRZEBIEGNIEMY 300 METRÓW
DO TYPÓW, ONI JUŻ MAJĄ FAJRANT.



A TYMI ŚWIECĄCYMI PŁASKOWNIKAMI
TO SE MOŻEMY CO NAJWYŻEJ KURWA TEN

Jednak widać było, że o tę rubież już wcześniej toczyły się zażarte boje, a obrońcy zostali z niej wyparci. Trupy żołnierzy w pancerzach Legionu, śmierdzące jak potępienie truchła Ofiarników, kilka rozerwanych przez wybuchy min cielsk, których nawet nie byłem w stanie zidentyfikować... Dziury po kulach i leżące na asfalcie strzały.

– Leci! – wydarł się ktoś z tyłu. – Leci, patrzcie jak...

Ale reszta jego słów utonęła w przeraźliwym huku, wizgu i świcie, który przetoczył się nam nad głowami. Po nieboskłonie przemknęła niewielka kometa utkana z Purpury, ciągnąca za sobą ognisty ogon gdzieś zza naszych pozycji, opisała ponad Rzeką i nami piękny łuk, zniżając się w nieuchronnym locie pikującym.

– Tak! Tak, dopierdolicie im! Ju–huuu! – podniosły się radosne okrzyki.

Patrzyłem zupełnie beznamiętnie, jak wykrzywiona dzikim grymasem wściekłości głowa Serafina idealnie nie trafia w budynki Uniwersytetu, dosłownie muskając dach na Pałacu Kazimierzowskim najniższą parą skrzydeł, po czym leci dalej ponad zrujnowanym miastem.

Okrzyki radości ucichły i umilkły. Wszyscy nadal patrzyli na Serafina, który dosłownie kilka sekund później, z taką pewnością i ufnością, jakby był to cel całego jego istnienia, wpierdolił się centralnie w widoczny w perspektywie pnącej się ku górze ulicy budynek zabytkowego wielopiętrowca.

Błysnęło i huknęło, a potem całą górną część budynku spowił ogromny, szarobury obłok gigantycznej chmury kurzu i dymu, rozpełzającej się na boki nierównymi mackami, niczym jakiś egzotyczny kwiat.

– Kurwa, ma ktoś aparat fotograficzny? – bąknął jeden z naszych. – Albo chociaż dobrego układacza mozaik na ekspres...

Zaśmiałem się głupkowato.

– No i chuj, podziękujcie za nasze wsparcie ogniowe. Dobra, naprzód, panie i panowie...

– Zek – zagadnął mnie Art, kiedy czając się pod ścianami ruszyliśmy w kierunku, z którego mieliśmy prowadzić natarcie. – Jak ty to zrobisz?

– Co niby? – nie załapałem.

– Człowieku, wezwałś swojego Anioła Nadzorcę, jakby ten był dziwką na telefon, czekającą tylko na twojej wycieraczkę, aż ją łaskawie zawołasz! Ja pierdole! A ten jeszcze przyszedł i mało ci nie podziękował, że...

– Język – upomniał go Kenaniasz.

– Że co, że podziękował? Że wycieraczka? Kurwa, już nie przesadzaj! To nie jest scrabble, żebyśmy mieli...

– I cyk, drugi raz – wyszczerzył się Kenek, otwierając wspólną kieskę. – A pierwszy za słowo na „T”.

– Durna zabawa – burknął Art, wrzucając dwa szekle. – Zeka też będziesz tak podliczać, co? Bo chyba mu dajesz taryfę ulgową.

– Zek to nas właśnie uratował tam, na moście, więc chyba to my jesteśmy mu winni – wzięła mnie w obronę Szamiramis.

– Cebula! Kupujcie cebulę, dobrzy ludzie... Cebula, sprzedaję cebulę!

Rozejrzałem się, jakbym właśnie obudził się z dziwaczego snu. O, tam był: ubrany jak łachmianarz typ w bereciku z antenką i ciemnych okularach w drewnianej oprawce, z dwoma wiankami cebuli założonymi na szyję, niczym girlandy z kwiatów na egzotycznej wyspie na Hawajach.

Abstrahuję już, kurwa, od tego, skąd wziął cebulę. Natomiast zarówno kolor jego rzyja, jak i ogólny stan cery były mi aż do bólu znajome.

– Ja pierdole, poczekajcie na mnie chwilę.

– Cebula, cebulę sprzedaję! Kupujcie... Hej, to jest przemoc fizyczna! Ratunku, jestem uciskany! Pomocy, padłem ofiarą represyjnego reżimu... Chodźcie, zobacźcie jak uciska mnie represyjny reżim! – zaskrzeczał sprzedawca, kiedy chwyciłem go za wątłą ramię i bezceremonialnie powlokłem w najbliższą bramę.

Pchnąłem go na ścianę, sam jeszcze wyjrzałem, czy nikt za nami nie poszedł... Nie. Spojrzałem na niego.

– Ty pierdolony idioto! – syknąłem.

Sprzedawca cebuli uniośł okulary, spod których spojrzały na mnie dwa puste oczodoły i puścił oczko... To jest, poruszył tym, co zostało z jego powiek.

– To ja, Jonasz! – oznajmił z dumą.

– Kurwa mać, wiem że to ty, debil! Zastrany! Co ci do tego pustego łba przyszło?! Co to za debilne, kurwa twoja mać, przebranie jest?!

– Jestem wędrownym...

– Sprzedawcą cebuli, słyśzałem! To chyba najbardziej, kurwa, debilne przebranie, jakie widziałem podczas Apokalipsy!

– Wypraszam sobie, przecieź sprawdziło się – odparł Powróceniec, wyraźnie urażony w swej godności.

– Jonasz, to jest... Dobra, szkoda mordercy na ciebie strzępić, bo i tak nic nie zrozumiesz. Co ty tu w ogóle robisz?!

– Przypomniało mi się, bracie Komorniku! – rozciągnął się uśmiechem tak radosnym, że aż na chwilę przeszła mi chęć palnięcia go w ryj.

– Przypomniało ci się... co?

– Nie jestem pewien, bracie Komorniku, ale...

– Jonasz, nie testuj mojej cierpliwości.

– ...Ale to chyba ważne. Ja tu byłem, bracie Komorniku! W tym miejscu, na Uniwersytecie... I tutaj jest fragment tego, co doprowadziło mnie do mojego odkrycia!

– Jonasz, ja pierdołę! – Chciałem złapać się za głowę, ale przytomnie ogarnąłem, że nadal trzymam w ręku włączony gladius. – Jak mi zaraz nie powiesz, to ja ci...

– Powiem, ale jak mi się przypomniał reszta! Muszę dostać się na Uniwersytet, bracie Komorniku, więc będę trzymał się niedaleko za wami... Spotkamy się tam, w środku!

Zamachnąłem się, żeby jednak wałnąć go w ryj, ale on przemknął mi się pod ręką i odbiegł ulicą, śmiejąc się obłąkańczo.

Kurwa mać. Dałem się wmanewrować w jakiś idiotyczny szturm. Tam, pośród obrońców, miał być Siliasz... A za plecami miałem mieć tego świra.

Nie no, spoko. Przecieź normalny dzień w tym kraju, gdzie premier mówi, że jak nie masz na węgiel, to trzeba ocieplić dom, a minister edukacji poucza, żeby jeść mniej i taniej, a najlepiej wcale.

Cudownie, kurwa.

W bezsilnej złości uderzyłem raz, drugi i trzeci pięścią w ścianę, po czym ssąc zakrwawione kostki wróciłem do reszty, już najwyraźniej szykującej się do kolejnego skoku naprzód.

Dołączyłem do nich, przesunąłem się na prowadzenie, żeby zatrzeć wrażenie tego, że gdzieś chodziłem.

– Co jest? – zapytałem.

– Są tam, ale chyba poczekamy, aż podciągnie nasza piechota – odpowiedział półgębkiem Art. – Tymczasem kolega Berachiasz nalega, żeby uderzać...

– Bo nie ma co czekać! – zadudnił inny Komornik. – Na nich, a potem się zobaczy.

– A ja mówię, że lepiej ostrożnie. Póki jest jak jest, nie zwracać uwagi, a potem...

– Uwaga, dość tych przepychanek, bo już widać pierwsze posterunki... Uwaga! – zawołałem, nurkując w bok.

Kula z jękiem zrykoszutowała od muru nad moją głową, odbity echem strzał zahuczał pomiędzy wypalonymi domami. Cofnęliśmy się pospiesznie, przycailiśmy za postumentem pomnika Wielkiego Astronoma. Postać była zmasakrowana nie do poznania, ktoś skuł rzeźbie twarz i wyrwał z rąk globus, zaś podest pokrywały wydrapane w kamieniu napisy: „kłamca”, „błuznierca”, „wstrętny kulowierca” i, co mnie osobiście najbardziej urzekło, „precz z HELLiocentryzmem”.

– No dobra, to jesteśmy już tutaj. Proponuję teraz... – zaczął Tarkwiniusz, ale urwał, widząc ustawiających się w szyk Nawróconych w pancerzach legionistów. Stojący na przedzie chorąży podniósł nad głowę sztandar z literami Chi Rho, centurion machnął ręką: naprzód! – Nie no, kurwa, nie mówcie mi, że oni teraz...

– Waarooownym grodem jest naasz Bóg! – wydarli się chóralnie Nawróceni, wymaszzerowując w nogę z węgla. – Ooobroooną i schronieenieem! Gdy Prawdy Booozeerj straaaszny wróg...! Zaaagaaaaa jej zniszczenieem...!

– Pojebało ich – jęknął Kenaniasz.

– Pewnie, że pojebało, bo to jest pieśń z połowy szesnastego wieku. Luteriańska w dodatku! – krzyknął któryś z Komorników. – Kurwa, oni zaraz na nas ogień własnej artylerii ściągają! Naprzód...

– Naprzód! – podchwycił Tarkwiniusz.

– Naprzóóóó! – zawyla Szamiramis, dobywając swoich sejmitarów.

Wszyscy rzucili się biegiem, jeden przez drugiego, w dół uliczki.

– Nieee! – wydarł się Komornik. – Ja tylko chciałem powiedzieć, że naprzód trzeba to dobrze przemysśleć...!

Ale było już za późno, więc i ja, rad nierad, postawiłem przed sobą niewielką tarczę energetyczną i rzuciłem się za resztą.

Nawróceni, jak nietrudno było się domyślić, od razu bardzo skutecznie przyciągnęli ogień karabinów, dziesiątkujących teraz ich szyk.

Kolejna grupa wychynęła zza rogu, przed nią wysforował się poganiany przez kilku żołnierzy z długimi pogrzebaczami Ofiarnik, ubrany w posklepywaną, znitowaną z nie wiedzy czego zbroję i z wielkim młotem w łapach.

Kilka rozkręconych na najwyższe obrotu Pastuchów śmignęło nam ponad głowami, najwyraźniej zamierzając przeniknąć przez linię obrony i zasiał choć trochę zamęt, robiąc jednocześnie bezałogowe rozpoznanie bojem.

A my biegliśmy naprzód, kāsani i siekani ogniem karabinów.

Co i rusz ktoś potykał się i padał, leżał chwilę, a potem gramolił się, wstawał i biegł dalej, czerpiąc z szeroko chlustającego strumienia Purpury, płynącej wprost z Budżetu Energetycznego.

Aż gotów byłbym uwierzyć, że fizycznie, namacalnie czuję przepalane tutaj, wręcz niewyobrażalne jej ilości!

Przebiegliśmy pomiędzy poustawianymi w poprzek ulicy zasiekami i kłębami drutu kolczastego, wdrapaliśmy się na wysuniętą, teraz porzuconą i pokrytą trupami barykadę. Coś huknęło po prawej, poleciały odłamki, chmura dymu wylała się z bocznej bramy – to pewnie odpalono ukryty w gruzie fugas.

Z dwóch wieżyczek obronnych, przyklejonych do opancerzonej bramy Uniwersytetu, nieustannie pluły ogniem karabiny. Widziałem, jak chmura dymu zwiastuje wystrzał z granatnika, a chwilę potem zakuty w zbroję Ofiarnik wali się na ziemię bez łba, przygniatając sobą kilku żołnierzy, którzy nie zdążyli w porę odskoczyć.

Jednak było jeszcze coś, coś co zbliżało się tutaj od strony tych domów, które teraz...

– OOOO... – zawył Cherubin, z gracją czołgu inżynieryjnego przebijając się przez fasadę zabytkowej kamienicy na wysokości drugiego piętra w wodospadzie cegieł i desek.

Wieżyczki od razu przekierowały ogień na niego, z głębi dziedzińca uniwersyteckiego odezwało się powolnym, głuchym stukotem wielkokalibrowe działko: tach–tach–tach...! Ale oczy Wysłannika już rozbłysły gromadzącą się w nich plazmą, a potem wielka głowa dziecka rozwarła usteczka i rzygnęła płynnym światłem wprost w bramę.

Wrzask palonych żywcem ludzi, syk gotującego się asfaltu, jęk metalu płynącego jak czekolada i trzask pękających kamieni zwały się w jedno. Cherubin zamiótł ognistą kaskadą w lewo i w prawo, strzelił promieniem w górę, gdy sięgnął go ogień z działka – po czym pochylił się i niczym szarżujący baran, głową naprzód, wbił się w płonąca bramę, rozwierając wierzeje na oścież.

Wyskoczyłem z ukrycia i puściłem się biegiem, mając zamiar zrobić to, co zawsze robiłem najlepiej: wykorzystać chwilę, gdy nikt nie miał pojęcia co robić, dzięki czemu miałem takie same szanse jak wszyscy inni.

– Śmierć Fałszywemu Imperatorowi! – wrzasnąłem z przyzwyczajenia, przeskakując ponad płonącym rumowiskiem.

Miałem tylko nadzieję, że w tym chaosie nikt mnie nie usłyszał.

Pośliznąłem się na czyichś rozwłóczonych flakach, dałem susa nad bulgocącą, dymiącą strugą roztopionego asfaltu. Wpadłem na poszarpaną blachę falistą, na chwilę zaplątałem się w zwojach drutu kolczastego, uwolniłem się szarpnięciem do wtóru trzasku rwanej tuniki i wpadłem na dziedzińiec Uniwersytetu.

Cały kampus był istną układanką barykad, posterunków ogniowych i płytek okopów, w których już teraz widziałem przebiegających ludzi – młodszych i starszych, kobiety i mężczyzn... W kaskach rowerowych i budowlanych, w kewlarowych hełmach i zwykłych czapkach z daszkiem, noszących samorobne pancerze i kamizelki kuloodporne.

No i opaski – opaski na ramieniu. Najprostszy sposób identyfikacji swój–obcy. Dwa kontrastowe kolory... w tym wypadku biały i czerwony. Czysty przypadek.

I wydrapany w murze symbol też był pewnie dziełem przypadku – duża litera „P”, której dolna kreska rozdawała się w stylizowaną kotwicę, będącą tak naprawdę otwartą książką. Proste, ale bardzo wymowne.

Na może i krótką, ale za to naprawdę paskudną chwilę poczułem się autentycznie podle.

Natomiast zaraz potem ktoś strzelił mi w brzuch, więc kaszlnąłem krwią i złożyłem się, jak szczyryk. Dałem radę odczołgać się jeszcze w bok, pod jakąś niewielką kolumnadę... Szlag! Dawno nie dostałem takiej klasycznej, zabłąkanej kuli znikąd.

Krwawiłem jak prosiak, przed oczami zrobiło mi się lekko ciemno, świat popłynął. Owszem, Purpura od razu zadziałała, więc regeneracja ruszyła z kopyta, jednak na chwilę byłem – no cóż, wyłączony z gry.

Dlatego też patrzyłem sobie, jak na dziedzińcu wpadają kolejni Komornicy, a za nimi wysypują się bezładną masą harcownicy Nawróconych. Po chwili pojawili się też żołnierze Legionu, zachowujący przynajmniej jako taki pozór ładu i porządku... Oczywiście, broń palna miała to głęboko w dupie, więc kule kosły wszystkich po równo.

Karabiny pluły szybkostrzelną śmiercią, kładąc pokotem całe szeregi idiotów, szturmujących przez wąski otwór zniszczonej bramy. Legioniści grzęźli w ciałach towarzyszy, potykali się o upuszczone tarcze, przewracali i próbowali wstawać, dociskani do ziemi przez wciąż napierające kolejne rzędy formacji.

Jednak obrońców, jak na to patrzyłem, była naprawdę garstka. Mieli doskonale przygotowane, przemyślane posterunki, ale zdecydowanie za mało ludzi, żeby obsadzić wszystkie.

No i broń też miała swoją wytrzymałość, magazynki – ograniczoną pojemność. Każda sekunda, w której ktoś drżącymi rękoma przeładowywał broń, pozwalała Nawróconym posunąć się naprzód. Pierwsi już pokonali bramę, zaczęli rozbiegać się po terenie, polując na obrońców. Ci walczyli dzielnie, desperacko, wręcz heroicznie...

...Ale to nie były nawet oddziały paramilitarne, a zwykli studenci i ich kadra nauczycielska. Trochę przypadkowych ludzi, pewnie kilku trenerów-ochotników z jakimś tam podstawowym przeszkoleniem, może paru doświadczonych żołnierzy na okrasę – i to tyle.

Widziałem, że atak znów traci impet i grzęźnie.

To było wąskie gardło, tutaj będą starali się przytrzymać falę naszego natarcia, żeby wytraciło impet i ugrzęzło.

Granaty rwały się jeden za drugim, koktajle Mołotowa zamieniały bramę w miniaturowaną lagunę ognia.

O wyniku tej walki mieli zdecydować Komornicy... A ja musiałem znaleźć Siliasza, nim będzie za późno.

Dlatego też z ciężkim sapnięciem podniosłem się i zostawiając za sobą wąski ślad krwi, ruszyłem w głąb kampusu uniwersyteckiego.

Widziałem, jak kilku Komorników podbiega pod ostrzałem do drzwi Starej Biblioteki. Jeden upadł z przestrzeloną głową i znieruchomiał, drugi szarpnął za kłamkę i pociągnął drzwi na siebie – błysk, huk, chmura dymu i rozlatujące się na wszystkie strony krwawe strzępy.

No tak, zaminowane.

Logiczne, proste, skuteczne.

Czyli tam właśnie należało się kierować.

– Śmierć Górze, wolność dla ludzi! – wrzasnął przebiegający obok mnie chłopaczek z samorobną gizarmą.

Zamachnął się i walnął zza głowy w szyk Nawróconych. Jeden z Legionistów od razu padł z rozrąbanym czepem, drugi chciał pchnąć gladiusem – nie zdążył, bo kolekcja zelektryczna zahaczyła go o podstawę czaszki, wyłuskując jak bezwładną lalkę z szyku.

Chłopak krzyknął coś jeszcze, machnął gizarmą drugi raz, rozłupując tarczę kolejnego Nawróconego. Ładnie sobie z nią radził, nie powiem. Musiał ćwiczyć jakieś egzotyczne sztuki walki, albo bawić się w rycerza.

Natomiast gdziekolwiek się nauczył tych sztuczek, chyba nie używali tam broni dystansowej, więc na lecące mu prosto w piersi pilum niewiele mógł poradzić.

Ktoś strzelił do mnie, kula odłupała kawałek tynku nad moją głową. Zanurkowałem pomiędzy kolumny, przetoczyłem się w płonące wnętrze budynku, pełne trupów i dymu.

Odczekałem tam chwilę, aż nadal poraniony brzuch jako tako się zasklepi. Dym gryzł w oczy i dusił, dudniły eksplozje, huczało echo wystrzałów... Słyszałem całą kakofonię odgłosów walki, umierania i nienawiści człowieka do człowieka.

W końcu odetchnąłem głęboko raz i drugi, zebrałem się w sobie i wyskoczyłem na zewnątrz. Chciałem jednym, szybkim sprintem pokonać trasę do biblioteki, mając nadzieję, że tam...

I wtedy zobaczyłem biegnącego na skos przez dawny park sprzedawcę cebuli.

– Jonasz! – krzyknąłem, ile tylko sił w płucach i na ile pozwalał mi poharatany brzuch.

Usłyszał. Zahamował, rozejrzał się, dostrzegł mnie... I jakby nigdy nic potruchtał w tę stronę, mimo że dosłownie za jego plecami przesuwał się ryczący wściekle, obłany płonącym napalmem Cherubin, koszący drzewa niczym zapalki.

Wysłannik zarył w ziemię, rozrzucając wszędzie dokoła skawalony grunt, kamienie brukowe i pokruszony asfalt.

Jakiś Nawrócony własnym ciałem rzucił się na posadowiony w ziemiance karabin maszynowy, zakrywając pluącą ogniem lufę i ściągnając broń ku ziemi, zaś po jego plecach do wykopu wpadli z dzikim wyciem i bronią wzniesioną do ciosu kolejni.

Stojący centralnie w inferno przy bramie Ofiarnik – w każdym razie na to wskazywała skala i nieforemność płonącego żywym ogniem kształtu – zapamiętała rąbał ogromnym toporem jeden z ceglanych słupków.

Nad tym wszystkim górowała ustawiona pośrodku kampusu figura – wykonany z kawałków metalu, mocno stylizowany gladiator ze złotą aureolą wokół głowy i mieczem wbitym w plecy. Nawet nie musiałem czytać podpisu, żeby domyślić się, kogo przedstawia.

Na piętrze jednego z bocznych budynków błysnęła Purpura – to Komornicy przedzierali się przez korytarze.

Jonasz radośnie rozłożył ramiona:

– Bracie Komorniku...!

– Jonasz, do cholery! Gdzie ta twoja wielka tajemnica, czy co to ma być?! I mów mi od razu: znasz Siliusza?!

– Siliusz... Siliusz! – Twarz Powróceńca rozpromieniła się uśmiechem. – Nie, nie mam pojęcia, kto to taki, bracie Komorniku Ale imię brzmi znajomo, więc to może być część tej układanki... Czuję, że jesteśmy blisko, więc za mną! Wyrównamy trochę szanse!

– Jonasz, nie...! – krzyknąłem, ale oczywiście było za późno.

Jonasz skoczył ku najbliższemu z Komorników, w jego rękę zapłonął Purpurą miecz. Tamten pewnie nawet widział go kątem oka, natomiast – no cóż, nie zrobił nic, prawda? Przecież Purpura była wyznacznikiem sojusznika, a nie wroga.

Dlatego też nawet nie próbował się zasłonić, a cios Jonasza był dla niego absolutnym zaskoczeniem.

Klinga weszła w ciało aż po rękojęść, rozcinając pancerz, ubranie, mięso i kości. Powróceńiec obrócił ostrze, wyszarpnął i ciął od góry, niemalże odrąbując tamtemu bark od ciała.

– Tak... taaaak! – zawył ekstatycznie. – Tyle czasu minęło, odkąd ostatnio zabiłem Komornika... No już, dalej! Chodźcie na mnie, tu jestem!

Kurwa mać, ja pierdołę. Troje Komorników zauważyło co się stało, jeden z nich pokazał na Jonasza ręką i coś zawołał... Rozpoznałem, a jakże, Arta, Szamiramis i Kenaniasza.

No nie, kurwa, po prostu nie. Kogo jak kogo, ale ich zabijać nie będę.

Dlatego też puściłem się cwałem ku Jonaszowi, chwyciłem go za fraki i po prostu powlokłem ze sobą w kierunku dymiących, strzaskanych drzwi wejściowych do Starej Biblioteki.

– Zek...! Uważajcie, tamten ma Zeka! Uwaga, mamy sytuację zakładniczą...! – doleciało jeszcze do mnie wołanie.

Zachichotałem nerwowo, czując, jak coś w środku, głęboko we mnie, jednocześnie łąka rozdzierająco. Nie wiem, czy dało się cokolwiek jeszcze bardziej zepsuć albo skomplikować... Chyba nie.

No dobra: mogliby tu jeszcze wpaść za rączkę Szemijazasz z Michałem i zacząć się migdalić.

– Tfu! – splunąłem na podłogę.

We wnętrzu budynku pełno było dymu, dalej w korytarzu słychać było strzały, nawoływania i charakterystyczny odgłos kul, rozpryskujących się o tarczę

energetyczną. Z zewnątrz niósł się wizg rozkręcającego się Serafina, ryk Ofiarników i wykrzykiwane rozkazy... Broń palna odzywała się coraz rzadziej, więc Uniwersytet miał paść lada chwila.

Wbiegłem na schody, zostawiając Jonasza nieco z tyłu, żeby mi znów nie odpierdzielił czegoś głupiego. Jakaś kula brzęknęła o ozdobny panel, więc przysiadłem nieco na nogach, żeby nie wylapać kolejnej przypadkowej...

– Uwaga, jest coraz bliżej...! Granaty, granaty dajcie!

– Nie ma! Ładuj szybciej... Ognia!

Kolejna chaotyczna, zachłystująca się seria z pistoletu maszynowego; ciąg trzasków, gdy pociski znikaly w tarczy energetycznej.

Zebrałem się w sobie i zanurkowałem w drzwi, wyskakując zza rogu.

Wpadłem wprost do sali audytoryjnej. Rzędy koncentrycznie układających się ławek, na dole podium i mównica, podwójna tablica pokryta symbolami z Kabały, cytatami z Biblii i schematycznymi rysunkami Wysłanników.

Pomiędzy ławkami dwaj młodzi studenci w kamizelkach odbłaskowych. Jeden z dymiącym, ewidentnie przegrzonym pistoletem maszynowym w dłoni. Drugi, usiłujący drżącymi rękami wyciągnąć z ładownicy kolejny magazynek.

I plecy sunącego na nich powoli, krok za krokiem Berachiasza, schowanego za falującą tarczą energetyczną.

– Dawaj ich z drugiej strony! – wydarł się do mnie Komornik, widząc, że wpadłem do sali. – Dawaj, żwawo... I nie daj uciec staremu!

Dopiero teraz zauważyłem, że na dole był jeszcze ktoś. Starszy, siwy pan w koszuli w kratę, upychający teraz do skórzanej torby kartki z notatkami, płyty CD i miniaturowe dyski twarde, które całymi garściami chwycił z kartonowego pudła.

Profesor, jak nic. Dokoła kończył się świat, a ten myślał tylko o tym, żeby ratować nie siebie, a wiedzę.

– Dawaj ich! – znów zaryczał Berachiasz.

A ja doskoczyłem do niego, zamachnąłem się i wbilem mu gladius pod łopatkę.

Tarcza zamigotała i zgasła. Berachiasz osunął się na kolana, spojrzał na mnie przez ramię z zaskoczeniem, przemieszanym z nienawiścią i przewrócił się na twarz, zjeżdżając jeszcze kilka stopni ryjem naprzód po schodkach.

A ja spojrzałem prosto w lufę pistoletu maszynowego, który tamci w końcu dali radę przeładować.

– Kurwa – powiedziałem tylko.

– Profesorze! – zaskrzeczał Jonasz. – Miłosz, Eustachy...! Nie strzelajcie, Zek jest z nami!

Studenciak kiwnął głową i pociągnął za spust, ale zawahał się dosłownie pół sekundy. Pół sekundy, które wystarczyło mi, żebym przysiadł na nogach i podbił jego rękę w górę.

Broń pluwała ogniem, kule przeorały sufit.

Chwyciłem go za rękę, wykręciłem i wyjąłem mu dymiącego peema z ręki. Teraz to ja wycelowałem do niego.

– Posłuchaj mnie, Miłosz... – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Eustachy – jęknął studenciak. – Ja jestem Eustachy, on jest Miłosz...

– O mój Boże, to pan, panie Eliaszu?! – Profesor ek chwycił się za głowę.

– Jestem Ezekiel, ale tak, to ja. Profesorze, nie mamy czasu do stracenia, bo... – zacząłem znów.

– On do mnie mówi, bracie Komorniku – rzucił Jonasz, przechodząc obok mnie. – Profesorze... Jak dobrze pana znów widzieć!

– Panie Eliaszu, na Boga! Co się panu stało...? Czy pan nie żyje?

– Ej, halo! – powiedziałem z wyrzutem, czując się nagle pominięty w głównym biegu fabuły. Przesząpiłem nad szybko dekomponującym się trupem Berachiasza i przecisnąłem się pomiędzy studenciakami, schodząc ku katedrze. – Może mi ktoś wyjaśni, co tu się dzieje? Haaalooo!

Jonasz tymczasem witał się z Profesorkiem, i to tak wylewnie – rąsja–rąsja, misio–misio, poklepanie po plecach... No normalnie tak bardzo grono akademickie, że aż mnie zęby zaboląły od tej ilości cukru w sypanej kawie z łyżeczką w środku.

– Umarłem już co najmniej dwa razy, Profesorze! – zaśmiał się Powrócenięc. – I nie jestem już Eliaszem... Odkąd narodziłem się na nowo, mam też nowe imię. Jestem teraz Jonasz, bo po połknięciu przez wielką ciemność, wróciłem do światła dnia...! A to mój brat Komornik, Ezekiel. Zek, poznaj Profesora!

Skinąłem tamtemu zdawkowo głową, ale zaraz zreflektowałem się, podałem rękę.

– Zek jestem, dzień dobry... O ile można tak powiedzieć, zważywszy na okoliczności. Gdzie jest Siliasz?

– Pan Siliasz... – Profesorek aż się zapowietrzył. – Odeszli przedwczoraj, oby im się udało! Specjalnie wyczekali, aż patrole się będą zmieniać, i przekradli się do metra!

– ...Czyli się minęliśmy? – zapytałem, mocno zawiedziony.

– Tak... To panowie się znacie? Wspaniale! Pan Siliasz nie wspominał o panu, panie Ezekielu...

Coś huknęło potwornie, z sufitu aż poleciał tynk, gdzieś posypało się szkło. Zakłósały się wiszące na linkach pod sufitem lampy naftowe, cienie zatańczyły po ścianach. Studenciaki rozejrzeli się dokoła, wyraźnie wystraszeni.

– Kronika towarzyska kiedy indziej – zarządziłem. – Jonasz, przypominaj sobie, ale to migiem! Jak zabić Anioła?!

– Ja... no cóż, niech będzie. Profesorze, obawiam się, że cierpię na jakiś rodzaj amnezji. Czy może przypomnieć mi pan, czym się tutaj zajmowaliśmy? Czego poszukiwałem, do czego dążyłem?

– Mój... mój Boże! – Naukowiec załamał ręce. – Mam to opowiedzieć tu i teraz? To przecie temat na debatę, na konferencję naukową...!

– Profesorze, nie mamy czasu. Poproszę w wersji streszczonej, bez przypisów...

– Pańskie studia, panie Eliaszu... To jest, Jonaszu... Dotyczyły możliwych błędów w zapisie oryginalnego tekstu Apokalipsy. Twierdził pan, że w różnych tekstach istnieje szereg wersji, które...

– Do rzeczy! – ponagliłem.

– Twierdził pan, że koniec świata jest procesem, a nie zdarzeniem. Zaś jako taki...

– ...Jest odwracalny – sapnął Jonasz.

– O kurwa – wyrwało mi się.

– Natomiast pańskie badania, notatki... To wszystko zabrał pan przecież do siebie, do swojego mieszkania! Tutaj nie zostało nic, a potem pan zniknął! Był jeszcze pożar na Bazarze, podobno z kimś pan walczył... Z jakimś innym Komornikiem, ale nie wiem nic więcej! I teraz wraca pan, i jest pan...

– Martwy – wyszczerzył się Powrócenięc. – Po raz kolejny, ale coraz bliższy mego celu. Profesorze, muszę panu powiedzieć, pochwalić się... Otóż, poznałem Boga!

– Hm, hm. Wiara, panie Eliaszu, to rzecz bardzo istotna... – Naukowiec lekko się zmieszał.

– Nie, nie w znaczeniu przenośnym, Profesorze. Poznałem Go zupełnie dosłownie... oto właśnie On.

Jonasz pokazał na mnie. Tym razem ja się zmieszałem.

– To... no cóż, gratuluje – bąknął profesorek.

– Gdzie to mieszkanie? – znów wciąłem im się we wzajemne grzeczności.

– Niedaleko stąd, bracie Komorniku. Kawalek za Bazarem, w domu z gęsią. Pójdziemy tam, kiedy to wszystko się skończy...

Znów coś zadudniło i załomotało, tym razem zdecydowanie bliżej. Profesor machnął na studenciaków:

– Bierzcie torbę i uciekajcie, kochani. Ja zbiorę jeszcze, co tylko dam radę... No już, zabierajcie się stąd. Zabierajcie się, mówię!

Złapali torbę za dwa ucha, jeden wymamrotał jakieś pożegnanie i pobiegli, znikając w wyjściu ewakuacyjnym.

– Profesorze, te badania Jonasza... Eliasza – poprawiłem się, widząc na jego twarzy niezrozumienie. Dla mnie samego ta szarada z imionami była zagadką, ale planowałem to sprawdzić potem, na spokojnie. – Czy coś wie o nich Siliasz?

– Och, pan Siliasz... Nie, nie. – Potrząsnął głową. – To przecież było tak dawno temu, a pan Siliasz jest z nami raptem kilka miesięcy. Ale to cudownie, że się znacie, panowie!

– Dobra, o tym jeszcze się pogada potem. Jonasz, coś jeszcze tutaj mamy? Coś ważnego?

Powróceniec zmrzył oczy, przekrzywił głowę.

– Profesorze... Co z tymi znakami, których szukaliśmy? Tych, które miały być na dnie Otchłani i u podstawy Klucza? Odcyfrował je może pan?

– Kurwa, jakie znaki? Jaka Otchłań, jaki Klucz? Jonasz, nie wprowadzaj kolejnych zmiennych! – jęknąłem.

– To ważne, bracie Komorniku! O to się wszystko rozbija, dlatego właśnie chcieli mnie zabić... Odkryłem to, rozumiesz? I byłem o krok od rozwiązania zagadki, która pozwoli to wszystko odkręcić!

– Zabicie Anioła jest tego częścią, mam nadzieję?

– Chociażby i wszystkich! – zaśmiał się Jonasz. – Kiedy pójdziemy do mojego mieszkania, tam ci to wszystko wytłumaczę... Bo ja już pamiętam! Pamiętam i wiem, co trzeba...

Przerwał mu potworny huk, zgrzyt i łomot pękającego żelbetu, giętego metalu i walących się murów. Jedna ze ścian audytorium wyrzuciła się i pękła, posypała fragmentami do środka.

Zaś spod niej w kłębach dymu i ognia, mieląc powietrze trzema parami skrzydeł, wychnął pokryty pyłem, kawałkami gruzu i cegieł Cherubin.

Ten sam Cherubin. Ten z łysymi plackami pośród płowych loczków wyrwanymi przez ogień działka przeciwlotniczego, z buźką upstrzoną kraterami jak po ospie, osmalony i popalony. Właśnie ten zepsuty skurwiel, który próbował mnie kiedyś, dawno temu, na samym początku tej opowieści, usmażyć na skwarę.

– OOOO... – zawył niczym syrena okrętowa i spojrzał wprost na mnie.

Widziałem, jak otwiera się otchłań jego usteczek, z których zaraz rzygnie strumień plazmy, i który nawet nie zaboli. Po prostu wygotuje krew i wilgoć, zerwie skórę z ciała, mięśnie zamieni w galaretę, a kości w proch. Zwyczajnie przestanę istnieć, bo sygnał bólowy nawet nie zdąży dolecieć do mózgu.

Ale też przestanę istnieć definitywnie, bo zginę Śmiercią Ostateczną.

Nie miało znaczenia, czy skurwiel strzeliłby w Jonasza, w Profesorka, w tablicę z wykresami, czy we mnie, bo temperatura była i tak na tyle absurdalnie wysoka, że zginiemy wszyscy.

Ale w tamtym momencie spojrzał właśnie na mnie.

Usta Wysłannika rozwarły się i błysnęły światłem.

– Panie Eliaszu...! – krzyknął Profesorek, rzucając się w bok.

– Skurwysyn – jęknąłem.

– Bracie Komorniku, pomścij mnie! – zaśmiał się Jonasz.

Po czym błyskawicznym ruchem wyrwał mi z ręki pistolet maszynowy i strzelił mi prosto w łeb.



– Nie...! – krzyknąłem, spadając nagim bokiem wprost na zasłaną gruzem i potłuczonym szkłem podłogę.

Skuiliłem się w pozycji embrionalnej, czując jak drży każdy mięsień mojego ciała. Układ nerwowy rzucał się i wciąż miotał, powodowany echem ostatniego zapamiętanego wrażenia; ledwie co uruchomione serce trzepotało się panicznie, pompując w żyły zupełnie niepotrzebną adrenalinę.

Myśli galopowały niczym stado młodych byczków z jawkami obwiązany drutem kolczastym, obrazy przelatywały mi przez głowę nieuporządkowanymi tabunami.

Kurwa mać, znów zjebałem...?

– Tym razem bym tego tak nie nazwał. – Niczym przez zasłonę ze śmierdzących, zatechłych koców biwakowych doleciał do mnie głos.

Udało mi się zogniskować wzrok i przekreślić głowę: na tle rażąco błękitnego nieba widziałem przycupniętą w kucki na węgle ruiny skrzydlatą sylwetkę.

– Azi... – wycharczałem z ulgą, mimo że gardło odmawiało posłuszeństwa.

– Ezekielu.

Zaszeleściły skrzydła, kiedy mój Anioł Nadzorca spłynął i z gracją wylądował na posadzce, mimo że któryś kafelek aż jęknął i trzasnął pod jego ciężarem. Azrael uniósł mnie z łatwością, z jaką dorosły podnosi dwulatka, przeniósł kawałek i usadził pod ceglana ścianą.

Przytknął mi do ust buklak z winem, pomógł się napić. Otarł z czoła pot zimną, suchą dłonią. Potem przysunął moją torbę z przydziałowym wyposażeniem i zaczął nakładać mi sandały.

– Azi... Azi, dlaczego...? – wyszeptalem, nie otwierając oczu.

– Och, Ezekielu, to w końcu zaszczyt. – Po jego głosie poznałem, że Anioł leciutko się uśmiecha. – Móc być obecnym, gdy Najwyższy pojawia się na świecie. Asystować w Jego pierwszych chwilach, zajmować się Jego powłoką cielesną...

– Azi, stop. Proszę, nie, ja nie czuję się komfortowo... „Sunstone”, słyszysz? Używam bezpiecznego słowa. – Poruszyłem się słabo, usiłując odepchnąć jego dłonie. Oczywiście, całkowicie bezskutecznie, ale Anioł uszanował moją wolę, odsunął się kawałek. – Dziękuję. Podaj mi przepaskę, poradzę sobie sam.

Patrzył, jak się niezgrabnie ubieram, jak drżącymi rękami wiążę buty i potem naciągam przydziałową tunikę. Bodajże po raz pierwszy nie czułem w jego spojrzeniu ani obrzydzenia, ani pogardy... Raczej pewne wyrozumiałe, ciepłe zaciekawienie.

Tak, to był cholernie dobry pomysł, żeby przed szturmem zostawić moje rzeczy tutaj, w tym zaułku. Zwinąłem zawieszoną na wystającej ze ściany rurze torbę z Ikei, wyciągnąłem upchnięty w dziurze plecak, sprawdziłem zawiniętą w folię strzelbę... Dokompletowałem koszerne wyposażenie zdecydowanie bardziej nowoczesnymi i wygodnymi dodatkami. W końcu wrzuciłem do ust kawałek twardego jak kamień, wojskowego suchara i wyszedłem na ulicę.

– Azi, jak długo... – zacząłem i od razu urwałem.

No tak. Już widziałem, że raczej DOSYĆ długo, bo ani po wojskach, ani po obozowisku nie zostało nawet śladu. To znaczy, bez dramatyzowania: dało się dostrzec, że coś się tutaj działo, natomiast ani ludzi, ani sprzętu nie było już tutaj od dawna. W pozostałościach wysuniętego punktu dowodzenia gnieździł się jacyś oberwańcy, idący od strony Rzeki dziadunio dźwigał koromysł, pod którym kołysały się dwa hełmy Legionu w charakterze wiader.

Przysłoniłem oczy, spojrziałem dalej, za Rzekę: ciemne, wypalone do cna gmachy Uniwersytetu straszły pustymi oknami, przez które na przestrzał widać było zalane szkarłatem niebo. Pozapadane dachy sterzczały resztkami zwęglonych krokwi, nad poczerniałymi ruinami widać było leniwie krążące stadko padlinożernych Cherubinków.

Czyli co najmniej kilka dni, może nawet tydzień, albo i więcej, skoro nie było już nawet dymów dopalającego się pogorzelniska.

– Cholera jasna – zakląłem, przypominając sobie ostatni zapamiętany widok.

Nie było szans, żeby przyjąć na klątę bezpośredni strzał z Cherubina i przeżyć. Ja to wiedziałem, wiedział to też Jonasz... Który zdecydował się poświęcić własne życie, żeby uratować mnie. No, może nie „poświęcić”, bo się nie rzucił na tego Cherubina i nie zasłonił mnie własną pierśią, ale w każdym razie miał na tyle przytomności umysłu i determinacji, żeby w ogóle coś dla mnie zrobić.

Właśnie dla mnie.

„Pomścij mnie”. Miał, sukinsyn, talent do zapadających w pamięć ostatnich słów, to musiałem mu pośmiertnie oddać.

A może... może mu się udało?

– Azi... Sprawdź na wszelki wypadek rejestr Dłużnika w Ewidencji: Jonasz Dwudziesty Siódmy – poleciłem.

Anioł zmaterializował się obok mnie, idąc po spękanej nawierzchni ulicy.

Tak, tutaj przecież były namioty, tam dalej zagrody dla Ofiarników... Teraz wszystko to rozmontowano i rozebrano na kawałki, zaś deski wykorzystano do połatania okolicznych ruder. Niewiele pozostało po przysłowiowej chwale Rzymu.

– Brak takiego Dłużnika, rekord wykreślony. Przyczyna śmierci: poza zasięgiem Ewidencji – oznajmił śpiewnym głosem Anioł.

No tak, faktycznie, przecież Jonasz umarł jeszcze w Rewersie. Czyli tak go nie sprawdzę.

– Azi, a czy możesz sprawdzić, kto z Grzeszników i Dłużników przeżył szturm na Uniwersytet? – spróbowałem inaczej.

– Już, chwila... Niestety, brak wyników spełniających kryteria.

– To znaczy... że nikt nie przeżył? Czy że nie ma takiej kategorii? – upewniłem się.

– To znaczy, że brak wyników, Ezekielu. Nie mam dostępu do materiałów źródłowych Ewidencji, zgłaszam tylko zadane zapytanie. – Anioł uśmiechnął się przepraszająco.

– Hm, hm. No dobra, a gdyby tak...

– Mogę też przeszukać Sub-Archiwum Bezskutecznie Inhumowanych – powiedział Anioł, jak gdyby nigdy nic.

Urwałem. Zastanowiłem się chwilę nad sensem tego, co właśnie usłyszałem. Potrząsnąłem głową, zastanowiłem się jeszcze raz.

– ...Co?

– Sub-Archiwum Bezskutecznie Inhumowanych.

– Tak, to słyszałem. I co to jest? – zapytałem, mając już pewne podejrzenia.

– To jedno z subarchiwów tematycznych, utworzone po Trzeciej Iteracji w związku z określonymi odchyleniami od założonego planu działań. Zawiera rekordy wszystkich

tych istot ludzkich, które z szeregu przyczyn nie zostały właściwie przeklasyfikowane po ustaniu funkcji życiowych. Jego przeznaczeniem docelowym ma być zrewidowanie po zakończeniu Wielkiego Planu, po którym...

– Kurwa, kurwa mać! Azi, chcesz mi powiedzieć, że... – aż się zachłysnąłem. – Że mamy archiwum, w którym są dane wszystkich Powróceńców?!

– To nie są „dane”, Ezekielu. – Anioł wydawał się niemalże urażony. – Z racji mojej funkcji ontologicznej, uczestniczyłem w jego utworzeniu. Powiem więcej: utworzono je na mój wyraźny wniosek i wedle moich rekomendacji, które implementowano niemalże co do litery. Dlatego też mogę stwierdzić z całą pewnością, że wspomniane przeze mnie osoby przebywają tam jako uproszczone ślady bytów niematerialnych, wraz ze wszystkimi powiązanymi z tym emanacjami.

– Kurwa, wy sobie gdzieś tam, na Górze, urządziliście pieprzony Czyściec! Schowaliście tam tych wszystkich ludzi na później, jak embriony w zamrażarce u globalnych korporacji! – Aż chwyciłem się za głowę.

– Cieszę się, że doceniasz ten pomysł, Ezekielu. – Anioł skłonił się delikatnie, najwyraźniej całkowicie mylnie interpretując moje emocje.

– I dlaczego ja o tym nie wiem? Dlaczego nikt o tym nie wie?! Przecież to by... Ja pierdzielę, to by niesamowicie ułatwiło całą masę robót!

Azrael rozłożył ręce, zrobił lekko smutną minę.

– Przyznaję, że też byłem rozczarowany relatywnie niską popularnością mojego subarchiwum. Jednak tym bardziej cieszę się, że z niego skorzystasz, Ezekielu. Już sprawdzam...

– Jaka to jest „relatywnie niska”, Azi?

– Jesteś jego pierwszym klientem, Ezekielu.

O kurde, czyli ten czyściec to było takie lotnisko w Radomiu. Grubo. Ciekawe, czy mieli tam też swój własny Centralny Port Komunikacyjny.

Dotarliśmy do skrzyżowania, zatrzymałem się tam i przysiadłem na resztkach ławeczki na skraju martwego skweru. Nie było sensu leżeć tak bez celu, a ja jeszcze byłem słaby po świeżej Re-Kreacji.

– Obawiam się, Ezekielu, że oznaczony jako Dłużnik o sygnaturze Jonasz łamane przez dwadzieścia siedem uległ terminalnej dematerializacji podczas szturm. Czy podać przybliżoną lokalizację szczątków w formie rozproszonej?

– No nie mów, że możesz to jeszcze określić jakoś dokładnie!

– Z dokładnością do pół mili rzymskiej.

Pięknie. Czyli gdyby ktokolwiek wiedział, że takie archiwum sobie istnieje, to można by jeszcze dokładniej planować operacje. Pilnować teoretycznie niewidzialnych dla radaru Góry, do tej pory przemykających się w cieniach Powróceńców...

...Ale tak w sumie to może i lepiej, że nikt o nim nie wiedział. Jeszcze by się okazało, że mają takie samo na wykreślonych z Ewidencji. Albo na inne kategorie.

Zdecydowanie lepiej, że nikt o nim nie wiedział.

No dobra, czyli jednak Jonasz poległ na polu chwały, niech mu ziemia lekką będzie. W sumie to szkoda, bo gotów byłem znów tego posrańca polubić, i jednak miał swój styl.

Oznaczało to jednak, że moja kruczata przeciwko Szemijazaszowi znów utknęła w martwym punkcie, bo straciłem jedyne źródło informacji.

Chyba że...

– Azi, a weź mi sprawdź dwa imiona: jedno to Elias, a drugie to... kurde, jak go nazwał Carter, niech to cholera... Już wiem: Aniketos! Sprawdź Eliasa szeroko, a tego Aniketosa w powiązaniu z Danaielem Pierwszym.

Anioł zamrużył, oczy uciekły mu pod czaszkę.

– Wymagana autoryzacja... – powiedział nieobecny głosem.

– Autoryzuj na administratora. Ale bez przełączania panelu! – zastrzegłem pospiesznie.

– To potrwa chwilę, proszę pozostać na łączach. Tu–tu–turu–tutu, tu–tu–turuu–tuu... – Anioł przymknął powieki i zanucił melodyjkę na oczekiwanie.

Potarłem łysinę, próbując pozbierać myśli do kupy. Organizm powoli uspokajał się, wreszcie mogłem zacząć się logicznie zastanawiać, a nie tylko bezsensownie iść naprzód, gnany impulsem awaryjnym. Pierwsze chwile po Re-Kreacji były jak te momenty zaraz po koszmarnym wypadku albo pożarze – płonący facet z urwaną ręką odlatuje na bok, podnosi się i idzie, jak gdyby nigdy nic, byle dalej od miejsca zdarzenia.

Ach, no i gdzieś w tym był jeszcze Siliasz, najwyraźniej w taki czy inny sposób zaplątany w sprawki Temporystów na Uniwersytecie. Temporystów, którzy chyba bardzo sumiennie i metodycznie podchodzili do tematu Apokalipsy – tak przynajmniej zdawały się wskazywać tablice z rysunkami, wykresy i książki.

Co jeszcze ciekawsze, gdzieś był w tym wszystkim też Jonasz, znany wcześniej jako...

– Aniketos – odezwał się do tej pory stojący nieruchomo Azrael. – Aniketos Drugi, nieaktywny członek Korpusu Komorniczego. Rekord utajniony, odtajniony z chwilą obecną. Miejsce inhumacji... To ciekawe, Ezekielu, ale mam tutaj brak danych. Jest sygnatura czasowa, ale...

– Jak to, czasowa? – zdziwiłem się. – To ten czas jednak istnieje i jest mierzony?

– To rachuba doraźna, na wewnętrzne potrzeby Ewidencji – wyjaśnił lekko zniesmaczony Azrael. – Środek doraźny.

– Podobnie jak każda inna rachuba czasu. Pięknie, pięknie, jakich to rzeczy się szefostwo dowiaduje, jak poskrobać trochę paznokciem... A co z tym Eliaszem?

– Eliasz Pierwszy, nieaktywny członek Korpusu Komorniczego.

– Pierwszy... wysoko, nie ma co. Co dalej?

– Rekord utajniony, odtajniony z chwilą obecną. Miejsce inhumacji nieznane, brak danych o sposobie śmierci...

– Czyli mamy dwóch nie zabitych, a zaginionych w akcji. Co ich łączy?

– Eliasz Pierwszy został przekwalifikowany na Dłużnika, zaś dla dokonania na nim Egzekucji wyznaczono Aniketosa Drugiego. Sygnatury czasu inhumacji dla obydwu pokrywają się... W zasadzie idealnie. Można powiedzieć, że zginęli w tym samym czasie.

– Ostatnia znana lokacja jednego i drugiego?

– Dane rozjeżdżają się, jak gdyby... Jak gdyby wyszli poza znany układ współrzędnych, Ezekielu. Natomiast są identyczne dla obydwu.

– Czyli mam rozumieć, że... – zawałałem się. – Nie wiadomo, gdzie się zgubili, ale wiadomo, że w tym samym miejscu?

– Tak wynika z ich rekordów, Ezekielu.

Pokiwałem głową, ale bardziej na znak pewnej rezygnacji niż zgody. No tak, typowo: nikt nic nie wie, ale wszyscy nie wiedzą tego samego. Jonasz został przez Cartera rozpoznany jako Aniketos, przez Profesorka jako Eliasz... Czyli co, że był, nie wiem, jakiś mutantem? Wynikiem połączenia się dwóch ludzi, którzy zginęli w tym samym miejscu, poza mapą znanego świata?

Bzdura. Wszystko wokół mnie było bzdurą, cała ta Apokalipsa była jakimś ponurym, groteskowym żartem, więc w świecie stworzonym przez nieudolnego Boga i teraz unicestwianego przez rzygające laserami, latające główki niemowlaków nie widziałem powodu, żeby kwestionować wiarygodność czegoś, co w porównaniu z całą resztą było jedynie umiarkowanie idiotyczne.

Tym bardziej, że sam Jonasz coś jeszcze powiedział przed śmiercią. Coś o jakimś bazarze i o domu ze zwierzakiem... Łabędziem? Mewą? Jemiołuszką?

– Ej, panie! – zawołałem na przechodzącego ulicą typa. – Panie, poczekaj pan...! Gdzie tutaj jest bazar?

– Ten, co się spalił? A to tamój, o! – Ciec machnął ręką.

– A jakiś dom z ptakiem przy nim?

– Swojego ptaka se pan sam szukaj, jak taki mały! – zarechotał tamten i poczłapał dalej.

Normanie to bym wstał, podszedł do takiego i kulturalnie mu zajebał takiego kopa, że gówno by mu resztki zębów powybijało... Ale chyba byłem już zbyt zmęczony, żeby reagować na bezinteresowne złośliwości ze strony ludzi.

Natomiast Azrael spojrział dziwnie najpierw na mnie, potem na człowieka. Na мгnienie oka zniknął, po czym pojawił się za idącym; ręka Anioła wystrzeliła do przodu, zniknęła w plecach tamtego.

Mężczyzna krzyknął, wypuścił trzymany w rękach pakunek i złapał się za klatkę piersiową. Oparł się o mur dysząc ciężko, osunął na kolana.

– Azrael! – zawołałem przerażony.

– Tak, Ezekielu? – zapytał Anioł Śmierci, tym samym idealnie grzecznym, ociekającym słodyczą głosem, nadal trzymając dłoń w klatce piersiowej mężczyzny.

Tamten spojrział na mnie wielkimi z przerażenia oczami. Widziałem, jak występują mu wszystkie żyły, a twarz zmienia kolor najpierw na purpurowy, a potem przechodzi w odcień fioleto. Otworzył usta w niemym krzyku, wyciągając do mnie rękę błagalnym gestem...

– Azrael, puść go! – wrzasnąłem, zrywając się z ławeczki.

Anioł spojrział na mnie z lekkim zdumieniem, niczym pies szkolony do walk w klatce, któremu właściciel każe wypuścić złapanego w paszczę kotka.

– Jak sobie życzysz, Ezekielu.

Wyjął dłoń z klatki piersiowej mężczyzny. Tamten opadł na czworaka, gwałtownie zacerpnął tchu, niczym wylaniający się na powierzchnię wody nurek i rozkaszał się strasznie, odzyskując w miarę normalny kolor.

– Coś ty...! Co ty w ogóle robisz, Azi?! Co to było, do cholery?! – wydarłem się.

– Ten człowiek zabłądził przeciwko Tobie, Ezekielu, zaś Ty spojrzaleś na niego z gniewem. Dlatego też ja, będąc Twoim sługą i posłańcem...

– Kurwa, pojebało cię do reszty? Mówiłem ci już coś o zwracaniu się do mnie z wielkiej litery! Będziesz mi tu odpierdalał anielskie sztuczki na maluczkich i bezbronnych? Gdzie byłeś, jak szturmowaliśmy bramę i jak do mnie strzelali?!

– Skoro moja obecność nie jest mile widziana, oddalę się – powiedział Azrael z godnością.

I zniknął.

– Człowieku, nic ci nie jest? – Podbiegłem do klęczącego na ulicy mężczyzny.

– Nie, nie... Dziękuję panu – odpowiedział tamten trzęsącym się głosem. Zabawne, swoją drogą, jak to jednak sytuacja życiowa nagle zmienia sposób traktowania innych. – O mój Boże, miałem chyba zawał... Jakby mnie ktoś nagle za serce chwycił i ścisnął. Koszmarne!

– Pomóc panu jakoś? Dokąd pan idzie?

– Ja tu, niedaleko... O mój Boże, o Chryste, już mi lepiej. Jak mi Bóg miły, to było...

– Proszę nie przesadzać ze wzywaniem Imienia, bo nadaremność ma dość szeroką i pojemną definicję. Pan da te pakunki, odprowadzę pana.

Pozbierałem rozsypane rzeczy, upchnąłem do płóciennej torby i pomogłem mu się podnieść. Wsparł się na moim ramieniu, razem poczłapaliśmy noga za nogą po ulicy.

– A wie pan, bo ja tutaj całe życie mieszkałem. – Niedoszła ofiara zawału, jak to człowiek po otarciu się o śmierć, dostała nagłego ataku życzliwości i gadatliwości. – Czego tu nie było! I cała komuna, i stan wojenny, i potem jak się związki zawodowe tworzyły... Taki jeden stąd, o w tamtej kamienicy mieszkał, to się dorobił i do Ruskich wyjechał nawet!

– Proszę, bez szczegółów anachronicznych.

– No, i potem żeśmy przeżyli te ćwierć wieku wolności, i nawet tych bęcwałów, co do władzy doszli przez ośmiorniczki... I już się wydawało, że gorzej nie będzie, a tu takie coś! No koniec świata!

– Dosłownie...

– Ja tutaj, o, w tym domu, na parterze. Bo ja to staremu Gideonowi rzeczy nosiłem do skupu, na drugą stronę Rzeki. On handlował i tym, i owym... O, dziękuję panu stokrotnie. – Wziął ode mnie torby, stając już na progu połowicznie wypalanej rudery. – A ten dom, co pan pytał...?

– Tak? – Nadstawiłem ucha.

– Dalej tam, za Bazarem spalonym, jest jeden taki, gdzie na ścianie gęś wymalowaną widać jeszcze. Innego nie znam, a przecież całe życie tutaj... Dziękuję panu pięknie, z Panem Bogiem!

– Ze mną samym – mruknąłem pod nosem, gdy on wcisnął się przez uchylone drzwi do środka.

Hm, wyglądało na to, że właśnie spełniłem coś na kształt dobrego uczynku. I w dodatku okazało się, że nie wszystko należy załatwiać użyciem nieproporcjonalnej siły, bo czasami rozwiązania znajdzie się w opcjach dialogowych.

Czy wszystko to sprawiało, że dowiedziałem się czegoś nowego o świecie, życiu w nim oraz o sobie? Zdecydowanie tak.

– Dobrze mieć własnego Anioła Śmierci, który zgnoi kogo trzeba, żeby potem ich ratować – warknąłem, ruszając we wcześniej wskazanym kierunku.



Przeszedłszy obok wypalonego do ziemi placu, na którego obrzeżach nadal funkcjonowało coś na kształt targowiska w stanie agonalnym, a potem poszwendawszy się trochę po pachnących moczem, śmiercią i kurzem podwórkach i uliczkach, faktycznie znalazłem – ku mojemu niepomiernemu zdziwieniu – dom, na którego bocznej ścianie ktoś kiedyś namalował ogromną, białą gąskę.

Znać było, że jeszcze jakiś czas temu ta okolica musiała jako tako funkcjonować. O ile piętra kamienic ziały pustką, o tyle partery nosiły ślady zamieszkania jeszcze Po: wydarta ze ścian elektryka i hydraulika, cytaty z Pisma nad drzwiami i wokół okien, naprędce ukoszernione kuchnie i sanitariaty...

Jednak to musiało być sporo czasu temu, bo teraz po mieszkańcach pozostały tylko puste lokale, groby na podwórkach i bielejące w miejscach straceń kości.

Obszedłem kamienicę z gąską dokoła, obejrzałem sobie ze wszystkich stron. Zwróciłem uwagę na wyrwane z framugą okno balkonowe na drugim piętrze. Zajrzałem do komórek lokatorskich. Jeśli kiedyś mieszkał tu Jonasz... czy tam Eliaz... czy inny Aniketos... to należało zakładać, że raczej przygotował się na nieproszonych gości.

Już przy prowadzących na górę schodach znalazłem charakterystyczne osmalenia po detonacji granatu i kawałek drutu z wyciągniętą zawleczką. Ktokolwiek tu wchodził, wpierniczył się centralnie w potykacz.

– Amatorszczyzna – mruknąłem, wspinając się ostrożnie.

Drzwi do jednego z mieszkań otwarto jednak kiedyś mocno fachowo, chyba przy pomocy wyrzutni przeciwpancernej, bo została po nich tylko ziejąca w ścianie dziura. Za nią był absolutny chaos przepuszczonego przez mielarkę do śmieci niewielkiego mieszkania: kawałki desek, porozrzucane papiery, zmasakrowane półki z książkami, przewrócony żeliwny piecyk, osmalone ściany, pozrywane płyty tynku... Co tu dużo mówić: wyglądało to, jakby ktoś tu pierdolnął z granatnika.

Natomiast moją uwagę od razu przykuła wisząca na jednej ze ścian, postrzępiona, ponadpalana ogromna mapa świata. Ktoś zadał sobie niemało trudu, znacząc ją kolorowymi pinezkami i porozciąganyymi pomiędzy nimi kawałkami sznurka, dość wiernie odwzorowując układ linii energetycznych całej planety.

– O, nawet uwzględnił te pozatapiane świątynie na dnie Atlantyku... I jest też Zaginione Miasto w Indiach. No, no... – mruknąłem, kręcąc głową z podziwem.

Dla mnie było to więcej niż oczywiste, bo przecież znałem ten pieprzony układ na pamięć. Ile ja się namęczyłem, zanim metodą prób i błędów odkryłem, że całą cholerną planetę można ujmować, obracać i przytrzymywać tylko wzdłuż tych linii! Jak dotknęło się gdziekolwiek indziej, to od razu łapała niekontrolowany spin, wylatywała z orbity i albo uciekała w kosmos, gubiąc po drodze atmosferę, albo lądowała w Słońcu.

Natomiast nigdy nie widziałem tych linii narysowanych, a na pewno już nie wszystkich naraz. I widziałem już stąd, w skali świata, że część z nich się krzyżuje. Zaś miejscem gdzie krzyżowało się ich najwięcej, był ten nieszczęsny, udręczony przez jej własnych mieszkańców spłachetek ziemi, na którym przyszło mi niegdyś żyć.

– „Na taką miłość nas skazali, taką przebodli nas Ojczyznę...” A nie, w sumie to niczyja wina, bo to ja to wszystko zrobiłem. Tylko do siebie mogę mieć pretensje, eeehhh. Ten óczuć, kiedy sam jesteś sobie winien, najgorzej. No dobra, a co my tu mamy...?

Jedna z map przedstawiała przecięcie linii, ale w zbliżeniu. I faktycznie, krzyżowało się ich tam kilka, zaś miejscem ich przecięcia była...

– O w mordę... – sapnąłem.

Już wiedziałem, dokąd należało się udać.



Rozdział VIII



Podróżę w świecie ogarniętym przez poronioną Apokalipsę to w sumie nic szczególnie ciekawego.

Każdego wędrowca na pustkowiach świata po zagładzie zawsze kusi, żeby na potencjalnym odbiorcy trochę się powyżywać, epatując wszystkim, czego się człowiek po takiej drodze spodziewa. Przy czym zazwyczaj im rzeczony odbiorca mniej z taką drogą zaznajomiony, tym większe i barwniejsze ma oczekiwania.

Zatem powszechnym oczekiwaniem, wypowiedzianym bądź też nie, jest usłyszenie o pustkowiach świata Po, zalanych blaskiem wiszącego na pustym niebie, obojętnego słońca. O tym, jak stojące pośród jałowych, pokrytych pyłem równin domy otoczone przez cmentarzyska niegdyś żyznych ogrodów patrzą na wędrowca pustymi oczodołami wybitych okien, stanowiąc równie milczące, co wymowne memento – epitafium dla swych dawnych mieszkańców, po których do dziś nie pozostał nawet ślad.

Nieodmiennym elementem krajobrazu powinny być połowicznie zagrzebane w piachu, poszczerbione resztki miast, do których wciąż prowadzą przez nikogo nieużywane autostrady. Stojące na nich samochody tkwią w wielokilometrowych korkach, niczym przypomnienie o nieuchronności końca... Bo każdy taki samochód to albo człowiek, albo i cała rodzina, która miała przecież jakieś swoje plany, pomysły i oczekiwania. Wierzyła, że inni mogą zginąć, ale im na pewno się uda. Że przecież śmierć nie może być aż tak bliska.

Mile widziane jest wspomnienie o tym, że nadejście końca zmieniło wszystko. Dawniejsze instytucje prawa i porządku obróciły się wniwecz, nikt nie troszczył się już o bliźniego swego, nie było altruizmu i bezinteresownej pomocy. Bielejące na poboczu nieuczęszczanej drogi kości wymownie świadczyły o tym, że każdy postój mógł być zarazem ostatnim. Wszystko i wszyscy tylko czyhali na chwilę słabości, na dogodny moment nieuwagi, aby zwiększyć własne szanse przeżycia kosztem innych.

I wreszcie taka relacja z drogi nie może obejść się bez tego, że gdzieś tam, na marginesie zagłady, nadal wegetowali ludzie. Tak bardzo zajęci przeżywaniem, że zredukowani niemalże do poziomu zwierzęcego – a jednocześnie wciąż zapatrzeni w przeszłość, bezustannie wzdychający do tego, co było i miało już nigdy nie wrócić.

Rozpięci na krzyżu własnych myśli. Zbyt silni by umrzeć, nazbyt słabi aby wyrwać się z kieratu codziennej nijakości. Pozbawieni perspektyw, nadziei i celu.

Tym, co wyłania się z całości, jest klasyczna, ze wszech miar kanoniczna, równie wysoce pożądana i chodliwa, co do wyrzgu przewidywalna opowieść drogi.

Bohater, który przed końcem świata był [tu wstaw co trzeba] podczas Apokalipsy traci [rodzinę/ukochaną osobę/psa/kota/złotą rybkę, niepotrzebne skreślić] i przez długi czas potem wiedzie życie ekscentrycznego, potencjalnie groźnego, cynicznego i zgorzkniałego, lecz zarazem szlachetnego odludka.

Jednakże w wyniku dziwnego zbiegu okoliczności, do jego samotni trafia [tu wpisz osobę] ścigana/y przez [tutaj wymyśl tych złych].

Zmuszony do opuszczenia swego domostwa, bohater niechętnie podejmuje wędrówkę z punktu A do punktu C, w trakcie której mijają punkt B', będący niegdyś wielkim, teraz opustoszałym miastem, oraz B'', stanowiący klasyczne zagłębienie zła i bezprawia.

Po drodze, żeby czytelnik nie zorientował się, że książka nie ma fabuły, walczą najpierw z [tu wymyśl mutanty, które były zwykłymi zwierzętami, lecz pod wpływem magii/promieniowania/technologii uzyskały szereg absurdalnych zdolności], a potem ścierają się z [tutaj z kolei wrzuc przeciwników ludzkich, najlepiej półnagich, jeżdżących na deskorolkach kanibali, to się zawsze dobrze sprzedaje].

W międzyczasie natykają się też na [stwórz obowiązkową sektę religijną], na czele której stoi [imię pozornie dobrego kapłana, najlepiej poprzedzone „wielebny/ojciec/padre”], będący tak naprawdę tłustym, wynaturzonym zwyrodnialcem, no bo przecież każdy pijak to złodziej, a każdy ksiądz w post-apo to koniecznie pedofil.

Po drodze poznają się z [dodaj mrocznego, małowównego typu], który tak naprawdę okazuje się być spoko, oraz [wpisz imię uczynnego wesółka], który docelowo ich zdradza. Aha, no i koniecznie musi być [wymyśl lokalnego błazna], żeby potem można było robić z jego mordą nakładki na kubki do kina.

Wreszcie docierają do punktu docelowego, gdzie czekają na nich już ci źli. Tam, tracąc przy okazji jednego z członków drużyny – najlepiej tego sympatycznego, bo wtedy jest największe uderzenie emocjonalne – walczą z antagonistami, żeby w końcu uratować [tutaj wpisz dowolny ułamek zwykły bądź dziesiętny] świata od niemalże nieuchronnej zagłady.

Słowem, każdy spodziewa się czegoś i ma nadzieję na to, że taka droga będzie ciekawa. Rzeczywistość natomiast ma tę zabawną cechę, że nasze oczekiwania dokładnie analizuje, uważnie bada i wsadza je sobie głęboko w dupę.

Dlatego też z mojego doświadczenia wynikało, że taka droga jest zawsze koszmarne nudna.

No bo umówmy się – człowiek zląził tę biedną, udręczoną Ziemię wzdłuż i wszerz. Napatrzył się na te bieda-chatki z gówna i patyków, nasłuchał się od ludzi, kręcących się przy nich jak ten smród po gaciach, o wszystkim i wszystkich. Widział jak się cieszą i smucą, pracują i lenią, chorują i umierają... Tak, głównie chorują i umierają, jeszcze ze sporą dawką cierpienia w międzyczasie.

I wszystko to absolutnie, do bólu w pewnym momencie powszedniało. Robiąc nie wiedzieć którą już setkę kilometrów, zwyczajnie traciło się wrażliwość – jak podczas spaceru po górach. W pierwszej chwili jest takie zachłyśnięcie: ooo, majestat Matki Natury! Wyniosłe szczyty otulone pierzastymi wieńcami chmur, od wieków niezmiennie i groźne, jak twoja stara w samych gaciach. A potem jest takie: o, kamień. Kamień. Duży kamień, mały kamień. Kolejny kamień. Kamień, kamień, kamień.

I szło się noga za nogą, nie zwracało na to wszystko uwagi. No tak, były pewne urozmaicenia: trzeba było obejść łukiem całe Miasto, przeleźć kawał drogi wzdłuż Rzeki, ominąć Klatkę i Hermę... Nie dać się zabić po drodze... Poczekać, aż przemaszeruje oddział Legionu, rzekomo ścigający „siły heretyków i bluźnierców”, które zapuściły się aż tutaj z południa... Znaleźć coś do żarcia... Potargować się z jednymi, innych zastraszyć.

Słowem: nudy. I owszem, dałoby się tym zapchać kilkanaście kolejnych stron, tylko pytanie: po co? Po co, skoro nic to nie wnosi, poza kilkunastoma marnymi złociszami na konto wydawcy?

I z tego też powodu odczułem pewną satysfakcję i ulgę, gdy w końcu dotarłem tam, dokąd chciałem – a mianowicie w pobliże miejsca, zwanego nie bez kozery Dziurą.

Ogromne, idealnie okrągłe zapadlisko ziało pośrodku upstrzonego ruinami pustkownia, niczym bliźna po źle zagojonym wrzodzie.

Fragmenty domów stały nad krawędzią prowadzącego stromo w dół urwiska na podobieństwo modeli w przekroju poprzecznym na półkach pracowni ZPT w szkole – jak przecięte nożem i przepołowione od góry do dołu, otwarte w najbardziej intymnym i nieoczekiwanym fragmencie, pokazując symetryczną układankę identycznych korytarzy, diametralnie odmiennych pokoiów, różnokolorowych łazienek i kuchni w pełnym spektrum kafelków i wykładzin.

Przecięte w poprzek, nierówno urwane pod kątem ulice wbiegały pełnym impetem w pustkę, strasząc zwieszającymi się ponad nicością, wygiętymi w dół fragmentami asfaltu i trzymającymi się tylko na zbrojeniach płytami żelbetu. Wystawały puste gardziele rur wodociągowych, z których od dawna sypał się już tylko kurz i piach, wiązki kabli telefonicznych i światłowody wylańały się z ziemi, niczym korzenie przeogromnego, teraz całkowicie martwego i nikomu niepotrzebnego drzewa infrastruktury, niegdyś opasującego swymi korzeniami całą kulę ziemską.

Czułem wyraźnie ciężki, drażniący nozdrza smród Rzeki, toczącej swój ciężki, rdzawobrazowy nurt za wałem przeciwpowodziowym kawałek stąd. To była chyba jedyna rzecz, jaka się człowiekowi udało w obliczu Apokalipsy: kiedy Dziura zaczęła się dopiero tworzyć, ściągnęli tu na szybko sprzęt z połowy kraju, ogłosili wielką patriotyczną akcją mobilizacyjną, że niby cały naród ratuje perłę architektury i wielki zabytek, którym było znajdujące się tutaj kiedyś miasto.

Tak naprawdę to wszyscy wiedzieli, że chodziło wyłącznie o radio i jego fundację, w której wszyscy nasi ówczesni rządzący byli zaplątani, jak dłoń księdza proboszcza we włosy nowego ministranta. Próbowali więc krawędzie rosnącego osuwiska umacniać i betonować. Najpierw ratowali odwiert geotermi, od którego się zaczęło, potem pobliski kościół i szosę, w końcu usypali ten dodatkowy wał przy rzece, która wtedy nie była jeszcze Rzeką.

Później się niby uspokoiło, ale i tak w wyniku ruchów tektonicznych, wywołanych przez powstanie Dziury, większość miasta popękała i zaczęła się walić... No a w końcu przyszła jedna z pierwszych ekspedycji karnych Góry i wszystko w promieniu kilkuset metrów obróciła w perzynę. Teraz nawet trudno było powiedzieć, czy niegdysiejsze zabytkowe miasto było tutaj, czy gdzie indziej, bliżej czy dalej, bo praktycznie nic po nim nie zostało.

Pozostała tylko ziejąca rozwartą paszczą pustki, całkowicie niezbadana i do szpiku kości przerażająca Dziura.

Byłem tutaj raptem kilka razy i przyznać muszę, że nie lubiłem tego miejsca. Było dziwne, niepokojące nawet wedle standardów Apokalipsy. O ile większość czy to wytworów, czy to produktów ubocznych działań Góry mogło nie mieć nawet żadnej

logiki ani sensu, o tyle ich cel zawsze był jasny: pozabijać ludzi, zniszczyć świat. Zaś Dziura, no cóż – ona po prostu BYŁA.

Wielka, parusetmetrowej średnicy jama o niemalże idealnie pionowych ścianach, niknących gdzieś w atramentowej czerni w dole. Wedle najlepszej wiedzy dostępnej na chwilę obecną, pozbawiona dna. Działająca absolutnie i nieodwołalnie tylko w jednym kierunku, bo cokolwiek do Dziury wpadło, nigdy nie wracało.

Ekstremalne zjawiska zawsze wywołują w ludziach równie ekstremalne reakcje i odruchy, prowadząc do nieuchronnej polaryzacji poglądów oraz zachowań. Nie inaczej było w tym wypadku, bo wobec Dziury nie można było pozostać obojętnym, więc jej fascynaci też podzielili się na dwa całkowicie przeciwstawne, wzajemnie szkalujące się, nienawidzące i zwalczające obozy.

Po południowej stronie Dziury stał klasztor ojców Apologetów. Jak nazwa sama sugeruje (a w każdym razie sugerować powinna komuś, kto wedle słów dwójga niegdyś poczytnych pisarzy „obraca się w gronie ludzi inteligentnych” oraz czyta literaturę „nie dla idiotów”), Apologeci przyjmowali nie tylko wobec Dziury, ale też całości Apokalipsy postawę uniżenie-służalczą, uznając a priori, że wszystko to dzieje się wyłącznie dla naszego, ludzkiego dobra, a jeśli uważamy inaczej, to znaczy, że po prostu czegoś nie rozumiemy... Dlatego też starali się wszystko, co przyszło Po, poznać, zważyć, zmierzyć, opisać i wytłumaczyć, najlepiej z zaznaczeniem, że to dobry pomysł. Słowem, byli z gatunku tych, co twierdzili, że opowieść o Abrahamie i Izaaku to piękny przykład posłuszeństwa wobec Boga, a nie ponura anegdotka o leciwym panu, któremu głosy w jego głowie kazały zarznąć nożem własnego siedmioletniego synka.

Zaś od północy na urwisku wznosił się kasztel braci Destrukcyjnych, będących opcją aktywnie wobec Dziury wrogą. W tym momencie uważny i wnikliwy odbiorca powinien zastanowić się: hola, jak można być wrogiem wobec wielkiej dziury w ziemi? No, właśnie tak: najstarsza gwardia Destrukcyjnych pamiętała jeszcze czasy, kiedy ktoś z Góry nakazał dwóm centuriom szturm na Dziurę i uważali, że gdyby wrzucić do niej (dosłownie: wrzucić) odpowiednio dużą ilość wszystkiego, to w końcu się ją zasypie, a więc pokona. No a skoro dwustu ludzi w pancerzach i z bronią nie wystarczyło, to co? No co? Dokładnie tak: trzeba wrzucać tam więcej rzeczy, które będą bardziej śmiertelne, a wtedy na pewno się uda. Klasyczny *modus operandi* wszystkich programów rządowych: jak coś robisz i nie działa, to znaczy, że za mało się starasz i trzeba tego robić więcej.

Destrukcyjni byli dziwni i ich nie lubiłem. Nie tylko dlatego, że jak byłem u nich po raz drugi i ostatni, to nieopatrznie rozgadałem się o moim gladiusie, a oni doszli do wniosku, że skoro jest taki śmiertelny, to pewnie pokona i Dziurę. Nawet jak im wytłumaczyłem, że jak go wrzucę, to zgaśnie nim doleci do dna, od razu znaleźli na to radę: przecież mogłem wskoczyć tam razem z nim, żeby nie zgasł! A dla pewności założył mi jeszcze samorobny pas szahida, żebym się na dnie wysadził i na pewno umarł męczeńską śmiercią, żeby trafić wprost do Raju.

Odmówiłem grzecznie, podziękowałem kulturalnie. Być może nie dość elokwentnie, bo i tak próbowali mnie przekonać najpierw argumentami, a potem polityką faktów dokonanych... Siłą rzeczy nie byłem zainteresowany karierą współczesnego Gagarina w ich pojebanym programie eksploracji miejsca, które wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi było prostą drogą do Piekła, więc opuściłem ich siedzibę, uprzednio zastosowawszy środki przymusu bezpośredniego.

Nie miałem ochoty na powtórkę z rozrywki, mimo że od tamtej pory nie raz i nie dwa świerzbiły mnie ręce, żeby złożyć im ponowną wizytę i pięknie podziękować za poprzednią... Dlatego też teraz, nie tracąc już więcej czasu na jałową złość, skierowałem swoje kroki ku siedzibie Apologetów.

– Stuku-puku, idą goście... Drzwi, otwórzcie się na oścież! – Trzykrotnie uderzyłem zawieszoną na odrzwiach kołatką w kształcie rozpiętego na krzyżu Zbawiciela.

Skrzypnęła otwierana zaślepka okienka, w zakratowanym otworze pojawiła się twarz.

– Kto tam, kogo drogi prowadzą? Czego szukasz w naszej pustelni?

– Ezekiel Siódmy, legalnie działający Komornik na usługach zbrodniczego reżimu i takie tam inne pierdy. Wpuśćcie mnie, muszę porozmawiać z ojcem Tertulianem. Sprawa służbowa.

Wrota uchyliły się, mnich zmierzył mnie wzrokiem. Spojrzał krytycznie na gladius, skrzywił się, widząc przewieszoną przez ramię strzelbę.

– Wyznajemy tutaj pokój i miłość, bracie... – jęknął, kiedy bezceremonialnie wpakowałem się do środka.

– Chwalmy Pana, podaj amunicję. Prowadź do Tertuliana, braciszku.

Mnich poczłapał przodem, prowadząc mnie przez niskie, wąskie korytarze. W pierwszej chwili nie zauważyłem tego, ale dopiero potem dotarło do mnie, że klasztor zbudowany był lustrzanie względem tego, co pamiętałem... Ten sam plan, tylko wszystko idealnie odbite z lewa na prawo. Dziwne.

Minęliśmy niewielki, ciemny i klaustrofobiczny refektarz. Przeszliśmy przez wewnętrzny dziedziniec, na którym w glinianych donicach rosły piętrowo nie-do-końca koszerne ziemniaki i pomidory, oświetlane przez baterię ustawionych na dachu luster z wypolerowanej blachy.

Krzążący się mnisi nie zwracali na mnie jakiejś szczególnej uwagi. Mimo to na twarzach dwóch czy trzech, którzy najwyraźniej dostrzegli na moim czole Znamię, zauważyłem malujący się nie to, że przestrach, ale jakby dalekie echo stresu pourazowego. Takie charakterystyczne drgnięcie, nerwowy tik, niczym u ofiary przemocy rodzicielskiej na widok złożonego na pół paska w rękę ekspedienta sklepowego.

Zauważyłem też, że coś zdecydowanie złego musiało wydarzyć się w tutejszej kaplicy. Nie to, żeby kiedykolwiek była ona wybitnym przykładem budownictwa zamkniętego, bo o ile pamiętałem, brakowało w niej jednej ściany... Natomiast teraz drzwi wejściowe nosiły ślady bardzo nieudolnych napraw, spod których wyglądały osmalone, potrzaskane deski i stopione metalowe okucia. Fragment kamiennej posadzki przed nimi wyglądał jak gdyby ktoś potraktował go ogromną frezarką, bo płyty były zdarte do żywego, popękane... Tak, coś poważnego się tutaj kiedyś działo.

Wspięliśmy się po schodach na górę, skręciliśmy w zupełnie inną stronę, niż się spodziewałem, po czym mnich zapukał do drewnianych drzwi.

– Ojcie przełożony, gość do was... Jeszcze jeden Komornik – powiedział, zerkając na mnie przez ramię.

„Jeszcze jeden”. No dobra, to tyle w temacie mojej pracy detektywistycznej i zastanawiania się, czy Jonasz tutaj był.

– Niech wejdzie. Zostawcie nas, bracie Tymoteuszu.

Zakonnik odsunął się, wpuszczając mnie do środka. Niewielki gabinet ojca Tertuliana był tak naprawdę pracownią, otwartą jednym bokiem przez łukowato sklepione portyki na wewnętrzny dziedziniec i widoczną dalej czarną jamę Dziury, do której przyklejony był cały klasztor. Na ścianach wisiały odręcznie kreślone mapy i notatki, wszędzie stały prymitywne instrumenty nawigacyjne, astrolabia i inne suwaki logarytmiczne.

– Ojcie, dobrze was znów widzieć. – Skłoniłem się oszczędnie. – Przybywam do was, żeby zapytać...

– Znamy się? – przerwał mi mnich, zamykając i pozornie nic nie znaczącym gestem zdejmując ze stołu piśmienniczego jakąś księgę.

No tak, kurwa mać. Przecież ja go znałem, a on mnie nie, bo mnie tutaj nie było w tym wydaniu. A mnie zaczynało to już, prawdę powiedziawszy, męczyć.

Bo gdzieś tam, w tym świecie, miałem do zapierdolenia Anioła i spieszyło mi się do poznania na to recepty.

– ...Długo by tłumaczyć, ojcze wielebny. Powiem wam tylko tyle: wiem, co się stanie.

– Tylko Bóg wie, co się stanie, bracie Komorniku. – Pokręcił głową.

No dobra, kolejna poszlaka subtelna, jak wbity w plecy nóż. Serio, autor skryptu do mojej opowieści miał pewnie subtelność i fizys młotka.

– O tym właśnie mówię, ojcze wielebny. Dla przykładu: teleskop, który macie zamiar zbudować, pozwoli wam spojrzeć na bardzo konkretny punkt w niebie.

Drgnął, zbladł. Poczzerwiał.

– Nie budujemy tutaj sprzętów, które byłyby...

– ...Niemile w oczach Pana, wiem. A mimo to zamierzasz go zbudować, Ojcze, bo odkryłeś w starych tekstach przepowiednię. Nie będę nawet pytał, czy ma ona cokolwiek wspólnego z czteronogim, ogoniastym, brodatym i skrzydlatym kamiennym kicikotkiem, bo każdy z nas zapewne zna odpowiedź. Mam mówić dalej...?

– Nie wiem, bracie Komorniku, skąd bierzesz swoje dziwaczne pomysły. Zapewniam cię jednak, że nie mają nic wspólnego ani z rzeczywistością, ani tym bardziej z nami!

Westchnąłem, przewróciłem oczami.

– Panna pocznie i porodzi Syna, zaś jego nadejście zwiastować będzie kometa. O ile pamiętam, powinna pokazać się gdzieś... – Wychyliłem się na taras, popatrzyłem ku górze i dźgnąłem paluchem w puste niebo. – O jakoś tam, w dużym przybliżeniu. Wtedy wypełni się czas, brat powstanie przeciwko bratu, państwa upadną i głupi ryj sobie rozwałą, zaś armie Twojej Starej Pijanej i Szczurasa Bączurasa szczepią się dupami na polach przed lokalnym całodobowym. Słuchaj, ojczulku, ja naprawdę jestem już zmęczony tym wszystkim. Wiem, że na pewno był tutaj Jonasz, a z nim pewnie niejaki Aniketos... I jeszcze jakiś Elias, ale szczerze mówiąc, już sam się w tym gubię. Pomożesz mi?

Ojciec Tertulian drgnął, rozejrzał się na boki. Podszedł do drzwi, uchylił je i wyjrzał na korytarz, jak gdyby sprawdzając, czy nikt go nie podsłuchuje. Potem niemalże podkraśl się do wyjścia na taras, ostrożnie wyjrzał zza węgła.

Obserwowałem te jego pseudokonspiracyjne wygibasy z pobłażliwą cierpliwością. Serio, taka teatralność nie robiła już na mnie wrażenia. Byłem zmęczony i zagubiony we własnej głowie, a na domiar złego po drodze obtarłem sobie jajka.

Podszedł do mnie, zaszeptał:

– A którego z nich znaeś, bracie Komorniku? I śladami którego podążasz?

– ...Jonasza – powiedziałem po chwili zawahania. – Nie znałem nikogo innego. Ale wiem, że było ich trzech... Tylko że Elias to Jonasz, który też w jakiś sposób był Aniketosem, przynajmniej tak go rozpoznał Carter. To jest, Danaiel. To jest... Kurwa, to skomplikowane.

– Człowiek, który przybył do nas, niosąc imię Komornika Eliasza Pierwszego, umarł. Na jego miejsce narodził się brat Jonasz.

– Umarł... W sensie, że dosłownie? Nie no, w przenośni, tak? Że umarł i narodził się na nowo w rozumieniu duchowym?

– Tamten umarł, ten się narodził. – Ojciec Tertulian pokiwał, jednocześnie zaprzeczając moim słowom i potwierdzając je. – Tak jak człowiek rodzi się na nowo, gdy...

– Okej, łapię, nie potrzeba wyjaśnień ani przypowieści. A ten cały Aniketos? Bo on i Eliasz to były dwie oddzielne osoby przecież, mają osobne rekordy w Ewidencji.

– Przybyli do nas niezadługo po sobie. Jeden chciał stać się jednym z nas i poznać tajemnicę, która spoczywa na dnie... – Ojciec Tertulian pokazał teatralnym gestem mu Dziurze. – Drugi zaś przyszedł jego tropem, niosąc ogień i miecz.

– Och, jak poetycko. Dobrze że nie potop i nie pana Wołodyjowskiego. Nie da się powiedzieć wprost?– prychnąłem.

– Spotkali się tu, w moim skryptorium. Rzucili na siebie, zaczęli zмагаć się... Aż wpadli do kaplicy.

– ...I?

– Gdy nasi bracia odważyli się tam wejść, nie było tam już ani jednego, ani drugiego. Wszyscy zatem zrozumieli, co musiało się stać.

– No tak, nie było innej opcji. Cholera, to trochę komplikuje sprawę...

– Bracia do dziś modlą się tam, licząc na to, że oni też zostaną żywcem wzięci do Nieba! – Ojciec Tertulian złożył pobożnie ręce i wznosił oczy ku górze.

– Co kurwa? – potrząsnąłem głową.

– Brat Jonasz i Aniketos zostali żywcem wzięci do Nieba, bracie Komorniku! – powtórzył ojciec Tertulian z ufnością i wiarą.

Zakryłem twarz dłonią, wziąłem głęboki wdech i policzyłem do dziesięciu po łacinie. Nie pomogło. Kiedy odważyłem się znów spojrzeć na ojczulka, na jego twarzy nadal gościł ten sam wyraz głupkowatej, wzniosłej duchowości.

– ...Wzięci do nieba. Jasne. Tak, oczywiście. Pozwolisz, ojcze wielebny, że i ja się pomodłę w tym samym miejscu?

Tertulian sprowadził mnie tą samą drogą na dół. Pracujący przy uprawach mnisi z wygolonymi kwadratowymi tonsurami obserwowali, jak wchodzimy do kaplicy, widziałem jak dwóch wymieniało szeptem jakieś uwagi. Któryś wstał i pospiesznie się oddalił... No, w sumie ciężko mu się dziwić.

Szczerze, to chętnie bym poszedł w jego ślady. Jak tylko przestąpiłem próg budowli, poczułem, jak uginają się pode mną nogi, a w głowie włącza się karuzela. Oparłem się o ścianę i przełknąłem ślinę, licząc na to, że odczucie zaraz minie.

Cholera, przecież ja miałem lęk wysokości, a nie przestrzeni. Jednak tutaj, w kaplicy pozbawionej apsydy prezbiterium, zamiast której ziała tylko wielka pustka rozciągająca się ponad otchłanią Dziury, nagle zrobiło mi się konkretnie źle. Tak jakby mózg już z wyprzedzeniem doszedł do wniosku, że gdzieś tam, za krawędzią, jest miejsce, z którego można spojrzeć w dół, w dół, w dół...

Zacisnąłem powieki, opierając się o ścianę już dwiema rękami. Gdzieś wokół mnie był miarowo wznoszący się i opadający szmer głosów odmawiających litanię, czułem drażniący, ciężki zapach kadzidła... W tej chwili wszystko, nawet najdrobniejszy bodziec, robił mi bardzo, ale to bardzo źle w głowę.

– Bracia, opuśćcie kaplicę – odezwał się ojciec przełożony. – Nasz gość chce pomodlić się w spokoju... Docenień jego żarliwość, dopuśćcie go bliżej ołtarza.

No tak, jak ktoś miał więcej wiary niż rozumu, to pewnie mógł dojść do wniosku, że cierpię właśnie na napad pobożności, a nie nudności.

Słyszałem i nawet czułem, jak mnisi wychodzą, przeciskając się obok mnie w wąskim przejściu. Wreszcie szuranie nóg ucichło, stuknęły przymykane drzwi.

Odważyłem się otworzyć oczy: zostałem sam, więc i Tertulian musiał wyjść wraz z nimi. No cóż, przynajmniej będę miał tu spokój, robiąc...

...Sam nie do końca wiedziałem co.

Wnętrze kaplicy potwierdziło tylko moje wcześniejsze przypuszczenia: odbyła się tutaj walka, i to nielicha. Wyrwane z ziemi płyty posadzki, poszczerbione kolumny,

osmalone polichromie... Ktoś używał tutaj naprawdę konkretnej, ledwie okiełzanej magii. Jeden atakował od wejścia, drugi bronił się, powoli cofając ku stojącemu tuż przed wielką pustką kamiennemu ołtarzowi.

Podszedłem tam i trzymając się kolumny stanąłem na palcach, żeby ostrożnie wyjrzeć za krawędź. Pionowe urwisko ciągnęło się bez końca, niknąc gdzieś w dole.

No i już tutaj słyszałem delikatny poszept, niesiony wraz z podnoszącym się z Dziury wiatrem. Był ledwie słyszalny, na poziomie szmeru niewiele głośniejszego niż oddech, ale wystarczyło podejść o krok bliżej, żeby dało się rozróżnić w nim poszczególne głosy. Błagające o coś, wołające, zawodzące dziko i płaczące wniebogłosy... Cała kakofonia, cały piekielny chór potępieńców.

Przełknąłem ślinę jeszcze raz.

W zasadzie domyślałem się... Niemalże wiedziałem, co musiało się tutaj stać. Byłem w stanie sobie to wyobrazić, jak Jonasz, naciskany coraz mocniej przez Aniketosa, cofa się, zasłaniając swoją tarczą energetyczną... Nie wątpiłem nawet, że gadał coś bezustannie, śmiał się i udawał własną wyższość, nawet zagnany w kozi róg.

Minął ołtarz, a potem... potem zapewne wszedł na jeden z drewnianych wysięgników, podtrzymywanych systemami lin i wielokrążków ponad pustką Dziurę. Tych samych, z których braciszkanie Apologeci od czasu do czasu spuszczały w wiklinowych koszach swoich infernautów. Wyposażali ich we wstęgi z ochronnymi modlitwami, inkaust i pergamin, łudząc się, że któryś z nich zdąży zobaczyć i zapisać coś ciekawego, nim oszaleje i wyskoczy za burzę.

Trzy wysięgniki były całe. Jeden ułamany przy samym mocowaniu, jego lina była przepalona. Nie ucięta, nie zerwana – właśnie przepalona.

Walczyli tam, aż coś poszło nie tak... Albo sam Jonasz, jak go znałem, zrobił prosty rachunek: zabierze wroga ze sobą.

Spadli na dół. Na dół spadli Aniketos i Elias, a potem... Potem wrócił Jonasz, który był i jednym i drugim.

Czysty obłąd, ale nie miałem innej hipotezy roboczej. Co zaś robi się z hipotezą...?

Żołądek skręcił mi się w gwałtownym skurczu, zgąłem się i zatoczyłem do tyłu na samą myśl. Nie, nie, nie. Nie ma mowy, nie ma chuja we wsi. Nie byłem w stanie nawet o tym pomyśleć... Nie, nie!

Nie dam rady. Sam nie dam rady. Nie sam.

– Azi... – wydusiłem przez zaciśnięte zęby.

– Tak, Ezekielu?

Podniosłem wzrok na Anioła, siedzącego na płycie ołtarza.

– Azi, będę miał do ciebie prośbę... – zacząłem, zdejmując plecak, strzelbę i resztę wyposażenia, żeby nauczony doświadczeniem wepchnąć je pod stertę połamanych łąwek w rogu kaplicy.

– Och, oczywiście, Ezekielu. Z największą przyjemnością. Co mogę dla ciebie zrobić?

Podszedłem tak blisko do Dziury, jak tylko dałem radę. Potem zamknąłem oczy i zbliżyłem się jeszcze dwa kroki. Wdech, wydech, wdech.

Kurwa mać.

– Zrzuć mnie – powiedziałem.



– ...Laaa! – chciałem wrzasnąć, ale pęd powietrza wtłoczył mi krzyk z powrotem do gardła.

Nie pamiętałem ani uderzenia w plecy, ani chwili, kiedy przeleciałem ponad krawędzią, ani początku spadania. Nie pamiętałem nawet dzikiego, demonicznego śmiechu Azraela... Mimo że teraz wszystko to zdawało się wracać do mnie i mógłbym uwierzyć, że jednak się stało.

Mógłbym.

Ale nie mogłem.

Bo spadałem.

– Aaaa...! – Tym razem udało mi się krzyknąć, bo akurat na chwilę obróciło mnie plecami w dół.

Zobaczyłem nad sobą coraz mniejszy i mniejszy okrąg światła, wokół którego zamykały się uciekające w przerażającym pędzie pionowe ściany.

Wokół mnie był tylko dziki pęd powietrza, świst wiatru w uszach i przelatujące niczym w oknach pociągu pospiesznego rozmazane linie ścian. Kakofonia chóru potępieńców unosząca się w pustce Dziury bezcielesnymi głosami wyła, ryczała i zawodziła mi w głowie coraz głośniejsze, wypełniając swoim obłędem całe moje jestestwo.

Chłód powietrza wgryzał się w ciało, przenikał aż do kości, wlewał w szpik... A ja leciałem, wirując bezwładnie, niczym szmaciana lalka. Coraz głębiej i głębiej, niżej i niżej. Bez końca. W kierunku dna, którego nie było.

A potem nagle wokół mnie wystrzeliły z rykiem płomienie. Aż zacisnąłem odruchowo powieki i zasłoniłem twarz ramieniem, czując swąd palonych włosów i ciała... Czy to już było to? Czy ja naprawdę doleciałem do Piekła?!

Błysk i ogłuszający huk, a po nich uderzenie wiatru – jednak teraz pchającego mnie w dół, od pałającej pomarańczem tafli zawieszonych w nicości płomieni, ku nieprzeniknionej atramentowej ciemności.

Nagle zobaczyłem coś przed sobą, albo raczej pod sobą, daleko w dole. Coś było na końcu, na dnie tego idealnie okrągłego tunelu. Coś, co szybko się zbliżało.

Chciałem nabrać powietrza, żeby krzyknąć jeszcze raz, ale zachłysnąłem się tylko.

Dno było coraz bliżej, mignęły mi rozsypane pod ścianami połówki kości.

A potem pieprznałem centralnie w czworoboczną kamienną iglicę, wznoszącą się spośród koncentrycznych okręgów wyrytych w kamieniu.



Trzask, błysk i huk, ryk wystrzeliwujących wokół mnie płomieni. Odruchowo zacisnąłem powieki i zasłoniłem twarz dłońmi, kiedy w nozdrza uderzył mnie swąd palonych włosów i ciała... To już musiało być to, ja naprawdę doleciałem do Piekła!

Wiatr uderzył mnie w plecy, pchając w dół, ku nieprzeniknionej atramentowej ciemności i coraz dalej od promieniującego żarem inferno wiszących w pustce płomieni.

Daleko w dole, przede mną lub pode mną, coś było. Na końcu, na dnie tego idealnie okrągłego tunelu było coś, co szybko się zbliżało.

Zachłysnąłem się tylko, próbując nabrać powietrza do krzyku.

I wtedy uderzyła mnie myśl: hej, zaraz, przecież to...

A potem z paskudnym chrupnięciem i młaśnięciem uderzyłem w czworoboczną iglicę. Przez chwilę zobaczyłem jeszcze żebra wystające z moich pleców i wygiętą pod dziwnym kątem nogę, ześlizgującą się na koncentryczne, kamienne okręgi.



Huknęło i trzasnęło ogłuszająco, gdy zawieszona pośrodku pustki płomienie wypłuły mnie z siebie i pchnęły w dół, prosto w objęcia pchającego mnie wiatru.

– Łaa! – krzyknąłem dziko i wierzgnąłem, czując, jak mój mózg próbuje uciec z czaszki.

O kurwa, o kurwa, o kurwa!

To się działo znowu!

Rozmazane ściany, wiatr, przerażenie walącego panicznie serca i zbliżające się dno. Na nim koncentryczne kręgi z wyciętych w kamieniu symboli. Kości pod ścianami.

I moje nagie, zmasakrowane ciało, leżące w kałuży krwi.

I drugie obok.

– Kurw...! – wyrwało mi się, a potem wleciałem twarzą w kamienną iglicę.



– Łaaa! Chuj! Kurwaaaa! – zaskowyczałem, gdy znów huknęło i błysnęło.

Pęd powietrza, żołądek podchodzący mi do gardła. Ściany przelatujące obok. Bezradne, bezsensowne machanie rękami i nogami.

Zbliżające się nieuchronnie dno z wyciętymi w skale kręgami i kamienną iglicą.

I moja świadomość dwóch rzeczy.

Po pierwsze, że nie odradzałem się tam, gdzie powinienem.

Po drugie, byłem tutaj zapętłony.

A po trzecie...

Nie zdążyłem, bo znów spadłem prosto na iglicę.



Trzask, błysk i huk.

– Ła...! – tym razem zdusiłem okrzyk w zarodku.

Znów spadałem, pchany przez wiatr. Już widziałem pod sobą dno, wianuszek kości wokół niego i poniewierające się przy kamiennej iglicy nagie trupy.

Moje trupy, tak gwoli ścisłości.

Wszystkie spadły centralnie na nią, i wszystkie ześliznęły się na jedną stronę, tworząc tam niewielką hałdę.

A taka hałda trupów jest, przy wszystkich swoich wadach, nieco bardziej miękka od kamiennej iglicy.

Dlatego też rzuciłem się i szarpnąłem całym ciałem, usiłując chociaż minimalnie zmienić trajektorię upadku. Machnąłem rękami, próbując ułożyć się tak, jak pamiętałem z absurdalnie krótkiego i nieludzko przerażającego skoku spadochronowego, który ku mojemu przerażeniu zafundowano mi na czterdzieste urodziny... I jeszcze raz, i jeszcze!

Kamienna iglica była coraz bliżej, koncentryczne kręgi rosły w oczach.

A potem nagle wszystko to rzuciło mi się w twarz.



Gdy mi wróciła świadomość, leżałem na boku, z trudem łapiąc dech i patrząc samemu sobie w twarz.

Tak, to byłem bez cienia wątpienia ja, nawet z pękniętą czaszką, przez którą wypływała na zewnątrz przemieszana z szarawą tkanką mózgu krew i oczami wysadzonymi z oczodołów siłą uderzenia o kamienną posadzkę. Nawet ze złamaną w dwóch miejscach ręką, wykręconą ponad plecami jak kuriozalne, blade pnącze.

W głowie nadal huczał mi ogień i szumiał wiatr, przed oczami przelatywały rozmazane ściany studni. Wciąż miałem wrażenie, że spadam, spadam, spadam... Błądźnik szalał, chciało mi się rzygać.

Zamknąłem oczy, mając nadzieję, że koszmar minie, a ja obudzę się pijany w fotelu przy włączonym telewizorem.

Niestety, kiedy je otworzyłem, nadal spoglądałem w martwą twarz samego siebie.

Z jękiem odsunąłem się dalej, pośliznąłem na czymś miękkim i zjechałem prosto w kałużę krwi i flaków. Mojej własnej krwi i moich własnych flaków, wypływających z mojego ciała.

Mojego – ale nie mojego własnego. Bo ja miałem dwie sprawne ręce, dwie niepołamane nogi i w miarę spójne powłoki cielesne. W odróżnieniu od tego tu nieszczęśnika, który złożył się na kamiennej iglicy w pół, a potem ześliznął z niej, jak mokra szmata.

– O kurwa – jęknąłem, ściskając głowę rękoma.

Powoli docierało do mnie, że kłęczę na dnie studni, otoczony przez kilka ciał siebie samego. Co najgorsze, pamiętałem każdą z tych śmierci... A mimo to byłem tu i teraz.

Zadarłem głowę, spojrzełem w górę: gdzieś tam, wysoko, ledwie widoczny w malejącej perspektywie uciekających w nicość pionowych ścian, wisiał falujący i przelewający się okrąg płynnego ognia. Sączący się z niego pomarańczowy blask zalewał studnię mdłym światłem, przesączającym się aż tutaj, na samo dno.

Byłem – nie miałem pojęcia gdzie byłem. Na dnie czegoś, na dnie Dziury. Otoczony przez własne trupy i murszejące resztki innych, którzy musieli spaść tu przede mną, a teraz zaścieniających kamienną posadzkę swoimi doczesnymi resztkami.

I w dodatku bolała mnie szczęka.

Dotknąłem twarzy, syknąłem z bólu: ała! Długie i szerokie rozcięcie ciągnęło się od mojej dolnej wargi aż przez podbródek, krew ściekała po szyi i klatce piersiowej.

Tylko dlaczego byłem nagi? A co jeszcze bardziej niepokojące, dlaczego się nie regenerowałem?

A do tego żadne z moich kilku ciał nie miało na czole Znamienia.

Podobnie jak nie miał go przecież Jonasz... A mimo to posiadał gladius, umiał go używać i twierdził, że sam był kiedyś Komornikiem. Jednym z dwóch, Eliaszem bądź Aniketosem... Albo może żadnym z nich. A teraz ja poszedłem jego śladami i też byłem tutaj, również bez Znamienia.

– Azi! – zawołałem. Mój głos odbił się echem w pustce. – Azi, hej... Azrael...!

Cisza, tylko odległy huk i łopot płomieni niósł się z góry jednostajnym dudnieniem. Rozejrzałem się w poszukiwaniu mojego gladiusa, bo wydawało mi się, że za pierwszym razem widziałem, jak spadał ze mną, jeszcze płonąc... O, tutaj był!

Od razu poczułem się pewnie: przynajmniej nie oszalałem, nie było to wszystko zwidem. A nawet jeśli to jakiś koszmarny, to nawet we śnie się człowiek lepiej czuje, mając w ręku ulubioną broń. Chwiejnie wstałem z kolan, przeszedłem kilka niepewnych kroków i podniosłem z ziemi klingę. Tak, to było to: wysłużona rękojeść, dobrze wymierzone wgłębienia na palce...

– Odpal... – jęknąłem błagalnie.

Ku mojemu zdziwieniu, ostrze syknęło i strzeliło iskrami, a potem rozjarzyło się purpurowym płomieniem.

Poświata zalała dno studni. Wilgotne kamienie zaślnęły odbitym blaskiem, cienie zatańczyły po ścianach... A ja dopiero teraz zauważyłem w jednej z nich ciemniejszy, nierówny kształt niż to korytarza, niż to przejścia, za którym było coś jeszcze. Jak gdyby prowadząca w dół studnia trafiła w większą komorę jaskini, otwierającą się podziemną galerią.

Ostrożnie podszedłem do przejścia, przyświecając sobie gladiusem zajrzałem dalej. Widziałem prowadzące w dół skały i ciurkający pomiędzy nimi strumyk, zapewne formowany przez ściekającą po ścianach kropla po kropli wodę... Zarysy kilku bliższych i dalszych stalagmitów, sterczących z ziemi niczym niedokończone kolumny, ciągnące się ku niekłanemu w półmroku sklepieniu.

A pomiędzy nimi zastygłego w pół ruchu, niczym zajączek w światłach ciężarówki, półnagiego człowieka.

Musiał iść w moją stronę, kiedy wyjrzałem zza skalnego załomu. Zamarł, patrząc na mnie wielkimi z przerażenia oczami, w których tańczył blask płonącego Purpurą ostrza. Zarośnięty, brodaty, ubrany w jakieś szmaty – ale żywy!

– Hej... – powiedziałem.

Mężczyzna wrzasnął, wypuścił trzymane w ręku narzędzie i rzucił się do ucieczki. Widziałem jeszcze przez chwilę, jak jego bosa pięty migają w ciemności. Słyszałem, jak chyba potknął się o coś i wywrócił, a potem błyskawicznie zerwał na nogi, biegnąc dalej.

Po chwili znów byłem w ciemności sam, a wokół mnie była tylko cisza.

Ruszyłem w dół jaskini, przyświecając sobie gladiusem, i ostrożnie stawiając bosa stopy na śliskich kamieniach.

Czymkolwiek było to miejsce, było ogromne. Sklepienie uciekało gdzieś ku górze, poprzecinana uskokami podłoga to wznosiła się, to opadała. Mniejsze i większe formacje skalne, jeziorka pełne stojącej wody.

I smród. Koszmarny, zatechły smród powoli rozkładającej się tkanki organicznej, jak na fermie lisów.

No cóż, wiedziałem przynajmniej, że nie jestem tutaj sam. Najwyraźniej nie tylko ja byłem na tyle głupi albo nierozsądny, żeby próbować się tu dostać, więc istniała perspektywa, że mam tu towarzystwo. Pytanie tylko, jakie tamten miał zamiary?

Kopnąłem bosą stopą coś, co potoczyło się kawałek po kamieniu z suchym stukotem. Schyliłem się i podniosłem upuszczone przez tamtego narzędzie.

– Łał. No dobra – mruknąłem.

Trzymałem w ręku zaostrome, piłowane wzdłuż jednej krawędzi ludzkie żebro z prymitywnym uchwytem zrobionym z pasków niewygarbowanej skóry... Też ludzkiej, o ile mnie wzrok nie mylił. I z dowiązaną do niego kitą z ludzkich włosów.

No dobrze, zatem trzeba było uważać podwójnie, żeby nie przerobiono mnie tutaj na surowce rzemieślnicze. Tym bardziej, że...

Zastrzygłem uszami, przekreśliłem głowę. Zdawało mi się? Czy faktycznie usłyszałem niosące się gdzieś z tej ciemności głosy?

Poświata sącząca się od studni została daleko za mną, a blask gladiusa zdecydowanie nie wystarczał na oświetlenie całości jaskini. Przysloniłem twarz dłonią tak, żeby płonąca klinga trochę mniej mnie oślebiała... Cholera jasna, zawsze tak było! Człowiek chciał sobie przyświecić, a zamiast tego sam się jak ten debil oślepiął i nie widział nic. Jakby zgasić swoje źródło światła, to oczy by przywykły do ciemności, ale zawsze, zawsze był ten moment przejściowej ślepoty, którego się bałem.

No nic, będę szedł tak dalek, aż w końcu coś albo kogoś...

– ...Spotkam – dokończyłem, widząc wyłaniających się z ciemności ludzi.

Pólnadzy. Brudni. Zarośnięci, ubrani w szmaty... Nie, nawet nie „szmaty”, a raczej „strzępy”, bo wszystko, co mieli na sobie, od razu zidentyfikowałem jako zrobione z materiału ludzkiego: kawałki byle jak wyprawionej skóry, rzemieńce ze ścięgien, prymitywne plecionki ze skręconych włosów... Niby-noże i krzywe włócznie z kości. Wisiorzy i kolczyki z fragmentów łopatek, naszyjniki z zębów.

Widziałem, że w każdej chwili są gotowi rzucić się na mnie, zaatakować – ale jednocześnie przerażeni. Pełni nie tyle wynikającej z niewiedzy bojaźni przed czymś nieznanym, a właśnie strachu płynącego z bolesnego doświadczenia... I wyraźnie patrzyli z kuriozalną mieszaniną przerażenia i fascynacji na gorejący Purpurą gladius w moim ręku.

A jednocześnie, poza tym strachem, ich twarze były puste. Pozbawione wyrazu. Wyprane z emocji. Jak u ludzi, którzy widzieli i przeżyli zdecydowanie zbyt wiele.

Jeden z nich – starszy, żyłasty, o oczach w których wciąż widać było nie do końca zgaszony błysk intelektu – wysunął się z tłumu, wsparty na wykonanym z kości kosturze.

– Czego znów chcesz, przybyszu ze snu? Dlaczego ponownie przychodzisz do prawdziwego świata, aby dręczyć nas swoimi koszmarami?! – zapytał drżącym ze wzburzenia głosem.

– Ja... eee... co? – wzdrygnąłem się.

– To nie on... – szepnął ktoś z tłumu. – To jakiś inny... To nie tamci!

– Nie tamci! To inny... To nie ten sam! – poniósł się gorączkowy, pełen ulgi, ale i przerażenia szept.

Starzec spojrział w lewo, w prawo, na ludzi. Potem przyslonił oczy dłonią, żeby nie raził go blask mojego miecza.

– Kim jesteś, wędrowcze z koszmaru? Jakiego imienia używałeś, gdy jeszcze pogrążony byłeś we śnie?! – Wyciągnął w moją stronę zakończony długim, brudnym szponem palec.

– Ezekiel... Ezekiel Siódmy.

Chóralne westchnienie ulgi.

– Zatem jesteś kimś jeszcze innym... – rzekł starzec. – Czy przybyłeś tu, aby dręczyć nas i prześladować, czy raczej wyzwolić?

– Powoli, spokojnie... – Podniosłem ręce, chcąc zrobić uspokajający gest. Wyszło średnio, bo w jednej całej chwili trzymałem płonącego Purpurę gladius; ludzie zafalowali, cofnęli się o krok. – Ahem. Spokojnie, nie chcę was skrzywdzić... Przynajmniej z założenia nie chcę. Kim wy w ogóle jesteście, co to za miejsce?

– Ja jestem nikim, ale tutaj zwą mnie Nestorem. Zaś to miejsce, to świat na jawie! To jedyne miejsce prawdziwe, wyspa pośród morza łączących nas niegdyś niezliczonych snów... Życie wieczne, do którego przebudziliśmy się wszyscy z koszmarów o nienawiści, złości i egoizmie. Tutaj każdy należy do każdego innego, wszystko do wszystkich! Zaiste, tutaj dopiero poznaliśmy, co znaczą słowa „bierzcie i jedzcie z tego wszyscy, to jest bowiem ciało moje”... Nie ma innego świata, nie ma innego życia!

– Nie ma innego życia – powtórzyli ludzie nieskładnym chórem, bez szczególnego przekonania.

– Aha, czyli jesteście kolejną bandą pojebańców – mruknąłem do siebie, zaś głośniej odezwałem się: – No dobrze, to wszystko bardzo piękne. I rozumiem, że dostaliście się tutaj, bo... Bo spadliście do Dziury?

Nestor zaśmiał się sucho, pokręcił głową. Oj, nie spodobał mi się ten śmiech ani trochę.

– Nikt nigdzie nie spadał, Ezekielu. Przebudziliśmy się ze snu, zaś Dziura jest wyjściem z niego. I tak samo tutaj czasami zasypiamy, aby obudzić się ponownie.

– Dobra, ale nie o to pytałem. Więc jesteście... Ło! – Aż podskoczyłem, kiedy obok mnie przesunęło się dwoje oberwańców, wlokących za nogi trupa. Mojego trupa, żeby nie było. – Hej, zaraz, powoli! To przecież ja...

– Nie, bracie Ezekielu: ty jesteś tutaj. To nieledwie pusta skorupa, która teraz posłuży innym... Dziękujemy ci za twój dar. – Nestor skłonił się lekko. – Zapewni nam przyrodziewek, zajęcie i żywność na długi czas.

– Zapewni wam... – aż się zachłysnąłem.

– Pójdź z nami, bracie. Najpierw jednak odrzuć okruch świata snów, którego nadal się kurczowo trzymasz.

Nie załapałem w pierwszej chwili. Dopiero potem spojrzałem na płonącego Purpurę miecz.

– Nie ma mowy – powiedziałem bez chwili zastanowienia.

– Odrzuć go, bracie, bo inaczej nie połączysz się z nami w harmonii prawdy.

Okej, to zabrzmiało jak groźba. A ja nie lubiłem, jak mi się grozi. Szczególnie że i tak byłem już, szczerze mówiąc, spięty. Oblizałem nerwowo usta, rana zapiekła. Kurde bele, wciąż się nie regenerowałem. Niedobrze.

Podczas gdy namyślałem się, bokiem minęła mnie kolejna dwójka kanibali, ciągnących gdzieś w głąb jaskini drugie moje ciało... A potem ci pierwsi wrócili po trzecie.

Przelknąłem ślinę, czując mdłości. Byłem w wielu upiornych miejscach, ale to było póki co najbliższe definicji onirycznego koszmaru.

– Mogę zgasić gladius, ale go nie wyrzucę – zaproponowałem rozwiązanie ugodowe.

Nestor zmrużył oczy, niczym wytrawny pokerzysta siedzący przy rozgrywce o wysoką stawkę.

– Oddaj mi go na przechowanie, bracie Ezekielu – wyszedł z kontrpropozycją.

– A jeśli odmówię?

– Wtedy będziesz musiał zasnąć, zaś my przyjmemy cię ponownie jak brata.

– Słuchaj, dziadku, nie mam szczęścia latek, a to nie jest przedszkole – zirytowałem się. – Więc nie będziesz mi mówił, kiedy mam jeść, siku, kupkę, a kiedy lulu. A te swoje zaostrzone kijki to możecie se wsadzić...

Jednak nie dokończyłem tej świątłej tyrady, bo on wyciągnął przed siebie kostur, zaś stojący obok niego rosły chudzielec zamachnął się i cisnął we mnie kościanym oszczepem.



– Łaa! – wrzasnąłem, gdy wokół mnie rozbłysnęło światło i poczułem, jak spadam.

Nie byłem jakimś tam śmieciem-robakiem, żeby bez sensu nabijać sobie objętość opowieści. Nikt mi nie płacił ani od odcinka, jak zonglerowi dygresji, uprzedzeń narodowościowych i nudnych opisów Sienkiewiczowi, ani nawet od wiersza, jak niekwestionowanemu mistrzowi pustych, nic nie wnoszących dialogów Tuwimowi. Nie miałem zwyczaju uprawiać polityki kopiuj-wklej w nadziei, że odbiorca nie zorientuje się, że już to kiedyś było.

Dlatego też nie będę epatował tutaj opisem tego, jak po raz kolejny spadałem przez studnię dziury, bo wystarczy się kawałek cofnąć i go sobie przeczytać, w dowolny sposób wymieniając i łącząc trzy albo i cztery poprzednie razy.

Dość, że znów udało mi się wysterować tak, by nie roztrzaskać się o kamienną iglicę i nawet trafić we wciąż leżące tam ciało. Własne, rzecz jasna.

– Kuuurrrrr... – zakląłem soczyście wraz z pierwszym wydechem, jaki dałem radę zrobić.

Nade mną pojawiła się okolona strąkami brudno-siwych włosów, brodata twarz.

– Witaj ponownie, bracie Ezekielu – oznajmił Nestor.

Przekręciłem się na bok, potem na czworaka. Podniosłem z ziemi, patrząc na kilkunastu oberwańców, stojących półkolem za starcem.

– No dobra, łapię. Rozumiem. Jak umrę, to mnie wyrzuca na respawn, tak? – powiedziałem, wciąż lekko chwiejąc się na nogach. – Bardzo zabawne. Ciekawe jednak, bando pojebańców, jak zamierzacie mnie w takim razie unieszkodliwić, ha? I gdzie mój gladius...?

– Wyzwoliliśmy cię spod jego władzy. Teraz, gdy jesteś tutaj równy nam, możemy...

– Oddawaj! – ryknąłem, robiąc krok w jego stronę.

On znów skinął kosturem, stojący przy nim dryblas zamachnął się włócznią.

Tym razem byłem jednak przygotowany, więc kiedy on zrobił wyrok i wyrzucił ramię w przód, zanurkowałem szczupakiem pod jego nogi. Oszczep świsnął mi nad głową, zaś ja uderzyłem go pięścią w splot słoneczny, a kiedy zgiął się wpół, fachowo złapałem jego głowę pod pachę, docisnąłem łokciem i szarpnąłem w górę.

Suche, krótkie trzaśnięcie.

Pozwoliłem ciału opaść na ziemię, od razu gotów przyjąć kolejnego napastnika – jednak żaden nawet nie drgnął, nie ruszył się. Jakby śmierć kompana nie zrobiła na nich wrażenia.

Nestor zmierzył mnie ciężkim spojrzeniem, westchnął i spojrzął w górę.

Nad nami huknęło i błysnęło, a potem z przelewającej się tafli płomieni wypadł ciemniejszy punkcik. Punkcik rósł w oczach, lecąc w dół, po chwili było już widać, jak przebiera rękami i nogami... Po czym nagie, wciąż parujące ciało o centymetry minęło kamienną iglicę i prasnęło potężnie w leżącego tam nadal mojego trupa, który dopiero co posłużył mi za poduszkę.

Patrzyłem z niekłamanym zdumieniem, jak typ, którego dopiero co zabiłem, gramoli się na nogi, podnosi i prostuje.

– Witaj, bracie – powiedział Nestor.

– Witaj, bracie – powtórzyła chórem cała reszta popierdoleńców.

Typ bez słowa wyminął mnie, ukucnął obok swojego własnego ciała. Zdjął przepaskę biodrową, naszyjnik i kościaną bransoletę, odplątał z przedramienia włosiany sznur. Podniósł leżący po drugiej stronie studni oszczep, po czym zajął swoje miejsce u boku Nestora. Był nagi, jak go Pan Bóg... To jest: po prostu nagi był, no. Zero włosów na ciele, nic, jak niemowlak.

– Czy teraz rozumiesz, bracie Ezekielu? – zwrócił się do mnie starzec.

Na moją twarz wypełził uśmiech, gdy pokiwałem powoli, z namaszczeniem:

– Nie, ni chuja nie rozumiem.

– Zatem pójdz z nami, pokażemy ci, jak wygląda prawdziwy świat. Nie ma innego życia!

– Nie ma innego życia – zamruczała reszta oberwańców, podążając wraz z nami w głąb jaskini.



Czymkolwiek było to miejsce, było przerażające do szpiku kości – dosłownie.

W przesączającym się od strony szybu studni blasku, sięgającym dna pieczary bardziej jako bladopomarańczowa poświata, widziałem coś, co można było od biedy nazwać siedliskiem paleolitycznym. Pośród załamów skalnych, gładów i stalagmitów przycupnęły prymitywne, pierwotne wręcz chatko-szałasy z kości i skór, przyklejone do ścian jaskini. Widziałem ogrodzenia z czaszek i płoty z puszczeli, rozpięte na kościanych ramach skóry związane rzemieniami, prymitywne warsztaty i narzędzia... Wszystko, ale to absolutnie wszystko z ludzkich kości.

Smród panował tu koszmarny, wręcz obezwładniający. Gęsta, lepka woń zgnilizny osiadała we wnętrzu nosa, lepiała się do podniebienia, czepiała skóry. Woń rozkładu, butwy, pleśni i gówna przenikała wszystko, wisząc niczym całun pogrzebowy w nieruchomym powietrzu podziemia.

Eskortujący nas tłumek rozproszył się samoistnie, gdy ludzie wrócili do swych zajęć. „Zajęć” to dużo powiedziane, bo większość zdawała się pozostawać w stanie daleko posuniętej apatii. Nieruchomi, pozornie pozbawieni życia tubylcy w większości siedzieli pod ścianami, albo leżeli, zwinięci w pozycji embrionalnej. Nie było rozmów, nie było śmiechów. Tylko okazjonalny kaszel, albo szelest dochodzący od kogoś zstanowisk.

Widziałem, jak dwóch ludzi miarowymi, spokojnymi, do bólu wprawnymi ruchami oprawia jednego z trupów. MOICH trupów, gwoli precyzji. Kończyli właśnie ściągać skórę z korpusu, teraz wzięli się za twarz... Kilka ruchów i nie byłem to już ja, a bezimienny kawałek mięsa.

– Oto nasza osada, bracie. – Nestor zrobił ruch, obejmujący całość tej potworności. – Tutaj żyje lud wybrańców, tych, co zbudzili się z kosmaru snów o życiu śmiertelnym do życia prawdziwego i wiecznego.

Kiwnąłem tylko głową, nie znajdując nawet słów, aby mu zaprzeczyć.

Nie miałem pojęcia, co zrobili z moim gladiusem, bo nie było go tam, gdy mijaliśmy moje najświeższe ciało leżące w kałuży krwi. Oni nie mówili, ja nie pytałem; zapewne ten nawiedzony staruch go gdzieś schował, a ja póki co nie widziałem sensu robienia o to awantury.

Póki co przynajmniej.

Byli wszyscy obłąkani, co do tego nie miałem wątpliwości. Z takimi ludźmi nie ma co się kłócić, chyba że posiadając konkretną przewagę ogniową albo odpowiednio ważki powód... Zaś ja na razie zamierzałem dowiedzieć się, ile tylko dam radę, na temat Jonasza.

– Często miewacie tutaj gości z zewnątrz? – zapytałem pozornie z głupia frant.

Nestor spojrział na mnie z ukosa.

– Tutaj nie ma czasu ani częstotliwości, bracie. Jedno i drugie to iluzja, podobnie jak życie i śmierć, zapętlone w kręgu niekończącego się zmartwychwstania. Są tutaj tacy, co zasypiali i budzili się ponownie dziesiątki, setki razy... I o czym to świadczy? O niczym, zaiste. Tu jest wyłącznie tu i teraz, nie ma nic więcej. Nie ma innego życia.

– Nie ma innego życia – machinalnie, nie odrywając się od pracy powtórzyła za nim mijana przez nas kobieta.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że kobieta machinalnie, bez cienia emocji odkrawa kawałki mięsa z trupa o twarzy mężczyzny, siedzącego obok niej w kucki i czekającego, aż ta poda mu kęs ludziny.

Jeśli kiedykolwiek zastanawiałem się, jak wygląda Piekło, to chyba już wiedziałem.

– No dobrze, ale... Czy byli tutaj inni, podobni do mnie?

– Wszyscy jesteśmy tutaj jednakowi, bracie.

Kurwa, no naprawdę. Tyle czasu już minęło Po, a ja nadal nie nauczyłem się rozmawiać z wariatami. Wdech, wydech, zaciśnięcie dłoni w pięść.

– Inni, tacy którzy przynieśli ze sobą okrucy świata koszmarów – wyrzuciłem z siebie. – I nie chcieli się ich pozbyć.

Drgnął, strzelił na mnie spojrzeniem z ukosa.

Bingo.

– Było nas tu wielu, bracie. I jest nadal, bo kto tu trafi, ten budzi się do świata prawdy. Każdy niósł coś ze sobą: są tacy, co nie chcą wyrzec się swego zapamiętanego ze snu imienia. Inni uparcie twierdzą, że mają misję do wykonania. Są tacy, którym długo zajęło otrząśnięcie się z resztek ich koszmarów... Ale w końcu budzi się każdy.

– Chyba że najpierw stąd ucieknie.

– Nie ma ucieczki od świata przebudzenia, bracie. Dlaczego i po cóż ktokolwiek miałby uciekać od tego, co jest tu i teraz? Jak można chcieć wydostać się z życia, które jest jedynym i prawdziwym pośród snów? Pogódź się z tu i teraz, bracie.

– Czyli mam robić... co? – Rozłożyłem ręce.

– Jesteś teraz jednym z nas, Ezekielu. Bądź jednym z nas. Dziel się tym, co możesz ofiarować. Bierz to, co ci potrzebne. Nie ma innego życia. – Spojrział na mnie wymownie.

Wdech, wydech. Znow zaciśnięcie pięści. Wdech.

– ...Nie ma innego życia – powtórzyłem.

Nestor kiwnął głową z zadowoleniem, pokazał swojemu przybocznemu: idziemy. Poczłapali gdzieś w głąb jaskini, zostawiając mnie pośród tej upiornej wioski, wyglądającej niczym bieda-wersja zamku w podziemiach z bardzo, bardzo starej i zajebiście dobrej gierki na moim leciwym kompie.

Usiadłem gołym tyłkiem na najbliższym kamieniu i oparłem się o zimną kamienną ścianę, patrząc na powoli poruszającą się osadę trupojadów. Blade, wychudzone postacie snuły się powoli, niczym otepiałe, białe larwy pełzające po mrowisku. Od czasu

do czasu ktoś wstawał, siadał, albo kładł się... Niemalże nie było interakcji ani współpracy.

– Skrajne ubóstwo, podobnie jak skrajne bogactwo, wypłaszcza charakter ludzki – mruknąłem do siebie, rozmasowując stłuczone kolano.

Wszystko tutaj było odpowiednio obłąkane, groteskowe, pokazowe i spójne w swoim szaleństwie. Ludzie wpadali tutaj i nie mogli się wydostać, zapętleni wskutek jakiegoś błędu systemu... A ja nie miałem zasięgu, żeby wezwać Azraela. Nie działała tutaj regeneracja ani Re-Kreacja.

Za to działał mój gladius, którego od razu, na wejściu odebrał mi ten stary zjeb Nestor.

Fajne były te jego głodne kawałki, że tu nie ma śmierci ani nic z tych rzeczy...

Nie było też prawa własności, jak się zdaje, w tym nawet do własnego ciała, bo dosłownie w tejże chwili do jednego z siedzących sobie w kucki ludzi podszedł jakiś inny i ciosem kościanego noża przebił mu szyję na wylot.

Nikt się nie zainteresował, nawet nie spojrział. Tamten upadł na ziemię, wierzgając nogami wykrwawił się bez jednego dźwięku, po czym znieruchomiał. Zabójca zarzucił jego ciało na plecy i poniósł ku swojej kryjówce.

Od strony studni doniósł się błysk i huk – niechybny znak, że zabity odrodził się ponownie.

...O czym to ja? Ach, tak: o tym, że nie ma tu śmierci i nie ma się czego obawiać, srali muchy, będzie wiosna. Ładnie to brzmiało i nawet pozornie spójnie.

Tylko po co w takim razie ten cały Nestor łąził ze swoim własnym przybocznym, co?

Uśmiechnąłem się wrednie do własnych myśli, pokiwałem głową: taaak, pięknie jest być szefem lokalnej sekty, karmić swoje otumanione owieczki gładkimi tekstami. Natomiast ktoś, kto raz widział i posmakował władzy, już nigdy nie zapominał jej smaku.

I byłem gotów się założyć, że w tym względzie Nestor ani na jotę nie różnił się od innych, którzy przez te wszystkie lata stanęli mi na drodze.

Niespiesznym krokiem, ostrożnie stawiając stopy na śliskich kamieniach, obszedłem dokoła całą jaskinię.

Popatrzyłem sobie na legowiska miejscowych. Musieli mieć tu ze dwóch eks-marynarzy albo wziętego riggera, bo niektóre węzły były naprawdę porządnie zaplecione.

Zatrzymałem się na dłuższą chwilę przy parce krojącej ludzinę, z autentycznym uznaniem kontemplując sztukę i wprawę... To dopiero były umiejętności! Może wpadnę tu kiedyś na praktyki, jak już się cała Apokalipsa uspokoi.

Ukucnąłem sobie przy warsztacie garbarza, wyprawiającego rozpiętą na ramie ludzką skórę. Gdy ten zauważył mnie i pytającym ruchem wyciągnął zaostrożoną o kamienie łopatkę, wziąłem narzędzie i nawet poświęciłem chwilę, ucząc się pod właściwym kątem, warstewka po warstewce zeskrobywać resztki mięsa z materiału.

Potem zajrzałem do warsztatu powroźnika, plotącego nici z ludzkich włosów. Jakoś tak... nie wiem, włosy zawsze wydawały mi się mocno osobiste. Chyba odezwała się trauma z wycieczki szkolnej do obozu zagłady. Tak czy inaczej, nie zabawiłem tam długo.

W końcu znalazłem sobie przytulny, obskurny kącik pomiędzy szczeliną skalną, do której miejscowi wrzucali odpadki a legowiskiem lokalnego menela – brudnego, śmierdzącego i zapuszczonego nawet jak na tutejsze standardy.

Osada wegetowała sobie swoim rytmem. Ludzie snuli się to tu, to tam, od czasu do czasu zajmując jakimiś pozbawionymi głębszego sensu pseudoczynnościami. Większość

nie robili nic: siedzieli nieruchomo pod ścianami, patrząc w pustkę, albo leżeli z otwartymi oczami, pogrążeni w jakimś dziwnym pół-snie.

Wodę brali tutaj z ciurkających po kamieniach strumyków, albo pili wprost z zagłębień w skale, gdzie gromadziła się wilgoć. Żywność, no cóż... – albo jedli kawałki surowej, mocno już skruszałej ludziny, albo chodzili w odległy kąt jaskini, żeby tam zbierać bladobłękitne, mocno niezdrowo wyglądające grzyby pleniące się całymi koloniami na hałdzie pleśniejących kości, gnijącego ciała i odchodów.

Nastroj Dziury był straszny. Cisnął na umysł, przytłaczał atmosferą zrezygnowanej stagnacji. Tutaj naprawdę nie działa się nic, zupełnie nic... Żadnego zewnętrznego bodźca, żadnych zmiennych.

Aż drgnąłem, kiedy mdła poświata od strony studni rozjarzyła się błyskiem, a zaraz po nim przez jaskinię przetoczył się niski, głuchy huk. Niebawem ktoś nadszedł chwiejnym krokiem po kamieniach, zupełnie pozbawiony owłosienia i wciąż jeszcze czysty... Schylił się, podniósł własne ciało i pociągnął gdzieś, zapewne ku schronieniu, żeby tam przerobić je na żywność i surowce.

Potrząsnąłem głową z niedowierzaniem: to przecież nie miało sensu. To miejsce było z jednej strony systemem zamkniętym, z którego nic się nie wydostawało. Z drugiej jednak było klasycznym układem egzogenicznym, zmieniającym się może nie dynamicznie, ale stale w funkcji czasu! Wszystko to było zapętlone w cyklu nieustannego generowania kolejnych zasobów – no bo przecież ciała martwych nie znikają, gdy te same osoby pojawiały się na nowo. Więc przyrastała tutaj ogromna nadwyżka masy, całkowicie pozbawiona możliwości ujęcia.

Nie byłem jeszcze pewien ani co to znaczy, ani co z tego potencjalnie wynika. Dlatego też póki co siedziałem jak ten świstak, cierpliwie zawijając w przysłowiowe sreberko i obserwując sobie wszystko, próbując rozkminić to piekło na ziemi.

Gdybym po prostu tutaj spadł... łoś. To by było złe. Natomiast dostałem się tu poniekąd z własnej woli, podążając śladami Jonasza, który najwyraźniej też tu był. Był i znalazł coś, co pomogło mu... No właśnie. Pomogło mu zrobić – co?

Zabić Anioła? Być może. Tak czy inaczej byłem pewien, że jest tutaj, na dole, coś ważnego. I zamierzałem to odnaleźć.

A potem wydostać się stąd.

W końcu wypatrzyłem tego, kogo miałem nadzieję tutaj znaleźć. Typa niby nie wyróżniającego się niczym szczególnym: ot, kolejny zarośnięty, brudny oberwaniec, szwendający się bez celu po jaskini bez wyjścia, gdzie wszystko zbudowano z bynajmniej bezimiennych resztek.

Jednak zerkał na mnie od czasu do czasu, jak gdyby ciekaw, co zrobię. Jak się zachowam. I w jego ruchach, w samym sposobie poruszania się, było coś... innego. Jakby kiedyś, dawno temu, w innym życiu, reprezentował sobą coś, co nie do końca zginęło.

Mówią, że swój swojego od razu pozna. No cóż, ja „swój” nigdy nie byłem, więc dlatego mi to tyle zajęło.

Podniosłem się, niespiesznie przeszedłem przez jaskinię. Po drodze zerknąłem w kierunku szałas, który już wcześniej zidentyfikowałem jako należący do Nestora... Nie był największy, nie wyróżniał się może bogactwem, bo i nie miał czym... Ale Nestor usadowił się wygodnie, w najwyższym punkcie wioski, zaraz przy jednym ze strumyków i blisko szczeliny, używanej jako wychodek. Ot, drobne różnice pomiędzy wyjąca nędzą a zwykłą biedą.

Mężczyzna siedział po turecku przed swoją chatką, miarowymi ruchami skrobiąc kością o kość. Trzy podobne, równo zastrugane, wypolerowane fragmenty leżały obok niego, niemalże idealnie takie same.

– Salve, frater – odezwałem się półgłosem, wyrzucając przed siebie rękę w salucie.

Zamarł. Powoli podniósł głowę, patrząc na mnie wielkimi oczami. Odłożył kość, wstał i odważemnił pozdrowienie pokrytą bliznami prawą ręką.

– Salve...

Jego głos był tak niepewny, tak bardzo pełen drżenia... A jednocześnie niedowierzającej radości. Jak u człowieka, który wbrew faktom, wbrew logice miał na coś nadzieję i nagle, punktowo przekonał się, że nie żywił jej nadaremno.

– Ezekiel Siódmy, legalnie działający Komornik na usługach Góry. A ty... byłeś Legionistą, prawda?

Nie miałem pojęcia, czy trafiam, ale blef był tego warty.

Trafiłem.

Drgnął, zmienił się na twarzy.

– Ja... O mój Boże...! – jęknął. – Marcus Secundus, siódme kontubernium czwartej centurii Drugiego Legionu. Ty... Ty pamiętasz to samo?!

– Pamiętam. I teraz potrzebuję waszej pomocy, żołnierzu.

– Łączy nas ten sam sen... To cudowne! To zdarza się tak rzadko...

– To nie sen – przerwałem mu. Pociągnąłem za rękę, żeby usiadł na ziemi; i tak miałem wrażenie, że nasza rozmowa, mimo że toczona półgłosem, ściąga na siebie zdecydowanie zbyt dużo uwagi. – Opowiedzcie mi, żołnierzu, o tym miejscu. O ludziach, którzy przybyli z zewnątrz, niosąc broń płonąca Purpurą... Opowiedzcie mi o Jonaszu.

Były Legionista zgarbił się, skulił i strzelił na bok przerażonym spojrzeniem.

– Nie wolno nam mówić o snach – szepnął. – Nestor powtarza, że w tym miejscu ma być tylko prawda.

– To nie sen, żołnierzu. Poza tym, co wam zrobią? – prychnąłem. – Zabiją...?

– Ci, co mówią o snach, są wyganiani w Ciemność. Błąkają się w mroku tak długo, aż zasną... I przebudzą się znów – zaszeptał, pokazując gdzieś ręką.

Wyprostowałem się, popatrzyłem w tamtą stronę. Faktycznie, w ścianie jaskini było jeszcze kilka prowadzących dalej korytarzy, ziejących czarnymi gardzielami wejść.

– Aha, czyli taka kara powolnej śmierci głodowej. Nie no, aż ciężko uwierzyć, że w takim miejscu się czegoś jeszcze boicie, serio. Przecież zawsze można szybko i sprawnie strzelić sobie kulturalnego samobójcę, co nie?

Po jego twarzy zobaczyłem, że jednak nie. No cóż, rzeczywiście: dla mnie jako Komornika cykl śmierci i odradzania się był poniekąd częścią obowiązków służbowych. Nie było to miłe, ale jak się nad tym zastanowić, to nie było też szczególnie traumatyczne... Przynajmniej radzenia sobie z tą traumą nas uczyli na szkoleniu w Korpusie.

Natomiast dla zwykłego śmiertelnika... Tjaa, no dobra. Byłem w stanie zrozumieć, dlaczego zamiast przywyknąć do tego, ludzie gromadzili w sobie wynikiły z tego stres. I faktycznie, po dwóch, pięciu czy dziesięciu razach, umysł zaczynał tworzyć sobie mechanizmy obronne.

Czyli, kolokwialnie rzecz ujmując, delikwent tracił kontakt z rzeczywistością.

– Ciemność jest najstraszniejszym, co istnieje! – jęknął eks-legionista.

– Dobra, dobra, rozumiem. Ale nie bój się, nie każą ci tam iść. Mnie możesz to powiedzieć, bo łączył nas ten sam sen. Obaj wiemy jaki był Legion, widzieliśmy ten sam świat... I obaj znamy Jonasza.

Pokiwał głową, patrząc mi głęboko w oczy. No dobra, to chociaż tyle, że nie wypierał się tego, co wie... Rozejrzał się, nachylił ku mnie:

– Przybyli tu we dwóch. Obaj spadli razem, walcząc od razu po przebudzeniu...

I nie chcieli przestać, mimo że Nestor im nakazał.

– Jonasz... i Aniketos?

– Tak, to właśnie były ich imiona! Aniketos pragnął sprawić, aby Jonasz zasnął i już się nie obudził. A z kolei Jonasz... – Mój rozmówca zawahał się. – Jonasz twierdził, że musi wydstać się stąd i znaleźć... Znaleźć klucz.

– Klucz? Ale jaki klucz?

– Kłócili się wtedy z tym drugim, który też miał miecz, podobny do twojego... I powiedział, że skoro zna już wzór, to musi tylko dobrać klucz, który będzie pasował do dziury. A potem zaczęło się...

– Co? Co się zaczęło? – zapytałem, ale on zerknął gdzieś nad moim ramieniem i spuścił głowę.

– Nie ma innego życia – zamamrotał. – Nie ma, nie ma innego życia... Odejdź, nie-do-końca zbudzony. Nie ma innego życia...

Obejrzałem się tylko po to, żeby zobaczyć czyjeś szybko idące ku mnie nogi, a potem równie szybko przemieszczającą się ku mojej twarzy głowicę kościanej maczugi.

Trzask, pisk w uszach i ciemność.



Otworzyłem oczy. Konkretnie jedno, bo powieki drugiego miałem czymś sklezione... Krwią? Chyba tak, bo czułem jej posmak w ustach, więc musiała sączyć mi się po twarzy. A sączyła się pewnie z rozbitego czoła, które narywało bólem tak, jakby mi się mózg chciał rozmnożyć przez pączkowanie.

– Obudziłeś się, bracie. To dobrze, oszczędzi nam to konieczności usypiania cię i chwytania na nowo – usłyszałem głos Nestora.

Jego samego zobaczyłem dopiero po chwili, kiedy udało mi się zogniskować wzrok i ogarnąć, na co w ogóle patrzę.

Zacznijmy jednak od początku: wisiałem w pozycji pionowej, na szczęście głową do góry, przywiązany za ręce i nogi do czegoś na kształt ukośnego krzyżaka z kości. Krzyżak stał w czymś, co w ogóle zasługiwało na miano „wnętrza” – chyba pomniejszej jaskini, ale takiej, która nosiła już wyraźne ślady działalności człowieka.

Całość oświetlało sztuczne źródło światła, co już było... Noo, nie powiem, samo to w sobie było przeskokiem z paleolitu do późnego neolitu. Kaganek zrobiony z odwróconej czaszki wypełnionej tłuszczem, zapewne ludzkim, i wsadzony w niego knot z ludzkich włosów był tutaj chyba najwyższym dostępnym przejawem nowoczesnej technologii.

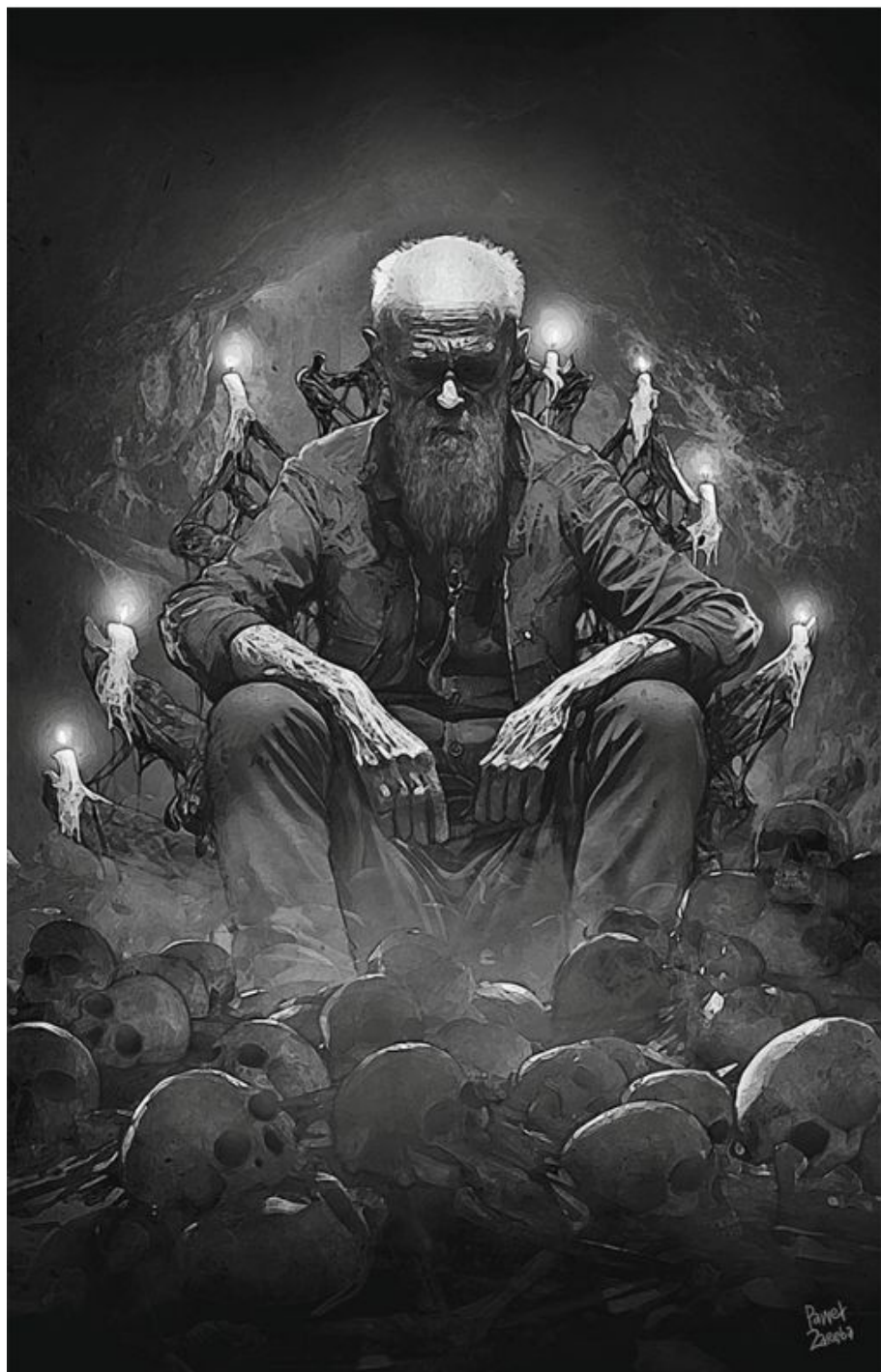
Na podłodze leżało coś na kształt grubego, okrągłego kobierca, utkanego z gustownie dobranych kolorystycznie odcieniami ludzkich kłaków. Pod ścianą leżał materac z ludzkiej skóry, zapewne wypchany włosami... A obok niego szafka nocna, zrobiona z kości i skóry.

Zauważyłem też kilka półek wciśniętych w załomy skalne i stojącą pod nimi kuriozalną, czlekoopodobną rzeźbę... I w jednym z kątów spory warsztat, pełen kości, włosów, skóry i innych materiałów.

Słowem, kryjówka szaleńca.

Zaś pośrodku tego wszystkiego siedział na czymś, co już na drugi rzut oka zidentyfikowałem jako zydel – a nawet krzesło, bo miało oparcie – sam Nestor. Niczym

król, jak pan na swoich włościach, rozparty w tej zrobionej z ludzkich kości, powiązanej ścięgnami abominacji. Siedział i patrzył na mnie, a u jego boku stał ten dryblas.



Nie musiałem o nic pytać. On nie musiał nic mówić. Patrzyłem na niego, patrzyłem na to wnętrze i kawałki układanki od razu wskakiwały na swoje miejsca.

– Ty zjebie... – zacharczałem przez suche gardło. – Ty chory popierdoleńcu.

– Oszczędź mi wyrzutów, bracie. Daj mi to, czego chcę, a być może zaliczę cię do moich wybranych.

Zaśmiałem się chrapliwie.

– I co, dostąpię jakiejś szczególnej łaski? Niech zgadnę, komunია przez fellatio? Już ja was znam, pojebańców, i nigdy nie...

– Być może zabiorę cię ze sobą do prawdziwego świata.

Spojrzałem na niego uważniej, a on uśmiechnął się przebiegle.

No dobra, zrekapitulujmy na szybko sytuację: byłem uwięziony podwójnie. Po pierwsze, utknąłem w Dziurze, gdzie nie działała moja regeneracja, a po śmierci odradzałem się w wirze płomieni i spadałem na dno studni... Zaś po drugie, pojął mnie lokalny pseudoprzywódca pseudoreligijny, pod płaszczykiem pustych frazesów ewidentnie rojący sobie mrzonki o powrocie do czegoś więcej, niż otaczający go syf i brud.

Oczywiście, że mógł mi to wszystko powiedzieć sam. Musiałbym tylko zadawać mu puste pytania naprowadzające, a on uraczyłby mnie sesją monologowania z dużą ilością demonicznego śmiechu i machania rękami.

– Czego chcesz? – jęknąłem na wydechu, zwisając w pętach.

Na wydechu i zwisając, bo przez ostatnie kilkanaście linijek tekstu powoli, miarowo naprężyłem mięśnie, żeby sprawdzić czy może będę w stanie zerwać pęta i się stąd uwolnić. No niestety, jakkolwiek więżące mnie rusztowanie trzeszczało i jęczało, to najwyraźniej nie miało zamiaru ustąpić.

– Pokażesz mi, w jaki sposób uruchamia się twoją broń – powiedział, pokazując na leżący na ziemi przed nim gladius.

No dobra, jeśli miałem jakieś wątpliwości, to właśnie się ich pozbyłem: kolega Nestor nawet nie miał zamiaru przede mną udawać.

– Uruchamia... – Młasnąłem, smakując zupełnie niekoszterne słowo. – No dobrze, założmy, że cię nauczę. I co wtedy?

– Wtedy damy radę stąd uciec. Tak, jak uciekli tamci.

– „Tamci”?

– Ogień z waszej broni jest wyzwoleniem. Zabiera tych, co usną tutaj, z powrotem do prawdziwego świata.

O kurwa.

No dobra, Nestor nie był po prostu szalony.

On był w pełnym, słownikowo-encyklopedycznym tego słowa znaczeniu obłąkany.

– ...No dobra, założmy że wstępnie się zgodzę. Ale to znaczy, że musisz mnie uwolnić. – Spróbowałem przywołać na twarz uśmiech.

Nestor pokręcił głową.

– Nie, bracie. Powiesz mi, jak używa się twojej broni, ale pozostaniesz skrępowany.

– ...Okej, spoko. Wygrałeś. Nie mam szans w konfrontacji z twoimi umiejętnościami erystycznymi. To powiedz mi tylko: czego szukał tutaj Jonasz? I czym jest ten klucz?

Skrzywił się, wzruszył ramionami.

– Czegokolwiek szukał, nie ma tego tutaj, bracie. A więc? Jak działa twoja broń?

Zawahałem się.

Jeśli zacznę mu mówić, to on zacznie próbować. A jak zacznie próbować, to nic się nie stanie. A jak nic się nie stanie, to Nestor się zdenerwuje, a wtedy...

...No właśnie, co wtedy? Nie zabije mnie przecież, bo wtedy się po prostu odrodzę.

Wyglądało więc na to, że zostałem pojmany przez szaleńca, który chciał ode mnie czegoś, czego nie mogłem mu dać. Po prostu nie mogłem i kropka. Bo nawet jeśli ten zjeb wierzył, że śmierć od Purpury jest wyzwoleniem z tego miejsca – i miał w sumie rację, bo była wyzwoleniem z każdego miejsca! – to zakładałem, że gdy zdradzę mu tajemnicę gladiusa, to on wykaże się w takiej chwili ogromną wdzięcznością.

Gdybym miał gwarancję, że włączę mu gladiusa, a on go sobie radośnie wsadzi w bebech, to bym to zrobił od razu. Niech sobie dziad zdycha szczęśliwy.

– Bracie? Powiedz mi, jak działa twoja broń – zażądał Nestor.

A ja nie mogłem mu powiedzieć. Nie tylko dlatego, że wtedy on na próbę wyzwoli mnie jako pierwszego, co mocno popsułoby mi szyki.

Nie mogłem, bo nawet nie było co powiedzieć.

Przecież gladiusa włączało się wysiłkiem woli.

Wystarczyło o tym pomyśleć, żeby...

Klinga zasyczała, sypnęła iskrami.

– Nie, nie, nienie! – jęknąłem. – Nie teraz...! Nie włączaj się...!

Desperacko spróbowałem NIE myśleć o włączaniu mojego gladiusa.

Próbowaliście kiedyś o czymś NIE myśleć? No to spróbujcie, gorąco nie polecam.

Nestor uniósł się w swoim fotelu, stojący za nim ochroniarz poruszył się niespokojnie.

Zaś mój gladius... Mój wierny gladius, z którym przemierzyłem pół świata! Broń, której ufalem, którą kochałem, jak kawałek siebie...! Zafurkotał, prychnął i strzelił płomieniem, zalewając całą jaskinię purpurowym blaskiem.

– Tak! – Nestor zerwał się z siedziska, podskoczył do niego i chwycił za rękojeść. – Tak...! O tak, bracie!

– Neeee! – zaskamlałem, rzuciłem się jeszcze raz w więzach.

Nestor zaśmiał się dziko i wznosił klingę wysoko nad głowę, upajając się widokiem płonącego Purpurą ostrza. Machnął nim raz i drugi na próbę, chichocząc jak dziecko... Po czym obrócił się i z szerokiego zamachu wbił miecz w brzuch swojego przybocznego.

Ochroniarz zgiął się w pół i zacharczał, a potem przez jego usta, nozdrza i oczy trysnęły purpurowe iskry, niosące ze sobą czarne płatki sadzy. Osunął się na kolana i upadł na bok, wypuszczając z dymiącego brzucha gotujące się, bąblujące i częściowo płonące wnętrzności.

– Wolność! – zapiał Nestor, stając nad trupem. – Oto i wyzwoliłem cię, bracie! Wyprowadziłem z ziemi mroku, z domu niewoli... I takie samo wyzwolenie poniosę wszystkim innym, uwięzionym tutaj, pod ziemią! Ujrzyj mnie, swego godnego następcę, o wielki proroku Jonaszu! Dokończę to, co ty zacząłeś...!

– Aaa...! – wrzasnąłem z autentycznego strachu, kiedy ten zjeb zwrócił się do mnie i zaczął zbliżać się, wyciągając przed sobą płonącego zdradziecką Purpurą gladiusa. – Kurwaaa! To sen, to sen... Ja się chcę obudzić!

Wierzgnąłem raz i drugi, ale więzy trzymały mocno. Rzuciłem się całym ciałem, chcąc, nie wiem, przewrócić ten krzyżak?

Ale osiągnąłem tylko tyle, że wałnąłem potylicą o ścianę za mną. Zapieкло, aż mi we łbie zadzwoniło – musiał tam być jakiś konkretnie ostry, wystający kamień.

Ostry. Wystający. Kamień.

– ...Proszę państwa, belka podniesiona o jeden stopień, wiatr niebezpiecznie pod narty...! – zacząłem, wychylając się całym ciałem w przód i czując, jak łapie mnie przerażenie. Nestor był coraz bliżej, gladius w jego ręku celował wprost w moje serce. – Ale to nie przestraszy, nie, nie przestraszy młodego Ezekiela! Zawodnik siedzi na ławce

startowej, czeka na dobry moment... Chorągiewka reprezentacji wysoko w górę, w myślach Barka...! I...! MACHNAŁ...!!! – wrzasnąłem, rzucając się z całej siły w tył.

Chrupnięcie.

Paskudne takie, naprawdę niemiłe.

Chwila, mignięcie, dosłownie ślad bólu.

A potem nic.



– Ła...! – wrzasnąłem do wtóru ogłuszającego huku i oślepiającego błysku.

Pęd powietrza otulił mnie ze wszystkich stron, niczym miękkie, śliski kocyc. W pierwszym odruchu aż zamknąłem oczy, ale zaraz zmusiłem się do rozwarcia powiek.

Pode mną była skalna iglica i wycięte w kamieniu kręgi, pokryte rządkiem znaków.

Pokryte...

...O kurwa mać.

Nie widziałem tego wcześniej. To jest: nie zauważyłem! Ale były tu cały czas, tylko ja...

W ostatniej chwili zreflektowałem się, że póki co próbuję ponownie nie zginąć. Zamachałem rękami i bujałem się w bok, udało mi się zmienić tor lotu akurat na tyle, żeby...

– ...Kurwa! – wrzasnąłem na chwilę przed tym, jak prasnąłem z pełnym impetem o kamienie.

Ciemność, ciemność widzę. Widzę ciemność. Ale boli, więc się nie zabiłem. Wdech, wydech... Powoli wracała mi wizja, widziałem ponad sobą pałający pomarańczowym ogniem wir gdzieś wysoko w kamiennej studni.

No dobra, przeżyłem. Przeżyłem... Nie było źle.

Co prawda rozczarowało mnie to, że gladius nie spadł razem ze mną. Liczyłem na to, że może zespawnuje się wraz z właścicielem... No cóż, nie udało się.

Co się odwlecze, to nie uciecze.

Rozejrzałem się po okolicy, podniosłem jedną z leżących pod ścianą kości. Solidny, konkretny kawałek uda – idealnie leżący w ręku, trochę cięższy na końcu. Perfekcyjny dla moich potrzeb.

Wyjrzałem zza węgła studni, wpatrując się w półmrok jaskini. Tak, wyraźnie widziałem stąd, jak Purpurowa kreska gladiusa skacze w ciemnościach, oświetlając kolejne sylwetki małych z tej odległości ludzików. Ludziki albo po prostu stały, albo podchodziły do człowieka, który trzymał klingę... Albo próbowały uciekać.

Natomiast tych, którzy uciekali, chwytali i prowadzili z powrotem inni. Przytrzymywali nieruchomo, kiedy ten pojeb Nestor podrzynał im płonącą klingą gardła.

Zduśliłem w sobie przemożną chęć ruszenia tam i zapobieżenia masakrze. No dobra, założmy, że bym ich uratował... I co z tego? Co by im to dało, do czego prowadził? Siedzieliby tylko tutaj.

Zaś ryzyko, że nagusieńki i uzbrojony tylko w kościaną maczugę nie dałbym rady odebrać Nestorowi wykutego przez samego Świętego Teodora Stratilatę, płonącego Purpurą miecza było jednak dość wysokie.

Inaczej się waży siły, kiedy ma się nieskończone życia. Całkowicie natomiast odmiennie, kiedy trzeba umiejętnie zarządzać tylko jedną rozgrywką w trybie permadeath bez sejwów.

Dlatego też czekałem cierpliwie, aż ucichną krzyki, a purpurowa kreseczka ostrza znacznie zbliżyć się ku mnie, kołysząc miarowo w takt kroków wspinającego się po kamieniach Nestora.

– ...Oto przybywam, jak przepowiedział to prorok Jonasz: niosąc nie słowo, a miecz! – doleciało mnie jego bełkotliwe mamrotanie. – Bo jam jest tym, który wyzwala narody świata! I niech rozbrzmiewają pienia chórów anielskich, kiedy pierwszy i ostatni ze sprawiedliwych wzniesie się ku ognistym niebiosom, aby tam zasiąść po prawicy Ojca i sędzić żywych i umarłych! I weźmie ich do Nowego Jeruzalem, gdzie nie będzie ani głodu, ani...

– Ja w sprawie tego kwitu na drewno – powiedziałem, wysuwając się z za żałomu skalnego.

Być może się mnie spodziewał, nie wiem.

Tak czy inaczej, nim zdążył się zacząć obracać, moja maczuga już mknęła ku jego skroni.

I obrócił się idealnie tak, że trzasnąłem go prosto w ryj.

Uch, aż się nogami nakrył, wywinął w powietrzu orła i pieprzył potylicą o skałę, aż zadzwoniło. Nie czekając na nic, chwyciłem maczugę oburącz i zacząłem go okładać: po brzuchu, po ramionach, po nogach, po twarzy...! Próbował się zasłaniać i bronić, ale wypuścił miecz, więc zaskowyczał tylko z bólu, kiedy pod kolejnym uderzeniem trzasnęła sucho kość jego przedramienia.

A ja nie przestawałem, napierdalając go kościaną maczugą tak, jakby był to cel i sens mojego życia. I raz, i jeszcze, i na trzecią nóżkę...! I po głowie, i z drugiej strony, i od góry...!

Przestałem dopiero, kiedy nade mną zadudnił grom i błysnęło światło, a zaraz po nich usłyszałem zbliżający się wrzask przerażenia.

Odrzucałem na bok zakrwawioną kość, splunąłem na zmasakrowane ciało i dysząc ciężko podszedłem do leżącego na kamieniach gladiusa.

– Ty chuju zdradziecki – powiedziałem pod adresem miecza. – Nie miałeś kiedy dostać samoczynnej erekcji, tylko teraz? Czekaj, już ja ci... A ty gdzie, kutasino? Waruj!

– Bracie, nie rozumiesz... Hyp! – Nestor zachłysnął się swoimi własnymi słowami, kiedy zgnąłem go mieczem w kark.

Okląpł na ziemi, zadrgał i znieruchomiał. Nade mną trzasnęło i błysnęło.

– O, znów leci... No dobra, niech leci. A ja tymczasem...

Stałem pośrodku koncentrycznych kręgów, patrząc na wycięte w nich znaki. „Wycięte” to nawet nie to słowo, bo nie oddawało całej precyzji: one wyglądały jak wyfrezowane! Idealnie równe krawędzie, perfekcyjnie powtarzalna czcionka.

I ta iglica pośrodku nich, też perfekcyjnie czworoboczna. I ten idealnie cylindryczny tunel.

Kurde, coś mi to przypominało.

– Coś mi to przypomina... Ej, a ty dokąd?! – zawołałem za Nestorem, który w międzyczasie znów spadł i właśnie podrywał się do biegu, chcąc skoczyć ku jaskini i zniknąć w mroku.

Dopałem go, ciąłem pod kolano, poprawiłem w szyję. Kiedy upadł, gulgocząc i zachłystując się krwią, ja wróciłem do kontemplowania znaleziska.

No proszę, proszę. Jak to powiedział tamten Legionista? Że Jonasz znalazł tutaj znaki, a teraz potrzebował pasującego do nich klucza? Coś w ten deseń.

A mi się to z czymś kojarzyło. Ja albo takie, albo podobne znaki już na pewno gdzieś widziałem.

Błysk, huk, zbliżający się wrzask przerażenia. Spojrzałem w górę, przesunąłem się kawałek.

– Tak, proszę państwa, Radwańska czeka na piłkę przeciwniczki... Uwaga, jest serw... I jeb, proszę państwa, przepiękne pierdolnięcie z woleja! – wrzasnąłem, w powietrzu tnąc spadającego Nestora. – Co za piękna gra, panie i panowie! Co za technika, co za styl... Piętnaście punktów dla Gryffindoru!

Zanim spadł po raz kolejny, a ja znów go zaszlachtowałem, zdążyłem wyczyścić z kości i jego trupów pozostałe kręgi, żeby przypatrzeć się znakom. Nie, nie znałem ich, nie miałem pojęcia co symbolizują... Ale na pewno były ważne.

Nestor odradzał się, wrzeszczał i spadał. Ja zabijałem go raz za razem dla czystej, niczym nieskrępowanej, okrutnej satysfakcji. Z początku odciągałem jego ciała na bok, ale potem, kiedy zrobiło się ich więcej, odechciało mi się.

Więc po prostu czekałem na niego na dole i zabijałem raz za razem.

Sterna trupów rosła. Już zakryła podłogę, pnąc się coraz wyższą hałdą wokół kamiennej iglicy. Już zakryła kamienie... A ja byłem cały czas na jej szczycie, brodząc po łydki, po kolana w jednakowo wyglądających trupach Nestora.

Tak, chyba też czułem, że powoli odkleja mi się dekiel.

To było jak wkręcenie się w jakąś absurdalnie durną mini-gierkę bez celu. Jak nałogowe granie w tetrisa: klocki spadają, a ty ich używasz.

Tylko że tutaj klocki nie znikają na dnie studni, a coraz bardziej ją zapełniają. I z każdym kolejnym ciałem byłem o kawałeczek wyżej.

O kawałeczek bliżej przelewającego się wiru ognia.

Bo przecież Jonasz, który jakoś się stąd wydostał, skądś musiał mieć te blizny na całym ciele. A jeśli tędy można było do Dziury wpaść, to również tędy można było – no cóż, z niej się wyczołgać.

Nestor wrzeszczał i ginął, mnie zaczęła boleć ręka, więc ująłem gladius w lewą dłoń.

– Pewnie myślisz, że kiedyś zabiję cię Purpurą... O nie, nieeee! – zawołałem, tnąc go przez łeb. – Nie licz na to! Jesteś moim budulcem, moimi cegiełkami, z których wzniosę wieżę, sięgającą aż do nieba... Moją własną, prywatną wieżę Babel!

Przerzuciłem miecz ostrzem w dół, żeby móc go dźgać, zamiast chlastać.

Potem, jak znów mi się zmęczyły ręce, to kilka razy skopałem spadającego Nestora na śmierć.

Kilka razy dla odmiany udusiłem.

Raz mu wydłubałem oczy, ale było z tym za dużo pracy.

Pomny na niegdyś lubianą książkę o przygodach zabawnego pirata, mającego coś wspólnego z rabarbarem, upitoliłem trupowi nogę i tą nogą zajebałem sześciu Nestorów na śmierć.

Potem wróciłem do starego, dobrego, przemysłowego szlachtowania.

W miarę jak sterta trupów pięła się coraz wyżej i wyżej, zapełniając całą studnię, kolejne inkarnacje Nestora miały coraz mniej miejsca na ucieczkę. Owszem, kilka z nich próbowało biegać w kółko i generalnie mi umykać, ale w końcu i tak łapałem każdą z nich.

Kiedy w końcu poczułem, że się męczę i opadam z sił, podciąłem Nestorowi żyły, po czym wbiłem sobie wcześniej przygotowaną, starannie zastruganą pod ostrym kątem kość piszczelową w spłot słoneczny.

No dobra, to zabolalo, nie powiem. I umierałem po tym dłużej, niż się spodziewałem.

Ale i tak krócej, niż wykrwawiał się on.

Spadłem z ognistego wiru świeżutki, rześki, pachnący spalenizną i ani trochę nie zmęczony. Wyjąłem gladius ze słabnących palców Nestora, pokręciłem głową z dezaprobatą:

– Nieladnie tak brać, co do ciebie nie należy. Bóg na pewno skarże cię za to... A zresztą, wiesz co? Poczekaj, załatwimy to w trybie sądu doraźnego. Ja jestem za... Okej, wyrok jednogłośny, w imieniu Polski Podziemnej...!

Skowyt przerażenia, młaśnieście klingi wchodzącej w ciało.

Huk i błysk kolejnej rekreacji.

Kolejne cięcie.

Kolejne.

I jeszcze jedno.

Migocząca toń ognia była coraz bliżej.

Żar stał się najpierw odczuwalny, potem bolesny, wreszcie nieznośny – aż w końcu ciąłem Nestora, pogrążony w spopielającym wszystko żarze.

Wreszcie uderzyłem po raz ostatni, wskoczyłem na ciało i wybiłem się, skacząc w górę – zaś ogień pochłonął mnie całego.



Rozdział IX



Wyrzucona w górę ręka nie natrafiła na opór ściany tam, gdzie się jej spodziewałem.

Straciłem równowagę i byłbym znów ześliznął się w dół. Jakimś cudem dałem radę podciągnąć się na gladiusie i odepchnąć zapartą o występ nogą, bujnąłem się całym ciałem i sięgnąłem przed siebie. Złapałem coś – nie wiem co – z całej siły, kurczowo, po czym sapiąc z wysiłku wywindowałem się, przetoczyłem poza krawędź.

Położyłem się na plecach i zaszlochałem z ulgą, nie wierząc w to, że jednak mi się udało.

Przejście przez ogień było... Było koszmarem. Niczym spacer przez wnętrze pieca hutniczego, tor przeszkód zbudowany w ogromnej, przemysłowej nagrzewnicy. Jak człoganie się po rozżarzonych węglach.

Nawet nie wiem, ile tam byłem, ile pełzłem, wspinałem się i chyba płynąłem ku powierzchni. Nie zauważyłem momentu, kiedy ryczące inferno zostało za mną, a ja zacząłem wspinać się po stromym, niemalże pionowym zboczu, w uszach mając ogłuszającą kakofonię potępieńczych wyc i wrzasków.

Parę razy wydawało mi się, że spadałem, ale musiało to być tylko wrażenie. Raz za razem wbijałem miecz w kamienną ścianę, podciągałem się na nim, chwytając wolną ręką za występ, kawałek skały, albo wsuwałem palce w szczelinę i parłem ku górze.

Nie wiem, ile to trwało. Nie zauważyłem nawet, kiedy początkowo oślepiający blask ognia ustąpił atramentowej czerni, która potem stopniowo zamieniła się w półmrok i szarówkę, aby w końcu stać się mdłym, błękitnawym światłem niekończącego się dnia.

Całe moje ciało płonęło bólem. Mięśnie nie nadążały się regenerować. Palce miałem zdarte tak bardzo, że czułem każdą drobinę piachu w żywym mięsie opuszków.

Mimo to udało mi się. Udało mi się. Wyszędłem.

Wydostałem się!

Wydostałem się z Dziury!

– Taaakhh...! – zacharczałem, ledwo słysząc własny głos.

– To zaskakujące, Ezekielu, ale przez jakiś czas byłem przekonany, że zniknąłeś z tego świata.

Obróciłem głowę na bok. Lekko zmatowiała od gorąca siatkówka oka sprawiała, że widziałem wszystko niczym za lekką mgiełką. Jednak Azraela siedzącego w kucki na przewróconym, częściowo wgniecionym w ziemię słupie wysokiego napięcia po prostu nie dało się nie poznać.

Przesunąłem dłoń po czole, ale poza bólem nie poczułem nic. Jednak regenerowałem się, Purpura nadal delikatnie pulsowała we wciąż ściskanym w dłoni gladiusie.

– Azi... – sapnąłem. – Czy ja mam Znamię...?

Anioł sfrunął ze swojej grzędy, podszedł i nachylił się nade mną. Przekrzywił głowę w lewo, w prawo.

– ...Nie – powiedział po chwili zawahania.

Szczerze powiedziaławszy, to nawet nie wiem, jakiej odpowiedzi się spodziewałem. Chyba właśnie takiej. Niemniej było to dla mnie zaskoczeniem, że można ot tak, po prostu, wypaść z systemu.

„Po prostu”, kuźwa.

– Jedziemy autostopem do piekła i z powrotem... – zanuciłem, po czym zgiąłem się w pół w paroksyzmie kaszlu.

– Ezekielu, nie chcę cię popędzać, ale...

– To mnie nie popędzaj! – jęknąłem. – Daj mi poleżeć chwilę, odpocząć! Nogi zdarłem, łażąc po tym świecie! Walczę z potworami, uciekam przed ludźmi, biorą mnie do niewoli... Właśnie dokonałem zbrodni wojennej masowego ludobójstwa na jednym człowieku!

– Obecna sytuacja...

– Nie zmieniła się, odkąd stanęło słońce, i raczej się nie zmieni! Więc proszę cię, Azi, daj mi spokój!

– Jak sobie życzysz, Ezekielu.

I po prostu zniknął.

Znów przekreśliłem się na plecy, po prostu rozkoszując się tym, że żyję. Promienie wiecznego zachodu delikatnie muskały mnie po twarzy. Nade mną był bezkres otwartego, czystego, jasnego nieba... I powietrze, tyle powietrza wszędzie wokół!

Z lubością poruszyłem powoli regenerującą się dłoń, zagarniając trochę suchego niczym pieprz, miękkiego pyłu. Tak, życie miało swoje uroki. I zanim ruszę dalej, miałem szczerzy zamiar...

Znów padł na mnie cień, kiedy ciemna sylwetka wyrosła na tle słońca.

– Azi, brudna twoja ciapata mać. Prosiłem cię chyba, żebyś dał mi...

– No cześć, Zek – powiedział wesoło Danaiel.

Nastrój błogiego rozleniwienia i samozadowolenia uleciał, jak zdmuchnięty. Otworzyłem oczy szeroko i szarpnąłem się, chcąc poderwać się z ziemi.

Jednak mocno wymierzony kopniak od góry podkutym sandałem w twarz dość skutecznie ostudził mój zapal. Chrupnęła pękająca kość nosowa, zalałem się krwią... Danaiel przydepnął mi rękę z gladiusem, złapał moją drugą dłoń w uścisk swojej. Wierzgnąłem i kopnąłem go w udo; on zaśmiał się i rzucił mi się kolanami na klatkę piersiową.

Trzask mostka. Powietrze uciekające z płuc. Spazm kaszlu. Czerwono-fioletowa ciemność przed oczami. Kolejne uderzenie dłońmi, tym razem fachowo wyprowadzone w kant szyi.

– Brać go...!

Próbowałem walczyć. Naprawdę próbowałem, rzucałem się, szarpałem... Nawet prawie mi się udało, kiedy puszczone z lewej ręki fala ognia trafiła w kogoś, kto zawył z bólu i na chwilę puścił moją nogę.

Ale było ich za dużo na mnie jednego nieboraka.



– No naprawdę, Zek. Naprawdę, naprawdę, naprawdę jestem rozczarowany.

Otworzyłem zapuchnięte oczy, popatrzyłem na idącego obok wozu Daniela. Odcharknąłem i splunąłem gęstą śliną, ale plwocina zamiast przelecieć pomiędzy prętami klatki i trafić go w twarz, zawinęła mi się na ustach i plasnęła o mój własny policzek.

Pierwszy pokręcił głową, przerzucił w rękę płonący Purpurą gladius. Złapał go odwrotnym chwytem, zakręcił w powietrzu furkoczącego młyńca, zawinął bronią za plecami, ani na chwilę nie zwalnając chwycił w drugą rękę, wyciął ósemkę, znów złapał w prawicę i uderzył symulowanym sztychem w moją stronę.

– Nie żyjesz – zaśmiał się.

– Pierdol się... – dałem radę wykrztusić przez spuchnięte, wysuszone gardło.

CMoknęła z dezaprobatą, nie spuszczać ze mnie wzroku zwrócił się do idącego obok innego Komornika:

– I co ty na to, Septimius? Jak ja mam na takie zachowanie reagować?

– Wyrwać język – powiedział tamten bez chwili zawahania.

Pierwszy zmrużył oczy, na jego twarz wypełził paskudny uśmiešek.

– Staaa! – zawołał, podnosząc rękę. – Stać, mówię...! Prrr!

Wozak na koźle więziennej dwukółki, na której stała moja zdecydowanie zbyt mała klatka, ściągnął wodze Ofiarnika. Wielkie bydło zameczało, machnęło łapami i stanęło, jak wryte w miejscu; wraz z nim zatrzymał się cały pochód.

Daniel podszedł do klatki, nachylił się przez pręty.

– No cóż, Zekuś... Prosty lud przemówił. A ty najlepiej wiesz, że głos ludu to głos Boga... Otwierać, wyciągnąć go! I dajcie tu narzędzia. Zabawimy się trochę...

Wrzasnąłem z przerażenia, kiedy szczęknął rygiel i z przeciągłym jękiem otwarły się drzwiczki, zaś kilka par silnych rąk wyciągnęło mnie na zewnątrz.



– No i po co było pyskować, Zek? No po co? Przecież nie musiałeś być niegrzeczny.

– Ghrakhh... – Uniosłem głowę i spojrzałem na Pierwszego.

Uśmiechnął się. Wręcz rozpromienił, widząc moje cierpienie i nienawiść.

– Oszczędzaj siły, Zek, bo ci się nierówno szczęka zrośnie. Żeby nie umieć nawet porządnie ust otworzyć, aj-jaj... No dosłownie wszystko trzeba robić za ciebie.

Skrzywiłem się, poruszając poharatanymi policzkami tak, żeby oderwać narastający w ustach skrzep od kikuta języka i pozwolić mu wysunąć się przez to, co zostało z moich warg. Krwawy glut plasnął o drewnianą podłogę klatki, zsunął się po kałuży krzepnącej krwi.

Znajdowałem się na kłęczkach, zgięty wpół w koszmarnie niewygodnej pozycji, z ramionami przytwierdzonymi żelaznymi obręczami do kutej stalowej poprzeczki, umocowanej do dwóch przeciwległych ścian klatki. Zapięte wokół kostek pierścienie uniemożliwiały mi jakikolwiek ruch. Do obroży na szyi przytwierdzony był solidny, żelazny łańcuch, zaczepiony o wpuszczone w podłogę ucho.

O ile dałem radę się zorientować, zaprzężony w Ofiarnika wóz eskortowały dwa kontubernia Nawróconych pod sztandarem Pierwszego Legionu, zaś poza Pierwszym, było tutaj jeszcze co najmniej trzech Komorników – jego prywatnych przydupasów, tradycyjnie już noszących numery zamiast imion.

– No i co, wygodnie ci? – zarechotał Decimus, schylając się do mojego ruchomego więzienia. – Może jeszcze coś ci odciąć, żeby nie przeszkadzało? Tak ci się tam coś między nogami dynda...

– Lubisz chłopców, Decimus? – zapytał Danaiel.

Pozostali dwaj zaśmiali się, jak na komendę. Decimus od razu wyprostował się, odsunął o krok.

– Nie! Nie, ja tylko...

– To nie patrz się tam, gdzie nie wypada. A może mu zazdrościsz po prostu?

Decimus pokraśniał, zacisnął usta.

– Ja tylko...

– Owszem, ty zazwyczaj „tylko”. A szkoda, wiesz? Kiedyś myślałem, że stać cię na więcej... Bądź grzecznym chłopcem, przetruchtaj się na przód i powiedz setnikowi, że kierujemy się lewą odnogą traktu.

– Tyle zamieszania, tyle mobilizacji, a on się jak dziecko dał złapać! – zaśmiał się inny Komornik, idący obok Danaiela.

– Nie daj się zwieść, Quintus. To szczwany lis, a znamy się nie od wczoraj... Dobrze mówię, Zekuś? Tak?

Nawet nie chciało mi się już na niego patrzeć.

Wóz kołysał i podskakiwał na nierównościach drogi, a ja czułem każdy cholerny wybój.

Po raz kolejny spróbowałem puścić przez ręce Purpurę, aby przepalić kajdany i spróbować się uwolnić. Nic z tego: wypełnione złotem glyfy na nitach klatki tylko rozjarzyły się i zawibrowały ostrzegawczo, zerując cały potencjał syfonowanej mocy, a mnie od razu zaboląło za skroniami. Gdybym spróbował dać więcej, pewnie by się w końcu przepaliły, ale najpierw moja głowa wykonałaby rekonstrukcję eksperymentu z jajkiem i mikrofalówką.

Dlatego też nie wykonywałem gwałtownych ruchów, pozwalając, aby droga prowadziła mnie w sobie tylko wiadomym kierunku.



Wóz podskoczył na nierówności i szarpnął, eksplozja bólu w ustach od razu wyrwała mnie z objęć płytkiego, niespokojnego półsnu.

Delikatnie, żeby po raz kolejny nie urazić regenerujących się tkanek, poruszyłem kikutem odrastającego języka. No dobra, nie było już tak źle, bo byłem w stanie dotknąć zębów i czułem podniebienie... Powoli to szło, ale jeszcze trochę i będę mógł znów Pierwszemu napyskować, żeby ten miał pretekst do kolejnych tortur.

No tak, już wiedziałem, skąd to szarpnięcie. Byliśmy na wysokości jednej z przepraw przez Rzekę, prowadzącej szczytem połowicznie zrujnowanej, pokruszonej tamy, która kiedyś tworzyła w górnym biegu sztuczny zbiornik. Oczywiście, coś takiego nie mogło ująć uwagi Góry, więc jej Wysłannicy z właściwą sobie werwą i swadą dokonali aktu zniszczenia niekoszternej infrastruktury... To jest: rozwalili ją na tyle, żeby stała się bezużyteczna.

Teraz po jej szczycie ciągnęła się mocno improwizowana przeprawa. Wyrwy w żelbetowej konstrukcji połatano przy pomocy poukładanych byle jak desek, dziury zasypano kamieniami i piachem, a wystające pręty zbrojeniowe po prostu podgięto, żeby dało się przez nie przejść, albo od biedy i przejechać.

Nietrudno się domyślić, że przejazd nie należał do najmiłszych, szczególnie w charakterze więźnia.

Po lewej miałem bulgoczące, przelewające się gęstymi skrzepami wody. Jak okiem sięgnąć, na powierzchni spiętrzonego zbiornika utworzył się kożuch ściętej krwi, marszczący i zwijający warstwą nieczystości w miarę, jak leniwie toczący się nurt pchał Rzekę ku zaporze. Widziałem unoszące się w tej śmierdzącej brei trupy przemieszane ze śmieciami, od czasu do czasu błysnęła w słońcu szklana butelka albo plastikowe opakowanie.

Po prawej zaś była o wiele węższa i płytsza, za to położona zdecydowanie niżej wstęga spienionej, pokrytej wzburzonej pianą pulpy. Większość śluz była dawno zablokowana i zakłopsowana przez niesione nurtem odpadki, więc nawet z moich obserwacji wynikało, że prędzej czy później zapora musiała albo ustąpić przed naporem wody, albo wszystko to przeleje się górą, co w sumie było równoznaczne... Jednak wyglądało na to, że ta chwila nie miała nastąpić jeszcze teraz.

Na trzech główkach, wcześniej zapewne mieszczących pomieszczenia techniczne do sterowania przegrodami śluz, stały już prymitywne, byle jak sklecone z drewna i kamieni pomniki, bardziej przypominające pogańskie idole. Widziałem tam mocno stylizowanego Jezusa, był też jakiś anioł, obok niego coś na kształt gołębia przyspawanego do wirnika śmigłowca.

– Oplata! Dobrowolna oplata za przeprawę! – dobiegło mnie wołanie. – Zbiórka na pomnik Najświętszej Paniienki Niemiłosiernej...! Szekel od głowy, dobrzy ludzie! Dobrowolna oplata...!

W połowie mostu rozłożyło się coś na kształt semi-permanentnego obozowiska połączonego z warsztatem. Kręciło się tam kilku ludzi, słychać było stukot młotków i zgrzyt hebli. Najwyraźniej powstawała tam kolejna figura, mająca przyozdobić przeprawę, zaś jej twórcy robili coś na kształt wczesnej zbiórki crowdfundingowej.

– Szekel od głowy... Płaćcie, dobrzy ludzie, na zbożny cel!

Nasz konwój nawet nie zwolnił, żaden z Komorników nie zaszczyił nagabywacza chociażby spojrzeniem. Stojący pośrodku traktu dwaj osiłkowie wymienili się spojrzeniami, ale grzecznie odstępili na bok, przepuszczając maszerujących wprost na nich Nawróconych.

Praca na chwilę ustała, rzemieślnicy oderwali się od swojej roboty, śledząc nasze przejście wzrokiem. Oczywiście, spojrzenia dryfowały ku mnie. W końcu byłem tutaj główną atrakcją, jak dzikus w cyrku.

– Bluźnierca...! – wrzasnęła jakaś kobieta. – Grzesznik, bałwochwalca... Na śmierć go!

– Na śmierć! – podchwycili ochoczo ludzie. – Ukamienować, ukrzyżować! Precz z grzesznymi! Ziemia dla czystych i wybranych...!

W moją stronę poleciały kamienie, kawałki żwiru i grudki pokruszonego betonu, brzęczące o pręty klatki. Zacisnąłem tylko powieki, nie mogąc nawet skulić się, ani

zasłonić rękami... Usłyszałem jak woźnica woła coś chrapliwie, któryś z eskortujących nas Komorników odpowiedział mu w podobnym tonie.

Ale najbardziej ubódł mnie w tym wszystkim śmiech Danaiela. Radosny, perlisty, niemalże czysty. Jak u człowieka nieskalanego grzechem ani złą myślą, który po prostu zobaczył coś naprawdę, ale to naprawdę zabawnego.

Ostatni kamień uderzył mnie boleśnie w kark, jeszcze kilka stuknęło o deski wozu. Gdy tylko przejechaliśmy, za nami wybuchła wrzawa i zamieszanie: to wcześniej czekający na przeprawę podróżni próbowali wcisnąć się na krzywy ryj w kilwater konwoju. Oczywiście samozwańczy poborcy półlegalnego myta, bardzo spolegliwi i pokojowi wobec uzbrojonej i licznej ekipy, teraz musieli pokazać, że nie stoją tam na darmo... Ale tego już nie widziałem, ustawiony w mojej klatce przodem do kierunku jazdy.

– Za mostem w drugą na lewo, i do kwestury! – zawołał Danaiel. – Nie będziemy się przecież tłuc piechotą, jak byle kmioty!

– Szkoda – mruknął jeden z Komorników do idącej obok towarzyszki. – Może by się trafiła okazja zapolować na jakąś grubszą zwierzynę. Dość już mam tego odławiania szmaciarzy...

– Co, życie ci niemiłe, Kajfasz? – prychnęła tamta.

– No co? Przecież wszyscy wiedzą, że siedzą tam Bałwochwalczy, a za nich można dostać niezły bonus. Podobno się Laecjusz tak ze swoim Aniołem dogadał, że od każdej setki tamtych zgarniał jeden talent... Czysty zysk!

– Aha, jasne, już to widzę. A ten talent to wypluwał, czy połykał?

– Nie chcesz, nie wierz – obraził się Komornik.

Przetoczyliśmy się przez zaporę, nie dojeżdżając do resztek ronda i ruin składu budowlanego skręciliśmy w gruntówkę. Na jej końcu rozłożyły się wzniesione z drewna i kamienia, otoczone niewysoką palisadą pomieszczenia jednej z niezliczonych kwstur – placówek terenowych Góry, mających służyć za bazy wypadowe i zaopatrzeniowe dla Legionów, przemierzających coraz bardziej jałowe pustkowie Ziemi.

Wjechaliśmy na podwórzec, konwój stanął. Byłem potężnie odwodniony i wycieńczony, ledwo utrzymywałem kontakt z rzeczywistością, więc wszystko zdawało się toczyć nieco obok. Albo inaczej: to ja byłem obok wszystkiego.

Danaiel posłał któregoś ze swoich przydupasów do biura, sam podszedł do mojej klatki i oparł się o pręty, patrząc na mnie z mieszaniną politowania i rozbawienia.

– No co, Zekus? Przepłyniemy się razem, jak za dawnych lat? – zagadnął, jak gdyby licząc, że będę miał siły albo ochotę, żeby mu odpowiedzieć. – Tak, tak, przepłyniemy się... Ejże, sławny komorniczek pan Kmicic, a Carter ma go w ręku... i Carter mu boczków przypiecze.

– Że co, kurwa? – Podniosłem głowę, autentycznie zaskoczony.

Danaiel patrzył na mnie absolutnie dzikim wzrokiem, jak gdyby zauroczony.

– A tak... boczków przypiecze! – powtórzył.

Po czym otrząsnął się, obejrzał w lewo, w prawo. Zmarszczył brwi, jak gdyby próbując przypomnieć sobie, o czym myślał. Na chwilę zawiesił na mnie wzrok, wykrzywił się pogardliwym grymasem, obrócił na pięcie i odszedł.

Z kwestury wyłonił się wysłany przez niego wcześniej Komornik, za nim wybiegł potrząsający jakimś dokumentami urzędnik. Obaj podeszli do Danaiela, urzędnik zaczął głośować, machać rękami i robić ogólną dramę.

W końcu przetoczyli wóz ku nabrzeżu, ściągnęli mnie wraz z klatką na rampę załadunkową, a stamtąd częściowo zepchnęli, częściowo wciągnęli na podkład prymitywnej, wiosłowej barki towarowej.

Komornicy i jedno kontubernium Nawróconych załadowali się na pokład. Wioślarze zajęli swoje miejsca. Odcumowaliśmy, odbiliśmy od brzegu.

Pchana powolnymi, miarowymi ruchami wiosel, łódź zaczęła mozolnie piąć się w górę gęstego, śmierdzącego nurtu Rzeki.

A ja na poły kłęczałem, na poły wisiałem w mojej klatce, znajdując się w stanie kompletnego stuporu poznawczego.

Bo przecież Carter nie mógł znać tego cytatu. Nie miał prawa go kojarzyć. Nie było szans, żeby odruchowo, bez zastanawiania się użył go w tak bardzo nacechowanej znaczeniowo sytuacji.

Natomiast był to cytat, który doskonale znałem i kojarzyłem ja.

Barka kiwała się i kołysała, wiosła wynurzały się z brązowordzawej brei i opadały, chowając w plugawy nurt. Ludzie rozmawiali o czymś, któryś z Komorników przewiązywał rzemienie mocujące pochwę do pasa naramiennego. Gdyby nie moja partykularna sytuacja i ogólne okoliczności przyrody w postaci przeoranego przez Apokalipsę świata, to sceneria mogłaby uchodzić wręcz za sielankową.

Umęczone, pozbawione dopływu świeżej Purpury ciało balansowało na granicy upadku energetycznego. Zamiast odbierać i analizować to, co działo się wokół mnie, umysł uczeplił się tej jednej myśli i obracał ją to tak, to siak.

Skąd on mógł znać ten tekst?!

I nagle, kiedy zacząć się nad tym zastanawiać, to widziałem cały szereg podobnych przypadków. Drobnych, pozornie nic nie znaczących epizodów. Przebłysków, kiedy coś, co powinno spokojnie sobie siedzieć w mojej głowie, wyskakiwało z niej do świata zewnętrznego.

Bo przecież tam, jeszcze w Dziurze, gdy piąłem się po pionowej ścianie, przemknęła mi taka myśl, że mocno słabe by było, gdybym wylazł i okazałoby się, że już na mnie czekają.

Podczas szturmu na Uniwersytet zastanowiłem się przez chwilę, czy Jonasz tym razem przeżyje, czy podobnie jak poprzednio zginie w trakcie moich przygód.

Gotów byłem się założyć, że w trakcie pierwszej z nim rozmowy pomyślałem o ludziach, rzekomo porywanych przez kosmitów.

Jeszcze sporo wcześniej, dopiero rozpoczynając moją wędrówkę ku północy, byłem ciekaw, co też może porabiać Melekesz... I przelotnie pomyślałem o nim w Mieście na Bagnach.

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym więcej znajdowałem przykładów.

I tym bardziej zdejmowało mnie przerażenie.

– Co, co tak gały wybałuszasz?! – Jeden z Komorników załomotał otwartą dłonią w pręty mojej klatki. – Pierwszy, zobacz czy z nim w porządku, bo coś mi dziwnie wygląda...

– Nic mu nie będzie – odezwał się Danaiel zza moich pleców.

– No nie wiem... Ej, pilnujcie tam kursu, do cholery! Przecież ja stąd mieliznę widzę! Żywiej tam na lewej burcie, bez ociągania!

Wioślarze skorygowali kurs, stojący na dziobie pomocnik zaczął dodatkowo odpychać naszą barkę długim drągiem od wysepki, utworzonej z odpadków pośrodku nurtu Rzeki. Spod warstwy szmat, kości, gałęzi i szlamu sterczała lufa czołgu, widać było też kawałek rozprutej wieżyczki z rdzewiejącym karabinem maszynowym.

Wyobraziłem sobie, jak wieżyczka porusza się, przekręca i ustawia lufą wprost na Pierwszego. Bam! I zostaje po nim tylko obłok dymu i rozpylonej w powietrzu krwi.

Jednak nic takiego się nie stało.

– Dajcie bardziej do lewej! Musimy się zmieścić w przewężeniu!

Nurt przyspieszył wyraźnie, wioslarze pracowali coraz intensywniej. Pod powierzchnią nurtu Rzeki musiały zalegać tutaj zwaly złomu, widziałem wystające ponad ohydną toń wraki samochodów i resztki pogiętych konstrukcji. Na części z nich wznosiły się prymitywne kapliczki, pewnie stawiane tutaj przez podróżnych jako ostrzeżenie dla innych. Leżący wzdłuż koryta słup wysokiego napięcia był cały poobwieszany prymitywnymi wotami: ręce, nogi, oczy, serca... Pęczki piór, naszyjniki z kamieni i szkiełek, kosmyki i warkoczki odciętych włosów.

Po lewej stronie mieliśmy pustą równinę, na której od czasu do czasu niczym odległe pasma górskie wznosiły się nierówne linie ruin, pozostałych po spalonych miastach i miasteczkach. Po prawej z kolei, na nieco wyższym brzegu, ciągnęła się czarna połać umierającego lasu w kolorach rdzy, krwi i wędnącej żółci.

Sceneria rodem z Dzikiego Zachodu normalnie. Ech, ile ja bym dał, żeby siedzieć teraz w swoim starym, lekko zdezelowanym, powycieranym fotelu z piwkiem w dłoni, oglądając niedzielny popołudniowy spaghetti western! Stara by coś tam kwękała, że trzeba trawę na działce u jej rodziców skosić, albo dla odmiany podlać, a ja bym udawał, że nie słyszę. Mała by siedziała u siebie, bawiąc się lalkami czy innymi pokemonami... A ja bym siedział i się tępo gapił, jak biali odkrywcy płyną łodzią w górę nieznanej rzeki, wypatrując zasadzki czerwonoskórych.

Zamiast tego w pysku mi zaschło, siedziałem w klatce, jak zwierzę, a moje perspektywy wyglądały raczej kijowo.

Otrząsnąłem się, próbując zrzucić majaki i słabość. No już, Zek, weź się w garść! Spróbowałem myślenia życzeniowego jeszcze raz, tym razem koncentrując uwagę na najbliższym mnie załogancie, raczącym się właśnie czymś z sakwy.

Zmrużyłem oczy, wpatrując się w niego z natężeniem. Jadł niespiesznie, rytmicznie poruszając szczęką i popijając lekko już czerstwy chleb małymi łykami wina.

– Zakrztuś się... – zawarczałem, czując, jak boli mnie nie do końca wygojony język. – No zakrztuś... Chcę, żebyś się zakrztuśił!

– Ej, słuchaj, Laecjusz! – odezwał się do niego ten z dziobu. – A co ty mówiłeś, że na miejsku ktoś na ciebie czeka? Ta twoja baba, tak?

– Moja, moja... – przedrzeźnił go niechętnie zajadający chleb. – Mówiłem, że to tylko przyjaciółka.

– Zakrztuś się...

– Aha, jasne! Przyjaźń damsko-męska! – zarżał operator tyczki.

– Mówię ci przecież, no! Ona nie jest z tych, co... ghrakh!

Nagle poczerwieniał, wybałuszył oczy. Złapał się za gardło, wypuścił sakwę z chlebem i otworzył szeroko usta, jak gdyby próbując bezskutecznie nabrać powietrza.

Zakrztuśił się!

– Ghy, ykhy... Hry, hry! – zacharczał, podnosząc się z ławki. Wyciągnął rękę do towarzysza, też obserwującego go z zaskoczonym przerażeniem. – Eeeghrykhy...!

– Laecjusz! – zawołał jego sąsiad od wiosła.

Zaś on osunął się na kolana, wciąż kaszląc, charcząc i próbując zaczerpnąć tchu. Ktoś inny zerwał się, zawołał coś, czego nie zrozumiałem... Mężczyzna upadł na dno łodzi, przewrócił na bok i wierzył nogami.

Z jego gardła sterczała opierzona czarnymi lotkami strzała.

Druga świsnęła i wbiła się w drewnianą ławkę, trzecia przeleciała mi przed samym nosem, zrykoszetowała i zagrzechotała o pręty klatki. Następna ugodziła w pierś jednego z załogantów, który krzyknął głośno, dramatycznie, rozrzucił ręce i na znak fajtnął za burtę.

– Zasadzka! – krzyknął ktoś przytomnie, ale cokolwiek późno.

Błysnęła i zamigotała Purpura, gdy dwaj z Komorników postawili tarcze energetyczne, starając się osłonić łódź przed ostrzałem. Od strony wyspy, koło której właśnie przepływalimy, rozległ się mrozący krew w żyłach wrzask, a zaraz za nim poleciały w naszą stronę oszczepty i miotane z proc kamienie.

Ktoś krzyknął z bólu i upadł, trzymając się za rozwaloną głowę.

Coś uderzyło mnie boleśnie w łopatkę.

– Uwaga, idą od lewej... Do broni!

– Trzymać tarcze! Decimus, Tertius, szykować uderzeniowe! Wiosła, ruchy, ruchy! – rozległ się władczy głos Danaielea.

– Faryzeusz...!

– ...Co? – wyrwało mi się mimo woli.

Spomiędzy wysepek sunęły ku nam trzy łódki, wypełnione wyjącmi, wymachującymi bronią ludźmi pod sztandarami, których symbolika niepokojąco przypominała mi oznaczenia widziane w Serenissimie... Zaś za nimi właśnie podnosił się na pokrytych chitynowym pancerzem odnóżach, uzbrojony w potężne cztery pary szczyptic, największy Skorpion, jakiego w życiu widziałem.

No dobra, to nie był Skorpion. Nie wiem, co to było, nie miałem pojęcia... Wyglądało jakby ktoś wziął kilka różnej wielkości stawonogów, rozłożył je na części i posklejał superklejem tak, żeby efekt był jak najbardziej groteskowy i przerażający, a potem umieścił na nim ludzika, siedzącego w przytroczonej do grzbietu potwora lektyce.

Lektyce aż ciężkiej od krzyży, chorągwi i złożonych łańcuchów. Takiej z kolcami, na które ponabijano odcięte głowy pokonanych wrogów. Z doczepionymi pierścieniami, na których kołysały się kolejne łańcuchy, pasy zdartej skóry z wyciętymi inskrypcjami i zdobyczna biżuteria.

Oczywiście, do kilku łańcuchów dowiązane były Cherubinki, a nad lektyką z ludzikiem unosił się łopoczący Pastuch.

„Ludzikiem”, heh... Nawet stąd widziałem wielkiego, umięśnionego, brzuchatego, półnagiego byka o smolście czarnej brodzie, zaplecionej w kilkanaście sięgających mu aż do pępka warkoczy. Zbrojnego w ogromny topór o dwóch ostrzach, jarzących się na krawędziach ogniem Purpury.

Skorpion podniósł się na całą wysokość, machnął szczypticami i zaryczał – mimo że byłem niemalże pewien, iż stawonogi nie posiadały strun głosowych pozwalających wydawać im takie dźwięki, a w każdym razie ja ich w takowe nie wyposażylem! – po czym skoczył ku nam, rozbryzgując na wszystkie strony maź Rzeki.

Zaś Faryzeusz podniósł się w siodle i wskazując na nas toporem zadudnił:

– Naprzód, moje wierne dzieci! Ku chwale naszego Pana, śmierć sługom Falszywego Proroka...!

– Ognia! – krzyknął jednocześnie Danaiel.

Ustawiona na dziobie naszej barki balista szarpnęła się i jęknęła, posyłając okuty spizem oszczep prosto w najbliższą łódź, lada chwila szykującą się do abordażu.

Dzikusy w drugiej zawyli wściekle, obrzucając nasz pokład kolejną porcją dzirytywów.

Na najbliższej od nas wysepce zaroilo się od napastników, wybiegających z zarośli i rzucających się do Rzeki, aby dostać się do nas wpław.

Stojący na rufie Komornik złożył ręce i puścił kulę ognia, która pomknęła ku Skorpionowi z Faryzeuszem na grzbiecie.

A ja byłem, kurwa, zamknięty w jebanej klatce!

Łódź bujnęła się niepokojąco, kiedy pierwsi napastnicy uczepili się burt, próbując za wszelką cenę wciągnąć się na pokład. Komornicy pospołu z załogantami rąbali ich, cięli i kłuli bez litości, miotając się z jednej na drugą stronę, przez co i tak niepokojąco już rozkołysana, chwilowo pozbawiona sternika barka zaczęła stawać bokiem do nurtu.

– Za tobą...! – krzyknąłem odruchowo do Decimusa, widząc zamierzającego się na niego człowieka z młotem.

Niepotrzebnie krzyknąłem, bo on zawahał się o ułamek sekundy i zamiast obrócić się, spojrzął na mnie. No cóż. Mam nadzieję, że nie byłem aż tak bardzo rozczarowującym ostatnim widokiem.

– Molte volte...! – zawołała kobieta, wyrzucając przed siebie lewą rękę. – Apage!

Błysnęło purpurowe światło, w migoczącym powietrzu przed nią zmaterializował się półtorametrowej średnicy płonący hakokrzyż, który zawirował z wyciem i niczym oderwany od piasty wirnik śmigłowca bojowego pomknął wzdłuż burty, kosząc już gramolących się na nią ludzi Faryzeusza, niczym kombajn wjeżdżający w instagramerki robiąc sobie selfiki w łanie dojrzałego zboża.

Tylko że... No właśnie, tutaj dochodziliśmy do kwestii tego, co nazywa się powszechnie „wyobraźnią przestrzenną” i czego rzekomo pozbawione były osoby płci roboczo określanej jako „żeńska”.

Oczywiście, przytoczony powyżej pogląd był zupełnie nieuzasadniony, bezsprzecznie krzywdzący i stanowiący niepotrzebne uogólnienie, wyłącznie przyczyniające się do utwierdzenia szeregu wywodzących się ze zdezaktualizowanego systemu patriarchalnego ucisku stereotypów, utrudniających rozwój naszego społeczeństwa w jego bardziej dojrzałą formę.

Co nie zmienialiło fakt, że koleżanka tym czarem przeorała całą burtę, zamieniając deski w płonące trociny.

To z kolei oznaczało, że skutecznie pozbawiła nas dobrodziejstw płynących z implikacji praktycznych prawa Archimedesa, jako że nagle z naczynia zamkniętego posiadającego określoną wyporność zamieniliśmy się w naczynie nie tylko otwarte, ale w dodatku szybko napełniające się cieczą.

– Łahaaaha...! – wrzasnąłem, kiedy moja klatka zaczęła się przechylać.

Tyle zdążyłem zrobić, nim żelazna konstrukcja bujnęła się i poleciała na bok, a ja razem z nią – wprost w rdzawo-brązowy nurt wypełnionej krwią Rzeki.

Nie mam pojęcia, co stało się z łodzią, z resztą załogi, z żołnierzami Legionu ani napastnikami. Mój świat w tamtym momencie ograniczył się do dwóch z groszem metrów sześciennych powietrza, zamkniętego w ażurowej kostce żelaznej klatki... Którego ubywało w przerażającym tempie, w miarę, jak moje prywatne więzienie zapadało się w gęstą breję!

– Pomocy, do kurwy...! – wydarłem się desperacko, kiedy moja prawa ręka, prawa noga i spora część korpusu zaczęły tonąć. – Niech mi ktoś...!

Na tle pustego, jasnoniebieskiego nieba przesunął się cień ogromnej sylwetki, błysnęło purpurowe światło, rozległ się trzask i wściekły ryk – a potem ogromna, obleczona w chitynowy pancerz łapa, noga czy inne odnóże uderzyło o klatkę, wyrwało ją z mułu i potoczyło po ładzie.

W tym momencie dowiedziałem się, jak czuje się kot zamknięty w pralce wstawionej na wirowanie. Chyba wrzasnąłem – na pewno wrzasnąłem – raz, a potem drugi, kiedy klatka wylądowała na ziemi, pękając jednocześnie z jękiem wzdłuż jednego boku i zostawiając mnie nadal unieruchomionego, ale tym razem leżącego na plecach i patrzącego na wgięte do środka drzwiczki.

Ktoś oparł się o kraty, odskoczył na bok.

Potem ktoś inny – a może ten sam? – złapał się pretów, po czym brocząc krwią i charcząc zsunął po nich na ziemię.

Coś uderzyło w metal, aż zarezonowała mi potylicą.

Tak, gdzieś wokół mnie toczył się bój. Ryczał Skorpion, wybuchały płomienie, bili się ludzie i nie-ludzie. Na pewno działo się dużo, tylko że wszystko to pozostawało poza

moim polem widzenia.

A co najgorsze, klatka nie przestawała zapadać się w grząskiej powierzchni wysepki.

Wiedziałem, czułem, że od paskudnej śmierci przez zachłyśnięcie i udławienie się mulistą, krwio pochodną breją dzieliły mnie w najlepszym razie minuty.

Zaś najgorsze było to, że nie miałem pojęcia, gdzie się odrodzę.

Nie miałem, bo za cholere nie mogłem przypomnieć sobie, gdzie schowałem moją niebieską torbę. Czy zostawiłem ją w Mieście jeszcze przed szturmem? Czy może skitrałem gdzieś przed Dziurą? Albo w ogóle zabrałem ze sobą, i teraz mieli ją ludzie Pierwszego?

Błoto sięgnęło mi już uszu, kiedy zobaczyłem – usłyszeć już nie dałem rady – jak cięcie płonącym gladiusem odcina górną część klatki.

Breja zakryła mi oczy i sięgnęła nasady nosa.

Wdech, wydech i przytrzymać. Jak dotrze do nozdrzy, to biorę mocny wdech... Zakrzuszę się, jak dobrze pójdzie to porzygam. Dwie, trzy minuty cierpienia i będzie po bólu.

Poczułem, jak błoto łaskocze mnie po włosach w nosie.

A potem ktoś chwycił mnie za kark i pociągnął ku górze, jednocześnie szarpnięciem uwolnił lewą rękę. Na chwilę zawisłem w powietrzu, ale od razu odruchowo przetarłem wolną dłonią twarz.

I spojrzałem w twarz samego Danaiela, uderzającego właśnie gladiusem w okolice mojej prawej dłoni.

Nie zdążyłem się przerazić, kiedy ostrze rozcięło kajdany, które opadły z brzękiem.

– Zek, łap swój sprzęt i ratuj się! – wyrzucił z siebie na jednym oddechu.

A potem, stawiając przed sobą tarczę energetyczną, skoczył w bok i zniknął mi z widoku.

Oszołomiony, słaby jak dziecko, nie do końca kojarzący co się dzieje, z uszami i oczami pełnymi szlamu, dałem radę już za drugim podejściem wykaraskać się z rozerżniętej, otwartej niczym ostrzyga klatki i wygramolić nieco wyżej na utworzoną ze śmieci wysepkę na mulistej mieliźnie przy brzegu Rzeki.

Wokoło mnie szalał chaos. Widziałem walczących ze sobą ludzi, miotającego się giga-Skorpiona, śmigające bez ładu i składu magiczne pociski... To był obłęd, czyste szaleństwo.

W dodatku miałem wrażenie, że walczą tu nie dwie, a trzy strony. Zarówno Legionistów i Komorników, jak i ludzi Faryzeusza osaczali w tej chwili ubrani w skóry, wytatuowani i wymalowani ludzie, atakujący istnymi falami od strony moczarów w zatoczce...

...A obok mnie, dosłownie na wyciągnięcie ręki, leżało w bloku zawiniątko, z którego wystawała rękojeść mojego gladiusa.

Zazwyczaj nie myślałem zbyt dużo. Czasami myślałem nawet mało. Tym razem jednak przyznaję, że nie pomyślałem wcale.

Dlatego też pozwolę sobie nie rozwodzić się nad motywami swojej decyzji.

Dość, że chwyciłem zawiniątko pod pachę, po czym zataczając się i grzęznąc po kolana w szlamie pobrnąłem jak najkrótszą drogą do brzegu, zostawiając to wszystko za sobą.



Obejrzałem się tylko raz, wspinając się na wysoki, porośnięty umierającymi drzewami brzeg; wystarczyło aż nadto.

Przewrócona na bok łódź tkwiła na mieliźnie, zanurzona w przeważającej części. Balista na dziobie celowała w puste niebo, połamane wiosła sterczały ku górze.

Nieopodal niej, również na boku, leżał giga-Skorpion, usiłujący podnieść się na potrzaskanych odnóżach; widać było, że bestia ciągnie już ostatkiem sił, a do jej malusieńkiego mózdzku – o ile jako Wysłannik takowy posiada! – jeszcze nie dotarło, że ciało utraciło zdolność wykonywania powierzonych mu funkcji.

Zwisająca z grzbietu potwora lekytka była pusta, tylko jeden Cherubinek miotał się i szarpał na swoim łańcuchu, zawodząc przy tym wniebogłosy.

Dokoła, niczym porozrzucane po podłodze fragmenty ubrań, zalegały ciała. Żołnierze Legionu ledwie wystawiali ponad powierzchnię brei, obciążeni pancerzami; złej zbrojni ludzie Faryzeusza dryfowali swobodniej, jedni na plecach, inni twarzą w dół... Część leżała na mieliżnach i wysepkach w malowniczych pozach, wciąż ściskając w martwych rękach broń.

W jednym miejscu widziałem wciąż dymiący obrys ciała, z którego unosiły się czarnymi płatami strzępy sadzy: tam zginął któryś z Komorników. Jednak czy śmiercią zwykłą, po której re-Kreuje się w miejscu podpisania Kontraktu, czy też ostateczną i nieodwołalną, tego nie byłem w stanie stwierdzić.

Świeża krew rozlewała się kałużami, łączyła i mieszała ze starą, tworząc strugi nowych odcieni w ciemnym nurcie Rzeki.

Natomiast nie wszystko było tak statycznie i pejzażowo spokojne, bynajmniej. Walka nadal wrzała, widziałem jak kilku Legionistów zgromadzonych wokół kobiety – tej samej, która zatopiła łódź – odpiera wściekle ataki dobrego tuzina odzianych w skóry i szmaty dzikusów.

Ona sama niezłe sobie radziła, przyznaję, i aż uśmiechnąłem się z uznaniem, kiedy niemalże jednakową kombinacją uniku, zwodu i cięcia położyła dwóch przeciwników z rzędu... Ot, co znaczy dobre wyszkolenie i solidne przygotowanie bojowe! Żadna sztuka i talent nie zastąpi statystycznej przewagi rzemiosła.

Nie widziałem nigdzie ani Faryzeusza, ani Pierwszego.

Natomiast scenariusz był aż nadto oczywisty: my płynęliśmy tędy, ludzie Faryzeusza czekali na nas w zasadzce... Zaś wokół nich domknęli kontr-zasadzkę dzicy z lasu. I najpierw odczekali, jak potoczy się starcie, a potem uderzyli na zajęte walką strony.

Nie miałem pojęcia kim byli, ale też nie zamierzałem się dowiadywać. Byłem ledwo żywy, umęczony, oszołomiony i nagi. W jednej ręce miałem gladius, na drugą nasadziłem kastet... Tyle znalazłem w zawiniątku, pełniącym w metodologii Korpusu Komorniczego funkcję torby inkasenckiej do przechowywania rzeczy zarekwirowanych.

I miałem naprawdę zamiar, by jak najszybciej się stąd oddalić.

– Azi... – wycharczałem, wdrapując się na szczyt skarpy. – Azrael, skurwielu... Gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję?

Anioł zmaterializował się na pniu zwalonego drzewa dokładnie przede mną. Miałem zamiar właśnie się na ten pień wspiąć, więc teraz straciłem rytm, bujnąłem się w tył i wywalilem, jak długi, gołą dupą prosto na szyszki i kamienie.

Zajęczałem, przekręcając się na bok i gramoląc na czworaki. Podniosłem głowę i obdarzyłem pierzastego bydłaka wściekłym spojrzeniem. On oczywiście nawet nie zrozumiał o co chodzi, uśmiechając się do mnie tym samym, dyżurnym grymasem.

– Oto jestem, Ezekielu – powiedział śpiewnie.

Doczołgałem się do pnia, oparłem o niego plecami, dysząc ciężko. Chyba po raz pierwszy w życiu czułem się bezpieczniej, wiedząc, że ten pierzasty dupek jest w pobliżu i dosłownie siedzi mi nad ramieniem.

Przymknąłem oczy, próbując zebrać myśli.

– Azrael... Potrzebuję ubrania. Porządnego, solidnego zestawu.

– Och, naturalnie, Ezekielu. Już się robi. Czy jeszcze coś?

– Mapa terenu. I racje żywnościowe, bo mi zaraz żołądek do kręgosłupa przyrośnie. I jeszcze rozkręć mi zawór budżetowania, przecież słaby jestem, jak dziecko.

– Zrobione.

Pooddychałem sobie chwilę z zamkniętymi oczami, czując, jak organizm zaczyna się uspokajać. Uuuff... O tak, tak było zdecydowanie lepiej. Serce zwolniło, zaczęło bić miarowym rytmem, płonące mięśnie najpierw przyjemnie zamrowiły, a potem wróciły do normalnego stanu spoczynkowego.

– ...Dzięki, Azi. No dobra, dawaj. – Wyciągnąłem rękę.

Anioł spojrział na moją dłoń. Nachylił się i niemalże puknął w nią nosem, jak papuga szukająca ziarna. Obejrzał ją z jednej, z drugiej strony.

– Co takiego, Ezekielu?

– Nie rźnij głupa, Azi. Ubrania, sprzęt, żarcie... Dawaj, bo muszę się stąd zbierać. I mapa, nie zapomnij o mapie!

– Wszystko jest przygotowane.

– To świetnie, więc dawaj – warknąłem, czując, że zaczynam się irytować.

– Oczywiście, Ezekielu. Zakontraktowane wyposażenie zostało wydzielone i teraz czeka na podjęcie.

– O kurwa... – warknąłem, wstając. – Czyli mam sam wstać i wziąć. Dobra, super, dziękuję bardzo. Jak zwykle, jesteś niesamowicie pomocny.

– Staram się – uśmiechnął się Anioł.

Zajrzałem pod pień, za pień. Przelazłem przez niego, sprawdziłem z tyłu. Na jednym końcu, na drugim. Azrael śledził moje ruchy z tą uprzejmą, lekko nieobecną i dziecinnie zafascynowaną miną.

W końcu wróciłem do niego, rozłożyłem ręce i wybuchnąłem:

– Nie ma!

– Och, ależ to niemożliwe, Ezekielu. Niech sprawdzę... Wszystko jest, zgodnie z zamówieniem.

– I niby gdzie? Bo jeśli powiesz mi, że...

– Zakontraktowane wyposażenie zostało wydzielone i teraz czeka na podjęcie, tak jak mówiłem. Podjęcie w punkcie ustalonym.

– Czyli...?

– Czyli w miejscu podpisania przez ciebie Kontraktu. Nic się w tym zakresie nie zmieniło, Ezekielu.

– Kurrr... – zmełłem przekleństwo, zaciskając dłoń na rękojeści gladiusa. – Dobrze, spoko. Dziękuję ci bardzo, Azi. Super. A może powiesz mi chociaż, gdzie znajduje się to miejsce?

– Naturalnie. Zgodnie ze sformułowaniem twojego Kontraktu, Ezekielu, Re-Kreacja odbywać będzie się, cytuję, na niebieskiej torbie z Ikei.

– Która znajduje się...?

– W punkcie ustalonym jako miejsce podpisania Kontraktu.

– Którym jest...?

– Niebieska torba z Ikei – uśmiechnął się Anioł.

Zamrugąłem. Nie powiedziałem nic, ominąłem tylko bokiem pień i siedzącego na nim Anioła, kierując się pomiędzy martwe drzewa umierającego lasu.

Chuj z nim, chuj z tym wszystkim. Dorosły jestem, sikam na stojąco, mam broń.
Dam sobie przecież radę.



„Dam sobie radę”.

Zassałem z sykiem powietrze, wyciągając ze stopy kolejną suchą jak pieprz, twardą jak kamień i ostrą jak jasna cholera drzazgę. Chodzenie nago i na bosaka przez martwy las nie mogło być i nie było dobrym pomysłem... A nie zdążyłem jeszcze nawet szczególnie się w niego zagłębić.

Byłem zmęczony, obolały i coraz bardziej zły. Przypominałem sobie, dlaczego nie lubiłem jeździć nad nasze rodzime, ojczyzniane, patriotyczne morze ani rzekomo piękne, malownicze i w ogóle wyjątkowe jeziora: bo wszędzie tam, żeby dojść do wody, trzeba było iść w kąpielówkach i klapkach przez las. A ten las próbował wtedy człowiekowi to maksymalnie uprzykrzyć.

Dokładnie to działa się teraz, mimo że zestaw kąpielówki plus klapki uznałbym w mojej obecnej sytuacji za luksus.

Owszem, regeneracja robiła swoje, więc nie działa mi się trwała krzywda, ale przyjemne to też nie było. Dlatego w końcu podjąłem jedyną słuszną decyzję: odczekam trochę i zawrócę, żeby ogołocić sobie jakiegoś trupa z przyrodziewku.

Siadłem sobie pod drzewem i przymknąłem powieki, próbując nie myśleć o wbijających mi się w tyłek sosnowych igłach i uwierającej w prawy póldupek szyszce. Posiedzę sobie tutaj trochę, żeby tamci na pewno się wyróżnili. Tak mniej więcej...

...O właśnie tyle.

– Ciuch–ciuch, jadę wam wszystkim wpierdolić! – zawarczałem, podnosząc się z trudem i ruszając w drogę powrotną ku Rzece.

Nie było łatwiej, bo nadal szedłem po gałęziach, kamieniach i szyszkach. Natomiast podobno droga powrotna zawsze jest krótsza... Więc i tutaj, miałem nadzieję, miało być podobnie.

Po raz pierwszy odkąd wyszedłem z Dziury miałem chwilę, żeby spokojnie pomyśleć. Dlatego też zacząłem ostrożnie, żeby nie przesilić odzwyczajonego umysłu, od prostego pytania:

– Gdzie ja w ogóle jestem? – warknąłem pod nosem.

Ruszyliśmy spod Zapory w górę Rzeki, ale nie minęliśmy jeszcze Klatki. Czyli daleko nie zdążyliśmy upłynąć... A pamiętałem z moich podróży, że faktycznie ciągnęły się tutaj, na lewym brzegu, całe kilometry lasów, stanowiących niegdyś jeden z pierdylionia parków krajobrazowych.

A ja potrzebowałem nie przyrody, tylko cywilizacji. Dlatego też najrozsądniej będzie się w coś obuć, przydziać i dojść do resztek któregokolwiek z miast i miasteczek, żeby stamtąd zaplanować dalsze kroki.

No właśnie: dalsze kroki.

Zgodnie z tym, co zdążył mi powiedzieć Jonasz, dotarłem do Dziury. Odbylem szybko, wielce pouczającą i zupełnie absurdalną, bardziej podobną do onirycznej wizji rodem z koszmaru wycieczkę na samo jej dno. Udało mi się nawet wrócić i jeszcze nie oszaleć, chociaż czułem, że podążenie śladem Jonasza w kierunku radosnego obłędu mogłoby być niepokojąco proste i przyjemne.

Ale co mi to wszystko dało? Nie wiem. Tam, na dnie kamiennej studni, znalazłem graniasty postument i wycięte w skale kręgi, ozdobione pierścieniami symboli. I ktoś na dole – ten świr Nestor? Zagubiony centurion? A może w ogóle był to ktoś inny, ktoś wcześniej...? Ktoś mi powiedział, że to jest elementem klucza, który muszę teraz znaleźć.

– Pieprzone filmy przygodowe klasy B... – zamruczałem, wspinając się na stromą wydmę. – I pomyśleć, że ktoś to wymyśla, ktoś inny mu za to płaci, a ludzie potem takie gnioty łykają. To jest, przynajmniej kiedyś łykali. Ech, ciemny lud wszystko kupi... O kurwa mać.

Wyszedłem na sam brzeg skarpy i stanąłem jak wryty.

No dobra, nawet to bardzo nie zablądziłem, bo udało mi się wyjść prawie w to samo miejsce, z którego zaczynałem. Wyraźnie widać było stąd miejsce, gdzie na mieliźnie leżała do połowy zatopiona, przewrócona na brzeg barka. Była też moja klatka, były trupy i nawet wielkie ponad miarę truchło giga-Skorpiona.

Sukces był jednak połowiczny: miejsce się zgadzało, nie zgadzał się czas.

Wrak łodzi pokryty był grubą warstwą nacieków ze szlamu, zwieszających się gęstymi glutami z podniesionej burty.

Klatka zdążyła pokryć się warstwą rdzy, oddającej w promieniach zachodzącego słońca pomarańczową poświatę.

Trupy były niedłwie obłożonymi w zetlą, przegniłą skórę szkieletami w resztkach szmat.

Z cielska Skorpiona zaś pozostał głównie chitynowy pancerz, teraz wyblakły od słonecznej strony.

Tylko przykuty pordzewiałym łańcuchem do resztek lekyty Cherubinek nadal trzepotał się i kwilił, tkwiąc niczym uwiązany do budy kundel pośrodku wydeptanego okręgu jałowej ziemi.

Nawet się nie zdenerwowałem, nie zezłościłem ani nic. Chyba zaczynałem przywykać do tych kuriozalnych przeskoków w linii czasowej, a fabuła mojego istnienia naprawdę coraz bardziej przypominała tani, kiczowaty film... A co najgorsze, nabierałem niebezpiecznych podejrzeń, że za słabą reżyserię mogłem winić wyłącznie samego siebie.

Nie było nawet sensu tam schodzić, bo byłem pewien, że i tak niczego przydatnego nie znajdę. Zresztą, skoro tak pomyślałem, to pewnie właśnie tak będzie.

– Jeszcze teraz by tylko brakowało, żeby... – zacząłem, odwracając się do Rzeki plecami, a twarzą do martwego lasu. – Kurwa.

Pomiędzy drzewami stał uzbrojony półnagi, wymalowany i pokryty prymitywnymi tatuażami dzikus. Stał, opierając się o włócznię, i patrzył na mnie równie zaskoczonym wzrokiem, co ja na niego.

I widziałem w jego oczach, wiedziałem, co sobie w tamtej chwili myślał.

„Cholera, przed chwilą tego typu tu nie było”.

Wiem, bo myślałem to samo.

Każdy z nas miał dosłownie sekundę na reakcję, zanim uprzedzi go ten drugi.

Ja błyskawicznym ruchem poderwałem gladius, jedną myślą odpalając klingę i jednocześnie lewą ręką ciskając w jego kierunku strumień ognia.

On natomiast cisnął we mnie włócznią i rzucił się do ucieczki, drąc wniebogłosy:

– Iceizd! Iceizd ełam! Iceizd ełaaaaaam!

Ogień przeorał grunt, skosił po drodze dwie nadpróchniałe sosenki i miotnął w powietrze całą chmurą płonącego igliwia. Włócznia natomiast przeleciała przez niego i trafiła mnie prosto w pierś.

Sapnąłem i upadłem na plecy, gapiąc się ze zdumieniem na sterczący mi przed nosem dziyrty.

– Aaa... Ałaaaa! – zaskamlałem. – Aaaaaahaaalaa! Aaa!

Sięgnąłem lewą ręką, obruszałem i wyrwałem pocisk, który utkwił mi idealnie pomiędzy żebrami, po czym przekręciłem się na bok i zakwiliłem cicho z bólu. Na szczęście Purpura robiła już swoje, krwawienie ustało po chwili, rana zaczęła się zasklepiać.

Coś trzeszczało i strzelało nieopodal. Takim nierównomiernym, wesołym rytmem, kojarzącym się z wieloma wesołymi wieczorami, smakiem ziemniaków z żaru i chlebka pieczonego na ognisku.

Zakasałem, czując w gardle gryzący, ostry dym. Podniosłem głowę, obejrzałem się w kierunku, gdzie przed chwilą stał dzikus.

W twarz buchnął mi żar, płomienie strzeliły z rykiem, chcąc sięgnąć mnie swoimi żółtopomarańczowymi mackami.

Zerwałem się z ziemi, skoczyłem niczym rączy jeleni i rozejrzałem z przerażeniem.

Przede mną huczała jeszcze relatywnie niewielka, ale szybko nabierająca rozmachu ściana ognia. Płomienie skakały po suchych igłach, trzaskały pochłaniając kolejne kawałki kory i sunąc od krzaka do krzaka. Widziałem, jak kawałki drewna, suchego jak rozpałka, ale nadal nasączonego żywicą, zajmują się i przerzucają zarazę dalej.

Na moich oczach spory jałowiec dosłownie zamienił się w pochodnię, buchnął płomieniem na dobre trzy metry w górę, podpalając kilka okolicznych drzew.

Lada chwila miałem mieć tutaj regularny pożar lasu.

– Iceizd ęlam...! – skądś spomiędzy drzew rozległo się wołanie.

– Iceizd ęlam! – odpowiedział mu inny głos.

– Iceizd ęlam łabej...!

– O ja pierdzielę... – jęknąłem, po czym puściłem się biegiem, byle dalej od rozkręcającej się pożogi.

Biegłem, starając się nie myśleć o wbijających mi się w bosc stopy szyszkach, sękatych gałązkach, kamieniach i ostrych igłach. Gałęzie siekały mnie po twarzy i pękały z trzaskiem, gdy niosłem się przez tę knieję niczym oszalały ze strachu odniedz.

– Iceizd ęlam...! – doniosło się z mojej lewej strony, a ja kątem oka zauważyłem biegnące pomiędzy drzewami sylwetki.

Wpadłem w suche, martwe krzaki, przeleciałem przez pokrytą kurzem gęstwinę i wyskoczyłem na resztki dawnej asfaltówki, biegnącej wzdłuż położonej w dole Rzeki. Rozejrzałem się w lewo, w prawo, gdzie stał w przydrożnym rowie wypalony wrak samochodu.

Dom. Tam był dom, stojący na obrzeżu dawnego lasu. Teraz zdewastowany, z powybijanymi oknami... Ale zawsze to jakiś kawałek cywilizacji.

– Iceiiiiid! – Wrzask smagnął mnie, niczym batem.

Pocwałowałem czym prędzej, kłapiąc bosymi stopami po asfalcie. Widziałem już, że dzicy osaczają mnie z dwóch stron. Zaryzykowałem spojrzenie przez ramię: dokładnie za mną ponad lasem wznosił się sęp dymu, u podstawy którego była rycząca, szalejąca ściana pełną po koronach drzew ognia.

Jak miałem trzynaście lat, podpaliśmy z kumplem salę teatralną w szkole. Przypadkiem podpaliśmy, bo on przyniósł papier nasączony saletrą i cukrem pudrem, a to dawało w cholerę dymu, jak się żarzyło. Najpierw bawiliśmy się tym w kiblu, potem w szatni od wuefu, aż w końcu doszliśmy do wniosku, że można zrobić dowcip gościowi od kółka tanecznego.

No i dowcip wyszedł tak skutecznie, że pół szkoły ewakuowali.

Od tamtej pory udało mi się nie spowodować żadnej podobnej katastrofy. A to znaczyło, że zapałkałem sobie kartotekę kolejnym podpaleniem po... No cóż, po dobrych kilkuset miliardach lat i parudziesięciu aktach Stworzenia.

Statystycznie nie było źle. Jednostkowo mogło skończyć się to fatalnie.

Przeskoczyłem przez rów melioracyjny, potknąłem się i wywaliłem, ale zaraz zerwałem z ziemi i pobiegłem dalej. Przesadziłem niewysoki płótek, poślizgnąłem się na potłuczonym szkle...

– Ałaaaa...! – zawylem.

...Zaściełającym podjazd do domu, po czym podskakując niezgrabnie na poranionych stopach i wyciągając z nich co większe kawałki, wkuśtykałem po schodkach, po czym wreszcie schowałem się w bezpiecznym wnętrzu domu.

Oczywiście, „bezpieczne” było tu pojęciem względnym, bo tylko patrzeć, jak mieli mnie tu osaczyć dzicy, a potem upiec żywcem pożar lasu, więc należało się spieszyć. Niczym burza przeleciałem przez korytarz, wbiegłem po schodach na górę, przesadziłem susem leżącego w wejściu do sypialni trupa i zacząłem desperacko, na chybił trafił przebierać porozrzucane na podłodze rzeczy.

Kurwa. Kurwa, kurwa, kurwa. Już na pierwszy rzut oka widziałem, że nie będzie dobrze, a nawet będzie źle. Jakieś kiecki, bufiaste bluzki, szydełkowane sweterki, ogromne spódnice... Najwyraźniej ślepy los był przeciwko mnie, a niegdysiejszą rezydentką domku była jowialna, utrefiona i dość pokaźna pani, patrząca na mnie z pomarszczonego zdjęcia stojącego wciąż na komodzie z podpisem „Pielgrzymka oazowa do Medjugorje, kwiecień 2010”.

W końcu wbilem się w jakieś grube, flanelowe spodnie, przewiązałem je owiniętym na dwa razy różowym paskiem z cekinami. Naciągnąłem na siebie zdecydowanie za dużą bluzkę, dodałem do niej kraciatą koszulę... Przewyciężając wrodzone obrzydzenie do tego rodzaju obuwia, wzułem jako tako pasujące espadryle na plecioną ze sznurka podeszwie... Przelotnie tylko zerknąłem na siebie w pękniętym lustrze, skrzywiłem się z odrazą i wyskoczyłem na schody.

Byłem w połowie drogi, kiedy na dole pojawił się dzikus z toporem zrobionym z osadzonej na trzonku zębatej tarczy do laubzegi.

– Iceizd ełam łabej żeipaaa! – wydarł się na całe gardło.

Zaś ja po prostu skoczyłem mu na głowę.

Złożył się, jak scyzoryk, kiedy trafiłem go kolanami centralnie w obojczyki i wprasowałem w nieszczególnie anatomicznie ukształtowany kąt pomiędzy kaloryferem a szafką na buty. Chciał jeszcze zamachnąć się swoją bronią, ale ja sprzedałem mu desperacką lepeń z lewej ręki – kastet strzelił Purpurą, bok tamtego aż wgiął się od siły mojego uderzenia, typ wybałuszył oczy i oklapł, jak stara reklamówka.

– Iceizd! Iceizd łabej żeipap! – rozległy się okrzyki z zewnątrz, a zaraz za nimi doniósł się rumor z zagraconego salonu: to pewnie któryś z napastników torował sobie drogę od strony tarasu.

Nie zważając na już wpełzającą do wnętrza domku siwą chmurę gryzącego dymu, wyskoczyłem do przedpokoju i na zewnątrz, mrużąc oczy i zasłaniając twarz rękawem. Jakaś rozmazana sylwetka biegła w moją stronę, więc nawet nie zwalniając skrocilem ostro i popędziłem, ile sił w nogach, byle dalej od szalejących płomieni.

Przeleciałem przez resztki ogródka z wiszących w strzępach tunelem foliowym, przesadziłem zwaloną siatkę i popędziłem ledwie widoczną pomiędzy drzewami ścieżynką.

– Iceiiiiid!

– Iceizd łabeej!

– Iceeeezd! – Okrzyki i nawoływania dzikusów niesły się echem pomiędzy drzewami, rozlegając się to z lewej, to z prawej.

Świat podskakiwał i zlewał w ciąg rozmytych plam, gdy gnałem tak przed siebie, nawet nie myśląc o kierunku. Wiedziałem, że kondycyjnie nie mają ze mną szans, byle tylko nie dać im się zagnać w kozi róg... A zarówno widziałem, jak i słyszałem, że próbują mnie złapać w okrążenie, osaczyć z kilku stron, jak zaszczute zwierzę.

Niedoczekanie. Nie dam się tak łatwo. Nie pozwolę.

Dlatego też pędziłem, ile sił, ubrany niczym podstarzały hippis uciekający z małomiasteczkowego targu rękodzieła. Bluzka zsuwała mi się z jednego ramienia, spodnie zaczepiały o wszystko, cholerne kapcie co i rusz próbowały zsuwać się i spadać – a ja biegłem coraz dalej w las.

W końcu huk płomieni nie tyle umilkł zupełnie, ale zdecydowanie ścichł. Podnoszący się znad pożaru śłup dymu został gdzieś w oddali. Nawoływania dzikich rozlegały się rzadziej i dalej. Zwolniłem, przeszedłem najpierw na trucht, potem na szybki marsz.

No dobra, to byłem... Gdzieś. Głęboko w lesie, to na pewno. Tutaj nie było aż tak strasznie sucho, część drzew zachowała jeszcze liście, próbując łapać ostatki promieni słońca. Tu i ówdzie trafiały się nawet jakieś mchy i porosty, więc w okolicy musiała być w miarę nieskażona woda.

Usiadłem w końcu na pniu, dysząc ciężko. Ufff, jednak się trochę zmęczyłem, nie powiem. Regeneracja swoją drogą, a jednak tutaj zdawać by się mogło, że brakowało mi trochę zasięgu. Może Azrael znów przykręcił mi kurek?

Rozejrzałem się i wtedy mój wzrok padł na to... COŚ.

Musiało być kiedyś drzewem, które pękło spory kawałek nad ziemią, zostawiając sterczący pionowo, odarty z kory kikut. Ktoś zadał sobie niemało trudu, pracując siekierą, młotkiem i dłutem, żeby z grubsza ociosać go w formę nie-do-końca foremego graniastopsłupa, a potem nadać mu kształt z grubsza przypominający sylwetkę stojącego człowieka o pomazanej żółtą farbą twarzy i rękach ubabranych czymś gęstym i czerwonym.

Patrzyłem na tę surową, zwalistą postać współczesnego bałwana i przyznam, że robiło mi się coraz bardziej nieswojo.

Przez lata służby w Korpusie Komorniczym natknąłem się na wystarczająco dużo dziwnych rzeczy; widziałem kulty kanibali, heretyków, bałwochwalców i zwykłych, psychopatycznych pojebów. Poznałem je powierzchownie, ale na tyle dobrze, żebym potrafił rozpoznać na pierwszy rzut oka, kiedy natknę się na coś łączące w sobie wszystkie powyższe cechy.

Tym bardziej, że u podnóża posągu ktoś bardzo gustownie ułożył na ziemi sporą mandalę z ludzkich kości i czaszek, nie pozostawiając nawet cienia złudzeń ani co do natury idola, ani pochodzenia cieczy, zastygłej długimi soplami na jego dłoniach.

Patrzyłem na stojący w samiusieńkim środku lasu współczesny totem. Totem, który całym sobą mówił: jesteś w mocno niewłaściwej okolicy, kolego. Jeśli to widzisz, to znaczy, że jest już zdecydowanie za późno.

Podniosłem się powoli, rozejrzałem ostrożnie. Martwy las nagle wydał mi się o wiele bardziej złowieszczy, mroczny i gęsty, niż jeszcze chwilę temu.

– No dobra, Zekus, tylko spokojnie... – zamruczałem. – Tylko spokój może nas uratować. Nie będziemy wchodzić nikomu w drogę, nie będziemy zwracać na siebie uwagi... Wyjdziemy tak cichutko, jak tu weszliśmy.

Nie biegłem już, a siedłem ostrożnie i powoli, oglądając się na boki i trzymając gladius w rękę. Niby było tutaj absolutnie cicho, zupełnie pusto. Ani żywego ducha. A jednak moja wyobraźnia działała, napełniając knieję ledwo słyszalnymi szelestami.

Cały czas zdawało mi się, że na granicy widzenia przemykają się jakieś ledwie dostrzegalne kształty i sylwetki.

Na co niektórych drzewach wisały, niczym upiorne ozdoby choinkowe, wykonane ze sznurka i kawałków kości girlandy. Powinny ani drgnąć w nieruchomym, pozbawionym wiatru powietrzu, a mimo to od czasu do czasu gotów byłem przysiąc, że słyszę jakby cichutkie echo grzechotu, gdy przechodziłem zbyt blisko nich.

Kolejne martwe drzewo, z którego wyglądała na mnie pomalowana na żółto twarz i leżące pod nim kości – dziecięce, po wielkości wnosząc.

Przylapałem się na tym, że odruchowo wstrzymuję oddech, nasłuchując czegoś... Nawet sam nie wiedziałem czego. Nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, że jestem obserwowany, albo że ktoś jest w pobliżu. I wystarczyło zdradzić się jednym nieopatrzynym ruchem, jednym durnym hałasem, żeby...

Zgrzytnęła nieopatrznie nadepnięta przeze mnie puszka po napoju.

– Iceizd łabej żeipaap...! – Po lesie poniósł się odległy krzyk.

A ja po prostu puściłem się biegiem.

Pędziłem na złamanie karku, wyciągając nogi, jakby mnie sam diabeł gonił. Przesadzałem martwe pnie drzew, przedzierałem przez gęstwiny krzaków, wdrapywałem na pagórki i zbiegałem z nich, mało nóg nie łamiąc.

– Iceizd! Iceezd ałem!

Okrzyki rozlegały się to z lewej, to z prawej. Najpierw były za mną, potem zrównały się, zaczęły mnie wyprzedzać, starając się odciąć drogę. Zacząłem kluczyć i zmieniać kierunek, próbując przesmyknąć między zębami nieuchronnie domykającego się potrzasku... I coraz bardziej widziałem, że nie mam szans.

Dlatego też kiedy z krzaków przede mną wyskoczył półnagi dzikus, ubrany jedynie w jakieś szmaty i maskę zrobioną z przeciętego na pół pięciolitrowego plastikowego baniaka, nawet nie zwolniłem kroku. I tak było już za późno, a za tym pierwszym pojawił się już kolejny.

– Achuuuj! – zawyłem, odpalając wzniesiony do ciosu gladius.

Nie wiem, czego się spodziewał, ale najwyraźniej nie płonącego Purpurą miecza. Krzyknął i spróbował zasłonić się włócznią z zębatego noża nasadzonego na aluminiową rurkę, ale moja klinga przerznęła ją równiutko, niczym palnik acetylenowy, i zagłębiła mu się w udzie.

Ten drugi zamachnął się nadziejką z wiertła do betonu na trzonku od siekiery, ale ja skontrolałem cios uderzeniem kastetu, celując prosto w jego żelźce.

Trzasnęło i błysnęło, jego broń odskoczyła niczym po uderzeniu w trampolinę i wbiła mu się tyłcem centralnie w czoło.

Przeskoczyłem ponad wyjąłym dzikusiem, usiłującym bezskutecznie na powrót przymocować odrąbaną nogę do korpusu, i pobiegłem dalej w las. Już widziałem, jak kolejni biegną ku mnie z boków, próbując wziąć w kleszcze, ale nie zamierzałem im dać tej satysfakcji. Przedrę się, przebiję przez legiony wroga! Jak nasi pod Grunwaldem, jak powstańcy w czterdziestym czwartym, jak...

Wypadłem spomiędzy drzew na otwierającą się pośrodku lasu sporą polankę.

– ...Jak gówno w wentylator – jęknąłem, hamując gwałtownie.

W tej jednej chwili dotarło do mnie, dlaczego dzicy próbowali mi odciąć drogę. Czemu mnie zaganiłi to w tę, to we w tę.

Bo oni wcale mnie nie chcieli osaczyć ani pojmać. To jest: na pewno chcieli! Najpierw to, a potem zabić, albo zjeść, albo jedno i drugie w dowolnej kolejności. Natomiast przede wszystkim to chcieli nie dopuścić mnie właśnie tutaj, na tę polankę.

Rozstawione po okręgu posągi, totemy i bałwany patrzyły na mnie surowym wzrokiem wyciosanych z drewna twarzy. Kości bielily się koncentrycznymi kręgami,

zbliżającymi ku położonemu w centrum tego wszystkiego pływkiemu bajorku, pośrodku którego tkwił umierający dąb, gustownie udekorowany zwieszającymi się z konarów czaszkami.



Zaś pod dębem widziałem zrobiony ze złomu żelaznego ołtarz, na którym wisiał rozpięty głową w dół, nagi człowiek. Całe jego ciało pokrywały świeże i już zasklepione rany, z których sączyła się strużkami krew, pokrywająca naciekami jego ciało i skapująca długimi soplami po rdzewiejącym żelastwie, ściekająca do bajora wokół korzeni drzewa.

Człowiek nie poruszał się, nie widziałem, żeby oddychał – ale byłem pewien, że żyje. Byłem pewien, bo na jego przedramieniu widziałem...

Otworzył oczy, spojrzał na mnie udręczonym wzrokiem.

– Zabij mnie, człowieku... – zacharzał.

Byłem pewien, że żyje, bo na jego przedramieniu widziałem Znamię. I to nie komornicze, a właśnie nasze. Gladiatorskie.

A tym człowiekiem był nikt inny, jak Siliasz.

Z wyciem i skowytem na polanę wpadli moim śladem dzicy.

Kiedy ciśnięty w kierunku moich pleców pierwszy prymitywny oszczep zaczynał właśnie zakreślać łuk w powietrzu, ja byłem już w połowie susa do sadzawki.

Śmierdząca maź chlapnęła na wszystkie strony, cuchnący zgnilizną i śmiercią muł podniósł się z dna i zawirował długimi warkoczami. Jeden, drugi, trzeci długi skok...! Kilka strzał śmignęło obok mnie.

Wyprężyłem się i krzyknąłem z bólu, kiedy jedna ugodziła mnie prosto pod łopatkę.

Noga ugięła się pode mną, gdy kolejna wbiła mi się w udo; poleciałem twarzą naprzód w błoto, plasnąłem całym ciężarem w wodę. Breja na chwilę zamknęła się nade mną, przykryła mnie z głową, ale zaraz odepchnąłem się rękoma od mulistego dna, parszkając i prychając wytoczyłem się na brzeg.

– Iceizd ełam łabej żeipaaap! – chóralne wycie zawibrowało mi w uszach.

Jednak ja już dopadłem do ołtarza, ciąłem gladiusem po krępujących Siliasza okowach. Bryznęły iskry, strzeliło kroplami żelazo, jeden łańcuch opadł z brzękiem. Ciąłem po linie, która trzymała jego nogi w górze – Siliasz krzyknął urywanie, przekreślił się pod własnym ciężarem i bezwładnie rymśnął na ziemię, wciąż trzymany za jedną rękę.

– Miecz...! – zachrypiał. – Miecz, dzieciaku...!

Chlasnąłem na odlew ostatni łańcuch, widząc już, że pierwsi wojownicy biegną ku nam przez sadzawkę.

– Gdzie?! – wrzasnąłem, zasłaniając się przed ciosem korbacza z trzech łańcuchów od roweru.

Siliasz odkrzyknął coś, ale nie usłyszałem już co przez zgrzyt i trzask broni. Kolejny dzikus wpadł na mnie, wyjął niczym potępieniec, ale ja schyliłem się tylko i przerzuciłem go przez ramię, jednocześnie odskakując z drogi kolejnemu.

Było ich dużo, za dużo. Już nie myślałem nawet o tym, że są wśród nich nie tylko męzczyźni, ale też osoby starsze, kobiety, a nawet kilkoro podrostków... To nie była pora na przestrzeganie konwencji wojennych.

Ciąłem biegnącą na mnie babcię z długim nożem. Odbiłem cios maczugi zrobionej z zębarki na sękatej gałęzi. Nie zdążyłem uchylić się przed cięciem maczety, więc tylko docisnąłem ją ramieniem do boku i chlasnąłem przeciwnika po ramieniu.

– Trzysta–trzydzieści–trzy! – wrzasnąłem, wzięłem zamach lewą ręką i przypadłem na kolano, z całej siły uderzyłem kastetem w ziemię. – Baterią, ognia!

Grunt wokół mnie eksplodował, purpurowe płomienie strzeliły w górę ostrymi wykwitami, pałac skórę i rwąc ciało już, już mających przytłoczyć mnie samą przewagą liczebną dzikich. Ludzie polecieeli na wszystkie strony, gotująca się woda trysnęła

strumieniami pary. Drzewo zakołysało się i z przeciągłym trzaskiem przechyliło na bok, wyrwywając z błotnistej ziemi próchniejące korzenie.

A ja zobaczyłem ryszczunek Siliasza, wiszący pośród innego śmiecia na gałęziach. Wyskoczyłem długim susem z nietkniętego ogniem kręgu, przesadziłem kilka dymiących, zwęglonych ciał... Wpadłem na wstającego właśnie typa z siekierą, odepchnąłem go w wodę, niezgrabnie uderzyłem kobietę z długim nożem, po czym dopadłem wiszącego na sznurku od snopowiązałki gladiusa.

– Łap...! – Cisnąłem miecz w kierunku, gdzie ostatnio widziałem nagiego, poranionego Siliasza.

Przeraziłem się co prawda, bo już gdy rzucałem go, to klinga buchnęła płomieniem, a gladius pomknął przez powietrze, niczym pijana kometa. Przez chwilę bałem się, że znając moje szczęście, utnę Siliaszowi łeb... Ale ten trzasnął łokciem w twarz atakującego go napastnika, chwycił broń w locie i zakreślił nad głową, a potem ciął od góry, dosłownie rozrąbując tamtemu głowę na pół.

– Śmierć... Śmierć Górze! – wrzasnął radośnie, tnąc kolejnego dzikusa.

– Wolność dla ludzi! – zawtórowałem mu okrzykiem, puszczając falę uderzeniową w próbujących jeszcze desperackiego ataku po trupach towarzyszy.

Plecami do siebie staliśmy na wysepce pośrodku bajora krwi, przy zwalonym nieświętym dębie, na polanie ofiarnej otoczonej ponurymi idolami tych neobałwochwalców, odpierając falę za falą rzucających się na nas niczym opętani napastników.

Nie wiem, ile razy jeszcze mnie ranili. Przestałem nawet liczyć wbijające się w ciało strzały, tnące mnie włócznie i uderzające boleśnie kamienie.

Aż w pewnym momencie, kiedy już bałem się, że nie damy rady – tamci nagle odstąpili.

Bez jakiegokolwiek okrzyku, bez wyraźnego sygnału, po prostu rzucili się do ucieczki, zostawiając zabitych, konających i rannych.

Wydałem z siebie coś pomiędzy tryumfalnym skrzykiem a charkotem, już miałem pobiec za nimi, upojony zwycięstwem. Siliasz jednak chwycił mnie za ramię:

– Zostaw...! – jęknął.

A ja zobaczyłem, że on zaraz zemdleje. Był wycieńczony, ledwo ciepły, niemalże zapadnięty w sobie, błady... Wyglądał, jakby mu przybyło co najmniej kilkanaście lat.

Tfu! Obym się mylił, oby aż tyle nie minęło.

Złapałem go wpół, podprowadziłem przez zasłane trupami pole ku drzewu, oparłem o pień. Oczekałem, aż jako tako obaj złapiemy oddech, a potem zarzuciłem sobie jego ramię na szyję i pomogłem wstać. Syknął z bólu, zacisnął zęby, ale dał radę.

Powoli pokuśtykaliśmy przez wyspę, a potem przebrnęliśmy przez śmierdzącą sadzawkę i ruszyliśmy ku ścianie lasu.

Daleko za nami szalał pożar, dym walił niebo coraz szerszą kolumną.

Wokół nas leżały trupy, niczym kategorie porno w przeglądarce – nie tylko mężczyźni, ale też kobiety i dzieci...

...Czy ja potrafiłem gdzieś pojawić się tak, żeby nie rozpierdolić wszystkiego wokół?



Rozdział X



Gdzieżeś ty się podziwiał, dzieciaku? Podniosłem wzrok, spojrzałem na półleżącego pod martwym dębem Siliusza. Wizualnie wyglądał na niewiele bardziej żywego niż to drzewo... Ale na szczęście pozory myliły.

Odeszliśmy od polany bałwochwalców tak daleko, na ile tylko starczyło nam obydwu sił. Siliusz zataczał się i potykał już wcześniej, ja usiłowałem trzymać pion... Ale w pewnej chwili po prostu zabrakło mi sił i obydwaj wylądowaliśmy na glebie. Żaden nie miał siły podnieść się jako pierwszy, więc postój wyszedł nam poniekąd samoistnie, i dopiero teraz to on odezwał się jako pierwszy.

Nabrałem tchu, wypuściłem powietrze. Otworzyłem usta, zamknąłem. Machnąłem ręką.

– ...Długo by gadać. Dobrze cię widzieć w końcu, Siliusz.

Uśmiechnął się słabo.

– I nawzajem, Zek. Dzięki... Naprawdę dzięki. Straciłem już nadzieję, powiem ci... Nie masz może czegoś do picia?

Rozłożyłem bezradnie ręce, on pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Nie wiem, jak głęboko w puszczy jesteś. Na północy jest tylko Rzeka, trzeba na południe się kierować, ale to pasmo lasu nie miało więcej jak kilkanaście kilometrów szerokości. Prędzej czy później trafimy na jakąś większą drogę... Dasz radę iść?

Westchnął, zaczął powoli gramolić się na nogi. Ja też się podniosłem, chciałem znów objąć go wpół; Siliusz jednak delikatnie, ale stanowczo odsunął mnie na bok.

– Dość tego przytulania, dzieciaku, bo jeszcze przywyknę i mi się spodoba. Jak chcesz pomóc, to mi buty jakies znajdź.

No, to fakt, buty by się przydały. Jeden kapeć spadł mi z nogi jeszcze w bajorze, drugi zrzuciłem sam, i teraz obaj szliśmy na bosaka.

– Nie marudź, staruszk, w starożytnym Rzymie nie takie się siupy robiło.

– Ano, nie takie, to fakt... Gdzie ty byłeś przez tyle czasu, Zek?

Pokazałem kierunek ręką i ruszyliśmy, starając się trzymać zachodzące słońce po prawej stronie. Naprawdę liczyłem na to, że raczej prędzej niż później wyjdziemy na jakieś miasteczko, a tam będzie można coś wyszabrować.

- To naprawdę długa i pozbawiona sensu opowieść, więc oszczędzę ci jej. Znalazłem Cat z małym i Kemosza, wiesz?

- Ha! - Poweselał wyraźnie. - Czyli gdzieś się dali radę przytulić w Kancie?

- Siedzą w głębokim Rewersie, w Mieście Bohaterów. Ronnie to już kawał smroda jest, ma swoje zdanie na każdy temat. Rezolutny młody człowiek... A ty jak, miałeś kontakt z kimś ze starej ekipy?

Westchnął ciężko.

- Wykruszyli się nasi, teraz to można by na palcach dwóch rąk wszystkich policzyć. Safo cały czas trzyma swoje Amazonki, zakładała nawet coś na kształt własnego osiedla, ale nie wiem, jak to się u nich skończyło. Jest kilku zjebów z dawnego Ludus Dacicus, a przynajmniej było ostatnio... Cholera, nawet nie wiem, jak długo mnie te zwierzęta trzymały!

Otakowałem go krytycznym wzrokiem. Spora część ran, z których wcześniej krwawił, już zarosła strupami, a on sam szybko odzyskiwał siły... Chociaż jak na niego popatrzeć, to skóra wisiała na kościach.

- Siliasz, ty się regenerujesz - skonstatowałem.

- No... Tak jakby, dzieciaku, też to zauważyłem jakiś czas temu. Przecież oni mnie tam, skurwysyny, trzymali głową w dół bez jedzenia i picia! - zdenerwował się. - Żołądek to mi się chyba sam strawił, już myślałem, że zdechnę w końcu, a tu nic! Wiszę i wiszę, oni mnie co i rusz tną... Modlili się do mnie, uwierzysz? Nieumierającego bożka pod drzewem sobie znależli!

- Uwierzę, czytałem o tym kiedyś książkę. Tylko paproci nie było, żeby mogli w nich konia walić...

- Co?

Wyszliśmy akurat na starą asfaltówkę, pokazałem kierunek i ruszyliśmy w lewo.

- Nieważne. Słuchaj, ale skoro ty się regenerujesz, to... Jak?

- A bo ja wiem, dzieciaku? I ja, i cała reszta w pewnej chwili zorientowaliśmy się po prostu, że jakoś tak łżej nam się żyje. Nie wiem, może to i wcześniej było, ale nie zauważaliśmy?

- Nie było. - Potrząsnąłem głową. - Ale to dziwne... Azrael, możesz to sprawdzić?

Anioł Śmierci zmaterializował się na wbitym w barierkę, spalonym tirze.

- Naturalnie, Ezekielu. Czy mam rozumieć, że...

Siliasz wrzasnął dziko i rzucił się w jego kierunku. Płonący gladius przerznął metalową ramę po budzie ładunkowej naczepy, uderzył w miejsce, gdzie przed chwilą siedział Anioł.

- Siliasz...! - krzyknąłem.

- ...Czy mam rozumieć, że twój towarzyszy... - Azrael nie dokończył, bo pojawił się na barierce przy poboczu i znów zniknął na ułamek sekundy przed tym, jak miecz Siliasza przerzął ją na pół. Anioł tym razem przeniósł się kawałek dalej, na przekrzywiony słup telefoniczny. - ...Ezekielu, wybacz, ale ciężko jest pracować w takich warunkach.

- Zek, pomóż mi! - wydarł się Siliasz, tnąc słup u podstawy. - We dwóch damy radę go...!

Azrael zniknął, po czym pojawił się za plecami gladiatora. Chwycił go za gardło, kopnął pod kolano i docisnął do ziemi, po czym przydepnął nogą w sandale z gracją i wyczuł prasy hydraulicznej.

Zobaczyłem tylko, jak Siliaszowi wychodzą oczy z orbit, a twarz zmienia kolor na pąsowy.

- Azi, puść go! Czy ty masz jakieś, kurwa, problemy z przemocą ostatnio? - wrzasnąłem.

Anioł Śmierci, który już miał uderzyć wzniesionym do ciosu skrzydłem niczym gilotyną, spojrział na mnie cokolwiek zdziwiony. Delikatnie wzruszył ramionami, uśmiechnął się i zszedł z pleców Siliasza, który zaczerpnął gwałtownie tchu.

Doskoczyłem do leżącego, przekręciłem i podniosłem do pozycji siedzącej. Na całe szczęście oddychał i nie miał nic złamane, lekko go tylko zamroczyło. Poczekalem, aż dojdzie do siebie, ale od razu też przytrzymałem stanowczo, gdy chciał wyrwać mi się i chwycić wypuszczony miecz.

– Słysz, spokój! Azrael jest po naszej stronie... To mój Anioł, do cholery!

– Twój?! – Spojrział na mnie dziko. – Dzieciaku, przecież Aniołów mają wyłącznie ci rzeźnicy z Komorniczego! Nie możesz więc mieć...

Urwał, jego oczy rozszerzyły się niedowierzaniem. W samą porę złapałem i przyblokowałem jego rękę z mieczem, bo gotów był mi go wbić w głowę.

Zaczęliśmy szamotać się i przewalać, w końcu dałem radę usiąść mu na plecach, dociskając ramiona kolanami. Wierzgął i zaryczał, ale nie dał rady mnie zrzucić.

Kątem oka widziałem, jak Azrael obserwuje nas z nieskrywaną ciekawością.

– Wyłumaczę ci to, Siliasz! Uspokój się tylko, do cholery... Wiem, dokąd dotarł Elias!

Na chwilę przestał się miotać, obrócił głowę na tyle, na ile pozwalała mu anatomia i spojrział na mnie z ukosa, badawczo. Ja powoli zsunąłem się z niego, podnosząc otwarte ręce. On też podniósł się, sapiąc ciężko, ale nie zaatakował.

– Mów, byle krótko i zrozumiale – warknął.

Wdech, wydech.

– ...Jestem technicznie Bogiem, pamiętasz? – zacząłem z wysokiego „ce”. – I raz już to wszystko przerabiałem. Stąd wiem o części rzeczy. Po tym, jak się rozdzieliliśmy, rzuciło mnie w Rewers. Po drodze znalazłem Eliasza, który teraz jest... to znaczy, był... Jonaszem. Więc byliśmy tam we trzech, bo z nami trafił tam też Carter, czyli Danaiel...

– Nawet nie wymawiaj przy mnie jego imienia, dzieciaku. Carter, którego obaj znaliśmy, zginął w Wiecznym Mieście.

– ...Nie do końca, ale do tego jeszcze dotrę, jeśli pozwolisz. Wyszliśmy z Rewersu, po drodze Jonasz, czyli Eliasz...

– Potrafię poradzić sobie z conceptem zmiany imienia, Zek. Nie musisz mówić tego za każdym razem – mruknął, zezując nieufnie na Azraela.

– ...Jasne. No więc, Jonasz opowiadał mi jakieś brednie o swojej misji, wielkim planie, czy cholera wie czym. No i powiedział, że rzekomo wie, jak zabić Anioła.

– Nie „rzekomo”, bo swoją Anielicę zabił na śmierć. Chodziliśmy wszyscy na nią popatrzeć, zanim zabrali truchło. Trochę brutalnie, przyznam, ale skutecznie ją załatwił. I co dalej?

– Jonasz twierdził, że coś znalazł.

– Oho, zaczynają się brednie – prychnął Siliasz.

– Siliasz, poczekaj, daj mi dokończyć, proszę. To nie są brednie.

– I co, opowiadał ci swoje głodne kawałki o przejściu do Czyśćca na Ziemi? O wielkim tunelu w czasie i przestrzeni, przedsionku pracowni Stwórcy? O drzwiach do serca mechanizmu zegarowego Wszechświata, które trzeba otworzyć przy pomocy odpowiedniego Klucza, który cały czas znajduje się na widoku, ale nikt go nie zauważa?

– ...A tak mówił?

Siliasz machnął ręką.

– Eliasz był zdrowo pierdolnięty jeszcze zanim uciekł z Korpusu, tyle o nim wiem na pewno. To podobno on namówił Berenikę i kilkoro innych na tę ich samowolkę, a potem po prostu wyrznął swój własny oddział i dał nogę... Ukrywał się, szwendał po świecie, aż trafił na Uniwersytet.

– Byłem tam z nim – wtrąciłem.

– O, o widzisz sam, dzieciaku. I co, pewnie Profesorek powiedział ci to samo, ale w ładniejszych słowach?

– ...W zasadzie to nie do końca. Akurat dotarłem tam podczas szturm, więc nie było czasu na gadki. Uniwersytet padł, wszyscy nie żyją.

Siliasz spochmurniał, wbił wzrok w ziemię.

– Wiem. Nie daliśmy rady się utrzymać, ech... Szkoda. Wyprowadziłem część słabszych, zabraliśmy zapasy, ale tamci nie chcieli się ewakuować. Podobno wszedł Korpus, wycięli wszystkich w pień, skurwysyny. Minęliśmy się, jak rozumiem?

– Minęliśmy – potwierdziłem. – Jonasz się poświęcił, żeby mnie uratować. Poza tym chyba nikt nie przeżył.

Widziałem, że wspomnienie go poruszyło. Milczał przez chwilę, potem odchrząknął, spojrzał w puste niebo.

– Taki los, dzieciaku. Najpierw nasza Arena, potem parę innych miejsc, a teraz Uniwerek. Nic dobrego ze sobą nie niesiemy, tylko śmierć.

– To dlatego jeździłeś na drezynie. – Olśniło mnie.

– Między innymi, tak. Ale to nie tylko to, dzieciaku. To jest jednak inne życie, kiedy czujesz wiatr na twarzy, świat się przesuwa, a ty nawijasz nitki na kółka składziku. I to miarowe stukanie na łączonkach: tutum–tutum, tutum–tutum... – Siliasz rozmarzył się, ale zaraz otrząsnął: – Ejże, chwila! Ja ci nic o mojej drezynie nie mówiłem!

– Bo to wiem z poprzedniego świata. Miałeś rewolwer, a w skrzynce pod siedzeniem trzymałeś swój sprzęt.

– Nadal trzymam! – wybuchnął z zalem. – Przecież te skurwiele mnie złapały z zaskoczenia, tylko z mieczem u boku! Jakbym miał komplet sprzętu, to by się zesrali, a nie... Ech, szkoda gadać.

– Siliasz, co ty robiłeś w lesie? – zdumiałem się.

– Jakim lesie, dzieciaku? Leciłem sobie normalnie trzydziestkątrójeczką, jak zwykle! Tam jest odcineczek dwutoróweczki przecież, miło się jedzie, widoki dobre... I na boczniczkę kulturalnie zawinąłem, żeby przystaneczek zrobić po zmianie! Tam domki były niedaleko, letniaczki takie, więc...

– ...Więc wlałeś do lasu, a tam cię dzikusy dojechały – dokończyłem kwaśno.

– No, w sumie tak by wychodziło – przytaknął Siliasz niechętnie. – Ej, czekaj, bo myśmy tutaj na boczny tor zjechali, he, he...

– He, he.

– ...He, he. A ty miałeś mi powiedzieć, skąd tego odmienca wzięłeś.

Wyciągnął palec oskarżycielskim gestem ku Azraelowi. Anioł obejrzał się przez lewe, przez prawe ramię i zrobił minę niewiniątka.

Westchnąłem ciężko.

– Zaciągnąłem się do Korpusu, żeby mieć profity, dostęp do budżetu energetycznego i owocowe czwartki. No, nie złość się, ja tam jestem tylko nominalnie. Poza tym, musiałem uratować rodzinę, a to był jedyny logiczny sposób.

– Czyli na Uniwersytet też z Komornikami trafiłeś. – Skrzywił się.

– Siliasz, nie pierdol, dobra? Każdy robi, co musi, żeby jakoś przeżyć! Ty na Arenie też nie dozorcą byłeś, więc nie graj mi tutaj niewiniątka!

– A gdzie masz to, no...? – Zrobił ręką ruch w okolicach czoła.

– Nie wiem – przyznałem z rozbijającą szczerością. – Zniknęło w pewnym momencie. Ale czekaj, bo my tutaj zgubiliśmy więcej wątków. Azi, nierobie! Co z tą regeneracją Siliasza?

– Czyją? – Azrael przekręcił głowę na bok.

– Siliasza. – Pokazałem ręką.

– Nie ma tu nikogo takiego, Ezekieliu.
– A kto w takim razie...? – zgłupiałem.
– Jest tu twój towarzysz, Ezekieliu, ale on nie figuruje w Ewidencji, więc nie posiada przypisanego imienia.

Siliasz popatrzył na niego, na mnie.

– Dzieciaku, czy one, w sensie Anioły... One tak zawsze? Bo ja myślałem, że mamy tu za przeciwnika inteligencję najwyższą, emanacje doskonałych bytów, a to...

– Owszem, Azrael czasami bywa bardziej odbytem niż bytem, ale poza tym jest w porządku. Azi, czy możesz sprawdzić, dlaczego MÓJ BEZIMIENNY, NIE FIGURUJĄCY W EWIDENCJI TOWARZYSZ wydaje się regenerować? – Wyszczrzyłem się zupełnie nieszczerzym uśmiechem. – Proszę?

Anioł drgnął i powoli rozłożył skrzydła, jak wybudzający się ze stanu uśpienia komputer zapalający po kolei wszystkie lampki.

– Naturalnie, Ezekieliu. Wygląda na to, że doszło do jakiegoś niewielkiego błędu z nadpisywaniem plików, powiązanych z twoim Znamieniem. Jako że brak zapisu jest z założenia nieokreślony, to nie posiada ani liczby pojedynczej, ani mnogiej, więc...

– Więc poprzez moje Znamię z Areny, część umiejętności nałożyła się na pozostałych Komorników? – uściśliłem.

– Nie tylko twoje, Ezekieliu, ale twoje było momentem, gdy błąd zaczął się zwielokrotniać.

– Czyli zaczęło się jeszcze od Cartera... I dlatego daliśmy w ogóle radę pokonać drogę na północ. No dobra, niech będzie.

– To prosta pomyłka, mogę usunąć ją z Ewidencji od razu. Czy życzysz sobie wprowadzić zmianę w archiwach, tak, nie? – Azrael spojrzał na mnie pytająco.

– Czy życzę sobie co...? Nie, nienie! – Zamachałem rękami. – Nic nie ruszaj, nie poprawiaj, tak jest dobrze!

– Czyli...? – Siliasz rozłożył ręce.

– Czyli jak zwykle nikt nic nie wie, błąd systemu. Odpocząłeś trochę?

– W brzuchu mi burczy, pić się chce...

– To jest nas dwóch. Nie jest to przyjemne, ale cię nie zabije, w każdym razie nie tak szybko. Dawaj, musimy się ruszyć i ubrać w coś normalnego... Wstawaj, staruszkule!

– Już ja ci dam staruszkule, szczyłu – mruknął Siliasz, uśmiechając się półgębkiem.

Zebrałiśmy się i poczłapaliśmy drogą przez obrzeża martwego lasu, patrząc, jak nasze idące ramię w ramię cienie wyciągają się długimi, czarnymi pasmami na asfalcie.



– Jakie walki kręciłeś znów z naszym starym znajomym? – zagadnąłem Siliasza siedzącego po drugiej stronie niewielkiego ogniska.

Oderwał się od wybierania plastikową łyżką resztek podgrzanej w żarze, raczej mocno już nieświeżej racji żywnościowej. Spojrzał na mnie spođe łba.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz, dzieciaku.

– Flaccidus, panie Ferdku, mówi to panu coś?

Przewrócił oczami.

– Ach, że z nim. A takie tam wzajemne przysługi, nic wielkiego.

– Jasne, nic wielkiego. Mało się nie zesrał ze strachu, że cię żywcem przy szturmie mogą wziąć, a ty go wypiesz. Chcesz, spróbuję zgadnąć czym handlowaliście?

Siliasz przeżuł z namysłem, przełknął. Kiwnął głową.

– Jak ci się nie uda, oddajesz mi swoje buty. Te moje niewygodne są.

Daliśmy radę wyszabrować co nieco z kilku mijanych wsi i miasteczek i jako tako zaopatrzyć się na drogę, więc wyglądaliśmy teraz nie jak dwóch meneli-naturystów, a jak parka podstarzałych miłośników survivalu i dalekich spacerów.

Siliasz upierał się cały czas, że buty mają być porządne, sznurowane i trzymać kostkę, a ubranie posiadać milion kieszeni i być solidne, jak roboczy drelich; on by najchętniej się przebrał w pełny kombinezon robotnika kolei. Ja tymczasem celowałem w zwykłe, prymitywne, zupełnie niebojowe adidas i dresiki.

Przeszliśmy już kilkanaście mil po drogach i bezdrożach, więc rzeczywistość powoli weryfikowała obydwa podejścia.

– Zgoda, oddam ci buty. Ale jeśli zgadnę, to opowiesz mi wszystko ze szczegółami.

– Pasuje. Nie masz szans, dzieciaku, bo...

– Fałszywe relikwie.

Siliasz prychnął, kaszlnął i zakrztusił się potężnie. Patrzyłem zupełnie bez jakiegokolwiek satysfakcji, czy to złośliwej, czy nie, jak chrycha i charczy, klepiąc się po piersi... Czulem raczej taki specyficzny rodzaj smutku, towarzyszący starym ludziom, którzy patrzą na to, co wyprawia świat i mówią: no tak, można było się tego spodziewać.

W końcu podniosłem się, stanąłem za nim i fachowo walnąłem otwartą dłonią pomiędzy łopatki. Pomogło.

– Skąd...? – zapytał, ocierając łzy z oczu.

– Ech, nie pytaj nawet, bo aż mnie żalność zdejmuje. I co, dobrze wam płacił Światłodzierzca?

Tym razem zrobił taką minę, że aż parsknąłem śmiechem. Co prawda był to śmiech raczej nerwowy, mający pokryć narastający dysonans poznawczy.

Podobno tak to się u człowieka zaczęło w ogóle, że gatunki mniej rozwinięte reagują na rzeczy nieznanne i niezrozumiałe agresją. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale to dlatego pies szczeka na listonosza, a narodowcy biją mniejszości etniczne i seksualne – zarówno w jednym, jak i drugim przypadku ograniczony, tępy mózdzek zwierzęcia nie pozwala mu zrozumieć niczego poza sztywnymi ramami jego własnej, bydlęcej egzystencji.

No i gdzieś tam, kiedyś, pierdyliony lat temu, jakiś nasz przodek zobaczył coś, czego nie rozumiał i też wykonał klasyczną reakcję wstępu do agresji, bo obnażył zęby... Ale zamiast wrzasnąć z gniewem, to się roześmiał, a w każdym razie zapracowała mu rytmicznie przepona. No i jakoś się te papajokantropy tak nauczyły, że dzieliły rzeczy nieznanne na groźne i niegroźne: groźne się atakowało, z niegroźnych się śmiało.

Dlatego też opowiadanie żartów o homoseksualistach i śmianie się z nich jest tylko o jeden ewolucyjny krok lepsze, niż bicie tychże na ulicach. Niemniej jest to ważny krok. Mały krok dla człowieka, wielki krok dla ludzkości.

A wiem najlepiej że tak było, bo przecież sam te mały tworzyłem i z pewnym zaciekawieniem obserwowałem. Zresztą, one też, podobnie do naszych tępych pobratymców, lubiły jeść przypalone mięso, malować po ścianach i wypalać trawę na sawannie.

O czym to ja...

...A, już wiem: o narastającym dysonansie poznawczym.

No więc z tymi relikwiami to rzuciłem ot tak, bez zastanowienia. I ze Światłodzierzcą też. Coraz częściej łapałem się na tym, że rzeczywistość zaczynała giąć

się i wić, jak nanizana na haczyk rosówka, byle tylko dopasować się do moich durnych myśli.

I, szczerze mówiąc, zaczynało mnie to mocno przerażać, bo ja te myśli miałem naprawdę, ale to naprawdę głupie.

– Zek, dzieciaku, to nie jest temat na luźną rozmowę. Ja sam się dowiedziałem o tym przypadku. Podobno Eliasz w tym pośredniczył, a potem, jak jego zabrakło, to ja zacząłem odbierać od Flacidusa towar. Był taki jeden typ...

– Wiem, w Klatce, garbaty taki i śmierdzący – przerwałem mu. – I teraz też do Klatki jechałeś po towar, prawda? Bo tędy przecież linia kolejowa na północ idzie.

Westchnął, nawet nic nie powiedział.

Siedzieliśmy tak, ognisko dogasało, a wraz z nim rozmowa.

Zapadła długa cisza.

– Siliasz... – zacząłem nieśmiało. – A nie miałeś przypadkiem na tej swojej majtałce czteropak piwa?

Jego mina była warta każdych pieniędzy.



Znalezienie stojącej na bocznicy drezyny zajęło nam kolejne dwa sny marszu, poszukiwań, wkurzania się na siebie samych i siebie nawzajem, biegania, ukrywania się, walki o życie oraz innych typowych dla czasów po Apokalipsie, pozornie fascynujących za pierwszym razem, a potem do wyrzygania nudnych i rutynowych czynności.

– Bydlaki, wypili... – zawarczał eks-maszynista, patrząc na leżące wokół jego żelaznego rydwanu zmięte puszki. – I moją pukawkę ukradli. Co za czasy, powiem ci, dzieciaku! Nie można dać się porwać dzikim, żeby twoich rzeczy od razu ktoś nie rozparcelował...

– Mhm. Masz szczęście, że mieli więcej, niż ty i ja, oleju w głowie i brali tylko przydatne rzeczy! – zawołałem, rzucając mu wyciągnięty z krzaków hełm.

Spojrzał na mnie krzywo, ale nie powiedział nic. Udało nam się skompletować jakieś osiemdziesiąt procent jego wyposażenia, tylko prawy naramiennik ktoś musiał ukraść w całości, a od reszty poodcinał sprzączki i paski.

Wcale nie zdziwiło mnie to, że złodzieje nie zainteresowali się jego pancernym dildo-wachlarzem.

– Wandale cholerni! – pieklił się Siliasz, ułożywszy wyposażenie na ziemi.

– Sam bym tak zrobił. Aż dziw, że całej majtałki nie wzięli.

– Bez sworzni przekładni z miejsca nie ruszysz. A ja się, dzieciaku, nauczyłem... – Siliasz pogrzebał pomiędzy podkładami kolejowymi, wyciągnął spod żwiru kawał żelastwa – ...że kluczyków w stacyjce się nie zostawia. Daj mi pięć minut, Zekuś, i jedziemy, dokąd tylko chcesz!

Patrzyłem z pewnym rozrzwinięciem, jak otwiera mechanizm przekładni i zaczyna w nim grzebać, mrucząc coś do siebie pod nosem. Było prawie jak za dawnych czasów... Ale tylko „prawie”.

– Zawieź mnie do Klasztoru, Siliasz – powiedziałem.

Poruszył się gwałtownie, schowany pod brzuchem drezyny, i walnął głową w żelazną ramę. Zaklął, trzymając się ręką za potylicę wyjrzał spod maszyny.

– Dzieciaku, no coś ty? – zapytał, autentycznie przestraszony.

– Serio mówię, muszę się tam dostać. Tam mają archiwum i bibliotekę. Jeśli gdzieś trafię na ślad tego, na co nakierował mnie Jonasz, to tylko tam.

– A ten twój... no, ten pierzasty?

Siliasz mimo moich zapewnień nie ufał Azraelowi, a ja wolałem nie przyzywać Anioła, żeby go nie drażnić bardziej, niż było to konieczne.

– On ma dostęp tylko do danych operacyjnych, a tutaj trzeba pokopać o wiele głębiej. Jak z Jonaszem rozmawiałeś, to mówił coś jeszcze?

Potrząsnął głową, znów zanurkował pod dreżynę. Słuchałem metalicznego szczękania i pisku dokręcanych śrub.

– Nic, co miałoby głębszy sens, dzieciaku. Jemu już wtedy peron dawno odjechał.. No, gotowe, można spróbować!

Wyczołgał się, wdrapał na górę i siadł na ławeczce. Zrzucił hamulec, delikatnie nacisnął wajchę... Zaskrzypiało, zajęczało przeciągłe, koła zaczęły powoli się obracać.

– Eureka, chociaż w zasadzie to raczej „eppur si muove”. – Kiwnąłem głową z uznaniem. – Dobra robota, Siliasz.

– Ha! Nie takie siupy się w twoim wieku robiło! Wsiadaj, Zekuś, i jedziemy w cały świat!

No dobra, faktycznie było trochę jak dawniej.



Dreżyna jęczała i zgrzytała miarowo, koła wybijały swój rytm na spawach szyn. Sunęliśmy przez świat Po, niczym dwa duchy – niewidoczni dla większości, pojawiający się i znikający zbyt szybko, by ktokolwiek zdążył zareagować. Poza zasięgiem i pojmowaniem zwykłego człowieka.

Patrzyłem na mijane krajobrazy i próbowałem zrozumieć, ile czasu mogło w ogóle upłynąć. Jaki był układ sił? Jakie rzeczy, które znałem z własnego doświadczenia, były tutaj aktualne? Co nie wydarzyło się jeszcze, a co miało nie wydarzyć się w ogóle?

Próbowałem i zupełnie mi to nie szło.

Zdarzało nam się mijać osady, a nawet miasteczka – tak, miasteczka! – które zdawały się funkcjonować może nie to, że normalnie, ale na tyle efektywnie, na ile możliwe to było po biblijnej Apokalipsie. Ludzie usiłowali uprawiać tam niewielkie poletka, na resztkach łąk pasły się niewielkie stadka kóz i owiec. Raz przejechaliśmy nawet koło prymitywnego młyna, postawionego na jazie przy moście, chociaż nie mam pojęcia, co takiego można by w nim mieć.

Kiedy indziej znów przejeżdżaliśmy przez wielkie połacie jałowej, wypalonej pustki, na której nie pozostało dosłownie nic. Zazwyczaj ciągnęły się na nich-pobojowiska, gdzie zalegały trupy ludzi, wraki pojazdów i wypalone korpusy Wysłanników.

Ten świat nie umierał podobnie do poprzedniego, który znałem, na podobieństwo pacjenta podpiętego do systemów podtrzymania życia na opiece paliatywnej.

O, co to, to nie! Ten delikwent, jakkolwiek wycieńczony i na pozór bezsilny, był nadal chodzący i aktywny. Skłonny do napadów agresji i epizodów maniakalnych, po których przychodziła głęboka, suicydalna depresja z objawami schizofrenii paranoidalnej.

Im dłużej mu się przyglądałem, tym bardziej byłem przekonany, że mamy tutaj do czynienia z chronicznym pęknięciem duszy. Najprawdziwszym rozszczepem-kręgosłupa moralnego, klasyczną osobowością dualistyczną.

No bo jak inaczej określić świat, na którym ścierały się dwie potęgi rodem z Niebios, obydwie przeświadczone o swojej wyłącznej prawości, nieomyłności i słuszności wszelkich działań?! Gdzie okazywało się, że obydwie strony określały tę drugą mianem „armii tych złych”?!

Siliasz tłumaczył mi to, co sam wiedział. Wspólnie zastanawialiśmy się nad tym, co umykało nawet jemu. Uzupełnialiśmy nawzajem brakujące kawałki w swojej wiedzy.

– Ja ocierałem się o jednych i o drugich, dzieciaku – tłumaczył mi, siedząc na ławeczce i pogryzając lekko już zwietrzałe suchary śniadaniowe, podczas gdy ja „majtałem poprzeczką”, czyli w jego żargonie pompowałem w górę i dół dźwignią drezyny. – Więc nasłuchiłem się i napatrzyłem do woli. Aż nadto, powiem ci. Po pewnym czasie odróżniasz ich na pierwszy rzut oka, rozpoznajesz po ruchach, po tym, jak na ciebie patrzą...

– No i jak patrzą? – zapytałem, autentycznie zainteresowany.

– Jak na mięso, dzieciaku. Wciąż żywe, chodzące i myślące, ale tylko mięso. Przy czym dla jednych jesteś mięsem, któremu należy założyć postronek, zaprowadzić do rzeźni i tam poderznąć gardło, a to, co zostanie, spalić w piecu. No a dla drugich... – Wzdrygnął się.

Nie powiedział nic, splunął tylko w bok i wbił spojrzenie gdzieś w przesuwającą się wokół nas pustkę.

– Niech zgadnę: mięsem, z którym można najpierw porobić rzeczy? – podsunąłem usługnie.

– To jest chore, dzieciaku. Wynaturzone. Ja sporo widziałem na świecie, wiesz? Rozmawiałem z ludźmi i w ogóle. Narobiłem trochę kilometrów w życiu, a podróże kształcą. – Uśmiechnął się do wspomnień. – I serio, tak z założenia to nie mam nic przeciwko nikomu. Żyj i daj żyć innym, co nie? A przecież jak popatrzysz nawet po muzykach w moim pokoleniu, to kogo masz? No taki choćby Freddie Mercury... O, albo Rob Halford! Ten to był agent! – Zaśmiał się chrapliwie. – Ale serio, dzieciaku, żaden z nich nie biegał za tobą i nie próbował cię... No.

– Ano – przytaknąłem, nie czując się komfortowo w TYCH tematach.

– No więc masz ich dwóch, jak dwie strony tego samego złego szeląga. Faryzeusz siedział z początku na południu i tam nie wadził nikomu, ale podobno po tym, jak Michał rozkazał spalić Wieczne Miasto i pomaszerował na północ, to weszli w ostry konflikt. No i najpierw bili się na południu, jeszcze za górami, ale od jakiegoś czasu przelało się to na nasze rejony.

– O strefach kontroli pewnie nie ma mowy, co? Jak znam życie, to Góra trzyma się szlaków komunikacyjnych, dróg i rzek. Okopali się w większych miastach, jest kilka fortec, pewnie Klasztor i Cytadela, a reszta to wolna amerykanka.

– Prowincja to kompletny chaos, dzieciaku. Faryzeusz wygrywa tym, że nie chce od razu wszystkich mordować, więc prosi ludzi lgnąć do niego. Poza tym mówią, że gdziekolwiek się pojawi, ściągają do niego tłumy... Cholerny showman!

– A tymczasem Michał siedzi w Cytadeli i zawija w sreberko.

– Dokładnie tak. Na dodatek i jedni, i drudzy twierdzą, że gdzieś tam jest w tym wszystkim jeszcze jakiś Fałszywy Prorok. I że jak go złapią, to rzekomo wszyscy na tym tylko skorzystają. Wiesz coś może o tym, dzieciaku?

– Nie mam pojęcia, o kim może być mowa, Siliasz.

– Mhm, tak coś mi się właśnie wydawało. Jest jeszcze coś, czego mi nie mówisz?

– Jak ci próbowałem powiedzieć jeszcze na Arenie, to mnie wyśmiałeś – odgryzłem się. – A tak w ogóle to... O cholera, Anioł!
– Gdzie?!

Pokazałem palcem, Siliasz przysłonił oczy od słońca. Rzeczywiście, kawałek dalej przez pustkowie świata szła powoli postać w białej szacie, ciągnąca za sobą po ziemi skrzydła, niczym znużony wędrowiec.

Anioł szedł idealnie kursem kolizyjnym, zbliżając się ku nitce torów tam, gdzie widać było resztki przejazdu kolejowego.

– Szlag... Siliasz, zatrzymaj!

Miałem już pociągnąć dźwignię hamulca, ale Siliasz złapał mnie za rękę:

– Nie zdążymy wyhamować, dzieciaku. Objazdem za daleko będzie... Dawaj, na dwóch pokiwamy i go wyprzedzimy!

Naparł na wachkę ze swojej strony, zaczęliśmy pompować na zmianę. Drezyna nabrała prędkości, stukot kół zmienił tempo, wchodząc w krótszy interwał.

Anioł był coraz bliżej przejazdu. Widziałem już porwaną, upstrzoną dziurami po kulach tunikę i skołtunione pukle rudych włosów... No, ryżego jeszcze nie widziałem, przyznaję!

Anioł dotarł już do opuszczonego szlabanu, kiedy z hurgotem i zgrzytem kół wpadliśmy na przejazd.

Mignął tylko obok nas i został z tyłu.

Drezyna przemknęła obok budki dróżnika, zostawiając za sobą malejące szlabany, stojący na poboczu wypalony autokar i coraz mniejszą w perspektywie sylwetkę skrzydlatego Wysłannika.

– Uf, blisko było... Ha! Mówiłem, że damy radę! – Siliasz podniósł się, klepnął mnie w ramię. – Oj, zmachałem się, dzieciaku... To teraz ty sam pokiwaj trochę, a ja sobie odsapnę. Uuuf... Aleśmy go z tyłu zostawili!

Nie mówiłem nic, zaciskając tylko zęby i koncentrując się na pompowaniu wachką.

Skrzyp–skrzyyp, skrzyp–skrzyyp – jęczała przekładnia. Tutum–tutum, tutum–tutum, turkotały koła.

Byłem więcej niż pewien, że Anioł spojrzał mi prosto w twarz.



– Pobudka, dzieciaku. Dojechaliśmy. – Siliasz delikatnie, niemalże pieszczotliwie kopnął mnie w ramię.

Zawarczałem coś, gramoląc się z podłogi drezyny i próbując ogarnąć, co w ogóle się dzieje. Przetarłem oczy, zamrugałem... Popatrzyłem na budynek z wciąż widoczną nazwą stacji kolejowej.

– No chyba sobie żartujesz.

– Nic nie poradzę, bliżej nie dojedziemy. Stąd się przejdiesz na piechotę, spacer ci dobrze zrobi.

– Twierdziłeś, że dowiesz mnie pod sam Klasztor – powiedziałem z wyrzutem.

– A czym jest raptem kilkanaście mil w skali sieci kolei żelaznej całego kraju? Dzieciaku, czy ty masz pojęcie, jaka jest oszczędność na kilometry przewiezienia tego samego ładunku koleją, a transportem drogowym?

– Nie jestem cysterną z mazutem, Siliasz. Transport pasażerski rządzi się chyba innymi prawami.

– Pasażerska to nawet nie kolej, tylko większy tramwaj – oświadczył z wyższością eks-maszynista. – No już, dzieciaku, nie mazgaj się. Będę na ciebie czekał gdzieś tu w okolicy.

Przeskoczyłem na peron, wyładowałem plecak. Siliasz zsalutował mi, naparł na dźwignię.

– Hej, a jak cię znajde? Skąd mam wiedzieć, kiedy tu będziesz?! – zawołałem jeszcze za nim.

– Przyjdź na stację i czekaj, albo sprawdź na rozkładzie! Opóźnienia kolei wspólnym dobrem wszystkich pasażerów! – odrzyknął mi radośnie i pomachał ręką.

Spojrzałem na dawno zepsutą tablicę z niedziałającym zegarem i losowymi literami na wyświetlaczu. No cóż, w sumie to miał rację: dokąd się spieszyć, skoro czas jako taki już dawno poległ w starciu z końcem świata?

Wyjąłem z kieszeni rozkładaną mapę turystyczną, sprawdziłem kierunek, wytyczyłem azymut. No dobra, czyli idziemy tak, żeby mieć słońce po prawej i minimalnie z przodu... Fakt, w maksymalnie dwa sny powinienem dotrzeć na miejsce. Akurat wystarczy, żeby ułożyć sobie dobrą legendę.

No właśnie, skoro o legendzie mowa...

– ...Azi – westchnąłem.

– Tak, Ezekielu? – dobiegł mnie przesłodzony głos z okolic częściowo zarwanego daszku nad pierwszym peronem.

– Azi, powiedz mi: czy ja nadal jestem w Ewidencji? To znaczy, czy figuruję jako Komornik?

– Zapisy są rozmyte, Ezekielu.

– To ich nie poprawiaj. Ale musisz mi dodać Znamię.

Anioł zeskoczył z daszku na tory, potem machnął skrzydłami i z gracją podleciał na mój peron, wzniesając chmurę kurzu.

Zawsze się go w takich chwilach irracjonalnie bałem; przywykłem do traktowania go jak niegroźnego przydupasa do wyładowywania frustracji i zdarzało mi się zapominać, że tak naprawdę był śmiertelnie niebezpiecznym okruczem Absolutu.

– Nie możesz mieć dwóch Znamion, Ezekielu. – Pokręcił głową.

– Nie pierdziel, Azi. Miałem dwa przez długi czas, jedno z Areny, drugie z Korpusu.

– Nie możesz mieć dwóch jednakowych.

– Ach. Ale tego na czole nie mam przecież, prawda?

Anioł przyjrzał mi się, delikatnie przesunął kciukiem po moim czole. Zdziwił się wyraźnie. Obejrzał skórę dokładnie z jednej, z drugiej strony.

– Rzeczywiście – przyznał.

– No więc...?

– To będzie wymagało sporządzenia Załącznika do twojego Kontraktu, Ezekielu. Musisz w nim zaświadczyć, że...

– Zgoda.

– Ponadto przyznasz, że w wyniku okoliczności poza twoją kontrolą, doszło do nieprzewidzianego...

– Zgoda, przynaję.

– W związku z czym zwrócisz się o...

– Zwracam się pokornie. Możemy?

Uklęknałem przed nim, odchyliłem głowę w tył i rozłożyłem ręce, zamykając oczy. Poczulem, jak podkłada mi jedną dłoń pod kark, a drugą kładzie na czole... Ręce Anioła były zimne, niczym wykute z marmuru.

– Ależ naturalnie, Ezekielu. Obiecuję, że nie będzie bolało.

– Obiecanki cacanki, a głupiemu... – zacząłem, ale nie zdążyłem dokończyć.

Kiedy ocknąłem się z pulsującą bólem głową, Anioła już nie było. Ostrożnie dotknąłem wypalonego do kości, wciąż dymiącego Znamienia.

Poleżałem trochę, poczekałem, aż miną mi nudności. Zebrałem swoje rzeczy. Z ciężkim sapnięciem zarzuciłem plecak na ramię.

– Komu w drogę, temu pora umierać – mruknąłem, stawiając przysłowiowy pierwszy krok.



Na obwoźnego handlarza natknąłem się przypadkiem.

„Przypadkiem” w znaczeniu „nie próbowałem o nim myśleć i raczej nie odpowiadałem za jego pojawienie się w tym właśnie miejscu i chwili”. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że przydałoby się ukoszernić ubranie, tak bardzo przywykłem już do chodzenia w byle czym.

Tymczasem to on jako pierwszy zagadnął mnie, gdy siedziałem sobie na poboczu:

– ...Nie boisz się tak chodzić? – odezwał się, zaglądając mi w twarz.

Podniosłem wzrok, otaksowałem go niechętnym spojrzeniem.

– A ty się nie boisz tak zagadywać nieznamymych? Może jestem tak naprawdę poszukiwanym zbiegiem albo przestępcą? Albo, nie daj Boże, groźnym renegatem?

Zajrzał mi twarz, pokręcił głową.

– Eee no, coś mi nie wyglądasz na renegata. Ale jak natkniesz się na patrol, to szybko może się to zmienić.

– W sensie?

– W sensie, no... – Wymownym ruchem pokazał na moje całkowicie niekoszerne ciuchy. – Jak cię złapią, to od razu czapa. Masz szczęście, że Pierwszego akurat nie ma, bo na tym by się nie skończyło. Na samowolkę się poszło, co?

Odruchowo położyłem rękę na gladiusie, potem dotknąłem świeżo wypalonego na czole Znamienia.

– No, tak jakby, w sumie to tak. Ale nie wydasz mnie, prawda?

– No nie wiem, nie wiem. Zastanowię się... – Zrobił palcami wymowny gest liczenia pieniędzy. Zmienił od razu i wyraz twarzy, i ton, kiedy ja równie wymownie wyciągnąłem do połowy miecz z pochwy. – Nie no, pewnie, że nie. Trzeba przecież sobie pomagać. Ja ciebie nie wydam, ty ze mną pohandlujesz, i wszyscy zadowoleni!

– No już, już. Pokaż, co tam masz – zgodziłem się.

Zrzucił z ramienia torbę, odwiązał sakwę, rozpiął sprzączki plecaka z przodu, zaczął powoli wysupływać się z uprząży noszonego na plecach okazałego stelaża. Przy każdym jego ruchu pobrzękiwały przyłączone do tego majdanu dzwonki i kołysała się smętnie wisząca na długim kiju wypłowiała chorągiewka.

Z pewnym podziwem patrzyłem, jak rozstawia swój przenośny kram. Miał tam kilka płacht wyprawionej skóry, do których już doczepione były towary na sprzedaż, rozkładany stolik z zydelkiem i nawet miniaturową wagę apteczną z zestawem odważników.

Na końcu wbił w ziemię dwa kije i rozpiął pomiędzy nimi płachtę, dociążoną z tyłu kilkoma ciężarkami.

– Ta–daam! – Rozłożył ręce tryumfalnie. – Kupujcie, sprzedajcie, wymieniajcie, dobrzy ludzie! Wasz niezastąpiony Zachariasz przybył do miasta! Gdyby Chrystus żył, już by biegł tutaj z batem, tak oburzająco niskie są moje ceny! Wyprzedaj wszystkie, zaiste godna końca świata! Kram już otwarty, kupujcie, sprzedajcie, wymieniajcie!

Poczekalem chwilę, pozwalając, żeby echo jego głosu zamarło pośród otaczającej nas absolutnej pustki. Podniosłem się i podszedłem nonszalancko, od niechcenia oglądając rozłożone rzeczy.

– Chce ci się tak z tym zapierdalać po świecie?

– No a jak, dobry panie! Ruch to życie, a w najtrudniejszych czasach najwięcej zyska ten, kto nie boi się zainwestować i puścić pieniądza w obieg! To prosta zasada pomnożenia kapitału, która...

– Mnożenie jest niekoszerne – przypomniałem mimochodem, oglądając lnianą tunikę z obszyciem pod szyją.

– Ale pomnażanie już nie, mój dobry panie! Mój kram jest zgodny z wszelkimi zasadami i przepisami Księgi Kapłańskiej i Powtórzonego Prawa, mam nawet na to specjalny certyfikat. Co więcej, jesteśmy tak koszerne, że przestrzegam nawet Szabasu!

– Czyli co, co siódmy sen siedzisz na dupie tak długo, aż zachce ci się spać?

– Nie, podkładałem pod tyłek bukłak z osoloną wodą i rozpinam żagiel. – Wyszczerył się, jakby ta jarmarczna sztuczka była szczytem przebiegłości. – Tylko u Zachariasza, tylko tu i teraz! Najlepsze towary w najlepszych cenach, rzemiosło godne Świątyni Salomona!

Pooglądałem, pomarudziłem dla zasady. Siłą rzeczy nie śmierzdziałem groszem, więc pozostawał mi tylko barter. Na całe szczęście miałem jako takie pojęcie o tym, co w świecie Po było towarem chodliwym, a już w trakcie podróży z Siliaszem poczyniłem określone ruchy w kierunku zatowarowania.

– No nie wiem, nie wiem... – wydziwiał Zachariasz. – To przecież niekoszerne jest.

– Wystarczy zrobić tak, o! I się Góra nie zorientuje. Uwierz mi, przerabiałem to na sobie. Miałem znajomka, co sobie uszył koszerne adidasy!

– ...Nie?

– A jak! Ze skóry zrobił wykrój, podbił miękkim futerkiem, podeszwę wyprofilował jak trzeba. Znalazł gdzieś kauczuk, przetopił koszerne... A jeszcze inny, obcykany jak mało kto, płaszcz z azbestu sobie uszył.

– Azbest? To przecież niekoszerne...!

– A gdzie tam! Jeszcze w Rzymie pisali, że są włókna, co ich się ogień nie ima. – Machnąłem ręką. – Skąd się niby opowieści o salamandrach brały, co w ogniu żyją? Więc jak dobrze pokombinować, to wszystko się da ukoszernić... No to co, przybijamy?

– Przybijamy! Najlepsze towary, najlepsze ceny! Tylko u Zachariasza...!

Rozstaliśmy się w doskonałej komitywie, zapewne obydwa przekonani, że tego drugiego zrobiliśmy w bambuko. On spakował swój kram, zarzucił sobie na plecy i powłókł się dalszą drogą, zapewne w kierunku Klatki i dalej, na Cytadelę.

Ja natomiast, poprawiając ciutkę przyduże, używane sandały i próbując ułożyć bieliznę termoaktywną tak, żeby nie wystawała spod rękawów koszernej tuniki, podążyłem w kierunku Klasztoru.



Uszedłem dobrą połowę drogi, kiedy po prawej stronie pojawił się doskonale widoczny na tle czysto błękitnego nieba, ażurowy kształt złamanego w połowie masztu telekomunikacyjnego.

Z początku próbowałem go ignorować. Ot, był sobie maszt, no to sobie był. Nie będę przecież przejmował się każdym elementem niekoszternej infrastruktury, jaki napotkam, prawda? Stoi taki, no to niech stoi. Na zdrowie.

Potem zacząłem sobie racjonalizować. Miałem przecież ważniejsze rzeczy do roboty. Szedłem do Klasztoru, chciałem sprawdzić tamtejsze archiwa. Bez sensu by było, gdybym miał się rozdrabniać. Na pewno teraz, kiedy udało mi się w końcu złapać w otaczającym mnie spierdoleniu jakiś trop, pozwalający mi nadać określony kierunek moim podróżom.

W końcu uciekłem się do najbardziej desperackiego wybiegu, a więc do warunkowania zwrotnego za pomocą komunikatów auto-despotycznych.

– To bez sensu, Zek. Nie masz dziesięciu lat, żeby coś takiego robić. Nie tędy droga, nie będziesz narażał całości dla jakichś swoich wymysłów – burczałem sam do siebie głosem własnego ojca. – Nie zachowuj się jak baba, nie bądź mięczak. Nigdzie nie idziesz, młody człowieku...!

Po czym w końcu machnąłem ręką i skręciłem z trasy, kierując się dokładnie tam, gdzie starałem się nie iść.

Czułem, że robię coś głupiego. I powiedzmy to otwarcie: zrobiłem coś głupiego. Natomiast nie potrafiłem inaczej.

Lekko przekrzywiona, ułamana w połowie wieża telekomunikacyjna na tle czystego nieba była widoczna z daleka. Wysoka, niepasująca do otoczenia, wysmukła konstrukcja stała w niewielkim, umierającym sobie powoli zagajniku, obrośnięta wspinającymi się ku słońcu pnączami dzikiego wina.

Łagodny blask słońca oświetlał nachylone na zachód zbocze pagórka, na którym ciągnęły się równiutkie grządki tarasowe z szeregami posadzonych roślinek. Czysta, nieskażona woda sączyła się rurkami kropelka po kropelce ze stojących pod ścianą domku beczek.

Kiedy zacząłem schodzić w dolinę, z daszku komórki poderwało się z łopotem kilka gołębi. Stadko zatoczyło krąg nad moją głową i wróciło do klatek, pogruchując radośnie.

Pieprzona sielanka, nie ma co.

Gdy byłem już zupełnie blisko, podwiązujący pędy karłowatych, pomarszczonych ogórków staruszek wyprostował się, przysłonił oczy od słońca.

– Powitać podróżnika! Skąd to drogi prowadzą? – Machnął mi ręką.

– Och, długo by opowiadać. Mam coś dla pana... To jest, dla panów.

– Dla nas? – zdziwił się. – Ale my niczego nie... Ojej. Och. Jej. Oj...

Podszedł bliżej, wyciągnął przed siebie obydwie ręce. Cofnął je, wytarł o tunikę. Z niemalże nabożną czcią, ostrożnie, samymi czubkami palców ujął wyświechtane, wypłowiałe, posiepane na pozaginanych rogach opakowanie z lakierowanej tektury.

– Tak pomyślałem, że się wam spodoba. Nie jestem żadnym znawcą, ale...

– Znaczą? Mój dobry Boże! – Podniósł na mnie oczy. – To jest przecież... To jest biały kruk! Skąd pan to ma?!

– Znalazłem przypadkiem. Podoba się?

Taka była prawda. Winył po prostu leżał sobie pośród dziesiątek, może i setek innych w zrujnowanym antykwariacie muzycznym, kiedy wspólnie z Siliaszem szukaliśmy ubrań w tamtym miasteczku... I tak już wtedy o tym pomyślałem. A jako że akurat na każdej płycie doklejona była metka z ceną, to niewiele się zastanawiając, wziąłem najdroższą i najstarszą, jaka wpadła mi w ręce.

– Czy się podoba? To przecież rarytas! Jak my się panu... Jaf, Jafciu! – zawołał w kierunku pagórka, z którego niosła się w niebo delikatna, ledwie widoczna strużka siwawego dymu. – Jaf, mamy gościa! Przepraszam, gdzie moje maniery... Anastazjos jestem. Napije się pan herbaty ziołowej?

– Zek, Ezekiel w sensie. Z przyjemnością. – Uśmiechnąłem się, rozglądając po okolicy.

Gdy wspięliśmy się ku wieży, spomiędzy zabudowań wytruchtała łaciaty, ślepy na jedno oko, kulawy kundelek. Obwąchał mnie, wydał z siebie kilka głuchych, dychawicznych imitacji szczeknięcia. Staruszek tupnął nogą, pies podkułił ogryzek ogona i wrócił na swoje legowisko pod komórką.

– Pan się nie boi, on nie gryzie. – Machnął lekceważąco ręką.

– Wiem, nie boję się.

– Proszę, proszę wejść... Gość w dom, Bóg w dom.

Odchrząknąłem, nie skomentowałem.

Schowaliśmy się do ciemnego, chłodnego wnętrza wbudowanej pod słup telekomunikacyjny chatynki. Nie było tu luksusów: prosty stół, dwa krzesła nie do pary, mocno zabytkowa, żeliwna kuchenka. Na ścianach wisiała cała kolekcja starych plakatów filmowych, takich jeszcze z czasów, gdy malowano je ręcznie po to, żeby zaciekawić odbiorcę wrażeniem, a nie opowiedzieć mu fabułę... No a w rogu stał najprawdziwszy patefon na korbkę i kolekcja płyt.

Pachniało tu suchym sianem i dymem drzewnym, lawendą i szyszkami... Staranną, wypielęgowaną czystością, utrzymywaną pomimo trudności życia codziennego.

Pachniało prawdziwym domem.

Uśmiechnąłem się wbrew sobie, przejechałem palcami po grzbietach płyt.

– Musicie, panowie, trzymać je gdzie indziej – poradziłem.

– ...Słucham?

– Nie trzymajcie niekoszernych rzeczy w miejscu, w którym mieszkacie. W ten sposób ich aura... – Machnąłem ręką. – Nieważne. Śpicie i mieszkacie w jednym budynku, rzeczy trzymajcie gdzie indziej.

– Dzień dobry, panie...? – rozległ się głos od wejścia.

– To jest nasz gość, pan Zek. Zobacz, co nam przyniósł! – przedstawił mnie Anastazjos, pokazując tamtemu płytę.

Drugi mężczyzna był w jakiś sposób podobny do tego, który mnie przywitał: gładko ogolony, wypielęgowane ręce, czysta lniana koszula... Obaj musieli być dobrze po sześćdziesiątce, jednak byli z rodzaju tych, którym wiek tylko dodaje uroku: żyłaści, czerstwi. Młodzi duchem.

Nowo przybyły kiwnął mi głową, odłożył na stół zawinięte w lnianą szmatkę dwa krążki pachnącego wciąż dymem wędzonego sera. Wytarł dłoń w ściereczkę, wyciągnął na przywitanie:

– Jafet. Fiu, fiu... Piękny dar. Czym sobie zasłużyliście?

Spojrzałem na nich obydwu.

Na trzy kubki z poodpryskiwaną emalią, w których powoli wirowała zalana wrzątkiem suszona pokrzywa, kwiaty rumianku, liście brzoźowe i kawałki pokruszonej kory z dębu.

Pomyślałem sobie o życiu, jakie musieli tutaj wieść wbrew wszystkiemu i wszystkim.

– ...Bądźcie dla siebie dobrzy – wykrztusiłem przez zaciśnięte gardło.

– Słucham? – Jafet lekko unióś brew.

Wziąłem jeden z kubków, upiłem spory łyk, dotkliwie parząc sobie język i wargi. Skrzywiłem się, ale usiorbałem jeszcze jednego. Czysto dla smaku... I trzeciego, dla

własnej satysfakcji.

– Bądźcie dobrzy dla siebie, proszę. Nie zmieniajcie się, nie wstyďte tego, kim i czym jesteście. To... – Zrobiłem ruch ręką, jakbym chciał objąć cały świat, Górę i to, co z nim zrobiła. – To się kiedyś skończy, w taki czy inny sposób. A wtedy będzie liczyło się tylko to, czy byliście porządnymi ludźmi.

– Panie Ezekielu, chyba nie rozumiemy. – Anastazjos potrząsnął głową.

– Nieważne. Dziękuję panom za herbatę... I do widzenia.

Podniosłem się, wyszedłem z chatki. Kątem oka widziałem, że wyszli za mną, stanęli w drzwiach; Jafet zapytał o coś Anastazjosa, tamten wrzucił ramionami, odpowiedział, ale słowa nie doleciały już do mnie. Ich kundelek pokuśtykał za mną kawałek drogi, ale potem zawrócił.

Zostałem sam. Zszedłem w dolinkę, potem ruszyłem wzdłuż strumyka, w końcu odbiłem na południe, aby dotrzeć do trasy, którą tutaj przyszedłem, zbaczając z mojego szlaku.

– To było głupie, Ezekielu – odezwał się idący obok mnie Anioł Śmierci.

– Spierdalaj – odgryzłem się standardowo.

– Przecież wiesz, że prędzej czy później przyjdzie po kolei pora każdego z nich. Po co odwlekasz nieuniknione?

Doszedłem do miejsca, w którym wcześniej, jako się rzekło, zrobiłem coś głupiego. Zatrzymałem się, odwróciłem do Anioła i spojrzałem prosto w te jego oczy, puste i nieprzeniknione niczym niklowane stalowe kulki.

– Bo tylko to się liczy, Azi. I tak naprawdę nie ma nic nieuniknionego na tym świecie. Wszystko jest wynikiem naszego wyboru.

– Po nim przyjdą kolejni, Ezekielu. I jeszcze następni. – Anioł pokazał ręką w bok.

Spojrzałem w kierunku poczerniałych, wciąż dymiących kości, leżących pod krzakami w niewielkim placku czarnej sadzy, układającym się w zarys ludzkiego ciała.

– Pewnie tak, Azi. A mimo to ten dzień nie nastąpi jeszcze dziś.

– I dlatego zabiłeś innego Komornika, Ezekielu?

– Tak, dokładnie dlatego! – wybuchnąłem. – Bo jego śmierć dostanie w papierach wyższy priorytet, niż tych dwóch podstarzałych gejów, rozumiesz?! I zanim to Zlecenie zostanie przez kogoś podjęte, to oni mogą się ogarnąć, poprzenosić te pierdoły do komórki, i może pożyć jeszcze trochę!

– W końcu jednak umrą i oni, Ezekielu.

– Kiedyś umrę i ja, w końcu każdy z nas kiedyś umiera – rzuciłem mu w twarz cytatem z Wysockiego, niczym brudną szmatą do podłogi. – Daj to Zlecenie na mnie.

Anioł zawiesił się na chwilę.

– Możesz powtórzyć, Ezekielu? – Przekrzywił głowę.

– Daj je na mnie, mówię! Skoro odjechałem tego nieszczęśnika, to jego fucha wisi w próżni... Przekieruj ją na mnie, zanim ktoś inny to zgarnie.

– Chcesz zatem ich... zabić?

– Tak!

– Mimo że chcesz, aby żyli jak najdłużej? To nielogiczne, Ezekielu.

– Życie jest nielogiczne. Dasz to Zlecenie na mnie, czy nie?

– Jak sobie życzysz, Ezekielu.

Podał mi zwój, ja wściekle wyszarpnąłem mu go z ręki, wepchnąłem do sakwy. Nawet nie oglądając się za siebie, sadząc długie kroki ruszyłem w kierunku Klasztoru.

Byłem wściekły, ale po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu również zadowolony z siebie



Rozdział XI



Klasztor wznosił się na niewielkim pagórku u brzegu Rzeki, górując dwiema wieżami z szarego kamienia ponad całą okolicą.

Przyznaję, że maszerowałem wykładaną kocimi łbami dróżką, czując w piersi przyjemny ucisk nostalgicznego wzruszenia. W czasach, kiedy ja sam zaczynałem moją służbę w Korpusie, to miejsce było wśród Komorników swoistą legendą, prawdziwie bijącym sercem całego systemu.

To właśnie tutaj, pomiędzy wysokimi murami o wąskich okienkach a rozłożonymi na pobliskich wzgórzach winnicami, stawiałem moje pierwsze kroki na obozach szkoleniowych.

Stąd wyruszałem na misje: najpierw jako skrzydłowy przy bardziej doświadczonej grupie, potem we dwójkę z kolegami i koleżankami po fachu, aż w końcu sam, jako doświadczony i szczywany Komornik na własnym prawie.

Tak, było tutaj sporo wspomnień, wszystko było pięknie... a potem się zesrało.

I nie chodziło tylko o fakt coraz bardziej zaawansowanej budowy Cytadeli, która stopniowo odbierała Klasztorowi jego prymat jako ośrodkowi garnizonowemu, szkoleniowemu i rzemieślniczemu. Tutaj pojawiły się zupełnie inne, ahem, zmienne. Zmienne, które w końcu doprowadziły Klasztor do równie spektakularnego co, moim zdaniem, niepotrzebnego upadku.

Ale jak widać, tutaj ten czas jeszcze nie nastąpił, zaś sama miejscówka trwała w najlepsze... O czym dobitnie świadczyły słyszalne już z daleka wrzaski.

– Powitał brata! – Komornik nadzorujący kaźń pozdrowił mnie gestem ręki.

– Ano, powitał, powitał. – Skinąłem, podchodząc bliżej. – Niech zgodnę: niezachowanie behape przy składowaniu przydziałowej broni?

– No a jakże! Przecież byłby dormitorium podpalił, i pięciu innych w środku... Nie drzyj się tak, nic ci nie będzie! Powtarzaj za mną: nie będę kładł broni przydziałowej pod siennik!

– Nie będę kładł broni... aaa! Przydziałowej pod... aaaa!!! – wrzasnął przybijany do krzyża, rozebrany do naga Komornik. – Aaa...!

– Ech, młodzi. Ile to musi potrać, zanim się nauczą... – westchnąłem. – Świeży pobór?

– A gdzie tam, świeży! Jeszcze z poprzedniego rzutu przecież, ale tamci to wszyscy jacyś niewydarzeni tacy, że nie wiem normalnie. Kładzie im się te zasady do głowy, a oni nie, dalej swoje robią.

Wziąłem się pod boki, zrobiłem groźną minę i zadudniłem teatralnie:

– Nic tak nie wspomaga bezstresowych metod wychowawczych...

– ...Jak solidny, kuty z żelaza pręt! – dokończył tamten ze śmiechem. – No jakbym starego Haggarda widział normalnie, wypisz wymaluj. No już, zagnijcie i stawiamy go, bo zaraz na posiłek będą wołać!

– Aaaaahaaa! Aaaa! Łaaaa! – zawył kaźniony, kiedy trzej Nawróceni wprawnie podnieśli krzyż i wsunęli w przygotowany, obłożony kamieniami otwór przy drodze. – Aaaaaaa...! Błagam, zdejmijcie mnie! Aaaa...!

– Poproś raczej kogoś uczynnego, żeby za nogi pociągnął, będziesz się krócej męczył – poradziłem.

– Ot, widzisz, Aspazjos? Ucz się od kolegi, co w lot łapie, o co chodzi! – Klasnął w ręce Komornik. – Dobrze gadasz, łysy, a nie widziałem cię tu jeszcze. Kto cię szkolił, hm? Normalnie pogratulować dobrego przygotowania!

– Pierwszy. – Skrzywiłem się niechętnie.

Wesołość spłynęła z twarzy tamtego. Odchrząknął, lekko speszony.

– Pierwszy... – powtórzył. – No cóż, to tak jakby gratuluje, że jesteś tutaj. Tak czy inaczej, dobrze gadasz... A ty się przestań drzeć w końcu! – huknął na nieszczęśnika na krzyżu, który faktycznie umilkł na chwilę. – Jak cię wołają, łysy? Bo ja Ozariasz jestem, Ozariasz Piąty.

– Ezekiel Siódmy. – Podąłem mu prawicę.

– Siódmy? No popatrz, jak już daleko zaszliśmy z numeracją... No, panowie, zbierać te kłamoty i wracam, bo na obiad już dzwonią!

Rzeczywiście, ponad Kłasztorem poniosło się dźwięczne echo dzwonka, zawieszono u drzwi do refektarza. Zostawiliśmy za sobą wijącego się na krzyżu, jęczącego i zachłystującego się płaczem nieszczęśnika, ruszyliśmy drogą pod górę.

– Kto jeszcze jest? – zagadnąłem z głupia frant. – Artorius może, albo Kenaniasz? Szamiramis? Bośmy razem Uniwersytet szturmowali...

– O, to się z Kenkiem znasz, no proszę! Wrócił ze dwa sny temu z misji, teraz ma odpoczynek. Artorius poszedł na jakąś robotę, podobno złapał zlecenie specjalne. Szamiramis nie widziałem już dłuższy czas, mówią, że gdzieś na południu teraz się kręci. Czyli mówisz, że byłeś na szturmie, tak? A w którym miejscu, bo ja też się tam przewinałem.

– Na trzecim rzucie – odpowiedziałem przytomnie.

– A, no widzisz, mnie podczas drugiego dziabnęli. Działo się tam podobno, oj, działo... Berachiasz jakiś skurwysyn renegat ukatrupił, uwierzysz?

– Niemożliwe...?

– No, tak mówili! Na śmierć go zabił normalnie! Mówią, że tego zjeba Eliasza tam w końcu dopadli. Ach, jak ja bym go w swoje ręce...! – zazgrzytał zębami.

Weszliśmy na dziedziniec. Aż uśmiechnąłem się do wspomnień: nic a nic się tutaj nie zmieniło! To było jak nostalgiczna wyprawa do pokoju dziecięcego... Albo raczej: dziecięcego obozu szkoleniowego jednostek specjalnych do ostatecznego załatwiania kwestii przeróżnych.

W sumie to nie powinienem był się uśmiechać, zbeształem sam siebie w myślach. To miejsce było złe, zdeprawowane i wynaturzone pod tak wieloma względami, że aż trudno to opisać.

I jeden z nich właśnie widziałem na własne oczy.

– Wio! Wio, żaloszny odrzucie ewolucji...! Wišta! Hejże, ha!

Końcówka okrzyku złała się w jedno z soczystym kłaśnięciem bicza o nagie plecy. Póznagi, zalany krwią człowiek we wciśniętej na głowę koronie cierniowej z drutu kolczastego wygiął się w pałąk; byłby upadł na ziemię, ale zamiast tego zawisł na rzemieniach przywiązanego mu do ramion jarzma.

Trzej pozostali ludzie w zaprzęgu – jeden w żelaznej masce na twarzy, drugi ubrany w skórzaną uprząż godną niemieckiego kina sado-maso lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku i trzeci, z dowiązaną do jąder girlandą okrągłych dzwonek – szarpnęli się naprzód. Widać jednak było, że ani ich trzech, ani czterech, ani ośmiu nie zdołaloby ruszyć z miejsca pokracznej imitacji pojazdu.

– Rydwan spierdolenia – warknąłem pod nosem. Od razu zreflektowałem się, ale Ozariusz tylko spojrzął na mnie z ukosa, pokiwał głową:

– No, tak go tu nazywamy, więc trafieś w sedno, łysy. Słyszałeś o naszej Świętej, co?

– Więcej, niż bym chciał...

– Wiśta, wio! – wydarła się stojąca na rydwanie kobieta, raz za razem lejąc nahajem nagich, wijących się pod uderzeniami ludzi.

Święci byli... no cóż, byli specyficzni, to już się gdzieś po drodze rzekło co najmniej kilka razy. Niektórzy mogli wydawać się relatywnie niegroźni, jak chociażby snujący się po drogach i bezdrożach, wiecznie przepędzany z miejsca na miejsce święty Amator, który za sens i cel swojego istnienia obrał sobie bycie pierdolonym Wujkiem Dobra Rada, co siłą rzeczy musiało prędzej czy później zaskarbiać mu całkowicie bezinteresowną i wręcz bezgraniczną nienawiść każdego, kogo tylko obrał sobie za cel swojej uwagi.

Inni, jak na przykład wskrzeszona i spotkana przeze mnie w Wiecznym Mieście męczenniczka Święta Pryska, byli maniakalnymi, socjopatycznymi zjebami, którzy zeszli z tego świata w sprzężeniu zwrotnym z zadawanym im bólem i cierpieniem, po czym w podobnym stanie ducha na ten świat powrócili, pragnąc jedynie zemścić się na wszystkich i wszystkim co żyło.

Kolejna część była zwykłymi poczciwinami, takimi jak dajmy na to Święty Hieronim, siedzący w swoim wielkim ogrodzie z kamieni i zwyczajnie czekający na to, co przyniesie dalszy rozwój wypadków.

Natomiast co poniektórzy całym swoim jestestwem pokazywali, że świętość nie jest dana raz na zawsze, a skurwysyństwo zawsze znajdzie sobie ujście i uzasadnienie – i do tych właśnie zaliczała się okupująca budynek Bramy Rzecznej, nieproszona i w sumie to niemile w Klasztorze widziana Święta Agnieszka.

Święta Agnieszka była wyrazistym, podręcznikowym wręcz przykładem tego, że śmierć męczeńska nie powinna być powodem do uznania kogoś za autorytet. Szczególnie kogoś, kto w wieku lat dwunastu myślił sobie, że do końca życia planuje pozostać dziewicą... Nie wiem, czy bardziej popierdolona była kultura, która przymuszała nastoletnie dzieci do wychodzenia za mąż i rodzenia kolejnych dzieci, czy to, jak te dzieci się temu przeciwstawiały. Nie chcę wiedzieć.

Dość, że żyjącą gdzieś tam w trzecim czy czwartym wieku naszej ery Agnieszkę, która nie chciała zgodnie z wytycznymi partii rządzącej dać świadectwa i przyczynić się do zwiększenia dzietności ojczyzny, radośnie skazano na śmierć. Logiczne, kurwa, co nie? Potrzebujemy więcej ludzi, więc zabijmy tych, co w wieku lat dwunastu nie chcą się rozmnażać.

Przekazy mówiły, że ci, którzy chcieli ją – wówczas młodziczką, niewinną dziewczynę – zbezcześcić i kaźnić, zostali osłepieni Boskim światłem, ułożony pod nią stos nie chciał się palić, a ona jeszcze mimochodem kogoś wskrzesiła. Bodajże typa, co chciał się z nią ożenić, albo jego syna... Albo obu może, nie wiem. Tak czy inaczej, hagiografia nie pozostawiała wątpliwości: chcieli ją męczyć, ale im się nie udało.

Oczywiście, musiała być to gówno prawda, bo inaczej by nie została męczenniczką, co nie? Więc zakładam, że najpierw obdarto ją z szat, potem pewnie ogolono włosy żardzewiałym nożem wraz ze skórą głowy, w końcu przypiekano na wolnym ogniu i ścięto, a ona przez cały ten czas darła się z bólu – robiąc dokładną odwrotność tego, co podają nam przekazy.

Święta Agnieszka była dziwna, naprawdę dziwna. Ubrana w te swoje zwiewne, ciągle lekko różowawe i wilgotne od krwi szaty, ze świeżo zdartą skórą baranka zarzuconą na ramiona i burzą zaplecionych w gruby warkocz rudych włosów, kojarzyła się raczej z istotą, którą można byłoby spotkać w Rewersie, niż bytem tolerowanym przez Górę. Na oko miała ciało dwudziestolatki, twarz piętnastki, a psychikę... No cóż – była wręcz klinicznym przykładem przeseksualizowanej, usiłującej desperacko przykręcić czymkolwiek swoje problemy alternatywni z przemocowego domu.

W sumie chyba nikt nie pamiętał, dlaczego to kurwiszcze przyzłażło do Klasztoru i dlaczego pozwolono jej zamieszkać w Bramie. Dość, że zajęła ją przez zasiedzenie, a zanim poznaliśmy się, co z niej za ziółko, było już za późno, bo zdążyła – i to dosłownie – zapuścić swoje smukłe, zwinne paluchy w nazbyt wiele spraw.

Święta Agnieszka ruchała się ze wszystkimi. Dosłownie. Tak po prostu, bez szczególnego powodu ani celu, jak klasyczna nimfomanka: wystarczyło dać jej pretekst, rzucić najmniejszą zachętą, a ona już wyskakiwała z ciuchów.

W łóżku była dobra, to jej trzeba przyznać. Sam popełniłem kiedyś ten błąd, że dałem jej się zaciągnąć do jej barłogu... A ta wariatka dosiadła mnie tam, niczym ogiera, po czym w najwyższym punkcie klimaksu skręciła mi kark.

Serio, byli ludzie, co po prostu lubili się ruchać. Byli tacy, co byli rozpustni, rozwiążli i w ogóle. Były też osoby z nimfomanią, która wbrew obiegowej opinii nie jest niczym ani fajnym, ani przyjemnym. I było to, co odpierdalała nasza Święta. Bo jej nie interesował ani seks, ani przyjemność, ani nawet cielesność – a wyłącznie zadawany innym ból.

Agnieszka miała szczególną słabość do tableaux vivants – godnych piachów Areny Dłużników żywych obrazów, do których wykorzystywała sprowadzanych jej z okolicy Grzeszników, albo nawet i okazjonalnego Dłużnika, odsprzedanego przez Komornika, który akurat potrzebował takiej albo innej przysługi. Uwielbiała przebierać tych ludzi w stroje z epoki, każąc im następnie odgrywać przeróżne scenki biblijne czy apokryficzne, którym zawsze nadawała własny, makabryczny ton.

Oczywiście, jej ludzkie zabawki były zawsze jednorazowe, a potem my musieliśmy sprzątać po niej dziedziniec, wywożąc zwłoki wózkami i wrzucając je do Rzeki.

I jak teraz o tym myślałem, patrząc na nią, stojącą w nimbie złocistej aureoli wokół twarzy na wielkim, okutym złotem rydwanie i biczącą na śmierć jej ludzki zaprzęg, to byłem niemalże pewien: wszystko, co robiła, musiało mieć milczącą, przychylną aprobatę tego zjeba Archanioła Michała.

– Wiooo! – wrzasnęła na całe gardło, uderzając biczem tak, że ten zakręcił się wokół szyi jednego z ludzi.

Szarpnęła z całej siły, nieszczęśnik zacharczał i upadł na kolana; jego twarz przybrała kolor pąsowy, potem purpurowy, w końcu sinofioletowy... Święta Agnieszka zaparła się nogą o front rydwanu i pociągnęła bicz obiema rękami.

Sucho trzasnęła pękający kark, głowa tamtego wygięła się w tył pod nienaturalnym kątem. Widząc, jak tkanki zaczynają puszczać, a z rozerwanego gardła sika krew, odwróciłem wzrok.

Na całe szczęście przeszliśmy już przez dziedziniec, schowaliśmy w ciemnym, chłodnym wnętrzu zabudowań samego Klasztoru. Przejście w lewo, potem drzwi po

prawej... Tak, zapach jedzenia był już aż nadto wyczuwalny, a potem wkroczyliśmy do refektarza.

Przy długim, zbitym z solidnych dech stole siedziało już dobre pół tuzina Komorników i co najmniej dwa razy tyle ludzi, stanowiących ludzką załogę Klasztoru. W sumie nie zmieniło się tutaj wiele względem tego, co zapamiętałem – ot, broń na ścianach wisiała w nieco innej konfiguracji, stół zamiast w poprzek, stał wzdłuż pomieszczenia, tak jak zawsze mówiliśmy, że należało go ustawić... I tylko kandelabr na lampki oliwne, jak zwykle wisiał krzywo pod sklepieniem, bo nie było go komu poprawić.

Kenaniasz siedział akurat tyłem do wejścia, więc mnie nie zobaczył. Tym bardziej, że zajęty był opowiadaniem czegoś słuchającej go z uwagą grupce.

– ...Dobrego dojsia! I ja mu mówię: człowieku, przecież to nie będzie zaraz miało znaczenia, bo oni wszyscy zginą! – głosował radośnie. – A on mi na to: no tak, panie władzo, ale przecież jakaś kolejność musi być!

– Aaahaha! He, hehe! – zaśmiali się jego towarzysze.

Ktoś sięgnął miską, zaczerpnął ze stojącego na stole, parującego gara ze strawą. Leżące w stertach pszenne placki szybko znikwały, rozchwytywane przez sięgające raz po raz dłonie. Bulgotało rozlewane do glinianych kubków, słynne w całym Korpusie wino.

Za u szczytu stołu siedział górujący nad wszystkimi o głowę, ubrany w narzucony na białą tunikę skórzany fartuch, piękny niczym wyrzeźbiony w spiżu posąg, roześmiany od ucha do ucha Święty Teodor.

– Słuchajcie, ale to nie jest najlepsze! Bo ja to w ogóle kiedyś miałem taki przypadek, że... O cholera jasna! – Stratilata zamarł z kęsem chleba niesionym do ust, pokazał na mnie ręką dramatycznym gestem.

Zazgrzytały ławy, zaszurały nogi, kiedy bez mała wszyscy odwrócili się i spojrzeli wprost na mnie.

No dobra, eee... do końca o takim wejściu myślałem.

– No więc, nie... Cześć, dzień dobry wszystkim. Siemano, Teoś. – Pomachałem ręką, czując się jak ten nowy uczeń dodany do klasy w połowie roku szkolnego.

Od stołu podniosła się wielka, zwalista postać brodacza, wspierającego się na nieodłącznym dwuręcznym toporze: Haggard. Śmiechy i gwar ucichły, jak ucięte nożem.

– Zek...? – rozległ się zdumiony głos Kenaniasza.

Do tej pory stojący obok mnie Ozariasz odsunął się o krok.

– Coś ty za jeden? – zadudnił Haggard, jak gdyby ignorując wszystko pozostałe.

– Uhm, Ezekiel Siódmy, legalnie działający Komornik. Ja nie chciałem przerywać, ale...

– Znacze go, panie? – Haggard zwrócił się do Teodora, który nadal gapił się na mnie wybałuszonymi oczami. – Bo ja na oczy nie widziałem.

Święty odruchowo wciągnął chleb, nawet nie gryząc zalał potężnym haustem wina i przełknął z trudem. Nie spuszczał ze mnie wzroku, pokiwał głową.

– Znam... Znam, a jakże! – oznajmił donośnym głosem. – Jak miałbym nie znać! Przecież my się widzieliśmy jeszcze w...

Urwał, zapewne widząc moje błagalne spojrzenie. Strzelił oczami ku Haggardowi.

– Ludzie, no to przecież Zek jest... – Kenaniasz rozejrzał się po innych, a potem posunął się na ławie. – Siadaj, człowieku, nie stój tak w wejściu.

Haggard łypnął na Teodora, potem na niego. Znów zawiesił na mnie ciężkie spojrzenie, w końcu skinął przyzwalająco.

– Przełam się z nami chlebem, bracie – zadudnił, siadając przy stole.

Taaak, nikomu nowemu nigdy nie było łatwo w Klasztorze, to też się zgadzało. Jako że nie było tutaj żadnej formalnie ustalonej struktury, to dosłownie o wszystkim decydowały sieci wzajemnych powiązań i zależności, układziki międzyludzkie, długi, zaszczości i rekomendacje... Sprowadzało się to do tego, że każdorazowo trzeba było po powrocie rozpychać się łokciami i kolanami, żeby chociażby zdobyć miejsce do spania.

Bo jak ktoś nie miał gdzie spać, to musiał próbować waletować na zewnątrz. A jak waletował na zewnątrz, to prędzej czy później zaczynała się dobierać do niego Święta Agnieszka... Ot, takie sobie odwrócone więzienie.

Wcisnąłem się pomiędzy Kenaniasza a siedzącą obok niego barczystą, ostrzyżoną na krótko Komorniczkę.

– Zek! – ucieszył się Kenek, poklepał mnie po plecach. – No kopę lat cię nie widziałem, jak leci?

– Dobrze, jakkolwiek nie tragicznie, poproszę inny zestaw pytań. Ależ ekipa tutaj, fiu, fiu...

Rozejrzałem się za miską, ale wyglądało na to, że kuchnia wydzielala tutaj sztukę na głowę, więc sięgnąłem po placek. Od razu wyciągnęło się po niego kilka innych rąk, więc błyskawicznym ruchem zerwałem go z półmiska, zwinąłem na cztery i zacisnąłem w garści.

Kolejna zabawa z młodymi: jak taki żółtodziób coś chciał wziąć, to mu się celowo podbierało. Ech, a już myślałem, że drugi raz tego nie będę musiał przechodzić.

– No, ale jak widać im nas więcej, tym weselej! Masz, Zek, napij się ode mnie... Co cię tutaj przywiało? Boś po szturmie na Uniwerek przepadł jak kamień w wodę!

– Tak mnie trochę rzuciło w wir różnych rzeczy. – Uśmiechnąłem się przepraszająco. – Wpadło jakieś tam Zlecenie, w międzyczasie trafił się Dłużnik...

Wszystko prawda, bo miałem otwarte Zlecenie na jednego z dwóch dziadków, którego nie zamierzałem nawet dotykać. Dłużnikiem zaś był Jonasz.

– Czyli jakoś tam się kręci! Dobrze że jesteś, akurat przyda się pomoc, bo duża robota się szykuje!

– O, coś ciekawego? – zainteresowałem się.

– Dziwna sprawa, bo przysłała grupówka bez górnego limitu uczestników. Podobno wcześniej próbowali to opędzić jakimiś zewnętrznymi podwykonawcami, ale sam wiesz, jaka z nimi jest robota! – zaśmiał się chrapliwie.

No proszę, Zlecenie wspólne. Dobra okazja na złapanie szlifów i kontaktów, a przy okazji pokazanie się jako część czegoś większego, co teraz dla mnie było sprawą niebagatelnie ważną.

Tym bardziej, że już wypatrzyłem pod ścianą trzymającego się jak zawsze na uboczu Ebrahima, pełniącego w Klasztorze funkcję bibliotekarza i archiwisty.

– Mogę wam pomóc, pewnie! – zgodziłem się bez szczególnego namysłu.

– No i super, to już nas ośmioro będzie! Ej, słyszałeś, Kserkses? Zek idzie z nami na sfinksa...!

– Super! – Siedzący dalej za stołem czarniawy brodacz wznosił kubek w geście salutu.

– ...Co? – wzdrygnąłem się.

– Na sfinksa idziemy! Zagnieżdżyło się podobno paskudztwo w starym centrum handlowym, gdzieś po drugiej stronie Rzeki, miejscowym spokojowi nie daje. Raz-dwa go opędzimy, a może jakieś skarby będzie potwora miała ciekawe?

No tak. Super. Po prostu świetnie.

Wepchnąłem w usta spory kawałek placka i zacząłem przeżuwać intensywnie, żeby przypadkiem nie palnąć czegoś jeszcze głępszego.

Dobrze się mój pobyt zaczynał, nie ma co.



– Szybciej, nie oszczędzać się tam! Co to ma być za technika... Dobra, zmiana! Zek!

Sapnąłem i pokręciłem głową, ale posłusznie potruchtałem do wnętrza kręgu szkoleniowego, gdzie stał po wygranej walce sparingowej Kleomarchos ze swoim zakrzywionym nożem.

Klasztor rządził się swoimi prawami, działając całodobowym rytmem pracy, szkolenia, odpoczynku i snu. Założenie było proste: jeśli nie odrobisz jednego, to najwyraźniej nie zasługujesz, żeby przejść do drugiego. Zresztą, dyscypliny pilnował tutaj żelazną ręką sam Haggard, zupełnie bezlitośnie pilnujący koszerności sprzętu, zachowań i języka.

Oczywiście, ja wiedziałem o Klasztorze zdecydowanie więcej niż ktokolwiek inny z tutaj obecnych, ponieważ wtedy, w innym świecie, byłem świadkiem jego rozwoju, wzlotu i wreszcie upadku.

I tak wiedziałem na przykład, że istniało graniczące z pewnością prawdopodobieństwo, że zawiadujący Klasztorom surowy brodacze od czasu do czasu, gdy wszyscy są zmęczeni, pijani lub zbyt zajęci czym innym, chadza sobie tylko znanym przejściem do dawnych piwnic pod budynkami. Tam otwiera noszonym na szyi kluczem pancerne drzwiczki, a potem, upewniwszy się, że nikt nie szedł za nim, przestępuje próg i rygluje je za sobą.

O tym, co robił tam Haggard, wiedziałem w tej chwili poza nim wyłącznie ja. Natomiast miałem świadomość, że to wiedza zupełnie bezużyteczna, a jej wartość przetargowa wynosi zero; Haggard był zupełnie nieprzekupny, a próby negocjacji z nim przypominały grę w trik-traka z cegłówką.

Zresztą, nawet gdy cała sprawa się jebła, Klasztor został objęty kwarantanną, zaś jego opiekun poddany wielodniowemu procesowi wyszukanych tortur, kaźni i przesłuchań, nie dali rady wycisnąć z niego ani słowa zeznań obciążających kogokolwiek innego.

Dlatego też czułem, że jeśli podejść do niego i powiem: ej, Haggard, wiem że masz w podziemiach piwnicę zajebaną pod sam korek sprzętem hi-fi i chodzisz tam, żeby posłuchać progresywnego rocka, swingu i starego jazzu, a poza tym lubisz popykać na starych ośmiobitowych konsolach i jesteś fanem gier sprzed ery pecetów – to on niewiele myśląc po prostu mi rozwali swoim toporem łeb, a potem ukryje ciało i zadba, żeby wszyscy o mnie zapomnieli.

Tak więc Haggarda od razu skreśliłem z mojej listy potencjalnych celów do wkupienia się w łaski, zamiast tego decydując się na granie przez jakiś czas roli dobrego, posłusznego i przykładowego Komornika.

– Bierz go, Kleoś! – zawył ktoś z tłumu.

Kleomarchos uśmiechnął się wrednie i ruszył na mnie, zaślaniając się tarczą.

Obserwowałem go wcześniej, jak walczył. Widziałem, że jego styl jest mocno znajomy. Niczym dalekie, wyblakłe echo czegoś, co niegdyś dobrze znałem.

Znałem, ponieważ on sam walczył jak myrmidon, imitując jeden z rodzajów gladiatora.

– Dawaj, Kleoś! Tarczą go, tarczą! Pokaż młodemu, jak się... Ouuuu!

– Ouu! – powtórzył ktoś.

– Aaaa! – wzdrygnął się Kenaniasz – Ojeja... O kurde, Zekuś. Ałała.

A ja stałem nad Kleomarchosem, który patrzył z durnym niedowierzaniem na sztych mojego gladiusa drapiący go pod brodą. Prawą nogą przydeptywałem jego tarczę, z której nie mógł wyswobodzić ramienia; lewą klęczałem na jego klatce piersiowej. Wolną ręką dociskałem do ziemi jego rękę z mieczem.

Podniosłem wzrok i spojrzałem pytająco na prowadzącego zajęcia szermierze Czwartego.

– No, wygrałeś, Zek – powiedział. – Brawo. Wstawaj i jeszcze raz...

Szczerze mówiąc, to spodziewałem się czegoś innego: kciuka. Kciuka w górę albo kciuka w dół, nie wiem, nie mój wybór. Natomiast przez chwilę poczułem się, jak na Arenie.

– Ave Dominus, morituri te salutant! – zawołałem, podnosząc miecz.

Nie przypuszczałem, że ten okrzyk zrobi na obserwujących nas aż takie wrażenie. Widziałem, jak wymienili się niepewnymi spojrzeciami, któryś aż zrobił krok w tył.

No tak: w Korpusie Komorniczym to było zawołanie Daniela.

– Jeszcze raz – powtórzył Czwarty.

Czwartego nazywaliśmy tak właśnie dlatego, że był Czwarty. Daniel Czwarty. Natomiast nawet to imię kojarzyło się na tyle źle, że on sam przedstawiał się liczebnikiem.

Znów stanąłem naprzeciwko Kleomarchosa, który jednak tym razem już się nie uśmiechał. I ruszył ku mnie zdecydowanie wolniej, bardziej ostrożnie i badawczo.

Zaczął klasycznie – chciał przykryć mnie tarczą i sięgnąć sztychem od góry. Potem zamarkował cięcie w bok, jednocześnie uderzając rantem tarczy w miejsce, gdzie powinienem mieć stopę. W końcu znów uderzenie rantem wysoko, w szyję, i próba sztychu w podbrzusze.

Odbiłem jego klingę, wbiegłem mu pod tarczę i uderzyłem z pełnego impetu barkiem. Kiedy upadał, przetoczyłem się po nim, złapałem jego tarczę ręką i wsunąłem mu gladius pod pachę.

Przytomnie zamarł w bezruchu.

Wiedział doskonale, że jesteście o jeden ruch od skończenia tej walki, i to skończenia jej w paskudny sposób. Paskudny dla niego.

– Zek, brawo. Kleo, odpocznij chwilę, bo chyba nie twój dzień dzisiaj – odezwał się Czwarty. – Kolejny, kogo tam mamy... Nearchos, dawaj!

– Ja? – zdziwił się wywołany.

– Nie, twoja matka. No dawaj, przecież ci Zek krzywdy nie zrobi... Zek, nie zrób mu krzywdy, dobrze?

– Postaram się – odparłem, patrząc jednocześnie ponad ich głowami.

Bo tam, z wysokości klasztornej muru, obserwował nas Teodor.

Nie chciałem wbijać do niego za ostro, bo widziałem, jak bardzo był spłoszony wtedy, podczas posiłku. Dlatego też odczekałem parę snów, wdrażając się do obowiązków i pokazując, że wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Teodor natomiast obserwował mnie. Nie jakoś nachalnie, nie bezczelnie, ale zdecydowanie czujnie. Widziałem, jak zerka ku mojemu gladiusowi, jak gdyby chcąc upewnić się, że to jego robota... I jak patrzy na moje Znamię.

Przynajmniej to na czole, bo to drugie starannie zakrywałem zawiniętą na przedramieniu szmatką i karwaszem.

Natomiast założyłem sobie, że dziś po zajęciach z szermierki do niego pójde i się z nim przemówię.



Ding! Ding! Ding! Dźwięczne uderzenia młota o kowadło niosły się echem po korytarzu, wwiercały w uszy i rezonowały pod czaszką.

Było tu ciepło, wręcz gorąco. Buchający od paleniska żar rozlewał się po pomieszczeniach kuźni Stratilaty falami, wsączał w kamienne ściany i spełzał po podłodze. Wszystko pachniało pyłem żelaznym, rdzą, nagrzanym metalem i tą charakterystyczną, trudną do pomylenia z czymkolwiek innym wonią przepalonego na szlakę żuźlu.

Teodor stał tyłem do mnie, zapamiętałe bijąc młotem w trzymany szczypcami kawał rozgrzanego do czerwoności metalu. Widziałem, jak co chwila podnosi go, ogląda to z jednej, to z drugiej strony. Czasami wsuwał go w palenisko, podgrzewał tak, że kolor z ciemnoczerwonego przechodził w oślepiająco żółty... I znów kuł. Parę uderzeń, rozgrzać, schłodzić... I znów rozgrzać, parę uderzeń. I tak w kółko.

Uwielbiałem patrzeć, jak Stratilata pracował. W tym paskudnym, umierającym, zajęтым wyłącznie niszczeniem świece, on był jedyną siłą, która zafascynowana była tworzeniem nowych rzeczy.

Ding! Ding! Ding...!

– Cześć, Teo – powiedziałem w końcu.

Młot zawisł w powietrzu. Stratilata bardzo powoli odłożył go na bok, potem odwiesił szczypcę na hak w ścianie. Obrócił się do mnie, wycierając ręce w niemożliwie brudną szmatkę.

– Więc to jednak ty, Ezekieliu. – Uśmiechnął się smutno.

Podszedłem do niego, nie do końca pewien, jak się zachować. Chciałem chyba podać mu rękę, czy coś... Zamiast tego Stratilata rozłożył szeroko ramiona i zamknął mnie w swoim potężnym uścisku.

– Ugh...! Teo, uważaj, bo mi żebra połamiesz! – sapnąłem.

– Zek! Zek, to jednak ty... A ja nie mogłem oczom uwierzyć, jak cię zobaczyłem! Niechże cię uściskam!

– Teo, nie mogę oddychać...!

– Zek!

– Teo... – zarzęziłem.

W końcu wyswobodziłem się z jego uścisku, jednak Święty nadal trzymał mnie za ramiona, jak gdyby bojąc się, że mu ucieknę.

– To naprawdę ty, Zek! A ja już się bałem, że podczas...

– Cśśś! – syknąłem, kładąc palec na ustach.

Teodor spłoszył się, strzelił oczami na boki.

– Już się bałem, że przepadłeś – zaszeptał na poły konspiracyjnie. – Ani słowa od ciebie, nie słyszę nic przez tyle czasu... I po prostu się zjawiłeś! Zek, jak ja się cieszę!

– A jak ja, Teo... No masz, masz, widzę, że się ślinisz.

Aż zapiał z zachwytu, kiedy podałem mu mój gladius. Przystąpił z nóżki na nóżkę, podskoczył w miejscu, jak dziecko, które właśnie dostało czekoladkę. Jakby mógł, to by się chyba do tej klingi przytulił.

– Mój pierwszy! Pierwszy gladius, jakiego wykułem... No, nie pierwszy, bo były egzemplarze testowe – poprawił się szybko. – Ale ten był kompletny, z pochwą i w ogóle... Gdzie jest pochwa, Zek?

– Uhm, tak jakby trochę przepadła. Sporo się działo, Teo. Tak naprawdę sporo. Ale mam coś dla ciebie! – dodałem, widząc, jak jego uśmiech zaczyna wyginać się w podkówkę. – Tylko musisz mi powiedzieć, czy masz tu jakieś bezpieczne miejsce?

– Takie, żeby... co? – Święty zbystrzał, a ja od razu wiedziałem, że ma.

– Takie, żebyś mógł bezpiecznie tam skitrać i pooglądać sobie to.

Wyciągnąłem z torby przewiązaną sznurkiem paczkę zawiniętych w szary len kolorowych czasopism, podałem Teodorowi. Ten od razu odłożył miecz na bok, złapał pakunek dwiema rękami, mimo że przy jego gabarytach spokojnie uniósłby go nie tylko jedną ręką, ale jednym palcem... Rozejrzał się z miną nastolatka, palącego właśnie pierwszą fajkę za garażami.

– Czy to jest TO? – zapytał drżącym głosem.

– Tak, to jest TO – przytaknąłem. – I przynoszę ci TO, żebyś wiedział, że ja to ja... I że cię lubię, Teo.

– Zek, ale może ty chcesz coś... bo ja ci się przecież... Ja muszę jakoś ci się odwdziżyć!

A ja naprawdę przyniosłem mu te świerszczyki, wygrzebane z otchłani dawno porzuconego sklepu, który plądrowaliśmy z Siliaszem, tak po prostu. Owszem, teoretycznie mogłem go poprosić o te czoki do strzelby... Ale po pierwsze, strzelbę dawno już zgubiłem, a po drugie, miałem wrażenie, że nieszczególnie jest mi teraz, w tym wydaniu, potrzebna.

Zdecydowanie bardziej wolałem się podszkolić w Klasztorze w walce wręcz i sztukach magicznych, a poza tym wywiedzieć się, gdzie przebywał i co takiego porabiał Pierwszy.

– Nic nie musisz, Teo. – Pokręciłem głową.

– To jak mogę ci pomóc, Zek? W czym?

Uśmiechnąłem się bardzo, ale to bardzo ciepło i altruistycznie.

– No cóż, Teo, skoro nalegasz...



Szybko złapałem rytm życia w Klasztorze. Prawda była taka, że musiałem go sobie po prostu przypomnieć, bo przecież swego czasu przesiedziałem tutaj, ohoho! I jeszcze trochę.

Zaczęło się od tego, że Czwarty podszedł do mnie i zapytał, czy bym nie chciał z nim prowadzić zajęć z walki wręcz. Potem okazało się, że to w sumie ja mam prowadzić, a on będzie patrzeć... Aż w końcu zapytał mnie, czy dam sobie radę, jak on na chwilę zniknie. No i nie wrócił aż do końca, a potem pojawiał się tylko na rozpoczęciu.

Nie miałem nic przeciwko. Byłem usłużny, uprzejmy, uczynny i pomocny. Chętny do wyręczenia każdego w jego zadaniach. Nosilem rzeczy z miejsca na miejsce, sam zgłosiłem się do wyciągania i targania wody ze studni. Pomogłem naprawić nieustannie opuszczający się zawias bramy.

– A myśmy się z tym tyle bujali... – Metroniusz pokręcił głową.

– Żaden problem – odparłem skromniutko. – Prosta robota, trzeba tylko wiedzieć, jak się za to zabrać.

A wiedziałem, jak się za to zabrać, bo już kiedyś nam ten zawias kazał naprawić sam Haggard.

Kazał nam go naprawić za karę, po tym jak żeśmy urwali się ekipą na samowolkę, aż nas w końcu przez Anioła namierzył... I powiedział, że nie dostaniemy jeść, pić, ani nie pozwoli nam spać, dopóki brama nie będzie chodzić jak nowa.

Rozebraliśmy ją wtedy na części. Rozmontowaliśmy spory fragment ościeżnicy. I dopiero wtedy się okazało, że jeden wąż przy żelaznym pręcie zagiął się w kamieniu; wystarczyło go puknąć kilka razy wsuniętym w otwór, wąskim mesłem, a potem doklinować odpowiednio dociętym drewnikiem, żeby całość siedziała na mur-beton.

Potem zgłosiłem się na ochotnika, że razem z Ozariaszem wyjdę na spotkanie Aspazjosowi, który w międzyczasie skołał na krzyżu i odrodził się w miejscu swojej zwyczajowej Re-Kreacji. Wypadało mu pomóc, bo jako że młody człowiek był nieszczygólnie zaradny i miał kłopoty w czytaniu ze zrozumieniem, to przy podpisywaniu swojego Kontraktu w rubryce „wyposażenie odnawialne” postawił tylko krzyżyk... Więc za każdym razem odradzał się z przydziałowym mieczem i drewnianym krzyżykiem na szyi, poza tym goły, jak święty Turecki.

– Zek, może ty chciałbyś porozmawiać o czymś? – w końcu zapytała mnie Helwia. – Bo jakby coś, to ja zawsze służę pomocą, pamiętaj. Nie narzucam się, nie nalegam, ale po prostu miej to z tyłu głowy.

Helwia była w ogóle urocza. Wielka, zwalista, ostrzyżona na jeża, cała w tatuażach, bardziej podobna do mężczyzny niż do kobiety... Z tego co się o niej dowiedziałem, w czasach Przed pracowała w Służbie Więziennej jako psycholog, mając iście niedźwiedzie łapy i gołębie serce. Taki typ matrony, co niegrzecznego podopiecznego sadzała sobie na kolanach i głaskała po główce tak długo, aż skóra mu zeszała z czaszki.

– ...Wiesz co, tak – sapnąłem. – Ale to długa opowieść. Naprawdę długa, naprawdę skomplikowana i mało wiarygodna.

– Każda opowieść jest wiarygodna dla jej bohatera, Zek. – Uśmiechnęła się ciepło.

– Nie, uwierz mi, że ta nie jest. Ale spoko, będę pamiętał.

– W dowolnej chwili, Zek. – Poklepała mnie po ramieniu.

Tak więc, wyrobiwszy sobie opinię z lekką obłąkanego pracoholika, w końcu podbiłem do samego Haggarda.

– Szefie, potrzebuję kilku snów przepustki – zacząłem prosto z mostu.

Haggard nie lubił pieprzenia dookoła i certolenia się, więc najprostszym sposobem na wpadnięcie w jego niełaszkę była próba, jak sam to mówił, „brania go pod włos”. Zważywszy na to, ile tych włosów wszędzie miał, to powiedzenie było wręcz kosmato... to jest, koszmarne adekwatne.

Nieoficjalny przełożony Klasztoru nawet nie podniósł głowy znad tuniki, którą szyl już nie wiedzieć jak długo. Zaskakujące było, jak wprawnie trzymał kościaną igłę tymi swoimi ogromnymi paluchami.

– Mhm. I dokąd się wybierasz, młody? – rozległo się gdzieś spod jego brody.

– Mam do zrobienia Zlecenie niedaleko tutaj. Zdaje się, że po kimś wzięte.

Igła zamarła na chwilę, potem podjęła swoją drogę, wytyczając trasę ściegu.

– Ach. Że niby to.

– No właśnie to, szefie.

Patrzyłem się, jak ściboli te idealnie równe, drobniutkie szwy, jeden po drugim. Gdybym teraz się odezwał, ponaglił go, nuknął, zrobił cokolwiek, nawet pierdnął, to Haggard by się wściekł i wysłał mnie na jakąś karną robotę. Kopanie kamieni, przenoszenie ziemi, patrzyenie czy winogrona równo dojrzewają, albo nawet podlewanie ich własną krwią.

No tak, bo winnica wokół Klasztoru rosła na Purpurze przecież, więc trzeba było ją czymś nawozić.

Ale ja wiedziałem, że to moment decydujący, więc stałem nieruchomo, nawet nie przestępując z nogi na nogę.

– Ile potrzebujesz? Tydzień?

– Sześć dni – rzuciłem.

Nie powiedział nic, kiwnął tylko głową.

Ja natomiast obróciłem się na pięcie i czym prędzej popędziłem do swojej kwatery. Szybko spakowałem dobytek, zarzuciłem na ramię plecak i jak najszybciej, wyciągając nogi, pospieszyłem ku bramie. Żeby tylko nikt mi niczego niepotrzebnego teraz nie wlepił.

Akcja była szybka, sprawna i dobrze przemyślana: jeden dzień forsownego marszu w górę Rzeki, połączonego z przeprawą przez bród w okolicach zwałonego mostu i spalonego miasteczka na wysokim brzegu... Nawet nie wchodziłem pomiędzy osmalone skorupy domów, nie chcąc prowokować więcej spotkań z kolejnymi ludźmi, których widziałem w moim poprzednim żyć-świecie.

Spieszyłem się, bo miałem takie głupie wrażenie, że moim tropem lezie niestrudzony, niemalże dyszący mi już w kark fabulozaur. Jak gdyby cały świat zawęzał się wokół mnie, coraz skuteczniej omotywał nitkami poszczególnych wątków, ciągnąc ku nieuchronnemu finałowi.

A ja na ten finał nie byłem ni cholery gotowy, bo nadal nie udało mi się uzyskać dostępu do Archiwum.

Próbowałem i tak, i siak. Zagadywałem, byłem miły, uprzejmy. Proponowałem pomoc. Ze dwa razy wyraziłem swoje żywotne zainteresowanie historią, teologią, ontologią i paleontologią.

Wszystko na nic, bo Ebrahim pozostawał zupełnie nieczuły na moje intelektualne zaloty.

Dlatego postanowiłem, że zrobię to inaczej, po swojemu.

I w tym właśnie celu musiałem dostać się tutaj, do miejsca, gdzie kiedyś funkcjonował na pełnym odludziu, gdzie nikt by się go nie spodziewał, wiejski sklepik wysyłkowy u przysłowiowego Stasia.

Znalazłem resztki miasteczka, a potem jak w starej piosence: znalazłem ulicę, znalazłem dom, znalazłem dziewczynę, co kocham ją... I to niejedną nawet.

Spakowałem tyle, ile dałem radę, do dwóch wcześniej przygotowanych toreb, po czym ruszyłem w drogę powrotną do Klasztoru.

Mój plan był równie prosty, co głupi. Natomiast liczyłem na to, że jeśli zrealizuję go odpowiednio szybko i bez myślenia o nim, to rzeczywistość nie zorientuje się, co takiego odwalilem.

Jak to rzekł pewien biblijny mędrzec, król Julian: „A teraz prędko, zanim dotrze do nas, że to bez sensu!”.



Kiedy po powrocie wróciłem do Teodora i wyłuszczyłem mu szczegóły mojej prośby, Święty cokolwiek spanikował.

– Zek, czyś ty oszalał?! Przecież to... – Jego spojrzenie samo ześliznęło się ku zawartości mojej torby. Obliznął nerwowo wargi. – Przecież to niedorzeczne. Od razu się zorientują, że to moja sprawka!

– A kto im powie, Teo? Ty sam?

– Nie no, ja nie...

– Ja?

Popatrzył na mnie uważnie.

– Nie powiesz im, prawda?

– Nie powiem, Teo. Tak jak nie powiedziałem nikomu przez tyle czasu. No już, rozluźnij się, stary... Co mogłoby pójść nie tak?

Teodor odetchnął, rozluźnił się nieco. Nawet nie pytając nalał wina do pucharów, trącił swoim o domyślny mój i opróżnił go jednym haustem.

Gustownie się tutaj urządził, muszę przyznać. Stare klasztorne komnaty nad kuźnią zaadaptował na coś w rodzaju quasi-rzymskiego apartamentu, bardziej przypominającego raczej styl romański zahaczający o wczesny gotyk... Czyli zrobił sobie radosny, prawie-że-koszerny miszmasz stylów, epok i uzbrojenia.

Przede wszystkim uzbrojenia. Miecze, gladiusy, spathy, topory, buławy, maczugi, włócznie i oszczepy, sztylety i pugiwały, klingi zakrzywione, proste i falowane... Wszystko, co tylko mogło służyć do wyrządzenia bliźniemu krzywdy, albo do uchronienia się przed takową.

No i już widziałem, że zaczynało ciągnąć go w kierunku zbieractwa. Miał tutaj niezły załączek kolekcji rzymskich parafernaliów, kilka rzeźb wtórnie zrabowanych z renesansowych i romantycznych pałaców dawnej magnaterii, jakieś płaskorzeźby, kolumnienki, takie pierdoły.

Zauważył, że patrzę na jego zbiory, uśmiechnął się.

– Idzie do mnie transport z Wiecznego Miasta, wiesz? Specjalnie wysłałem ekspedycję, żeby mi kilka rzeczy przywieźli. To jest, w sumie druga. – Zafrasował się.

– A co się z pierwszą stało?

– Pierwsza dotarła, ale nie wróciła. Odwodnili się chyba.

– I liczysz na to, że tej pójdzie lepiej? – Uniosłem brew.

– Którzyś w końcu wrócą, Zek. Wszystko jest kwestią skali – zaśmiał się Stratilata.

Uśmiechnąłem się nie do końca szczerze, licząc na to, że Teodor nie radzi sobie jeszcze zbyt dobrze z rozpoznawaniem emocji. Potrzebowałem go teraz rozluźnionego, skoncentrowanego i radośnie chętnego do pomocy.

Nalałem nam po kolejnym kubku, czując, jak wino już szumi mi w głowie.

– To co, za dobre czasy? – wzniosłem toast.

– Za lepsze czasy! – zawtórował mi radośnie Święty.



– Kenek, słuchaj... A gdzie się Pierwszy podziewa?

Kenianiasz spojrział na mnie z ukosa. Pociągnął łyk wina z bukłaka, po czym znów zapatrzył się w dal.

– Nie masz o czym gadać, Zek? – mruknął.

Siedzieliśmy sobie na zachodnim zboczu wzgórza klasztornego, oparci plecami o nagrzaną słońcem mur. Po lewej mieliśmy wstęgę cuchnącej trupem Rzeki, po prawej

otwierał się widok na równe rządki porastającej okoliczne pagórki winorośli. Sceneria byłaby w sumie sielankowa, gdyby nie brać pod uwagę zawodzenia kolejnej procesji biczowników, robiącej właśnie nie wiedzieć którą rundkę wokół Klasztoru.

Odfajkowaliśmy na dziś swoje zadania: Kenek pomógł wymienić jedną z drewnianych belek na wieży, ja poprowadziłem zajęcia walki mieczem. Posiłek już był, teoretycznie mogliśmy się obydwaj położyć spać... Dlatego woleliśmy podebrać trochę wina i zaszyć się tutaj.

Tym bardziej, że nadal męczył mnie kac po pijaństwie z Teodorem.

Przyłąziłem tutaj też w moich czasach, w moim świecie. Siedziałem tutaj, grzałem poobijane kości i zastanawiałem się z ówczesnymi kolegami: a co będzie dalej? Co się stanie, jak już my, Komornicy, pozabijamy wszystkich na świecie?

– Mam, ale ciekaw jestem. Po prostu wolałbym go nie spotkać, to tyle.

Westchnął, podał mi bukłak.

– ...Bo?

– Bo jest szują i skurwysynem. Tyle chyba powinienś wiedzieć.

– I mówisz tak pomimo tego, że to on cię szkolił? – Popatrzył na mnie uważnie.

Bali się, dotarło do mnie. Oni się wszyscy Pierwszego bali. W moim świecie Pierwszym się skrycie gardziło, Pierwszego się nienawdziło. Obgadywało za plecami.

A oni się go autentycznie, zupełnie otwarcie i nieudawanie bali.

– Właśnie dlatego, że mnie szkolił. Znam tego zjeba lepiej, niż chciałbym przyznać. I naprawdę, Kenek, zrób mi tę przysługę i nie pytaj, co mam na myśli. – Splunąłem na trawę.

Nawet nie skłamałem, bo wolałbym, żeby nie pytał. A to, że on zrozumiał to po swojemu, no cóż: to już była sztuka operowania ćwierć prawdą.

Zadziałało, bo Keneniasz odebrał mi bukłak, wziął konkretnego łyka. Pomilczał chwilę, odezwał się:

– Pierwszy jest osobistą fają Archaniola. Robi, co mu tamten każe, lata na jego osobiste posyłki... Wykonuje jakieś misje, których nie ma w Ewidencji.

– O? – Uniosłem brwi.

– No mówię ci, że tak to wygląda teraz. Zresztą, różnie o nim mówią. Nawet podczas tego szturm na Uniwersytet tam było podobno coś dziwnego.

– To znaczy... Tam, gdzie go zabili, tak?

Pokiwał głową.

– Opowiadała mi znajoma jedna, Chrysothemis...

– Ładne imię. – Cmoknąłem z uznaniem.

– No, i dziewczyna bardzo sympatyczna, powiem ci. Inteligentna, bystra, dobrze w głowie poukładane. Więc ona na tym naszym szturmie szła z ekipą od drugiej strony, ale była też i podczas poprzedniego. I mówiła, że widziała jak to było z Pierwszym.

Przysunąłem się nieco bliżej, całym sobą wyrażając zainteresowanie.

– Rozumiem, że coś nietypowego?

– Ona twierdzi, że podczas tego szturm Danaiel był jakiś wycofany. Zamknięty w sobie, cichy, jak nie on. I już szli na Uniwerek szturmem, mieli otwartą drogę... Skradali się przy jakiejś barykadzie albo czymś takim, a on nagle wyprostował się, popatrzył na nich i mówi: to do zobaczenia, ja muszę pobyć chwilę sam. I wziął, i wyszedł prosto pod ogień karabinu maszynowego.

– O ty w ząbek... – gwizdnąłem.

– No, tak ona twierdzi, że to w sumie wyglądało na celowe samobójstwo.

– Raczej wzięcie urlopu na żądanie, ale jest pewna zbieżność faktycznie. I co, zniknął na – ile?

– Głupie pytanie, Zek. – Keneniasz skrzywił się.

– No dobrze, pozwól, że przeformatuję pytanie: ile snów minęło, nim pojawił się ponownie?

– Nie wkurwiał mnie, nie jestem upośledzony. Musiało go nie być... ze dwa, trzy miesiące? W każdym razie tyle minęło, nim coś o nim usłyszałem.

– Niezły spacer na przemyślenia.

– I odkąd wrócił, nie pojawił się tutaj ani razu. Praktycznie nie bierze Zleceń, zwołał tylko tych swoich przydupasów i kręci się to tu, to tam... Mówią, że jakiś czas temu poszedł do Dziury i tam kilka tygodni koczowali, chuj wie po co w sumie. Potem płynęli Rzeką jak debile, to tam się nadziali na zasadzkę Faryzeusza.

– Kilka tygodni, mówisz...?

– Szamiramis im dostarczała zaopatrzenie. Wyobrażasz to sobie? – prychnął. – Ten dupek ma czelność składać w systemie zapotrzebowanie na Komorników, którzy mają mu wozić kaszkę i pieluchy!

Kilka tygodni. Czyli podczas gdy ja siedziałem w Dziurze – zupełnie abstrahując tutaj od niespójności czasowej, do której już przywykłem – oni warowali u góry, czekając, aż wyleżą.

I mniej nawet niepokoiło mnie to, że wiedzieli, że w ogóle wyleżą. Że zakładali, że to możliwe.

Ale skąd, do jasnej cholery, w ogóle wiedzieli, że ja tam jestem?!

Możliwości było milion, a dla mnie znaczenia nie miała żadna.

Liczyło się wyłącznie to, że byłem na właściwym tropie.

Bo jeśli gry komputerowe czegoś mnie nauczyły, to tego, że jeśli gdzieś jest gęsto od wrogów, którzy chcieli mnie powstrzymać za wszelką cenę, to może i po omacku, ale szedłem we właściwą stronę.

Lubiłem te gry, gdzie trzeba było iść naprzód i strzelać. Tylko w każdej z nich prędzej czy później trzeba było coś zrobić: ułożyć łamigłówkę, odpowiedzieć na jakieś pytanie, albo we właściwej sekwencji przełożyć dźwignie. I tam właśnie szlag wszystkim trafiał z moim graniem, bo ja zawsze przeklikiwałem okienka dialogowe i w efekcie nie wiedziałem, co się dzieje.

Tak samo było tutaj. Szedłem naprzód, przedzierałem się przez kolejne sekwencje, kosiłem hordy wrogów, pokonywałem bossów, odkrywałem ukryte poziomy... Ale poza tytułem gry, nie miałem pojęcia o fabule.

– Zek! – Kenaniasz potrząsnął mnie za ramię. – Zek, mówię do ciebie, człowieku!

– Hę? Sorry, zamyśliłem się. Możesz powtórzyć?

Pokazał wymownym gestem w górę, ponad mur. Nadstawiłem ucha: tak, wyraźnie słysząc było narastającą wrzawę, ponad którą wybijał się nerwowo, piskliwy falset Świętej Agnieszki:

– ...Heretycy! Bluźniercy, niedoczekanie wasze! Umarłam za wasze grzechy, więc coś mi się należy od życia...! Nie dotykaj mnie! Zabieraj te łapy, nie dotykaj mnie! Mogę robić, co mi się podoba...!

– Kurwa mać – warknąłem. – Znów coś odjechała, wariatka. Podobno kiedyś... Ej, uważaj!

Odruchowo schyliłem głowę, kiedy z wizgiem przemknęły nad nami dwa Pastuchy, sunące wcześniej po równinie i w górę zbocza. Pęd gorącego od Purpury powietrza owionął nam twarze, rozpędzone żyroskopy skoczyły wzdłuż muru, na chwilę zawisły nad krawędzią i zniknęły nad dziedzińcem, bucząc z ostrzegawczym zaniepokojeniem.

– Coś grubszego... Chodź, Zek, bo przegapimy przedstawienie! – Kenek szturchnął mnie w bok, pierwszy zerwał się z kamieni i pobiegł ku bramie.

Kiedy wpadliśmy na dziedzińiec, szalało tam już niewielkie pandemonium.

Ludzie biegali od drzwi do drzwi, zamykali okna i blokowali przejścia. Dwóch mężczyzn usiłowało zamknąć bramę – bezskutecznie, bo ta znów opuściła się na niedawno naprawionym zawiasie.

Chyba wszyscy Komornicy i Komorniczki obecni w Klasztorze biegali po dziedzińcu, rozkładając szeroko ręce i pokrzykując na siebie, niczym pracownicy gospodarstwa rolnego, w którym z zagrody wyrwała się rozbrykana klacz.

Nad tym wszystkim latały, bucząc, zawodząc i kwiląc niemalże niekończącą się serią modulowanych dźwięków dwa rozplamione Pastuchy. Dosłownie w momencie, kiedy dotarliśmy, jeden z nich źle oszacował odległość i wpięprzył się wprost w rydwan Świętej, zamieniając go w chmurę fruwających w powietrzu, płonących szczap.

Zresztą, na dachu Klasztoru siedział już pierwszy Cherubinek, drący ryja wniebogłose i co chwila ocierający krwawe łyzy małutkimi piąstkami z żyłkowanego marmuru. Tylko patrzeć, jak zleca się kolejne.

Teodor Stratilata stał w wejściu do swojej kuźni z mocno nietęgą miną, całym sobą usiłując dać do zrozumienia, że kto jak kto, ale on na pewno nie ma z tym nic wspólnego.

Zaś wszystko to działo się dlatego, że usiłowali zagonić w róg i złapać nikogo innego, jak Świętą Agnieszkę.

– Nie pozwolę wam... Precz, cholerni wynaturzeńcy! Nie będziecie mi mówić, jak mam się ubierać, ani co mi wolno! – darła się Święta, przeskakując nad ludźmi ze zwinnością gazeli.

I muszę przyznać, że widok był... imponujący.

Kuriozalny. Absurdalny. Niesamowity wręcz w swoim odrealnieniu. Godny naszych pomysłów z czasów Areny Dłużników.

Ponieważ Agnieszka była od stóp do głów, calusienka, obłóczona w błyszczący, lśniący, idealnie przylegający do jej doczesnego ciała kombinezon z czarno-czerwonego lateksu.

Nie mam pojęcia, jakim cudem dawała radę biegać, skakać i wymykać się im wszystkim, ubrana w jakieś dwa numery za duże na nią sandały na dwudziestocentymetrowej szpilce. Nie chcę nawet myśleć o tym, jakim cudem dała radę założyć na wierzch tego wszystkiego pas do neonowo różowych pończoch kabaretek i takiego samego koloru biustonosz z rozcięciami na sutki. Nie wiem, ile na siebie wylała nabłyszczacza, ale sądząc po tym, jak zachowywały się Pastuchy, to chyba cały... A wzięłam z sex-shopu u Staśka największą puszkę.

Natomiast największe wrażenie robiło to, że ta wariatka zdołała przymocować sobie nie jeden, nawet nie dwa, ale wszystkie trzy strapony i brykała teraz po dziedzińcu, machając trzema wielkimi, czarnymi, gumowymi kutasami niczym jakaś bestia z najgłębszych mokrych koszarów każdego incele.

– Tam, z lewej ją... Z lewej! – krzyczała Helwia. – Ozariasz, z lewej ją! Tak, i teraz nie wypuść... Nie wypuść, mówiłam!

– Próbuje przecież! Jak mam ją nie wypuszczać... Linę, dajcie linę!

– Aaaa! – zapiał Aspazjos i zasłonił się rękoma, kiedy Święta Agnieszka wpadła na niego w pełnym cwale, obaliła na ziemię i pobiegła dalej.

– Kurwa mać, gdzie jest Haggard?! – zaryczał Kleomarchos. – Dajcie tu Haggarda...!

– Zdejmijcie to z nieeeeej! – ryczała Helwia przez złożone ręce.

– Jestem narzeczoną Chrystusa, stroję się dla mojego Oblubieńca! – zachichotała Święta Agnieszka. – Cokolwiek jest miłe mnie, miłe jest Panu...! Nie ruszajcie mnie, ohydny zbroczyńcy! Będę ubierała się, jak tylko mi się podoba!

Nawet Ebrahim wyszedł ze swojego skryptorium i patrzył na to wszystko, cokolwiek przerażony, trzymając się w bezpiecznym podcieniu kolumnady.

- O w pidzę jeża... – sapnął stojący obok mnie Kenaniasz.
 - Pomóżcie zamknąć wrota...! – zajęczał czerwony z wysiłku odźwierny.
 - Zek, pomóż...!
 - Haggarda! Dajcie, do kurwy, Haggarda! On jedyny jej do rozsądku przemówi...!
- Ale ja po prostu puściłem się biegiem przez dziedziniec.
- Zek...! – zawołał za mną Kenek.

Jednak ja nie zatrzymałem się, żeby pomagać zamykać bramę. Nie zatrzymałem się z tego prostego powodu, że wiedziałem już, że jej nie zamkną... A nie zamkną jej dlatego, że opuściła się na zawiasie, który celowo umocowałem w chujowym, miękkim drewnie lipowym, a dodatkowo obruszałem wczoraj, wracając od studni z wodą.

Paczkę podrzucił Agnieszce mój niezastąpiony Teodor, któremu odpaliłem za to odpowiednią działkę... Tym bardziej że spruł mi się po drodze, że jego „to czarne coś” mocno ciekawi, a nie ma na kim obejrzeć, żeby nie ściągnąć gniewu wysłanników. No to znalazłem mu modelkę.

Haggarda zaś nie było z tego prostego powodu, że napomknąłem mu mimochodem po powrocie, że mieszkający w chatce pod słupem telekomunikacyjnym, bardzo uprzejmi i uczynni, zupełnie niegroźni dziadkowie mają u siebie tak piękną kolekcję winyli, że aż się zdziwiłem, kiedy mimochodem i całkowicie bez związku z wykonywaniem obowiązków służbowych odwiedziłem ich gospodarstwo... A niewiele później nasz brodacz obwieścił, że on musi załatwić Bardzo Ważną Sprawę i że niedługo wróci.

Miałem więc jedną na tysiąc szansę, żeby wykorzystując ten totalny rozgardiasz przebiec przez dziedziniec, schować się w zabudowaniach, tam przemknąć przez kuchnię i wylecieć bocznymi drzwiami, po czym dwoma długimi susami przesadzić kawałek chodnika w podcieniu i za plecami Ebrahima dać susa w uchylone drzwi do archiwum.

Którą to szansę skrupulatnie wykorzystałem, śmigając za plecami schowanego za filarem bibliotekarza niczym cień, niczym duch, niczym powiew wiatru! Jak ten czarny kot, co potrafi wśliznąć się do pokoju między twoimi nogami.

Tak czy inaczej, wskoczyłem w ciemny obrys wejścia, słysząc tylko, jak z dziedzińca niesie się potworny łomot, a potem wrzaski:

- Łaaa! Ooaaa! Zgaście, zgaście to, zanim wszystko spłonie...!

Zastanawiając się tylko, czy nabłyszczacz do lateksu nie jest aby łatwopalny, potruchtalem na paluszkach przez spowite półmrokiem, pachnące kurzem skryptorium.

Byłem tutaj może dwa, może trzy razy w życiu, i to w dodatku nie w tym. Raz kazali mi za karę przepisywać jakiś debilny, bogato iluminowany psalterz, drugi raz wszedłem nieopatrznie, podpuszczony przez starszych kolegów, żeby zapytać Ebrahima o niebieskie nożyce do kilwatera... I raz nie wiem po co.

Dość, że miejsce było dla mnie dość obce. Nosiło w sobie jakąś taką aurę czegoes zakazanego, dostępnego tylko dla wtajemniczonych. Jak księgozbiór w bibliotece szkolnej: niby go widzisz, wiesz że tam jest, ale między regały już cię nie wpuszczą. Nie wolno.

Aż zwolniłem, oniesmielony panującą tutaj ciszą i bezruchem. Bliżej ściany stały trzy pulpity piśmiennicze, ale tylko jeden, należący do Ebrahima, ustawiono tak, żeby odbita w miedzianym lustrze wąska struga światła z okienka padała na miejsce pracy. Miał tam rozłożony jakiś pergamin, obok niego do połowy zapisaną kartę... No tak, kopiowanie. Robienie kopii z kopii z kopii z kopii oryginału.

Który, między nami mówiąc, też przecież oryginałem, kurwa, nie był. No nie mógł przecież być, bo spisano go już Po, a więc nie był starszy niż pierdolony dwudziesty

ósmego maja dwa tysiące szesnastego roku, kiedy ci idioci w USA zastrzelili tę pierdoloną małpę.

Aż zachichotałem z cicha, uderzony absurdalnością tego zestawienia.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy drzwi do archiwum nie będą aby zamknięte, ale nie były. No tak, nie ma sensu wstawiać zamka, jeśli ktoś zawsze siedzi obok.

O ile do stada nie przeniknie jakaś czarna owca, naturalnie. Albo jakiś łysy, zdesperowany i sfrustrowany niby-Bóg. Wsunąłem się do środka przez niskie drzwiczki, wyprostowałem i aż jęknąłem. Całe, dosłownie całe pomieszczenie pełne było drewnianych regałów, na których w romboidalnych komóreczkach leżały zwoje. Zwoje, papirusy, pergaminy, rękopisy. Małe i duże, stare i nowe. Dla mnie zupełnie identyczne.

No dobra, przyznaję, że mój plan kończył się na etapie „dostań się do archiwum”. Z jakiegoś powodu uważałem, że wejść tutaj, jak na google i znaleźć te pierdolone symbole, wyszukując wedle obrazu.

A nie znajduję, bo nawet ich nie miałem przecież narysowanych. Więc musiałbym przeczytać wszystkie, dokładnie wszystkie zwoje i mieć nadzieję, że w którymś...

– Ten.

– Co? – Odwróciłem się gwałtownie.

Przy regale za mną stał Azrael. Z rozłożonymi skrzydłami, lekko przechylony tułowiem na bok, wskazujący otwartą dłońią jedną z półek i patrzący wprost na mnie z delikatnym uśmiechem, wyglądał niczym wyjęty ze średniowiecznej ryciny o Zwiastowaniu.

– Ten – powtórzył łagodnie Anioł Śmierci. – Ten zwój, Ezekielu.

Potrząsnąłem głową.

– Azi, to nie jest pora na żarty...

– Puk-puk – powiedział Azrael.

– Kto tam? – zapytałem odruchowo.

– Dzień dobry. Nazywam się Azrael i zastanawiam się, czy nie znalazłby pan czasu, aby porozmawiać ze mną o swoim życiu.

Zapadła chwila ciszy.

– Chujowy żart, Azi. Nieśmieszny. – Wydąłem usta z dezaprobatą.

– To jednak był żart, Ezekielu. To nie jest.

Odsunąłem go na bok, sięgnąłem ręką ku zwojowi. Wysunąłem go z tuby, rozwinąłem, przebiegłem oczami... Zamrugąłem.

– Plany budowy? Azi, po kiego grzyba mi teraz kurs z architektury?! Ja tu szukam konkretnych symboli, które...

Urwałem, zachłysnąłem się własnymi słowami.

Bo one tam były.

Na idealnie okrągłej, schodzącej przez wszystkie poziomy, niczym centralny trzpień pionowej iglicy. Wszystkie klatki schodowe, korytarze, nawet świątynia Archanioła na samej górze – zbudowane były wokół tej jednej wielkiej sztycy.

Sztycy, która na końcu miała dokładnie te symbole i niewielki – przynajmniej w jej skali – graniasty otwór.

– Klucz... – sapnąłem. – Tam jest element Klucza.

– Cieszę się, że mogłem być przydatny, Ezekielu – zaświergotał Anioł, po czym zniknął.

Stałem tak, gapiąc się na ten pergamin, jak przysłowiowa sroka w gnat. I pewnie gapiłbym się tak jeszcze dłużej, gdyby nie to, że w tym momencie coś huknęło na dziedzińcu tak, że aż zatrzęsły się ściany.

Pora była stąd uciekać. Nie miałem zamiaru czekać tutaj, aż chłopcy wyprawią się na rzekomego sfinksa, ani tym bardziej być tutaj, kiedy wróci do Klasztoru wkurwiony i zawiedziony Haggard.

Całkowicie nie interesował mnie też los ubranej w kombinezon sado-maso Świętej Agnieszki.

Dlatego też zajrzałem do skryptorium, po czym upewniwszy się, że jest puste, szybko wwindowałem się do jednego z okienek i głową naprzód przecisnąłem się przez wąski otwór.

Owszem, nie było nisko, a zbocze mocno kamieniste i pionowe, natomiast umówmy się: nie z takich piedestałów się spadało.

Sturlałem się na dół, przyplacając to jedynie dwoma złamanymi żebrami, rozciętą głową i zwichniętą kostką. Poleżałem na tyle długo, żeby staw wrócił do sprawności, po czym podniosłem się i pokuśtykałem w kierunku Rzeki.

Za mną nadal niosły się wrzaski, huk i łopot Pastuchów, śmigających ponad Klasztorem.



Turkot drezyny usłyszałem już z daleka. Oczy jednak otworzyłem dopiero, kiedy dojmująco zapiszczały hamulce.

– O, jesteś w końcu, dzieciaku! Ja tutaj już czwartą rundkę robię! – zawołał Siliasz, machając radośnie ręką.

Podniosłem się z nagrzanym przez słońce betonowym płyt, zarzuciłem sobie na ramię plecak i podszedłem ku krawędzi platformy. Poczekałem, aż drezyna zrówna się ze mną, po czym najpierw wrzuciłem na podkład moje rzeczy, a potem sam zeskoczyłem na żelazną blachę.

– Cześć, staruszkule – pozdrowiłem go.

– Ja ci dam staruszkule, gówniarzu jeden. Jeszcze ryj ci obję, zobaczysz... I co, masz to, czego szukałeś?

– Mam. Mam, jak cholera.

– To co, dokąd jedziemy? – zapytał radośnie.

Nabrałem spory haust powietrza, spojrzałem mu prosto w oczy.

– Wieź nas do Cytadeli.



Rozdział XII



Im bliżej Cytadeli byliśmy, tym większe dopadały mnie wątpliwości.

To istne monstrum architektury, przeczące prawom fizyki i inżynierii, widoczne było już z daleka. Siliasz twierdził, że mieliśmy do niej jeszcze bite półsta kilometrów, a na dalekim widnokregu już widać było wystający ponad niczym nie zakłóconą linię horyzontu ciemniejszy kształt. Niczym drzazgę, tkwiącą w idealnie nieruchomym krajobrazie.

Jechaliśmy ku niej i jechaliśmy, a ona wciąż była daleko. Wielka, coraz większa, górująca ponad całą okolicą. My zmienialiśmy trasę, przejeżdżaliśmy wciąż całymi torami, halsowaliśmy, mając ją to po lewej, to po prawej – a ona wciąż tkwiła w tym samym miejscu.

– Dzieciaku, ale ty wiesz, że aż do samej to cię nie dam rady...?

– Wiem, Siliasz. Spokojnie. Ostatni kawałek przejdę się piechotą – uspokajalem kolejarza.

Jego uspokajalem, a sam miałem coraz gorsze przeczucia.

Bo czułem, że zdążam na spotkanie z czymś, czego nawet nie byłem w stanie ogarnąć. To było jak... jak egzamin na studiach! Idziesz na to i w głowie kołacze się taka myśl: co ja tutaj w ogóle robię? Przecież to nie jest kwestia tego, że nie wiem wszystkiego. Nie chodzi o to, że mogą mnie zapytać o coś, czego się nie douczyłem. Problemem nie są nawet luki w mojej wiedzy.

Ja po prostu nie mam, kurwa, pojęcia, o czym w ogóle jest ten przedmiot.

I to samo było tutaj. Tak, owszem, wiedziałem, że gdzieś tam, w głębi Cytadeli, kryje się ta ogromna sztyca ze znakami na końcu. Zresztą, kryła się tam od samego początku, bo nawet jak budowali całość, faktycznie to COŚ powstawało jako pierwsze.

Tylko co z tego? Co miałem z tym zrobić? Przebić się aż do najniższych poziomów Cytadeli, stanąć pod tym i – co? Zabić się? Wypowiedzieć magiczną formułkę? Wsadzić w to gladius, czy może pstryknąć palcami?

Białem się tego, że do tej pory jechałem na niewiarygodnym narracyjnym farcie i zwyczajnych zbiegach okoliczności. Oczywiście, widziane w skali makro one wszystkie układały się w to, co retrospektywnie fajnie jest nazwać „przeznaczeniem” – natomiast w moim ludzkim ujęciu skali mikro były tylko dziełem czystego przypadku.

I bałem się, że ten przypadek w końcu zagra na moją niekorzyść. Że kiedy będę tego najbardziej potrzebował, kości potoczą się nie tak, jak bym chciał.

Bałem się tego, że w żaden sposób nie kontroluję własnego życia. Bo przecież nie mogłem wciąż liczyć na to, że...

Tory biegly właśnie nasypem, idącym równoległe do niewielkiej, lokalnej dróżki. Ot, takiej sobie gruntówki przy linii kolejowej, gdzie kiedyś ciągnęły się pola uprawne, a pomiędzy nimi stały piętrowe domki mieszkalne w otoczeniu zabudowań gospodarczych. Klasyczny pejzaż dla naszej części świata.

Teraz zamiast pól była tylko jałowa, pokryta kurzem i popiołem ziemia, z której sterczały smutne wiechcie martwych drzew. Domki były wypalonymi pudełkami o pozapadanych dachach, szopy i garaże zamieniły się w ruiny.

Ale dróżka została.

I tą dróżką jechała sobie właśnie w kierunku dokładnie przeciwnym do naszego dwukółka.

Ot, zwykła taka dwukółka, jakich wiele: byle jak zbita z desek platforma z dwiema nierównymi burtami, osadzona na nieproporcjonalnie wielkich, drewnianych kołach, skrzypiących niemilosiernie przy każdym obrocie na wyrobionej osi. Dyszel i jarzmo, w jarzmie chudy, wyliniały osiołek, ciągnący to wszystko przed siebie i zapatrzony filozoficznie pod własne kopyta, zapewne obracający w swej oślej łepetynie jakieś bardzo ważne kwestie związane z jego oślim żywotem.

Żas na dwukółce, trzymając w jednym ręku lejce, zaś w drugiej bukłak z winem, siedział sobie dziad. Dziad, jakich na tym świecie przecież było pełno! Zarośnięty, lekko zakurzony, ubrany w cokolwiek zlachmanioną tunikę i szary płaszcz z grubo tkanej wełny.

Siłą rzeczy kiedy się mijaliśmy – my zgrzytając i stukając na szynach, on jęcząc i skrzypiąc dwukółką – on spojrzał na nas, a my na niego. Ot tak, po prostu. Tak, jak spogląda się na cokolwiek, co podczas długiej trasy wyłamuje się ze schematu.

Przemknęliśmy obok, on przeleciał mimo, oddalając się coraz bardziej.

Natomiast ja się za nim obejrzałem.

I on też się za mną obejrzał.

Nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, a ja zobaczyłem, jak jego oczy rozszerzają się w zdumieniu.

– Stój! – ryknąłem, budząc Siliusza, który zdążył chyba zadrzeć po swojej stronie wajchy. – Hamuj...!

Depnąłem jeden hamulec i z całej siły pociągnąłem za drugi. Drezyna szarpnęła, zajęczała rozdzierająco i sypnęła iskrami spod kół; Siliusz krzyknął, kiedy prawie zrzuć go w tył z ławeczki, nasze rzeczy poleciały z siedzeń pod nogi.

Obejrzałem się przez ramię: dziad zaciął osiołka batem i strzelił lejcami, próbując poderwać zwierzaka – no cóż, jeśli nie do galopu, to przynajmniej do truchtu.

– Dzieciaku, co ty odpierdalasz?! – zawył Siliusz.

Ale ja nie miałem czasu na wytłumaczenia, bo drezyna wciąż sunęła naprzód.

Więc po prostu fajtnąłem w bok, nie tyle zeskakując, ile spadając z pojazdu.

Sturlałem się po nasypie, boleśnie obcierając sobie dużą część wszelkich wystających kawalków ciała o żwir, uderzyłem plecami o betonowy słupek kilometrowy. Na tyle szybko, na ile pozwalał mi na to ból, zerwałem się na nogi, zataczając się i kuśtykając pobiegłem dróżką za dwukółką.

Dziad zobaczył mnie, podniósł się na koźle i znów smagnął osiołka batem. Bezskutecznie, bo zwierzak odmawiał współpracy, nadal leżąc tym samym tempem.

– Chujuuuu! – zawylem, wyszarpując z pochwy gladius.

Dzied zeskoczył z dwukółki, wyjechał się jak długi, ale zebrał na czworaki, potem stanął na nogach i zaczął spierdalać przez puste pole, podnosząc za sobą kłęby kurzu.

Skręciłem z drogi i popędziłem za nim, przeskakując przez piętrzące się na ugorze garby martwej ziemi.

Uciekał, aż mu pięty błyskały, co i rusz oglądając się za siebie. Skubany, ależ miał odejść! Nie wiem, czy to strach go tak gnał, czy miał już, skurwysyn, taką wprawę w spierdalanu przed chcącymi go zabić... Tak czy inaczej, gnałem go konkretnym sprintem dobre kilkaset metrów.

Potem jednak zgubił jeden sandał, który poleciał gdzieś w bok, wyrzucony siłą odśrodkową. Bez niego stracił rytm, zaczął zwalniać. Próbował w biegu zdjąć drugi, przez co wypieprzył się na ryj i stracił kilka cennych sekund.

A potem wszystko było już tylko kwestią czasu. Był coraz bliżej i bliżej, ja coraz lepiej widziałem przerażenie w jego przekrwionych, świńskich, pijackich oczkach, czułem zostającą za nim smugę charakterystycznego smrodu przetrawionego alkoholu...

...Aż wreszcie skoczyłem ku niemu, chwyciłem za kark i obaliłem.

Potoczyliśmy się na ziemię. On od razu zaczął wierzgać, szarpać się, drapać, pluć, gryźć, bić mnie i wrzeszczeć, niczym opętany. Wykręcał się i wił, jak piskorz, próbował zostawić mi w rękach płaszcz, potem chciał zarzucić mi go na głowę, w końcu, gdy złapałem go za tunikę, usiłował się z niej wysupłać i chyba uciekać dalej nago.

Ja jednak fachowo jebnąłem go głowicą gladiusa – raz, drugi, trzeci! Nieszczerólnie patrząc nawet, w co go biję, byle w twarde, żeby więcej bolało! Poprawiłem mu z pięści w ucho, potem wbiłem kolano w pachwinę i strzeliłem z otwartej w ryj, a kiedy zwinął się na ziemi, zerwałem się i zacząłem metodycznie, raz za razem kopać, jak worek z kartoflami.

– Dzieciaku, co ty robisz?! – zawołał z daleka biegnący za mną Siliasz.

Ja jednak zapamiętałem flekowałem dziada, który związał się pod moimi razami, kwiczał, wrzeszczał, zasłaniał się rękami i ogólnie próbował się coraz słabiej bronić.

– Zajebię śmiecia...!

– Zek...! – Siliasz złapał mnie za ramię, szarpnął w tył.

Chciałem mu się odwinąć, ale wykręcił mi rękę, kopnął pod kolano, a kiedy straciłem równowagę, popchnął tak, że głową naprzód poleciałem w piach.

– Zabiję...! – zacharczałem, podnosząc się z ziemi. – Siliasz, zejźdź mi z drogi, bo jak mi Bóg miły...!

– Dzieciaku, czyś ty oszalał? Przecież to jakiś przypadkowy dziadek jest!

– On?! – roześmiałem się ponuro. – Siliasz, przecież to jest pierdolony szmalcownik, skurwysyn śmieć Święty Albert! Ten sam chuj, który sprzedał mnie na Arenę...!

Siliasz zamrugał, spojrzał na leżącego w kurzu, zakrwawionego, sponiewieranego dziada.

– Co...?

– Puść mnie, zabiję skurwiela...! – wrzasnąłem, zrywając się na nogi.

Jednak wtedy Święty Albert – bo to był on, nikt inny! – podniósł się na łokciu i wyciągnął przed siebie rękę, jakby próbując mnie zatrzymać:

– Rodzina... Oni mają ciebie i twoją rodzinę...! – zachrypiał przez rozbite wargi.

– Co?!

Zahamowałem w pół kroku, Siliasz chwycił mnie, przytrzymał.

– Dzieciaku, nie rusz go! Przecież nie można tak...!

– Coś ty powiedział?! Siliasz, puszczaj mnie... Coś ty powiedział, śmieciu pierdolony?! – zawyłem, czując, jak po karku spływa mi pot lodowatą strugą.

– Mają... mają ciebie i twoją rodzinę! Są w Cytadeli, pojmani i doprowadzeni na specjalny rozkaz Archanioła Michała... – zajęczał Święty. – Jeśli chcesz, powiem ci, gdzie ich trzymają... Ale... Archanioł mówił, że teraz na pewno już przyjdiesz do niego po dobroci! Przysięgam, że tak jest!

– Skąd... skąd o tym wiesz, człowieku?! – Siliasz potrząsnął głową.

Zaś Święty Albert spojrział mi prosto w oczy i powiedział:

– Bo sam mu ich sprzedałem.



Siedziałem na szynie, trzymając głowę rękami i patrząc tępo na nierówną fakturę podkładu kolejowego.

Świat wokół mnie nie poruszał się. Zero wiatru, zero chmur, nic. Słońce świeciło z jednej i tej samej strony. Idealne, perfekcyjne zawieszenie w formalinie.

Mógłbym tak zostać w sumie, i tylko równomierne dudnienie krwi w skroniach przypominało mi, że wciąż jeszcze żyję.

Gdzieś tam w tle, na peryferiach mojego postrzegania, były głosy: to Siliasz rozmawiał ze Świętym Albertem. Spokojnie tak rozmawiał, rzeczowo. Bez niepotrzebnych nerwów, tak jak to on potrafił.

Rozmawiał, a do mnie dolatywały z tego jakieś strzępy, kawałki. Pojedyncze słowa, a czasami nawet całe zdania. Tylko że nic z tego nie miało sensu. Nie miało znaczenia. Nie było istotne.

Istotne było tylko jedno. Wiedziałem, co takiego. Aż do bólu dokładnie miałem tego świadomość. Tylko że nawet nie byłem w stanie ubrać tego w myśli.

Jakby mój umysł celowo prześlizgiwał się wokół tematu.

– Zek... Zek, dzieciaku, jesteś tam? – głos Siliasz doleciał do mnie, niczym spod wody, kiedy eks-maszynista usiadł obok.

Powoli obróciłem głowę tak, żeby moje oczy patrzyły w jego kierunku.

– Ten skurwysyn ma moją rodzinę. – Mój własny głos zabrzmiał obco, zupełnie obojętnie.

– Dzieciaku, wiem. Tamten, o... – pokazał kciukiem na Świętego Alberta, siedzącego ze związanymi rękami i nogami, opartego plecami o koło wozu, do którego Siliasz jeszcze przywiązał go za szyję – ...twierdzi, że jak wychodził z Cytadeli, to nic im nie byyy... To znaczy, że nic im nie jest.

– On chce mnie, Siliasz.

– Dzieciaku, nie możesz tak po prostu...

– Mogę. I dokładnie to zrobię.

– Ale dzieciaku, przecież skąd on niby...

– Nie wiem! – wydarłem się nagle, zerwałem na równe nogi. – Nie mam, kurwa, pojęcia, skąd ten chuj złamany może wiedzieć, że moja rodzina jest moją rodziną! Nie wiem, po jakiego grzyba chce się mścić właśnie na mnie, ani tak naprawdę za co! Nic mu takiego, kurwa, nie zrobiłem...!

– Rozwaliłeś mu jego cyrk – przypomniał usłużnie Siliasz.

– Cyrk mu razem rozpiardoliliśmy, a ja mu tylko wypizdałem lepę na ryj. Nie wiem, może ma ochotę wyrównać rachunki... Niech będzie! Idę do ciebie, pierzasty fiucie...

Cho na solo, skurwysynu! Tylko ty i ja, żadnych ziomków! Zmierzymy się kutasami, niech nas rozsądzi wpierdol...!

Podniosłem zaciśniętą pięść, potrząsnąłem nią w kierunku, gdzie na horyzoncie rysowała się milcząca, wyniosła, obojętna Cytadela.

Siliasz odczekał kulturalnie dłuższą chwilę, gdy stałem tak w pozie godnej ostatniej sceny komunistycznego filmu propagandowego, potem też się podniósł. Poklepał mnie po ramieniu:

– Jak chcesz, dzieciaku. To głupota, żebyś nie miał wątpliwości, ale to też w opór męska decyzja. A co z nim zrobimy? – Pokazał kciukiem na Świętego.

– Wypuść gnidę – sapnąłem.

– ...Co?

– Wypuść go, mówię. Może to śmieć i ścierwojad, ale niech sobie żyje.

– Zek, on przecież...! – Siliasz aż się zapowietrzył, ale ja pokręciłem głową:

– Mam dość zabijania. Zmęczyło mnie to, a on... On nawet nie jest zły, tak jak nie był zły Teodor. Po prostu nikt mu nie powiedział, że można żyć inaczej... Ktoś się musi tym jego osiołkiem opiekować poza tym, nawet jeśli on sam chwilowo nie zasługuje na życie. Albo, sam już nie wiem, wywieź go nad morze, kamień do szyi i w wodę, niech się pływać nauczy. Mam to w dupie.

– A ty co, dzieciaku? Po prostu tam pójdziesz? Bo on mówił, że wszystkie oddziały mają rozkaz, żeby cię ująć i doprowadzić...

– Dokładnie tak: ja po prostu tam pójde.

Pokręcił głową, nie powiedział nic.

Nic nie było do powiedzenia.



Szedłem przez pustkę martwego świata, czując, jak ta sama pustka stopniowo wlewa się we mnie i wypełnia mnie całego.

Wszystko było... nijakie. Jak przysypane popiołem. Szare. Pozbawione smaku, koloru i nadziei.

Próbowałem układać sobie w głowie cokolwiek. Jakiś plan, wybieg, fortel. Coś we mnie krzychało: walcz, Zek, walcz! Nie poddawaj się, nie rezygnuj, nie odpuszczaj! Nie teraz! Na pewno jest jakiś sposób, jakieś cwane zagranie z chwytliwym tekstem, który ludzie potem będą wklejać sobie w recenzje!

Ale cokolwiek ułożyłem, było miałkie i żalodne nawet wedle moich standardów. Najlepsze, na co wpadłem, to to, że mogłem wziąć ze sobą Siliusza i poprosić, żeby udawał eskortującego mnie Komornika. Razem wejść do Cytadeli i... i co, kurwa, dalej?

Nasze szanse we dwóch były takie same, jak moje w pojedynkę: dążące do zera. A taką wartość można przemnożyć przez nieskończoność, i nadal będzie dążyć do zera.

Chyba. Tak mi się przynajmniej wydawało. Nieważne. Dość, że naprawdę, ale to naprawdę nie miałem pomysłu.

I czułem się w tym cholernie, ale to koszmarnie samotny.

– Azi... – zaskamlałem przez zaciśnięte gardło.

Anioł po prostu zrównał się ze mną krokiem, uśmiechnął się pytająco, zaglądając mi w twarz.

– Tak, Ezekieliu?

– Azi, przejdź się kawalek ze mną, proszę.

– Jak sobie życzysz, Ezekielu.

Potrząsnąłem głową.

– Nie chcę, żebyś robił rzeczy tylko dlatego, że sobie ich życzę, Azi. Ja wiem, wiem, że niby cię stworzyłem i tak dalej... Ale w pewnym sensie chyba stworzyliśmy siebie nawzajem.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie rozumiem, Azi. Natomiast w sumie to byłeś moim jedynym towarzyszem przez te lata... I mimo że byłeś strasznym ciapatym chujkiem, to ja też byłem niewiele lepszy. I dla ciebie, i tak w ogóle. Więc w sumie to... chciałem cię przeprosić.

– Nie masz mnie za co przepraszać, Ezekielu.

– Mam, bo jestem chujowym Bogiem. Ciebie, i w sumie wszystkich powinienem... Bo to moja wina wszystko. – Pokazałem ręką na świat. – Nie była moja początkowo, ale się moja stała. Wiem, że mogłem zrobić całą masę rzeczy lepiej.

– Nie ma sensu winić się za to, co się nie stało – stwierdził sentencjonalnie Anioł.

Przez długą chwilę panowała cisza, tylko nasze kroki szurały w miążkim piachu.

– Lubię cię, Azraelu – powiedziałem w końcu. – Zostań ze mną.

– Zostanę zatem z tobą, Ezekielu. – Uśmiechnął się.

Szliśmy sobie przez umierający świat – ja i mój prywatny Anioł Śmierci.



Posterunek na podejściu do Cytadeli widziałem już z daleka.

Prymitywna, z grubsza kwadratowa palisada wznosiła się na obrzeżu zrujnowanego, spalonego do cna miasteczka, niczym złośliwe świadectwo tryumfu bzdurnej wiary nad porządną nauką. Kręcili się tam Nawróceni w pancerzach któregoś z Legionów, przy bramie mieli dobudowany punkt rekrutacyjny. Idealnie.

Kiedy podszedłem, kilkunastu Legionistów było akurat zajętych kopaniem podłużnego, nieszczególnie głębokiego, ale dość szerokiego rowu. Ani chybi masowy grób, żeby było gdzie grzebać klientów powstającego nieco dalej Smętnego Miasteczka.

Z kolei nieco bliżej palisady, większa grupa kopała chyba fosę, mającą wzmocnić cokolwiek rudymetarną linię umocnień. Nadzorujący ich pracę znudzony setnik o obwisłej twarzy niegdysiejszego grubasa zmierzył mnie spojrzeniem, ale nawet nie raczył nałożyć hełmu, zawieszono go na wbitym w ziemię kijku mierniczym.

– Salve, frater – powitał mnie zwyczajowo, machając ręką w jakiejś żalostnej parodii salutu.

– Ezekiel Siódmy, zbiegły i poszukiwany Dłużnik. Przybyłem oddać się w ręce sprawiedliwości – powiedziałem zupełnie beznamytnie, wyciągając przed siebie ręce, jak do założenia kajdanek.

Centurion popatrzył na moje ręce, na mnie. Na Znamię na moim czole. Na stojącego nieco za mną Anioła.

– Nie żartujcie sobie tak, frater. Za dużo pracy tu mamy, a trzeba się okopać, skoro wojska Faryzeusza nas już jakiś czas nie niepokoją. Czego wam potrzeba?

– Tak jak mówię, przyszedłem oddać się w ręce sprawiedliwości. Jestem poszukiwany rozkazem samego Archanioła.

– Ha, ha, ha. Bardzo śmieszne, frater. Ruszajcie się tam, żołnierzu! Nie mamy całej wieczności, żebyście się mogli tak guzdrać! – zakrzyknął na jednego z kopaczy.

– Ja naprawdę jestem...

– Tak, tak, jasne.

Wyjąłem gladius, odpaliłem klingę na pełny zycher i wbilem mu w brzuch.

– Teraz mi, kurwa, wierzysz?! – wrzasnąłem łamiącym się głosem.

I tak potrwało to dłuższą chwilę, nim ktoś uderzył na alarm.



Dźgnięcie zaostrzonym kijem w okolice nerek dobitnie przypomniało mi, że mam przebierać nogami.

– Naprzód tam, nie ociągaj się... I nie gadaj do siebie! – zakrzyknął idący z tyłu żołnierz.

– Nie musisz się odzywać, Ezekielu.

Spojrzałem na wciąż idącego obok mnie Azraela z autentyczną, nieudawaną wdzięcznością.

Był przy mnie, tak, jak obiecał. Nie zniknął, kiedy rzucili się na mnie hurmem. Kulturalnie zaproponował, że może ich pozabijać, gdy katowali mnie, leżącego już na ziemi. Potem, niewidzialny chyba dla całej reszty, podtrzymał mnie pod ramię, gdy wstawałem z ziemi, już z założoną na szyję żelazną obrozą z czterema dopiętymi łańcuchami.

Zawiesili mi na szyi pochwę od gladiusa, a sam miecz zabrali. Zostawili tylko tunikę. Prowadzili brukowanym szlakiem ku Cytadeli, jak zwierzę, jak bydło, jak... jak nawet nie wiem kogo.

A mnie to nie przeszkadzało, nie miało to dla mnie znaczenia. Bo patrzyłem tylko na coraz bliższą, coraz wyższą, olśniewającą białą iglicę z kamienia i miałem nadzieję, że ten chuj Michał patrzy na mnie z góry. Że widzi, jak przychodzę do niego sponiewierany, upodlony i zezmacony... I że wali sobie do tego konia.

Najlepiej oburącz, bo wtedy nie będzie miał wolnej ręki, żeby skrzywdzić moją rodzinę.

– Jak...? – wycedziłem przez rozbite usta.

– Nie mówić! – wrzasnął dziesiętnik i wałnął mnie kijem prosto w pysk.

– Masz na myśli to, w jaki sposób namierzono twoją rodzinę, Ezekielu? – pojął w lot Azrael.

Kiwnąłem tylko głową, zbyt zajęty jeżdżeniem językiem po połamanych zębach.

Anioł wyprostował się, nie zwalniając nawet przymknął oczy i rozłożył skrzydła, które płynnie przeszły przez eskortujących mnie zbrojnych, którzy nawet nie drgnęli.

– Obawiam się, Ezekielu, że może to być częściowo związane ze mną – powiedział w końcu lekko przepaszającym tonem. – Jeśli porównać potencjał ontologiczny na moim śladzie w płaszczyźnie astralnej, to da się zauważyć odchylenie przy naszym pierwszym spotkaniu. Poza tym twoja teczka osobowa jest dość, że tak się wyrażę, specyficzna. Przerwy, niejasności, zniknięcia. Wystarczyło porównać wzorzec z wciąż wpisanymi do Ewidencji, żeby uzyskać niemalże idealne dopasowanie. Nie pomyślałem o tym, gdy podpisywaliśmy Kontrakt. Wybacz.

Najpierw pokiwałem, potem potrząsnąłem głową: nie. To nie była w żadnym stopniu jego wina. On był tylko Aniołem, bytem na posyłki. To ja tu byłem od myślenia, tylko mnie to dotykało...

– Twój ból jest moim bólem, Ezekielu. Jesteśmy przecież połączeni, pamiętasz? – Anioł uśmiechnął się do mnie, pokazując połamane zęby i rozbite usta.

Spojrzałem na niego zdumiony. Któryś z żołdaków pokazał na mnie palcem, zaśmiał się: pewnie wyglądało to, jakbym oszalał, bo patrzyłem i mamrotałem do pustki.

A zatem było jeszcze gorzej, bo cokolwiek pozwolę zrobić sobie, zostanie też uczynione Azraelowi.

Naprawdę, byłem w tak czarnej dupie, że nawet kolonoskopia by mnie nie znalazła.

Konwój dotarł do jednej z bram Cytadeli, prowadzący go oficer zadał w róg. Wrota zaczęły się powoli rozchyłać, wpuszczając nas na dziedziniec.

To miejsce było naprawdę przerażające, isticie nieludzkie. Wszystko było zbyt wielkie, nazbyt monumentalne, rozdmuchane... Zupełnie jak socrealistyczne budynki. Gigantyczne rzeźby świętych i proroków, aniołowie o wykutych z kamienia twarzach bez wyrazu. Zdobienia i napisy tak ogromne, że wymykały się ludzkiemu postrzeganiu.

Oczywiście, kłębił się tutaj tłum pielgrzymów, pełno było proszalników, żebraków, nagabywaczy, naciągaczy i wszelkiej innej hałastry. Natomiast nawet mnie rzuciło się w oczy, że ludzie wyglądali po prostu biedniej. Byli o wiele bardziej sponiewierani, zakurzeni. Zdesperowani.

– Uraaa–tuuuu naaas! – darła się jedna z grupek, zanosząca grupowe modły przed bocznym ołtarzem. – Wyyy–baaaw nas! Z nędzy podnieś, z prochu otrzep, chleba życia daaaj...!

– Pojedynczo, nie pchać się! Nie pchać się, mówię...! Po jednym, pojedynczo! Jeden placek na głowę! Nie pchać się... Pojedynczo! – krzyczał rozdający darmową żywność zakonnik, zagłuszany skutecznie przez stojącego zaraz obok rekrutera:

– Wstąp do Legionu już dziś! Zaciągnij się, przysłuż dziełu zwycięstwa nad armiami Fałszywego Proroka! Pewność zatrudnienia, wysoki prestiż społeczny! Gwarantowany sort odzieżowy i wikt! Zaciągnij się i pomóż nam sprowadzić na ten świat Królestwo Boże!

– Z drogi! – zawołał prowadzący mój konwój oficer. – Precz, ludzkie śmiecie! Won, mówię, z drogi, bo nahajem po plecach... Transport specjalny!

– Grzesznika prowadzą na kaźń! – zawołał ktoś.

– Nie Grzesznika, tylko Dłużnika jakiegoś... Patrzcie, jaki ma ryj kaprawy! Na śmierć go!

– Na śmierć! Na śmierć Dłużnika, za nasze grzechy...!

– Śmierć sługom Fałszywego Proroka!

– Śmierć, śmierć Fałszywemu Prorokowi! Dawajcie go tutaj, nam go oddajcie! Śmierć!

– Śmierć...!

Ludzie napaarli na konwój, żołnierze przyspieszyli, odpychając wyciągający po mnie ręce tłum drzewcami włóczni i zestawiając tarcze. Przed nami już otwierała się któraś z wewnętrznych bram, gotowa wpuścić nas w bezpieczne wnętrze Cytadeli... Wpadliśmy do środka, dosłownie pchani przez ludzką falę wściekłych twarzy, zagiętych niczym szpony palców, błyskających złością oczu i rozwartych gniewnymi okrzykami ust.

Wrota szczęknęły i zawarły się za nami, odcinając wściekłą wrzawę i zostawiając nas w dusznym półmroku.

– Pilnujcie go, nie spuszczaście z oka! – polecił oficer. – Pójdę zameldować wyżej, że mamy gagatka. Jeśli cokolwiek głupiego zrobi, od razu go bić, ale tak, żeby nie zabić!

Ja jednak nie miałem zamiaru robić nic głupiego. Klapnąłem sobie na kamienną podłogę, patrząc tępo w ścianę.

Gdzieś wokół mnie chodzili żołnierze, rozmawiali o czymś Legioniści. Od czasu do czasu szczęknęła drewniana furta w bramie, zastukały kroki po kamieniach. Ot, taka klasyczna krzątania w wielkiej siedzibie wielkiego wodza.

A ja siedziałem sobie na posadzce, jak ten Chrystus w pałacu u Poncjusza Piłata i czekałem na parodię rozprawy sądowej.

– Nie martw się, Ezekielu. Wszystko będzie dobrze.

Podniosłem wzrok na siedzącego naprzeciwko po turecku Azraela.

– Apokatastaza? – prychnąłem.

– Jeśli właśnie tego będziesz chciał, Ezekielu, to odbudowanie świata w jego pierwotnej, bezgrzesznej formie nie jest niemożliwe.

– Azi, na pochyłe drzewo i Król Salomon nie naleje! – zaśmiałem się nerwowo. – Nie wyjdę swoją świadomością poza własną formę, nie stworzę niczego, co będzie bardziej doskonałe niż ja sam!

– Nie gadać! – warknął odruchowo któryś ze strażników.

– Świat już spłonął, Ezekielu.

– ...Co?

– Ekpirosis. Tak jak przepowiedział to Zenon z Kition, materia świata uległa już przekształceniu. A teraz to ty jesteś Ahura Mazdą, który zniszczył świat... zaś ja oczekuję na powstanie lepszego z jego popiołów.

– Azi, to brednie! Przecież nic mi się nie udało, wszystko jest takie samo! Nic się nie...

Anioł uśmiechnął się, przekrzywił głowę.

– Czyżby? – zapytał.

– ...Zmieniło – dokończyłem, już teraz czując, że ostatnie zdanie było tylko słowami i niczym więcej.

Gdzieś w oddali trzasnęły o ścianę otwierane z impetem spiżowe drzwi, w korytarzu zazgrzytały miarowe kroki podkutych sandałów. Niemalże poczułem, jak żołnierze spinają się, nagle przyjmują coś na kształt postawy zasadniczej.

Azrael wychylił się w przód, położył mi dłoń na ramieniu i zniknął.

Zaś na jego miejscu pojawiły się w moim polu widzenia dwie umięśnione, opalone nogi obłożone w złożone nagolennice. Podniosłem powoli wzrok, patrząc po kolei na spódniczkę z białych pasków skóry z czerwonymi frędzlami, gęsto nabijany złotymi blaszkami pas, pięknej roboty płócienny napierśnik i imponujące, aż ociekające zdobieniami naramienniki.

A potem spojrzałem prosto w posągowo piękną, okoloną puklami lśniących od oliwy włosów twarz Danaiela.

– No proszę, proszę... – powiedział Pierwszy z przekąsem, biorąc się pod boki. – Co też kot zostawił pod drzwiami... A mówiłem, że jeszcze sam do nas przyjdiesz, Zekuś. No i przyszedłeś...

– Kopę lat, Carter. Masz coś białego na brodzie, o tutaj. Rozumiem, że ojebałeś już poranną kolbę? Smakowało?

Nie wiem, dlaczego ani po co to powiedziałem. Samo się wyrwało jakoś. Pierwszy uśmiechnął się czarująco, po czym strzelił mnie kolaniem prosto w ryj tak, że aż zobaczyłem komplet gwiazd z całą drogą mleczną.

Zwinąłem się na posadzce, oczekując kolejnych razów, ale nie uderzył mnie już więcej. Zamiast tego szarpnięciem podniósł mnie na nogi:

– Wstawaj, wstawaj, Zekuś. Archanioł już nie może doczekać się spotkania z tobą.



– A może tak tylko trochę, jeśli nie można trwale? Powierzchniowo tak, nie dochodząc do kości?

– Nie ruszaj go, Quintus. Wyraźny rozkaz Archanioła, że ma być cały i nienaruszony... Tak, Zekuś? Przyprawimy cię w całości. Cieszysz się?

Nie odpowiadałem na ich zaczepki. Po prostu przestawiałem nogi na niekończących się schodach, prowadzących na szczyt Cytadeli. Krok za krokiem, krok za krokiem, stopień po stopniu wspinałem się wyżej i wyżej.

Czasami oczywiście przystawaliśmy, czekając, aż otworzą się kolejne drzwi, podniesie się krata, albo opuści wewnętrzny most zwodzony. Zapach płonącego w gigantycznych misach kadzidła drażnił nozdrza i gardło. Rozbiegane, umęczone oczy nie były w stanie złapać ostrości na kolejnych srebrnych i złotych rzeźbach, połaciach mozaik i polichromii, oświetlonych chybliwym światłem oliwnych kaganków.

Większa część naszej eskorty została jakoś w połowie drogi, teraz prowadził mnie spiralną klatką schodową tylko Pierwszy i jakies jego dwa przydupasy.

Miałem nawet taką myśl, że jakby co, mogę rzucić się w otchłań szybu i rozklapnąć się na dnie na papkę, żeby potem odrodzić gdzie indziej... Taka awaryjna droga ewakuacji. Ale co by mi to dało? Przecież sam, z własnej woli tu przyszedłem. Nikt mnie bezpośrednio nie zmusił.

– Nie przejmuj się, Zekuś – odezwał się Pierwszy, jakby odczytując moje myśli. – Nic ci się aż tak złego nie stanie. Nie rozumiem, co prawda, czemu cię Archanioł chce żywego...

– Nie w jego stylu – przytaknął Quintus.

– ...Ale ciesz się, zamiast smuć. A co do ciebie, ile razy ci mówiłem, żebyś mordę trzymał na kłódkę, jak cię nie pytają?!

– Szeffie, ja tylko... Łaaahaaaa! – wrzasnął Komornik, kiedy Pierwszy z całej siły pchnął go w ramię, strącając ze schodów w otchłań.

Wrzeszczał jeszcze chwilę, spadając coraz niżej, a potem chyba uderzył o któryś z podestów, bo krzyk nagle urwał się w echu dość paskudnego chrupnięcia.

– Widzisz, Zekuś? Dyscyplinę tutaj trzymamy, jak należy. No co, co taki ponury jesteś? Chcesz ich zobaczyć?

– Spierdalaj – warknąłem.

Pierwszy westchnął, pokręcił głową i zatrzymał się. Dwaj Komornicy odsunęli się ode mnie zauważalnie, zapewne spodziewając się, że zaraz podzieli los ich kolegi.

– Zek, Zekuś, Zekunio. Nadal wierzgasz przeciwko ościeniowi, nadal pyskujesz silniejszym i lepszym od siebie. I po co tak? No po co, powiedz? Przecież my tutaj jesteśmy jedną wielką rodziną...! – Danaiel rozłożył ręce. – I teraz twoja rodzina jest częścią nas. I ty też, razem z nią... No co, co się tak patrzysz? Nie rozumiesz, biedaczysko... No nic, jeszcze zrozumiesz.

Resztką eskorty odłączyła się od nas na przedostatnim poziomie, w jednej z niezliczonych kaplic. Architektura tutaj nie miała już nic wspólnego z ludzką, przypominała raczej to, co widziałem we wnętrzu porwanego Tronu: przenikające się

wzajemnie, obłe, pływające kształty i niejednoznaczne formy bardziej przypominały wnętrza jakiejś istoty niż wytwór rąk ludzkich.

Miałem kiedyś taką teorię, swoją drogą, że Góra może być po prostu wygodną, absolutnie wiarygodną przykrywką. Fasadą, za którą skrywała się prowadzona przez Obcych inwazja na nasz świat... W końcu, skoro w tym starym, durnym, czarno-białym filmie z typem od wampirów, kosmici mogli wskrzeszać zombie, żeby udowodnić ludziom, że istnieją, to czemu mieliby nie zrobić czegoś tak głupiego?!

Ale wiedziałem, że to nie kosmici. Kosmici byliby chociaż minimalnie logiczni, inteligentni i cywilizowani, a za budowę Cytadeli i rozpierdolenie mojego świata odpowiadała nie nauka, a religia.

– Chcę ich zobaczyć – powiedziałem, gdy Pierwszy popchnął mnie ku kolejnym schodom.

– Zek, nie mamy na to teraz czasu – skrzywił się Carter.

– Chcę ich zobaczyć, Carter. Albo to, albo zacznę robić głupoty i narobię ci kłopotu.

– Nie jesteś w stanie zrobić nic, co...

– Nie teraz, ale potem, kiedy staniemy przed Archaniołem.

– I co takiego niby mógłbyś zrobić, co miałyby rozgniewać Jego Świetlistość?

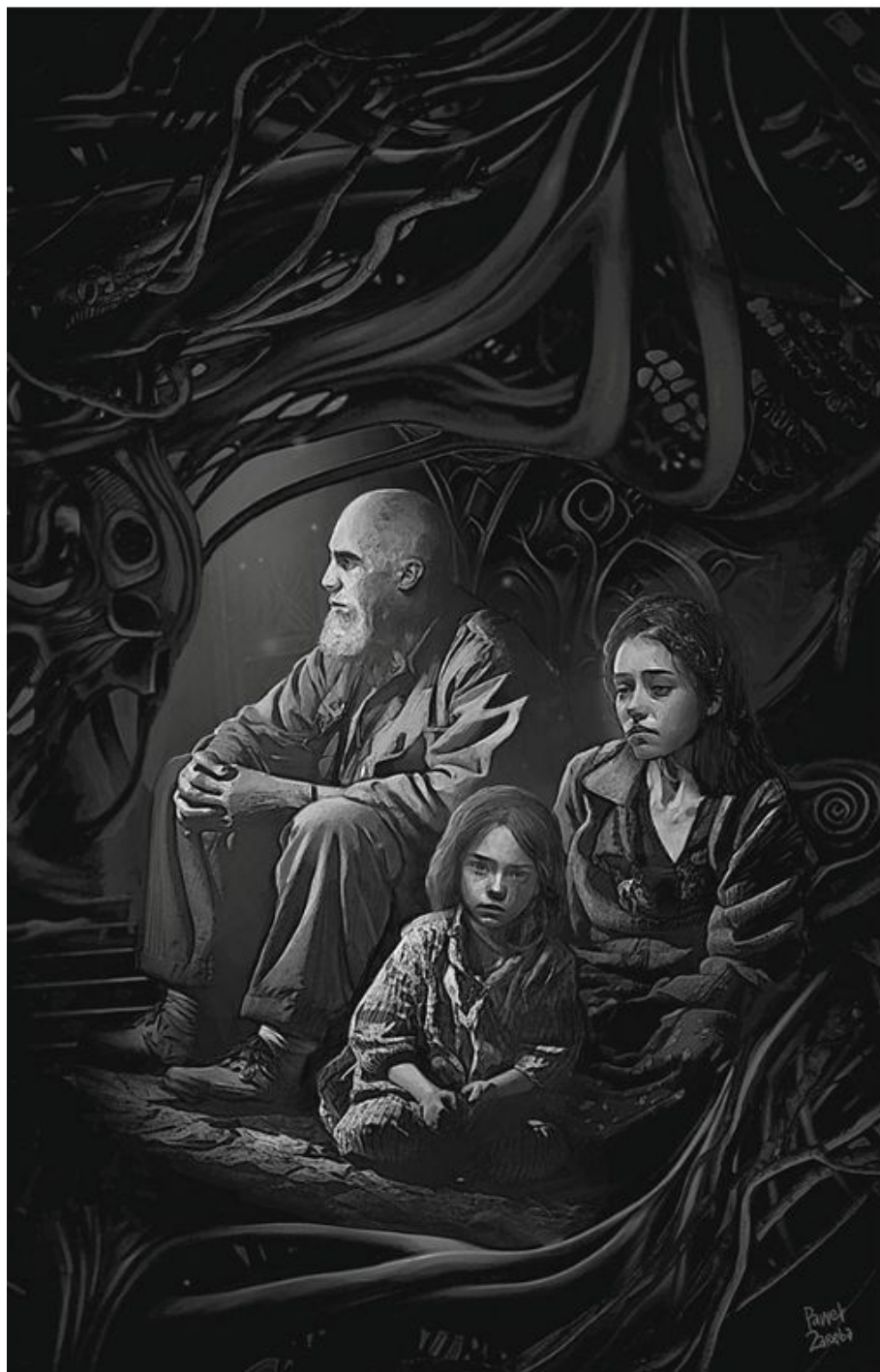
Spojrzałem mu głęboko w oczy.

– Sprawdź mnie – syknąłem.

Wytrzymał moje spojrzenie chwilę, potem przewrócił oczami.

– Niech ci będzie, Zekuś. Ostatnie życzenie skazańca to świętość... Chodź ze mną w takim razie. Ale ostrzegam, zrób cokolwiek głupiego, spróbuj tylko uciec...!

– Nie spróbuję. Prowadź, piesku łańcuchowy.



Wróciliśmy się kilka, a może i kilkanaście poziomów w dół. Danael rzucał tylko krótkie komendy: „w lewo”, „teraz prosto”, „drugie drzwi”... Aż w końcu wyszliśmy na niewielką galeryjkę, biegnącą ponad osadzonymi poniżej celami z kamienia.

Pierwszy podprowadził mnie jeszcze kawałek, potem położył palec na ustach i pokazał ręką: tam.

Ale ja nie potrzebowałem tego, bo już ich widziałem.

Byli tam, w jednej z cel. Już stąd widziałem grzywę płowych włosów mojej małej, wtulonej teraz i chyba śpiącej w ramionach jej mamy. Przebrali ich w jakieś nędzne tuniki, brudne i pocerowane. Widziałem pobrudzone ręce, zaschniętą krew na podrapanym przedramieniu żony...

...Ale widziałem też siebie.

Samego, kurwa, siebie, siedzącego pod ścianą z głową wspartą na rękach. Rozglądającego się bezmyślnych wzrokiem po tym więzieniu.

Byłem chudszy, sporo chudszy, skonstatowałem z zaskoczeniem. „Wychudzony” byłoby chyba właściwym słowem. I zarośnięty, bo długa szczecina powoli zaczynała przybierać kształt niedużej brody. I zdecydowanie posiwiałem, bo widać w niej było srebrnawe pasma.

Patrzyłem sam na siebie i wrażenie było przedziwne.

Danael położył mi rękę na ramieniu i pociągnął w tył, dając znak, że widzenie się zakończyło.

Jednak w tym samym momencie tamten „ja” podniósł głowę i spojrzał wprost na mnie. Prosto, centralnie na mnie!

Nasze spojrzenia zetknęły się na chwilę, a mnie jakby ktoś strzelił prądem z gniazodka.

Nie wiem, co to było, ale było przedziwne. Tak jakbym nagle poczuł, że gdzieś na świecie jest coś jeszcze. Coś, co nie było mną, ale mogło się mną stać.

Bo jeśli ja byłem w tym wszystkim Bogiem, Esencją, Duchem nad wodami, to on był...

– Dość, wystarczy już tego dobrego, Zekuś. Archanioł nie lubi czekać.

Pierwszy wyprowadził mnie korytarzami z powrotem na klatkę schodową, wznowiliśmy wędrówkę na górę.

Ja jednak czułem, że coś było inaczej. Nie ze światem, nie z Cytadelą, nie z moim totalnie przejebanym położeniem.

Coś było inaczej ze mną.

W końcu stanęliśmy przed szczerozłotymi, gigantycznymi drzwiami do kaplicy Archanioła. Wiem, że to były te drzwi, bo już kiedyś tu przecież byłem, na samym szczycie Cytadeli, w jego prywatnym *sanctum sanctorum*.

– Jesteś moim biletem wstępu, Zek. – Pierwszy uśmiechnął się błogo.

– Carter, przestań monologować, do kurwy nędzy...

– Taka jest prawda, Zek. Poza tym, kopę czasu nie rozmawialiśmy tak po prostu, co nie? I naprawdę jesteś moją wejściówką... Bo nie byłem tutaj, och, jak dawno! – Zatarł ręce. – Ale teraz, kiedy w końcu mamy ciebie, wszystko się zmieni. Archanioł znów do nas zejdzie, stanie na czele naszych armii. Pokonamy wreszcie Faryzeusza, zaprowadzimy porządek. W końcu zapanuje tutaj prawdziwy spokój...!

– Stare kobiety będą spokojnie umierać w kolejkach, fabryki bez strajków zwiększą produkcję kalekich odwłoków? – prychnąłem.

Nie zrozumiał, nie mógł zrozumieć.

– Otwierać! Danael Pierwszy jego Świetlistej Wysokości, Imperatora Samowładcy, najświętszej ekscelencji Archanioła Michała! – zawołał głośno.

Dwóch ogromnych, ubranych w inkrustowane złotem pancerze Ofiarników sięgnęło ku wprawionym we wrota uchwytno i pociągnęło na siebie, powoli rozchyłając wierzeje.

Jaskrawy blask przelał się poprzez poszerzającą się szczelinę, uderzył nas obydwu w twarze całą kaskadą, ogarniając coraz większą połać spowitego dotychczas w półmrok przedsionka. Widziałem już cały las wysmukłych, spiralnych kolumn, podtrzymujących pajęczynę łuków żebrowych sklepienia w kolorze młecznego złota, przetykaną kroplami płynnego światła zwieszających się na złotych łańcuchach lamp oliwnych

– Zachowuj się, Zekuś, proszę – mruknął jeszcze Pierwszy.

– Kurwaa, te same teksty... – jęknąłem, wchodząc do środka.

Tutaj, tak wysoko ponad ziemią i w ciągłej ekspozycji na światło słoneczne, było o wiele, wiele cieplej. Gorąco wręcz tchnęło nam w twarze, poczułem, jak zassane z dołu powietrze otula mi plecy chłodniejszym powiewem.

Kaplica na szczycie była imponująca. O wiele, wiele za duża jak na standardy człowieka, zdająca się przeczyć prawom logiki i architektury – jak gdyby od wewnątrz mieściła się w niej znacznie większa kubatura, niż sugerowały to jej zewnętrzne rozmiary... A może po prostu była to kwestia zaburzonej, żabiej perspektywy patrzącego na nią z samego dołu, niewspółmiernie małego przy ogromie Cytadeli człowieka?

Tak czy inaczej, ludzkie zmysły próbowały i nie dawały rady objąć swoim pojmowaniem tego, co działo się tutaj, pośród wysmukłych arkad i pozornie kruchych połączeń niemalże nieistniejących ścian nośnych. Przez zewnętrzną kolumnadę widziałem okalający całość kaplicy taras, którego krzywizna uciekała gdzieś w dwie strony ponad przestworem pustki, ograniczonym wyłącznie delikatnie rozmytą linią horyzontu w oddali.

– Panie – odezwał się Danaiel, zginając w ukłonie – twój sługa przybywa.

Dałem radę wytrzymać dosłownie chwilę, kiedy Archanioł wyłonił się z wnętrza swego *sanctum sanctorum*, a potem nogi ugięły się pode mną same, a kark jakby ktoś docisnął stalową rękawicą. Potem tylko czułem, jak zbliża się ku nam, nieskalanie idealny w swej perfekcji, stanowiący najwyższą, najdoskonalszą treść zaklętą w formie, jedynie o jeden krok ustępującej Absolutowi.

– Czego chcesz, Danaielu Pierwszy? – zahuczał Michał głosem niczym wodospad.

– Przeprowadziłem go, tak jak przepowiedziałeś, Panie. Oto oddaję ci Falszywego Proroka.

A ja poczułem moment, w którym Anioł przeniósł wzrok na mnie. Oczy aż załzawiły, plecy zatrzeszczały... Jednak dałem radę wytrzymać, nie zgąłem się tak nisko, jak żądała tego ode mnie niewidzialna siła.

– Wstań – powiedział Anioł.

Moje nogi, plecy, mięśnie, całe ciało po prostu spełniło rozkaz, nim zdążyłem o tym nawet pomyśleć. Wyprostowałem się, niczym struna, spojrzałem wprost przed siebie niewidzącym wzrokiem – czując jednocześnie, jak całe moje jestestwo aż krzyczy, czując, jak kawałek po kawałku wydzierana jest ze mnie wolna wola.

W tym momencie nie istniało nic. Nie było świata, nie było kaplicy, nie było mnie. Archanioł wypełnił sobą moje wszystko, tylko on cokolwiek znaczył.

A jednak, gdzieś w głębi mnie wibrował inny obraz: moja rodzina w celi i ja, patrzący sobie samemu w oczy.

Kiedy Michał odezwał się, jego głos uderzył, niczym dzwon:

– Zatem dokonano się. Oto wypełniło się to, co wypełnić się miało. Nasze dzieło dobiega kresu.

– Tak, Panie! – odszczeknęła Danael.

– Teraz będziemy mogli doprowadzić wszystko do końca! – ryknął Archanioł, rozkładając skrzydła.

– Tak, Panie! Nasze armie są gotowe, Faryzeusz ulegnie, a po nim wszyscy inni!

– Nikt nas nie powstrzyma, gdy razem ruszymy w świat... Bracie!

– Bra...? – niemalże usłyszałem, jak Danael zająknął się, o mało nie zadławił własnym szeptem.

Zaś ja poczułem, jak coś nagle się zmienia. Jak gdyby w do tej pory znaną, doskonale poukładaną melodię wkradła się jakaś inna nuta. Nie, wcale nie „falszywa” – ale po prostu obca. Taka, której jeszcze chwilę wcześniej tam nie było.

Nie mogło być. Nie miała prawa tam być. To było niedorzeczne, przeczyło wszystkiemu...

...A jednak tam była.

Nagle okazało się, że moje ciało znów należy do mnie. Zacerpnąłem gwałtownie tchu, zupełnie odruchowo podążyłem wzrokiem tam, gdzie patrzył też Michał, teraz spoglądający ku wyjściu na zalany słonecznym blaskiem taras.

Zaś stamtąd, składając właśnie na plecach swoje trzy pary potężnych skrzydeł, szedł ku nam Szemijazasz.

Zdębiałem. Dosłownie zamarłem na chwilę, nie wiedząc, jak zareagować. Scena była tak niedorzeczna, tak nierealistyczna, tak bardzo niemożliwa, jak tylko to było możliwe.

– Ezekielu...! – zawołał radośnie Szemijazasz, rozkładając szeroko ręce. – Ezekielu, jakże się cieszę, że w końcu znów widzimy się twarzą w twarz... Co za niewypowiedziane szczęście!

– Falszywy Prorok jest w naszych rękach! – zahuczał Michał, pokazując na mnie ręką tak, jak gdyby tamten jeszcze mnie nie zauważył.

– Tak, o mój Bracie, tak! Tak, jak ci to mówiłem... Ach, ludzie, ludzie! – Pokręcił głową, uśmiechając się dobrotliwie. – Tak łatwi do pokierowania, tak prości w swoich prymitywnych motywacjach. Tak cudownie, upajająco przewidywalni.

Szemijazasz wyminął Michała, po drodze musnął jego ramię dłonią. Archanioł uśmiechnął się, pokiwał głową z dziką satysfakcją:

– Teraz, mój Bracie, nikt już nie stanie nam na przeszkodzie! Gdy rozkażemy, cały świat zegnije kark przed naszym panowaniem! Nastanie ogień, wicher i popiół!

– Och, tak, tak. Ogień, płomień i żar, tak. Ezekielu... – Szemijazasz rozciągnął usta w uśmiechu, przypominającym bliznę po otwarciu otrzewnej. – Nie jestem w stanie wyrazić słowami, jak bardzo, bardzo, bardzo cieszę się, że jednak zgodziłeś się przybyć.

– Nasze armie wyruszą, aby nieść pożogę!

– ...Tak, oczywiście. Nic nie powiesz, Ezekielu? Stęskniłem się za twoim głosem.

– Wasze armie? – wyrzuciłem w końcu z siebie nadludzki wysiłek woli.

Szemijazasz, który zdążył przysunąć się do mnie tak blisko, że prawie zetknęliśmy się czołami, teraz gwałtownie odsunął się o krok, skrzywił i pomachał przed twarzą dłonią.

– Och, och. Zdecydowanie potrzebujesz odrobiny czystości, Ezekielu, nim przejdziemy do najważniejszej części naszego spotkania. Jednak nie pozwólmy, aby twój brak dbałości o higienę jamy ustnej miał stanąć na drodze naszej rozmowie... I wszystkiemu, co przyjdzie po niej.

– Wasze... Wasze armie – powtórzyłem, czując, że język powoli zaczyna mnie ponownie słuchać. – Wasze.

– Och, oczywiście, Ezekielu. Czy ty naprawdę...? Nie, niemożliwe! Nie–mo–żli–we! – Szemijazasz zaśmiał się, klasnął w dłonie. – Ha! I ty, nawet ty, Ezekielu, uwierzyłeś?!

Ale ja poczułem, jak nagłą falą gorąca wzbiera we mnie wściekłość. Najgorsza, bo paląca, gorzka, ta która budzi się poniewczasie, gdy człowiek zaczyna rozumieć, jak bardzo i w jaki sposób został oszukany.

– Zasańczy... Od samego początku...!

– Och, przeceniasz mnie, Ezekielu. Nie, nie od samego początku, ale... – Szemijasz rzucił Michałowi promienny uśmiech przez ramię. – Ale masz rację. Rzeczywiście, w pewnym momencie doszliśmy z moim starszym, silniejszym, mądrzejszym Bratem przyrodnim do wniosku, że tak będzie lepiej. Prościej, skuteczniej. W końcu wszystko zostaje w rodzinie!

– Świat ugnie się przed naszą potęgą!

– Tak, tak, bracie, cokolwiek powiesz. Widzisz, Ezekielu, jakie to piękne w swojej prostocie?

– Oszukaliście wszystkich – jęknąłem. – Klasyczny dualizm, układ dwupartyjny... Konkurujące ze sobą korporacje, należące do jednego holdingu.

– Wolę myśleć o tym jako o „wspólnocie interesów” – skrzywił się Szemijasz. – Poza tym, Ezekielu, nasze cele są zbieżne. Przynajmniej do pewnego stopnia... Natomiast zawarliśmy z Michałem bardzo korzystny układ.

– Wszystko spłonie! – zahuczał Archanioł.

– ...Tak, to będzie pierwszy etap, owszem. A potem, kiedy mój starszy, silniejszy, mądrzejszy Brat wykona swoją misję... No cóż, sam rozumiesz.

– Pierworództwo za miskę soczewicy! – zaśmiał się przez ściśnięte gardło, czując, jak kręci mi się w głowie.

– Och, przesadzasz, doprawdy, Ezekielu. Powiedzmy, że Michała nieszczerze interesuje to, co będzie dalej... Prawda, stepujący bracie? – Odwrócił się do Archanioła i delikatnie pogładził go po policzku.

Świat zawirował wokół mnie, zatoczyłem się i byłbym upadł, ale Szemijasz skoczył w przód, złapał mnie w ramiona, nim uderzyłem potylicą o kamienną posadzkę.

– O nie, Ezekielu – zasyczał, wionąc mi w twarz zapachem mirry i kadzidła. – Nie tak szybko, nie w ten sposób. Mam dla ciebie przygotowany bardzo szczególny plan, całą ceremonię na twoją cześć... I zapewniam cię, że będziesz czuł każdą jej najmniejszą chwilę. A potem, kiedy ja z tobą skończę, to co zostanie oddam Michałowi. Czyż nie tak, Bracie?

Ogromna, nieludzko piękna twarz Archanioła wyłoniła się sponad ramienia Szemijaszasa. Dwoje zimnych niczym lód, bezdusznych oczu spojrzało wprost na mnie.

– Zabierz go, słuگو, i przygotuj do ceremonii – powiedział Michał.

Ktoś złapał mnie pod ramiona, pociągnął po kamienną posadzkę.

– Do zobaczenia wkrótce, Zek. – Szemijasz pomachał mi. – Już nie mogę się doczekać naszego czasu tylko we dwóch.

Byłem obok tego wszystkiego.

Widziałem, czułem i słyszałem, ale to nie były moje wrażenia.

Dopiero kiedy huknęły zamykane za nami złote wierzaje, moje odczucia zaczęły być minimalnie bardziej moje.

– Wstawaj – powiedział Danaiel. – Idziemy.

Na sztywnych nogach, niczym artretyczny starzec, szedłem krok za krokiem po schodach, szorując ręką po ścianie.

W głowie nadal kołatały mi się usłyszane słowa, urywki zdań i frazy. Przed oczami niczym na jakiejś obłąkanej karuzeli przelatywał mi ten sam obraz: Michał i Szemijasz, Szemijasz i Michał.

Razem. Ramię w ramię. Jako współnicy, partnerzy i...

Potrząsnąłem głową, nawet nie chcąc o tym myśleć, jednak wizja nadal tam była, niczym przypadkowo wlatująca w kanalik uszny skrzydłata mrówka.

To wszystko, wszystko było kłamstwem, oszustwem. Teatrzykiem dla maluczkich. Armie, fortece, strefy wpływów, konflikty zbrojne, bitwy i pobojojwiska. Zamiast polegać choćby na Korpusie Komorniczym, poszli o krok dalej: dali ludziom iluzję wyboru, aby ci powyrzynali się nawzajem ku ich uciesze.

– Chwała, cześć i uwielbienie Skrzydlatym Panom... – zajęczałem.

Miałem to przecież przed oczami od samego początku, a nawet nie dopuszczałem do siebie takiej możliwości. Jak każdy zdrowo myślący człowiek, czytający Księgę Hioba, gdzie nagle mowa jest o tym, że Szatan był jednym z aniołów na dworze Jahwe. I w tym momencie powinna zapalić się lampka ostrzegawcza: hola, hola, zły człowieku, ale jak to?!

Taki już jest urok religii, że buduje tezy na oksymoronach i karmi nas wewnętrznymi sprzecznościami, które my łykamy, jak pelikan suche bułki.

Przepuścili nas przed jedne, potem drugie drzwi. Gdzieś po drodze dołączyła do nas eskorta pozostałych przydupasów Danaiela. Zeszliśmy jeszcze niżej, aż do kolejnej wielkiej sali, pośrodku której stał prostokątny postument ołtarza ofiarnego.

Położyli mnie na nim, przykuli za ręce i nogi, a potem zostawili.

Wokół mnie wszystko było nieruchome, patrzyłem w jeden punkt odległego sklepienia, które zaczynało powoli pulsować, wirować i przesuwać się iluzjami optycznymi w rytmie pompowanej przez serce krwi.

W głowie miałem absolutną, nijaką, jałową pustkę.

Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby błagać o życie mojej rodziny, nagle rozbłysnęła myśl.

Nie pomyślałem o nich, mimo że to dla nich tu przyszedłem. Nie poprosiłem o zapewnienie im bezpieczeństwa i nie dostałem w zamian pustej, nic nie znaczącej obietnicy. Nie próbowałem walczyć, wyrwać się ani robić czegokolwiek, co i tak byłoby bez sensu, ale chociaż czułbym, że coś robię.

Ale nie zrobiłem kompletnie nic.

Myśl rozbłysnęła i zgasła, a ja znów zapadłem się w nijaki, pełny gonitwy obrazów i dźwięków bezruch.

Leżałem tak, aż w końcu gdzieś szcęknęły drzwi. Obok mnie przeszła postać w długiej, białej szacie, potem druga. Światło kaganka błysnęło na ostrzu długiego, zakrzywionego noża, którym zaczęły rozcinać i na mnie ubranie.

Nadpłynął śpiew: niski, modulowany, falujący w górę i dół niepokojącymi kadencjami. Poczulem dym kadzidla. Rozległo się wysokie brzęczenie dzwonek.

Drgnąłem, gdy coś dotknęło mojej stopy i przesunęło się po nodze, zostawiając za sobą chłodny ślad. Zapluskala płukana i wyżymana gąbka, akolita przesunął nią drugi raz.

Umyli mnie i namaścili, niczym zwierzę ofiarne. Okadzili. Przykryli płachtą białego materiału, zostawiając odkrytą tylko głowę.

Nie byłem w stanie zmusić się do niczego, całkowicie ogarnięty bezmyślnym, beczynnym stuporem.

Śpiew wzrastał, narastał i nabierał siły, wchodząc na coraz to nowe oktawy...

A potem pojawiło się w nim coś fałszywego. Jakiś odgłos, zawirowanie melodii, gdy przygotowany zamysł zetknął się z czymś nieoczekiwanym. Beżładne, psujące hipnotyczną harmonię odgłosy. Klągor, trzask... I wybijające się ponad to krzyki.

Stojący nade mną akolici nagle gdzieś zniknęli, rozpiierzchli się.

Dysharmonia wzrastała, a potem nagle urwała.

Znów unosiłem się w jałowej ciszy.

W moim polu widzenia pojawiła się okolona lokami twarz, na której malowniczym szkarłatem rysował się świeży bryzg lśniącej krwi.

– Zek, żyjesz? Zabieram cię stąd. Możesz iść?

Szarpnięcie i trzaśnięcie, gdy krępujące mnie kajdany opadły, przerąbane kilkoma cięciami. Ktoś znów złapał mnie pod ramiona, posadził na postumencie...

– Nic mu nie jest. Przynajmniej fizycznie – odezwał się trzymający mnie w pionie, długowłosa blondyn.

– Dobra. Zek, dasz radę iść? Zek!

Ale ja nawet nie wiedziałem, kto do mnie mówił, bo spojrzenie miałem utkwione w Znamieniu na czole długowłosego.

– Zek! – Danaiel obrócił mnie ku sobie, potrząsnął.

– ...Carter? – sapnąłem.

– Kurwa mać, już się bałem, że ci coś w głowę zrobili. Zek, dasz radę iść?

– Dam...

– Ubierzcie go...! A ty masz, trzymaj.

Wcisnął mi coś w dłoń. Spojrzałem, nie do końca rozumiejąc, na mój gladius; on chyba zinterpretował gest opacznie, bo sięgnął do sakwy i podał mi również kastet.

Było ich troje, co do jednego Komornicy. Ubrali mnie, przepasali. Pomogli stanąć na nogach.

– A teraz biegiem, zanim...!

Nie dokończył, bo do sali wpadło kilkunastu Nawróconych. Jeden z nich potknął się o leżące w progu ciało, wyłożył, jak długi... W ogóle pomieszczenie zasłane było ciałami leżącymi w malowniczych pozach pośród rozlewających się kałuż krwi. Widać było, że zaatakowano ich z zaskoczenia, wyrzynając równie szybko i bezlitośnie, co skutecznie...

– Alarm! – wrzasnął wbiegający przez drzwi centurion. – Alarm! Są tutaj, powiadomcie koszary, że...!

Ale nie dokończył, bo celnie ciśnięte przez kogoś z Komorników pilum zakreśliło w powietrzu krótki, płonący Purpurą łuk i ugodziło go wprost w otwarte usta, dosłownie odrywając czaszkę od szyi.

– Bij, zabij...! – wrzasnął Danaiel, wyszarpując z pochew swoje dwa gladiusy. – Śmierć Górze!

– Śmierć Górze! – krzyknęli pozostali Komornicy, uderzając na Nawróconych.

„Śmierć Górze”.

Spośród nieskończonego wielu okrzyków, jakich się w tym momencie nie spodziewałem, ten był najbardziej nieoczekiwany.

Natomiast niczym uderzająca w brzeg fala przyboju przyniósł ze sobą wszystkie wspomnienia, twarze, momenty, nadzieje i marzenia, które niegdyś spłonęły w ogniu, który pochłonął naszą rebelię na Arenie.

To było zawołanie, z którym na ustach szło się do boju.

Za które się walczyło, zabijało i umierało.

Za to zginął też Reggie.

– ...Wolność dla ludzi!!! – wrzasnąłem, skacząc wraz z pozostałymi pomiędzy Nawróconych.

Wdarliśmy się pomiędzy Legionistów, niczym wygłodniałe brytany wpadające w stado szczeniaków. Purpurowe błyski rozświetliły wnętrze kaplicy, trzask i zgrzyt przerażywanej stali uderzył po uszach, mieszając się z przerażonymi wrzaskami żołnierzy.

Ktoś chciał sięgnąć mnie prostym, wręcz prymitywnym pchnięciem gladiusa, więc zbilem jego cios na bok, a kiedy przepisowo postawił zasłonę przed moim natarciem, po prostu przerażałem jego klingę na pół, po czym uderzyłem dziko na odlew,

rozrąbując hełm wraz z głową. Następny uderzył mnie tarczą, lecz ja tylko wyrzuciłem przed siebie pięść, a kiedy drewno i skóra strzeliły fontanną szczap i strzepów, pchnąłem go w udo, przebijając nogę na wylot.

– Śmierć...! Kurwa mać, Zeeeeek! Zekuś, ja pierdolęę! Śmierć jebanemu Falszywemu Imperatorowi! – zaśmiał się maniakalnie Danaiel, biorąc pod młyńca dwóch płonących mieczy kolejnego wroga.

Nie, już nie Danaiel – bo to znów był Carter.

Komornicy walczyli, niczym opętani, jak wściekli, jak same diabły. Jeden z nich padł, brocząc krwią, ale zaraz podniósł się, nie zważając na lejącą się po nogach juche rzucił na tamtych.

To nie było nawet starcie, to była po prostu rzeź.

– Aaaa! – zawył Carter, gdy ostatni z Legionistów padł na ziemię. – ...Tak! Tak, kurwa wasza mać! Piękna wygrana techniczna, Carteriusz triumfuje po raz kolejny, tłum szaleje... Tak, tak...!

Reszta Komorników patrzyła na niego i widziałem na ich twarzach nie tyle niezdecydowanie, co powątpiewanie. Jak gdyby nie był to pierwszy wybryk, jakiego dopuścili się pod komendą Danaiela Pierwszego.

Natomiast dopóki walczyli po naszej stronie, cóż – nie miało to znaczenia.

– Szybko, do wschodniej rampy! – Jeden z nich wyrzwał na korytarz, pokazał mieczem kierunek.

Pobieśliśmy przez pustą teraz amfiladę, słysząc tylko, jak niosą się echem wołania i krzyki. Na dziedzińcu też wrzał już bój, widziałem formującą się centurię Legionu i zbitych w bezładną grupę, spychanych w róg Komorników.

– Wschodnia rampa! – krzyknął do nich Carter, wychylając się przez kamienny parapet.

Nie miałem pojęcia, czy to słyszeli, ale nie było czasu na nic więcej, bo wbiegliśmy na wewnętrzny dziedziniec. Legioniści ryglowali właśnie wrota, kilku żołnierzy wsuwało w kamienne zaczepy ogromną, okutą spiżem belkę. Jeszcze kilku kończyło właśnie naciągając drewnianymi dźwigniami ogromny trebuszet z przeciwwagą, stojący w rogu dziedzińca.

Centurion zauważył nas, na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga.

– Panie, atakują nas! Dostali się na teren dolnych umocnień, próbują przebić się... O kurwa – sapnął, chyba dopiero teraz widząc, że jesteśmy wszyscy zbryzgani krwią i z płonącymi mieczami w rękach.

Carter szedł prosto na niego. Tamten zaczął się cofać, aż w końcu uderzył plecami o podporę stojącą w rogu ogromnej maszyny wojennej.

– Każ ludziom otworzyć, a dożyjecie kolejnego snu – zasyczał Carter głosem Danaiela. – Teraz.

Centurion przelknął ślinę, pokiwał gorączkowo.

– Tak... Tak, już się robi, panie. Otwórz bramę! Otwierać, słyszcicie mnie?!

Belka na prowadnicach popęzła w drugą stronę. Gdy tylko skrzydło wrót uchyliło się nieco, Carter pokazał na nie ręką:

– Naprzód, naprzód! Do wschodniej bramy i dalej, przebijamy się... Śmierć Górze!

– Wolność dla ludzi! – odrzyknęli Komornicy.

Już otwierałem usta, żeby go o coś zapytać, ale on tylko pokazał jednym gladiuszem gdzieś ku górze.

Obróciłem się i podniosłem głowę akurat na czas, żeby zobaczyć spadającą ku nam, rosnącą w oczach kulę ognia.

Uderzenie cisnęło nami na boki, rozrzuciło Legionistów, niczym lalki, wyrwywając z posadzki brukowce i krusząc na kawałki płyty wyłożenia ścian. Potworna siła

poderwała mnie w górę i miotnęła w powietrze, przeleciałem koziółkując kilka sążni i spadłem na plecy, tracąc zupełnie dech w piersiach.

Archaniół Michał podniósł się i wyprostował, złościąc sztychem ognistego miecza głęboką, rozpaloną bruzdę w kamieniach.

– Żalodne robaki! – ryknął, a jego oczy zapłonęły czystym gniewem. – Macie czelność przeciwstawić się MOJEJ woli?! Śmiecie ponownie okazywać nieposłuszeństwo?! Spopielę was, skruszę gołymi dłońmi...!

Zaś naprzeciwko niego, tak drobny, że niemalże filigranowy w porównaniu, stanął na dziedzińcu Carter.

– Ty... pusta, nadęta SZMATO! – zawołał, pokazując na Archaniola płonącym gladiusem. W tym jednym, prostym słowie było tyle bezbrzeżnej pogardy, tyle nienawiści i zarazem rozczarowania, że gdy doleciało do Michała, też aż widocznie wzdrygnął się, jakby ktoś cisnął mu w twarz czymś mokrym, obleśnym i mocno nieświeżym. – Służyłem ci wiernie... Robiłem dla ciebie wszystko, a ty miałaś pomóc to zakończyć! Zamiast tego... zamiast tego, ty...!

– Z drogi, niewolniku! – ryknął Archaniół, ruszając z miejsca.

– Carter, nie...! – chciałem krzyknąć.

Lecz nie zdążyłem, bo on zawołał jeszcze coś i rzucił się na Michała.

Archaniół zawył wściekle, zamachnął się mieczem i uderzył straszliwie, w deszczu lawy rozpylając kamienie i wyrwywając cały ogromny fragment ściany oporowej, przy której chwilę wcześniej stał Carter – jednak jego już tam nie było.

Nie było, bo skoczył jako pierwszy, wybijając się w powietrze i leciał teraz ku ogromnej, skrzydlatej sylwetce, zostawiając za sobą dwa płonące ślady Purpury.

Michał w ostatniej chwili zasłonił się skrzydłem.

Gladius Cartera skrzesał cały pióropusz iskier, szorując po twardych niczym hartowana stal piórach, natomiast broń Archaniola już zataczała kolejny łuk, chcąc złapać człowieka w locie i rozciąć na pół.

Nie wiem, jakim cudem zdołał uniknąć tego ciosu, zasłonić się przed uderzeniem pięści Michała i wyprowadzić kolejne pchnięcie, które zjechało w fontannie płomieni po napierśniku Archaniola.

W życiu czegoś takiego nie widziałem. Nie słyszałem nawet, żeby ktokolwiek kiedykolwiek z Archaniolem Michałem walczył... No dobra, słyszałem o takim jednym, który próbował, ale źle skończył.

Ja się nie liczyłem, bo dałem radę tylko sprzedać mu jedną lepę na ryj.

A teraz oglądałem najbardziej epicki pojedynek, jaki kiedykolwiek dane było toczyć człowiekowi – śmiertelnemu czy nie, nie miało to znaczenia.

I nie miałem zamiaru pozostawać w nim wyłączenie w roli widza.

Wyplułem piach, otarłem wierzchem dłoni krew z nosa i rzuciłem się na pomoc.

W samą porę, bo Archaniół właśnie złapał ogromną ręką jeden z mieczy Cartera i wykręcił na bok, chcąc wyrwać mu klingę. Spomiędzy palców buchnął mu dym, grymas wściekłości wykrzywił twarz Michała, ale widziałem, jak ramię człowieka kawałek po kawałku spelza w dół, odsłaniając go na cięcie. Archaniół wyszczerzył się w grymasie nienawiści, miecz ognisty zaczął zakreślać łuk...

Dopadłem do niego i w pełnym impecie wbiłem mu gladius pomiędzy napierśnik a nabiodrek, tam, gdzie normalny człowiek miałby nerkę.

Zawył z bólu i zachwiał się, wypuścił miecz Cartera. Ten cudem zdążył poderwać drugą rękę, zastawił się dwoma skrzyżowanymi mieczami przed ciosem – ale uderzenie i tak odrzuciło go w tył, miotnęło po brukowanym dziedzińcu.

– Ty!!! – zaryczał wściekle Archaniół, uderzając mnie na odlew pięścią.

– ...! – krzyknąłem nie wiadomo co, ładując całą, dosłownie całą dostępną mi moc w tarczę energetyczną i widząc zbliżającą się dłoń niczym kafar.

To było jakby ktoś uderzył mnie otwartymi dłońmi po uszach. Nagle zapadła absolutna, ogłuszająca, dzwoniąca cisza. Zupełnie jakby wyrwać wtyczkę od słuchawek, na których leciała ścieżka dźwiękowa do świata.

Archanioł bujnął się w tył, jak po ciosie w ogromną, gumową piłkę. Mnie natomiast odbiło tak, że kwiknąłem tylko, znów tracąc kontakt z podłożem.

– Ła...! – wrzasnąłem urywanie, a potem przydzwoniłem plecami o podstawę stojącego w rogu dziedzińca trebusza.

Widziałem, jak Michał potrząsa ogromną pięścią, patrzy ze zdumieniem na dymiące, osmalone palce. Twarz Pierworodnego Niebios wykrzywiła się wściekłym grymasem, oczy pełne bezbrzeżnego gniewu zwróciły się wprost na mnie.

– Tyyy! – zaryczał, ruszając wprost na mnie, niczym kombajn.

A ja wiedziałem, że w takim momencie nie miałem szczególnych opcji.

Gladius ledwo się żarzył, strzelając resztkami Purpury. Owszem, niezadługo pewnie znów złapie płomień, a mój przepływ energetyczny się wyrówna, ale chwilowo zużyłem chyba wszystko, co tylko miałem w syfonie.

Michał wznosił swój miecz do ciosu, chcąc uderzeniem od góry dosłownie wprasować mnie w ziemię.

Zaś tam, od strony dziedzińca, poderwał się Carter.

Widziałem, że ma chyba złamaną rękę i mocno poprzestawianą twarz. Utykał na jedną nogę, ale jego gladius płonął pełnym ogniem.

– Tnij! – wrzasnął, a potem zamachnął się i cisnął mieczem.

Wirujący gladius załopotał w powietrzu, mknąc wprost ku plecóm Archanioła.

Spojrzałem na moją klingę, ledwo furkoczącą płomieniem. Na biegnącego na mnie Archanioła. Na ogromną, drewnianą machinę wojenną nade mną, spod której nawet nie miałem gdzie się wycofać.

Gladius Cartera ugodził Archanioła wprost między łopatki w purpurowym rozbłysku. Michał na chwilę stracił rytm biegu, obrócił się przez ramię, chcąc sprawdzić, co albo kto miał jeszcze odwagę go zaatakować.

I jego uwaga nie była skoncentrowana na mnie.

W tej jednej chwili, w której zrozumiałem, co mam ciąć.

Dlatego też przetoczyłem się na bok i rąbnąłem wprost w zaczep blokady maszyny.

Zaturkotał obracający się bęben, zasyczała rozwijająca się lina. Zaczęły się obracać jakieś koła, coś zaskrzybiało i zasyczało, niczym nabierająca prędkości kolejka górską.

Ogromny kosz wypełnionej kamieniami przeciwwagi zaczął sunąć w dół.

Archanioł obrócił się znów do mnie, coraz wyżej wznosząc miecz do ciosu. Gladius Cartera nie zrobił na nim nawet szczególnego wrażenia: ot, jakby mucha, która ugryzła szarżującego nosorożca.

Wystawiłem przed sobą miecz, nie licząc nawet na to, że dam radę powstrzymać cios.

– Ludzki robaku!!! – zahuczał Michał, uderzając mnie z całą mocą.

Ramię trebuszetu śmignęło kawałek przed jego twarzą, wyrwało z prowadnicy ułożoną w skórzanym uchwycie kulę i zaczęło zbliżać się do najwyższego punktu lotu, gdzie miało cisnąć pocisk ponad murami Cytadeli.

Miecz leciał wprost na mnie.

Zacisnąłem powieki, żeby nawet tego nie widzieć.

A szkoda, bo to był dokładnie ten moment, kiedy przemieszczająca się po sporo szerszym łuku, rozpędzona siłą odśrodkową kamienna kula napotkała na swojej drodze głowę Archanioła Michała.

Trzasnęło, jakby zderzyły się dwie ogromne bile.

Kiedy otworzyłem oczy, w powietrzu została już tylko chmura kurzu, rozlatujących się na wszystkie strony malowniczym wykwitom kamiennych odłamków i piór, zaś Archanioł leciał na plecy, niczym umiejętnie podcięte przez drwali wiekowe drzewo.

Ziemia aż jęknęła, wszystko podskoczyło, kiedy walnął o brukowany dziedziniec na podobieństwo obalonego posągu.

Leżałem tak jeszcze długą chwilę, nie mogąc uwierzyć w to, że nadal żyję.

– Zek...! – Carter dopadł do mnie. – Zek, nic ci nie jest?!

Jemu było, i to niemało. Co prawda zaczynał się już regenerować, ale jedno oko wypłynęło mu w całości, stracił co najmniej trzy zęby, a lewa ręka nadal majtała mu się bezwładnie.

Ale żył. I ja też żyłem, o dziwo.

– Nie... Chyba nie. – Potrząsnąłem głową.

– Zek, on... O kurwa, zabiliśmy go! Zabiliśmy skurwysyna!

Popatrzyłem na ogromne podeszwy sandałów i wyciągnięte dalej za nimi cielsko.

– ...Nie sądzę. Carter, zbierajmy się stąd, bo on jest gotów zaraz wstać.

Widziałem, jak rozsądek walczy w nim o lepsze z chęcią dokonania czegoś jeszcze bardziej głupio bohaterskiego niż nasze dotychczasowe osiągnięcia. W końcu jednak kiwnął głową:

– Zgoda, cholera jasna. Dawaj, biegnij za mną!

Przez uchyloną bramę wybiegliśmy na wschodnią rampę, a z niej na dolne dziedzińce. Cytadela była już ogarnięta chaosem, walki toczyły się wszędzie wokół garnizonu, w kaplicach i na łukowatych pomostach, wśród posągów świętych i na pokrytych mozaiką przejściach.

Widziałem uzbrojonych w płonąca Purpurą broń Komorników. W pojedynkę, parami, grupami rzucali się na żołnierzy Legionu, osaczali Wysłanników i pruli magią tak, że aż czułem wibracje osnowy eteru.

A ponad wszystkim tym niosły się powtarzane z ust do ust okrzyki.

„Śmierć Górze, wolność dla ludzi! Śmierć Fałszywemu Imperatorowi!”.

Zbiegliśmy na sam dół, przebijając się w kierunku bramy.

Chyba właśnie rozpoczęła się Druga Rebelia.



Rozdział XIII



Carter, co do ciężkiej kurwy...?!
To pytanie kołatało mi się po głowie już od dłuższego czasu. Właśnie tak zredagowane, dokładnie tak ujmujące istotę frapujących mnie spraw. Zarazem otwarte, niczym drzwiczki piecyka w krematorium, i nieokreślenie mgliste, jak perspektywa zatrudnienia dla absolwenta liceum ogólnokształcącego.

Zrobiliśmy sobie właśnie postój, rozłożywszy się w ruinach stacji benzynowej przy dawnym parkingu na trasie szybkiego ruchu. Wraki samochodów, puste dystrybutory, zakurzone wnętrza sieciowej restauracji szybkiej obsługi... I niespełna tuzin ubranych w koszerne ciuchy, zmęczonych, zziąpanych, na szybko i byle jak opatrujących rany Komorników.

Byłem przekonany, że wyrwie się nas z Cytadeli więcej, bo nawet stały garnizon musiał być bardziej liczny. Okazało się jednak, że nie wszyscy mieli tyle szczęścia, a Góra bezlitośnie wykorzystywała ludzką słabość.

I dopiero teraz, po kilkudziesięciokilometrowym marszu, który zabiłby niejednego śmiertelnika, padło hasło: odpoczynek, ogarnąć się, przespać.

Dlatego też mogąc pozwolić sobie na wykorzystanie oddechu na cokolwiek innego, niż podtrzymanie funkcji życiowych organizmu, postanowiłem omówić pewne rzeczy.

Carter zerknął na mnie z ukosa, westchnął ciężko.

– Carter, ty chuju. Ty wywłoko. Zastrany, oportunistyczny hamburgerze – jęknąłem.
– Serio...?

Kilkoro pobliskich Komorników obserwowało nas ukradkiem. Dwóch w ogóle odsunęło się na bok, jeden przełożył miecz tak, żeby w razie konieczności móc po niego łatwiej sięgnąć.

Nikt nie zwracał się tak do Pierwszego. Nikt. W każdym razie spośród tych, którzy cenili sobie integralność powłok cielesnych.

Jednak obok mnie nie siedział Danaiel Pierwszy, a Carter.

– Zek, co ci będę dużo mówił. Nam było ciężko... – zaczął.

– Przestań, bo zwariuję! Wiem, że było ciężko! Osiemnaście filmów mi było ciężko!
– wybuchnąłem.

– ...Co?

– Nieważne, kolejny cytat z wybitnego dzieła kultury, którego jako ograniczony umysłowo amerykańiec nie masz prawa znać. Carter, do jasnej cholery...

– Miałeś rację, Zek.

Teraz to ja sobie westchnąłem.

– Carter, powtórzę się: do ciężkiej kurwy. Wiem, że miałem rację, bo inaczej nie mogło być. Ale z czym konkretnie?

– Z zagładą świata. Z tym, że Archanioł to skurwysyn... Słyszeliście wszyscy?! – podniósł głos. – Archanioł to skurwysyn i kozojebca! Zrozumiano?!

Ludzie zamruczeli twierdząco, pokiwali głowami. Trochę przerażało mnie to, że on im po prostu coś mówił, a oni to przyjmowali za dobrą monetę... No ale cóż, w sumie tak samo to wyglądało wcześniej, gdy siedzieli pod butem Michała, prawda?

Bardzo prosty, bardzo ludzki mechanizm: byliśmy złym SS-Sonderkommando, a teraz jesteście dobrym SS-Sonderkommando, bo tak powiedział nasz dowódca.

– I co, myślisz, że to wszystko załatwia?

Spojrzał na mnie ciężko.

– „To” nic nie załatwia, Zek. I uwierz mi, wiem o tym lepiej od ciebie... Ale jak to mówię na głos, to jest łatwiej to poukładać w głowie.

– ...No więc?

– No więc, Zek, jest tak, jak jest. To nigdy nie było ani proste, ani łatwe. Stworzyłem przeciw Korpus od zera, z niczego... Mając tylko to, co mi o nim powiedziałaś. Strzępy, fragmenty, niedopowiedzenia i kawałki, które od czasu do czasu ci się wymykały.

– Carter, ale dlaczego...?

– Żeby przeżyć! – Z pasją uderzył dłonią w udo. – Żeby nie skończyć tak, jak cała reszta, rozumiesz?! Przerobiony na żużel, rozrzucony na wietrze. Jeszcze tam, na Arenie, musieliśmy zabijać, żeby samemu żyć... A ja po prostu dałem tę szansę innym.

Chętnie powiedziałbym mu coś złośliwego. Rzucił jakąś ciętą repliką, przysrał tak, żeby mu w pięty poszło. Ściął go przy samej ziemi niepodważalnym argumentem moralnym.

Ale co miałem mu powiedzieć, skoro sam byłem swego czasu nie lepszy?

– ...Rozumiem. Tylko skąd te wahania, Carter? Nie pytam nawet dlaczego, ale po co? Nie prościej było od niego przy pierwszej okazji spierdolić?

– Gdyby to było takie proste, Zek. Gdyby tylko ten zjeb Michał nie czytał nam w myślach, to może by się jakoś dało... A ja musiałem uważać, ciągle się pilnować. Nie pozwalać sobie nawet na chwilę słabości.

– Więc dawałeś Archaniołowi to, czego się spodziewał.

– Dokładnie tak. I powiem ci, że były takie momenty, kiedy sam zaczynałem w to wierzyć. Chciałem w to wierzyć, Zek. – Uśmiechnął się smutno. – Naprawdę chciałem, jak cholera, aż do bólu. Przekonać samego siebie, że jeśli zabijemy odpowiednio dużo ludzi, to wszystko jakoś się ułoży.

– Jednak widmo Wielkiej Czystki nie dawało ci spokoju?

– „Wielka Czystka”? Ładne określenie. My to nazywaliśmy „Końcem Końców”, kiedy po prostu na świecie zabraknie ludzi. Śmieliśmy się, że wtedy Archanioł zaprowadzi nas z powrotem do Wiecznego Miasta, pośle na Arenę i każe walczyć... A ostatniego, który przetrwa, w nagrodę ucałuje i osobiście przybije do krzyża.

– I dlatego dałeś się zabić pod Uniwersytetem? Żeby zobaczyć, czy Arena nadal stoi?

Przez chwilę nie mówił nic, patrząc gdzieś przed siebie. Większość idących z nami Komorników spała, skulona pod ścianami ruiny; ci, którzy zdecydowali się trzymać warty na dachu restauracji, rozmawiali o czymś półgłosem.

Nie wiem, jak daleko daliśmy radę uciec: pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów na wschód? Może nawet więcej. Tak czy inaczej, potrzebowaliśmy choćby krótkiej przerwy, nim podejmiemy forsowny marsz ku Rewersowi.

– On ją kazał odbudować, Zek – odezwał się w końcu Carter. – Kiedy odrodziłem się tam, w ruinach *Domus Aurea*... On odbudował całe Wieczne Miasto. Kawalek po kawalku, dom po domu. Oczywiście, że nie siłami ludzi, bo tamci by nie dali rady.

– Architekci?

– Architekci – potwierdził. – Zabrał ich wszystkich z Cytadeli i przekierował tam, żeby powoli budowali jego świat idealny. I jak wyszedłem, to prace były już bliżej końca, rozumiesz? Ostatnie szlify, wykończeniówka. Wszystko gotowe, tylko czekające, aż on tam wróci. Wtedy dotarło do mnie, że mamy coraz mniej czasu. No a droga powrotna, cóż... – Wzruszył ramionami. – Mogłem w końcu na spokojnie przemyśleć pewne rzeczy. Poza tym, on mi pomógł. I naprawdę uważam, że powinieneś go lepiej traktować.

– „On”? Poczekaj, chwila, moment. Nie masz chyba na myśli...?

Azrael zmaterializował się na stalowym dźwigarze.

– Witaj ponownie, Ezekielu.

– Azi, brudasie... – jęknąłem. – Coś ty najlepszego narobił? I dlaczego ja o tym nic nie wiem?

Anioł Śmierci uśmiechnął się, niczym dziecko stojące na tle płonących firanek.

– Nie pytałeś, Ezekielu. – Wzruszył skrzydłami.

– Przyszedł do mnie sam – pospieszył z odpowiedzią Carter. – Tam, jeszcze w Rzymie. To znaczy... Nie wiem, czy przyszedł. Wezwałem mojego Anioła, potem był jakby glitch, i zamiast Gamaliela pojawił się właśnie on.

– Azi...? – Spojrzałem pytająco na mojego Anioła.

– Powiedzmy, Ezekielu, że podjąłem określone kroki, pozostające w duchu zbieżnym z ogólnym zarysem Twojej...

– Azi, ostrzegałem cię, prosiłem.

– ...Ogólnym zarysem twojej działalności – poprawił się gładko Anioł. – Rozpocząłem też rozmowy z moimi braćmi i siostrami w Gnozie. Niestety, okazało się, że ich rozumienie było ograniczone zadanymi ramami postrzegania. Musiałem więc podjąć kroki naprawcze.

– Azi... – zacząłem ostrożnie, już przeczuwając odpowiedź. – Ilu w tej chwili jest Aniołów, nadzorujących pracę Korpusu Komorniczego?

Azrael przechylił głowę na bok, uśmiechnął się serdecznie.

– Dokładnie jeden, Ezekielu.

Opadłem w tył, oparłem się plecami o mur i zasłoniłem twarz dłonią. Jakby tego wszystkiego było mało, to jeszcze mój Anioł Nadzorca urządził sobie w ramach samowolnej prywaty swoją osobistą noc długich noży.

– No więc rozumiesz sam, Zek, że moja sytuacja nieco się zmieniła. – Carter rozłożył ręce. – Kiedy okazało się, że Michał nie kontroluje już każdego mojego ruchu, pojawił się czynnik wolnej woli. No i wróciłeś ty... Znowu, i potem jeszcze raz.

– Skąd wiedziałeś, że będę w Dziurze?

– Nie wiedziałem. Informacja operacyjna przyszła z zewnątrz.

Spojrzałem na Azraela, autentycznie wstrząśnięty.

– Ty brodaty, kozojebny zdrajco! – syknąłem. – Sprzedałeś mnie... Sprzedałeś mnie psiarni! Ty Judaszu za dwa grosze!

– Musiałem cię ratować, Ezekielu. Zniknąłeś, a ja straciłem z tobą łączność. Wiedziałem, że Danieł jest jedynym, na kogo mogłem liczyć.

Carter spojrział dzikim wzrokiem na Anioła, potem na mnie i znów na Anioła.

– Czekaj, Azraelu, zaraz. To znaczy, że ty chciałeś... żebym ja Zekowi pomógł? – upewnił się.

– To chyba oczywiste, Danaielu Pierwszy. Od tego przecież są przyjaciele. Poza tym, to pomogło mi też skontaktować Ezekiela z panem Siliaszem...

– Azi, ty jebany pierzasty śmieciu! – nie wytrzymałem. – Robiłeś to, zasańcu jeden, za moimi plecami! Nie mogłeś mi tego wszystkiego po prostu powiedzieć?!

– Chciałem ci o tym powiedzieć kilkakrotnie, Ezekielu. Za każdym razem byłeś zbyt zajęty – odparł z godnością Anioł.

Wymieniliśmy się z Carterem spojrzeniami.

– Zek... To, co powiedziałem o twoim traktowaniu Azraela... Cofam te słowa.

– Przywykniesz, on też się przyzwyczai. No dobrze, Azi, to w takim razie... Jaki jest twój genialny plan? Co mamy robić dalej?

Anioł spojrział na mnie bardzo, ale to bardzo pobłażliwie.

– MÓJ plan, Ezekielu? To nie jest „mój” plan. To twój plan.

– Mój?!

– Twój. Ja wyłącznie go realizuję.

– Azi, ale... Ja pierdołę! – Złapałem się za głowę. – Ja nie mam żadnego planu!

– Ależ owszem, Ezekielu, masz. Widzę go nawet teraz w twojej podświadomości. To przecież był twój pomysł, żeby uciekać na wschód.

– Carter...? – Spojrzałem bezradnie na towarzysza. Ten tylko rozłożył ręce:

– No, mnie o tym powiedział on, żeby przebijając się do wschodniej rampy.

– A co dalej w takim razie?! Co mamy robić, dokąd pójść? Przecież...! – zachłysnąłem się słowami, urwałem w połowie.

Anioł pokiwał dobrotliwie głową:

– Już wiem, bo ty już wiesz, Ezekielu. I to jedyne rozsądne w tej chwili wyjście.

– Zek...? – Carter zawiesił pytająco głos.

Zajęczałem rozzłością, przeciągając dłońmi po głowie. Szczerze mówiąc, to miałem ochotę zapaść się w sobie, zmienić w karalucha i schować w najgłębszą dziurę.

No cóż, może kiedyś uda mi się dojść i do tego. A póki co...

– Idziemy spotkać się ze Światłodzierzcą.



Pas Burzowy przelewał się nad nami, kotłował i pieklił ogromną masą czarnych, ciężkich od mokrego śniegu chmur. Z nieba leciała nam na głowy marznąca breja. Pod nogami ciaskało i trzeszczało zamarzające błoto.

Nasz oddział posuwał się powoli, ale pewnym, miarowym krokiem, wspomaganym sporą dawką Purpury. Trzymane w dłoniach gladiusy, spathy i wszelaka inna broń świeciła przytłumionym blaskiem, rozświetlając wieczną ciemność płytkiego Rewersu.

– Trzymać się razem, nie oddzielać od grupy! – pokrzykiwała na ludzi Carter. – Oczy dokoła głowy, bo tutaj nikt nie pójdzie was szukać!

Widziałem przemykające się na granicy naszego widzenia stwory, zwabione nieoczekiwaną iluminacją ich zazwyczaj spowitego w mrok habitatu. Zarazem zafascynowane i przerażone, warczały i syczały na nas z atramentowej pustki, obnażając paszczęki pełne ostrych niczym sztylety zębisk i błyskając wielkimi, pozbawionymi powiek czarnymi sferami ślepi.

Natomiast nie atakowały. Nawet one wiedziały, że nie mogą mieć z nami szans.

– Połowa drogi już za nami – odezwałem się, przerywając dłuższą chwilę ciszy. – Teraz będzie coraz zimniej, więc cokolwiek robicie, nie zamoczcie zapasowych ubrań. I gospodarujcie oszczędnie Purpurą...

– Jak się trzymasz, Zek? – zagadnął mnie Carter.

Skrzywiłem się tylko, machnąłem ręką.

– Daję radę.

Prawda była taka, że wcale nie było mi cukierkowo, bo robiłem za węzeł przesyłowy Purpury dla całego oddziału, nieszczęśliwie nawykłego do ekonomii sił i środków. Fizycznie czułem, jak przepływający strumień energii wymywa ze mnie siły i chęć do życia, redukując mnie wyłącznie do roli przekaźnika, nie zostawiając miejsca na własne myśli.

A mimo to musiałem myśleć. Właśnie MUSIAŁEM, ponieważ coraz bardziej obawiałem się, że jeśli nieopatrnie przestanę o tym świecie myśleć, to on może po prostu wziąć i przestać istnieć.

Stopniowo zaczęło robić się chłodniej, kałuże coraz częściej pokrywała warstewka lodu. Deszcz przeszedł w śnieg, w końcu szum lejącej się wody ustąpił miejsca delikatnemu szmerowi sypiącego śniegu.

– O w mordę... – mruknął któryś z Komorników, gdy wyszliśmy w końcu ze strefy opadów i stanęliśmy na skraju pokrytej bielą równiny, niknącej hen, w szarawej dali.

Widziałem po ich minach, że bardzo starali się nie pokazywać, jakie robiło to na nich wrażenie... Jednak nawet sam fakt tego, że oddechy uciekały obłoczkami pary z ust, przywykłych do stałej temperatury wiecznego zachodu, musiał już dobitnie pokazywać im, że tutaj nie obowiązywały zwyczajowe reguły.

Zresztą, teraz wszyscy byliśmy wyrzutkami i renegatami, a wszelkie zasady dawno wzięły w łeb.

– No i co? – rzucił Carter, zakutany w absurdalnie wielkie futro z jenotów.

Wzruszyłem ramionami, pokazałem na ledwie widoczne ponad warstwą śniegu dachy pobliskiej wsi.

– Zatrzymamy się tam, a potem będziemy czekać.

– Czekać... Na co?

– Nie mam pojęcia, ale pewnie będzie widać.



– Szeffie, ktoś idzie!

Otworzyłem oczy, od razu usiadłem na materacu.

– ...Kto? – wymamrotałem.

– Kto? – jednocześnie odezwał się Carter.

No tak, faktycznie: przecież to nie do mnie się tak zwracali. Jakoś tak się ułożyło, że tamci uznawali zwierzchność Cartera... A on sam pytał o zdanie mnie.

– Trudno powiedzieć, bo znów zaczęło padać. Ale sporo ich, co najmniej tyle, co nas!

– Powstań, pogotowie bojowe! – zawołał Carter, ale już głosem Danaela. – Pobudka, wstawać! Broń w dłoń, na wyznaczone stanowiska...!

Ludzie poderwali się, zaszurały odsuwane od stołu krzesła, zaskrzypiały zardzewiałe sprężyny łóżek. Zanim ja zdążyłem wstać, oni już rozbiegli się i roztasowali, niczym dobrze zgrana drużyna. Powiało chłodem, gdy kilkoro wyskoczyło na dwór, zapewne zajmując pozycje w pobliskich domkach.

Cmoknąłem z uznaniem, pokiwałem głową.

– Nieźle, nieźle. Jakbyśmy takich mieli wtedy, na Arenie...

– Teraz ich mamy, Zek. Chodź, zobaczymy, kto do nas idzie.

Wdrapaliśmy się na poddasze, stamtąd przez klapę wyszliśmy na dach, gdzie siedział już nasz obserwator. Podał lornetkę Carterowi, a ten od razu przekazał ją mnie.

Popatrzyłem we wskazanym kierunku, wyregulowałem ostrość. Uśmiechnąłem się sam do siebie.

– Spokojnie, to chyba nasi.

– Jacy „nasi”? Tutaj, w Rewersie?

– Zobacysz. I lepiej, żebyś miał kwiaty, tak ze dwa bukiety.

– ...???

– Jeden na powitanie, drugi na przeprosiny. Przekop pokój dziecięcy, jest tutaj po lewej... Chłopiec, jakieś pięć lat.

– Kurwa, nie żartuj sobie ze mnie, Zek! – prychnął Carter.

– Zrobisz, jak chcesz. Ale żeby nie było, że nie ostrzegałem.



Cat wzięła się pod boki i popatrzyła krytycznym okiem na Cartera, wyciągającego do niej rękę na powitanie.

– I co? Pewnie myślisz, że to cokolwiek załatwia? To pomyśl jeszcze raz.

– Też się cieszę, że was widzę – bąknął Carter, cokolwiek zbity z pantofelku, po czym zwrócił się ku bezpieczniejszemu frontowi: – Kemosz, cześć!

– No siema, hej! Dawnośmy się nie widzieli! – Stary satanista objął go na misiaka, poklepał po plecach. – Ale się pozmieniało, co? Dobrze, że żyjesz, mimo wszystko!

– No nie wiem, czy tak dobrze. Ja tam bym się wstydziła. – Cat najwyraźniej nie zamierzała odpuścić. – Patrz, Ronnie, to jest właśnie wujek Carter, o którym ci mamusia opowiadała...

– Skulwysyn? – zainteresował się dzieciak.

– Ronnie! Co ja ci mówiłam o używaniu takich słów?! Kemosz, czego ty go uczysz?!

– Ja?! – zdumiał się brodac. – Przecież to ty mu całą drogę mówiłaś, że Carter...

Ahem. Yyy, przepraszam, Cat, więcej nie będę tak przy nim mówić. Wyrażam skruczę, obiecuję poprawę.

– A mówiłem... – rzuciłem śpiewnym głosem, w ogóle nie patrząc w kierunku Cartera.

– Zamknij się, Zek.

Przezornie zasugerowałem, żebyśmy wyszli na spotkanie ekipie z Miasta Bohaterów w mniejszym gronie, więc i rozmowa toczyła się tylko pomiędzy nami czworgiem. No dobra, czworgiem i pół, bo był też przecież Ronnie, ledwie widoczny spod warstw puchowych kurtek i wielkiej czapy z pomponem, uczepiony rąbka mamusinej kurtki.

– Gdzie jest Siliasz? – Cat postanowiła cisnąć dalej, przy czym od razu spojrziała bardzo, ale to bardzo wymownie na Cartera.

– Zek, weź jej powiedz, bo mnie nie uwierzy – westchnął.

– Siliasz żyje, ma się dobrze – pospieszyłem z odpowiedzią. – Znalazł część naszych z dawnej ekipy. Skrzykuje ich teraz, jeździ w tę i we w tę po Kancie. Do tego mamy jeszcze Korpus Komorniczy, po którym też rozchodzi się teraz dobra nowina...

– A jej gwarantem ma niby być on, tak? Mamy mu uwierzyć po tym, jak kilka lat robił za posłuszny ręczniczek przy bidecie Archanioła?

Do tej pory twardo trzymamy, uprzejmie kordialny uśmiech zadrgał i zaczął spływać z twarzy Cartera.

– Cat, powiedziałem chyba przecież, że przepraszam, co nie? Co mam teraz zrobić, cofnąć czas? Naprawdę, ale tak naprawdę wołałabyś, żebym ja też nie żył?

– Nie śmieć nawet...! – Cat już się zapowietrzyła, ale w tym momencie wskoczył pomiędzy nich Kemosz:

– Dość! Co wy, po siedem lat oboje macie, żeby sobie do oczu skakać po takim czasie?! Nie będzie tutaj sporów, nie w obecności Zeka! Skoro tak było, to znaczy, że tak miało być... Pogodzić się, do kurwy cholery!

– Kulwa cholela! – ucieszył się mały Ronnie.

– Kemosz...! – zachnęła się Cat.

– Powiedziałem coś, niczego nie cofam, niczego nie żałuję. Nasza sprawa była słuszna. – Nasz satanista splół wielkie łapska na piersiach.

Cat spojrziała na niego z nienawiścią, łypnęła na Cartera. Ten odchrząknął znacząco, obejrzał się na swoich Komorników, wciąż czekających na obrzeżach miasteczka:

– Cat... To naprawdę nie było dla mnie łatwe. To wszystko, w sensie. Uwierz mi, że wolę być tutaj z wami, niż tam. I zawsze bym wołał...

– Jak zwykle, oportunistyczne pierdolenie. Natomiast fakt, ja też wolę cię tutaj niż tam.

– Zgoda? – Carter wyciągnął rękę.

– Na razie zawieszenie broni, na razie musisz sobie zasłużyć, do pojednania daleka droga. Natomiast... – Zignorowała jego rękę, objęła go jednym ramieniem za szyję i przytuliła, po czym szybko się odsunęła. Ot, typowo kobieca umiejętność stopniowania wszystkiego. – Tak, wolę cię żywego tutaj, niż martwego w tamtym-tunelu.

– Dobra, skoro wyjaśniliśmy wątpliwości, to może wstąpicie do nas w gościnę? – Pokazałem na miasteczko. – Nawet nie pytam, czy zmarzliście, a u nas jest prawie-że-przytulnie. Wyjaśnię wam co i jak, powiem, jaki jest plan.

– O, to jest jakiś plan? A jaki? – Cat zdecydowała się przekierować ostrze uszczypliwości na mnie.

– Sprytny, kurwa.



– Serio? I to jest ten twój genialny plan, Zek?

Zamrugalem, autentycznie urażony w mojej samczej dumie.

Siedzieliśmy w jednym z domków, prowadząc coś na kształt nieformalnej narady wojennej.

– No... tak? – spróbowałem moich niezrównanych umiejętności perswazji.

– No dobra, załóżmy, że masz rację i faktycznie tam, na dnie podziemi Cytadeli, faktycznie są te symbole.

– Są! Po pierwsze dlatego, że masz je tutaj, o tu! – Pokazałem paluchem na wyświetlany przez Azraela plan. – A po drugie, sam je widziałem, jak tam byłem!

– Byłeś tam... I nic nie zrobiłeś? – zdziwił się Carter. Zastanowiłem się chwilę, ale potem machnąłem ręką:

– Oj, bo to jeszcze poprzednim razem było, jak robiliśmy szturm na Cytadelę. Zaraz pod nimi jest portal, a z niego wyłazić pewnie będzie wszelka chujnia. Dlatego też potrzebujemy wszystkich możliwych sił, żeby się tam przebić.

– I dlatego chcemy sprzymierzyć się z Szatanem... Szaaataaan! – zaryczał Kemosz, składając palce w znak kozła.

– Sataan! – zawtórował mu Ronnie.

– To głupi plan – skwitowała krótko Cat. – A poza tym, jaką masz gwarancję, że on tu w ogóle przyjdzie? Przecież może być tak, że...

– Szeffie, znów mamy gości! – rozległo się wołanie z poddasza.

– Mówiłem. – Uśmiechnąłem się do Cat.



Światłodzierzca stał pośrodku zasypanego śniegiem boiska przy ruinach spalonej szkoły, kręcąc się wokół własnej osi. Jego skrzydła rozsuwały się i składały, rysując na śniegu skomplikowane wzory przenikających się elips i okręgów.

Wszedłem na teren, stanąłem przy resztkach przewróconej bramki. Anioł spojrzał wprost na mnie i zakręcił gwałtownie, podnosząc niewielką kurzawę; gdy śnieg opadł, po rysunkach nie było już ani śladu. Popatrzył sobie pod nogi, sięgnął za pazuchę i wyjął paczkę mentoli.

– Wszystko znika i przepada, Ezekielu. Tak samo stanie się i z tym światem – powiedział, odpalając papierosa od benzynowej zapalniczki, usłużnie podsunętej przez wielką, grubą wiewiórkę.

– Panowie... – Skinąłem im obydwu głową, podchodząc bliżej.

Szczerze mówiąc, to chciałem zwrócić się do nich wołaczem, do każdego z osobna. Uświadomiłem sobie jednak, że nie mam pojęcia, jak on ma na imię tak naprawdę. Czy w ogóle jakoś? Wszyscy inni Aniołowie mieli swoje imiona, a on tylko przydomki i określenia.

Zmierzył mnie wzrokiem, uśmiechnął się drwiąco.

– No proszę, proszę. Zmieniłeś się, odkąd ostatnio się widzieliśmy. Co to za święto, że mój Niemalże Wszzechmogący Ojczym nawiedza moją pustelnię? To będzie już drugi raz od... pomyślmy, od ilu to już lat?

– Tak jakby od zawsze, kierownikowi – powiedział Teufel, zajęty wydłubywaniem sobie robaków zza paznokci u dolnych łap.

Zatrzymałem się kawałek od niego, trzymając dłoń na gładiusie i czując, jak kastet na palcach lewej ręki szybko wysysa mi ciepło z palców. Mimo że gdzieś tam,

kilkadziesiąt kroków za mną, stały dobre dwa tuziny Komorników i niemała ekipa ludzi z Miasta Bohaterów, to ja byłem tu sam... Na wyciągnięcie ręki od jednego z Aniołów.

I to akurat tego, który dla zabawy założył się kiedyś z Bogiem, że wspólnie dadzą radę zamienić życie losowego człowieka w koszmar. Co więc miałyby powstrzymać go przed wyrwaniem mi po kolei rąk i nóg?

Nie czułem się pewnie ani komfortowo w tej rozmowie, więc chciałem ją jak najszybciej mieć za sobą.

– Przychodzę omówić warunki naszej współpracy – rzuciłem hardo.

Światłodzierzca zaciągnął się papierosem, złożył usta w okrąg i wypuścił idealne kółko, po czym dmuchnął wąską strużką, dorysowując w nim odwrócony pentagram.

– „Współpracy”? – Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Tak. Kiedy uderzymy na Cytadelę, twoje wojska...

– Nie ma żadnej „współpracy”, Ezekieliu. Mówiłem ci to już przecież wcześniej.

– Nazywaj to więc sojuszem, proszę bardzo. Tak czy inaczej...

– Nie, ty nie rozumiesz – przerwał mi, podsunął się o krok. – Teufel, podaj mi słownik, proszę... Dziękuję. Współpodrzędny, współpodstawowy, współposiadacz, współpowietnik... Co? – Nachylił się nad kartką, potrząsnął głową z niedowierzaniem. – No proszę, nie miałem pojęcia, że istnieje takie słowo. O, jest: współpraca!

Podał mi słownik, ja zupełnie odruchowo wziąłem ciężkie, opasłe tomiszcze.

– Kooperacja, koprodukcja, porozumienie, spółdzielczość, synergia, układzik, wspólnota... – zacząłem czytać.

– Wybierz dowolne z tych słów, Ezekieliu, a to, co jest pomiędzy nami, nie będzie żadnym z nich.

Dopiero wtedy do mnie dotarło.

– Poczekaj, zaraz, chwilę. Przecież...

– Czekam, odkąd twoi dalecy przodkowie w końcu nauczyli się nie jeść tą samą ręką, którą się podcierali. A zapewniam cię, że zajęło im to zdecydowanie dłużej niż całej reszcie. – Uśmiechnął się nieszczercze. – Tak więc przecież CO, Ezekieliu?

– Przecież ty... – Zaciąłem się, jak kasetą wkręcona w magnetofon.

Bo w sumie on mi nic nie obiecał. Nic nie powiedział. Nie było żadnego układu, tylko mój plan. Plan, który przewidywał, że jak ja pojawię się w Rewersie, to Światłodzierzca sam mnie odnajdzie, po czym razem uderzymy na Cytadelę.

Tymczasem on się na mnie właśnie wypiął.

Może to dlatego, że był Aniołem? A może z założenia był buntownikiem i zawsze robił coś wręcz odwrotnego, niż wymagał od niego Bóg?

– ...Wcale nie chcę, żebyś mi pomógł. W zasadzie to oczekuję, że będziesz Cytadeli bronił razem z dwiema ukochanymi braćmi – zagrałem przebiegle.

Światłodzierzca dopalił mentola i pstryknął w bok niedopałkiem. Ten wpadł prosto w pyszną kیتę Teufela, zajętego właśnie ogryzaniem tynku z pobliskiego wychodka.

– Niezła próba, ale to tak nie działa, Ezekieliu. To znaczy: mogłoby zadziałać, owszem. Ale nie zadziała. Nie pomogę ci, jesteś w tym sam.

Odwrocił się do mnie plecami i ruszył przez boisko, ciągnąc za sobą skrzydła, niczym gronostajowy płaszcz. Przez chwilę stałem tak w absolutnym stuporze, dopiero potem rozłożyłem ręce i zawałem za nim:

– I przyszedłeś tutaj tylko po to, żeby mi to powiedzieć...?!

Zatrzymał się, obejrzał przez ramię. Widziałem, że już otwiera usta... Ale potem zmienił zdanie, uśmiechnął się tylko paskudnie i znów ruszył precz.

Zostałem sam z niepokojącym poczuciem, że właśnie zostałem nie tylko oszukany, ale w jakiś sposób wręcz wyruchany.

– No i co, ile ich będzie? – Carter powitał mnie pytaniem. Ja jednak rzuciłem tylko mimochodem, mijając go i kierując się wprost do naszej tymczasowej kwatery:

– Zmiana planu. Nie potrzebujemy tego bufona. Damy radę sami.

– Zmiana... – Cat aż się zachłysnęła. – Że co?! Zek, co on ci powiedział? Albo nie: coś ty powiedział jemu?! Boże, jak mogłeś to spieprzyć?!

– Ej, ale jak to...? – jęknął Kemosz.

– Normalnie. Proszę mnie nie wkurwiać.

– Ale jak to, bez Szatana?! Nawet on nas opuścił? Neeee...!

– Neeee...! – zawtórował mu Ronnie, ale Cat tylko spojrzała na małego, a on od razu potulnie zawarł pyszczek.

– Damy sobie radę. Nie ma podstaw do paniki. Poradzimy sobie bez problemu – powtórzyłem nieco nazbyt gorączkowo, ściągając w przedpokojku kurtkę i czapkę.

Wszedłem do naszego centrum planowania, gdzie nadal posłusznie stał Azrael, robiący za rzutnik trójwymiarowy. Usiadłem na zydlu, zapatrzyłem się w plany Cytadeli.

Reszta weszła za mną. Stanęli pod ścianami, usiedli przy stole. Mały wrócił do układania klocków.

A ja patrzyłem w ten plan, kalkulując dostępne siły.

Patrzyłem i patrzyłem.

I patrzyłem.



– Zek, ja idę spać. – Carter ziewnął.

– Mhmm... – mruknąłem tylko.

Cat i Ronnie poszli sobie jako pierwsi.

Kemosz wytrzymał niewiele dłużej z poczucia obowiązku, potem przyniósł mi herbatę i stwierdził, że ma coś do zrobienia, ale wróci. Oczywiście nie wrócił.

Carter siedział ze mną i siedział, próbował pomagać, rzucał pomocnymi informacjami, opowiadał o wewnętrznych umocnieniach... Przez chwilę nawet zdawało się, że coś wymyślimy.

Ale, jako się rzekło, tylko zdawało.

A ja siedziałem, gapiąc się na utkany z Purpury, trójwymiarowy rysunek, kręcący się pomiędzy rozłożonymi skrzydłami mojego Anioła.

Gapiłem się tak, że aż mnie bolały oczy. Oglądałem przejścia, pomosty, bramy i strażnice. Wytyczałem sobie trasy. Nawet prosiłem Azraela o puszczanie dla mnie pół-interaktywnych symulacji ataku, które wyglądały jak transmisje na żywo z gier strategicznych...

Ale niezależnie od tego, ile ich ogrywałem, efekt zawsze był taki sam: nie byliśmy w stanie się przebić. I to nie tak, że przebić do podziemi; nie byliśmy w stanie wejść dalej niż za wewnętrzny krąg umocnień.

Oczywiście, można było ściągać posiłki. Próbować przekonać ludzi z Klatki, skrzyknąć niechętnych, podgrzać nastroje opozycyjne... Ale to nadal było za mało, żeby przebić się przez broniące Cytadeli połączone wojska Archaniola i Faryzeusza.

Czas grał na naszą niekorzyść, a ten pojeb Michał nadal miał gdzieś tam moją rodzinę.

– Nie przejmuj się, Zek. On nie wpadnie na to, żeby cokolwiek z nimi zrobić – uspokajał mnie Carter. – Nawet nie wie, gdzie są, bo powiedziałem mu tylko, że sprowadziłem ich do Cytadeli. Odbijemy ich podczas szturm.

– Aha, a Faryzeusz? Albo ten kutas Szemijazasz?! – ripostowałem.

– Myśl pozytywnie, Zek.

Myślałem, kurwa, pozytywnie. Myślałem tak, że aż mnie głowa rozboleła. Tylko że nic z tego mojego myślenia nie wychodziło.

– Pokaż mi jeszcze raz całość – poleciłem Azraelowi.

Plan oddalił się w perspektywie, pokazując zewnętrzny widok na Cytadelę. Była tam w pełnej krasie, wysmukła i niebosiężna. Niedostępna, niezdołana. A na samym jej szczycie tkwiła ta cholerna kaplica, z której Michał kontrolował sytuację strategiczną na kilkadziesiąt kilometrów wokoło.

Patrzyłem na nią i patrzyłem, marząc o tym, żeby mieć do dyspozycji rakiety balistyczną. A może gdzieś tu były silosy? Zaprogramować, odpalić... Wcześniej obłożyć całą bronią, jaką tylko mamy, i naładować ją na zapas Purpurą. Wysłać mu taką niespodziankę. Rozpierzdzić ten jego kurnik, wałnąć w sam środek. Rozpiżdzić w drobny mak...

Potrząsnąłem głową, zamrugałem.

– Azi, daj zbliżenie na kaplicę – powiedziałem nieswoim głosem.

Obraz przybliżył się, pokazując mi tkwiący na szczycie cytadeli regularny wycinek cylindra, pokryty ukośną siatką wyciętych w kamieniu żłobien. W sumie to nigdy nie widziałem jej z zewnątrz, zawsze tylko od środka. A jak na nią tak popatrzeć, to wyglądała jak... jak kawałek sztangi, pokryty właśnie takimi naprzemiennymi, ukośnymi żłobieniami.

„Radełkowanie”. Tak się to nazywało: radełkowanie. Radełkowany, cylindryczny kawałek aluminium. Do złudzenia przypominający...

– Azi...

– Tak, Ezekieliu? – odezwał się Anioł.

– Pokaż mi kaplicę z zewnątrz i przekrój poprzeczny przez całą Cytadelę.

– Naturalnie, Ezekieliu. Chwilę... już, gotowe.

Przełknąłem ślinę, patrząc na to, co wydawało mi się, że widziałem.

– Azi...

– Tak, Ezekieliu?

– Usuń strukturę ścian zewnętrznych. I wewnętrznych też. Poza tym zabierz korytarze, przejścia, klatki schodowe... Zabierz wszystko, gdzie mają dostęp ludzie! – poleciłem.

– Już.

– O kurwa, o chuj. Azi, usuń wszystko poza główną osią pionową od kaplicy w dół. O tak, dokładnie. Pokaż powłokę zewnętrzną... Scał w jedno. O kurwa, o chuj. O kurwa, ja pierdole! – wydarłem się. – Kurwaaaa!

Do pokoju wpadł najpierw Carter z bronią w gotowości, zaraz po nim dwaj Komornicy. Chwilę potem pojawiła się Cat z małym na rękach.

– Co jest?! – zawołał Carter, rozglądając się na boki w poszukiwaniu wroga.

– Zek! Spaliliśmy właśnie! Czy ty myślisz, że łatwo jest ułożyć do snu... – naskoczyła na mnie Cat.

– Co się dzieje?! – To wleciał do środka Kemosz.

Ale ja nawet ich nie słuchałem, nie mogąc oderwać wzroku od tego, co wyświetlał mi Azrael.

Ciężko było mi uwierzyć, tak głupie to było.

Ale widziałem to aż nadto wyraźnie.

– Okej, mam plan – sapnąłem.



Kiedy nasza karawana zziębniętych, przemoczonych i mocno niedospanych rebeliantów wyłoniła się w końcu z mroku bagien, odcinających Pas Burzowy od Kantu, Siliasz czekał już na nas w umówionym wcześniej miejscu.

Cat krzyknęła tylko urywanie i rzuciła mu się na szyję z radosnym piskiem. Zaczęła trajkotać, przyciągnęła Ronniego. Siliasz od razu wziął małego na ręce, ten rozplakał się, zaczął wyrywać, wyciągać rączki do Kemosza... Ten przejął dzieciaka, lekko zażenowany, po czym sam przywitał się z eks-gladiatorem.

Carter stał z boku, obserwując to wszystko i czekając na swoją kolej. W końcu i on podszedł, żeby się przywitać.

– No proszę, proszę, kto to się odnalazł... – Siliasz pokręcił głową, mierząc go spojrzeniem. – Syn marnotrawny powraca.

– Cześć, staruszku – wyszczerzył się Carter. – Po tylu latach, w końcu się spotykamy...

– Masz szczęście, gnoju, że w takich, a nie innych okolicznościach. Zek, nieźle znów namieszaleś. Ty masz pojęcie, co się tam dzieje? – Pokazał kciukiem w kierunku słońca.

– Najmniejszego, ale liczę na to, że jest wesoło. Powiadomiłeś wszystkich?

– Tja, tak jak mi przekazał. – Spojrzał na Azraela. – Wszystkich siedmioro.

– Siedmioro...?

– Safo, Kirke i Pauzanasz – zaczął wycliczać. – Timajos, Zohar. Kastor... i jeszcze Jehijel.

– Małowato nas coś, ale będzie musiało wystarczyć. Przekaż Azraelowi gdzie ich szukać, on zajmie się resztą... Azi, dasz radę ich przekonać? Bez grózb i pustostłowa, pamiętasz? No dobra, to w takim razie... – Potoczyłem po nich wzrokiem. – To jest moment, w którym się rozdzielamy.

– Co? Nie, nie ma mowy! – od razu zaoponowała Cat. – Nie po to się znaleźliśmy, żeby znów popełnić ten błąd! Zek, żadnego rozdzielania, słyszysz? Ja się nie zgadzam!

– Dzieciaku, co? Nie mówisz chyba poważnie.

– Zek, no bez jaj.

– Zek...

– Zek!

– Kurwaa! – zawołałem, machając rękami. – Cisz! Rozdzielamy się, w sensie „my” od całej reszty. Carter, Siliasz, Cat... Wy idziecie ze mną. Kemosz, zajmiesz się małym? Ktoś musi przypilnować dzieciaka, kiedy gówno wpadnie w wentylator.

– Eee, jasne, pewnie, tak – potwierdził brodac. – Ale... to znaczy, że ja będę go pilnował, podczas kiedy wy będziecie co robić? I co z nimi?

Popatrzyłem na całą resztę Komorników, na ludzi z Miasta Bohaterów.

– Oni ruszą przodem jako forpoczta.

– A my?

– My wykonamy akcję tylko dla orłów.



Skrzyp–skrzyyyyp, skrzyp–skrzyyp, skrzyp–skrzyyp...

Tutum–tutum, tutum–tutum...

Miarowo jęczał mechanizm drezyny, stukwały podkłady kolejowe. Świat przesuwiał się obok nas w jednostajnym, równym tempie.

Było nas czworo do machania dźwigni, więc nawijaliśmy kilometry na koła w naprawdę niezłym tempie. Owszem, przez to było nieco ciasno, ale umówmy się: każde z nas nawykło do podróżowania w zdecydowanie gorszych warunkach. Może tylko Siliasz miał określone zastrzeżenia, bo zazwyczaj jeździł samojeden, ale nawet jeśli, to znosił trudy z godnością.

Nikt się nie odzywał, nikt nie zagadywał. Siedzieliśmy zatopieni każdy w swoich myślach, koncentrując się na tym, jak...

– Zek, to debilizm – odezwała się w końcu Cat.

Odetchnąłem głęboko, przywołałem na twarz uśmiech. Szykowałem się do tej rozmowy, odkąd na spokojnie, niedługo po pożegnaniu z dużą częścią grupy, wyulszczylem im szczegóły.

– ...Z punktu widzenia logiki, owszem – przyznałem. – Natomiast jeśli wziąć pod uwagę wiarę jako taką, a w szczególności zawieszenie niedowierzania, to nie ma w tym szczególnych dziur fabularnych.

– Co ty bredzisz, Zek? To głupota przecież, i to czystej wody! Boże, że też ja się na to zgodziłam! Zostawiłam dziecko, i zamiast tego...

– Zamiast tego jesteś silną, niezależną kobietą. Nieironicznie – zastrzegł od razu Carter. – Pełnoprawną uczestniczką eskapady, tradycyjnie uważanej za domenę mężczyzn. Wartościowym członkiem zespołu.

– ...Czy on ze mnie drwi? – Cat zwróciła się do Siliasza.

– Nie jestem pewien, dziewczyno, ale chyba nie. Carter, drwisz z niej?

– Nie śmiałbym...

– Widzisz? Kpi w żywe oczy! Obaj kpią, on i Zek! Ta durna, dziecinna logika...

– Tylko nie dziecinna! – zachnąłem się. – Infantylna, owszem, ale nie dziecinna.

– To przecież wyrażenia synonimiczne!

– ...Niby tak, ale, kurwa, nie do końca. Możesz się łaskawie zamknąć i dać mi rozwinąć myśl, Cat? Dziękuję. No więc, ujmę to tak: tańczymy tutaj na cienkim lodzie, ale mamy szansę zagrać to zgodnie z zasadami kanonu gatunku.

– Jakiego gatunku, Zek? To nie jest książka, tylko życie!

– Właśnie nie do końca, Cat. Obawiam się, że to wszystko jest rodzajem opowieści, rozumiesz? Tak jak na przykład Biblia. O ile będziemy trzymać się tego, co zgrywa się fabularnie, to powinno nam się udać. Bo tak będzie pasować do zakończenia.

Spojrzała na mnie wielkimi oczami.

– On zwariował. Słuchajcie, Zeka popierdoliło do końca. Odbiło mu.

Oddałem wajchę Carterowi, sam rozparłem się na ławeczce.

– Wnosisz to na podstawie czego? Pamiętaj o tym, Cat, że ja naprawdę jestem Bogiem, uświadom to sobie, słyszysz te słowa, od których włos jeży się na głowie, o rany, rany, jestem niepokonany...

– ...Zek, ty się dobrze czujesz? – Siliasz zerknął na mnie z troską.

– Nieszczęśliwie, bo wyczuwam dużą ilość powątpiewania. Potrzebujesz dowodu? Okej, spoko. Pokażę wam, jak to działa. Tam, za zakrętem, będą zerwane tory. –

Pokazałem palcem.

– Zakład stoi.

– Dzieciaku, nie chcę ci psuć narracji, ale nie będą. – Siliasz odchrząknął, splunął na bok. – Nie będą, bo nie są. Jechałem tamtędy po was raptem cztery sny temu.

Ale ja nie odpowiedziałem już nic, patrząc się na Cat tryumfująco.

Niech poznają, czym jest zadzieranie ze Wszechmogącym.



Staliśmy we czworo, patrząc na poszarpane nitki torów, wiszące ponad ogromnym lejem zięjącym w nasypie kolejowym.

– To bez sensu – burknęła Cat.

– Mówiłem ci przecież, że właśnie tak jest: bez sensu.

– No dobra, dzieciaku, twoje na gorze. I co dalej w takim razie? – Siliasz wziął się pod boki.

To było dobre pytanie. Rzuciłem ten tekst o zerwanych torach bez szczególnego zastanowienia, na pałę... I w sumie wyłącznie potwierdzało to moją teorię, że cała moja niby-władza ograniczona była do jakiejś cieniusieńkiej warstwy albo podświadomych, albo zupełnie nieprzemyślanych życzeń.

Nie byłem w stanie zmusić świata do niczego rozsądnego, przemyślanego. Wszystko, co byłem w stanie zrobić, to powodować rzeczy absurdalne, irytujące albo zaskakujące.

A teraz ja miałem rację, a my wszyscy nie mieliśmy możliwości przemieszczać się dalej.

Usiadłem na torach. Przymknąłem oczy i wystawiłem twarz ku słońcu.

– Teraz usiadziemy i będziemy czekać – zakomunikowałem.

– Czekać?! – Cat chyba zawisła nade mną, bo usłyszałem jej głos zaraz przy uchu. – Zek, do cholery! Tam jest mój syn, maszerujący z bandą uzbrojonych psychopatów... A ja mam czekać?!

– Owszem. Albo jeszcze lepiej, pójdziemy wszyscy na siku, żeby przewinąć czas w przód. Czekaście na mnie, wróć... Słyszycie? Nie odchodźcie nigdzie!

Podniosłem się i zacząłem schodzić z nasypu, starając się nie słuchać połajanek Cat i marudzenia Siliasza. Tylko Carter patrzył na mnie z pewnym zaciekawieniem, jak gdyby czując, co chcę zrobić.

A ja przeszedłem się ku widocznemu kawałek dalej przepustowi z karbowanej rury, schyliłem i wlałem do środka. Leżał tu jakiś stary trup, sporo śmieci. Piękne, przytulne miejsce, nie ma co.

Podkasałem tunikę, odsunąłem przepaskę i zacząłem robić swoje.

– Uhhh, od razu lepiej... to co, pocelujmy w jakieś dwa–trzy dni może... – zagadałem sam do siebie, słuchając, jak głos odbija się echem w pachnącym kurzem wnętrzu. – Takie skromne siedemdziesiąt dwie godziny, żeby wszystkie armie zdążyły dotrzeć pod Cytadelę i zacząć robić tam chlew. I jeszcze chwilka, jeszcze jeden sik, drugi... I starczy. Raz, dwa, trzy strząśnięcia, bo więcej to już zabawa sobą. I wystarczy, czas start za trzy, dwa, jeden... Już.

Wyszedłem z rury, rozejrzałem się w lewo, w prawo. Nic się szczególnie nie zmieniło, szczerze mówiąc.

Jednak kiedy wspiąłem się na górę nasypu, od razu zrozumiałem, że zmieniło się całkiem sporo. Owszem, dreznina nadal stała przy zerwanych torach. Powiem więcej: nawet wciąż byli przy niej moi towarzysze. W komplecie.

Natomiast oprócz nich widziałem też trzy ogromne, skrzydlate kształty czworonogich bestii. Jedna z nich siedziała na zadzie, rozmawiając z Siliaszem i Cat. Druga ułożyła się na boku, oparłszy łeb o dreżynę... Zaś trzecia, lekko upasiona, umościła się po drugiej stronie leja i właśnie wylizywała sobie prawą tylną łapę.

Kiedy podszedłem bliżej, wszyscy zwrócili się ku mnie. Drzemiący na drezynie tetramorf zastrzygł uszami, podniósł łeb i spojrzał na mnie z zainteresowaniem... Nie mogłem nie zauważyć, że w odróżnieniu od dwóch pozostałych miał krótsze włosy, mniej bujną brodę i parę dorodnych, kobiecych piersi.

– Witaj ponownie, Emisariuszu – odezwał się ten, który rozmawiał z Siliaszem

– Melekeszu z Lakisz, witaj i ty. Dobrze was tu widzieć... Baal–Szain, Kin–alil–Addon. – Skinąłem głową dwóm pozostałym istotom.

– Zek, ty ich znasz? – W głosie Cat usłyszałem delikatną nutkę paniki.

– Znamy się jeszcze z dawnych czasów... Cóż za przypadkowy zbieg okoliczności, Melekeszu. Niech zgadnę: przelatywałeś akurat tędy, prawda? Z tragarzami?

– To prawda, przemierzaliśmy akurat tę krainę, podróżując w naszych sprawach. Cieszę się, Ezekielu, że nasze spotkanie... Och... – Tetramorf urwał, widząc moje spojrzenie. – A zatem o to chodzi. No cóż. Wygląda na to, że zostaliśmy wezwani – zwrócił się do pozostałych dwóch.

Tetramorfy podniosły się, ruszyły ku nam. Ten, który wcześniej mył się, z pewną gracją przeskoczył przez dziurę w nasypie, mimo że trochę źle wyliczył trajektorię i prawie zsunął się zadem w lej. W końcu wszystkie trzy stanęły obok siebie.

– No nie mów, Zekuś, że zamówiłeś nam taksówki! – zarechotał Carter.

Melekesz spojrzał na mnie bardzo, bardzo ciężkim wzrokiem.

– Jest nas tylko trzech...

– Ahem... – odezwało się Kin–alil–Addon.

– Troje – poprawił się Melekesz z Lakisz. – Jest nas tylko troje, Emisariuszu. Jakkolwiek więc bardzo chcielibyśmy pomóc, to...

– Plan jest dobry, ale chyba musisz iść piechotą, Zek – rzuciła Cat.

Potoczyłem po nich wzrokiem, uśmiechnąłem się szeroko.



– To doprawdy zaskakujący pomysł, Ezekielu. Cieszę się jednak, że mogę być tak bardzo wymiernie pomocny. Czy jest ci wygodnie?

Przełknąłem tylko ślinę, starając się poprawić chwyt na barkach Anioła.

Tamci troje lecieli relatywnie wygodnie, każde usadowione na grzbiecie własnego tetramorfa. Oczywiście, na tyle wygodnie, na ile było to możliwe, kiedy wierzchowic zrobiony jest z piaskowca – może nieszczególnie twardego, ale mimo wszystko kamienia.

Ja natomiast wymyśliłem sobie, że skorzystam z mojego prywatnego Anioła. Lata? No przecież lata, więc powinno się dać lecieć na nim. W czym problem?

Ano w tym, że było to mniej więcej tak wygodne, jak kiedy wisiało się komuś na plecach. W dodatku gdy ten ktoś miał wyrastające z barków skrzydła.

Było kurewsko, koszmarnie niewygodnie. Dramatycznie wręcz. Od samego startu bałem się, że zaraz ześliznę się i spadnę. Każde machnięcie skrzydeł Azraela na chwilę otwierało wokół mnie otchłań świszczącej, wyjącej pustki, a zaraz potem ścisnęło mnie niczym szczęki domykającego się imadła, tak że aż trzeszczały mi żebra.

Jedyną zaletą było to, że mogłem bezkarnie trzymać go za szyję i nie bać się, że go uduszę.

Nie dało się zaprzeczyć poza tym, że w jednym się nie pomyliłem: w porównaniu do transportowych, ciężkich tetramorfów, mój Anioł był lekkim myśliwcem szturmowym. Śmigał aż miło, leciał o wiele wyżej, bez wysiłku zniżał się, czasami niemalże muskając skrzydłami czubki martwych drzew, żeby zaraz potem wystrzelić w górę... Tak, jego właściwości lotne były imponujące.

Tylko że przedział dla załogi mocno nieistniejący, a warunki lotu cokolwiek bojowe.

Z drugiej strony, widoki miałem naprawdę imponujące.

Lecieliśmy ponad martwymi miastami i wioskami, przecinając siatkę ledwie widocznych spod naniesionego piachu wstęg asfaltu. Mijaliśmy wciąż widoczne prostokąty wyjałowionych pól i cmentarzyska martwych sadów, stojących nieruchomo w świetle zachodzącego słońca.

Natomiast krajobraz, jakkolwiek pozornie pozbawiony dynamiki i życia, nie był wcale nieruchomy.

Widziałem tłuste, szerokie kolumny dymów, wznoszące się nad płonącymi posterunkami Legionu. Przy jednym z nich wciąż kotłowali się ludzie wdrapujący się na palisadę, szarpiący bramę, ściągający z umocnień żołnierzy... Kolejny był już tylko poczerwiałymi, dopalającymi się ruinami, wokół których leżała rozsypanka trupów.

Raz lecieliśmy ponad rozciągniętą, nierówną kolumną maszerujących bezładnie wojsk. Dało się zauważyć grupy piechoty, najeżone kolcami rydwany i masywne sylwetki kroczących pomiędzy ludźmi potworów... Zaś dalej, pomiędzy wzgórzami, wznosiła się forteca ze stalowych belek, betonowych płyt i blachy falistej, szykująca się na nierównie oblężenie.

Potem znów trafiliśmy na scenkę rodzajową – centuria Legionu w ewidentnej zasadzce, broniąca się na biegnącej pomiędzy dwoma wzgórzami drodze. Atakowali ją ludzie, ale pomiędzy nimi widziałem kilku wojowników, wyposażonych w płonącą Purpurą broń.

Przymknąłem oczy, posyłając im na dół dodatkowy przydział mocy. Zadziało, bo światła od razu rozbłysły bardziej intensywnie... Niech się bawią, kimkolwiek są.

W tej chwili każdy, kto sprzeciwiał się duumwiratowi Góry, był po naszej stronie.

Im bliżej byliśmy naszego celu, tym robiło się gęściej. W przenośni i dosłownie, bo w dole dało się dostrzec coraz więcej oddziałów i zgrupowań, przemieszczających się po martwej równinie w obłokach kurzu. Wyraźnie widziałem sunące przez bezdroża samochody i motocykle. Czasami donosiło się do nas słabe, wygaszone przez odległość echo wystrzałów i detonacji.

Natomiast nie tylko na ziemi było tłoczno.

– Rozpocznam sekwencję manewrów wymijających, Ezekielu – przez szum wiatru doleciał do mnie głos Azraela.

Oderwałem się od kontemplowania panoramy, rozejrzałem w lewo, w prawo.

– Ażi, że co?! – zawołałem. – Przecież tutaj nic... Łaaa, ło!

Wrzasnąłem i wtuliłem się w niego, kiedy Anioł gwałtownie rzucił się w bok i zanurkował, unikając czegoś, co właśnie przemknęło nad naszymi głowami po kursie kolizyjnym.

- Aaahyp...! - Słowa wskoczyły mi z powrotem do ust, bo Azrael wystrzelił gwałtownie w górę i zanurkował po skosie, robiąc klasyczny korkociąg przez lewą burtę.

Szarpnięcie w lewo, w prawo, kolejny skok w dół i w prawo. Struga plazmy przecięła powietrze oślepiającym błyskiem, zapachniało ozonem. Odważyłem się podnieść głowę i od razu pożałowałem, widząc dosłownie przed sobą ogromną, groteskową głowę dziecka z małutkimi skrzydłami.

- OooOOOOoooooo...! - zawył Cherubin, niczym przelatujący przez stację pociąg pospieszny, kiedy wyminęliśmy go i zostawiliśmy z tyłu.

Zaś przed nami była już Cytadela.

Ogromna, wznosząca się pionowo w górę. Przecząca zasadom architektury i prawom fizyki. Niczym gigantyczny kopiec termitów, jak wielkie mrowisko.

I wyglądało na to, że mrówki właśnie się wyroiły. Wokół Cytadeli kłębiły się dziesiątki, setki latających kształtów, wylatujących teraz ze wszystkich otworów i poziomów struktury. Część z nich znałem, potrafiłem rozpoznać, inne... Inne wymykały się nie to, że kwalifikacji, ale wręcz postrzeganiu, niczym posklejane z niepasujących kawałków potworki na niskobudżetowej wystawie osobliwości.

- Aziiiiii...! - zawyłem, kiedy Anioł po raz kolejny zanurkował, wymijając po drodze dwa mknące wprost na nas Pastuchy.

Na dole, u stóp fortecy, kłębiły się i przelewały walczące armie. Błyskały i pluły ogniem działa, moździerze zasnuwały pole bitwy chmurami dymu... Piechota podsuwała się coraz bliżej i bliżej murów, kryta ogniem zaporowym karabinów. Z drugiej strony przez bramy wylewały się całe fale Wysłanników, przygniatających ludzi samą swą liczebnością i ogromem.

Kolejne szarpnięcie, przeciążenie niemalże wbiło mnie w kręgosłup Azraela. Na chwilę pociemniało mi przed oczami, poczułem, jak mój chwyt słabnie - ale na szczęście organizm szybko się pozbierał, więc złapałem się go mocniej.

Ściany Cytadeli były coraz bliżej, zaczęliśmy nabierać wysokości, ciężkimi uderzeniami skrzydeł wspinając się coraz wyżej i wyżej, ku kaplicy.

Wystarczyło tam dotrzeć. Przeżyć spotkanie z Michałem i/lub Szemijaszem. Zrobić, co trzeba było zrobić.

Tylko tyle. Nic więcej. I wystarczyło mieć nadzieję, że w międzyczasie nic się nie stanie.

- ...Kurwa... - jęknąłem.

Bo uświadomiłem sobie, że odruchowo właśnie to pomyślałem. Wyobraziłem sobie. Zwizualizowałem to, co by mogło.

A to zapewne już wystarczy.

- Azi, wybacz...! - zawyłem, kurczowo chwytając mojego Anioła za szyję.

W tym samym momencie z Cytadeli wystrzelił jeden z niezliczonych promieni, przecinających już wcześniej powietrze wokół nas skomplikowaną mozaiką pojawiających się i znikających linii. Jednak ten, w odróżnieniu od wszystkich innych, których Azrael bez trudu unikał, pomknął wprost ku nam i uderzył Anioła w wyciągnięte skrzydło.



Błysnęło i trzasnęło straszliwie, zapachniało palonym pierzem i topionym żelazem. Szarpnęło nami, fala uderzeniowa niemalże zrzuciła mnie z pleców mojego anielskiego myśliwca.

Zaś Azrael przechylił się na bok i wirując wokół własnej osi zaczął spadać, zostawiając za sobą spiralną smugę dymu.

Wiatr uderzył mnie w twarz, huk i wycie wypełniły uszy. Świat zamienił się w rozmazaną karuzelę płam, pośrodku której widziałem tylko coraz większą i większą Cytadelę, rosnącą w oczach z każdą chwilą, coraz bliższą i nieubłaganą, zbliżającą się w dzikim tańcu, próbującym oderwać mnie od pleców Anioła i rzucić w pustkę, wyrwać mi z trzewi żołądek i porzucić zawartość głowy po całej okolicy...

Dosłownie w ostatniej chwili przed uderzeniem Azrael ściągnął mnie z grzbietu, chwycił w ramiona i otulił skrzydłami, niczym pancernym kokonem.

Nie wiem, co stało się dalej. Jestem w stanie się domyślić, wydedukować. Ale naprawdę, zarejestrowałem wyłącznie... Nie, nawet nie to. Nie zarejestrowałem momentu, kiedy przebiliśmy się przez zewnętrzny mur Cytadeli i wpadliśmy do środka. Nie wiem, jakim cudem przeżyłem. Nie mam pojęcia, co i jak zrobił Azrael.

Wiem tylko, że w końcu okazało się, że leżałem na podłodze. Wokół mnie było pełno gruzu. W powietrzu unosił się gęstą, siwą chmurą kurz, w którym wyraźnie rysowała się krwawa łuna od słońca, zagląającego przez wyrwaną w ścianie dziurę.

– Aaarrgh... Kurwaaaa... – zajęczałem, przekręcając się na brzuch. – Azi... Azi, żyjesz?

– To dziwne pytanie, Ezekieli – odezwał się Anioł.

Leżał na podłodze w cokolwiek dziwacznej, mocno nienaturalnej pozie. Jedno jego skrzydło było wykręcone i złamane w kilku płaszczyznach, drugie wciąż dymiło i płonęło, zasnuwając pomieszczenie gęstym dymem. Tak, owszem – bardziej przypominał zestrzelony samolot niż istotę boską.

Ze mną nie było lepiej, bo z lewej nogi wystawała mi złamana kość. Czułem też ból w klatce piersiowej, coś mi dziwnie przeskakiwało w szczęce z lewej strony. No tak, klasyka – gdyby nie Purpura, to by było po mnie.

– ...Druga dekuria, zabezpieczyć teren! – rozległo się wołanie. – Szybko, szybko!

Nie wiedzieć skąd, zakotłowali się wokół nas jacyś ludzie. Żołnierze. Część przebiegła gdzieś dalej, kilku zajęło miejsca przy wymiocie. Któryś nawet zerknął na mnie, ale nie zaszczycił niczym więcej niż przelotnym spojrzeniem: pewnie wyglądałem na tyle źle, że musiał wziąć mnie za trupa.

– Mamy tutaj dwóch, zneutralizowani! – zawołał setnik, wchodząc do zasłanej gruzem sali. – Jeden jeszcze daje oznaki życia, proszę o rozkazy! A ten drugi, ten drugo to... ghrhhygh...

Ten ostatni odgłos wziął się stąd, że setnik nieopatrznie nachylił się nad Azraelem, zaś Anioł wyrzucił w przód dłoń i wbił mu ją w klatkę piersiową. Człowiek opadł na kolana, zaś Anioł podniósł się, wyszarpnął zakrwawioną rękę i rozprostował skrzydło, które naprostowało się w kilku ruchach i z chrupnięciem wskoczyło na miejsce.

– Wygląda na to, panowie, że do waszych teczek osobowych zostaną wprowadzone pewne nieoczekiwane zmiany, skutkujące natychmiastowym zamknięciem – powiedział.

Po czym rzucił się na Legionistów.

Nigdy dotąd nie widziałem, jak Azrael walczy. Nie widziałem nawet, jak walczy jakikolwiek inny Anioł. Nie tak naprawdę. I przyznam, że widowisko było imponujące.

Poruszał się niczym tancerz, jak baletmistrz na parkiecie. Długie, posuwiste ruchy. Piruety otulone świstem skrzydeł naszym cięcia rzeźnickich noży. Szybkie wypadki kontrapunktowane symfonią chrupiących kości i mlaskającej tkanki ustępującego ciała.

Próbowali go atakować. Nawet dosięgali. Ale on nie zważał na ich ciosy, kontynuując zaczęłą sekwencję ruchów. Niczym przemysłowa pilarka do wyrębu lasu, posuwająca się przez leszczynowy zagajnik targany porywami wiatru.

Dałem radę podnieść się, chciałem skoczyć, dołączyć do walki wraz z nim.

Zwyczajnie nie zdążyłem.

– Wszystko w porządku, Ezekielu? – zapytała mnie pokryta bryzgami krwi, ubrana w strzępy szat istota.

– T-tak... Ażi, słuchaj, ja...

– Ruszaj tam, Ezekielu. – Pokazał mi kierunek. – Ja dołączę do walki na wyższych poziomach. Pospiesz się, zostało niewiele czasu.

– Niewiele... – aż zachłysnąłem się tym słowem.

Azrael jednak złożył skrzydła, rzucił mi przez ramię uśmiech i pospieszył korytarzem w stronę dokładnie przeciwną do tej, którą mi wskazał.

Przejechałem ręką po miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą wystawała mi spod skóry złamana kość, dotknąłem zrastających się żeber. No cóż, do wesela się zagoi, tak?

Nie mogłem uwierzyć, że to znów się dzieje. Że znowu był plan, a wszystko poszło nie tak. Że byłem sam we wnętrzu Cytadeli, próbując na chybcika ogarnąć rzeczywistość taktyczną.

Pokuśtykałem korytarzem, a potem klatką schodową w dół.

Kurwa, w dół. Nie na górę: w dół! W dokładnie odwrotnym kierunku, niż powinienem iść, żeby dotrzeć do kaplicy na szczycie.

Natomiast przez cały ten czas, przez te wszystkie podróże, durne przygody, przez siedem tomów nauczyłem się, kurwa, jednego: Azrael naprawdę wiedział lepiej, a ja byłem skończonym debilem, że go o to częściej nie pytałem wprost.

Musiałem być nieco ponad połową wysokości Cytadeli. Przez czasami trafiające się okna widziałem, jak u stóp fortecy rozgrywa się kolejny dramat szturmowy. Słyszałem głucho echa eksplozji. Od czasu do czasu czułem, jak drżą ściany.

Widziałem pikujące Cherubiny, Pastuchy witane ogniem ciężkiej broni maszynowej i Ofiarników, pracujących naprzód pomimo koszmarnych obrażeń.

To było... to było za dużo. Za szybko. Za bardzo.

A ja musiałem być tu i teraz.

„Musiałem”.

Nigdy mi to nie szło.

Korytarz niespodziewanie otworzył się tarasem, okolonym rządkiem posągów. Na krótką chwilę oślepiło mnie zachodzące czerwona luną słońce, ale potem zasłonił je cień czegoś, co właśnie przelatywało na tle płonącej szkarłatem tarczy, a potem znów wpadłem w półmrok korytarzy.

– Zdrajca...! Uwaga, przebili się! – powitał mnie krzyk.

Nie miałem nawet cienia wątpliwości, że mowa była właśnie o mnie.

– Trzysta stopni z termoobiegiem! – wrzasnąłem, kreśląc rękoma nierówny okrąg.

Rozbłysło jaskrawe światło, dosłownie znikąd uderzył wichur, zawijający się wokół mnie niewielkim tornado gwałtownie nabierającego temperatury powietrza. Biegający na mnie z mieczem człowiek wrzasnął i odruchowo zasłonił twarz przedramieniem, jakby nieopatrznie nachylił się nad otwieranym piekarnikiem, kolejny za nim zaskowyczał z bólu.

Stałem tak z rozłożonymi rękami, czując, jak rozpalony wichur muska mi czubki palców, podczas gdy kształty wokół krzyczały, miały się i próbowały bezskutecznie uciec od bezcielesnej pożogi.

Jeden z żołnierzy dał radę przebiec przez ścianę żaru i wytoczył się ku mnie, wrzeszcząc i na oślep machając toporem... Skóra dosłownie spływała mu z twarzy,

zamiast oczu miał tylko narastające jedne na drugich bąble, szybko wypełniające się surowicą, ale nadal usiłował zrobić to, co zapewne było teraz podstawową motywacją wszystkich powolnych Górze istot na tym świecie.

Kopnąłem go w bok, posyłając z powrotem w ognisty wicher. Poleciał na plecy, potknął się, chciał jeszcze wstać, ale już nie dał rady.

Huragan nagle uspokoił się, po chwili zgasło światło. Dym i smród spalonego ciała uderzyły mnie w nozdrza, żołądek szarpnął się gwałtownym skurczem. Jednak ja przeskoczyłem tylko nad zwęglonym trupem i popędziłem dalej, mniej więcej orientując się już, gdzie jestem.

„Zostało niewiele czasu” – dzwoniły mi w uszach słowa mojego Anioła, który okazywał się być coraz mniej Nadzorcą, a coraz bardziej Stróżem.

Skrzyłem w lewo, w niskie przejście, i wpadłem wprost na galerię biegnącą górą ponad oddziałem więziennym.

– ...Rozkaz samego Archanioła! – dobiegł do mnie głos. – Przepuść nas po dobroci, człowieku, bo...!

– Ale kochanieńki mój, ty masz swoje rozkazy, ale i ja mam swoje! I tobie kazali ich eksterminować, słodziuśki mój ty, a ja tutaj jestem stróżem przecież! Słodziutki, najśłodszy mój tysięczniku, mordko kochana, przecież stróż ma pilnować tego, co mu powierzono...!

– Z drogi, mówię! Z drogi, bo jak nie, to i ciebie dołączymy do listy!

– Ale ja naprawdę nie mogę, rybciu moja! Ja bym ci nieba przychylił chętnie, ale nie mogę po prostu...!

Znałem ten głos. Znałem tę posturę, te włochate łapska ciężkie od prymitywnych tatuaży i zamiłowanie do skórzanych elementów pseudoubrania.

Natomiast bardziej zajmował mnie teraz fakt, że przed wejściem tłoczyło się dobre pół tuzina Legionistów z bronią w gotowości. A kiedy wojsko wpada do więzienia, to każdy od razu wie, że szefostwo wydało rozkaz podcinania luźnych końców opowieści.

– Z drogi...! – zawołał tysięcznik i odepchnął nadzorcę na bok.

Żas ja, jak zwykle myśląc niewiele albo wcale, przesadziłem niewysoką barierkę i po prostu skoczyłem na nich z góry.

Takie akcje wychodzą fajnie w komiksach albo w filmach animowanych. Wtedy, kiedy można zrobić na jednej planszy dynamiczną pozę bohatera, spadającego na głowy niczego nie spodziewających się złoli, a na kolejnej pokazać, jak wgniata jednego w ziemię, jednocześnie kopiąc drugiego w podbródek i uderzając trzeciego w brzuch.

Wiem, że ładnie to wychodziło w komiksach, bo się na tych komiksach wychowałem. To przynajmniej częściowo tłumaczyło moje zawyżone, nierealistyczne oczekiwania wobec własnego i innych wyglądu fizycznego i skłonność do komentowania każdej dziejącej się wokół sytuacji.

Co do filmów animowanych, to nigdy nie kręciły mnie chińskie bajki, więc nie będę się wypowiadał.

Tak czy inaczej: komiksy – tak, animce – tak.

Ale w życiu już nie.

– Śmierć z przestworzyyyy! – wydarłem się spadając, po czym radośnie spierdoliłem się centralnie pomiędzy Legionistów.

No dobra: może zahaczyłem po drodze dwóch albo trzech, bo poobalali się wraz ze mną. Natomiast, jak to w życiu zazwyczaj bywa, akcja miała skutek niszczycielski, odwrotnie proporcjonalny do epickości.

– Co jest, do...? – zdziwił się tysięcznik.

Na tym jednakże jego wypowiedź się zakończyła, bo stojący za nim nadzorca zamachnął się i z całej siły dzielił go ogromną spiżową chochłą w łeb.

Zaś ja, ledwo kojarząc co się wokół mnie dzieje przez ból w ponownie połamanych żebrach, machnąłem płonącym gladiusem przy samej ziemi na wysokości kostek.

Ktoś zawył z bólu i upadł, inny odskoczył w przerażeniu, jeszcze inny przytomnie dźgnął mnie włócznią w plecy. Kolejne uderzenie kastetem w okolice łydki, trzask i błysk, niewielki gejzer przerobionego na mielonkę mięśnia i kości.

– A proszę, kochaniutcy! Proszę! Nie ruszać ich...! – wrzeszczał nadzorca, rytmicznie okładając chochłą legionistę, usiłującego schować się za tarczą.

Przetoczyłem się w bok, unikając kolejnego ciosu, pchnąłem nieco na oślep pod skosem ku górze. Chyba weszło, bo klinga na chwilę ugrzęzła w czymś, a ja od razu szarpnąłem ostrzem w bok.

Zobaczyłem zbliżający się but i rant tarczy, rozczapierzyłem palce i strzeliłem z dłoni purpurowymi iskrami, jednocześnie próbując wstać na jedno kolano. Ciężko się jednak walczy, leżąc na podłodze... Przeciwnik odskoczył, ciałem na krzyż, przecinając mu tarczę razem ze schowaną za żelaznym umbem ręką.

Odwrociłem się do dwóch pozostałych, ale zobaczyłem już tylko ich plecy, znikające w wyjściu na klatkę schodową.

– Kochanieńki mój...! – Nadzorca załamał ręce. – Co ty tutaj...? Jak? Przecież...!

Tak, tak: ten sam nadzorca z Areny. Gruby, wytatuowany, jowialny, w skórzanym fartuchu i w ogóle. Już nie miałem nawet siły myśleć o tym, jak i skąd się tu wziął.

– Jeńcy...! – sapnąłem tylko.

– Żyją, żyją, słodziutki ty mój! Ale tam przecież... Jak ty się wydostałeś z celi?!

Zawiesiłem się na chwilę, ale potem mózg zaskoczył.

– Prowadź, otwieraj! Wyciągamy ich stąd!

Pobrzękując kluczami, potruchtał korytarzem pomiędzy celami. Przystanął przy drzwiach, zaczął gmerać w zamku.

A ja stanąłem przed kratą, patrząc z niedowierzaniem na zamkniętych w środku ludzi.

Bo to byli właśnie oni.

Moja rodzina.

– Ty...? – Żona spojrzała na mnie z niedowierzaniem, potem zerknęła na wstającego właśnie z podłogi mężczyznę. – Ale..

Podszedłem do prętów klatki, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę, spojrzałem na stojącego po drugiej stronie typu. Łysego, muskularnego, ze Znamieniem na czole i płonącym Purpurą gladiusem w ręku. To przecież byłem ja! Ja, tylko inny..

– Szybciej! – ponaglił nadzorcę, usiłującego otworzyć nasze drzwi.

– Staram się, słodziutki mój, staram się...!

– Tata! – zapiszczała córeczka. – Tata...! Taty jest dwa! Mama, zobacz, zobacz...!

W tym momencie zamek szczęknął, drzwi zgrzytnęły i otwarły się na oścież.

Nie marzyłem o niczym innym, niż żeby wskoczyć tam, do środka, i wszystkich ich przytulić. Objąć, przycisnąć do siebie, wziąć w ramiona i nie wypuszczać.

Jednak w celi byłem też ja. I wiedziałem, po prostu wiedziałem, że to JEGO rodzina. Nie moja. To on był z nimi, to on ich nie zdradził, to do niego nie przyszedł Anioł Śmierci.

I teraz moim zadaniem było uratowanie ich wszystkich do końca.

– Wyprowadź ich...! – rzuciłem do nadzorcy. – Wyprowadź ich z Cytadeli, jak najdalej...

– Kochanieńki, ale mi nie wolno! Ja tak myślałem, że ten tutaj, że on do kogoś podobny jest... Ale nie mogę przecież! Są obowiązki, ja tu pracę mam... – zajęczał

nadzorca, załamując wielkie łapska.

– Człowieku, idzie koniec świata! To wszystko zaraz szlag jasny trafi, cholera wie, co się stanie... Zabieraj ich w cholere! Wyjaśnię wszystko potem... Potem, okej?!

Nadzorca zrobił przerażoną minę, ale pokiwał głową najpierw niepewnie, potem coraz bardziej zdecydowanie. W końcu chyba podjął decyzję, bo machnął ręką:

– Słodziutcy moi, do wyjścia i w lewo, schodami w dół!

A ja rzuciłem tylko ostatnie spojrzenie na moją rodzinę, na żonę i na tulącą się do niej córeczkę, po czym popędziłem ku drzwiom i skoczyłem w prawo, tam gdzie schody pięły się pod górę.

Sadziłem wielkie, długie susy, po dwa, po trzy stopnie. Jak najbardziej forsowne i męczące, żeby koncentrować się tylko na tej czynności. Nie myśleć. Nie zastanawiać się.

Oni tam byli. Żywi, cali, zdrowi... Nieco sponiewierani, ale w każdym razie żywi!

A ja, mając ich na wyciągnięcie ręki, nawet nie przytuliłem.

I teraz rozdzierało mi to serce na strzępy.

Byłem już dwa poziomy wyżej, kiedy dotarło do mnie, że ktoś biegnie za mną. Wyraźnie słyszałem kroki i sapanie!

Przycziłem się za kolumną, po czym kiedy zobaczyłem na ścianie rzucony od lampki oliwnej cień, wyskoczyłem z wrzaskiem. Złapałem prześladowcę za gardło, docisnąłem do ściany i przygniotłem kolanem, gotów pchnąć wzniesionym do ciosu gladiusem.

Spojrzałem w swoją własną twarz.

– Co...? – sapnąłem.

– Co...? – jęknąłem.

Puściłem się, potrząsałem głową i odstałem o krok.

Dwie wersje mnie patrzyły na... e... na siebie? Na siebie nawzajem? Nie byłem nawet pewien, w jaki sposób używać tutaj czasownika w wersji zwrotnej.

Jeden większy, muskularny, ze Znamieniem na czole, w pancerzu... I ten drugi, o wiele chudszy i żyłasty, niedożywiony. Zmęczony nie tyle życiem, co przeżywaniami.

– Co ty tu robisz?! Miałeś iść z nimi! – Zamachałem rękami.

– Idę z tobą! – odparłem buńczucznie, opierając na ramieniu gladius, zabrany martwemu Legioniście.

Wiedziałem z doświadczenia, że próby dyskusowania oraz kłócenia się z samym sobą były skazane z góry na porażkę. Przecież niezależnie od tego, kto by wygrał, i tak przegrywałem ja. Dlatego też westchnąłem tylko ciężko i pokręciłem głową:

– Trzymaj się z tyłu, nie wrywaj się bez sensu. Nie daj się zabić.

– Nie pierdol, tylko prowadź. – Wyszczrzyłem się w uśmiechu.

Jezusie, jaki ja byłem strasznie irytujący.

Pobieglśmy po schodach, czując jednocześnie, jak Cytadela drży w posadach od nasilających się uderzeń i wybuchów.

Widziałem już przez okna, że północna brama padła i teraz walka toczy się na wewnętrznym dziedzińcu. Wydawało mi się, że na czele atakujących dostrzegłem ubranego w przepięknej roboty pancerz, wyższego o głowę od otaczających go ludzi, roześmianego Stratilate...

Jako pierwszy wypadłem na półpiętro. Drzwi prowadzące do wewnętrznego dojścia do kaplicy były wyrwane z zawiasów, dwaj pilnujący ich Ofiarnicy dosłownie rozerwani na strzępy.

A pośrodku tego wszystkiego jeden z Aniołów od Szemijazasa próbował czołgać się po podłodze.

– Szybko, Emisariuszu! – zaskrzeczał Kin-alil-Addon, ciągnąc po ziemi przetrącone, niemalże oderwane od korpusu kamienne skrzydło. – Są już na górze! Tylko że tamci...!

Ale ja już nie słuchałem, pędząc ile tylko sił w nogach na górę.

– Hej, miałeś trzymać się z tyłu...! – zawołałem sam do siebie.

– Ostatni na górze pizda! – zaśmiałem się tylko w odpowiedzi.

Brakowało nam jeszcze kilkudziesięciu stopni, nie więcej.

– Aziii! – zaskowyczałem resztką oddechu. – Azraeeel...! Przygotuj się!

Wleciałem przez szczerozłote drzwi do kaplicy na szczycie Cytadeli, prosto w samo oko huraganu.

Nie byłem nawet w stanie określić, co się tu działo. Podłoga była już śliska od krwi, ściany poorane przez wyładowania Purpury. Leżało tu kilkanaście trupów, dymił rozczłonkowany Pastuch... Kiedy wbiegłem za sobą, Melesesz z Lakisz właśnie rozdzierał na pół wrzeszczącego wniebogłosy Legionistę.

– Ezekielu, uważaj! – zawołał tetramorf, rozbrzygując z paszczy kropelki krwi.

Widziałem też Cartera i Cat, wspólnie nacierających na jednego z Aniołów Szemijazasa, który machał ogromną maczugą z ludzkich kości. Siliasz odpierał właśnie ataki trzech Nawróconych jednocześnie, dając pełny pokaz umiejętności walki wręcz, z bronią i improwizowanej. Ale na co niby miałem ja...?

Rzuciłem się na ziemię, dosłownie w ostatniej chwili unikając straszliwej śmierci.

– Ty szkodniku! – zawył jeden z Aniołów-dresiarzy, skacząc na mnie, niczym rozważszczony dostawczak z piwem.

Byłby mnie zmiażdżył, ale w ostatniej chwili dosięgła go i cisnęła na bok struga Purpury, puszczone przeze mnie z kastetu.

Tak, wiem – to robi się skomplikowane, kiedy pojawia się podwójna narracja pierwszoosobowa.

Mnie też nie było łatwo.

Ani mnie, bo tamten chociaż wiedział, o co chodzi, a ja tylko siedziałem cały ten czas zamknięty w celi.

Ale nie to było ważne.

Ważne, że pośrodku kaplicy było jeszcze jedno, mniejsze pomieszczenie. Niczym upleciona z łuków oporowych, żeber wsporników i spiralnych kolumn klatka.

– Aziiii...! – wrzasnąłem, skacząc w tamtą stronę.

– Tak, Ezekielu? – Anioł mignął mi w przelocie. – Obawiam się, że odciążasz mnie od istotnych...

– Giń!!! – ryknął kolejny z Aniołów, zamachując się na mnie kawałkiem kamiennej kolumny.

Skoczyłem szczupakiem, unikając ciosu, a chwilę później Carter przebił tamtego gladiusem na wylot.

Zaś ja przetoczyłem się, poderwałem i desperackim rzutem na taśmę wpadłem do wewnętrznej kaplicy.

– Azi! Włączaj tryb administracyjny...! – ryknąłem rozdzierająco.

Świat zamigotał, a potem wszystko zamarło w bezruchu, w mgnieniu oka nabierając odcienia kłującego błękitu, tracąc wysycenie barw.

Przed oczami rozwinął mi się ogromny, sięgający od samego sklepienia niebieskiego aż do najgłębszych czeluści piekieł, zwój pergaminu z poszczególnymi opcjami.

Wiedziałem, że w tej chwili mógłbym – mogę! – zmienić dosłownie każdy z parametrów.

Natomiast też z doświadczenia wiedziałem, że to doprowadzi do katastrofy, bo system po prostu się wykrzaczy.

Zaś mój plan był zupełnie inny.

– Azi...

– Tak, Ezekielu? – Anioł zmaterializował się obok w postaci dwuwymiarowego hologramu.

– Azi, pilnuj mnie i mów, jeśli zrobię coś nie tak...

– Oczywiście, Ezekielu, z przyjemnością.

A ja sięgnąłem dłonią, ująłem w dwa palce radełkowaną gałkę na czubku Cytadeli.

Delikatnie, żeby nie zrobić niczego głupiego, przekręciłem w lewo, w prawo... Obluzowałem i ostrożnie pociągnąłem ku górze, wysuwając długą, lśniącą szpilkę z posadowionego na ziemi pokrowca.

Przeniosłem paręset kilometrów w powietrzu i ostrożnie wsunąłem w czekający na nią otwór. Docisnąłem, przekręciłem.

Nie stało się nic.

– ...Azi? – obejrzałem się przez ramię.

– To tylko zadany zestaw przemieszczeń, Ezekielu. Jeśli chcesz, aby wykonano sekwencję, należy wyłączyć tryb administracyjny.

Wyrzałem na zewnątrz klatki. Popatrzyłem na zastygłego w pół kroku, rozpedzonego niczym zawodnik rugby w szarży Anioła-dresiarza, który jeszcze chwile temu biegł za mną.

– To znaczy, że... Że to musi się jeszcze wydarzyć naprawdę? – upewniłem się.

– Dokładnie tak, Ezekielu.

Odetchnąłem głęboko, ustawiłem się we właściwej pozycji. Oceeniłem trajektorię ruchu Anioła, poprawiłem ustawienie nóg. Ująłem gladius oburącz.

– Azi...

– Tak?

– Wyłącz tryb administracyjny.

Rzeczywistość zamigotała, a potem zaskoczyła, wracając do normalnych barw i poziomu dźwięków. Ryczący wściekle Anioł wystrzelił, niczym z katapulty, lecąc prosto ku miejscu, gdzie byłem jeszcze mniej niż ułamek sekundy temu.

Nawet nie zorientował się, że już nim tam nie było. Ja zaś zamachnąłem się znad ramienia, niczym pałą do bejzbola, i z całej siły pieprznąłem go trzymanym oburącz mieczem.

Chrupnęła i zgrzytnęła *pneuma*, ostrze wbiło mu się w głowę pod skosem, dochodząc aż do połowy głębokości czaszki. Oklapł w locie i plasnął na ziemię, niczym mokra szmata, przejechał jeszcze kawałek, szorując po podłodze.

– Zek...! – krzyknął Carter, barujący się właśnie z wytatuowanym, barczystym Aniołem.

Skoczyłem ku niemu, już wznosząc gladius do ciosu.

Jednak podłoga uciekła mi spod nóg. Dosłownie. Ściany nagle przesunęły się w bok, jak gdyby cała kaplica obróciła się wokół własnej osi. Ludzie, Aniołowie, gladiatorzy – wszyscy stracili równowagę, część popadała na ziemię.

Jeden z karków Szemijazasa chciał wykorzystać okazję, rzucić się od tyłu na wstającego właśnie z podłogi Siliasza.

Jednak w tym momencie kaplica obróciła się w drugą stronę. I nie chodziło nawet o to, że leżący na podłodze Siliasz obrócił się razem z nią, uciekając tamtemu pod nogami o dobre pięć metrów.

Dowcip polegał na tym, że nieco z boku od Siliasza był wspierający sklepienie filar, który teraz sieknął zawieszonoego w powietrzu Anioła, niczym łopatką miksera trafiająca muchę łażącą po makutrze.

– Siliasz, uważaaaa...! – chciałem krzyknąć.

Chciałem, ale ni cholery nie dałem rady, bo moje ciało nagle zrobiło się nienaturalnie ciężkie, a mnie dosłownie wgniotło w posadzkę. Nie tylko mnie zresztą, bo większość uczestników tej absolutnie chaotycznej walki rozplaszczyła się, niczym meduzy na piachu.

Przez otwartą kolumnadę na skraju kaplicy zobaczyłem, że linia widnokręgu gwałtownie ucieka w dół, chowając się za krawędzią tarasu. Rzucane przez słońce cienie zatańczyły po ścianach.

Z ogłuszającym wręcz łoskotem kruszonych kamieni, do wtóru grzmotu kaskad sypiących się cegieł i trzasku pękającej zaprawy, iglica zaczęła wysuwać się z wnętrza Cytadeli. Kamień zgrzytał o kamień, wibracje niosły się po całej konstrukcji i przekładały na system łuków oporowych, wprowadzając całość gmachu w rezonans, odzywający się wielokrotnionym echem.

Aż boję się myśleć o tym, co musiało dziać się na dole, o tych wszystkich nieszczęśnikach, których ten moment zastał czy to na klatkach schodowych, czy gdzieś w trzewiach fortecy. Pozbawiona teraz swego rdzenia, niczym namiot z którego nagle zabrano centralny słupek, Cytadela zaczęła zapadać się sama w sobie, wzbijając w powietrze tumany kurzu.

A my wznosiliśmy się coraz wyżej, ciągnąc za sobą kilka najwyższych pięter, na których zapewne wciąż wrzała chaotyczna walka – przerwana teraz na czas startu tej cudacznej konstrukcji.

Nie mam pojęcia, czy ktokolwiek ogarniał to, co się działo. Liczyłem wyłącznie na to, że kiedy o tym pomyślę, to Azrael już będzie wiedział, kogo i o czym należy powiadomić.

Bo jeśli nie, to marny miał być nasz los.

Nagle zrobiło się minimalnie lżej, donoszący się z dołu huk ścichł i niemalże ustał zupełnie. Mogłem już poruszyć rękoma i nogami, ktoś zaczął się nawet podnosić...

– Trzymajcie się! – krzyknąłem. – Bo teraz...

W tym momencie kaplica ruszyła w bok. Punktowo, bez ostrzeżenia, nabierania rozpędu ani niczego innego, po prostu zaczęła przemieszczać się, sunąc w przestrzeni i nawet na jeden stopień nie odchylając się od idealnego pionu.

Jakiś Nawrócony, który próbował wstać, wrzasnął i niesiony siłą inercji poleciał w bok. Uderzył w kolumnę, odbił się od ramy okiennej i zniknął za krawędzią, zapewne rozpoczynając nieuniknioną drogę w dół.

Cat wykorzystała szansę, kopnęła uwieszonego jej do nogi Anioła prosto w twarz, posyłając śladem Legionisty.

Pęd powietrza wypełnił wnętrze kaplicy, wiatr zaświszczał w kamiennych zdobieniach, zakolysał złożonymi lampami.

Mknęliśmy niemalże idealnie na północ z niewielkim odchyleniem na zachód, przelatując ponad zrujnowanymi miastami, opuszczonymi drogami i martwym światem.

Powoli, bardzo powoli zaczęła działać inercja, a naszym układem odniesienia zaczynała być sama kaplica. Ktoś już stanął na nogach, widziałem jak Carter chwiejnie podnosi się z ziemi.

– Zek...! – sapał, trzymając się kolumny. – Coś ty zrobił?! To ma być ten twój plan?

Siliasz ciął przez pierś ostatniego z Aniołów, poprawił uderzeniem pancernego wachlarza w podbrzusze i śmiejąc się dziko pchnął go w kierunku krawędzi tarasu. Tamten machnął skrzydłami, chcąc złapać równowagę – nie zdążył, bo wbiegłem na niego i uderzyłem barkiem, strącając za krawędź.

Popełniłem ten błąd, że podążając za nim spojrzeniem zerknąłem w dół. Tak tylko przelotnie, chwilowo. Wystarczyło: organizm od razu zapalił wszystkie kontrolki

ostrzegawcze, w głowie mi się zakręciło, przed oczami pociemniało.

Byłbym spadł, ale Cat chwyciła mnie za ramię, odciągnęła z powrotem ku środkowi latającej platformy. Rymsnąłem na czworaka, próbując wbić paznokcie w łączenia kamiennych płyt.

Lecieliśmy. Lecieliśmy, a w kaplicy nie było teraz nikogo poza naszą czwórką.

To jest, inaczej: było nas pięcioro, bo mnie było dwóch.

– Dzieciaku, czy to jesteś...? – zaczął Siliasz, pokazując na moje alter ego.

– Tak, to ja! – zawołaliśmy obydwaj naraz.

– Ale jak to możliwe? Przecież ty...

– Zek! – krzyknął Carter, wskazując palcem coś na zewnątrz kaplicy.

Podbiegłem ku niemu, wyrząłem przez okno. Na tle błękitnego, nieruchomego nieba wyraźnie było widać kształt: niczym ciągnąca za sobą warkocz splecionej smugi kondensacyjnej kometa, leciał przez bezkres błękitu, pchany naprzemiennymi uderzeniami trzech par potężnych, płonących żywym ogniem skrzydeł.

Od razu rozpoznałem Szemijazasa.



– Przygotować się do abordażu, mamy towarzystwo! – wrzasnąłem na całe gardło.
– Nie dajcie mu się tu dostać, bo...

I wtedy od drugiej strony zza krawędzi okalającego kaplicę tarasu wystrzelili lśniącym pociskiem Archanioł Michał.

Musiał podlatywać ku nam już wcześniej, tyle że od dołu. I teraz wykorzystał Szemijazasa jako czynnik odwrócenia uwagi, a sam zaszedł nas od strony, na którą nie mieliśmy widoczności.

Złapał się skraju półokrągłej platformy i zarzucił nogami, ruchem godnym baletmistrza wskakując na taras biegnący wokół kaplicy. W rękach Archanioła zmaterializował się i buchnął płomieniem miecz.

A tyłem do niego stała Cat. Już obracała się przez ramię, ale nie miała szans, najniższych szans, żeby zdążyć cokolwiek zrobić.

Pomyślałem o tym, jak zginął Reggie. A potem przypomniało mi się, że gdzieś tam, na dole, został jeszcze mały Ronnie.

I nie mogłem, po prostu nie mogłem stracić też jej!

Miecz Archanioła zaczął kreślić w powietrzu płonący łuk, mający za chwilę przeciąć Cat na pół, niczym żdźbło trawy.

I w tym momencie pomiędzy Michałem a kobietą pojawił się Carter.

Huk i trzask były ogłuszające, na wszystkie strony sypnęły się iskry, kiedy ogromne, pofalowane ostrze miecza Archanioła uderzyło w dwa skrzyżowane gladiusy Cartera. Kaplica aż zadrżała i szarpnęła się, gdy wylądowanie na ułamek sekundy przeciężyło dostępne linie przesyłowe Purpury.

Byłem przekonany, że już po nim. Nikt nie miał prawa przyjąć na zastawę takiego ciosu i wytrzymać. Żaden człowiek, gladiator czy nie, nie miał aż tyle siły.

– ...Iii ooooooowraca ooon: nieee–samo–wiiiity Caaar–teriuuus! – zawył Carter, powoli podnoszący się z kolan i odpychający od siebie miecz Michała. – Co za technika, co za klasa! Proszę państwa, to nie–sa–mo–wi–te...!

Widziałem, jak drgają i pulsują muskuły na jego ramionach, jak całe ciało natęga się aż do granicy wytrzymałości i poza nią.

Ale za to w oczach Archanioła dało się wyczytać zdumienie przemieszane ze zgorzonym przerażeniem.

– ...Uwaga! – Siliasz pokazał ręką przez okno.

Rozpędzona kometa o sześciu skrzydłach była tak blisko, że widziałem już wykrzywioną grymasem wściekłości twarz Szemijazasa.

I wtedy zrozumiałem, że on wcale nie zamierza zaatakować nas tutaj, na górze. Lecił na to zbyt nisko, celował w dolną część doczepionej do kaplicy kamiennej igły.

On chciał wytrącić nas z kursu.

Archanioł ciął ponownie, powalając Cartera na ziemię, ale wtedy skoczyła mu na plecy Cat. Płonący trójząb zakreślił krótki łuk, wbił się prosto pod kołnierz pancerza.

Michał zawył z bólu, sięgnął ręką, chcąc złapać kobietę i zmiądzzyć w uścisku.

Nie zdążył, bo doskoczył do niego Siliasz, ciął swoim wachlarzem klasycznie, pod kolanem, po czym wbił miecz w udo Archanioła.

– Robaku...! – ryknął Michał, wypuszczając Cat, po czym uderzył go wolną ręką na odlew, odrzucając daleko po posadzce.

I wtedy zrozumiałem, że to wszystko było planem Cartera.

Pieprzonym, gladiatorskim, przemyślanym, teatralnym, starannie wyreżyserowanym planem.

Bo pozwalając się obalić na ziemię, zasymulował słabość, a jednocześnie sprowokował do pomocy Cat.

Archanioł wtedy wyprostował się, przesunął środek ciężkości ciała ku górze.

Silasż ciął go idealnie w wykroczną nogę, więc uderzając go, Michał poświęcił odrobinę swej równowagi.

A teraz Carter miał Archaniola jak na widelcu, obróconego niechronionym bokiem, w pół ruchu po nodze wykroczonej.

Doskonale widocznego na tle otwartego przetworu nieba.

– Carter, nie...!!! – wrzasnąłem, ruszając w tamtą stronę.

Ale było już za późno, bo Carter zerwał się z ziemi, zrobił dwa długie susy i wbił się całym impetem w Archaniola.

Michał zachwiał się, przechylił do tyłu. Ze zdumieniem spojrział na tkwiące mu w piersi płonące miecze. Przeniósł pełen nienawiści wzrok na Cartera.

– Ty... szkodniku...! – zasyczał Michał, chwytając go ogromną dłonią za ramię.

Zaś Carter napał na niego mocniej, zmuszając do zrobienia jeszcze jednego kroku w tył.

Stopa Archaniola omsknęła się z krawędzi tarasu i ześliznęła w pustkę.

– Tak się zabija Anioły, Zek! – zaśmiał się Carter.

Po czym obydwaj zniknęli za krawędzią.

Patrzyłem, nie wierząc, w puste miejsce w przestrzeni, gdzie jeszcze przed sekundą toczyła się walka. Cat doczołgała się na czworakach do skraju platformy, wyjrzała.

– Carter! – krzyknęła w pustkę. – Carteeer...!

Silasż podbiegł do niej, odciągnął w tył. Złapał w ramiona, zaczął coś tłumaczyć, przekonywać, głaskać ją po głowie.

Natomiast ja poczułem, jak żołądek podchodzi mi do gardła: to kaplica z doczepioną do niej kamienną szpilą zaczynała opadać. Pojawiła się linia horyzontu, widziałem już miasteczka i miasta, panoramę martwego świata.

Ale coś było nie tak. Zdecydowanie nie tak, bo opadaliśmy zbyt wolno. I zwalnialiśmy cały czas, kołysząc się na boki.

Co gorsza, uświadomiłem sobie, że nigdzie nie widziałem też samego siebie.

Rozejrzałem się dokoła: kurwa, nie było go! Nie wypadł przecież za krawędź, nie zginął! Nie mógł się nigdzie schować! A to znaczyło, że...

...Że ten debil, ten jebany idiota, zrobił to, o czym myślałem też ja.

Popędziłem ku wyjściu z kaplicy, zbiegłem po schodach, przeleciałem przez pustą wartownię, przesadziłem trupa Ofiarnika, niemalże pośliznąłem się na flakach tego drugiego i wpadłem bocznym wejściem do spiralnej klatki schodowej, biegnącej wokół studni pośrodku kamiennej iglicy.

Zleciałem na najniższy poziom, szarpnięciem otworzyłem klapę w podłodze.

Na końcu korytarza z pustki, setki stóp pode mną, kotłowała się i szarpała ognista masa, pełna bijących skrzydeł, rwących się płomieni i purpurowego dymu: to Szemijazasz robił wszystko, co mógł, żeby nie dopuścić do nieuniknionego.

Zaś ja – to znaczy, ten drugi ja! – właśnie trzymałem się wyciętych w kamieniu stopni w dół, próbując złazić ku płonącemu wściekłością Aniołowi z niedorzecznie małym, żelaznym gladiusem za pasem.

– Stój... Stój, kurwa, debilu jeden! – wydarłem się.

Usłyszał, podniósł wzrok i pokręcił głową.

Był przyklejony do nagiej, kamiennej ściany jak... jak... nawet nie wiem jak co. Jak pająk, jak karaluch, jak ślimak!

Poniżej, sporo pod nim, za plecami Szemijazasza, widziałem ziemię. Musieliśmy być kilkadziesiąt metrów ponad poziomem gruntu. Kątem oka zarejestrowałem klasztor ojców Apologetów, po drugiej stronie stał fort braci Destrukcyjnych.

A pod nami, dokładnie pod nami, otwierała się ogromna, czarna pustka ziejącej czernią bez dna Dziury.

Niemalże słyszałem szepty, zawodzenia i wrzaski, niesione powiewami wichru z jej nicości.

– Wracaj! – krzyknąłem jeszcze raz do samego siebie.

Nie posłuchał, schodząc kolejny stopień niżej.

Okej, dobra, inaczej. Jeśli on był mną, a ja byłem nim... To znaczyło, że... W sumie...

Zamknąłem oczy, odetchnąłem głęboko.

Kiedy znów je otworzyłem, trzymałem się kurczowo wyciętych w kamiennej ścianie, płaskich schodków. Zaś nade mną widać było kwadratowy otwór włazu, przez który patrzyłem na mnie z niepomiernym zdziwieniem – no cóż, ja sam, jakkolwiek dziwacznie to brzmi.

Przez chwilę wystraszyłem się, że przeniosłem tylko swoją świadomość. Ale nie, udało się: tamten na górze nie miał Znamienia, a w ręku trzymał tylko zwykły, żelazny miecz. Ja natomiast miałem gladius, kastet i wpięcie do Purpury.

– Nie...! – krzyknął tamten na górze.

– Tak! Kurwa, tak! Masz rodzinę, córkę, żonę! Chuj, że się rozwiedliście Przed! – wrzasnąłem do niego. – Zostań tam! Zostań, a ja... ja to dokończę!

– Nie pozwolę ci! Nie pozwolę...

Nie dokończył, bo unosząca się ponad Dziurą kamienna iglica szarpnęła się na boki i powoli popęzła ku górze: to Szemijazasz musiał włączyć jakiś kolejny bieg swojego napędu odrzutowego.

Tu naprawdę nie było czasu, nie było nad czym myśleć. Nie było w tym sensu.

– Ucałuj ode mnie naszą małą...! – krzyknąłem, puszczając się stopnia.

Poczułem, jak spadam. Lecę bezwładnie w dół, niczym kamień, nabierając prędkości. Właz nade mną nagle zaczął się oddalać, maleć w oczach.

A ja przekręciłem się twarzą w dół, pikując niczym torpeda wprost na usiłującego powstrzymać nieuniknione Anioła.

Wychylił się akurat zza krawędzi, kiedy spadłem dokładnie na niego, uderzając gladiusem i kastetem naraz.

Błysnęło, huknęło potwornie.

Szemijazasz zaskrzeczał przesywając, puścił trzymaną do tej pory kamienną iglicę.

Zaś cała moc Purpury popchnęła ją w dół, wprost w czarny otwór Dziury.

Kamienny tłok uderzył w nas obydwu, zabrał ze sobą, pchając niczym sunący pociąg pospieszny. Anioł wrzeszczał, krzyczał i płakał, próbując zaprzeć się rękami o kamień, młócić powietrze skrzydłami, usiłując spowolnić to, czego spowolnić nie miał już szans.

Kamienna iglica wpadła w otwór Dziury, wokół nas zrobiło się czarno. Daleko, daleko przed nami, pośród gwałtownie sprężającego się powietrza, widziałem już palającą czerwienią taflę płynnego ognia.

Szemijazasz spojrział na mnie z taką nienawiścią, że po prostu zaśmiałem mu się prosto w twarz.

Przelecieliśmy przez ogień. Huk, błysk i trzask otuliły nas, a potem zobaczyłem pod nami zasłaną na wpół przegniłymi, zmurszałymi kośćmi kamienną studnię i graniasty słup obelisku w jej środku.

Nie mieliśmy szans wyjść z tego cało – ani on, ani ja.

I nie wyszliśmy, co wcale mnie nie zdziwiło.



– Kurwaaa! – krzyknąłem w bezsilnej rozpacz, kiedy kamienna iglica zagłębiła się do końca w otworze Dziury. – Nie! Kurwa mać, nie! Nie tak miało...

Zamrugąłem, potrząsnąłem głową. Spojrzałem na trzymany w ręku gladius, na kastet. Na moje ciuchy. Przeciągnąłem dłonią po czole, czując pod palcami wycięte w skórze Znamię.

Okej, czyli – czyli byłem tu. W sensie, JA byłem tu. Ale przecież ja byłem...

...Dobra, chuj, w sumie to nieistotne.

Spuściłem nogi przez właz, zszedłem kilka metrów po kamiennym trzpieniu, teraz idealnie wypełniającym to, co niedawno było Dziurą. Teraz... teraz wyglądało to, jak jedna ze stacji pogłębiania dna Wisły, taki betonowy słup i nasadzony na niego cylinder czapeczki.

„Czapeczki”. Tego potwora było przecież ze sto kilkadziesiąt metrów po szerokości, a pod nawisem tarasu swobodnie mieściły się obydwie osady, do niedawna okupujące skraje Dziury!

Zeskoczyłem na ziemię, ale nogi ugięły się pode mną i upadłem na piach.

– Czy poseł ucałował już ziemię kaliską... O kurwa, o kurwa, ziemia... – zajęczałem, wtulając twarz w stały grunt.

– Zek! Zek, żyjesz!? – We włazie pokazała się głowa Siliasza.

– Nie jestem pewien, ale chyba tak! Chodźcie tu do mnie... No chodźcie! – Machnąłem ręką.

Usiadłem po prostu na ziemi i siedziałem tak, aż przyszli do mnie oboje, on i Cat. Siliasz rozejrzał się przytomnie:

– Dzieciaku, a gdzie... e... gdzie ten drugi?

– Nie ma żadnego drugiego. Nie wiem, nie pytaj. Najważniejsze, że wam nic się... O cholera, przecież Carter.

– Carter. – Cat pokiwała głową.

– Carter – mruknął Siliasz.

No cóż, bez ofiar się nie dało przecież.

– No dobra, Zek, ale... co teraz? – zapytała trzeźwo Cat. – Co się w ogóle stało, gdzie my wylądowaliśmy?

Obejrzałem się na wystającą z ziemi strukturę.

Szczerze mówiąc, to spodziewałem się czegoś... czegokolwiek. Że coś się stanie. Nie wiem, że Ziemia ruszy, albo że zagra jakaś muzyczka? Jakies napisy końcowe, game over, wygrałeś? Chuj, oszukaliśmy cię, pocałuj nas w dupę?

A tu takie nic. Zupełne, totalne nic.

– Nie wiem, co dalej – przyznałem.

– To lepiej coś wymyśl – mruknął Siliasz. – Bo oni zaraz będą zadawać pytania.

Faktycznie, ciągnęło w naszą stronę już kilka grup ludzi. Widziałem jadących pojazdami spalinowymi ludzi z Klatki, od południa ciągnęła szybkim truchtem grupa naszych, to jest gladiatorów i Komorników... Szła też spora ekipa zwykłych ludzi, uzbrojonych w kuriozalną mieszaninę zupełnie koszernej i całkowicie niekoszernej broni.

– Ronnie! – krzyknęła Cat, zrywając się na nogi.

Rzeczywiście, od jednej grupy odłączył się dzieciak, pędzący teraz ku matce z wyciągniętymi rękami. Za nim widziałem Kemosza, obok siedł ubrany w złocisty

pancerz sam Teodor Stratilata...

Wyglądało to na jakąś namiastkę happy endu, mimo że nie miałem pojęcia, w czym miałyby się on zasadzać. Natomiast wyglądało na to, że nam się udało. Żli zostali pokonani, my przeżyliśmy. I pozostawała tylko kwestia...

– Słuchajcie, dlaczego robi się ciemno? – zapytał nagle Siliasz.

Podniosłem się, popatrzyłem ku zachodowi i poczułem, jak mocniej uderza mi serce.

Bo dysk słoneczny właśnie kończył chować się za widnokregiem. Został po nim ostatni, wąziutki pasek, ledwie widoczny ponad pagórkami... O, i już było po nim. Zniknął, przepadł.

– Ziemia... Ziemia ruszyła z miejsca! – zawołał Art, idący pośród Komorników. – Zek, miałeś rację! Miałeś rację, udało się!

– Udało się! – Ktoś podłapał okrzyk.

– Mamy to, mamy! Świat się nie kończy!

– Hurraaaa! Pokonaliśmy ich! Udało się, pokonaliśmy Apokalipsę!

– Teraz już będzie dobrze...!

W pierwszej chwili chciałem też zawołać coś radosnego. Dołączyć do ogólnego uniesienia, jak to się odruchowo robi. No bo przecież hurra, co nie? Wygraliśmy, udało się i w ogóle.

Ale cały ten czas czegoś mi brakowało. Był jeden element układanki, który nijak mi do niczego nie pasował. Jak bym nie próbował, nie byłem w stanie rozkminić, jaka ma być jego rola.

A teraz faktycznie zrobiło się ciemno, zaś ku nam ciągnęło od wschodu, od strony coraz ciemniejszego nieba, całe mrowie ludzi.

Wyszedłem kawałek w tamtą stronę, próbując wyteńczyć wzrok. Owszem, mieliśmy mieć sojuszników w szturmie, zaś Azrael miał część z nich ściągnąć tutaj na wszelki wypadek.

Natomiast ich było zdecydowanie, ale to zdecydowanie za dużo.

Spojrzałem na stojącego obok mnie Anioła Śmierci. Ten tylko powoli, z namysłem skinął głową.

– Ej... Ej! Eeeej, wszyscy! Hej, kurwa dzika mać! – krzyknąłem, usiłując przekrzyczeć ogarniającą ludzi radość. – Cisza!!!

Ucichli, uspokoili się. Ja zaś pokazałem palcem za siebie, na ciągnący od wschodu tłum. Siliasz zrozumiał jako pierwszy. Zbladł. Rozejrzał się.

– Na stanowiska! – wrzasnął. – Idą na nas... Idą! Kto zdąży, na górę!

– Najsilniejsi, na górę! – podchwyciłem. – Reszta, schować się w klasztorze i forcie... Idą na nas, idą!

Przez chwilę nie załapali. Nie zrozumieli. Nie dotarło do nich.

A potem pojęli, kto idzie i co zaraz będzie się działo.

– Na górę! – powtórzyłem, doskakując do kamiennej drabinki. – Cat, bierz małego! Kemosz, Siliasz... Teo, dawaj do nas! Ładuj tyłu Komorników, ilu dasz radę... Safo, o kurde, o cholera!

– Dziewczyny, migiem na górę! – krzyknęła Safo, poklepując mnie po ramieniu na przywitanie.

– Śmiertelni, do zabudowań! Kto nie zdąży, ustawiać perymetr obronny tutaj... Światło, dawać światło!

Nie nadawałem się na dowódcę. Nie miałem do tego predyspozycji. Nie ogarniałem taktyki. Ale jako że zacząłem wydawać rozkazy jako pierwszy, to jakoś tak zostało.

I wydawałem je tak długo, jak tylko się dało.

– Dawać tutaj to drewno... I kamienie! Stawiajcie barykadę, nie można ich dopuścić do wejścia! Podtoczcie tutaj samochody, reflektorami do przodu...!

Zaś sunąca ku nam czarna, nieregularna fala była coraz bliżej. Widziałem już tworzące ją poszczególne istoty, byłem w stanie rozróżnić większe i mniejsze... I czułem, co zaraz się tu będzie święcić.

Albo raczej „nie-święcić”.

Liczyłem na to, że zaczną jakimiś negocjacjami. Że będą pertraktacje, monologowanie, długie frazesy i głodne kawałki o niczym. Że będą grali na czas, chcąc nas okrążyć, jednocześnie pozwalając zacieśnić obronę.

Ale nie dali nam nawet tego, bo w pewnym momencie od tamtej strony rozległ się ryk, a ja zobaczyłem, jak fala potworów rusza na nas z pełnym impetem.

– Uwagaaaa...! – krzyknąłem jeszcze tylko.

Wyjąca, dzika, nieokreślona czeredą wpadły na nas biegnące w pierwszej linii ataku Cienie. Ubrane w rozkompletowane, przypadkowo pozbierane ciuchy, zbrojne czymkolwiek, co tylko dały radę wyciągnąć ze śmieci, utkane z ciemności i dymu parodie ludzkich sylwetek o płonących szkarłatem ślepiach rzucały się na ludzi, czepiały się ubrań, chichocząc obłąkańczo wrywały wrzeszczących obrońców zza zaimprovizowanych barykad. Ogień broni maszynowej powstrzymywał je tylko na chwilę, odrzucał w tył i ścinał z nóg, ale one zaraz podrywały się i rzucały ponownie na ludzi, ginąc tuzinami i kolejnymi tuzinami pokrywając barykady.

Zaraz z nimi wpadli na pozycje broniących się śmiertelników kanibale i bałwochwálcy. Wyciągnięci z głębokich mroków Rewersu, nawykli do walki w półciemności, ci neo-barbarzyńcy atakowali dzikimi stadami, brak jakiegokolwiek koordynacji nadrabiając agresją i okrucieństwem. Zębate topory, miecze z zardzewiałej stali, samopały i prymitywna broń palna... Albo gołe ręce, połamane paznokcie i spiłowane w szpice zęby, upodabniające tych niegdysiejszych ludzi bardziej do demonów, niż istot zasługujących na miano inteligentnych, myślących i czujących cokolwiek, poza nienawiścią.

– Uwaga na psy...!

Ogary z Rewersu skoczyły naprzód wyjącem, skowyczącym stadem, przeskakując wysoko ponad naszymi pozycjami i siejąc zamęt na tyłach. Widziałem, jak ogromna, zębata paszczyka z płonąca żarem otchłanią gardzieli zamknęła się na ramieniu walczącego obok mnie żołnierza, odcinając je wraz z kością od ciała... Monstrum sięgnęło pazurami, otwierając brzuch nieszczęśnika, a potem skoczyło ku następnemu.

Jednak i my nie byliśmy bezbronni. Komornicy odplacali się pięknym za nadobne, tnąc i kłując płonącymi Purpurą mieczami, ciskając w szeregi wrogów utkanymi z ognia pociskami, stawiając tarcze energetyczne, żeby kanalizować atakujące nas hordy.

– Góra, pilnować górnego piętra! – krzyknęła Cat w samą porę. – Będą chcieli dostać się do kaplicy...!

Ogromne, wylaniające się z bezkresu czarnego nieba nietoperze o skrzydłach z dymu spadły na nas całą chmurą. Wysoki pisk wwiерcił się w uszy, pazury zaczęły szarpać i drapać skórę na twarzach i ramionach obrońców. Na niektórych z tych bestii widziałem pasażerów – groteskowe, powykrzywiane sylwetki Cieni, desantujących się teraz pomiędzy nasze szeregi.

Od strony klasztoru Apologetów buchnął kłęb płynnego ognia, spowijając nacierającą właśnie na niego grupę potworów: to ktoś z Klatki użył przywiezionego na półciązarówce, ciężkiego miotacza ognia.

Ale widziałem już kołyszące się ponad głowami napastników przerażająco, do bólu znajome kształty.

– Ślepiory! Nie patrzeć tam...! – wydarłem się, czując, jak zaczyna brakować mi głosu. – Nie patrzeć, strzelać na wycucie!
– Nie damy rady, nie utrzymamy się...!
– Wycofać się, bronić kaplicy!

Wokół nas była atramentowo czarna, nieprzenikniona, pozbawiona gwiazd noc, z której wylały się coraz to kolejne potworności. Nie miałem pojęcia, jak długo walczyliśmy, bo nie było możliwości zmierzenia czasu. Nie wiedziałem, co się dzieje, ani jaka jest sytuacja, mając ogłęd tylko na mój odcinek starcia.

Ręce mdlały, nawet zasilane ciągłym strumieniem Purpury. Płuca walczyły o każdy oddech, płonąć żywym ogniem. Ostry, gryzący pot zalewał oczy. Ledwie trzymałem się na nogach, ślizgając się na krwi, grzęznąć w trupach.

– Nie poddawać się!!! Śmierć Górze...!

– Wolność dla ludzi! – odpowiedział mi nierówny chór głosów.

Widziałem, jak na walczącego nieopodal Teodora Stratilatę skacze z tłumu jakaś postać. Czarnowłosa demonica o skórze białej niczym pergamin, ubrana w lśniący srebrzyście pancerz wpadła na Świętego, przewróciła go na plecy. Jednak Święty poderwał się od razu w swoim połączonym pancerzu, ciął na krzyż gladiusem, nie dając jej podejść... Zwarli się, niczym zmagające się pośród naszej walki Słońce i Księżyc, niczym życie i śmierć, dzień i noc, nienawiść i miłość.

– Ogień na godzinę czwartą! – krzyknął ktoś od stanowiska cekaemu. – Nie dajcie mu podejść...!

Ogromna, górująca ponad całym tłumem Bestia Obłężnicza podniosła gigantyczną maczugę i spuściła na nasze pozycje, krusząc barykady i rozrzucając obrońców, niczym niechciane zabawki. Ogień karabinów przeorał sklejony z kilkunastu wijących się konwulsyjnie ciał tors, ale potworność nie zwolniła, nie zauważyła tego nawet, prąc bezmyślnie w kierunku, który wskazał wcześniej jej pan i władca.

Z dzikim wyciem opadli nas Czerwonoskórzy, rzucając się fala za falą na obrońców, wieszając się na karabinach, własnymi ciałami zasłaniając widoczność i dosłownie przynajmając ich.

Widziałem, jak z czarnego nieba nad nami pikuje pomiędzy Komorników ogromny, szkieletowy kształt Serafina Głębinowego, niczym wielka ryba z otchłani oceanów zagarniającego otwartą szeroko paszczką ludzi, samochody, umocnienia i wszystko, co tylko znalazło się na jego trasie – tylko po to, żeby z upiornym wrzaskiem znów wzniesić się w niebo i przepaść w czarnym przestworze.

– Teraz, moje dzieci! Teraz jest nasza szansa! – wybił się ponad to wszystko znajomy głos. – Za mną... Pod tym znakiem zwyciężycie!

Rozejrzałem się i wypatrzyłem go.

Ubrany w swoją śnieżnobiałą szatę, z rozwianą grzywą włosów i starannie podstrzyżoną brodą, prąd do naszych naprzemiennymi długimi seriami z trzymanyh w obydwu rękach pistoletów maszynowych niczym kolumbijski gangster. Ogromna, jaszczuropodobna bestia pod nim rzucała się i wila, kłusując ludzi wielką paszczką, skacząc z miejsca na miejsce na dwóch zbrojnych w długie pazury tylnych łapach i siekąc na boki długim, giętkim ogonem z kolczastą nasadką.

– Tu jestem...! – wrzasnąłem do Światłodzierzcy, podnosząc w górę gladius. – Tu jesteeem...! Załatwmy to pojedynkiem, jak prawdziwi mężczyźni! Tylko ty i ja... Solówka o wszystko!

Światłodzierzca ściągnął wodze swojego welociraptora, zwrócił bestię ku mnie i ubodł ostrogami, puszczając w długi cwał. Odrzucił jeden z pistoletów maszynowych na pasie nośnym, dobył długiej, zakrzywionej szabli.

Wiedziałem, że to będzie epickie. Że to będzie walka, jakiej nie widział świat.

Żaś kiedy był już naprawdę blisko, schyliłem się po leżący na ziemi granatnik, wycelowałem i strzeliłem.

Eksplozja dosłownie zmioła go z grzbietu potwora, odrzuciła do tyłu w obłoku dymu, zostawiając tylko wiszącą w powietrzu chmurę śnieżnobiałych piór.

Odrzuciłem na bok dymiący granatnik, popatrzyłem po zdumionych ludziach.

– Wygrałem – skonstatowałem, wzruszając ramionami. – Ale zaprawdę, powiadam wam: srogi to był rębajło...!

I dokładnie wtedy, właśnie w tym momencie, na dotychczas sinocznym horyzoncie pokazał się pierwszy pasek szkarłatu. Ledwie widoczne w pierwszej chwili muśnięcie, niczym kropla soku malinowego. Dopiero potem rozlało się w pomarańcz, a potem w błady błękit, barwiąc niebo na wschodzie.

Patrzyłem absolutnie oszołomiony na ten pierwszy od nie wiem kiedy, pospieszny, jak gdyby na łapu-capu zorganizowany, skręcony na sznurek i trytytki, połatany wschód słońca.

To powinno trwać o wiele dłużej. Powinna być cała gloria przedświt, delikatne wybarwienia kolorów, cała gama odcieni. Zmiany temperatury, osadzająca się na ziemi chłodna rosa. Granat przechodzący nie wiedzieć kiedy w seledyn, a potem w zielonkawy, błady szmaragd.

Natomiast to słońce, pierwsze po Apokalipsie, nie mogło tego wszystkiego wiedzieć, bo wschodziło po raz pierwszy. Nikt mu nie powiedział, nie nauczył, jak to zrobić. Nie przeprowadził instruktażu z gry wstępnej, nie wytłumaczył gdzie i jak dotykać łaknącej pieszczot ziemi.

Dlatego też to słońce wypierdoliło zza horyzontu na pełnej kurwie, niczym prawiczek biorący swoją pierwszą kobietę.

Kiedy promienie musnęły walczących, nad szeregami buchnął ogień. Ryk, skowyt i wrzask zlały się w jedno: gdziekolwiek światło słońca padało na przybyłe z Rewersu wojska Światłodzierzcy, ich ciała żarzyły się i zajmowały płomieniami, unosząc się płatami sadzy i dymu, niczym podstawiony pod przemysłową opalarkę karton po telewizorze.

Pożoga zapłonęła dzikim żarem, obejmując coraz więcej potworów. Część z nich pierzchła na wszystkie strony, ratując się, jak który tylko mógł, szukając resztek cienia i biegnąc jak najdalej od bezlitosnego blasku wytaczającej się zza widnokregu złocistej tarczy.

Żaś z gardeł ludzi – śmiertelnych i nie, bez różnicy – wyrwał się dziki, niepowstrzymany, wzbierający falą przyboju ryk niedowierzania zmieszanego z tryumfem.

Wypuściłem z ręki płonący gladius, osunąłem się na kolana i ukryłem twarz w dłoniach.

Kurwa, kurwa jego jebana mać.

Aż bałem się tego powiedzieć.

Nie miałem odwagi pomyśleć.

Strach było się bać, ale...

...ale...

...kurwa mać, chyba...

...wygraliśmy?



– Azraelu? Azi, jesteś tu?

W otulającej mnie, bezcielesnej ciemności pojawiła się sylwetka mojego Anioła.

– Jestem, Ezekielu – odparł Azrael z tym samym ciepłym, troskliwym uśmiechem.

– Azi, czy to jest...?

– Tak, Ezekielu.

Zatarłbym ręce i odetchnął z ulgą. Niestety, nie miałem ani rąk, ani płuc. Odetchnąć też nie było czym. Była tylko czarna, jednolita pustka wszechistnienia.

Ostatnim, co pamiętałem, było uczucie spadania w pustkę Dziury. Narastające ciśnienie, ciemność, naciskający mnie od góry tłok odwróconej iglicy z litego kamienia... I wrzask, przesywający wrzask Szemijazasa, który już wiedział, że przegrał.

A ja wygrałem, mimo że kosztowało mnie to – wszystko.

No bo wyglądało na to, że zginąłem. Przynajmniej jedna z dwóch fizycznych wersji mnie, jakkolwiek nie miałem pewności, która konkretnie.

No dobra, to skoro i tak już nie żyłem, to można było na spokojnie zająć się rzeczami naprawdę ważnymi.

– No dobra, Azi, to w takim razie... Daj mi listę poleceń.

Przedemną rozwinął się sięgający od hipotetycznej góry aż do równie hipotetycznego dołu pergamin.

– Czego sobie życzysz, Ezekielu?

– No więc... Pomyślmy. Przede wszystkim, uruchom znów sekwencję obrotu. I nie tylko Ziemi! – zastrzegłem. – Odpalamy też wszystko inne, co tylko zostało. Co nie zostało, symulujemy. W kosmos raczej już nie będziemy latać, he, he...

– Zrobione, Ezekielu. Nieco to potrwa, zanim wszystko ruszy, ale zmiany wprowadziłem.

– Świetnie. Teraz... Słuchaj, ile mamy Purpury?

Przedemną pokazał się pasek wskaźnika.

– Przeliczyć na jednostki?

– Nie, nie trzeba. Dobra, to w takim razie... Niech się stanie!

Pasek skurczył się nieco.

– Niech się staną!

Pasek znów zmalał. Obliziałem nieistniejące wargi.

– Dobra, to teraz... Niech, niech, niech. I jeszcze niech to! I dodajmy to, więc niech!

– Ezekielu, to może się nie udać.

– Wiem, ale chwilowo chuj mnie to obchodzi. Zresztą, Azi, wiesz co? Ty to zrób.

– Ja?

– Tak, ty. Wiesz lepiej ode mnie, więc odpal ile wlezie. Tylko najpierw otwórz mi kartotekę Wykreślonych! – zastrzegłem.

– Ezekielu, ale kryteria są...

– Nieistotne. Przywróć tyłu, ilu dasz radę. Wedle własnego uznania, przy czym tych najlepszych, jak dasz radę! Pacyfistów, wegetarian, stare panny z kotami i dużą ilością książek. Takich, co nam pomogą, zamiast przeszkadzać.

Pasek zaczął maleć w oczach. Malał, malał, malał... Aż w końcu dojechał niemalże do zera.

– Zrobione, Ezekielu. Wprowadziłem zmiany, o które prosiłeś.

– Dobrze, to teraz... Azi, ile tego towaru zostało? Okej... To wyciągnij mi jeszcze jedną teczkę osobową.

– Ezekielu, ale on...

– Wiem.

– I to może okazać się...

– Tak.

– Ale wtedy...

– Owszem. Natomiast jestem mu to winien, więc i tak spróbujemy.

Pasek Purpury zmaleł do zera, zamigotał i zniknął.

– Co dalej, Ezekieliu? – zapytał mój Anioł

– No cóż... wygląda na to, że kończymy, Azi. Trochę szkoda, bo lubiłem ten świat, a teraz wygląda na to, że zostałem cholernym Zielonym Prosiaczkiem z Guziczkiem w Nosku. Wyloguj mnie z trybu administracyjnego, Azi... Chociaż, nie, czekaj!

– ...Tak, Ezekieliu?

– Lubiłem cię, Azi. I lubię nadal, dokądkolwiek się teraz udaję.

Anioł uśmiechnął się ciepło.

– Spotkamy się jeszcze, Ezekieliu.

Zniknął, a wraz z nim wszystko inne.



EPILOG



To co, jednak ruszacie?

Dzień był piękny, ciepły i słoneczny.

Po błękitnym niebie sunęły małymi, rwanymi obłoczkami chmury, jeszcze nie ogarniające, że potrafią łączyć się w większe formacje, z których mogłby spaść regularny, prawdziwy deszcz.

Wiał lekki wietrzyk, wciąż co prawda niosący ze sobą niepokojącą woń zakurzonej piwnicy i starej padliny. Na jego korzyść przemawiało, co prawda, że ostatnio nawet zmienił kierunek. Nie było to jeszcze przełomem meteorologicznym, ale dobrze wróżyło na przyszłość.

Świat był – no cóż, nadal był daleki od ideału. Dzień i noc jakoś ogarnęły swój rytm, pojawiły się nawet fazy księżyca, który jednak czasami zapominał zapalić się po nowiu. Na nocnym niebie w nieregularnych odstępach zapalały się losowe, poukładane w zupełnie bezsensownych grupach gwiazdy, mające tendencję do spadania w najmniej oczekiwanych momentach, kiedy ktoś już pokusił się o nadanie nowemu gwiazdozbiorowi roboczej nazwy.

Większość rzek, jezior i innych zbiorników wodnych wróciła do normy, więc i woda była nawet–nawet zdatna do picia. Jako się rzekło, okazjonalnie padał deszcz, dzięki czemu zaczęły odżywać rośliny. Pojawiła się trawa, tu i ówdzie drzewa odbijały z korzeni.

No i wróciły zwierzęta. Oczywiście, na naprawdę wielkie, spektakularne gatunki – lwy, słonie afrykańskie, wieloryby i inne cudactwa – nie było nawet co liczyć. Natomiast mieliśmy zatrzęsienie starych, dobrych, poczciwych wróbli i szpaków. W kilku rzekach pojawiły się ryby, a nocą dało się słyszeć dalekie rechotanie żab. Podobno ktoś widział lecące kluczem bociany.

I jeszcze komary. Pszczoł nadal było jak na lekarstwo, mrówki i dżdżownice objęte zostały nieformalną ścisłą ochroną, zobaczenie zwykłej muchy było świętem – a tych bzyzczących, kąsających, irytujących skurwysynów komarów było zatrzęsienie. Aż wieczorami unosiły się takie słupy na polach, jak w latach głębokiego dzieciństwa... Tak, tak, panie dzieju – kiedyś to było, a teraz to nie ma.

Ale istniała szansa, że znów mogło być.

Trudno powiedzieć, jak wyglądało to w skali makro – na poziomie dryfu kontynentów, stanu wód w morzach czy oceanach, siły Coriolisa, płaszczą Ziemi

i pierdylliona innych zmiennych.

Pory roku chyba dogadały się co do swojej kolejności, zaczynając od początku, a więc od relatywnie chłodnej, ale spokojnej, na razie pozbawionej śniegu zimy. Zakwitło kilka drzew, wyrosła trawa, przyleciały bociany – słowem, wszystko wskazywało na to, że zbliżała się wiosna.

Oczywiście, świat był pełen durnych błędów, jak źle zmodowana gra komputerowa: dało się zaobserwować stada ptaków lecące tyłem, deszcz potrafił zacząć padać z sufitu piwnicy, a pewnego ranka okazało się, że słońce wstało nie po tej stronie nieba.

Natomiast w końcu, po tylu latach, ludzie zaczęli mieć nadzieję.

W pewnym oddaleniu od nas, na sięgającym aż pod las przyszłym polu, widziałem Azraela. Szedł miarowym krokiem, odkładając kolejną skibę pod zasiewy; zaprzężony w charakterze zwierzęcia pociągowego Pastuch buczał i popiskiwał, ale posłusznie ciągnął prosty, żelazny pług na dwóch łańcuchach. Zdemontowane skrzydła Anioła stały pod drzewem, złożone razem niczym teatralna dekoracja.

Musiał poczuć, że na niego patrzymy, bo zatrzymał się, pozdrowił nas podniesioną ręką. Uśmiechnąłem się, też do niego pomachałem... Spojrzałem na Cat.

– Jednak? – powtórzyłem pytanie.

Cat poprawiła plecak, spojrzała na stojącego obok Kemosza. Skinęła głową.

– Tak. Jestem mu to winna, Zek... A on przecież gdzieś tam jest, w tym wielkim, dzikim świecie. Muszę go znaleźć, bo on zrobiłby to samo dla mnie.

– Cat, ja wszystko rozumiem, dziewczyno. – Uśmiechnąłem się. – Ale masz świadomość tego, że to nie musiało się udać? Nie wiem, czy mi to wyszło. Było robione na końcówce energii, bez przygotowania...

– Mówiłeś już, a ja przyjąłem do wiadomości, Zek. Natomiast jeśli jest chociażby cień nadziei, że Reggie żyje, to ja chcę go poszukać. I znaleźć – poprawiła się. – Niezależnie od tego, w jakim stanie powrócił.

– Damy radę, Zek! – zadudnił Kemosz, wspierający się na swoim falksie. – Nie takie się trasy pokonywało przecież!

– Uważajcie na siebie w takim razie. Na pewno nie chcecie poczekać, aż wróci Carter?

Świat, jako się rzekło, nadal był pełen błędów. Jednak to nie te błędy sprawiały, że na noc trzeba było chować się do domów i zapierać okiennice, a utrzymanie światła stało się jednym z najważniejszych priorytetów.

Mimo że rozbiliśmy Światłodzierżcę i jego hordę z Rewersu tam, pod kaplicą – teraz przemianowaną na Kaplicę i stojącą się czymś w rodzaju nowego sanktuarium, pomnika tryumfu nowego człowieka nad starym Bogiem – to nasz dyżurny Przeciwnik nie został pokonany. Jego stwory wciąż wypełzały ze swoich kryjówek po zapadnięciu zmroku, Cienie nadal skrobały do drzwi wejściowych, wyjąc i chichocząc w ruinach miast.

Odławialiśmy je stopniowo, metodycznie, organizując czasami całe wyprawy w te regiony, gdzie sładzy ciemności zanadto się rozwydrzali. Z braku jakiegokolwiek innej struktury, na której można byłoby polegać, rolę nieformalnych opiekunów ludzkości – znów jako psy pasterskie, ale tym razem prowadzące owieczki ku zielonym pastwiskom, a nie do budynku rzeźni – przejęliśmy właśnie my.

„My”, czyli nikt inny, jak Komornicy.

Nie było sensu zmieniać nazwy całego Korpusu Komorniczego, więc tak już zostało. Zналиśmy się wszyscy, jak lyse konie, wiedzieliśmy kogo na co stać... No a jeszcze po Tamej Bitwie (nazwanej tak z braku lepszego pomysłu) trochę nas ubyło, więc esprit du corps wyłącznie się wzmógł. Czy ludzie zaczęli nam przez to ufać? No nie. Ale to też nie było nic nowego.

Cat zmarszczyła nos, potrząsnęła głową:

– Nieee, bez przesady. On ma swoje zajęcia, terminarz szkoleń, rekrutów... Niech się poczuje ważny. Przecież to lubi.

Carter, ku zaskoczeniu wszystkich, a najbardziej własnemu, przeżył walkę z Archaniołem. Sam zasnł się częściową utratą pamięci, mówił, że ocknął się, połamany i ledwo żywy, na ziemi... Podobno Michała nie było, zostały po nim tylko dwa dymiące gladiusy, wbite w ziemię. Carter wylizał się z ran, chociaż noga nie zrosła mu się, jak należy, i teraz krążył po świecie, odbudowując z resztek struktury Korpusu.

Nie podobała mi się ta część opowieści. Bałem się, że zaszło tam coś jeszcze, a Michał może powrócić w najmniej spodziewanym momencie... Azrael próbował go szukać, ale na darmo: Archanioł jakby zapadł się pod ziemię.

Może właśnie tak było. Ale jeśli miałby kiedyś zdecydować się spod niej wyleźć, to my będziemy gotowi.

– Zajrzyjcie po drodze do Teodora w takim razie, ucieszy się. Mówił, że podobno ma dla Ronniego prezent...

– Wujek Teodol! – Mały klasnął w ręce. – I ciocia Lul’ti?!

– Ciocia Lul’ti też, owszem – westchnęła Cat, przewracając oczami. – Zek, czy ty wiesz, co ona mu ostatnio opowiadała? Wyobraź sobie, że zaczęła tłumaczyć małemu...

– Domyślam się, nie musisz mówić – zastrzegłem pospiesznie.

No tak, bo przecież Teo znalazł – w zasadzie: odnalazł ponownie, nawet o tym nie wiedząc – miłość swojego życia. Tę samą demonicę, sukkuba, z którą zwąchali się w poprzedniej iteracji świata... Kiedy kurz bitewny opadł po starciu ze Światłodzierzcą, okazało się, że walczący wcześniej Teodor i Lul’ti w międzyczasie odrzucili broń i przeszli do walki wręcz, a następnie do zwarcia w parterze... Dość bliskiego zwarcia, jak to opowiadał mi cokolwiek zażenowany tym Siliasz.

A sam Siliasz? Jeździł na swojej dreźnie, rozwoził opowieści, zapasy i listy. Twierdził, że dobry system komunikacji kolejowej to podstawa, na której powstała współczesna nam... to jest: niegdyśsza cywilizacja. Jak ostatnio się widzieliśmy, to mówił, że takich jak on, drezniarzy, jest już kilkunastu, a będzie więcej.

Cieszyłem się na to wszystko. Pomagałem każdemu, jak tylko potrafiłem. Starałem się nie spierdolić tego, co już raz cudem udało się naprawić.

– No to daj pyska na pożegnanie, stary draniu. – Cat objęła mnie ramieniem, cmoknęła w policzek. – I do zobaczenia.

Objąłem i poklepałem po plecach Kemosza, podrzuciłem w górę i wyściskałem Ronniego. Potem ująłem drobną, delikatną rączkę mojej małej i patrzyliśmy wspólnie, jak tamci odchodzą drogą i znikają za zakrętem.

– Tatuus... – zagaiła moja córeczka, patrząc na mnie z dołu. – A pójdziemy potem do ciemnego lasu?

Pokręciłem głową.

– Nie, kochanie. Tatuś ci tłumaczył, że do ciemnego lasu nie można chodzić, bo tam jest niebezpiecznie. Tam są potwory, które mogą nas zjeść. Poza tym, twoja mama będzie się na tatusia gniewać.

Świat jakoś się ogarniał, moje życie też się ogarniało. I też „jakoś”. Nie była to sielanka, nikt nie wysypywał mi drogi płatkami róż. Aniołowie nie sphywali z niebios, żeby ronić krwawe łzy nad doskonałością dokonywanych przeze mnie wyborów... I tylko Azrael pytał mnie czasami, jak sobie radzę i uśmiechał się smutno, kiedy usiłowałem wykręcić się od odpowiedzi wprost.

Natomiast miałem moją małą, i tylko to tak naprawdę się liczyło.

– Ale ty masz gladiusa, tatuś. Nie musisz się przecież bać – zauważyła jowialnie.

– Owszem, mam gladius, kochanie. Ale muszę się bać właśnie dlatego. I nie, nie pójdziemy do ciemnego lasu.

– Hmph... – Mała założyła wątle rączki na piersi. Pomyślała chwilę, rozpromieniła się uśmiechem: – Ale usiądziemy na ławeczce i opowiesz mi, jak kiedyś było na świecie?

– Usiądziemy i opowiem – zgodziłem się.

Był naprawdę, ale to naprawdę piękny, słoneczny dzień. Pachniały powoli rozwijające się pąki kwiatów bzu, gdzieś w oddali świergotał jakiś ptak. Słońce przyświecało ciepłym, życiodajnym blaskiem.

Zaś ja siedziałem, trzymając za rękę moją córeczkę i wiedziałem, że świat się wcale jeszcze nie skończył, a dopiero się zaczyna.

– Tatuś... – Mała w pewnej chwili przerwała moją opowieść. – Tatuś, a co się dzieje, jak ludzie umierają?

Westchnąłem w duchu.

– Jak ktoś umiera, kochanie, to idzie do nieba.

– Aha. Ale ja nie chcę iść do nieba, tatuś. Ja chcę zostać tutaj.

Poczułem, jak coś ściska mnie za gardło.

– Wiem, kochanie. I ja też chcę tutaj z tobą zostać. I obiecuję, że tym razem już nigdzie sobie nie pójde.

– Aha. No dobrze. Tatuś...?

– Tak, słoneczko?

– A co będzie, jak ja umrę pierwsza i pójde do nieba przed tobą?

Uśmiechnąłem się, oparłem głowę o nagrzaną ścianę domu i zapatrzyłem się w dal perspektywy nowego, oby lepszego świata.

– Tatuś będzie już tam na ciebie czekał.

KONIEC

(tym razem już ostateczny)

[choć w sumie to cholera wie, co przyniesie przyszłość]



SZERMIERZ NATCHNIŃNY VIRION

*Mrok otwierał właśnie swe wrota.
Pokazywał, co jest za nimi.
A najciekawsze było,
że Virion nie mógł zobaczyć
tam niczego, co by go odstraszało.
Czego by już nie poznał.*

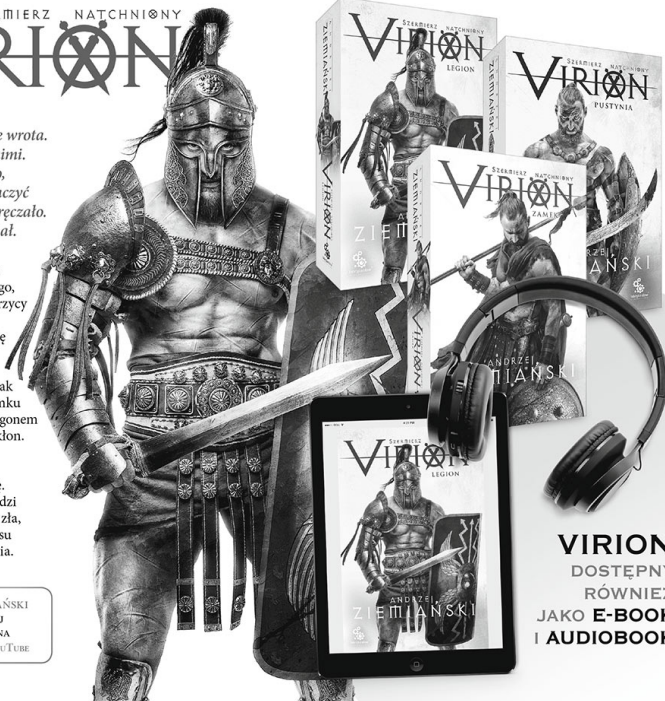
Szalony świat Viriona
– szermierza natchnionego,
byłego skazańca, męża upiórów
i przyjaciela upiórów
– właśnie przeistoczył się
w istny sen wariata.

Niebezpieczny, ale jednak
uporządkowany świat Zamku
drży w posadach. Gwiazda z ogonem
przetacza się przez nieboskłon.

Taida i Virion stają
do walki ramie w ramię.
Świat się kończy. Nadchodzi
czas wszechogarniającego zła,
niepokromionego chaosu
i doszczętnego zniszczenia.



ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI
POZNAJ BLIŻEJ
AUTORA VIRIONA
ZOBACZ WIĘCEJ NA YOUTUBE



VIRION
DOSTĘPNY
RÓWNIEŻ
JAKO **E-BOOK**
I **AUDIOBOOK**

COPYRIGHT © BY Michał Gołkowski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I
ISBN 978-83-7964-882-5

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE

Piotr Cieśliński

PROJEKT I OPRACOWANIE OKŁADKI

Szymon Wójciak

ILUSTRACJE ORAZ MAPA

Paweł Zaręba

REDAKCJA

Ewa Białołęcka

KOREKTA

Marta Sobiecka

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 2519

www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

www.facebook.com/fabryka

instagram.com/fabrykaslow

A circular portrait of Michał Gołkowski, a man with dark hair and a beard, wearing a dark jacket. The portrait is set against a light blue background with white flames on either side. The background of the entire page is a dark green with a faint, stylized image of a figure in a purple cloak and a sword.

MICHAŁ GOŁKOWSKI

Z wykształcenia lingwista, z zamiłowania historyk wojskowości i antropolog kultury. Z zawodu tłumacz języka angielskiego i rosyjskiego, bez skrępowania poruszający się po ministerialnych, sejmowych oraz telewizyjnych korytarzach i strefach VIP.

Jako pisarz zadebiutował w 2013 roku powieścią „Ołowiany świt” i od tego czasu wydał rekordową liczbę 26 książek osadzonych w 6 różnych uniwersach!

Jego książki krążą pomiędzy tematyką stalkerską, alternatywną historią a fantasy. Jednak bez względu na gatunek styl „Gołkosia” pozostaje niezmiennie smakowity. Jego książki są przepelnione czarnym humorem i absurdem, a pojęcia „świętości” Michał zdaje się nie uznawać.

Szczególnie widać to w serii Komornik, nawiązującej do biblijnej Apokalipsy. Natychmiast po wydaniu uznana ona została za obrazoburczą i wzbudziła wiele głosów protestu, jednocześnie zyskując jednak rzesze zachwyconych czytelników.



*Przestań się lękać! Jam jest Pierwszy i Ostatni,
i żyjący. Byłem umarły, a oto jestem żyjący na
wieki wieków i mam klucze śmierci i Otblani*

**NO DOBRA, POWIEDZMY TO OTWARCIE
REBELIA NA ARENIE DŁUŻNIKÓW UPADŁA
I SOBIE GŁUPI RYJ ROZBIŁA**

a jej niedobitkowie rozpiezchli się po całym świecie, niczym koraliki po podłodze.

Natomiast Ezekiel Siódmy, eks-Komornik, eks-Stwórca Świata, w tej chwili ponownie wciągnięty na krzywy ryj w skład Korpusu Komorniczego, ma o wiele większe problemy niż ubolewanie nad tym, że mimo swojej wiedzy z przyszłości zrobić coś lepiej, to zrobił tak samo, a w sumie to nawet gorzej, bo wygłąda na to, że cała jego (wszech)wiedza się, delikatnie rzecz ujmując, zdezaktualizowała.

Świat, podobnie jak ciasto drożdżowe, nie lubi jak do niego zaglądać kiedy rośnie, tykać go palcami i pokazywać znajomym.

I wszystko wskazuje na to, że w jedynej wciąż działającej linii czasowej zrobił się przez to wszystko paskudny zakalec.

Ale to wszystko nic w stosunku do tego, gdzie znajduje się teraz Zek. A to, gdzie się znajduje, to pikuś w porównaniu do tego z kim tam jest uwięziony.

No cóż – mamy siódmy tom trylogii, której zakończenie miało być nieodwołalne i ostateczne, więc chyba nic w tej książce nie może pójść ani zgodnie z planem, ani jakimikolwiek oczekiwaniami.

Jeśli masz jakieś prognozy co do tego, co się tu wydarzy, to spis je sobie na karteczce, a potem się śmieć, widząc, jak bardzo się mylisz.

**NADCHODZI NAJDIWNIJSZY KONIEC WSZYSTKIEGO,
JAKI KIEDYKOLWIEK
WIDZIAŁ ŚWIAT!**

